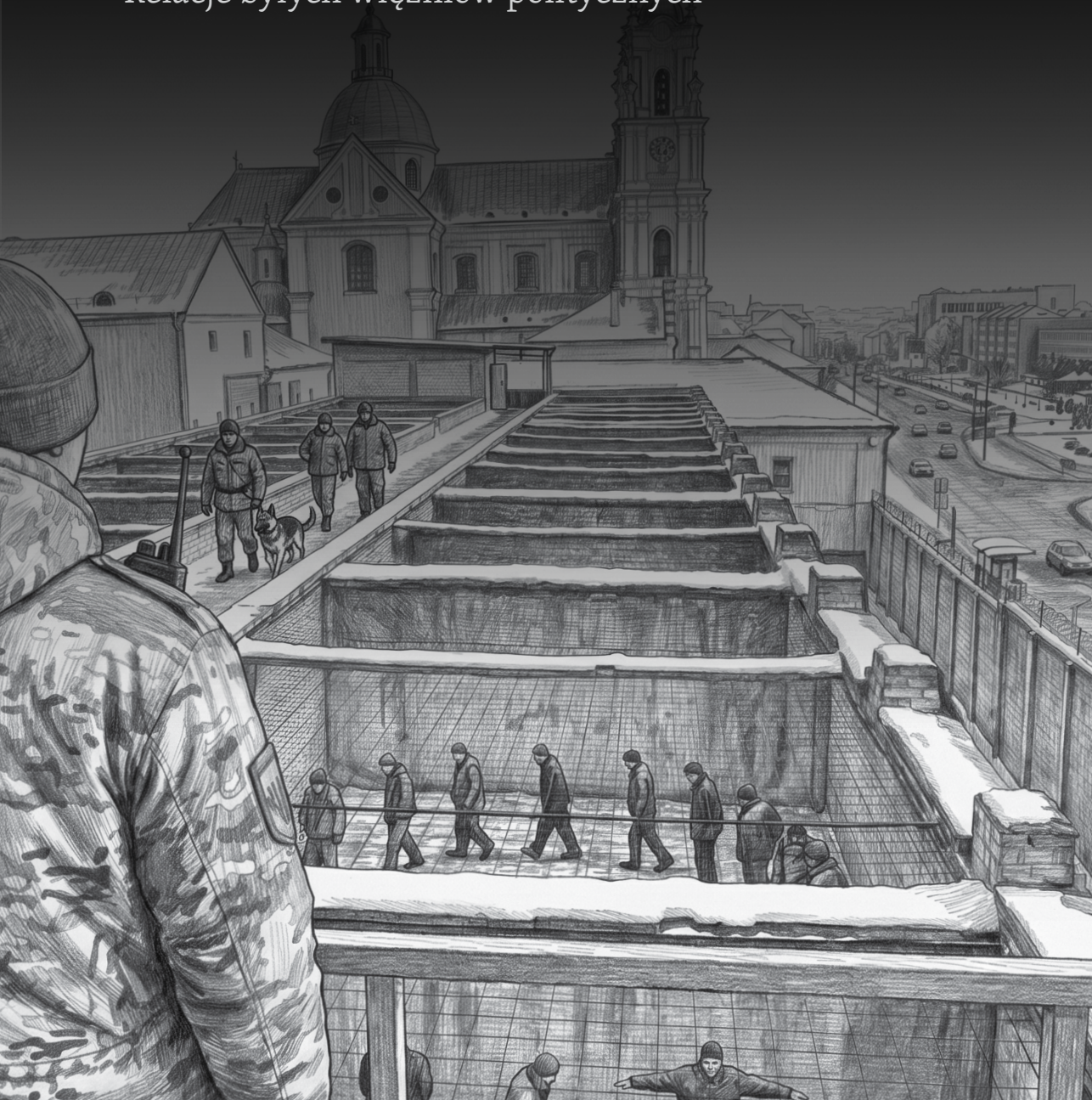




OSW | 35 LAT

ARCHIPELAG BIAŁORUŚ

Relacje byłych więźniów politycznych





OSW | 35 LAT

OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH
im. Marka Karpia

© copyright by
Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia

relacje zebrali i opracowali
Michał Kacewicz, Piotr Pogorzelski, Agnieszka Romaszewska-Guzy

redakcja
Andrzej Brzeziecki, Wojciech Konończuk

redakcja językowa i korekta
Adrianna Stawska-Ostaszewska, Szymon Sztyk

opracowanie graficzne i skład
Urszula Gumińska-Kurek

mapa i indeks osób
Wojciech Mańkowski

ilustracje do wywiadu z Wiktarem Parchimczykiem
© **Wiktar Parchimczyk**

ilustracje w rozdziale „Zamiast fotografii” oraz ilustracja na okładce
z fragmentem więzienia w Grodnie
były więzień polityczny, który z powodów bezpieczeństwa chce pozostać anonimowy

WYDAWCA
Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia
ul. Koszykowa 6a, Warszawa
tel. +48 22 525 80 00
osw.waw.pl

ISBN 978-83-68327-76-2

Spis treści

- 5 **Wstęp**
Wojciech Konończuk
- 13 **Łagier – sedno białoruskiego systemu więziennego**
Andrzej Poczobut
- 21 **Aby przetrwać, musisz dać się upokorzyć i zdusić w sobie wszystko, co ludzkie**
Antanina Kanawaława
- 51 **Sam nie wiem, jak się przystosowałem i przeżyłem**
Zmicier Kaźlou
- 85 **Kolonia karna to wysepka niewolnictwa**
Halina Dzierbysz
- 105 **Fizycznie możesz wytrzymać, ale psychicznie szalejesz**
Zmicier Kuczuk
- 133 **Straszyli, że nie zobaczą ani dzieci, ani męża**
Palina Szarenda-Panasiuk
- 153 **Prawo na Białorusi nie ma żadnego znaczenia**
Wiktar Parchimczyk
- 175 **Deptali mnie, kopali, stawali na moich plecach...**
Pawieł Mażejka
- 203 **Gdy człowiek nie ma już absolutnie nic do stracenia,
wszystko staje się znacznie prostsze**
Pawieł Winahradau
- 217 **Od pierwszego dnia więzienia zacząłem mieć problemy**
Ihar Karniej
- 247 **Nie zapomnę i nie wybaczę**
Uładzimir Bułauski
- 283 **Prawa ci się zachciewa**
Iryna Słaunikawa
- 305 **Śledczemu było obojętne, czy będę żywy, czy martwy**
Alaksandr Fiaduta
- 321 **Zamiast fotografii**
- 327 **Posłowie: sowieckie wzorce, białoruska precyzja**
Kamil Kłysiński, Agnieszka Romaszewska-Guzy
- 355 **Biogramy autorów wywiadów, wstępu i posłowania**
- 356 **Indeks osób**

Wstęp

Wojciech Konończuk

„Po jakiego diabła nam przychylność mas? Musimy jedynie posiadać aparat władzy w naszych rękach” – stwierdził ponad sto lat temu Dmitrij Manuilski, wpływowy działacz bolszewicki i współtwórca sowieckiego systemu totalitarnego. Z identycznego założenia wychodzą Alaksandr Łukaszenka i jego poplecznicy.

Największe w historii Białorusi protesty społeczne, które wybuchły po sfałszowanych wyborach prezydenckich w sierpniu 2020 r., wstrząsnęły posadami jego władzy. Reżim jednak przetrwał dzięki wsparciu ze strony Rosji i lojalności potężnych struktur siłowych. Liczebność funkcjonariuszy białoruskiego sektora bezpieczeństwa, obejmującego milicję i MSW, jest niemal równa liczbie pracowników polskich organów ochrony porządku publicznego, choć Białoruś ma czterokrotnie mniej mieszkańców niż Polska.

Po wygaśnięciu wielusettyśięcznych demonstracji reżim rozpoczął metodyczną pacyfikację wszelkich realnych lub wymagowanych przejawów nastrojów opozycyjnych. Machina represji dotknęła wszystkie bez wyjątku środowiska – od partii politycznych, organizacji społecznych i kulturalnych, po media, Kościół katolicki i zwykłych ludzi wyrażających krytykę w sieciach społecznościowych czy nawet wikipedystów.

W ciągu ostatnich niemal sześciu lat ponad 50 tys. mieszkańców Białorusi zatrzymano i osadzono na kilka lub kilkanaście dni w areszcie za rzekome naruszenia administracyjne, a w istocie jedynie za udział w protestach lub ich bierne wspieranie. Według danych Centrum Wiasna,

najstarszej i największej białoruskiej organizacji obrony praw człowieka, od maja 2020 do marca 2026 r. co najmniej 9594 osoby doświadczyły motywowanego politycznie ścigania karnego, a co najmniej 8304 skazano.

Białoruś stała się jednym z najbardziej opresyjnych reżimów na świecie. Skala represji w proporcji do liczebności populacji jest większa niż w Rosji, a liczba więźniów na 100 tys. mieszkańców plasuje ją w globalnej czołówce.

Społeczeństwo białoruskie ma tragiczną historię spadających nań w XX wieku katastrof, które kilkakrotnie je miażdżyły. W okresie sowieckim od 600 tys. do nawet 1,5 mln mieszkańców Białorusi represjonowano, w tym ok. 300 tys. zamordowano. Okupacja ziem białoruskich przez nazistowskie Niemcy doprowadziła do śmierci ok. 2 mln osób. Nawet na tle wyjątkowo dotkniętej dwoma totalitaryzmami Europy Środkowej i Wschodniej Białoruś była ziemią najbardziej skrwawioną.

W XXI wieku system represji na Białorusi, bezpośredni spadkobierca i kontynuator systemu sowieckiego, trwa w najlepsze. Nie dochodzi już wprawdzie do masowych mordów, ale w białoruskich aresztach i więzieniach na wielką skalę stosuje się tortury, przemoc fizyczną i psychiczną, poniżające traktowanie, zaś na rodziny skazanych wywiera się presję. Osadzonych w koloniach karnych i innych ośrodkach zmusza się do niewolniczej pracy, z której reżim czerpie korzyści – nie inaczej było w czasach Gułagu.

Rada Praw Człowieka ONZ uznała w 2025 r., że niektóre represje reżimu mają charakter zbrodni przeciwko ludzkości. Ich skala przypuszczalnie byłaby jeszcze większa, gdyby nie to, że od 2020 r. co najmniej 400–500 tys. Białorusinów (ok. 5% mieszkańców) wyemigrowało, w tym wielu z powodu strachu przed prześladowaniami politycznymi.

* * *

Jedną z najwcześniejszych i najważniejszych relacji o sowieckim systemie masowych represji była książka *Rosja w łagrze* pióra Białorusina Iwana Sołoniewicza, któremu udało się uciec z karelskiego łagru do Finlandii. Już w pierwszych słowach swoich wydanych w 1935 r. wspomnień tłumaczył, że „czytelnicy mają prawo niedowierzać, podejrzewając, iż [świadkowie łagrów] przedstawiają wszystko w zbyt ciemnych barwach”.

Z podobnym niedowierzaniem można czytać zgromadzone w tym tomie relacje trzynastu byłych białoruskich więźniów politycznych.

Otwiera je artykuł niezłomnego Andrzeja Poczobuta, więzionego przez ponad pięć lat, w którym z chłodną precyzją dokumentalisty opowiada, czym jest współczesny łagier. Pozostałe relacje zostały nagrane i spisane na zlecenie Ośrodka Studiów Wschodnich na przełomie 2025 i 2026 r. przez trójkę dziennikarzy o długoletnim doświadczeniu w zajmowaniu się Europą Wschodnią: Michała Kacewicza, Piotra Pogorzelskiego i Agnieszkę Romaszewską-Guzy. Pokazują one, by posłużyć się słowami Antaniny Kanawałowej, byłej więźniarki i jednej z bohaterek tej publikacji, że „ten system od dziesięcioleci działa tak samo: sprawy są sklejjane z niczego, byleby zamknąć człowieka”.

W tych często wstrząsających świadectwach widać totalitaryzujące się państwo, w którym prawo to wyłącznie dekoracja bez znaczenia. System sędowniczy ma charakter kafkowski, a głównym zadaniem organów bezpieczeństwa jest tłumienie wszelkich przejawów wolności i postaw antyreżimowych. Śledczy i strażnicy więzienni systemowo znęcają się nad więźniami politycznymi, których pozbawiono elementarnych praw, a dodatkowo naznaczono obowiązkiem noszenia żółtej naszywki, mającej ich stygmatyzować i odróżniać od więźniów kryminalnych. Warunki bytowe przetrzymywanych nie spełniają jakichkolwiek standardów, a wręcz grożą utratą zdrowia czy nawet życia – dotychczas w białoruskich więzieniach zmarło dziewięciu więźniów politycznych.

Wiarygodności relacji zgromadzonych w tej książce ani rozmów z byłymi więźniami politycznymi reżimu Łukaszenki opublikowanych przez media polskie i zagraniczne nie sposób kwestionować. Nie pozostawiają złudzeń, że za wschodnią granicą Polski i Unii Europejskiej, ale przecież wciąż w Europie, mamy do czynienia z recydywą systemu znanego ze wspomnień więźniów i zesłańców z czasów sowieckich. „Istnieją rzeczy, w które sama istota człowieczeństwa nie chce wierzyć” – pisał Sołoniewicz. Mimo zmiany epoki politycznej słowa te nie straciły aktualności.

Warto to podkreślać również dlatego, że reżim białoruski, podobnie jak wszystkie systemy dyktatorskie stosujące masową przemoc, usiłuje negować fakt prześladowania własnych obywateli z powodów politycznych. Przykładem niech będzie wypowiedź Łukaszenki z połowy marca 2026 r.: „U nas nie ma artykułów politycznych i nie mamy żadnych więźniów politycznych. Są przestępcy”. Białoruski dyktator regularnie wygłasza podobne oświadczenia.

Od początku 2025 r. trwa dyplomatyczny dialog między Stanami Zjednoczonymi a Białorusią. Jego efektem jest uwolnienie do marca 2026 r. niemal 500 więźniów politycznych. Ceną za to było zniesienie niektórych amerykańskich sankcji. Polityka UE wobec Mińska pozostaje niezmienna mimo ugodowych głosów ze strony niektórych państw członkowskich, opowiadających się za rozpoczęciem dialogu z reżimem. Nie wiadomo jednak, co miałyby być tego celem, gdyż istoty reżimu on nie zmienia.

Ocieplenie relacji Waszyngtonu z Mińskiem w żaden sposób nie wpłynęło na kwestię praw człowieka na Białorusi. Mimo uwolnienia niewielkiej części więźniów politycznych ich liczba utrzymuje się na podobnym poziomie. Według danych Wiasny w 2025 r. co najmniej 2384 obywateli Białorusi spotkały różne formy represji za niesankcjonowaną działalność polityczną, zaś 1254 z nich ukarano pozbawieniem wolności. Z kolei w okresie od stycznia do kwietnia 2026 r. aż około 350 Białorusinów poddano politycznie motywowanym represjom, a 149 z tychże powodów osadzono w więzieniach. obrońcy praw człowieka podkreślają przy tym, że realna liczba nowych prześladowanych na tle politycznym jest zapewne wyższa, ale od 2024 r. reżim utajnia statystyki sądowe, co bardzo utrudnia zbieranie danych o represjonowanych.

Nie ma jednak wątpliwości, że represje trwają, społeczeństwo pozostaje zastraszone, a aktywność obywatelska spacyfikowana. Więźniowie polityczni, którzy po uwolnieniu lub odbyciu kary nie zostali wydaleni za granicę bądź sami nie wyjechali, są w dalszym ciągu prześladowani, a ich swobody są ograniczane. Reżim Łukaszenki wykazuje niezmiennie brak woli jakiegokolwiek liberalizacji politycznej. W jego percepcji masowe represje okazały się skutecznym narzędziem utrzymania władzy. Białorusini otrzymują wyraźny przekaz – reżim jest wszechwładny, a jakkolwiek opór pozbawiony jest sensu.

Raz jeszcze oddajmy głos Iwanowi Sołoniewiczowi. We wspomnieniach przytacza on wypowiedź wysokiego rangą czekisty: „Naszym potężnym sojusznikiem są rządy burżuazyjne. One pracują dla nas. Chcą czy nie chcą, ale pracują. Tak więc może nam się jakoś uda wykaraskać”. Poprzez dialog z USA reżim Łukaszenki próbuje się właśnie „wykaraskać”, czyli uzyskać złagodzenie sankcji i tym samym poprawić trudną sytuację gospodarczą. Rozmowy ze stroną amerykańską to również ważny element legitymizowania się władz w Mińsku – zarówno wewnątrz, jak

i międzynarodowo. W dodatku podobna polityka nic je nie kosztuje – na miejsce uwalnianych więźniów politycznych osadzani są nowi.

* * *

Głównym celem tego tomu jest udokumentowanie najważniejszych cech białoruskiego systemu represji. Trzyście relacji byłych więźniów politycznych reprezentuje pełen wachlarz doświadczeń i oddaje przeżycia tysięcy innych niewinnych, którzy na lata trafili do tamtejszych więzień za walkę o swoje fundamentalne prawa. Wspomnienia te pokazują, aby użyć słów samych represjonowanych, że Białoruś to „wielka klatka, w której obecnie nic nie można zrobić” (Zmicier Kuczuk), zaś władzę usurpują „ludzie z bronią, którzy na wszelkie sposoby dręczą własny kraj” (Pawieł Winahradau). Na końcu publikacji znajduje się posłowie autorstwa Kamila Kłysińskiego i Agnieszki Romaszewskiej-Guzy, będące analizą białoruskiego systemu represji.

Fotograficzne dokumentowanie represji stosowanych przez reżim białoruski w miejscach odosobnienia nie jest możliwe. Dlatego relacje, które publikujemy, uzupełniliśmy rysunkami dwóch byłych więźniów politycznych, które pokazują warunki, w jakich ich więziono. Pierwszym z nich jest Wiktar Parchimczyk, autor jednego z zamieszczonych w tym tomie świadectw. Drugi z powodów bezpieczeństwa chce pozostać anonimowy.

Tytuł książki nawiązuje nie tylko do klasycznego dzieła Aleksandra Sołżenicyna. Inspiracją dla niego są także słowa Haliny Dzierbysz, białoruskiej Polki, którą skazano na 20 lat więzienia za „terroryzm” i wypuszczono po pięcioletniej odsiadce. W opublikowanej w tym zbiorze relacji mówi ona, że białoruskie kolonie karne to „wysepki niewolnictwa”. Dziesiątki takich kolonii – zwykłych i o zaostrzonym rygorze – aresztów śledczych, więzień i obozów pracy przymusowej (zob. mapa na następnej stronie) tworzą właśnie „archipelag Białoruś”.

Białoruskie zakłady penitencjarne



ŁAGIER – SEDNO BIAŁORUSKIEGO SYSTEMU WIĘZIENNEGO

Andrzej Poczobut

Brak wiary w trwałość „białoruskiej pierekowki”^{*} i jej taktyczny charakter może świadczyć o tym, że mimo pełnej kontroli nad społeczeństwem reżim wcale nie czuje się pewnie. Ten brak pewności z jednej strony czyni go szalenie niebezpiecznym, lecz z drugiej pozwala zachować umiarkowany optymizm, jeżeli chodzi o przyszłość Białorusi.

^{*} Termin „pierekowka” (ros.) pochodzi z okresu stalinizmu. Dosłownie oznacza „przekucie”, „przekształcenie” bądź też „przeobrażenie” – w tym kontekście chodzi o przekształcenie człowieka. Termin ten wiąże się z innym stalinowskim hasłem – „inżynierią dusz”, której celem było właśnie przeobrażenie obywateli ZSRR w nowych ludzi.

Andrzej Poczobut (rocznik 1973)

Białoruski dziennikarz polskiego pochodzenia, działacz zwalczanego przez reżim Związku Polaków na Białorusi. Początkowo pracował dla lokalnych mediów w Grodnie. Następnie na wiele lat związał się z „Gazetą Wyborczą”, której był korespondentem. Począwszy od 2011 roku, kilkakrotnie aresztowany i skazywany. Ostatni raz – aresztowany 25 marca 2021 roku i skazany na osiem lat kolonii karnej z artykułów 130 część 3 i 361 część 3 Kodeksu karnego za „wzywanie do działań na szkodę bezpieczeństwa Białorusi”, „podżeganie do nienawiści i waśni na tle narodowościowym” oraz „rehabilitację nazizmu”. Będąc więźniem, otrzymał m.in. Nagrodę im. Sérgio Vieira de Mello, wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka, oraz Nagrodę im. Andrieja Sacharowa, przyznaną przez Parlament Europejski. 26 kwietnia 2026 roku został zwolniony i przewieziony do Polski. Wkrótce odebrał Order Orła Białego – najwyższe polskie odznaczenie państwowe.

Prawdziwe więzienie zaczyna się po uprawomocnieniu się wyroku, kiedy trafiasz do łagru. W więzieniu masz jeszcze jakieś prawa, tam nie będziesz miał żadnych – mówił mi pod koniec lutego 2023 roku jeden z recydywistów odsiadujący wyrok w warunkach tak zwanego reżimu więziennego, czyli po przewiezieniu z łagru do cieszącego się ponurą sławą więzienia nr 1 w Grodnie.

W momencie tamtej rozmowy siedziałem już niemal dwa lata, „zwiedziłem” różne areszty śledcze, w tym niemal miesiąc spędziłem na „speckorytarzu” SIZO¹ nr 1, czyli w miejscu, w którym przetrzymuje się osoby m.in. z prawomocnym wyrokiem kary śmierci. Dlatego jego słowa wydawały mi się przesadą. Czym jeszcze mogą mnie zaskoczyć? Przecież tyle przeszedłem i tyle widziałem. Po latach spędzonych w łagrze w Nowopołocku mogę się jednak pod opinią owego recydywisty podpisać. Dopiero w łagrze człowiek tak naprawdę poznaje prawdziwy sens i sedno białoruskiego systemu więziennego.

Cel – resocjalizacja

Zgodnie z paragrafem 44 Kodeksu karnego Białorusi celami systemu penitencjarnego są niedopuszczenie do popełnienia przez skazanego nowych przestępstw oraz jego resocjalizacja. Oba cele osiąga się m.in. dzięki izolacji

¹ SIZO (ros. Следственный Изолятор) – areszt śledczy.

przestępcy i umieszczeniu go w zakładzie karnym. Pozbawienie wolności ma zapobiec dalszemu łamaniu prawa, natomiast resocjalizacji służyć ma praca wychowawcza prowadzona przez administrację zakładu. W każdej kolonii karnej istnieje specjalny dział ds. procesu poprawy, którego zadaniem jest praca wychowawcza z więźniami. Ideowe i metodyczne podstawy działalności więziennych działów resocjalizacji oparte są wciąż na sowieckich wzorcach opracowanych na początku lat 20. minionego stulecia przez sowieckiego pedagoga Antona Makarenkę. Głównym jego pomysłem była zasada prymatu kolektywu nad jednostką i wykorzystywanie kolektywu do wychowania jednostki. W rzeczywistości więziennej oznacza to przede wszystkim odpowiedzialność zbiorową. Za wykroczenie jednostki jest bowiem karany cały kolektyw – cela, w której znajduje się naruszyiciel, brygada, gdzie pracuje, bądź nawet oddział, do którego należy. W ten sposób do presji ze strony administracji dochodzi presja ze strony współwięźniów. Osadzeni, którzy zostali ukarani z powodu wykroczenia swego towarzysza niedoli, rzadko bywają wobec niego wyrozumiali. Często to właśnie element presji otoczenia jest tym, co pozwala skutecznie złamać opór jednostki.

System naprawy człowieka

Trafiając do łagru, człowiek popada w sytuację, w której przestaje panować nad własnym życiem. Już nie decyduje o tym, co i gdzie będzie robił, z kim będzie przebywał w jednym pokoju. Rygorystyczne ograniczenia: pobudka, śniadanie, spacer, sprzątanie celi, wszystko odbywa się w ustalonym czasie, według jednego scenariusza i z zachowaniem trwałego rytuału. Od pierwszych minut pobytu w obozie administracja łagru robi wszystko, by ubezwłasnowolnić i podporządkować sobie człowieka, zrobić z niego istotę pokorną.

Po tym, gdy konwój z więźniami przybywa do obozu, wszyscy trafiają do tak zwanej kwarantanny. Jest to oddzielony od reszty łagru barak. Dziś barak w łagrze przypomina kilkupiętrowy akademik, w którym łącznie mieszka od kilkudziesięciu do ponad 100 więźniów. Są oni rozmieszczeni w poszczególnych pokojach. W jednym takim pokoju mieszka od kilku do kilkunastu osób. W trakcie pobytu w kwarantannie więzień ma poznać zasady egzystencji na terenie obozu i wewnętrzne zasady odbywania kary. W tym okresie administracja łagru uważnie obserwuje zachowanie każdego osadzonego. Jego reakcje na otaczającą rzeczywistość, na nowe

warunki, w jakich się znalazł, i reakcje te są nieprzerwanie obserwowane i analizowane. Właśnie tu stawia się pierwszą diagnozę osobowości przybyłego, wstępnie ustala się, jak służba więzienna ma postępować wobec danej osoby, by osiągnąć zamierzony cel.

TRAFIAJĄC DO ŁAGRU, CZŁOWIEK POPADA W SYTUACJĘ,
W KTÓREJ PRZEESTAJE PANOWAĆ NAD WŁASNYM ŻYCIEM.

W kwarantannie osadzony cały czas ma być czymś zajęty: sprzątanie baraku, czytanie na głos regulaminu więziennego, ćwiczenie głosu poprzez wykrzykiwanie „żadnych pytań nie mamy” w odpowiedzi na zapytanie funkcjonariuszy o to, czy są jakieś skargi. Wszystko to odbywa się bez zważania na warunki pogodowe: upał, deszcz czy mróz... Ustawieni w szeregu więźniowie godzinami stoją na baczność i słuchają, jak jeden z nich, wystąpiwszy przed szereg, czyta zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych „Regulamin wewnętrzny miejsc odbywania kary”, bądź na wojskową manierę wspólnym krzykiem odpowiadają na zapytania przedstawicieli administracji. Gdy któryś z więźniów zaczyna się buntować, nie tylko on zostanie ukarany. Ukarani zostaną wszyscy pozostali – na przykład przez wydłużenie czytania regulaminu bądź zlecenie dodatkowych prac. Dzięki temu osoba stawiająca się i narażająca na szykany resztę jest później poddawana dodatkowej presji otoczenia. Zamiast bohaterem, który walczy o godność i prawa więźniów, staje się ona dla nich problemem, przyczyną dodatkowych nieprzyjemności.

Wewnętrzni strażnicy

W działaniach wychowawczych i represyjnych zarząd więzienny opiera się w dużej mierze na więźniach współpracujących z nim. Zajmują oni w łagrze stanowiska gospodarcze, które służą organizowaniu i podtrzymaniu w normie życia wewnętrznego kolektywu więziennego. Co to są za stanowiska? Oto kilka przykładów: *dniewalnyj* – osoba odpowiedzialna za utrzymanie czystości i porządku na terenie baraku; *zawchoz* – pełnomocnik administracji, osoba, która kieruje życiem wewnętrznym danego oddziału; *kieszarszczyk* – osadzony nadzorujący pokój przechowywania rzeczy osobistych; sekretarz – więzień pomagający naczelnikowi oddziału prowadzić wewnętrzną dokumentację oddziału.

Wszystkie te osoby są na uprzywilejowanych pozycjach, są pobłażliwie traktowane przez aparat, a także wszystkie w tej lub innej formie są używane do wywierania dodatkowej presji na więźniów. Są „oczami i uszami” administracji wewnątrz osadzonych. W gwarze więziennej nazywa się ich „kozłami”. Każdy osadzony styka się z nimi już od pierwszych minut swego pobytu w łagrze. To właśnie „kozły” dokonują wstępnej selekcji, informując strażników o zachowaniu poszczególnych więźniów w trakcie pobytu w kwarantannie.

„Mogę wystawić ci taką charakterystykę, że natychmiast trafisz do karceru” – tak w mojej obecności jeden z „kozłów” groził młodemu więźniowi, który przechwalał się swymi zdolnościami muzycznymi, bo był pewien, że po kwarantannie trafi niechybnie do działu kultury i będzie organizował różne imprezy w obozie.

„Kozły” nawet podczas luźnych rozmów, które prowadzą z innymi osadzonymi, zwracają uwagę na stan wewnętrzny rozmówcy, wyłapują jego reakcje na działania administracji. Wsłuchują się, jak komentuje on skierowanie do różnych rodzajów prac, co go denerwuje, czego się boi i co wyprowadza go z równowagi. Wszystkie te informacje przekazują władzom obozu, a te z kolei – w odpowiednim momencie – użyją ich przeciwko danej osobie.

W sporządzonej po moim pobycie w kwarantannie charakterystyce, z którą mogłem się zapoznać, podpisując dokumenty o skierowaniu mnie do PKT, napisano: „łatwo nawiązuje kontakty, jest pewny siebie i zawzięty”.

W ten sposób, analizując moją osobowość, już w kwarantannie zwrócono uwagę, że łatwo zawieram znajomości z innymi więźniami, nie czuję się zagubiony i przestraszony, staram się też zdobywać jak najwięcej informacji o życiu w obozie. Dziś nie mam wątpliwości, że podobne spostrzeżenia miały wpływ na to, iż byłem poddawany szczególnej izolacji i starano się ograniczyć moje kontakty z osadzonymi.

Codzienność

Po kwarantannie następuje przydział więźniów do poszczególnych oddziałów. Trafiają do nowych baraków, są kierowani do pracowniczych brygad, gdzie wyznacza się im różne rodzaje pracy. Administracja świadomie stwarza odmienne warunki dla poszczególnych oddziałów. Na przykład w zakładzie karnym nr 1 najbardziej ponurą opinię miał oddział nr 6 – określany mianem oddziału „do smażenia”. Specjalnie dobrani – „kozły”,

kapo – zaostrzona forma kontroli, ograniczenia bytowe... Właśnie w tym oddziale był przetrzymywany opozycyjny kandydat na prezydenta Wiktar Babaryka².

Oddział nr 4, do którego zostałem formalnie przydzielony, wyróżniał się tym, że był najszczelniej izolowany. Miał własną lokalkę – czyli teren dookoła baraku, na którym można spędzać wolny czas. Taka izolacja powodowała, że w trakcie krótkiego tam pobytu nie mogłem nawiązać żadnego kontaktu z więźniami z innych oddziałów. Właśnie do tego oddziału najczęściej kierowano więźniów, wobec których administracja łagru zastosowała paragraf 411 – wszczęcie nowego postępowania karnego za uporczywe naruszanie więziennego reżimu.

W DZIAŁANIACH WYCHOWAWCZYCH I REPRESYJNYCH ZARZĄD WIĘZIENNY
OPIERA SIĘ W DUŻEJ MIERZE NA WIĘŹNIACH WSPÓŁPRACUJĄCYCH Z NIM.

Każdy z oddziałów ma własną specyfikę. Do tego dochodzi jeszcze różnica warunków pracy – od palenia plastiku (brudne i szkodliwe dla zdrowia) po pracę w piekarni, która ma opinię „ciepłego i sytego miejsca”. Różnorodność ta jest świadomie utrzymywana i pozwala zarządowi kolonii karnej dodatkowo „grać”, polepszając bądź pogarszając więźniom warunki odsiadania wyroku. W ten sposób każdy więzień staje przed wyborem: albo zachowuje się poprawnie z punktu widzenia administracji i może względnie spokojnie odsiadywać swój wyrok, korzystając z pełni przysługujących mu praw, albo musi się liczyć ze stałym pogarszaniem warunków swojej egzystencji. Z moich obserwacji poczynionych w Nowopołocku wynika, że 99 procent osadzonych wybiera poprawne relacje ze służbą więzienną, dostosowując się do stawianych przez nią warunków. Ci, którzy się stawiają, mają wśród więźniów kryminalnych opinie dziwaków niepotrafiących należycie rozegrać swojej partii z naczałstwem i nieumiejących zadbać o swój interes. Więźniowie polityczni – choć w większości sami unikają bezpośredniego zderzenia z zarządem kolonii – darzą szacunkiem tych, którzy nie boją się bronić swej godności i przeciwstawiają się administracji, narażając się w ten sposób na represje.

- 2 Wiktar Babaryka (ur. 1963) – białoruski bankier i polityk, wieloletni prezes Biełgazprombanku. W 2020 roku zgłosił swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich i szybko stał się jednym z głównych rywali Alaksandra Łukaszenki. Aresztowany w czerwcu 2020 roku, przed zarejestrowaniem go jako kandydata, pod zarzutami korupcyjnymi powszechnie uznanymi za motywowane politycznie. W 2021 roku skazany na 14 lat kolonii karnej. Więziony m.in. w kolonii karnej nr 1 w Nowopołocku. Zwolniony w sierpniu 2024 roku w ramach międzynarodowej wymiany więźniów.

Na swoje prawa należy zasłużyć

Przed pobytem w łagrze nie mogłem pojąć, dlaczego tak duża liczba więźniów podejmuje współpracę ze służbą więzienną. Uważnie przestudiowałem „Kryminalno-Poprawczy Kodeks Białorusi” oraz „Regulamin odbywania kary pozbawienia wolności” zatwierdzony przez MSW i wydawało mi się, że prawa, które one gwarantują, wystarczą do względnie komfortowej egzystencji w obozie. W teorii każdy osadzony ma prawo do widzeń z rodziną. Liczba widzeń zależy od reżimu odbywania kary i waha się od sześciu w ciągu roku dla więźniów skazanych za lekkie przestępstwa (trzy długotrwałe – do 3 dni, trzy krótkotrwałe – do 4 godzin) do dwóch w ciągu roku w warunkach specjalnego reżimu przewidzianego dla recydywistów niepoddających się resocjalizacji. Do tego dochodzą rozmowy telefoniczne, paczki z domu, możliwość kupowania żywności i potrzebnych rzeczy w sklepie więziennym... To wszystko utwierdzało mnie w przekonaniu, że mając niewielkie potrzeby, mogę być spokojny. Minimalny poziom komfortu gwarantuje mi prawo, a biorąc pod uwagę moje ascetyczne podejście do rzeczywistości, nie mam się czego obawiać.

Jednak w trakcie pobytu w obozie szybko się przekonałem, że wszystkie rzekomo gwarantowane prawa są po prostu mrzonką. Wszystko, co masz, daje ci administracja i to od funkcjonariuszy zależy, czy będziesz mógł w praktyce korzystać z przysługujących ci na papierze praw.

Sztuczki więzienne

Sposób na ograniczanie i stopniowe pozbawianie więźnia wszystkich praw i przywilejów jest bardzo prosty. Zarząd zakładu karnego pod byle pretekstem nakłada na więźnia kary dyscyplinarne. Przy czym mogą to być kary za autentyczne naruszenia regulaminu albo za wykroczenia urojone czy wymyślone przez funkcjonariuszy. Służba więzienna ma tysiące sposobów na ukaranie wybranej osoby. Najważniejsze jest to, że często zapada początkowo decyzja o ukaraniu więźnia, a dopiero później wyszukuje się formalnych pretekstów dla niej, czyli prawdziwa przyczyna nakładania kar nie odpowiada formalnie stawianym zarzutom.

Przykładowo w szafce rozmieszczonej przy łóżku osadzony ma prawo trzymać elektryczną maszynkę do golenia. Tak jest napisane w informacji umieszczonej na każdej szafce. Odbywający karę automatycznie zakłada, że ten zapis daje mu prawo trzymać razem z maszynką do golenia również ładowarkę do niej. O tym, że tak nie jest, dowiedziałem się na

jednej z pierwszych kontroli moich rzeczy w trakcie pobytu w kwarantannie. Ładowarka musi być trzymana osobno – wraz z innymi rzeczami osobistymi w magazynie. W wyniku kontroli sporządzono więc protokół o naruszeniu przeze mnie reżimu odbywania kary pozbawienia wolności. Numer z maszynką jest zagranem w białych rękawiczkach. W końcu rzeczywiście w mojej szafce znajdowała się rzecz nieprzewidziana przepisami. Mamy więc autentyczny fakt naruszenia. Jak się szybko przekonałem, jest to swoistym przywilejem, kiedy jesteś karany za autentyczne naruszenia.

Toaletowa prowokacja

Większość więźniów poddawana jest innym, mniej subtelnym represjom. Najbardziej rozpowszechniona z nich to wykorzystywanie więziennych obyczajów przeciwko wybranym więźniom. Osadzeni są podzieleni na trzy duże grupy – pierwsza to *błatnyje*, często w białoruskich zakładach karnych nazywani też *brodziagami*. To zawodowi kryminaliści, dla których działalność przestępcza to sposób na życie. *Błatnyje* są zwalczani przez administrację więzienną i izolowani od reszty skazanych. Na terenie łagru w Nowopołocku nie było żadnego przedstawiciela tej grupy. Raz tylko przewieziono do łagru jednego z *błatnych*, ale natychmiast trafił do karceru i przez cały czas pobytu w obozie i tak go nie wyprowadzono.

Druga i najliczniejsza grupa osadzonych to *mużyki*, czyli zwykli więźniowie, którzy po prostu chcą odsiedzieć swój wyrok i generalnie deklarują chęć prowadzenia normalnego życia po wyjściu na wolność bądź z jakichś powodów nie chcą albo nie mogą należeć do wyższej przestępczej kasty.

Trzecią grupę stanowią *pariasi* – określane mianem *pietuchów*. Są to osoby skazane za gwałty na dzieciach, homoseksualiści bądź osoby, które w jakiś sposób naruszyły zasady zachowania. Więzienny *savoir-vivre* i sposób, w jaki jest on przestrzegany oraz wykorzystywany przez strażników do podporządkowania reszty więźniów, na zasadzie „dziel i rządź”, to osobne, bardzo złożone zjawisko, znajdujące się jednak poza tematem tego artykułu.

Nadmienię jednak, że zarząd łagrów nie tylko zna i toleruje podobny podział więźniów na kasty, lecz także wykorzystuje go do swoich celów. Właśnie groźby zepchnięcia na dół więziennej hierarchii zmusiły do uległości niejednego opornego. Prowokacje urządzone w duchu prawdziwej operacji specjalnej wykorzystano do rozprawienia się z jednym z liderów

świata przestępczego na Białorusi. Zaogniono wówczas stosunki wewnątrz grup przestępczych i doprowadzono w łagrach do wojny gangów.

ZARZĄD ZAKŁADU KARNEGO POD BYŁE PRETEKSTEM NAKŁADA NA WIĘZNIĄ KARY DYSCYPLINARNE ZARÓWNO ZA AUTENTYCZNE NARUSZENIA REGULAMINU, JAK I ZA WYKROCZENIA WYMYSŁONE PRZEZ FUNKCJONARIUSZY.

Podobnie wyrafinowane ustawki stanowią jednak wyjątek. Wobec większości opornych, których administracja postanowiła ukarać, stosuje się dość niewybredny trik. Osadzonego kieruje się do pracy, którą w obozie wykonują cwele, czyli *pietuchy* – na przykład do sprzątania toalety ogólnego użytku. W każdym baraku jest takowa – kilka, a czasem kilkanaście sedesów rozmieszczonych na pierwszym piętrze budynku. Korzystają z niej wszyscy żyjący w baraku więźniowie i formalnie wszyscy oni w układanej przez *zawchoza* kolejności muszą ją sprzątać. W gablocie ogłoszeń wisi harmonogram, w którym na każdy dzień wyznaczeni są więźniowie mający sprzątać toalety. Ów harmonogram jest jednak absolutnie bezużyteczny. Kierownictwo zakładu karnego doskonale wie, że toalety sprzątają wyłącznie więźniowie o „niskim statusie socjalnym”, czyli *pietuchy*. Jeżeli jakiś inny więzień posprząta toaletę albo wykona inną „brudną” pracę zarezerwowaną dla cweli, dołącza do tej kasty. Dlatego, chcąc ukarać wybranego więźnia, nadzorcy po prostu zmieniają harmonogram i nakazują mu sprzątać toalety w towarzystwie *pietuchów*. W określonym czasie pojawiają się funkcjonariusze z kamerą wideo i nakazują pechowcowi rozpocząć sprząkanie. Jeżeli się zgodzi – spada na dół więziennej hierarchii, nie może już więcej siedzieć za wspólnym stołem, nie może korzystać z rzeczy ogólnego użytku, musi spać we wskazanym miejscu wraz z innymi *pietuchami* itd. Jeżeli zaś odmówi – zarząd łagru zyska nagrany na kamerę fakt naruszenia więziennego regulaminu: odmowę wykonania pracy. W efekcie taki osadzony może być skazany na 10 dni karceru bądź nawet do sześciu miesięcy PKT albo grozi mu wszczęcie nowego postępowania karnego z paragrafu 411 – uporczywe naruszanie regulaminu więziennego.

Kara za karą

Podobnych przykładów nadużywania przez administrację władzy w celu maksymalnego pogorszenia warunków wybranemu więźniowi jest wiele.

W obecnej sytuacji człowiek w obliczu podobnych działań jest w obozie absolutnie bezbronny. Karząc więźnia za naruszenia regulaminu, władze zakładu karnego kolejno pozbawiają go widzeń, kontaktów telefonicznych z rodziną, paczek z domu, wprowadzają ograniczenia na korzystanie ze sklepu więziennego. Mogą także wtrącić do karceru albo PKT, zaostriżyć reżim odsiadki wyroku, przerzucając osadzonego do więzienia o zaostrozonym rygorze. Najdrastyczniejszą karą, która też jest wykorzystywana często wobec więźniów politycznych, jest wydłużenie odsiadki poprzez zastosowanie paragrafu 411. Za uporczywe naruszanie zasad odbywania kary grozi do dwóch lat pozbawienia wolności. Ten paragraf może być jednak wykorzystywany nieskończoną liczbę razy.

Aparat represji ma więc w rękach potężną broń, która pozwala mu skruszyć niejednego charakter. Cel, jaki sobie stawia, jest banalny – wymuszenie na osadzonym demonstracji całkowitej uległości, gotowości do wykonywania wszystkich poleceń. Przy czym im większym autorytetem wśród współwięźniów cieszy się dana osoba, tym większego upokorzenia musi zaznać. Chodzi o pokazanie osadzonym, że o tym, kto ma znaczenie na terenie łagru, decyduje tylko administracja. Każdy niezależny autorytet musi zostać skruszony i jej podporządkowany. Zarząd zakładu karnego często bierze na cel więźniów, którzy wypowiadają swoje zdanie i z którymi liczą się inni. Taka osoba dostaje ofertę podjęcia współpracy z aparatem więziennym – najczęściej proponuje jej się stanowisko „kozła”. I jeżeli odmawia, czekają ją represje.

Białe piekło

Najgorszym miejscem na terenie obozu jest SZIZO³-PKT⁴. Jest to specjalne więzienie na terenie łagru, w którym przetrzymywane są osoby niepodające się resocjalizacji i uznawane przez administrację za uporczywych naruszcycieli warunków odbywania kary. W łagrze nr 1 SZIZO-PKT nazywają czasem „białym piekłem” – z powodu białego koloru, jakim pomalowane są cele. Osadzony jest tam trzymany w niskiej temperaturze, ma ograniczoną możliwość otrzymywania paczek i kupowania jedzenia w więziennym sklepie. Do tego przez cały okres pobytu jest pozbawiony szeregu przywilejów, które miały na terenie obozu (telewizja, gry,

³ SZIZO (ШИЗО) – biał. *Штрафны Ізалятар*, ros. *Штрафной Изолятор* – karcer – cela karna, nie zawsze izolacyjna.

⁴ PKT (ros. *помещение камерного типа*) – cela więzienna w kolonii karnej.

nieograniczony dostęp do biblioteki, możliwość spędzania wolnego czasu na zewnątrz baraku itp.).

Dobrze pamiętam ten dzień – 6 czerwca 2023 roku – kiedy po raz pierwszy przestąpiłem progi niewielkiego jednopiętrowego budynku SZIZO–PKT na terenie łagru w Nowopołocku. Był on oddzielony od reszty obozu wysokim płotem i zasiekami z drutu kolczastego. Pod konwojem byłem prowadzony w grupie więźniów, mijałem kolejne drzwi i te zasieki. Ponury widok szarego jednopiętrowego budynku napawał trwogą. Właśnie zostałem skazany przez naczelnika łagru Rusłana Maszadzieu, wtedy jeszcze podpułkownika, na 10 dni pobytu w karcerze.

Sprawę załatwiono w białych rękawiczkach. Każdy skazany musi mieć spisane własne rzeczy. Wydawać się może – coś prostszego, jak sporządzić dokładny spis własnych rzeczy? Ale gdy tych rzeczy masz dwie pełne walizki, to czy możesz dokładnie podać, ile masz ze sobą kopert, a ile wkładów do długopisu? Na dodatek to wszystko ma być stale uaktualniane. Wziąłeś coś z walizki – zaznacz w spisie. Odłożyłeś z powrotem – zaznacz w spisie. W stałym pośpiechu, który panuje w kwarantannie, błędy są nieuniknione. Tak też było i w moim przypadku. W wyniku nieściśłości w spisie, którą wykryto podczas drobiazgowej kontroli, zostałem skazany na 10 dni karceru.

ZA UPORCZYWE NARUSZANIE ZASAD ODBYWANIA KARY GROZI DO DWÓCH LAT POZBAWIENIA WOLNOŚCI. TEN PARAGRAF MOŻE BYĆ JEDNAK WYKORZYSTYWANY NIESKOŃCZONA LICZBĘ RAZY.

Pobyt w SZIZO–PKT zaczyna się od drobiazgowej rewizji, przebrania się w specjalne ubranie z napisem „SZIZO” na plecach. Potem więzień jest kierowany do celi, gdzie spędzić ma wyznaczony przez administrację czas. Trafiłem do celi nr 14. Było lato, więc pierwsze 10 dni przeleciało szybko, zresztą wtedy zbyt mocno nie cierpiałem. Po przybyciu do Nowopołocka ważyłem 93 kilo, byłem zahartowany i lekko znosiłem spanie na deskach – w karcerze jesteś bowiem pozbawiony pościeli, nie masz też poduszki i śpisz na narach, które na dzień przypina się do ściany i rozkłada je tylko na noc. Wtedy SZIZO nie zrobiło na mnie większego wrażenia. Ani drgnąłem, kiedy dorzucono mi kolejne 10 dni za rzekomo złe posprzątanie celi. To już nie było zagranie w białych rękawiczkach. Cella była posprzątana dokładnie, tak samo jak w ciągu całego okresu

mojego pobytu w niej. Gdy wyraziłem oburzenie, usłyszałem, że należy dokładniej sprzątać cele. I tyle. Żadnych argumentów, żadnego przykładu... Potem dostałem kolejne 10 dni za rzekomo nieodpowiednie przywitanie się w trakcie apelu.

I znów – nawet otwarte okno, którego nie można było zamknąć, stanowiło uciążliwość, ale jeszcze nie budziło grozy. Choć Nowopołock to północ Białorusi i nawet latem temperatura spadała w nocy do 5 stopni. Na strach i grozę przyjdzie czas jesienią i zimą. To wtedy lodowate powietrze wdziera się do celi przez otwarte okno i powoduje, że nie możesz zasnąć z powodu zimna... Wkrótce nie wiesz, co gorsze: przejmujące zimno czy chroniczny brak snu. Pobyt w karczerze, zwłaszcza w okresie poza sezonem grzewczym, kiedy ogrzewanie już albo jeszcze nie jest włączone, a na zewnątrz panują niskie temperatury, to ordynarna tortura. To nie wszystko: funkcjonariusze mają swoje sposoby, by jeszcze bardziej ją spotęgować. Jesienią 2024 i zimą 2025 roku na korytarzu – naprzeciwko mojej celi – okno było otwarte przez cały czas. W ten sposób miałem przeciąg. Lodowaty wiatr wdzierał się do celi, temperatura była tak niska, że cały czas musiałem się poruszać, by choć trochę się ogrzać... Lata 2024–2025 były najtrudniejszym okresem mego uwięzienia.

Czego administracja chce od więźniów

W swoich wystąpieniach publicznych funkcjonariusze straży więziennej często deklarują, że celem ich działalności jest resocjalizacja więźnia. Wydawana przez Departament Wykonania Wyroków MSW gazeta „Pracowniczy szlak”⁵ jest pełna listów wdzięcznych więźniów, którzy zostali uświadomieni przez funkcjonariuszy i postanowili zerwać ze światem przestępczym. Listy te zawierają samokrytykę, wyrażają potępienie wcześniejszego zachowania ich autorów i często też dawnych kolegów, którzy nadal trwają w oporze przeciwko administracji. Jak udało mi się ustalić, podobne listy najczęściej są pisane przez funkcjonariuszy, a „zresocjalizowany” je tylko podpisuje.

W podobnym stylu utrzymana jest często samokrytyka składana przez więźniów politycznych skruszonych przez administrację. Jednak tu polityczni często mają wolną rękę i samodzielnie formułują swoje

⁵ Oryginalny tytuł: „Трудовой путь” (biał. *Працоўны шлях*, pol. *Pracowniczy szlak*) – gazeta Departamentu Wykonania Wyroków MSW Republiki Białorusi, wydawana od 1955 roku, adresowana do funkcjonariuszy służby więziennej oraz osadzonych.

wystąpienia. Ich listy, a jeszcze częściej nagrania wideo, pojawiają się w reżimowych mediach. Oprócz upokorzenia konkretnych osób mają one zademonstrować ogółu społeczeństwa bezsensowność oporu i przekonać ludzi, że nie warto nawet próbować kontestować białoruską rzeczywistość. Mają pokazać, że każdy może „polubić Wielkiego Brata” i jeżeli jest gotów maksymalnie się upodlić, może wrócić do szeregów szczęśliwych i pokornych budowniczych białoruskiego systemu.

Projekt zmiany osobowości, próby stworzenia „nowego człowieka” nie jest niczym nowym. Termin „pierekowka” czy „stalinowska pierekowka” wymyślony został jeszcze w latach 30. XX wieku. Oznaczał zmianę osobowości kryminalistów, i nie tylko w wyniku wychowawczego wpływu pracy, którą mieli oni wykonywać w obozach. Na lata „pierekowka” stała się jednym z głównych kierunków pracy wychowawczej w stalinowskich łagrach. Jej sukcesami zachwycali się sowieccy pisarze od Maksima Gorkiego przez Michaiła Zoszczenkę po Michaiła Priszwina, którzy nie tylko na zaproszenie OGPU⁶ odwiedzali łagier w Sołowkach, ale i wychwalali go później w swojej twórczości.

Jednak o ile władze komunistyczne traktowały „pierekówkę” na poważnie, w końcu komunizm miał ostatecznie zwyciężyć przestępczość, a „pierekowka”, czyli resocjalizacja kryminalistów poprzez zaangażowanie ich w uczciwą pracę, miała być drogą do tego celu, o tyle obecnie na Białorusi nikt nie wątpi w to, że żadnych „nowych ludzi” system więzienny nie tworzy.

„Wiesz, patrzę ja na tych politycznych – oni przyznają się do winy przed śledczym, potem występują w telewizji reżimowej, a następnie na spacerunku znowu rysują biało-czerwono-białe flagi” – mówił mi latem 2002 roku jeden z więźniów oskarżanych o przestępstwa gospodarcze. Jego zdaniem był to dowód klęski represyjnej polityki Alaksandra Łukaszenki. Nie jestem aż tak optymistyczny w ocenie skutków działalności represyjnej reżimu.

Białoruska władza jest bogatsza o sowieckie doświadczenia. Dlatego dziś w tamtejszym MSW nie ma romantyków, którzy podobnie jak ich

6 OGPU (ros. Объединённое государственное политическое управление – Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny) – sowiecka tajna policja polityczna działająca w latach 1923-1934, następczyni Czeki i poprzedniczka NKWD. Odpowiedzialna m.in. za organizację systemu łagrów (GUŁag), prowadzenie masowych aresztowań i deportacji oraz zwalczanie rzeczywistej i domniemanej opozycji wobec władzy sowieckiej. To właśnie OGPU zorganizował w latach 20. i 30. XX wieku słynny obóz na Wyspach Sołowieckich (Sołowki) – pierwszą dużą sowiecką instytucję łagrową, do której zapraszano pisarzy mających wychwalać „pierekówkę” jako metodę resocjalizacji przez pracę.

poprzednicy z lat 20. i 30. ubiegłego stulecia szczerze wierzyli, że wyniszczając zdrowie, upokarzając i łamiąc skazanego, można trwale zmienić jego charakter i przekształcić w oddanego sługę systemu komunistycznego. Nie spotkałem też żadnego funkcjonariusza, który by szczerze wierzył, że jest w stanie trwale zmienić osobowość więźnia, że dokonał zmiany osobowości w wyniku represji. Ludziom Łukaszenki nie chodzi więc o stworzenie „nowego człowieka”. Celem działań represyjnych jest wywołanie strachu, który ma paraliżować. Rozpowszechniane w mediach samokrytyki mają wywołać ten sam efekt u wszystkich przeciwników Łukaszenki. Chodzi o to, aby unaocznić bezsens wszelkiego oporu, zmusić wszystkich do pokory, uległości. Taka jest lekcja, którą białoruski reżim daje społeczeństwu.

IM WIĘKSZYM AUTORYTETEM WŚRÓD WSPÓŁWIĘŹNIÓW CIEŻY SIĘ
DANA OSOBA, TYM WIĘKSZEGO UPOKORZENIA ZE STRONY ADMINISTRACJI
MUSI ZAŻNAĆ.

Czy ta lekcja zostanie przez społeczeństwo przyjęta? Odpowiedzi na to pytanie nie znam. Udzieli jej przyszłość. Obecnie sytuacja na Białorusi nie wygląda budująco. Większość więźniów politycznych, z którymi rozmawiałem w obozie, myśli o opuszczeniu Białorusi. Ludzie na wolności mówią o paraliżującym wolę strachu i poczuciu samotności w tłumie. Reżimowe media pełne są lizusostwa i niewybrednych pochlebstw pod adresem Łukaszenki. Wydawać się może, że taki obraz sytuacji jest nadzwyczaj pesymistyczny, wręcz przekreśla wszelkie wolnościowe aspiracje białoruskiego społeczeństwa. Jednak niejeden reżim w historii próbował, stosując represje, utrwalić swoją władzę. Ostatecznie nikomu to się nie udało. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę stosunek siłowików⁷, a więc części aparatu państwowego dobrze poinformowanej o rzeczywistych nastrojach społecznych, do wyników swojej pracy, to zobaczymy, że reżim wcale nie czuje się pewnie.

Funkcjonariuszy cechuje bowiem brak wiary w trwałość „białoruskiej piekewki”. System zdaje sobie sprawę ze swojej nieatrakcyjności i braku długotrwałej perspektywy historycznej. I ten brak pewności z jednej strony czyni go szalenie niebezpiecznym, a z drugiej pozwala zachować umiarkowany optymizm co do przyszłości Białorusi.

⁷ Siłowiki – funkcjonariusze tzw. resortów siłowych, mundurowi.

ABY PRZETRWAĆ,
MUSISZ DAĆ SIĘ UPOKORZYĆ
I ZDUŚĆ W SOBIE WSZYSTKO,
CO LUDZKIE

Antanina Kanawaława

Śledczy groził, że zrobią wszystko, aby moje dzieci „poczuły, co to znaczy być wrogiem narodu”. Opowiadał, jak potem zostaną adoptowane przez obcych ludzi, a mnie nikt nie poinformuje, do kogo trafią. Jak będą nad nimi znęcać się inne dzieci, czym będą je karmić, że będzie gorzej niż z psami.

Antanina Kanawaława (rocznik 1988)

Działaczka opozycji białoruskiej i współpracowniczka Swiatłany Cichanouskiej. Aresztowana 6 września 2020 roku, 7 maja 2021 roku skazana na pięć i pół roku pozbawienia wolności z artykułów 293 część 2 i 293 część 3 Kodeksu karnego Białorusi, czyli za organizację masowych zamieszek i uczestnictwo w nich. Zwolniona 15 grudnia 2024 roku.

W jaki sposób znalazła się pani wśród ofiar białoruskiego systemu represji?

W 2020 roku byłam pełnomocniczką Swiatłany Cichanouskiej i koordynatorką sztabu w Mińsku oraz w obwodzie mińskim, a także koordynatorką wolontariuszy w całej Republice Białorusi. Można więc powiedzieć, że zakres moich obowiązków był bardzo szeroki. Zatrzymano mnie 6 września 2020 roku.

Pierwszym zarzutem, który mi postawiono, był ten na podstawie artykułu 342 – chodziło o rzekome tamowanie ruchu. Następnie zarzut przekwalifikowano na artykuł 293 część 2, czyli udział w masowych zamieszkach, a wszystko to przeprowadzono jeszcze przez artykuł 13, czyli „przygotowanie” do obalenia władz państwa.

Zatrzymano panią na wiecu?

Zatrzymano mnie już po zakończeniu całej kampanii wyborczej, kiedy spotkałam się z innymi osobami, żeby zastanowić się, co robić dalej. Po wszystkich pikietach, które organizowaliśmy, zostały nam jeszcze takie półlegalne materiały: ulotki, opaski zaciskowe – wszystko było zapakowane do bagażnika. Trzeba było zdecydować, co z tym zrobić i jakie będą kolejne kroki. W tamtym momencie Swiatłana Cichanouska opuściła już Białoruś pod presją gróźb. Planowaliśmy iść na akcję protestacyjną, ale nie zdążyliśmy dotrzeć na miejsce. Zatrzymały nas oddziały milicji, w takich czarnych, opancerzonych busach, a dodatkowo był jeszcze radiowóz DPS, czyli drogówki.

Kiedy przewieziono nas do Rejonowego Wydziału Spraw Wewnętrznych (RUWD) dzielnicy Partyzanckiej w Mińsku, umieszczono nas w garażu, gdzie zwykle stoją radiowozy. Spędziliśmy tam około ośmiu godzin. Dopiero później zaczęto nas przesłuchiwać – kim jesteśmy i czym się zajmujemy. Wtedy na Białoruś przyjechała rosyjska telewizja RT [Russia Today – przyp. red.], żeby „pomóc”, ponieważ wielu pracowników Białorus TV odmówiło dalszej pracy. Powiedziano im, że zatrzymano grupę osób, rzekomo należących do organizacji terrorystycznej, która miała zajmować się podejrzaną działalnością. Dodano, że w bagażniku auta należącego do owej grupy znaleziono różne transparenty i „zakazane materiały”. Pamiętam, że przyjechali do tego garażu, żeby nagrać z nami wywiad, ale wszyscy odmówiliśmy. W efekcie odjechali z niczym. Już później, w samym RUWD, byłam przesłuchiwana. Przesłuchiwali mnie funkcjonariusze KGB oraz śledczy milicji. Wszystkie pytania dotyczyły kampanii wyborczej.

Co najbardziej interesowało śledczych?

Bardzo ich interesowało, zwłaszcza funkcjonariuszy KGB, dlaczego w ogóle zaangażowałam się w tę kampanię wyborczą. Jakim sposobem wpadłam na pomysł, żeby założyć organizację „Kraj do życia”¹ i ją oficjalnie zarejestrować. Wtedy zrozumiałam, że to naprawdę bardzo ich dotknęło, bo nasza organizacja była autentyczna. Odniosłam wrażenie, że próbowali za wszelką cenę udowodnić istnienie jakichś powiązań zewnętrznych i próby przewrotu. W tamtym czasie oni po prostu bali się ogromnej liczby ludzi na protestach. Wydaje mi się, że przede wszystkim bali się siły, która wyszła na ulice. Naród nie był już tak łatwy do kontrolowania jak wcześniej. I to ich przerażało. Nie wiedzieli też, czego się po nas spodziewać. Tym bardziej, że zdawali sobie sprawę, iż zatrzymali ludzi związanych z „Krajem do życia”, a to był w tamtym momencie główny przeciwnik Łukaszenki, którego on wyraźnie nie docenił.

Jak wyglądało to pierwsze przesłuchanie?

To była raczej rozmowa prowadzona spokojnym tonem. W tamtym okresie nie formułowano jeszcze podczas przesłuchań otwartych gróźb. Grali

¹ Kraj do życia (biał. *Краіна для жыцця*) – początkowo, od 2019 roku, był to kanał na YouTube prowadzony przez Siarhiej Cichanouskiego, który dał początek szeregowi inicjatyw związanych z obroną praw człowieka. Obecnie funkcjonuje na emigracji fundacja o tej nazwie zajmująca się pomocą udzielaną więźniom politycznym (stranafund.org).

w „dobrego i złego policjanta”: ktoś próbował pozyskać moje zaufanie, ktoś inny mówił: „grozi ci wyrok, zastanów się”. Zadawali różne pytania: co robiliśmy w sztabie, czym się zajmowaliśmy, co planowaliśmy dalej? Udawałam naiwną. Mówiłam, że nic nie wiem, że jestem tylko zwykłą wolontariuszką. Zawsze trzymałam się właśnie tej wersji. Już po pierwszych przesłuchaniach organy ścigania dopuściły się wielu rzeczy, które były nielegalne. Na przykład wiem, że zgodnie z prawem białoruskim nie mieli prawa mnie zatrzymać na 24 godziny, ponieważ mam dwoje małoletnich dzieci – w tamtym czasie miały cztery i sześć lat. To jednak im w niczym nie przeszkodziło.

Rozumiem, że doszło już do aresztowania i umieszczenia w areszcie?

Zabrano nas wtedy na Akreścina², do słynnego aresztu w Mińsku. W tamtym czasie nie wiedziałam jeszcze, że istnieje podział na CIP (areszt administracyjny) i AUS (areszt śledczy). Kiedy podjechaliśmy na Akreścina, najpierw zawieziono nas do CIP-u. Problem polegał jednak na tym, że funkcjonariusze tego budynku nie otworzyli drzwi własnym kolegom. Wtedy przewieziono nas do AUS-u. Być może to mnie w pewnym sensie uratowało, bo w CIP-ie w tamtym czasie było strasznie. Wtedy ludzi już bito, i to bardzo brutalnie. Jak się okazało w AUS-ie także. Gdy trafiliśmy do AUS-u, zaprowadzono nas do „szklanek”, czyli małych, ciasnych pomieszczeń. Mniej więcej metr na metr. Bez okien, bez niczego, goły beton. Przez jakiś czas staliśmy właśnie tam. Potem wyprowadzono nas na korytarz i tam było widać ślady krwi na ścianach, narożnikach, wszędzie. To były naprawdę straszne rzeczy.

Chodziło o wzbudzenie przerażenia?

Tak. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że zaraz będą nas bić. Funkcjonariusze byli bardzo agresywni. Chodzili w maskach, z pałkami, krzyczeli na nas, że jesteśmy „sektą”, że pierzemy ludziom mózgi, że „zaraz was nauczymy rozumu”. Wtedy po raz pierwszy taka myśl przemknęła mi przez głowę, że będą nas bić. Ale w tamtym momencie nas nie ruszyli.

² Akreścina (Okrestina) – biał. Цэнтр ізаляцыі правапарушальнікаў / рос. Центр изоляции правонарушителей – główny areszt milicyjny w Mińsku.

Byliście jeszcze razem: kobiety i mężczyźni?

Tak, byliśmy razem. Rozdzielono nas dopiero później, gdy zaczęto nas rozprawdzać po celach. Chłopaków zaprowadzono na drugie piętro, tam ich rozdzielili, a mnie zaprowadzono na czwarte piętro. Później mi powiedziano, że na czwarte piętro trafiają już ci, u których będzie sprawa karna. Dostałam też tak zwaną „pomoc humanitarną”: paczkę z papierem toaletowym, szczoteczka i pastą do zębów. Wydawało mi się to wszystko takie... zwyczajne. I myślałam sobie: „no dobrze, odsiedzę dobrą, będzie sąd i wrócę do domu”. Wszystkie swoje rzeczy zostawiłam dziewczynom.

Tak jednak nie było...

Mieli mnie sądzić następnego dnia, ale ten sąd odwołano. Ostatecznie postępowanie administracyjne odbyło się dzień później. To był poniedziałek, 8 września 2020 roku. Sam sąd administracyjny przebiegł jak we wszystkich przypadkach, dosłownie pięć sekund: pytanie, czy przyznaję się do winy, uderzenie młotkiem i koniec. Dostałam wtedy 40 stawek bazowych grzywny. Kiedy wyszłam z sali sądowej na korytarz, kazano mi czekać. I wtedy zadzwonił telefon. Słyszałam już, że po mnie idą, bo nie oddano mi moich rzeczy. Wiedziałam, że ktoś zaraz wejdzie. I rzeczywiście: przyszło trzech mężczyzn w cywilnych ubraniach, nie przedstawili się, powiedzieli tylko, że muszę z nimi pojechać do Komitetu Śledczego (SK). Zabrali mnie do siedziby SK w Mińsku, na ulicę Waładarskiego³. I tam zaczęło się już coś w rodzaju absurdu. Sam śledczy, który miał się mną zajmować, wyglądał tak, jakby w ogóle się mnie nie spodziewał. Był wyraźnie zaskoczony, że mnie przywieźli. Biegał w pośpiechu, nerwowo wypełniał dokumenty i nie mógł się zdecydować, jaki artykuł mi wpisać. Najpierw napisał jeden, potem wyrzucił kartkę, poszedł, wydrukował kolejną... Wszystko odbywało się w takim chaosie, jakby sami nie wiedzieli, co ze mną zrobić. W skrócie: trzeba było mnie za coś przetrzymać chociaż trzy doby. A w Republice Białorusi obowiązuje zasada, że na podstawie samego „podejrzenia” organów można człowieka zatrzymać na 72 godziny.

Tak po prostu?

Tak. Tak po prostu. I właśnie tak to zostało rozegrane. Wtedy wezwano mi adwokatkę. Z urzędu. I paradoksalnie jestem jej wdzięczna, bo udało

³ SIZO №1 – główny areszt śledczy w Mińsku – od nazwy ulicy potocznie nazywany Waładarką.

jej się choć w minimalnym stopniu przekazać moim rodzicom informacje: że bardzo martwię się o dzieci, że płaczę, że jestem w złym stanie psychicznym. Śledczy widział, że nie idę na współpracę, że nie odpowiadam na pytania. I wtedy zaczął poruszać temat dzieci. Mówił, że dzieci trafią do domu dziecka, że jestem wrogiem narodu, że moje dzieci też są wrogami narodu. Groził, że zrobią wszystko, aby moje dzieci „poczuły, co to znaczy być wrogiem narodu”. Opowiadał, jak potem zostaną adoptowane przez obcych ludzi, a mnie nikt nie poinformuje, do kogo trafią. Jak będą nad nimi znęcać się inne dzieci, czym będą je karmić, że będzie gorzej niż z psami. Siedziałam i tego wszystkiego słuchałam. Był jeszcze jeden szczególnie szokujący moment: mówił, że w domach dziecka praktykuje się bicie dzieci po rękach pałką, jeśli są nieposłuszne. I że to wszystko czeka również moje dzieci. To są rzeczy, które każdą matkę mogą złamać.

Nie udało mu się?

W tamtym momencie byłam niesamowicie pewna moich rodziców. Wiedziałam, że nie pozwolą skrzywdzić dzieci. Poza tym już wcześniej wiedzieliśmy, do czego zdolne są służby. Podczas kampanii wyborczej mieliśmy z nimi do czynienia, wiedzieliśmy, jak na przykład zatrzymali nasze listy podpisów z poparciem dla Cichanouskiej razem z samochodami. Dlatego nie zgodziłam się na nagranie wideo, choć mi to proponowano. Mówili: podpiszcie umowę przedprocesową, opowiedzcie wszystko, co wiecie, a nawet trochę podkoloryzujcie, żeby kogoś obciążyć. Przecież Cichanouski, mąż Swiatłany, już siedzi, a Cichanouska jest za granicą. Dla mnie to było dzikie i obrzydliwe. Bo nawet jeśli ktoś się na to zgodzi, to jak potem z tym żyć?

Mówili, że Swiatłana Cichanouska was zostawiła, sprzedała?

Tak, dokładnie tak. Co więcej, uprzedzając trochę wydarzenia: kazano mi napisać podanie o ułaskawienie. Zmuszono mnie do tego, chociaż i tak nie miałam wyjść na wolność. I kazano mi wpisać zdanie, że Swiatłana Cichanouska uważa naród Republiki Białorusi za „mięso”. Dla nich było kluczowe, żeby członek jej zespołu użył takich słów. Skoro członek zespołu tak twierdzi, znaczy, że to prawda. A przecież w rzeczywistości Swiata jest niezwykle empatycznym, dobrym człowiekiem, który naprawdę przejmuje się losem narodu białoruskiego, wielu prezydentom bardzo daleko do takiej postawy.

Co było później, po tych nieudanych próbach namówienia pani do zdrady własnego środowiska?

Sprawa karna, 11 miesięcy w areszcie na Waładarskiego, potem dwa miesiące w Homlu, a następnie kolonia karna K-4 w Homlu. I ciekawa rzecz: kiedy już znasz ten system od środka, zauważasz różnice między jego elementami. Kiedy przewieziono nas z Waładarskiego do homelskiego aresztu śledczego, strażnicy ciągle krzyczeli: „Tutaj to nie Waładarskiego!”. I wtedy zrozumieliśmy, że między poszczególnymi aresztami panuje rywalizacja i nieufność. To dokładnie tak samo jak w strukturach KGB czy MSW – kto robi „grubsze” śledztwo, kto weźmie „mocniejszą” sprawę. Tam też trwa ciągle współzawodnictwo. To samo dzieje się w koloniach karnych. Tam też wszyscy na siebie donoszą. Tak wygląda system: jest w gruncie rzeczy wszędzie taki sam, tylko gdzieś działa ostrzej, a gdzieś trochę łagodniej.

Jakie były warunki na Waładarskiego?

Szczerze mówiąc, gdy tam trafiłam, obowiązywały dość absurdalne zasady. Nie wolno nam było siedzieć na górnym poziomie piętrowego łóżka, można było tylko na dolnym albo na ławce, nie wolno było spać w ciągu dnia. Z czasem zaczęło przyjeżdżać coraz więcej więźniów politycznych, potem pojawili się także zwykli przestępcy i reżim na Waładarskiego po prostu się załamał. Wtedy strażnicy mówili już wprost: „Słuchajcie, będzie kontrola, nie przesadzajcie, włączcie telewizor i połóżcie się, udawajcie, że oglądacie”. Tak to wyglądało. Wielu funkcjonariuszy, którzy tam wtedy pracowali, dziś już tam nie pracuje – jedni poszli do innych wydziałów, inni całkowicie zmienili branżę. Nie mogę powiedzieć nic jednoznacznie złego o Waładarskiego.

FUNKCJONARIUSZE BYLI BARDZO AGRESYWNI. CHODZILI W MASKACH,
Z PAŁKAMI, KRZYCZELI, ŻE JESTEŚMY „SEKTA”, ŻE PIERZEMY LUDZIOM
MÓZGI, ŻE NAUCZA NAS ROZUMU.

Oczywiście były pewne momenty, na przykład jeden z funkcjonariuszy operacyjnych próbował mnie namówić na spotkanie z „bardzo ważnymi ludźmi”, bo nie bardzo wiedzieli, kim jestem. W dokumentach nigdzie nie figurowałam, ale mieli jakieś informacje, że byłam w sztabie, że uczestniczyłam w kampanii wyborczej. Ja jednak konsekwentnie

powtarzałam: „Tak, byłam wolontariuszką”. O tym, że miałam bliski kontakt ze Swiatłaną Cichanouską, oni nie wiedzieli – i ja to zdecydowanie negowałam. Nie mogli mnie zaszufładować, nie wiedzieli, kim jestem i jaką rolę odgrywałam. Pamiętam, że mój adwokat ciągle mówił: „Tonia, ty jesteś szarą eminencją”.

Później próbowali jeszcze innego manewru: zaproponowali mi widzenie z mężem, który w tamtym czasie też był już zatrzymany. Mówili, że to on był inicjatorem i że możemy się spotkać. Odpowiedziałam: „Skoro on był inicjatorem, to niech sam ze sobą się spotyka”. Powiedziałam wprost: „Ja nic nie wiem, nic mu nie mam do powiedzenia. Jestem zwykłą wolontariuszką”. I wtedy dali mi spokój, bez gróźb, bez dalszej presji. Jeśli chodzi o areszt śledczy, to oczywiście jest ciężko. Trudno jest przebywać w czterech ścianach, trudno znosić rygor – pobudka o szóstej, cisza nocna o dziesiątej. Trudno żyć od listu do listu, od paczki do paczki. Pamiętam, że cieszyliśmy się z każdej paczki, którą ktoś przynosił. I nie chodziło nawet o jedzenie. Chodziło o to, że jeśli ktoś przyniósł paczkę, to znaczyło, że z tą osobą wszystko w porządku. Najważniejsze było zobaczyć nazwisko na dokumencie. To była wiadomość: „żyję, jestem, wszystko jest w miarę okej”. Każdy miał swoje znaki, swój kod. Ktoś rysował uśmiechnięte buźki, ktoś przekazywał drobne sygnały. Marfa Rabkowa i jej mąż w ten sposób prowadzili swoją korespondencję. Przez symbole, przez drobne znaki rozpoznawcze. On wysyłał jej rysunek buźki – jeśli narysował smutną minę, to znaczyło, że jest źle. Jeśli gdzieś był narysowany wesoły uśmiech, to znaczyło, że wszystko w porządku. Najczęściej rysował je na opakowaniach po piernikach albo na drobnych kartkach.

Ile osób znajdowało się w jednej celi? Były przeludnione?

Nie, na Waładarskiego nie było tak jak w Żodzinie. To właśnie w Żodzinie cele były zawsze przepełnione i mam wrażenie, że była to forma dodatkowej kary. U nas krążyły plotki, że z powodu ogromnej liczby więźniów politycznych mogą zacząć „upychać” więcej osób w celach, ale w praktyce tak się nie stało. Mieliśmy celę na osiem osób. Gdy trafiłam tam w 2020 roku, byłam jedyną polityczną. Pamiętam, że bardzo się bałam wejścia do tej celi, bo wcześniej naoglądałam się rosyjskich filmów i seriali więziennych. Wydawało mi się, że trafię na jakąś „twardą” kobietę, która będzie bić albo zmuszać do czegoś. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Większość dziewczyn siedziała z artykułu 328, czyli za posiadanie narkotyków. Nie mogę

powiedzieć, że przyjęły mnie od razu ciepło. Mogę jednak zrozumieć ich zachowanie. Gdy siedzisz półtora roku i masz dostęp tylko do państwowej telewizji, to bardzo trudno jest zachować zdrowy osąd sytuacji.

One też były pod wpływem propagandy?

Pierwsze, co od nich usłyszałam, to: „przez was nie mamy rozpraw sądowych”. One czekały bardzo długo na swoje procesy, a wszystkie sądy były zajęte nami, politycznymi. To był właściwie jedyny zarzut, jaki wtedy padł. Nie było jednak jakiejś otwartej, agresywnej nienawiści. Potrzebowałam mniej więcej półtora miesiąca, żeby je przekonać, pokazać im, że nie robimy nic złego i że to, co się naprawdę dzieje w Białorusi, wygląda zupełnie inaczej niż w telewizji. Tłumaczyłam im, że matki osób oskarżanych z artykułu 328, które bardzo walczą o swoje dzieci, w rzeczywistości walczą też wspólnie razem z nami z władzą. Że to jest walka nie tylko o więźniów politycznych, lecz także o nie. I kiedy później wyjeżdżały już do kolonii, zegnały się ze mną ze słowami „dziękuję”. Mówiłam im wtedy: „Teraz już potraficie czytać wiadomości między wierszami i rozumiecie, jaka jest atmosfera. Nie wiercie w to wszystko dosłownie – tak, jak mówią, nigdy nie będzie”.

A czy ze strony funkcjonariuszy była jakaś przemoc, złe traktowanie?

Nie. Ani na Waładarskiego, ani w Homlu niczego takiego nie doświadczyłam. W Homlu zdarzało się bardziej szorstkie, surowe podejście, bo tamtejsi funkcjonariusze uważali, że Waładarskiego to „sanatorium”, a u nich jest „prawdziwy reżim”, więc próbowali go wszelkimi sposobami zaostrzać. Ale nie było przemocy. Strażnicy raczej próbowali jakoś współpracować, dogadywać się, oczywiście w granicach tego, na co system im pozwalał. Trzeba jednak rozumieć, że opieka medyczna praktycznie nie istnieje. Nie z ich winy, tylko dlatego, że system jest źle zbudowany. Felczerzy robili wszystko, co było w ich mocy. Wiem, że jeden z felczerów na Waładarskiego popełnił samobójstwo. Był naprawdę dobrym człowiekiem, bardzo się starał pomagać, szukał zamienników leków, nawet wtedy, gdy ich formalnie nie było. Jeśli traktowało się ludzi po ludzku, oni również traktowali innych po ludzku. Jeśli – nazwijmy to wprost – ktoś „pyskował”, czyli przekraczał pewną granicę, próbował się kłócić z funkcjonariuszami, to wtedy tak – oni odpowiadali agresją.

Co było po areszcie na Waładarskiego?

Zawieźli mnie do Homla. Mnie przewieźli najpierw do homelskiego SIZO, czyli aresztu śledczego. Stało się to dwa dni przed rozpatrzeniem mojej apelacji. Sądził mnie Miński Sąd Miejski, więc jedyną instancją, która mi pozostała, był Sąd Najwyższy. I właśnie przed samym posiedzeniem mnie tam wysłali.

Dlaczego tak zrobili?

W tamtym czasie nie robiono tego bez powodu. Jeśli przewożą cię dwa dni przed rozprawą, to już wiesz, że nic się nie zmieni i że Sąd Najwyższy cię nie uniewinni. W Białorusi wymiar sprawiedliwości nie działa tak jak w Polsce, gdzie, jeśli sąd się myli, sprawa może zostać cofnięta do ponownego rozpatrzenia. U nas takiego mechanizmu nie ma. Instancja wyższa nigdy nie przyzna, że instancja niższa popełniła błąd. Nigdy. Albo zapadnie taka sama decyzja, albo wyrok będzie jeszcze surowszy. Bywały przypadki, że Sąd Najwyższy czy sądy obwodowe dokładały kolejne lata. To się zdarza i jest praktykowane.

Jaki ostatecznie zapadł wyrok w pani sprawie?

Pięć i pół roku. Wyrok dostałam m.in. za rzekomy związek z kanałem telegramowym „Armia z narodem”. Mój mąż był administratorem tego kanału i uznano, że żona „na pewno wiedziała”. Do tego doszły zeznania innych osób, składane pod presją, oraz narracja, że występowałam pod nickiem „córka pułku”. To rzeczywiście był jeden z elementów tej farsy. Na tej podstawie oraz na „dowodach”, że do kanału został wprowadzony funkcjonariusz KGB, zbudowano całą bazę dowodową mojego oskarżenia. Choć nie miałam z tym kanałem absolutnie nic wspólnego. W żadnym z moich telefonów nie znaleziono tego kanału. Mój nowy adwokat, zorganizowany przez środowisko obrońców praw człowieka, przygotował bezbłędną linię obrony – wykazał, że ten nick do dziś istnieje, że ktoś nadal pisze w jego imieniu. To nic nie dało. Powiedziano po prostu, że wszystko można podmienić, wszystko można sfabrykować.

Dodatkowa, osobna sprawa została sklecona z oskarżeń o udział w legalnych pikietach kampanii wyborczej, z dokumentów różnych administracji miejskich, z legalnych ulotek, a nawet dołączono identyfikator ze sztabu Swiatłany Cichanouskiej.

Pięć i pół roku... to bardzo dużo.

Tak. W 2021 roku był to jeden z najwyższych wyroków dla kobiet. Z sali sądowej pamiętam przede wszystkim poczucie niesprawiedliwości i niezrozumienia. Kiedy prokurator ogłosił swój wniosek, już wiedziałam, że dostanę właśnie tyle, byleby sędzia nie dał więcej. Walka toczyła się już tylko o to. Na etapie zapoznawania się z aktami brakowało funkcjonariuszy, więc przysyłano młodych pracowników z obwodu brzeskiego czy mohylewskiego, żeby po prostu siedzieli i pilnowali, jak czytamy materiały.

ZOBACZYŁAM NA WŁASNE OCZY, JAK LUDZIE MOGĄ TRACIĆ PRZYTMOŚĆ
Z BRAKU TLENU. TO BYŁO NAPRAWDĘ STRASZNE. KIEDY KTOŚ
ZACZYNAŁ TRACIĆ PRZYTMOŚĆ, PROSILIŚMY, ŻEBY OTWORZYLI DRZWI,
ALE NIKT ICH NIE OTWORZYŁ.

Wszyscy mi mówili: „Dostaniesz trzy lata, może nawet wyjdiesz do domu, bo masz małe dziecko”. A ja dostałam pięć i pół roku i jeszcze w uzasadnieniu napisano, że okolicznością łagodzącą jest małe dziecko. Tak... to było dziwne i bardzo ciężkie doświadczenie, bo człowiek nie rozumie, za co właściwie go skazano. Pamiętam, że podczas ostatniego słowa zwróciłam się do swojego adwokata i powiedziałam mu, że nie jestem w stanie nic powiedzieć. Po prostu nie mogłam. Łzy same leciały, a jednocześnie rozumiałam, że muszę jakoś zareagować – bo czekali na to moi rodzice, przyjaciele, bo to miały być moje ostatnie słowa. Więc przez łzy jednak je wypowiedziałam. A kiedy już jechałam z powrotem na Waładarskiego, wiedziałam jedno: nie wolno mi już płakać, nie mogę pokazywać słabości. Musiałam się uspokoić. Trzeba oddać funkcjonariuszom jedno: wobec osób, które już mają wyrok, zwykle nie stosują przemocy. Kiedy mnie przywieźli i próbowali przetrzymać ponad godzinę, zaczęłam się awanturować. I to ostro. Najpierw trafia się do „odstojnika” – takiego miejsca przejściowego w areszcie, a dopiero potem prowadzą do właściwej celi. Kiedy po ogłoszeniu wyroku położyłam się na pryczy i otworzyło się to małe okienko w drzwiach – „karmuszka” – powiedziałam tylko: „Mam wyrok”. Usłyszałam: „Dobra, dobra”. Pamiętam, że wieczorem komunikowaliśmy się przez wewnętrzny system porozumiewania się przez okna. Nad moją celą siedział Uładzimir Cyhanowicz – znany bloger, był tam też mój przyjaciel i jeszcze jeden chłopak z Brześcia, któremu wcześniej dali 10 lat za „masowe zamieszki”. On siedział z art. 293 i dodatkowo z art.

139 – oskarżono go o zabójstwo kolegi, choć na nagraniach widać, że to funkcjonariusz zastrzelił jego przyjaciela⁴.

Władzimir zapytał mnie wtedy, ile dostałam. Gdy powiedziałam, odpowiedział: „Nie bój się, damy radę. Nie będziemy tu siedzieć tak długo”.

A potem był dalej areszt w Mińsku i dalej?

Tak. Po tym, jak mija określony czas po apelacji, to bywa od półtora do trzech miesięcy, następuje etapowanie (transport) do kolonii karnej. Mnie przewieźli do kobiecej kolonii karnej nr 4 w Homlu. W Białorusi są tylko dwie kolonie dla kobiet. Jedna – dla skazanych pierwszy raz, słynna „Antoszkina” w Homlu, a druga znajduje się w Ręczycy, dla recydywistek, tam już reżim jest dużo cięższy. Tak naprawdę nie było żadnego wyboru, dokąd mnie wyślą. Jasne było, że nie trafię do Ręczycy, bo to był pierwszy wyrok, więc jedyną opcją był Homel. Sam transport był bardzo ciężki, bo jechaliśmy latem – to był chyba 26 lipca 2021 roku.

Jak wygląda taki „etap”, czyli transport więźnia?

Najpierw etap do homelskiego SIZO. Transport odbywał się tzw. wagonem stołypinowskim, który oficjalnie nazywa się „Poczta” i z zewnątrz wygląda jak wagon pocztowy. Co ciekawe, ta nazwa funkcjonuje od 1937 roku, bo oznaczenie go jako „Poczta” wymyślono w czasach stalinowskich. O samych wagonach stołypinowskich oczywiście wiedziałam, ale nie wiedziałam, że właśnie tak są oznaczane. Teraz już każdy Białorusin, który jeździ koleją, wie: jeśli na końcu składu jest wagon z napisem „Poczta”, to znaczy, że przewożą więźniów. To bardzo specyficzny wagon. Z zewnątrz wygląda jak zwykły wagon z przedziałami, ale w środku zamiast drzwi są kraty, a zamiast konduktora – konwojent. W tym wagonie wolno było palić, ale najbardziej absurdalne było to, że wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Nie było czym oddychać, a do tego jeszcze dym papierosowy. Sama palę, ale wtedy nie paliłam w ogóle, bo było to po prostu niemożliwe. Teoretycznie w wagonie był wrzątek, ale nam go nie dawali. Tak samo nie pozwalano korzystać z toalety. W jednym przedziale, przeznaczonym dla czterech osób, jechało 18 ludzi, plus bagaże. A bagaże to były prawdziwe toboły – po 15, 20, nawet 30 kilogramów. Polityczni jechali, mówiąc wprost,

⁴ Hienadz Szutau został postrzelony w głowę 11 sierpnia podczas protestów w Brześciu. Zmarł w Mińsku 19 sierpnia 2020 roku. Miał 43 lata.

mocno „zaopatrzeni”. Ja sama miałam cztery takie torby, ktoś inny też cztery, ktoś dwie.

Ze mną jechały już wtedy dwie dziewczyny, więźniarki polityczne z Brześcia, które też zostały już skazane. Nie dało się spać. Jeśli ktoś miał szczęście i mógł usiąść w miarę normalnie, to jeszcze pół biedy. Ja natomiast stałam praktycznie na jednej nodze – tylko tyle miejsca było. Wyjechaliśmy z Waładarki chyba w 12 osób, ale ten wagon zatrzymuje się w każdym mieście na terenie Białorusi. Dlatego nazywa się go „koleją stołypinowską dookoła świata” – objeżdża cały kraj, zbierając kolejnych ludzi. Kiedy się zatrzymywał, dosadzali kolejnych. Pamiętam, że kiedy zatrzymaliśmy się w Mohylewie, pomyśleliśmy: „Boże, tylko niech już nikogo nie dołożą”. Ale oczywiście dołożyli. Po prostu otwierają kratę i wpychają ludzi do środka. Nie ma znaczenia, czy na kogoś wpadniesz, czy masz gdzie usiąść. To nikogo nie obchodzi.

Czy podróż trwa długo?

Kilkanaście godzin, dobę, czasem dłużej. Pociąg niemiłosiernie się wlecze. Niektórzy mężczyźni jechali w kajdankach. I muszę powiedzieć jedno: funkcjonariusze z mężczyznami obchodzą się znacznie brutalniej. Kobiet tak nie traktują. Nam, co prawda, nikt nie pomagał z tymi torbami po wysiadce na peronie. Każda niosła swoje bagaże sama. Ręce z tyłu, do tego ciężkie bagaże, więc to i tak było bardzo trudne. Mężczyzn prowadzono znacznie gorzej: z psami, w kuckach, z rękami skutymi kajdankami z tyłu, a jednocześnie kazano im nieść torby. Do dziś nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni dawali radę. Oczywiście pomagali sobie nawzajem, jakoś się przepychali, przenosili, ale i tak to było potwornie ciężkie. Do tego twarzą w dół, w pozycji absolutnego upokorzenia – stan, którego nie da się opisać słowami.

Kiedy z Homla wieziono nas już bezpośrednio do kolonii, trafiliśmy akurat na porę obiadową, to był 21 sierpnia 2021 roku. Wtedy wieźli nas więźniarką: 14 osób upchnięto do małego przedziału, który normalnie mieści maksymalnie pięć osób, a dwie kolejne wrzucono do jeszcze mniejszego, osobnego pomieszczenia. I to był moment, kiedy po raz pierwszy naprawdę się przeraziłam, bo zobaczyłam na własne oczy, jak ludzie mogą tracić przytomność z braku tlenu. To było naprawdę straszne. Kiedy ktoś zaczynał tracić przytomność, prosiliśmy, żeby otworzyli drzwi, ale nikt ich nie otworzył. Samochód był metalowy, stał na słońcu, nagrzewał się jak

piekarnik, a my przez 40 minut, kiedy administracja kolonii jadła obiad, byliśmy dosłownie w piekle. Bałam się wtedy, że jedna z dziewczyn po prostu umrze. Próbowaliśmy ją ocucić wodą, robiliśmy wszystko, co się dało.

WIEDZIAŁAM JEDNO: NIE WOLNO MI JUŻ PŁAKAĆ, NIE MOGĘ POKAZYWAĆ SŁABOŚCI. MUSIAŁAM SIĘ USPOKOJEĆ.

Potem dopiero nas wyprowadzono. Wychodzisz z torbami, podajesz swoje dane, kim jesteś, z jakiego artykułu i prowadzą cię już na teren kolonii, na punkt kontrolny, gdzie przebierają cię w ich ubrania. Do dziś pamiętam to różowe „sukienkopodobne coś” w listki. Zdejmują twoje ubrania i dają ci tę szmatę. To nawet nie jest sukienka, to po prostu worek z materiału. W jednej chwili zabija się w tobie wszystko, co kobiece. Masz rozmiar 46? Mogą ci dać 64 i masz nosić, nie ma dyskusji.

Czy była jakaś oznaka, jak u mężczyzn, np. żółta plakietka dla politycznych?

Tak. Wszyscy polityczni mają żółtą plakietkę, tzw. żółtą birkę. Ale nie tylko polityczni, są też inne formy tzw. profilaktycznego nadzoru. Czerwona jest np. za skłonność do ucieczki. Żółta to „skłonność do ekstremistycznej i destrukcyjnej działalności”. Taki sam kolor mają też osoby z tendencjami samobójczymi. Gdy przyjechałam, polityczne byliśmy tylko dwie. Ja i jeszcze jedna dziewczyna. Kiedy mnie wypuszczano, w każdym oddziale było już po 14-16 więźniarek politycznych. A to był rok 2024 - trzeba pamiętać, że wiele osób już wtedy wyszło, bo miały krótsze wyroki. Mimo to politycznych wciąż przybywało.

A ile osób było w jednym oddziale?

Średnio od 70 do 100 kobiet. Jedna wielka masa ludzi.

Jakie były warunki? Była praca?

Oczywiście. Praca była obowiązkowa. Jeśli odmawiasz pracy, od razu trafiasz do karceru. Bez żadnej komisji, bez rozmów. Warunki zależały od stanu budynku. Jeśli był w miarę nowy, to było w miarę znośne... Jeśli budynek był stary, warunki oczywiście były znacznie gorsze. To były już oddziały z naprawdę trudnymi warunkami. „Specyfiką” tych oddziałów było to, że często wysyłano tam ludzi za karę, bo panowało tam potworne

zimno. Był to trzypiętrowy, ceglany budynek, dość duży. Jeśli na przykład 7. oddział znajdował się mniej więcej w środku budynku, to dało się jeszcze jakoś funkcjonować. Ale 13. oddział, który był pod samym dachem, miał już znacznie gorzej. Ciągnęło tam zimnem z każdej strony, było lodowato.

PAMIĘTAM MOMENT, GDY DOWIEDZIAŁAM SIĘ, ŻE ZOSTAŁAM WPISANA NA LISTĘ TERRORYSTÓW. PŁAKAŁAM. PO PROSTU WYOBRAZIŁAM SOBIE, ŻE STAWIAJĄ MNIE W JEDNYM RZĘDZIE Z LUDŹMI, KTÓRZY DOKONYWALI OKRUTNYCH ZAMACHÓW.

Mój rejon nazywałyśmy „Bombaj”, bo były tam trzy oddziały i łącznie przebywało tam około czterystu osób, czasem nawet więcej. Jeśli chodzi o baraki, w których przebywała Maryja Kalesnikawa albo Marfa Rabkowa, to tam zamiast normalnych toalet z muszlami, do których jesteśmy przyzwyczajeni, były tak zwane toalety-dziury. Nie było zwykłego prysznicza. Była tylko łaźnia raz w tygodniu. A jeśli chciałaś się podmyć albo umyć, to albo zwykła butelka, albo mycie się „po kawałku”. Głowę myło się w umywalce – tak to wyglądało. U nas w oddziale na przykład był prysznic, i to nie jeden, tylko dwa, ale korzystanie z nich było zabronione. Zgodnie z regulaminem: łaźnia raz w tygodniu, a drugi dzień w tygodniu przeznaczony był wyłącznie na mycie głowy. Jeśli chciałaś się podmyć – w toalecie były małe słuchawki prysznicowe. Jeśli chciałaś umyć górną część ciała – umywalka. Ale pod prysznic nie było wolno wejść. Oczywiście istniała opcja „na własne ryzyko”: można było pójść pod prysznic, z którego zwykle osadzone korzystały bez problemu. Ale jeśli byłaś polityczną i ktoś chciał cię „sprzedać”, to zrobił to bez wahania i wtedy natrysk bardzo szybko przestawał się kojarzyć z ulgą, a zaczynał raczej z karą, po której nie chciało się już tam wracać.

Czy były takie przypadki?

Tak, były. Zdarzało się, że dziewczyny trafiały na komisję dyscyplinarną tylko za umycie głowy w „niewłaściwy dzień”. Odbierano im paczki, widzenia, przywileje – wszystko.

A pani była w SZIZO, czyli w karcercze?

Nie, mnie to ominęło. Nigdy tam nie trafiłam, ale słyszałam bardzo dużo na ten temat. Znałam różne „patenty”, które dziewczyny stosowały, żeby

nie zamarnąć albo jakoś przetrwać. Do karceru wysyłano nie tylko te, które odmawiały pracy. Trafiało się tam także za czerwoną pomadkę, bo uznawano ją za symbol solidarności z Maryją Kalesnikawą. W pewnym momencie przestano też wozić polityczne do sklepiku kolonijnego. Można było trafić do SZIZO również dlatego, że „przyszedł sygnał z organów” – z KGB albo z GUBOPiK-u⁵.

Jeśli nie przyznawałaś się do winy, myślałaś inaczej niż oni i mówiłaś to głośno – to wystarczało. Powód mógł być absolutnie dowolny. Na przykład jedna z osadzonych została wysłana do karceru za rozpięty guzik. Uznano to za „niechlujny wygląd”. W rzeczywistości po prostu otwarcie wyrażała swoje zdanie, nie zgadzała się z administracją i odmawiała „współpracy” – i za to ją ukarano.

Jakie były warunki w SZIZO, z tego co opowiadały inne osadzone?

Mówiono, że było strasznie zimno, szczególnie zimą i jesienią, a wiosną dodatkowo dochodziła wilgoć. W 2024 roku „z łaski” zamontowano tam małe okna PCV, rzekomo, żeby ocieplić pomieszczenia. Wiele dziewczyn opowiadało, że dostawały ubrania, ale były to inne modele niż w kolonii. Jednej kobiecie dano ubranie o kilka rozmiarów za małe. Kiedy przysła kontrola, a w izolatce zgodnie z procedurą na kontrolę przychodzą naczelnik kolonii i jego zastępca, ta kobieta stała przed nimi naga. I jeszcze próbowano jej dopisać kolejne przewinienie, że „nie siedzi zgodnie z regulaminem”. Ona mówi: „Jakim cudem mam to na siebie założyć? Ja mam rozmiar 60, a wy daliście mi ubranie w rozmiarze 42. Jak ja mam to w ogóle naciągnąć?”

I dopiero wtedy kontrolerzy dostali po głowie, że do tego dopuścili. Ale mimo to musiała spędzić całą dobę w zimnie, naga, próbując jakoś przetrwać. Dziewczyny opowiadały sobie różne „patenty na przeżycie”. Na przykład, że koniecznie trzeba mieć ze sobą papier toaletowy i owijać się nim pod ubraniem. Tak, to trochę pomaga, ale i tak w nocy budzisz się z zimna, czujesz, że ciało się rozpada.

⁵ GUBOPiK to skrót od rosyjskiej nazwy *Главное управление по борьбе с организованной преступностью и коррупцией* – po białorusku *Галоўнае ўпраўленне па барацьбе з арганізаванай злачынасцю і карупцыяй* (GUBAZiK). Główny Zarząd Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji – służba specjalna w ramach MSW, faktycznie: policja polityczna reżimu.

A relacje z innymi osadzonymi, tymi „kryminalnymi”, według zwykłych więziennych zasad – jakie były?

Jeśli chodzi o mnie, miałam bardzo dobre relacje ze wszystkimi. Nie wiem, dlaczego, ale przez cały okres odsiadki ludzie do mnie lgnęli, zarówno polityczne, jak i zwykłe osadzone.

Usłyszałam od prostytutek i narkomanek mnóstwo niesamowitych historii o samym systemie. Wtedy zaczynasz rozumieć, że ten system od dziesięcioleci działa tak samo: sprawy są sklejane z niczego, byle jak, byle zamknąć człowieka. I to dotyczy nie tylko polityki, ale też spraw gospodarczych, kryminalnych – wszystkiego. Inne dziewczyny skazane z politycznych paragrafów opowiadały, że ktoś je wyzywał od zdrajczyń, które najlepiej byłoby zabić. Osobiście się z tym nie spotkałam ani razu przez cały mój wyrok. Wręcz przeciwnie – słyszałam żartobliwe komentarze w stylu: „To są ci ekstremiści, co nawet dziecku cukierka nie potrafią zabrać?”. Gdy jednak władze zaczęły nas oficjalnie uznawać za terrorystów, to był dla nas kompletny szok. Pamiętam moment, gdy dowiedziałam się, że zostałam wpisana na listę terrorystów. Płakałam. Po prostu wyobraziłam sobie, że stawiają mnie w jednym rzędzie z ludźmi, którzy dokonywali okrutnych zamachów. Wtedy zadajesz sobie tylko jedno pytanie: za co?

Maryję Kalesnikawą, była kandydatkę w wyborach prezydenckich, osadzono w tej samej kolonii karnej. Miałyście jakiś kontakt?

Maryja Kalesnikawa przez pewien okres była bardzo izolowana, ale my z góry wiedziałyśmy, do którego oddziału trafi, ponieważ krótko przed jej przyjazdem wszystkich więźniów politycznych z 18. oddziału zaczęto przenosić do innych oddziałów. W tamtym oddziale nie zostawili ani jednej politycznej. Dlatego od razu było jasne, że Maryja trafi właśnie tam i że będzie tam do końca wyroku. Jedynym wyjątkiem było to, że na około 20 miesięcy trafiła do PKT. Nawet wtedy, gdy była w PKT, i tak miałyśmy informacje, bo oprócz więźniarek politycznych były tam także zwykłe osadzone, które trafiały do izolatki, i one przekazywały wiadomości dalej. Informacja krążyła. Nasze sektory były naprzeciwko siebie, więc mogłyśmy się uśmiechnąć, ale nie wolno nam było rozmawiać ani się kontaktować. Z Maryją Kalesnikawą rozmowy były zakazane. Mogły z nią rozmawiać tylko zwykłe osadzone, ale my nie. Z tego, co wiem, w ostatnim roku, tuż przed jej obecnym zwolnieniem, zaczęto wprowadzać pewne

„ulgi”, prawdopodobnie po to, żeby wyszła i powiedziała, że „wszystko było w porządku”.

I faktycznie coś takiego powiedziała, kiedy wyszła na wolność...

Patrząc na tę konferencję prasową Maryi Kalesnikawej, mogę powiedzieć, że wszyscy byli więźniowie polityczni byli w szoku, bo odnosi się wrażenie, jakbyśmy siedzieli w zupełnie różnych koloniach. I myślę, że to, co ona opowiada o odbywaniu kary, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, z tym, jak ją traktowano. Ona powiedziała, że w kolonii siedziała tak samo jak wszyscy inni. Jedyna rzecz, za którą, być może, można „podziękować” kolonii w jej przypadku, to to, że ją uratowali. Bo miała poważne problemy zdrowotne, o których wszyscy wiedzieliśmy, i w porę wywieźli ją do miasta na leczenie. Mogli tego nie zrobić. Mogli pozwolić jej umrzeć. Za to, być może, można powiedzieć „dziękuję”. Ale dziękować za wszystko, mówić, że „prezydent był wspaniałomyślny” – nie. Nie można mówić: „dziękuję za to, że nielegalnie wsadził do więzienia”, albo „dziękuję za to, że potem niby ułaskawił”. To brzmi absurdalnie.

Jak wyglądały relacje z pracownikami kolonii? To były kobiety czy mężczyźni?

Gdy jechałam do kolonii, byłam przekonana, że tam pracują wyłącznie kobiety. Nic bardziej mylnego. Większość personelu to mężczyźni. Kobiety to głównie wychowawczynie, naczelniczki oddziałów.

Operacyjni – zawsze mężczyźni. W fabryce, gdzie pracujesz, również jest ogromna liczba mężczyzn. Czyli nawet w kobiecej kolonii praktycznie cały system kontroli i represji jest w męskich rękach. W ogóle w kolonii jest dużo mężczyzn. Kiedy przyjechałam, zastałam jeszcze jednego z funkcjonariuszy operacyjnych, nazywał się Gasumow. Był znany z wyjątkowego okrucieństwa wobec osadzonych, przede wszystkim z przemocy fizycznej. Dosłownie dwa tygodnie po moim przyjeździe został przeniesiony – awansował i poszedł do Departamentu Wykonania Kar. Dziewczyny, które siedziały już bardzo długo, opowiadały, że wielokrotnie bił osadzone. Był naprawdę brutalny.

Jeśli chodzi o mnie, to nie spotkała mnie przemoc fizyczna, ale ciągle presja psychiczna. Najbardziej zapamiętałam Czarnego i Kuzniecowa. Trzeba rozumieć, że młodzi operacyjni przychodzą najpierw jako kadeci. My ich wszystkich widzimy, szczególnie tych najbardziej zagubionych.

I widzisz: przychodzi mały, chudy chłopak, jeszcze prawie dzieciak, ledwo zaczynają mu rosnać wąsy. A potem, po paru latach, wraca jako ktoś zupełnie inny – twardy, agresywny, bo tak go nauczono. To też jest forma okrucieństwa systemu. W 2022 roku przez jakieś sześć miesięcy miałam względny spokój w kolonii. A potem zaczęła się presja. Zostałam przeniesiona do tzw. oddziału presyjnego. Trafiłam tam, ponieważ nie przyznałam się do winy. W tamtym czasie przyszło z góry jasne polecenie: wszelkimi metodami wymuszać przyznanie się do winy, żeby więźniowie polityczni pisali prośby o ułaskawienie do prezydenta.

Czym dokładnie jest oddział presyjny?

Oddział presyjny, tzw. press chata, to miejsce, w którym „łamie się” człowieka i wymusza przyznanie do winy. To miejsce, gdzie dzieją się rzeczy pozornie „niewinne”, ale psychicznie straszne. W kobiecej kolonii różni się ono jednak od tych w męskich więzieniach.

Na przykład: nikt z tobą nie rozmawia. Jesteś wśród ludzi, ale jesteś całkowicie ignorowana. W oddziale jest 80 osób, a nikt nie odezwie się do ciebie ani słowem. Albo masz ogromną liczbę dyżurów pracy, sprzą-tania itp. Jesteś wykorzystywana wszędzie. Normalnie osadzona ma np. 23 dyżury w miesiącu, a ty masz 53. Jeśli wychowawcy albo operacyjnemu nie spodoba się, jak umyłaś korytarz czy toaletę, to będziesz sprzątała w kółko, aż „będzie dobrze”. Chodzisz na obieranie ziemniaków, na prace inwentaryzacyjne, na wszystkie możliwe roboty. Masz dwa-trzy razy więcej pracy niż inni. I jednocześnie – cisza wokół ciebie. Dodatkowo, w przerwach między tym wszystkim, próbowano mnie regularnie zabierać do sztabu, żeby funkcjonariusz operacyjny prowadził ze mną „rozmowy wychowawcze”. Za każdym razem były to groźby pod adresem moich bliskich.

Potem zaczęli niszczyć moje rzeczy osobiste, które przychodziły do mnie z domu. Trzeba rozumieć, że odzież obozowa jest taka, że bez własnych rzeczy nie da się przeżyć. Buty są praktycznie kartonowe. Watowana kurtka – miałam potem bardzo charakterystyczne doświadczenie już po wyjściu na wolność. W domu miałam beżową puchówkę, prawdziwą, na pierzu. I po kolonii złapałam się na tym, że przy minus trzech stopniach założyłam: ciepły sweter, pod niego koszulkę, a pod dżinsy jeszcze jakieś spodnie. Wychodzę na ulicę i nagle rozumiem, że jest mi za gorąco, że nie da się tak chodzić. A to dlatego, że w kolonii przyzwyczaiłam się

do zakładania na siebie wszystkiego, bo ta niebieska watowana kurtka w ogóle nie grzeje. W środku jest watolina – to taki materiał z odpadów. Tak wygląda ta odzież. Dlatego też, jak ktoś ci niszczy rzeczy przysyłane z wolności, to jest to dramat.

Jak często odbywały się te rozmowy wychowawcze?

Z funkcjonariuszami KGB i GUBOPiK-u zaczęłam mieć kontakt dopiero wtedy, gdy zaczęli przyjeżdżać wymuszać prośby o „ułaskawienia”. Wtedy z nimi rozmawiałam. Przez cały wcześniejszy czas kontaktowałam się wyłącznie z funkcjonariuszami operacyjnymi samej kolonii albo z administracją zakładu. I przyznam, że byłam wtedy naiwna. Zaczęli mi na przykład wlewać wodę do moich zimowych butów przysłanych z domu i zimą musiałam chodzić w mokrych butach. Albo pourywali mi wszystkie naszywki, porozcinali szlufki w kurtce, przez co chodziłam rozpięta. A to wszystko jest naruszeniem regulaminu. Naruszenie to raport. Raport to komisja dyscyplinarna. A komisja to odebranie paczek, odebranie widzeń albo karcer.

„PRESS CHATA” TO MIEJSCE, W KTÓRYM „ŁAMIE SIĘ” CZŁOWIEKA
I WYMUSZA PRZYZNANIE DO WINY. TO MIEJSCE, GDZIE DZIEJA SIĘ
RZECZY POZORNIE „NIEWINNE”, ALE PSYCHICZNIE STRASZNE.

Pamiętam, że poszłam do naczelnika kolonii. Naiwnie wierzyłam, że on nic nie wie i nic nie widzi, że nie ma pojęcia, jaka presja jest na mnie wywierana, że pozwoli mi po prostu odsiedzieć spokojnie wyrok. Mówię mu: „Stoję w mokrych butach”. A on odpowiada: „Nic strasznego, ja też dziś chodziłem po kałużach”. I wtedy zrozumiałam, że on wszystko wie. Że to wszystko dzieje się za jego wiedzą i zgodą. A kiedy zaczęli już wprost wymuszać na mnie przyznanie się do winy, wtedy stało się dla mnie jasne, że to jest na zlecenie GUBOPiK-u i nie mogło być inaczej. Członek sztabu Cichanouskiej wszedł do kolonii bez przyznania się, nie idzie na współpracę – no to trzeba go złamać.

Jak to się skończyło?

Napisałam przyznanie się do winy, ponieważ na szali była moja przyjaciółka i niestety w tamtym momencie nie mogłam postąpić inaczej. Trzeba rozumieć, że kiedy trafiasz do kolonii, oni mają twoje kompletne dossier.

Oni dosłownie wiedzą wszystko: czym oddychałaś, jak żyłaś, z kim się kontaktowałaś, co jadłaś. I tę wiedzę dostarczają zwykli osadzeni, którzy przez cały ten czas przebywają obok ciebie. Dlatego właśnie w więzieniu obowiązują trzy podstawowe zasady: nie wierz, nie bój się, nie proś. I oni już wiedzieli, że mam bardzo dobry kontakt z jedną dziewczyną. Masza Kolejnik była studentką. Poznałyśmy się jeszcze w areszcie i bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Ja ją na wszelkie sposoby chroniałam, bo to było dziecko, 18 lat, i to wszystko było dla niej strasznie ciężkie. My w ogóle byłyśmy w szoku, że wsadzili dzieci, studentów. Do samego końca miałyśmy nadzieję, że ich wypuszczą i że nie trafią do kolonii. I wtedy mi powiedzieli: „Jeśli nie podpiszesz, to jej dołożą wyrok, dołożą słynny artykuł 411. Jak możesz na to pozwolić?”. Czyli zaczęli naciskać dokładnie na to, co najbardziej bolało.

ZAMIENIAJĄ CIĘ W WARZYWO. BEZ WŁASNEGO ZDANIA, BEZ SIŁY,
BEZ GODNOŚCI. STAJESZ SIĘ JAK PIEŚ, KTÓRY WYKONUJE POLECENIA
I PO PROSTU EGZYSTUJE.

Do dziś pamiętam ten dzień, kiedy siedziałam w gabinecie naczelniczki. Ona już tam nie pracuje. Łaroczka nazywała się. I ona jeszcze mnie pyta: „Może jednak chce pani przyznać się do winy?”. A ja mówię: „Nie, nie chcę”. Mimo to napisałam przyznanie się do winy. Później kazali mi jeszcze napisać prośbę o ułaskawienie do prezydenta Republiki Białorusi. Teraz już rozumiem, że są różne rodzaje ułaskawień. Jedno – kiedy rodzina sama zbiera dokumenty i składa je do akt sprawy. Drugie – kiedy do ciebie przyjeżdżają funkcjonariusze GUBOPiK-u, KGB albo ktoś z prokuratury, i wtedy piszesz to wszystko w ich gabinecie. A dziś wiemy już o trzecim rodzaju „ułaskawienia”, kiedy ludzi po prostu wywożą z kraju, niby „ułaskawiają”. System jest zbudowany tak, że oni zawsze grają tym, co jest dla ciebie najdroższe. Jeśli to matka – będą mówili o matce. Jeśli dzieci – wykorzystają dzieci. Jeśli nie ma dzieci – najbliższych krewnych. Oni sondują cię ze wszystkich stron, żeby wiedzieć, gdzie dokładnie naciskać, jeśli uznają, że jesteś im „potrzebna”. Groźby, straszenie – to bez znaczenia. Oni i tak to zrobią. Zawsze powtarzałam: jeśli wobec więźnia politycznego pojawi się „zlecenie” ze strony KGB albo GUBOPiK-u, to ten więzień zostanie zniszczony. Całkowicie złamany.

Pani jednak całkiem nie złamali...

Próbowali na różne sposoby. W kolonii karnej na przykład zabija się w kobiecie wszystko, co kobiece. Zamieniają cię w warzywo. Bez własnego zdania, bez siły, bez godności. Stajesz się jak pies, który wykonuje polecenia i po prostu egzystuje. Nakarmili, wykonałaś polecenie. I tak żyjesz. I przez jakiś czas musisz to wszystko, co ludzkie, w sobie zdusić, żeby po prostu przetrwać. Czyli w głowie nic się nie zmienia, w duszy też nic się nie zmienia. Na ten czas musisz się złamać, dać upokorzyć, stwarzać pozory posłuszeństwa, żeby w ogóle przetrwać. Bo jeśli zaczniesz walczyć o swoje prawa, to stamtąd nie wyjdiesz. W najlepszym wypadku jako osoba ciężko chora. Wiele historii kończyło się śmiercią. Niestety tak właśnie jest. Tam ludzi się zabija.

I co było dalej z tym ułaskawieniem?

Napisałam przyznanie się do winy. Potem napisałam wniosek o ułaskawienie. Po miesiącu dostałam odmowę od prezydenta Republiki Białorusi. A potem zaczęła się już prawdziwa „wojna o ułaskawienia”.

Co to znaczy?

Po raz pierwszy wezwano mnie w lipcu 2024 roku. To wtedy zmuszano mnie, żebym napisała, że Swiatłana Cichanouska uważa naród Białorusi za mięso. Po tym spotkaniu wyszłam i powiedziałam sobie: koniec. Już nigdy niczego nie napiszę. Niech mnie wsadzają, gdzie chcą. Było mi już wszystko jedno, ile mam siedzieć. To był taki stan... trudny do opisania. Ułaskawienie dostała i wyszła wtedy dziewczyna, z którą też się tam zaprzyjaźniłam. Potem podczas rozmów telefonicznych tata powiedział mi, że Ola kazała przekazać, iż niedługo będzie jeszcze jakaś próba i żebym podjęła „właściwą decyzję”. A ja odpowiedziałam, że ja już swoją decyzję podjęłam. I mniej więcej cztery miesiące później, to był już listopad, znowu przyjeżdżają funkcjonariusze KGB. Co ciekawe, między strukturami też była walka o te ułaskawienia. Najpierw przyjeżdżała prokuratura, potem GUBOPiK, potem KGB – i ostatecznie GUBOPiK „wygrał” i to oni zajęli się ułaskawieniami. Znowu wezwano mnie do sztabu.

Mówią: „Dzień dobry, Antonino Siergiejewno, może chciałaby pani jeszcze raz napisać...”.

A ja na to: „Przecież już pisałam. Nie mam więcej chęci nic pisać”.

Oni: „Nie no, co pani? Trzeba napisać jeszcze jedno”.

A ja mówię: „Nie, wiecie co, odmówię. Nic więcej nie napiszę”.

Byli wyraźnie zszokowani – chyba tym, że za pierwszym razem napisałam, a za drugim odmówiłam. Zabrali mnie z powrotem do oddziału. Po jakichś trzech–czterech godzinach znowu telefon: „Kanawaława, na punkt kontrolny”. Myślę sobie: no dobra, teraz pewnie prowadzą mnie do operacyjnego, teraz dostanę reprimendę za odmowę. Znowu usłyszę, że dzieci o mnie zapomniały, że nikogo już nie obchodzę – ta sama śpiewka. Idę więc tam bojowo nastawiona, mentalnie przygotowana, żeby trzymać język za zębami. W rezultacie znowu prowadzą mnie do tych gubopikowców. Tylko że dla nich ja już nie byłam „Antoniną Siergiejewną”. Dla nich byłam już po prostu Kanawaława. I oni już zwracają się do mnie na „ty”, a nie per „pani”. Mówią mi wprost, że jeśli teraz nie napiszę, to doskonale wiem, jakie będą konsekwencje. A ja przecież doskonale je znałam, już przez to przeszłam, dali mi wyrok za brak współpracy i mogli przecież mi dołożyć do wyroku. I nie chciałam tych konsekwencji przechodzić ponownie. Dlatego podpisałam jeszcze raz. Siedziałam wtedy i pisałam, myśląc sobie: jeśli zmuszą mnie do tego jeszcze raz, to już na pewno nie napiszę, nieważne, jakie będą konsekwencje. Dostaliśmy wszystko pod dyktando, dokładnie tak samo jak wszyscy w tamtym czasie. I tak naprawdę nie miałam żadnej nadziei, że wyjdę. Zawsze mówiłam, że odsiedzę cały wyrok. Zostało mi osiem miesięcy. To już nie tak dużo. Większą część wyroku miałam za sobą. Mojemu mężowi natomiast dodali jeszcze dziewięć miesięcy do wcześniejszego wyroku.

Co było dalej?

Wysłałam na wolność. Ale kiedy na Białorusi wychodzisz na wolność, to tak naprawdę przechodzisz z jednego więzienia do drugiego. Niestety tak to wygląda.

Kiedy to było?

10 grudnia 2024 roku. Emocje były bardzo specyficzne. Po pierwsze nie miałam poczucia, że spędziłam tam wszystkie te lata. Miałam raczej wrażenie, jakbym wyszła i już od dawna była na wolności. Rozmawiałam z wieloma osobami i wszyscy mówią to samo: jakbyś wracała z podróży, a teraz po prostu jedziesz do domu. Gdy wyszłam, przez pierwsze dwa dni próbowałam wyjechać z Białorusi. Sprawdzali mnie we wszystkich bazach – i w Rosji, i na Białorusi. Formalnie nie miałam żadnych zakazów.

Kiedy oddawali mi dokumenty, nikt nic nie mówił, nie podpisywałam żadnych papierów o zakazie wyjazdu.

Jaką drogą próbowała pani wyjechać?

Próbowano mnie wywieźć przez Moskwę do Gruzji. I w Moskwie zostałam zatrzymana na cztery godziny na lotnisku. Siedziałam tam i próbowałam nie myśleć o tym, że zaraz znowu mogę wrócić do kolonii. Po czterech godzinach oczekiwania wezwali mnie do biurka i powiedzieli, że figuruję na liście terrorystów i nie mogę wyjechać. Byłam w szoku, że jestem na liście w Rosji. Okazało się, że jest jeszcze jakaś tajna baza danych, wspólna dla służb białoruskich i rosyjskich. Musiałam wrócić na Białoruś i dopiero wtedy zastanawiać się, jak innymi drogami dotrzeć do swoich dzieci.

Gdzie były dzieci?

Moja mama wywiozła dzieci jeszcze we wrześniu 2020 roku, bo pojawiła się realna groźba, że zostaną zabrane do domu dziecka. Mama była już wtedy na emeryturze i formalnie nie mogła ich przejąć, więc podjęliśmy taką decyzję, żeby je zabezpieczyć. To miało uratować dzieci i mnie. Zawsze mówiłam, że gdyby moje dzieci były na Białorusi, nie wiem, jakiemu diabłu musiałabym sprzedać duszę, żeby je ochronić. Najpierw moja mama z moimi dziećmi wyjechali na Ukrainę, jeszcze przed wojną. A potem przenieśli się do Polski. Przez cały ten czas mieszkają w Warszawie. A ja wtedy wróciłam z Moskwy do Mińska.

Nie porzuciła pani myśli o wyjeździe?

Pewnie, że nie. Kiedy wróciłam do Mińska i weszłam do mieszkania, okazało się, że mieszkają tam lokatorzy, nasi krewni. Powiedzieli mi, że przychodził jakiś mężczyzna po cywilnemu i przekazał, iż mam już tylko jedną dobę: że jutro jest ostatni dzień, w którym muszę się zgłosić i stanąć na ewidencji. Jeśli się nie zgłoszę, następnego dnia mnie zabiorą. Nie miałam wyjścia i musiałam się zarejestrować. A potem zaczęło się kombinowanie, jak znaleźć jakąkolwiek pracę, bo tego ode mnie wymagali.

Kiedy jesteś na liście terrorystów, masz zakaz posiadania karty SIM, zakaz posiadania konta bankowego, nie możesz opłacać rachunków, nie możesz odbierać przesyłek na pocztę, nie możesz chodzić do centrów handlowych ani miejsc rozrywkowych itd. Tych zakazów jest cała masa. Formalnie nie ma nadzoru godzinowego, nie ma określonej

godziny powrotu do domu, ale w praktyce były więźniem powinien siedzieć w domu, bo wszystko inne jest zabronione. Potem zadzwoniła do mnie moja inspektorka i powiedziała: „Antonino Siergiejewno, ktoś chce z panią porozmawiać”. Pomyślałam: kto jeszcze chce ze mną rozmawiać, skoro już wyszłam na wolność? Ona dodała, że podała mój numer telefonu, więc wkrótce ktoś się odezwie.

Służby nie odpuszczały nawet po wyroku

Rzeczywiście zadzwonili i powiedzieli, że zapraszają mnie następnego dnia o konkretnej godzinie pod konkretny adres. Przysięgam, nie wiedziałam wtedy, gdzie w Białorusi mieści się GUBOPiK. Nigdy mnie to nie interesowało i nigdy tam nie byłam. Otworzyłam mapę i zrozumiałam, że wzywają mnie na rozmowę funkcjonariusze GUBOPiK-u. Byłam wtedy strasznie naiwna, nie wzięłam drugiego telefonu, nie kupiłam go wcześniej. Bo musiałabym kogoś prosić o zakup karty SIM. Jak tylko przekroczyłam próg tego budynku, natychmiast zabrali mi telefon i odnieśli go gdzieś dalej. Rozmawiali ze mną szef GUBOPiK-u w Mińsku i obwodzie mińskim, jego zastępca oraz jeszcze kilku funkcjonariuszy operacyjnych, którzy się zmieniali i próbowali ze mną rozmawiać. Oni nie mówili wprost: „Podpisz papier i zacznij z nami współpracować”. Tego nie było. Ale bardzo subtelnie próbowali mnie do czegoś skłonić. Na przykład: „A może my pani załatwimy pracę w fabryce? Przecież jest pani na liście terrorystów, jakoś trzeba żyć. Dzieci trzeba sprowadzić z powrotem, trzeba je karmić...”. To było takie miękkie, manipulacyjne naciskanie, bez formalnej propozycji, ale z jasnym przekazem: bez nas sobie pani nie poradzi. Albo na przykład mówili: jeśli nie możesz przywieźć swoich dzieci, to my ci pomożemy je przywieźć. Wszyscy wiedzą, jak oni „przywożą” dzieci. Po prostu je porywają. Inaczej nie są w stanie tego zrobić. Moje dzieci są objęte ochroną międzynarodową.

*GDYBY MOJE DZIECI BYŁY NA BIAŁORUSI, NIE WIEM, JAKIEMU DIABŁU
MUSIAŁABYM SPRZEDAĆ DUSZĘ, ŻEBY JE OCHRONIĆ.
GDY NA BIAŁORUSI WYCHODZISZ NA WOLNOŚĆ, TO TAK NAPRAWDĘ
PRZECHODZISZ Z JEDNEGO WIĘZIENIA DO DRUGIEGO.*

Albo jeszcze inne rzeczy: mówili mi, że jeśli odezwie się do mnie jakiś dziennikarz albo któryś z moich znajomych, to oczywiście powinnam

im wszystko opowiedzieć. Ja na to: „Oczywiście, oczywiście, na pewno wam powiem”. Generalnie odmawiałam i odmawiałam, aż w końcu zrozumieli, że nie dam się nakłonić. Ale trzeba mnie było jakoś docisnąć. I wtedy zabronili mi jeździć do taty na wieś, poza Mińsk. I nie tylko na wieś. Każdy mój wyjazd musiał być uzgadniany telefonicznie z nimi. Na przykład musiałam pojechać do ośrodka poza miasto, żeby odnowić orzeczenie o niepełnosprawności wzroku. Tam mnie puszczali, ale do obwodu grodzieńskiego, do taty na wieś, bali się mnie puścić. Może myśleli, że ucieknę, nie wiem. Może.

Zakładali, że pani chce uciec?

Trzeba przyznać rosyjskim pogranicznikom, że nie przekazali dokumentu mojego lotu. Najwyraźniej im się nie chciało. Zachowali go u siebie, że ja podpisałam pouczenie, że zostałam ostrzeżona. I gdyby ktoś ich o to zapytał, wtedy by pokazali. A tak nie przekazali dalej. Potem, podczas tych wszystkich rozmów z GUBOPiK-iem, bo to nie było jedno spotkanie, takich rozmów z nimi miałam chyba z osiem, zaczęli mi mówić: „A my wiemy, że pani zamierza opuścić Republikę Białorusi”. Ja na to: „Co wy? Skądże. To jest mój kraj. Ja myślę tylko o tym, jak sprowadzić tu dzieci”. A po każdym takim wyjściu dzwoniłam do taty, pożyczając telefon od jakiegoś przechodnia, bo mój telefon był całkowicie pod kontrolą. Oni wiedzieli, gdzie bywam, wiedzieli, z kim się kontaktuję, o czym mówię itd. Czyli kiedy chcieli, żebym sama im zgłaszała, dokąd jadę, to była raczej forma testowania mojej prawdomówności. Najprawdopodobniej tak właśnie było. Dlatego umówiłam się z mamą, żeby od początku grała ze mną tę rolę. Pisałam do niej wiadomości w stylu: „Musisz pójść do ambasady Białorusi w Warszawie, żeby pomogli wywieźć dzieci, idź, dowiedz się”. A ona mi odpisywała: „Tonia, zwariowałaś? Dzieci mają tu zupełnie inną przyszłość. Co one tam zobaczą? One tu zaraz pójdą do szkoły”. Rozumiałam, że ona gra, że mnie wspiera i odgrywa swoją rolę bardzo wiarygodnie. I wtedy z mamą zaczęłyśmy planować moją ucieczkę. Wymyśliłyśmy ją.

Służby niczego nie podejrzewały?

Pewnie, że tak. Pęta się zaciskała. Niestety wyszło tak, że gdzieś mnie rozpoznano na kamerach ulicznych. One są wszędzie. Nielegalnie przekraczałam granicę od strony Jezior Brasławskich w obwodzie witebskim, szłam w stronę Litwy. Funkcjonariusze litewskiej straży granicznej,

którzy przejęli mnie już po stronie litewskiej, powiedzieli mi, że byliśmy dosłownie o jakieś 10 minut przed tamtymi, tropiącymi mnie białoruskimi służbami.

Przeszła pani przez tzw. zieloną granicę na Litwę?

Przez rzekę. Miałam szczęście, bo rzeka była zamrznięta. Przechodziłam 22 lutego? Ten okres był jakoś tak dobrany, że temperatura była wyższa niż zwykle. Miałam szczęście. Ale trzeba zrozumieć, jak bardzo wszystko mamy w głowie wyćwiczone jako Białorusini, bo kiedy podeszłam do rzeki, spójrzałam w prawo, spójrzałam w lewo. To nie było tak, że po prostu trzeba było szybko biec do przodu. Najpierw trzeba było sprawdzić, czy coś nie jedzie. Nie wiem – co? Samochód? Statek? Nie wiem, co sobie wtedy wyobrażałam i czego szukałam. Pierwszym odruchem był ruch głowy.

Jest pani bardzo odważną kobietą, skoro zdecydowała się pani w taki sposób przejść granicę...

Dziś, gdy mnie o to pytają, zawsze mówię: nie. To jest ostateczność i desperacja, z której można skorzystać tylko w krańcowym momencie. Lepiej poczekać albo zrobić to legalnie. Niestety nie miałam takiej możliwości. Wszelkimi sposobami było widać, że nie chcieli, żebym wyjechała z Republiki Białorusi. Myślę, że oni czuli i rozumieli, że jestem bardzo blisko związana ze Swiatłaną Cichanouską, że nie jestem po prostu jakąś „Tonią wolontariuszką”. Myślę, że oni to czuli, choć nie mieli żadnych dowodów. Dla nich bardzo ważne było, żeby mnie złamać, a potem być może wysłać mnie do Warszawy już „obrobioną”. A ja pokrzyżowałam im wszystkie plany. Uciekłam. Nad moim balkonem w Mińsku latały drony – obserwowali mnie. Pod oknami stały samochody. Byłam ciągle pod nadzorem. Stałam czasem na balkonie i myślałam: Boże, na co idą nasze pieniądze? Stoję sobie na balkonie i myślę: po co? Co wy robicie? Jakiego wielkiego przestępce znaleźliście? To przecież absurd.

Po stronie litewskiej już na panią czekali? Jak to wyglądało?

Mama nie wiedziała, kiedy dokładnie będę przechodzić. Nie miała pojęcia. Ale wysłałam jej SMS-a: „Jestem gotowa”. W tym momencie zniknął mi internet. Zostałam całkowicie bez dostępu do sieci. Uratowało mnie to, że mam dość dobrą pamięć wzrokową. Miałam wcześniej w telefonie mapę, według której wybrałam trasę, i zapamiętałam ją w głowie. Pomyślałam,

że jedyne, co może mnie teraz uratować, to iść dokładnie według tej mapy. Uratowały mnie ślady zwierząt. Były tam jakieś ślady, może lisów albo innych zwierząt. Doszłam do wniosku, że najprawdopodobniej chodziły tamtędy do wodopoju, więc trzeba iść ich tropem. Poszłam za nimi i one mnie wyprowadziły. Może nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale możliwe, że mama kogoś po stronie litewskiej uprzedziła. Bo mogę powiedzieć tylko słowa ogromnej wdzięczności zarówno stronie litewskiej, jak i polskiej. Później z Litwy przekazano mnie do Polski, w ramach łączenia z rodziną. Oni mnie bardzo uspokajali, bo miałam atak paniki. Po pierwsze, byłam cała w siniakach, bo biegłam... Dla mnie ta droga wydawała się 15 minutami, a okazało się, że biegłam cztery godziny. Litwini się mną opiekowali. Zaproponowali mi herbatę. Nie mieli ubrań, żebym mogła się przebrać, bo byłam cała mokra, ale pozwolili mi wysuszyć się przy kaloryferze. Starali się mnie uspokoić, bardzo dokładnie mnieypytywali o wszystko.

To była litewska straż graniczna?

Tak, straż graniczna. Potem, po tej pierwszej straży granicznej, zawieziono mnie do innej placówki. Tam również zostałam bardzo dobrze przyjęta. Nie zamknięto mnie na klucz, mogłam swobodnie się poruszać. Miałam prysznic. Formalnie byłam zatrzymana - nie mogłam opuszczać terenu - ale jednocześnie mogłam normalnie przemieszczać się po terenie placówki. Rozmawiało ze mną bardzo wielu funkcjonariuszy w mundurach. Byli to zwykli funkcjonariusze, byli też ludzie z jakichś służb specjalnych, być może wywiadu, nie wiem dokładnie. Dla nich było ważne, żeby ustalić, czy ktoś mi pomógł w tej ucieczce, czy zrobiłam to sama. Trudno było im uwierzyć, że zrobiłam to sama. Ale kiedy nie masz innego wyjścia, kiedy nie możesz dalej przebywać na Białorusi, kiedy masz zakaz wyjazdu na ponad pięć lat, a dla mnie oznaczałoby to pięć kolejnych lat bez widzenia dzieci, to było nie do przyjęcia. Dlatego wszystko to było dla mnie oczywiste. Po czterech dniach rozmów zabrano mnie stamtąd. W Wilnie umieszczono mnie w domu. Przeszłam wszystkie procedury, a potem już czekałam na wyjazd do Polski, na spotkanie z rodziną.

Co pani dzisiaj myśli o pobycie w aresztach, kolonii, co w pani z tego zostało, jak to zmienia człowieka?

To straszny system, bo on zabija w człowieku człowieczeństwo. Zmusza do niemoralnych zachowań, do pogodzenia się z utratą godności. Wszyscy jesteśmy różni. Jedni mają silniejszą psychikę, inni słabszą. Ktoś wyszedł w 2022 roku i do dziś się leczy, nie potrafi sobie poradzić ze swoimi problemami. Ktoś inny trafił do kolonii już z kruchą psychiką i tam została ona jeszcze bardziej zniszczona.

NAD MOIM BALKONEM W MIŃSKU LATAŁY DRONY – OBSERWOWALI MNIE. POD OKNAMI STAŁY SAMOCHODY. BYŁAM CIĄGLE POD NADZOREM. STAŁAM CZASEM NA BALKONIE I MYŚLAŁAM: BOŻE, NA CO IDĄ NASZE PIENIADZE? CO WY ROBICIE? JAKIEGO WIELKIEGO PRZESTĘPCĘ ZNALEŹLIŚCIE? TO PRZECIEŻ ABSURD.

Pamiętam, że kiedyś poszłam do psychologa, byłam tam kilka razy. Za pierwszym razem przyszłam do psychologa jeszcze w kolonii i zapytałam: „Jak mam sobie radzić z niesprawiedliwością?”. Ponieważ widziałam, co tam się dzieje, i przez jakiś czas jeszcze próbowałam zamykać na to oczy, ale potem staje się to po prostu niemożliwe. Chcesz coś z tym zrobić. A wtedy usłyszałam od więziennej psycholog: „Włączymy pani muzykę, potańczy pani”. W tym momencie zrozumiałam: nie, do tego psychologa więcej chodzić nie mogę.

Drugi raz trafiłam już do innej osoby, to była przełożona psychologów. Przyszłam do niej z bardzo konkretnym pytaniem. Powiedziałam: „Wie pani, ja jestem zmęczona, ja już tak nie mogę”. A ona zaczęła mi proponować współpracę z operacyjnymi. Mówiła: „A co w tym takiego złego?”. Odpowiedziałam: „Nie chcę, ja nie jestem takim człowiekiem”. A ona na to: „Musisz zrozumieć, że tu nie wychowuje się szlachetnych panien. Jeśli mówią ci, że masz to robić, to masz to robić”. Chociaż ostatecznie i tak zostałam zmuszona do współpracy, ale oni zrozumieli, że „po dobroci” się nie da. W tym systemie chodzi o ratowanie resztek godności, ile się da. I o przetrwanie.

Rozmowę przeprowadził Michał Kacewicz.

SAM NIE WIEM, JAK SIĘ PRZYSTOSOWAŁEM I PRZEŻYŁEM

Zmicier Kazłou

Wszyscy więźniowie polityczni, tak zwani ekstremiści, „skłonni do ekstremizmu i innych destrukcyjnych zachowań” otrzymywali żółtą naszywkę, w przeciwieństwie do wszystkich innych, którzy mają białą. To naprawdę przypomina to, co naziści robili Żydom podczas wojny.

Zmicier Kazłou (rocznik 1988)

Pracował w Orszy w Lotniczym Zakładzie Remontowym, a następnie w miejscowym Kombinacie Winnym. Od 2018 roku, cztery lata po odejściu z pracy, prowadził wideoblog Sieryj Kot (Szary kot). Pierwszy raz trafił za kraty w 2019 roku za udział w protestach przeciwko integracji z Rosją. Spędził w areszcie 120 dni. Później, w czerwcu 2020 roku, został zatrzymany wraz z działaczami ruchu Europejska Białoruś. Początkowo oskarżony z Kodeksu cywilnego o udział w zbieraniu podpisów dla jednego z kandydatów w wyborach prezydenckich, a potem – na podstawie artykułów 13 część 1 i 293 część 2 Kodeksu karnego – o organizację lub udział w grupowych działaniach znacznie naruszających porządek społeczny. Zwolniony 11 września 2025 roku i przymusowo deportowany na terytorium Litwy.

Do 2014 roku pracował pan w różnych zakładach przemysłowych, później został pan freelancerem i blogerem, a w latach 2016–2017 zajął się pan polityką. Dlaczego?

W 2015 roku został ogłoszony dekret o pasożytach¹. Zacząłem się wówczas interesować polityką, dużo czytałem, a później już zająłem się swoim blogiem. Tak naprawdę zacząłem się interesować sprawami publicznymi wcześniej, ale w czasie marszów przeciwko dekretowi zrozumiałem, że potrzebne jest jakieś źródło informacji, które będzie mówić ludziom na przykład, gdzie odbywa się protest. Czułem to już wcześniej – oglądałem inne blogi, przeglądały informacje, ale to wszystko było niewystarczające. Zrozumiałem, że mam coś do przekazania. Przyszedł czas zająć się swoim kanałem. Już w styczniu 2018 roku zacząłem publikować wideo o charakterze politycznym.

Miał pan jakąś konkurencję?

Z tym było słabo. Do czasu marszów przeciwko dekretowi o pasożytnictwie, czyli do 2017 roku, na Białorusi właściwie nie było blogosfery. Białorusini czytali głównie blogi ukraińskie i rosyjskie. Właśnie te marsze stały się impulsem dla wielu ludzi, żeby rozpocząć tego rodzaju działalność. Początkowo blogi pojawiały się wyspowo, ale na różnych imprezach

¹ Dekret Alaksandra Łukaszenki nakładający specjalne opłaty na osoby, które nie pracowały przez ponad pół roku. Zawieszony po protestach w 2017 roku.

spotykaliśmy się i zaczęliśmy rozumieć, że sami, w pojedynkę, nic nie zrobimy. Po jakimś czasie już się znaleźliśmy i kampania polityczna w 2019 roku była momentem konsolidacji tej blogosfery.

Co wam się nie podobało na Białorusi i co chcieliście wtedy zmienić?

Po pierwsze, nie podobał mi się ów „dekret o pasożytach”. On mnie oburzył. We wszystkich krajach bezrobotnym się pomaga, także w znalezieniu pracy. Tymczasem na Białorusi zażądano zapłacenia około dwustu euro za brak pracy. To było po prostu oburzające. Odmowa wiązała się z groźbą aresztu administracyjnego. Rozumiałem, że prawdziwi bezrobotni nie są tu najważniejsi, bo chodzi przede wszystkim o walkę z szarą strefą. Łukaszenka swoją wieloletnią polityką doprowadził do sytuacji, że dla wielu ludzi po prostu nieopłacalne było oficjalne zatrudnienie i zaczęli oni z niego rezygnować. To władze wprowadzały przepisy, które ograniczały prywatną działalność gospodarczą i wpychały ludzi do szarej strefy.

*STOPNIOWO CORAZ LEPIEJ ROZUMIAŁEM SYTUACJĘ NASZEGO KRAJU POD
KATEM SUWERENNOŚCI. BIAŁORUS NA NASZYCH OCZACH KROK PO KROKU
TRACIŁA SUWERENNOŚĆ.*

Ponieważ cały system ekonomiczny państwa był skonstruowany nieracjonalnie, następowała ogromna entropia. W efekcie państwo nie miało środków na utrzymanie rozrośniętego aparatu siłowego, utrzymanie biurokracji i konserwowanie odziedziczonego po Związku Sowieckim państwa socjalnego. Wszystko to mogło istnieć tylko dzięki daninom i dotacjom z Rosji. Łukaszenka potrzebował coraz więcej pieniędzy i zdałem sobie sprawę, że nawet jeśli państwo nie sięgnie do mojej kieszeni teraz, to zrobi to jutro lub pojutrze. Wzięli się najpierw za „bezrobotnych”, ale było jasne, że przy takim systemie to nie wystarczy i wkrótce będą musieli nałożyć nowe opłaty na innych. Dlatego trzeba coś z tym zrobić, nie można tego tak zostawić.

Czy wcześniej, zanim ogłoszono dekret, miał pan zastrzeżenia do polityki Łukaszenki?

Oczywiście nigdy nie ma tak, żeby wszystkim wszystko się podobało, ale nie zajmowałem się polityką jako taką. Moje ówczesne podejście było takie: nie wtrącam się do waszych spraw, wy nie wtrąćcie się do moich.

Wiele rzeczy nie podobało mi się w polityce władz, ale do opozycji również podchodziłem z nieufnością. Myślałem: jaki sens ma walka polityczna? Przyjdą inni, oni też będą tam robić coś po swojemu. Nie wtrącałem się do polityki, w zasadzie omijałem ją.

Co chciał pan przekazać Białorusinom poprzez swój blog Szary Kot?

Na początku chciałem relacjonować wydarzenia i informować o nich. Nigdy nie pozycjonowałem siebie jako eksperta. Byłem nową osobą w białoruskiej polityce i niewiele o niej wiedziałem, więc tak też się przedstawiałem: jako zwykły Białorusin, który nie ma pojęcia, co się dzieje w tej polityce, ale chce się dowiedzieć i zrozumieć sens wydarzeń. Tak więc z perspektywy zwykłego człowieka pokazywałem sprawy publiczne. To było bezstronne spojrzenie od środka. Rozmawiałem z różnymi politykami, prezentowałem ich sylwetki i poglądy. Mówiłem na przykład, że oto dziś mamy takiego, a takiego gościa i on opowiadał, jaki jest jego program, co myśli itp.

Państwo całkowicie ignorowało sferę pozarządową. Organizacje społeczne, partie opozycyjne nie miały czasu antenowego w państwowych kanałach telewizyjnych. Ich działalność była całkowicie poza zasięgiem wzroku i wielu ludzi po prostu mówiło wtedy: kto, jeśli nie Łukaszenka? Nie mamy opozycji, nie znam nikogo z opozycyjnych partii. Dlatego chciałem sam się dowiedzieć i zrozumieć, kto jest kim i pokazać to innym. Chciałem też pokazywać wydarzenia, które państwowe media i propaganda przemilczały w swoim przekazie.

Zajmowałem się też walką z propagandą. Im bardziej się w to angażowałem, tym lepiej rozumiałem, co się dzieje. Zacząłem też rozumieć destrukcyjną rolę Rosji w tym wszystkim. W naturalny sposób zająłem się walką z propagandą systemu Łukaszenki, systemu Putina. Stopniowo coraz lepiej rozumiałem sytuację naszego kraju pod kątem suwerenności. Białoruś na naszych oczach krok po kroku traciła suwerenność.

Łukaszenka, by utrzymać swoją dyktaturę, brał pieniądze od Putina. Ceną tego było stopniowe oddawanie części składowych naszej suwerenności. Wiele przedsiębiorstw znalazło się w rękach Rosji, tak samo jak gazociągi i ropociągi. Wiele aktywów przeszło pod kontrolę Moskwy.

To samo dotyczy mediów. Przez cały czas istnienia niepodległej Białorusi nadają na jej terytorium rosyjskie kanały propagandowe, które bezpośrednio lansują całą tę ideologię.

Zrozumiałem, że trzeba coś z tym zrobić.

Czy wideoblog Siarhieja Cichanouskiego był dla pana konkurencją?

Nie. W rzeczywistości sytuacja wyglądała tak, że brakowało blogerów. Rynek był raczej pusty, ludzie domagali się więcej informacji, a chętnych do działalności tego typu było bardzo niewiele. Kanał Cichanouskiego pojawił się w marcu 2019 roku. Dowiedziałem się o jego istnieniu już na początku kwietnia, kiedy opublikował kilka wywiadów. Zainteresowało mnie to, obejrzałem jego wysokiej jakości treści, dobre wywiady, ale wtedy było już kilka kanałów o podobnym formacie, na których jacyś ludzie rozmawiali ze znanymi biznesmenami czy jakimiś politykami. Następnie, śledząc działalność Cichanouskiego, zobaczyłem, jak podróżuje po kraju. Potem była kampania parlamentarna, spotkanie blogerów. Cichanouskiego poznałem osobiście we wrześniu 2019 roku w czasie kampanii wyborczej Michałaja Masłouskiego² w Mińsku. Przyszedłem go wesprzeć i tam po raz pierwszy osobiście spotkałem Cichanouskiego. Spotykaliśmy się jeszcze kilka razy. Następnie, kiedy milicja drogowa wystawiła mu mandat, byłem obecny podczas rozpatrywania jego sprawy.

Potem były sprawy administracyjne. Przyjeżdżał do mnie na rozprawę na przełomie listopada i grudnia 2019 roku. Utrzymywaliśmy kontakt. Spotkaliśmy się również podczas akcji na rzecz niepodległości Białorusi, czyli przeciwko integracji z Rosją w grudniu 2019 roku. I ponieśliśmy za to konsekwencje. Za te akcje otrzymałem rekordową wówczas karę 120 dni aresztu administracyjnego – to było osiem protokołów po 15 dni. Brałem udział w większości tych akcji – 7, 8, 20 i 21 grudnia. Sądono mnie za udział w czterech zgromadzeniach nielegalnych oraz za cztery wezwania do udziału w takich zgromadzeniach, które opublikowałem w internecie. W sumie dostałem po 15 dni za każde zgromadzenie plus za każde wezwanie do udziału w demonstracji.

Z tych 120 dni 26 spędziłem w IWS³, czyli areszcie tymczasowym w Orszy. Potem zwolniono mnie z wymyślonych powodów. Powiedzieli, że w areszcie panuje jakaś infekcja i dlatego trzeba przeprowadzić dezynfekcję. Zwolnili mnie do domu. Poprosili, żebym napisał oświadczenie, że wrócę na pierwsze wezwanie, aby odbyć karę do końca. W końcu wszystko

² Michałaja Masłouski – bloger i aktywista społeczny. W 2019 roku odbywały się na Białorusi wybory parlamentarne, rok później Masłouski był członkiem sztabu Swiatłany Cichanouskiej.

³ IWS (ros. Изолятор временного содержания; Izolator Wriemiennogo Soderżanija) lub ICzU (biał. Ізалятар часовага ўтрыманьня; Izalatar Czasowaha Utrymannia) – areszt milicyjny.

się skończyło, nic więcej się nie wydarzyło. Po prostu wyszedłem i było tak, jakby wyroku nie było. Zostały mi do odbycia 94 dni kary.

Co się panu nie podobało w tej integracji Białorusi z Rosją?

Wówczas władze w Moskwie i Mińsku przygotowały 33 tzw. mapy drogowe, z których jedna była czysto polityczna: wspólna waluta, wspólna kontrola nad granicą, jedna armia. To znaczy faktycznie całkowite połączenie. Przynajmniej takie były plotki. Oczywiście nikt nie pokazał zwykłym ludziom pełnego tekstu tych umów. Kiedy jednak pojawiły się takie plotki, wywołały głęboką falę niezadowolenia wśród białoruskich patriotów.

Wyglądało to po prostu na rezygnację z niepodległości. Wiele osób wystąpiło przeciwko tej domniemanej decyzji. Najważniejsze, co mnie uderzyło podczas tych protestów, to fakt, że widziałem na nich bardzo wiele nowych twarzy. Nie były to osoby, które zazwyczaj chodziły na większość klasycznych wieców starej opozycji: aktywiści, przedstawiciele partii. Mówiło się, że partie się starzeją, jak BNF Zianona Pazniaka⁴, gdzie są sami emeryci. Teraz było tam wielu zwykłych ludzi, którzy nie angażowali się w politykę. I wielu młodych ludzi.

Zaskoczyło mnie to. Zrozumiałem, że na Białorusi coś się zmienia. Już podczas kampanii parlamentarnej w 2019 roku zrozumieliśmy, że wszystko zmierza do ogromnego wybuchu społecznego. 17 listopada 2019 roku odbyły się wybory do parlamentu, a już 7 grudnia miała miejsce pierwsza akcja przeciwko integracji z Rosją. Ogłosił ją Paweł Siewiaryniec.

Jeśli chodzi o kampanię parlamentarną, to nie dotrwałem do końca, bo już 8 listopada władze pozbawiły mnie statusu kandydata. Próbowałem odwołać się od decyzji Okręgowej Komisji Wyborczej do Sądu Obwodowego w Witebsku. Przeszedłem wszystkie instancje na Białorusi. Pisałem także między innymi do ONZ.

Mówił pan, że już wtedy wiedzieliście, że w 2020 roku coś się wydarzy.

A wcześniej nie było żadnych znaków?

Były. Już podczas marszów przeciwko dekretowi o pasożytnictwie było jasne, że coś nieodwracalnie się zmieniło w białoruskim społeczeństwie. Wyrosło nowe pokolenie, które żyje już zupełnie innymi wartościami.

⁴ Zianon Pazniak – wieloletni lider Białoruskiego Frontu Ludowego. Jeszcze w czasach ZSRR zyskał popularność, nagłaśniając sprawę stalinowskich masowych mordów w Kuropatach pod Mińskiem. Po 1991 roku aktywnie działał na rzecz budowy niepodległej i niezależnej od Rosji Białorusi. Od 1996 roku na emigracji.

To są ludzie, którzy patrzą na Europę, na Zachód, którzy często tam bywali. Są to ludzie pracujący w branży IT, przedsiębiorcy. To znaczy, że pojawiła się miejska klasa średnia. To była siła napędowa protestów w 2020 roku. To właśnie ta warstwa społeczna odegrała główną rolę. Nie była to klasyczna opozycja, jak wcześniej. Dziesięć lat wcześniej byli to głównie różnego rodzaju aktywiści polityczni, inteligencja o orientacji patriotycznej. Później mieliśmy już szerszą grupę ludzi, którzy byli niezadowoleni z polityki Alaksandra Łukaszenki. Ci ludzie patrzyli, jak wygląda życie na Zachodzie, jak wygląda sytuacja w krajach rozwiniętych. Rozumieliśmy, że zmierzamy w złym kierunku. Wszystko wskazywało na to, że coś się wydarzy. I tak się stało.

Ponadto przygotowywaliśmy się do tego. Ja przykładowo zajmowałem się informacją, spotykałem się z ludźmi. Bardzo wiele osób było zaangażowanych w przygotowania: Cichanouski, blogerzy Mihałaj Masłouski, Siarhiej Piaturchin⁵, Alaksandr Kabanau⁶, Cyhanowicz⁷ i wielu innych. Oni jeździli po kraju i mówili mniej więcej, co się wydarzy.

Nie było w tym zresztą żadnej tajemnicy. Wszyscy wiedzieli, że Łukaszenka sfałszuje wybory prezydenckie. Najprawdopodobniej w 99,9 proc.

Dlatego lider Białoruskiej Socjaldemokratycznej Partii (Ludowa Hramada) Mihałaj Statkiewicz⁸ oraz koordynator Europejskiej Białorusi i ruchu „Zubr” Jauhen Afnahel⁹ mówili, żeby się przygotować na kryzys polityczny. Zalecali, aby zaopatrzyć się w żywność, sprzęt, generatory, krótkofalówki. I ludzie się przygotowali. A potem, kiedy nas sądzono w latach 2020–2021, wykorzystano te słowa. Rzekomo to wszystko my zaaranżowaliśmy. „Skoro wiedzieliście, to znaczy, że to wy to zorganizowaliście”.

- 5 Siarhiej Piaturchin (ur. 1971) – bloger pochodzący z Brześcia. Prowadził m.in. kanał na YouTube Narodnyj Reportior (Reporter Ludowy). Aresztowany 16 czerwca 2020 roku, a 14 kwietnia 2021 roku skazany na trzy lata kolonii karnej. Zwolniony w grudniu 2022 roku.
- 6 Alaksandr Kabanau – udzielał się m.in. przy programach kanału Narodnyj Reportior (Reporter Ludowy) oraz pracował dla kandydatki prezydenta Swiatłany Cichanouskiej. Zatrzymany za udział w wydarzeniach z 29 maja 2020 roku w Grodnie. Oskarżony o znieważenie milicjanta. W grudniu 2022 roku zwolniony po odbyciu kary.
- 7 Uładzimir Cyhanowicz – bloger i aktywista opozycji. Skazany 14 grudnia 2021 roku przez Sąd Okręgowy w Homlu na 15 lat w kolonii karnej o zastrzonym rygorze.
- 8 Mihałaj Statkiewicz (ur. 1956) – białoruski polityk i opozycjonista. Lider partii Białoruska Hramada. Jako podpułkownik organizował Białoruskie Zjednoczenie Wojskowych. Po raz pierwszy skazany w 2005 roku. W 2010 roku zgłosił swój udział w wyborach prezydenckich. Podczas powyborczych demonstracji aresztowany i skazany. Po protestach w 2020 roku otrzymał wyrok 14 lat więzienia. Choć początkowo odmówił wywiezienia go z Białorusi i wrócił do kolonii karnej, po udarze mózgu uwolniono go w lutym 2026 roku.
- 9 Jauhen Afnahel (ur. 1979) – koordynator grupy Europejska Białoruś i organizacji młodzieżowej „Zubr”. Zatrzymany 25 września 2020 roku, a następnie skazany 25 maja 2021 roku na siedem lat pozbawienia wolności. Zwolniony 11 września 2025 roku.

Kto według pana był najlepszym kandydatem w 2020 roku?

Opozycja postanowiła się wówczas zjednoczyć, wybrać jednego kandydata, którego poprą wszystkie partie. W tych prawyborach brało udział kilka osób: Paweł Siewiaryniec, Jury Hubarewicz, Wolha Kawalkowa, Alaksiej Janukiewicz i Mihałaj Kazłou. Siewiaryniec był liderem w tym wyścigu i moim faworytem, ale później zrezygnował. Dobrze go znam i mam do niego zaufanie. Zyskał rozgłos, broniąc cmentarza ofiar NKWD w Kuropatach. Polityką zajmował się od 1995 roku. Jest jednym ze współzałożycieli, w zasadzie liderem Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, niezarejestrowanej partii. To bardzo przyzwoity człowiek. Niestety w polityce takich ludzi jest niewielu. Po raz pierwszy widziałem go na własne oczy w 2017 roku na wiecu w Orszy, zaś osobiście poznałem go rok później. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby wystartował w wyborach. I wielu było takich, którzy chcieli z nim pracować. Rozpoczęły się machlojki w trakcie tych prawyborów. Pojawiły się jakieś podejrzane osoby wyglądające jak z rady wykonawczej i głosowały na Hubarewicza. On jednak nie cieszył się takim zaufaniem i byłem przekonany, że nie będzie bronić wyników wyborów prezydenckich, nawet jeśli większość zagłosowałaby na niego. Najprawdopodobniej się podda. Dlatego nie ufałem Hubarewiczowi.

WYROSŁO NOWE POKOLENIE, KTÓRE ŻYJE JUŻ ZUPĘŁNIE INNYMI WARTOŚCIAMI. TO SĄ LUDZIE, KTÓRZY PATRZĄ NA EUROPE, NA ZACHÓD, KTÓRZY CZĘSTO TAM BYWALI. SĄ TO LUDZIE PRACUJĄCY W BRANŻY IT, PRZEDSIĘBIORCY. TO ZNACZY, ŻE POJAWIŁA SIĘ MIEJSKA KLASA ŚREDNIA.

Kiedy więc Siewiaryniec się wycofał, nie było według mnie odpowiednich kandydatów. Wiktar Babaryka jest bankierem, kierował Biełhazprambankiem, a to znaczy, że był związany z Gazpromem, z Rosją. Nie można w pełni ufać takiej osobie. Niezależnie od tego, jak wielkim jest profesjonalistą, ekonomistą, bankierem czy finansistą. To człowiek powiązany z Rosją i zawsze będzie lobbował interesy Kremla. Dlatego na pewno nie był to mój kandydat.

Co do Siarhieja Cichanouskiego, to wiele osób go pytało, czy będzie kandydować, i on się zgodził w kwietniu, ale w następnym miesiącu go zatrzymali i nie mógł osobiście się zarejestrować. W ostatniej chwili zarejestrowała się jego żona Swiatłana Cichanouska. Wiele osób głosowało

na nią w zastępstwie za męża. Była zastępczą kandydatką. Nie była polityczką, liderką ani osobą publiczną.

Mnie wsadzili za kraty 10 czerwca i o okresie późniejszym nie mogę mówić już tak szczegółowo. Wiem tyle, ile dowiedziałem się z wiadomości i co powiedzieli mi ludzie.

Jak wyglądało pana zatrzymanie 10 czerwca 2020 roku?

Po tym jak zatrzymano Siarhieja Cichanouskiego 29 maja 2020 roku w Grodnie, rozpoczęła się fala represji przeciwko aktywistom ruchu „Kraj do życia”. Konfiskowano zebrane listy z podpisami poparcia dla kandydatki. Prowadzono przeszukania. Zatrzymywano ludzi. Na początku czerwca zaczęto już wszczynać sprawy karne.

31 maja na rynku Komarowskim w Mińsku uczestniczyliśmy w anty-lukaszewskiej akcji „Stop karaluch”. Była to akcja zbierania podpisów poparcia dla Swiatłany Cichanouskiej jako kandydatki na prezydenta. Wyrażaliśmy też wsparcie dla zatrzymanych. To była duża akcja polityczna. Trwała od 11.00 do 19.00. Kolejka chętnych do złożenia podpisów miała z kilometr. Rozmawiałem z ludźmi, dziękowałem im za to, że wyszli, za wsparcie Siarhieja. Niektórzy mówili, że stali po trzy godziny w kolejce, aby złożyć podpis. A tam było 16 osób zbierających te podpisy. Osiem stołów. Jeździły samochody po mieście, trąbiły nieustannie. Nawet ktoś zamachał z samochodu flagą biało-czerwono-białą. Było pełne poparcie.

*CI LUDZIE PATRYLI, JAK WYGLĄDA ŻYCIE NA ZACHODZIE,
JAK WYGLĄDA SYTUACJA W KRAJACH ROZWINIĘTYCH. ROZUMIELISMY,
ŻE ZMIERZAMY W ZŁYM KIERUNKU. WSZYSTKO WSKAZYWAŁO NA TO,
ŻE COŚ SIĘ WYDARZY. I TAK SIĘ STAŁO.*

Właśnie po tej akcji wszczęto wobec mnie sprawę z Kodeksu cywilnego. Wiedziałem, że będą mnie szukać. 3 czerwca miałem być sądzony za to, że w maju w Mohylewie wyszedłem na demonstrację w obronie Cichanouskiego. A miałem przecież jeszcze zaległe 94 dni aresztu. Więc właściwie się ukrywałem. 10 czerwca mnie i dwóch innych aktywistów Europejskiej Białorusi zatrzymano pod Mińskiem. I, jak mi powiedziano wtedy na komisariacie, że to za akcję „Stop karaluch” 31 maja. Dostałem karę: 20 dni aresztu plus pięć dni za nieposłuszeństwo w chwili zatrzymania. I gdy moja odsiadka się skończyła, przyszedli już śledczy i aresztowali

mnie na podstawie artykułu 342. Okazuje się, że zorganizowałem wraz z Cichanouskim i Statkiewiczem wydarzenie w Grodnie, kiedy to Cichanouskiego zatrzymali.

Jak wyglądało zatrzymanie w czerwcu?

To było pod Mińskiem, pojechaliśmy na grilla. Koło 16.00 zobaczyliśmy, że drogą jadą dwa-trzy busy z przyciemnianymi szybami. Oni przejechali obok nas, a potem wrócili. Od razu zrozumieliśmy, że to po nas. To był miński OMON. Myślałem, że to będzie jakaś zwykła kara administracyjna, że będę miał odsiedzieć te 94 dni, ale nie sądziłem, że oni już będą tak na poważnie ludzi zamykać dwa miesiące przed wyborami.

Zatrzymali nas i rozdzielili. Trafiłem do aresztu tymczasowego (IWS) na Akreścina. Potem mnie wywieźli na komisariat rejonowy i do sądu. I zostałem skazany, jak już mówiłem, na 25 dni. Jakoby stawialiśmy opór, łapaliśmy za pagony, mundury. Ale nawet w sądzie jeden z funkcjonariuszy OMON-u to potwierdził, a drugi zaprzeczył. Lecz nie wpłynęło to w ogóle na decyzję sądu.

Potem wróciłem na Akreścina, ale do innej celi. Byłem tam 19 dni, do 30 czerwca, kiedy to przewieziono mnie do aresztu śledczego na Waładarskiego, na który potocznie mówi się Waładarka. Tam były całkiem niezłe warunki. Wcześniej na Akreścina przebywałem w warunkach, cóż... W zasadzie wszyscy przebywali tam w warunkach będących de facto formą tortur. Nie dawano pościeli, nie pozwalano na spacer, na przysnic, zabierano osadzonym wszystkie rzeczy. Teraz, kiedy już wyszedłem, po wysłuchaniu nagrań rozmów podsłuchów pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z tamtego czasu związanych z tym, co się działo, zrozumiałem, że była to praca systemowa, a nie przypadek. To znaczy, że oni konkretnie stworzyli tam warunki nie do zniesienia. Takie mieli rozkazy, robili to specjalnie.

Ile osób było w celi?

Różnie. Na początku trafiłem do celi trzyosobowej. To była cela numer 11 na pierwszym piętrze. Zazwyczaj siedzieliśmy właśnie po dwie lub trzy osoby. Potem, po kilku dniach, bez podania powodów, wyprowadzono mnie z celi i umieszczono na cztery dni w karcerze. To jest bardzo mała cela z betonową podłogą, w której na dzień składa się łóżko. Jest tam także pośrodku małe metalowe krzeselko, szerokie na około trzydzieści centymetrów,

wbudowane w podłogę. A kiedy łóżko się podnosi (robi to funkcjonariusz z zewnątrz), na dnie jest przyspawany taki mały stolik, żeby można było postawić talerz dla jednej osoby. Można było tam usiąść, ale siedzenie na metalowym krzeselku było bardzo niewygodne. Byłem tam cztery dni.

To było lato, czy w celi było gorąco?

W celi było chłodno. Natomiast kiedy przewożono mnie z Akreścina do sądu, było bardzo gorąco. Zaproponowano mi wodę do picia. W sądzie było bardzo gorąco, po prostu pot lał się ze mnie strumieniami. Na Akreścina było wilgotno i zimno, co mnie zaskoczyło. Nie spodziewałem się, że latem, w czerwcu, może być tak zimno. Miałem na sobie tylko cienką koszulkę bez rękawów. Oczywiście nie dawali osadzonym żadnych ubrań, nie dawali nawet pościeli. Dlatego po prostu marzłem w nocy, myślałem, że dostanę zapalenia płuc lub czegoś podobnego. Dziwiłem się, jak w ogóle będę mógł spać. Ale jakoś się przystosowałem i przeżyłem. Sam nie wiem jak.

Po czterech dniach karceru przeniesiono mnie na weekend do wspólnej celi. Było tam czterech ludzi. To byli narkomani skazani za różne wykroczenia administracyjne, chuligaństwo, pijaństwo. Ciągłe rozmawiali o narkotykach. I mieli żółtaczkę, AIDS, jeden miał padaczkę. Myślę, że specjalnie umieścili mnie w takiej celi.

Więźniów politycznych w celi ze mną nie było. Starali się nas wszystkich umieszczać w różnych celach, nie razem.

Byłem tam dwa dni, a w poniedziałek już mnie zabrali i okazało się, że postawiono mi zarzuty, że wraz z Cichanouskim i innymi organizowałem wydarzenia w Grodnie. Chociaż nigdy tam nie byłem, ale powiedziano mi, że to nie ma znaczenia, ponieważ protest można organizować zdalnie. Oskarżono mnie z artykułu 342 Kodeksu karnego. Przez pół roku przebywałem w Waładarce na podstawie tego artykułu, w trakcie śledztwa, aż w połowie grudnia 2020 roku zmieniono mi zarzuty na cięższe. Oskarżono mnie z artykułu 293: udział w masowych zamieszkach i przygotowywanie ich.

Nie mogłem bezpośrednio uczestniczyć w demonstracjach w sierpniu, bo przecież trafiłem za kraty już dwa miesiące wcześniej, ale dzięki temu, że w kodeksie jest mowa o przygotowaniach, mogli mnie sądzić. Na tej zasadzie oskarżyć można kogokolwiek o złamanie prawa: że choć nie brał

udziału w demonstracjach, to chciał w nich uczestniczyć... Trochę jak w Związku Radzieckim, gdzie także istniała taka praktyka.

Proszę opowiedzieć o tych miesiącach na Waładarce. Gdy pan był za kratami, za murami odbywały się masowe protesty. Jak pan dowiadywał się o tych wydarzeniach?

Na początku nie było jeszcze tak zaostzonych restrykcji. Większość mediów opozycyjnych działała. Opozycyjne gazety były zarejestrowane i można je było zaprenumerować: „Swobodnyje Nowosti”, „Narodnaja Wola”, „Nowy Czas”, „Biełorusy i Rynok”. Te gazety prenumerował ktoś, kto był na wolności, dla osoby przebywającej w więzieniu. Gazety były dostarczane i można było czytać wolną prasę w więzieniu i mniej więcej wiedzieć, co się dzieje. Adwokaci często przychodzili, przynosili wydruki wiadomości z internetu, z niezależnych źródeł. Można więc było być na bieżąco.

Poza tym więźniowie też dużo rozmawiali między sobą. Byli na bieżąco z wydarzeniami. A na przykład w nocy z 9 na 10 sierpnia słychać było, że na zewnątrz coś się dzieje. Słychać było hałas, wybuchy, odległe krzyki. Administracja była wyraźnie poruszona. Pracownicy biegali po schodach, ciągle coś mówili przez krótkofalówki. Naprawdę obawiali się szturm na areszt śledczy.

Potem jeszcze przez jakiś czas, może do wiosny 2021 roku, w kraju istniała jakaś wolność słowa. Wszystko to stopniowo się zaostrzało. Za każdym razem coraz to nowe gazety były usuwane z rejestru Biełpoczty i nie można było ich prenumerować, znikwały. Potem zaczęto uznawać je za ekstremistyczne, a jeszcze później zaczęto sadzać za kraty samych redaktorów. Jak powiedziałem w jednym z wywiadów, najpierw prenumerowałem opozycyjne gazety, a potem w kolonii karnej siedziałem z ich redaktorami. Wszystko zmieniało się na naszych oczach.

Jakie były warunki na Waładarce, w Areszcie Śledczym nr 1 w Mińsku przy ulicy Waładarskiego?

Na Waładarce byłem dziewięć i pół miesiąca. To stary areszt śledczy. Sam Zamek Piszczalowski, jego najstarsza część, jest zamknięty od dawna, odkąd w 2008 roku zawaliła się tam wieża. Ale są tam nowsze korpusy, które działają. Stare więzienie działało od 1825 roku – i za czasów carskich, i za komunizmu.

Warunki były normalne, stosunkowo łagodne. Można powiedzieć, że było to najbardziej liberalne więzienie na Białorusi. Reżim nie był tak surowy, funkcjonariusze zachowywali się dość profesjonalnie, powściągliwie, po ludzku. Ale warunki oczywiście nie były najlepsze, zwłaszcza w piwnicy, gdzie przebywałem. To tak zwany Szanghaj, tak nazywa się ten korpus. Jest to cela dla 24 osób, o wymiarach około 5 na 6 metrów. Jak salon w radzieckich chruszczowkach. Trzypiętrowe prycze w trzech rzędach. Myszy, szczury, karaluchy. Latem, w upale, stale unosi się tam mgła. Bardzo wilgotno. Nic nie wysycha. Czasami kapie z sufitu.

Można było tam spać. Liczba miejsc do spania odpowiadała liczbie osób. Nie było tak, jak opowiadają o 2010 roku, że było więcej osób niż miejsc noclegowych. Dostarczano także przesyłki pieniężne i przychodziły listy. Był też telewizor. Więc, ogólnie rzecz biorąc, można było tam mieszkać.

Czy byli tam więźniowie polityczni?

Tak. Właśnie tam znajdowała się grupa ludzi, których zatrzymano przed wyborami. Kilkadziesiąt osób. To ludzie ze sprawy Cichanouskiego, inni blogerzy: Piatruchin, Kabanau, Cyhanowicz. Byliśmy rozproszeni po całym więzieniu. Nie sadzali nas wtedy razem, ponieważ było nas jeszcze stosunkowo niewiele.

Nie spotkałem się z nimi na Waładarskiego. Ale wiedziałem, że tam są. Udało mi się dowiedzieć, w jakich celach mogą się znajdować.

Kiedy pana przenieśli z Waładarki?

Na początku lutego 2021 roku przyszli śledczy i powiedzieli, że wkrótce przedstawią mi sprawę, bo wstępne śledztwo dobiega końca. Oni zapowiadali, że zapoznają nas z materiałami sprawy karnej, a następnie przekażą ją prokuratorowi i sądowi. Po zapoznaniu się z aktami, czyli pod koniec marca, kiedy przekazano sprawę prokuratorowi, okazało się, że Sąd Miejski w Mińsku, który miał nas osądzić, powołał się na zajętość, przeciążenie pracą i nie przyjął naszej sprawy. Sprawę przejął Sąd Obwodowy w Mohylewie. Sądy obwodowe mają takie same kompetencje jak Sąd Miejski w Mińsku. Są to sądy wyższej instancji, nie rejonowe, ale obwodowe. Ponieważ nasza sprawa wiąże się z długimi wyrokami, tajemnicą państwową i ekstremizmem, sąd rejonowy nie mógł nas osądzić. Rozumieliśmy, dlaczego sprawę przeniesiono do Mohylewa. Władza uznała,

że tam, na prowincji, przyjdzie mniej ludzi na rozprawę i w ogóle będzie ona przykuwać mniejszą uwagę. Nasz proces był zamknięty.

Dlaczego?

Powołano się na formalny powód: jeden z naszych kanałów „Moja Kraina Białoruś”, który był przedmiotem postępowania, został wówczas uznany za ekstremistyczny. Ponadto sprawa dotyczyła tajemnicy państwowej. Jak się potem okazało, tą tajemnicą było zaświadczenie z Centralnej Komisji Wyborczej o tym, że taka a taka osoba należała do grupy inicjatywnej lub była pełnomocnikiem Cichanouskiego. Na rozprawie nie było więc obserwatorów. Zaś dziennikarzy wpuszczono tylko na ogłoszenie wyroku ostatniego dnia.

Przed rozprawą przewieziono nas do aresztu śledczego nr 4 w Mohylewie. I tam przebywaliśmy. Od 12 kwietnia do 14 września 2021 roku. Czyli pięć miesięcy.

Jak wyglądał ten etap z Mińska do Mohylewa?

Tak jak zwykle wyglądają standardowe etapy, bo to nie był etap specjalny. To zazwyczaj wygląda tak: informują cię na dzień lub kilka dni przed wyjazdem, że jedziesz na etap. Wypełniasz formularz, wpisujesz swoje rzeczy, wszystko, co masz. Jeśli znasz rozkład etapów, możesz nawet przypuszczać, dokąd mniej więcej pojedziesz. My wiedzieliśmy, że do Mohylewa, bo tamtejszy sąd przejął sprawę.

Sam proces przeniesienia wygląda tak, że najpierw zabierają cię do specjalnej celi i tam cię przeszukują, żeby upewnić się, że nie masz niczego zakazanego. Potem oddają cię konwojentom. Oni też cię przeszukują dla pewności. Potem ładują cię do więźniarki. Zabierają cię na dworzec i wsadzają do pociągu. To tak zwany wagon stołypiński przystosowany do przewozu więźniów i osób zatrzymanych. Umieszczają cię tam i zabierają do celu, może to być tranzytem przez inne więzienie albo bezpośrednio. Tam konwój przekazuje cię administracji tego więzienia. Jesteś przeszukiwany przez ich funkcjonariuszy.

Każde więzienie ma swoje własne, specyficzne zasady dotyczące określonych przedmiotów. To znaczy, że w niektórych miejscach coś może być dozwolone, a w innych zabronione. W związku z tym rzeczy są ponownie przeszukiwane. Zabierają to, co zabronione, i to trafia do magazynu. Robią inwentaryzację zabranych rzeczy. Dostajesz wszystko, czego potrzebujesz:

materac, kubek, inne rzeczy. To również zajmuje trochę czasu. Tam są jakieś cele, w których jesteś tymczasowo przetrzymywany. Rejestracja, badanie lekarskie, robienie zdjęć itp. Następnie zostajesz przydzielony do właściwej celi.

Jakie były warunki w Mohylewie?

Były lepsze niż w Mińsku, bo więzienie nie jest tam takie ciasne. W Mińsku były trzypiętrowe prycze, a w Mohylewie była większa cela na 18 osób z dwupiętrowymi. Był tam większy sklep: więcej towarów, większy wybór. Na Waładarce nie było magazynów, a ludzi było dużo, więc wybór był ograniczony i można było kupić ograniczoną ilość różnych towarów. Nie więcej na przykład niż pięć opakowań mleka skondensowanego, kilka rolek papieru toaletowego i tyle. Nawet jeśli miało się pieniądze, nie można było kupić więcej. A w Mohylewie można było kupić, ile się chciało, jeśli tylko miało się środki. Ja pieniądze miałem, bo ludzie przelewali mi je na konto. Byłem zaangażowany w działalność publiczną, więc miałem, że tak powiem, licznych przyjaciół. Byłem blogerem, miałem 20 tys. subskrybentów. Byłem bardzo znany w obwodzie witebskim i w Mińsku. Miałem wielu sympatyków, którzy mi pomagali i wspierali. Żyłem dzięki wsparciu finansowemu moich widzów – to było moje główne źródło dochodu na wolności i w więzieniu.

Ale to był już 2021 rok i represje już trwały i ludzie chyba zaczęli bać się wspierać finansowo oponentów reżimu?

Tak. Mniej więcej w lipcu 2021 roku zaczęli mocniej dokręcać śrubę, stopniowo aresztując aktywistów, którzy pomagali, wysyłali paczki, przekazywali pieniądze. Ale to był dopiero początek. I tak naprawdę wielu nadal to robiło, nawet w 2022 roku.

Więc nie było aż tak źle. W kolonii karnej było znacznie gorzej, bo kiedy wyrok się uprawomocnia, jesteś już skazany, to zasady są zupełnie inne. Tylko bliscy krewni mogą ci pomóc, a ja nie mam bliskich krewnych, więc oficjalnie nikt nie mógł mi pomóc. Nawet gdyby ktoś bardzo chciał.

Jak pan trafił do kolonii karnej?

Nasza rozprawa odbyła się 25 maja. Mieliśmy 10 dni na odwołanie się do sądu wyższej instancji. Złożyliśmy apelację do Sądu Najwyższego Białorusi. Do 27 sierpnia nasza sprawa była rozpatrywana w Sądzie Najwyższym.

Ostateczna decyzja to oddalenie apelacji. Złożyliśmy protest, twierdząc, że nie przyznajemy się do winy; niczego nie udowodniono. Ale uznali, że wyrok pozostał w mocy: pięć lat w kolonii karnej o wzmocnionym rygorze¹⁰.

Po uprawomocnieniu się wyroku zostaliśmy przewiezieni przez Homel do Bobrujska, ponieważ nie było bezpośredniego etapu z Mohylewa do Bobrujska, do Kolonii Karnej nr 2. Zostaliśmy przydzieleni do różnych kolonii karnych, żeby się nie spotykać. W sprawie było nas siedmiu i każdy trafił do innej. Ktoś do Kolonii Karnej nr 22, tzw. wilczych nor, niektórzy do Wićby, ktoś inny do Nowopołocka, do Kolonii Karnej nr 15 w Mohylewie, jeszcze inny do Szklowa. Ja zostałem skierowany do Kolonii Karnej nr 2 w Bobrujsku. Trafiłem tam, ale spędziłem dwa tygodnie w Homlu w tranzycie z powodu koronawirusa, więc etapy były dłuższe. Nie raz na sześć dni, ale raz na 12 dni. A 27 września 2021 roku przybyłem do Kolonii Karnej nr 2.

Jak wygląda ta kolonia karna?

Pod wieloma względami to wciąż pozostałość czasów sowieckich. Przyjeżdża się od razu na kwarantannę. W zasadzie tak jest we wszystkich koloniach na Białorusi. Kwarantanna to taki oddział filtracyjny, gdzie trafiają nowo przybyli. Tam uczysz się zasad postępowania, jak się zachowywać, co robić, żeby się przyzwyczaić i zrozumieć, co się dzieje. Czytasz regulamin wewnętrzny i żyjesz zgodnie z nim. W gruncie rzeczy przygotowują ludzi do tego, co ich czeka.

Sam teren jest ogrodzony, z wieżami strażniczymi, płotami i drutem kolczastym. Podzielony jest na dwie części: strefę przemysłową, gdzie odbywa się produkcja i wykonuje się pracę, oraz strefę mieszkalną, gdzie znajdują się oddziały.

W części mieszkalnej są dwu-, trzy- lub czterokondygnacyjne budynki, takie jak hotele robotnicze. Ja byłem w oddziale numer 10, tam są pokoje, jak w hostelu. W każdym jest 20–30 osób. Są tam łóżka piętrowe. Więźniowie rozkładają tam swoje materace. Jest stół, na ścianie wisi radio. Wygląda jak pokój w hostelu czy coś w tym stylu.

¹⁰ Białoruski system penitencjarny rozróżnia dwa rodzaje zastrzonych kolonii karnych: o rygorze wzmocnionym, dla skazanych po raz pierwszy za poważne przestępstwa umyślne (biał. *узмацненая рэжым*, ros. *усиленного режима*), oraz o rygorze surowym, dla recydywistów i skazanych za szczególnie ciężkie przestępstwa (biał. *строгага рэжым*, ros. *строгаго режима*). Zmicier Kaźlou odbywał karę w kolonii o wzmocnionym rygorze.

Drzwi są bez zamków. Jest klamka, żeby je otworzyć, ale się nie zamykają, nie ma żadnej zasuwki ani zamka. Po prostu się zatrzaszczają. Drzwi można otworzyć i wyjść. To jest zatem oddział, taki korytarz, z kilkoma pomieszczeniami mieszkalnymi. Jest biuro naczelnika oddziału, które jest zamknięte, ma kraty. Każdy oddział ma przydzielonego pracownika administracyjnego, który jest, że tak powiem, szefem tego oddziału. Jest też toaleta. Jest „lenkomnata”¹¹, świetlica, jest telewizja, radio, można posłuchać muzyki. Ta nazwa „lenkomnata” pochodzi z dawnych czasów, sowieckich, czyli za czasów komunizmu stało tam pewnie popiersie Lenina i wykonywali tam pracę ideologiczną. Teraz organizują tam także wszelkiego rodzaju zebrania, wykłady ideologiczne, na przykład o roli narodu radzieckiego w wielkiej wojnie ojczyźnianej, o partyzantach i bohaterach radzieckich i tak dalej, pokazywali też filmy dokumentalne.

TRZYPIĘTROWE PRYŻE W TRZECH RZĘDACH. MYSZY, SZCZURY, KARALUCZY.
LATEM, W UPALE, STAŁE UNOSI SIĘ TAM MGŁA. BARDZO WILGOTNO.
NIC NIE WYSYCHA. CZASAMI KAPIE Z SUFITU.

W Mozyrze, gdzie odbywałem później karę, zbierali od czasu do czasu ludzi, żeby oglądali wiadomości. Z kanałów telewizyjnych, takich jak Białaruś-1, zgrywają część programu, jakiś fragment wiadomości, na przykład w niedzielę zbierają ludzi, aby przez godzinę oglądali propagandę. W Bobrujsku było prościej, były kanały kablowe, w tym specjalistyczne, takie jak sportowy, filmowy, naukowy i wszystko inne. Można to było oglądać. Ale na przykład w Mozyrzu były tylko te standardowe, taki pakiet podstawowy: Białaruś-1, Białaruś-2, STV, ONT – czyli kanały czysto propagandowe.

Dlaczego trafił pan do Mozyrza?

Gdy odbyłem swoją karę, to potem dołożyli kolejną odsiadkę z artykułu 411 – za niesubordynację wobec administracji kolonii karnej. Miałem zostać zwolniony 28 listopada 2024 roku, ale dodali mi rok. Miałem nową sprawę karną, proces, a potem apelację i znów trafiłem do Mohylewa.

¹¹ Lenkomnata (ros. *ленкомната*, skrót od: *ленинская комната*, dosł. „pokój leninowski”) – w sowieckich internatach, koszarach i zakładach pracy świetlica służąca jednocześnie jako sala agitacyjna i wychowawcza, wyposażona zazwyczaj w portrety Lenina, gazety, czerwone kąciaki i materiały propagandowe; miejsce zebrań, pogadarek ideologicznych i oficjalnych komunikatów. Dziś „lenkomnata” jako instytucja właściwie nie istnieje, choć samo słowo przetrwało w języku potocznym jako ironiczne określenie każdego pokoju świetlicowego o „oficjalnym” charakterze.

Kiedy wyrok się uprawomocnił, trafiłem do więzienia o surowym rygorze, tam trafiają recydywiści. Otrzymujesz też mniej pieniędzy na zakupy – cztery jednostki podstawowe, czyli 84 ruble. Jest mniej wizyt, mniej paczek – tylko dwie paczki rocznie.

Wróćmy jeszcze do Bobrujska. Czym się pan tam zajmował, jaką pracę wykonywał?

Jak większość, zajmowałem się początkowo demontażem opon, bo obok jest fabryka opon Bielszyna i do kolonii karnej trafiają wadliwe towary. Z tej gumy wyciąga się drut, a gumę oddaje i oni robią z niej różne rzeczy. To praca niewymagająca kwalifikacji. Przepracowałem tam dwa tygodnie. Potem skierowali mnie do strefy przemysłowej, gdzie już pracowałem regularnie po osiem godzin dziennie jako operator urządzenia do druku termicznego. Robiłem szewrony. Używali technologii – nie haftowanej, jak to zazwyczaj robią, lecz drukowanej. To znaczy, że używali specjalnej mieszanki z PCW, barwników i kilku innych materiałów, która pod wpływem ciepła stawała się twarda jak guma. Używali jej do robienia szewronów, insygniów wojskowych i cywilnych na wszelkiego rodzaju odzież, naramienniki i różne gwiazdy. To były rzeczy dla białoruskich służb mundurowych, głównie dla wojsk granicznych, ale też czasem dla klubów patriotycznych, jakichś fabryk. Wiem, że kiedy wybuchła wojna, w innym oddziale szyli mundury wojskowe dla armii rosyjskiej. Słyszałem, że jakieś jednostki tam produkowały części pocisków, rakiet czy coś w tym stylu, ale to było ściśle tajne. Mówili o tym, ale sam tego nie widziałem. Ostrzegali, że jeśli ktoś tam wejdzie, ktoś z zewnątrz, to trafi do izolatki. Słyszałem więc tylko plotki, że zaczęli to robić. Szyli też torby na wojskowe apteczki pierwszej pomocy. Robili skrzynie na pociski, na rakiety Grad. Widziałem tylko te skrzynie. To wywożono w ogromnych ilościach od 2022 roku.

Jak traktował pana personel?

Traktowali mnie inaczej niż wszystkich innych więźniów. W 2021 roku wszystko było jeszcze w miarę w porządku. Stopniowo zasady zaczęły się zaostrzać i doszło do tego, że w 2024 roku my, więźniowie polityczni, byliśmy naprawdę jak odrębna, zamknięta kasta. Warunki stały się bardzo surowe.

Początkowo było w porządku; owszem, była pewna utrata praw, ale nie aż tak znacząca. A potem, z każdym dniem, coraz bardziej zaostrozali przepisy, aż doszło do tego, że zrobiło się naprawdę ciężko. Na przykład nie można było tam uczęszczać do szkoły zawodowej, uczyć się. Nie można było uczestniczyć w różnych zajęciach, takich jak sport, kluby i sekcje. Doszło do tego, że nawet do cerkwi nie można było pójść. Odwiedziny były praktycznie niemożliwe również dla więźniów politycznych, generalnie nie pozwalano im na długie wizyty. To znaczy, kiedy ktoś przykładowo brał ślub, pozwalano na jeden dzień, choć zazwyczaj jest prawo do długiego spotkania z bliskimi, nawet do trzech dni. Potem, w 2024 roku, zaczęli praktycznie pozbawiać nas prawa do krótkich wizyt. Znajdywali sposoby, aby uniemożliwić takie widzenia. Na przykład jeśli napisałeś prośbę o krótką wizytę, to umieszczali cię w izolatce i po sprawie. Rozmowy telefoniczne były monitorowane.

Wszyscy więźniowie polityczni, tak zwani ekstremiści, „skłonni do ekstremizmu i innych destrukcyjnych zachowań” otrzymywali żółtą naszywkę, w przeciwieństwie do wszystkich innych, którzy mają białą. To naprawdę przypomina to, co naziści robili Żydom podczas wojny. Wyróżniasz się z tłumu i zasady postępowania też są inne. Doszło do tego, że w 2024 roku próbowali wszystkiego, żeby uniemożliwić innym ludziom kontakty z nami, nawet grę w szachy czy tryktraka. Osoby, które wykazywały jakiegokolwiek zainteresowanie kontaktami z nami, były specjalnie karane, zastraszane. Potem próbowali powstrzymać więźniów przed przekazywaniem sobie wszelkich różnych rzeczy. Ten system jest bardzo złożony, z wieloma nieformalnymi praktykami i wiele ograniczeń było też związanych z tym.

Czy był pan umieszczany w izolatce?

Tak, to obowiązkowa procedura, gdy zostaje się później oskarżonym na podstawie artykułu 411. W Kodeksie karnym zapisano, że ten artykuł stosuje się w przypadku umyślnego nieposłuszeństwa wobec poleceń funkcjonariuszy. Przewiduje on skazanie na karę więzienia, jeśli w ciągu roku, gdy byłeś za kratami, skazywano cię na karę w postaci umieszczenia w celi (PKT) lub przeniesienia do specjalnej celi, jednoosobowej, czy na zasady więzienne. Aby znaleźć się w PKT, powinieneś wcześniej dwa razy trafić do izolatki (SZIZO). To może trwać od miesiąca do sześciu miesięcy. Ponieważ mój wyrok dobiegał końca, skazano mnie na minimum

miesiąc w PKT. Miesiąc później zostałem zwolniony i natychmiast zaczęli znów przypisywać mi jakieś wykroczenia, by umieścić mnie w izolatce. Na przykład dlatego, że odmówiłem sprzątaniam i tak dalej. Proponowali, żebym sprzątał toaletę, ale w nieoficjalnym systemie robią to więźniowie o niskim statusie, tak zwani „pietuchy”, cwele, którzy są głównie skazani za pedofilię i wiele innych rzeczy. To odrębna kasta, która istniała jeszcze w dawnych czasach.

Jak wygląda PKT, a jak wygląda izolatka (SZIZO)?

Izolatka to cela, gdzie są składane prycze, podłoga może być drewniana, kafelkowa lub betonowa. Umieszczają tam ludzi, którzy popełnili przestępstwa. Kiedyś kara wynosiła do 10 dni, a od 2024 roku do 15 dni. Ale to nie ma znaczenia, bo wyrok można stale przedłużać. Główna różnica polega na tym, że PKT to, można by rzec, izolatka dla VIP-ów. W izolatce nie ma pościeli, nie dają materaca. W PKT jest pościel, dają materac na noc. W izolatce nie wyprowadzają na spacer, podczas gdy w PKT można wychodzić na spacer codziennie. W izolatce zabierają ci wszystko: grzałkę, herbatę itp., więc możesz jeść tylko to, co ci dadzą: obiad, kolację i to wszystko. Nie możesz niczego sam ugotować; nie masz nic poza pastą do zębów, szczoteczką do zębów, mydłem, ręcznikami i papierem toaletowym. W PKT możesz więcej: możesz mieć herbatę, kawę, kupić towary za kwotę 40 rubli miesięcznie¹², możesz robić zakupy w sklepie, możesz palić, możesz mieć grzałkę i coś sobie ugotować, jeśli masz cokolwiek, zrobić zakupy. W PKT nie jesteś sam, tam mogą być cztery osoby lub sześć, w zależności od kolonii i praktyki. Na przykład w Bobrujsku zazwyczaj przynoszono więźniów politycznych pojedynczo. W Mozyrzcu nie przejmowano się tym; liczba cel była bardzo ograniczona, więc zazwyczaj w celach czterołóżkowych przebywały cztery osoby, a w sześciolóżkowych sześć. Więc trafiasz do PKT, gdy byłeś już kilka razy w izolatce. To zazwyczaj zły znak. Po PKT można trafić do więzienia, do zakładu karnego i później mogą wszcząć sprawę karną z artykułu 411.

Izolatka to jest najczęściej oddzielny budynek w obrębie kolonii. Więzienie w więzieniu. Tam jest oddzielne ogrodzenie, a w środku strażnicy pilnują tych, którzy tam trafiają, aby odizolować ich od reszty osób.

¹² Mowa o rublach białoruskich, równowartość ok. 50 złotych.

Czy spotkał się pan z torturami?

To bardzo szerokie pojęcie, ponieważ za tortury można uznać bezprawne pozbawienie wolności i wszelkiego rodzaju rzeczy, które działają się na Akreścina – nie można tego nazwać inaczej niż torturami. To wszelkiego rodzaju pozbawienie praw i tak dalej. Nie doświadczyłem tortur w klasycznym sensie, czyli tak jak ludzie je sobie wyobrażają: bicie pałkami, nocne przesłuchania i tak dalej. Nie doświadczyłem brutalnej przemocy fizycznej. Ale z pewnością doświadczyłem presji psychologicznej, z próbami wpłynięcia na moje poglądy, światopogląd, pokazania mi, że się mylę, upokorzenia mnie i tak dalej. Zdarzały się też prowokacje.

Czy zmienił pan swój światopogląd?

Nie. Wcześniej było to bardziej abstrakcyjne, rozumiałem z grubsza, co się dzieje, jak ten system działa, ale co innego rozumieć to z zewnątrz, a co innego doświadczyć tego samemu. Mnie wcześniej też by nikt nie przekonał, że łukaszenkizm to nie dyktatura, że nie ma tortur, że nie ma bezprawnych aresztów. Ja i tak to wiedziałem, ale gdy zobaczyłem to od wewnątrz, to to zostawia niezapomniane wrażenie na zawsze i zwolennikiem Łukaszenki nigdy nie będę.

Jak wyglądał zwykły dzień w kolonii karnej?

Zakłady karne to zakłady o ścisłym rygorze, co oznacza, że obowiązują tam ścisłe zasady i nie możesz tam robić tego, co chcesz i kiedy chcesz. Wszystko jest ściśle regulowane. Dostajesz sygnał i musisz wstać o 6.00 rano, wszędzie tak samo. W SZIZO, nawiasem mówiąc, budzisz się o 5.00 rano. Budzisz się i jest jakaś gimnastyka na placu albo śniadanie. Można było wyjść się przewietrzyć, można było ćwiczyć, a można było sobie wypić herbatę, posiedzieć. Potem jest inspekcja, wywołują nazwiska i wszyscy odpowiadają, wychodzisz do pracy ze wszystkimi, jeśli jesteś na pierwszej zmianie. Jest trochę wolnego czasu osobistego, zwykle godzina wieczorem. Więc wszystko jest zaplanowane, ujednoczone według harmonogramu, czyli wiesz, co i kiedy robić, kiedy śniadanie, kiedy obiad, zajęcia edukacyjne, sen i wszystko inne.

Jakie było jedzenie?

Powiedziałbym, że jedzenie było stosunkowo dobre. W 2021 roku zmienili standardy dla całego systemu penitencjarnego Białorusi. Jedzenie

się poprawiło, ale ilościowo, powiedziałbym, było go za mało. Nigdy nie przytyjesz, ale nie umrzesz z głodu.

Kiedy pan się dowiedział, że zostanie zwolniony i deportowany?

Zrozumiałem to oczywiście sam, nikt mi tego wprost nie powiedział. Proces zwolnienia przebiegał tak: 11 września, gdzieś około 3.00 nad ranem, jakiś funkcjonariusz obudził mnie. Spałem, było zgaszone światło, on tylko delikatnie mną potrząsnął, szepnął, żebym wstał, cicho się ubrał, zebrał wszystkie moje rzeczy z szafki nocnej. Ubrałem się, wyszedłem, magazyn był już otwarty, moja torba już tam była, spakowana. Dołożyłem wszystkie rzeczy, które miałem: szczoteczka do zębów, pastę do zębów. Zabrali mnie na punkt kontrolny i już rozumiałem, co się dzieje, bo wiedziałem, jak zwalniali Cichanouskiego. My w zasadzie już wiedzieliśmy, że jakaś transakcja się odbywa, i czekaliśmy tylko na moment, kiedy to może nastąpić i kto trafi na te listy.

ŻYŁEM DZIĘKI WSPARCIU FINANSOWEMU MOICH WIDZÓW – TO BYŁO MOJE GŁÓWNE ŹRÓDŁO DOCHODU NA WOLNOŚCI I W WIĘZIENIU.

Ale potem było ciekawie. Przeszukali mnie, dali mi wszystkie rzeczy, które miałem w magazynie, poczekałem trochę na punkcie kontrolnym, potem wyprowadzili mnie poza strefę, był tam cywilny samochód z trzema funkcjonariuszami KGB. Pokazali mi jakiś papier, było ciemno, poświecili telefonem, ledwo widziałem, bałem się, czy to aby nie jest ułaskawienie. Odmówiłbym podpisania takiego dokumentu, bo to by oznaczało przyznanie się do winy. A to był papier o etapie, że niby KGB mnie gdzieś zabiera na jakieś działania. Podpisałem, że się z tym zapoznałem. Pojechaliśmy, patrzyłem na znaki drogowe, słońce zaczynało wschodzić, to znaczy, było już około piątej. Zobaczyłem, dokąd zmierzamy, miałem kilka podejrzeń. Myślałem, że może jeszcze pozwolą mi wrócić do domu, ale to było pół procent prawdopodobieństwa. Inna możliwość to to, że KGB wszczyna nową sprawę karną. Ale na to dawałem kilka procent, może dziesięć.

Jechaliśmy w kierunku Mińska. Kiedy tam dotarliśmy, to był moment, kiedy właściwie wszystko się decydowało, dokąd pojedziemy – do aresztu śledczego KGB czy dalej. Jeśli pojedziemy w kierunku Grodna, gdzie jest granica, to wszystko będzie jasne. Zostanę deportowany, tak jak

poprzednia grupa. Bo wiedziałem, jak w 2022 roku wyglądała deportacja Aleha Hruzdziłowicza, dziennikarza Radia Swaboda. On również został deportowany na Litwę, zatem miałem ogólne pojęcie, co się stanie. Więc zawieźli nas gdzieś w pobliże granicy. Stały tam dwa autobusy, wsadzili nas do nich, zobaczyłem tam wiele znajomych twarzy, zwłaszcza moich przyjaciół i kolegów z Europejskiej Białorusi: Andrieja Wojnicza, Jauhena Afnahela, widziałem tam Maksyma Winiarskiego, widziałem Pawła Mażejkę, z którym też siedzieliśmy w IK-2, dziennikarza Bielsatu, widziałem innych znajomych, widziałem tam Mikołaja Statkiewicza, Mikołaja Dziadoka, widziałem Hienadzia Fiadynicza, z którym również spotkałem się w Bobrujsku w IK-2.

Było więc mnóstwo ludzi. Wiedzieliśmy, że zaraz nas wypuszczą. Byliśmy tak optymistycznie nastawieni, ale kiedy wprowadzili nas do autobusu, zaczęliśmy pytać, co będzie dalej, jak to będzie, czy dadzą nam paszporty. Powiedziano nam, że wszystko nam wyjaśnią, tylko mamy czekać. W końcu autobus ruszył, minęliśmy granicę i gdy wjeżdżaliśmy do strefy neutralnej, zamaskowany oficer KGB, który siedział w przejściu autobusu, szybko wyskoczył. Drzwi zatrzasnęły się i to był koniec. Nikt nam niczego nie wyjaśnił. Mikołaj Statkiewicz natychmiast poprosił kierowcę o otwarcie drzwi. Odmówił deportacji na Litwę. Kierowca nie zgodził się, więc próbował je wyważyć, uderzył w drzwi. Ktoś mu pomógł, chyba Fiadynicz, użyli awaryjnego otwierania drzwi. One się otwały i wyszedł do strefy neutralnej.

Czy kiedykolwiek pan myślał, żeby zrobić to samo?

Nie, nie myślałem o tym, bo po pierwsze spędziłem pięć lat i trzy miesiące za kratami, a jako bloger byłem stale zmuszony konfrontować się z propagandą, wszystko to widziałem i chciałem o tym opowiedzieć. Miałem coś do przekazania, ale nie mogłem. Nie otrzymywałem żadnych informacji i przez długi czas tkwiłem w informacyjnej próżni. Nie dostałem nawet żadnego listu od 2022 roku, więc nie widziałem w tym sensu. Mikołaj Statkiewicz zachował się jak przywódca narodu, czyli dokonał czegoś niezwykłego. Niedawno rozmawiałem z Tomaszem Venclovą i on mówił, że nawet dysydenci jego pokolenia nie myśleli o takim czynie. Kiedy na przykład ktoś był wymieniany, sowieccy dysydenci, większość z nich błagała o wypuszczenie na Zachód. Odmowa nikomu nawet nie przyszła na myśl. Ale Statkiewicz zrobił coś takiego i wcześniej Maryja Kalesnikawa

też to zrobiła. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek inny zrobił coś takiego. Ja miałem wiele spraw na wolności. Nie uważałem się za przywódcę narodu, za osobę, która przewodziłaby całej opozycji, dokonywała jakiegoś niezwykłego czynu albo stawiała się moralnie ponad wszystkimi innymi. Nie byłem na to gotowy. Więc każdy powinien robić to, na co jest gotowy w danej chwili.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.

KOLONIA KARNA TO WYSEPKA NIEWOLNICTWA

Halina Dzierbysz

Zobaczyłam mur z drutem kolczastym i dwóch potężnych facetów z wycelowanymi w nas automatami. Ten, który nas wpuszczał, spytał, gdzie te terrorystki. Odparłam: „to ja i tam jeszcze jest druga, czy mogę jej pomóc wynieść torby?”. No i tak gramolimy się z tymi torbami, a oni, widząc te „terrorystki”, aż automaty opuścili.

Halina Dzierbysz (rocznik 1961)

Aktywistka społeczna, od 2010 roku wielokrotna obserwatorka podczas wyborów na Białorusi, szefowa komisji rewizyjnej stowarzyszenia Wspólnota Polaków (organizacji, która pod wodzą Mieczysława Jaśkiewicza odłączyła się od Związku Polaków na Białorusi). Z zawodu księgowa rewidentka. Poprzez Facebooka poznała się z Mikołajem Autuchowiczem, przedsiębiorcą z Wołkowyska, dawnym „afgańcem” i aktywnym opozycjonistą, więzionym w latach 2006–2008 i 2009–2014. W listopadzie 2020 roku gościła go na nocleg wraz z dwoma kolegami w swoim domu pod Grodnem. W konsekwencji została skazana z artykułów 285 część 2 i 289 Kodeksu karnego na 20 lat w pokazowym procesie o terroryzm, w którym głównym oskarżonym był Mikołaj Autuchowicz.

Spotkała pani już wcześniej Michała Autuchowicza, zanim zgodziła się go pani przenocować?

Nie. Wcześniej jednak sporo rozmawialiśmy na Facebooku. Mnie szczególnie interesowały tematy afgańskie, bo kilku moich kolegów z klasy wylądowało w Afganistanie. Ponadto Autuchowicz był już postacią publiczną, znanym opozycjonistą i wrogiem Aleksandra Łukaszenki. Wtedy w listopadzie 2020 roku odezwał się do mnie i zapytał, czy nie przenocowałabym go wraz z kolegą, bo mają sprawy do załatwienia w Grodnie. Miałam duży dom, więc się zgodziłam. Nie widziałam przeszkód.

Autuchowicz z kolegą przyjechali tak, jak zapowiadał, i po południu pojechali na jakieś spotkanie w Grodnie. Wrócili dosyć późno. Nawet nie za bardzo pamiętam, kiedy dokładnie, bo siedziałam przy komputerze i grałam w karty. A rano wypili herbatę i pojechali.

Taki był niewinny początek, a co dalej?

Chyba następnego dnia dowiedziałam się, może z internetowej gazety „Grodno Live”, że była jakaś historia z samochodem milicjanta w Grodnie, który jakoby został wysadzony w powietrze. Coś w tym stylu. Ale nie zwróciłam na tę informację uwagi. A Autuchowicza też nie pytałam, co on robił w Grodnie. Każde z nas miało swoje życie i sprawy, uważałam więc, że nie mam ani prawa, ani powodu, żeby go wypytywać... A 10 grudnia wpadli do domu funkcjonariusze KGB. Byłam wraz z moją młodszą córką.

Chciałam do kogoś zadzwonić, powiadomić. Wyrwali mi telefon z ręki i wpakowali mnie do samochodu.

Jak wyglądało śledztwo?

Zaczęli od rewizji w domu, w którym została moja córka, mnie zaś zawieźli do KGB. Tam chyba ze czterdzieści razy w kółko opowiadałam im tę historię: kiedy Autuchowicz przyjechał, kiedy wyjechał i o czym żeśmy rozmawiali. A oni znowu mnie o to wszystko pytali. Jeden cały czas pokrzykiwał: „Terrorystka, terrorystka, takie jak ty to sadzać trzeba”.

A gdzie panią trzymano przez ten czas?

Najpierw w budynku KGB przy ulicy Gaja. Tam przez dwa dni nie dawali mi nic do jedzenia. Nie podawano także żadnych lekarstw, które na stałe zażywam. Dosadzili mi do celi więźniarkę, pewnie po to, żeby mnie rozpracowywała. Dała mi jednak kawałek chleba i herbatę. Potem przewieźli mnie do grodzieńskiego SIZO, czyli aresztu śledczego. Najpierw siedziałam z dwiema więźniarkami. Też zadawały dużo pytań o Autuchowicza i o sprawę... Byłam w takim stresie, że wszystko im opowiadałam, ale też: co ja im mogłam opowiedzieć? Opowiadałam to, co wiedziałam. Wreszcie 22 maja 2021 roku wrzucili mnie do karceru na trzy dni i potem już do 15 lipca 2022 roku siedziałam w pojedynczej celi. Tak starali się mnie złamać.

Za co pani trafiła do karceru?

W grodzieńskim SIZO łaźnia była zawsze w czwartki. W pewien wtorek przyszła jednak klawiszka (rubieżka) Iryna Leonidowna (ja je wszystkie swołocze pamiętam) i oświadczyła, że mam iść do łaźni. Pech chciał, że akurat otwierając puszkę, przecięłam sobie palec, więc nie chciałam z zakrwawionym palcem iść. I ona w raporcie napisała, że się jej sprzeciwiałam i głośno się z nią kłóciłam.

Jakie warunki są w karcerze w grodzieńskim więzieniu?

Małe pomieszczenie, dziura w podłodze jako toaleta. Cały czas strasznie śmierdzi z rur kanalizacyjnych. Do karceru wolno zabrać tylko szczotkę do zębów, mydło i cienki ręcznik. Dostałam też specjalny więzienny drelich. Nie chciałam go założyć, bo był tak strasznie brudny, że bałam się liszaju albo wszy. W efekcie o mało co nie dostałam za to dodatkowej

kary. W celi jest tylko przymocowany do podłogi maleńki stolik i tak samo przymocowany do podłogi taboret. Na noc, o 22.00, otwierają ze ściany taką wąską deskę – nibypryczę – i przynoszą materac oraz koc. Ale ta półka jest tak wąska, że materac się nijak nie mieści i chcąc nie chcąc śpisz na podłodze. Jest uchylone okienko i straszny przeciąg. A rano o 6.00 materac zabierają i tę półkę podnoszą. Cały dzień więc albo chodzisz, albo siedzisz na tym stołeczku.

Wcześniej z kim pani siedziała w celi wieloosobowej?

Tam osadzali więźniarki, które miały za zadanie nade mną „pracować”. Była jedna, która siedziała z gospodarczego artykułu o oszustwie, bardzo dobra w psychologicznych chwytach i ona zręcznie cały czas nade mną pracowała. Całe życie byłam praworządną obywatelką, nigdy nie miałam konfliktu z prawem. W takich warunkach zwykły człowiek nie umie się więc znaleźć. Jest w ekstremalnym stresie... Nawet nie wiem, jak wytłumaczyć, co się czuje. I wtedy pojawia się „dobra” współtowarzyszka. To była właśnie ta Nastia. Najpierw mnie pocieszała, a potem zaczęły się opowiadania... co to ze mną będzie, że spędzę w więzieniu resztę życia, że córki się mnie wyrzekną, że sprzedadzą dom i nie będą miała dokąd wracać. No i stopniowo wpadasz w histerię, a ona cię niby uspokaja. W takiej sytuacji nie ma innego sposobu, jak tylko wewnątrznie się na to zamknąć. Tak jakby ktoś zgasił światło – pstryk i już. Nie słyszysz tego, co ona mówi. Pomyślałam sobie: weź się w garść, kobieto, przecież dobrze wychowałam swoje córki, to dobre dziewczyny, one by się nie mogły tak zachować. Nie mogłam tego słuchać i już wręcz planowałam, żeby ją sznurem od grzałki udusić. Ale może zorientowali się, że nic z tego nie będzie i wreszcie ją od nas zabrali.

No a poza tym to jeszcze wprowadzali do naszej celi kobiety chore na tę menelską chorobę – świerzb, z liszajami, a także zakażone HIV, wirusem zapalenia wątroby...

Czy siedziała pani z politycznymi?

Nie, nigdy. Tylko ze skazanymi za narkotyki, zabójstwa i inne przestępstwa przeciw społeczeństwu. Osadzali też w sąsiednich celach jakieś kobiety, które tylko ciągle coś mi przekazywały, że Autuchowicz to, Autuchowicz tamto. Czyli wciąż próbowali mnie podejść. Coś ze mnie wyciągnąć.

Potem była pani już tylko sama?

Praktycznie 14 miesięcy. Trochę mnie podtrzymywali osadzeni, którzy siedzieli już od dawna – tak zwani *kriepcziki*¹. Można było rozmawiać przez rurę kanalizacyjną albo przykładając kubek do ściany.

DO KARCERU WOLNO ZABRAĆ TYLKO SZCZOTKĘ DO ZĘBÓW, MYDŁO I CIENKI RĘCZNIK. DOSTAŁAM TEŻ SPECJALNY WIĘZIENNY DRELICH. NIE CHCIAŁAM GO ZAŁOŻYĆ, BO BYŁ TAK STRASZNIE BRUDNY, ŻE BAŁAM SIĘ LISZAJU ALBO WSZY. W EFEKCIE O MAŁO CO NIE DOSTAŁAM ZA TO DODATKOWEJ KARY.

Czasem z kalifaktorką, czyli więźniarką roznosząca jedzenie, mogłam zamienić kilka słów. Głównie czytałam książki. Jankę Kupałę², Jakuba Kołasa³... to prawie na pamięć się nauczyłam. Ale i tak było lepiej, niż jak potem w czasie rozpraw posadzili mnie z kilkoma więźniarkami...

Czemu lepiej?

Ponieważ mam astmę i źle znoszę dym z papierosów. Kiedyś koledzy przywieźli mi z Indii jakieś lekarstwa i to się w dużym stopniu uspokoiło. Któregoś dnia w sądzie widocznie musiałam się znów tego dymu z papierosów nawdychać, bo miałam atak astmy. Przerwano rozprawę i odprowadzono mnie do celi. Przyszedł lekarz, ja mu wszystko o tej astmie opowiedziałam. No i gdy po kolejnej rozprawie wróciłam do celi, były tam już trzy kobiety i wszystkie paliły. Każda paliła chyba paczkę dziennie. Było bardzo ciężko, ale starałam się nic nie mówić i jakoś wytrzymać. Ciśnienie mi podskoczyło.

Jak wyglądała sama rozprawa sądowa?

Najpierw, chyba w końcu 2021 roku, zaczęło się zapoznawanie z materiałami śledztwa. Wtedy dopiero zobaczyłam, kto jest moim współoskarżonym. Do tego czasu nawet nie wiedziałam, że w ogóle są jacyś współoskarżeni. To byli przeważnie emeryci, inwalidzi z całej Białorusi – z Brześcia,

- 1 *Kriepcziki* (ros. крепичики, od крепкий – mocny, twardy) – więźni weterani o ugruntowanej pozycji w nieformalnej hierarchii osadzonych, cieszący się szacunkiem zarówno wśród współwięźniów, jak i – niekiedy – administracji.
- 2 Janka Kupała (1882–1942) – białoruski poeta, dramaturg, publicysta. Jeden z najważniejszych twórców literatury białoruskiej i jej współczesnego języka.
- 3 Jakub Kołas (1882–1956) – białoruski pisarz, publicysta, działacz społeczny. Obok Janka Kupały drugi najważniejszych twórców literatury białoruskiej i jej współczesnego języka.

z Mińska i ja z Grodna. Niektórych po raz pierwszy w życiu zobaczyłam na rozprawie. A podobno tworzyliśmy jakąś zorganizowaną grupę przestępczą. Ta sprawa była szyta grubymi nićmi i jeszcze do tego zbita zardzewiałymi gwoździami.

Kto występował w roli świadka na rozprawie?

Niejaki Paweł Michajłowicz Sawa. Nawet nie jestem pewna, czy to właśnie on nocował u mnie w domu razem z Autuchowiczem, czy nie, bo wtedy z nimi tak dwadzieścia czy trzydzieści minut rozmawiałam. Wówczas musiałam zawieźć gdzieś męża. Ale to właśnie on mnie pomówił. Tyle różnych rzeczy nawymyślał... Było pięć protokołów i w każdym te same sprawy były opowiedziane w różny sposób. To był recydywista, siedział za jakąś przemoc, wyszedł z więzienia przedterminowo. I to on podpisywał wszystko, czego potrzebowali kagebiści.

Mnie zresztą też próbowali zmusić, żebym podpisała fałszywe zeznania, pomówiła Autuchowicza. Gdybym podpisała wszystko to, do czego mnie próbowali zmusić, to Autuchowicza by od razu rozstrzelali. Nie mogłam jednak zeznawać i potem podpisać zeznania na tematy, o których nie miałam pojęcia. Przecież on ma dzieci, rodzinę. A ja mam sumienie, wierzę w Boga i nie będę pomawiać ludzi. Swój wyrok odsiedzę, ale nie będę kłamać. No i dostałam wyrok.

Czyli kagebiści chcieli, żeby pani złożyła fałszywe zeznania przeciwko głównemu oskarżonemu?

Tak, oni tam fabrykowali sprawę wraz z tym Sawą. Na przykład tam przy jego zeznaniach był jeszcze taki 6. protokół, wizja lokalna i sprawdzenie zeznań na miejscu. W zeznaniach on mówił, że ja miałam ich doprowadzić do willi jednego omonowca, która miała zostać podpalona. I w zeznaniach jest: dom był otoczony siatką. A na zdjęciach z tej wizji lokalnej płot na dwa metry wysoki, na dole cementowy, wykończony ściśle przylegającymi deskami. Gołym okiem było widać, że on tam nigdy nie był, tylko wszystko wymyślał. Opowiadał, że z zewnątrz widział na podwórzu materiały budowlane. Jak on tam mógł cokolwiek zobaczyć na podwórzu, jak w rzeczywistości tam było szczelne ogrodzenie wysokości dwóch metrów?

W innym protokole był opis, że o 11 zadzwonił do Autuchowicza, o 12 pili razem herbatę, a potem o 13 pojechali do kogoś i tam byli do 15-16.

A potem w innym miejscu, że tego samego dnia o 11 zadzwonił do Autuchowicza, a o 12 Autuchowicz wsadził go do autobusu do Mińska...

Ekspertyza medyczna stwierdziła potem, że Sawa jest silnie uzależniony od alkoholu, do poziomu degeneracji, i że jego zeznania mogą być niewiarygodne.

A o mnie to tam jeszcze była taka rzecz – Sawa zeznał, że Autuchowicz w moim garażu trzymał broń. Potem prowadzono bardzo szczegółowe techniczne i naukowe ekspertyzy – i powietrza, i czego się tylko dało, ja to nawet nie wiem jakie, ale w każdym razie one wykazały, że w tym garażu raczej żadnej broni nie było. A Sawa w sądzie nawet całkiem otwarcie odpowiedział na pytanie adwokata, czy widział tę broń, że nie, nie widział jej. To czemu opowiada o jakiejś broni w garażu, skoro jej nie widział, a żadnych śladów nie ma w innych materiałach sprawy... Na to odpowiedział, że śledczy mu tak powiedzieli. I że oni mu podpowiadali, jak pisać i poprawiali... To wszystko w sądzie powiedział. No i taki to był ten dowód przeciwko mnie.

Kto prowadził sprawę?

Sędzia Maksim Fiłatau. Ten, któremu w Lidzie nasrali w klubie sportowym do torby.

?

W sądzie, jak by to nie było dziwne, był taki humorystyczny incydent: Fiłatau wcześniej był w Lidzie i tak tam ludziom zalazł za skórę, że pewnego razu w klubie sportowym włożyli mu gówno do torby. To było dosyć głośne wydarzenie.

No i zaczyna się rozprawa, sędziego przedstawiają, że sprawę prowadzi Fiłatau Maksim Jurijewicz, a Wolha Majorawa, bardzo rozumna kobieta, która z Autuchowiczem prowadziła kanał „Da Woli” na YouTube, pyta: – O, to pan jest TYM sędzią?

Na co sędzia pyta: – Jakim „tym”? – No, no, tym sędzią z Lidy... – Jakim tym?

Na to inny z oskarżonych – Wałodzia Hundar, inwalida bez nogi – wypalił: – No tym sędzią, któremu do torby nasrali...

I taki chichot przeleciał i pomiędzy oskarżonymi, i adwokatami po całej sali.

Ile osób było w sprawie?

Dwanaścioro. Najmłodszy z oskarżonych odpowiadał tylko za uczestnictwo w demonstracjach. Ponieważ odsiedział swoje w śledztwie, więc go niemal prosto z sali sądowej wypuścili. Natomiast Autuchowiczowi dali 25 lat, Majorawej 20, mnie 20, temu Sawie, który wszystko wygadał, też 20... W czasie procesu Autuchowicz go pytał: „Czemu ty Helenę Iwanównę oczerniasz, przecież to wszystko jest nieprawda”. A on na to: „Bo uważam to za słuszne...”.

Czyli współpracował z KGB, a i tak dostał tyle samo?

No właśnie. Teraz boją się wysłać go do kolonii karnej. Trzymają cały czas w więzieniach. Gdy już nas wypuszczali i wywozili na Litwę, jechałam z Kola Statkiewiczem. My się znamy i on mi powiedział, że Sawa cały czas siedzi w SIZO KGB w Mińsku, robi za kajfusa, czyli kalifaktora. Boją się, że jak do kolonii pojedzie, to żywy z niej nie wyjdzie. W koloniach karnych w całej Białorusi oczekują tego Sawy, bo informacje po zonie rozchodzą się wbrew temu, co sobie można wyobrazić.

Jak długo trwał proces?

Cztery i pół miesiąca. Byłam skazana z trzech artykułów: zorganizowana grupa przestępcza, terroryzm i próba przejęcia władzy państwowej siłą. Byłam przecież obserwatorką na wyborach. Czyli na ten ostatni artykuł naprawdę „zapracowałam”. Od 2010 roku byłam na wszystkich wyborach obserwatorem z Komitetu Helsińskiego.

Proces trwał cztery i pół miesiąca. Po pięć dni w tygodniu. O ile dobrze pamiętam, była tylko jedna duża przerwa, która trwała dwa tygodnie. Ogłoszono ją po tym, jak sędziego Fiłataua potrafił samochód. Codziennie przez cały czas rozprawy przed wywiezieniem rozbierano nas do naga i sprawdzali każdy otwór ciała. Potem nasze ubrania kładli do maszyny rentgenowskiej, a my staliśmy tylko w majtkach i czekaliśmy, a potem natychmiast te ubrania żeśmy na siebie wkładali. I po jakimś czasie zaczęły się u mnie pojawiać wysypka, swędzenie, zawroty głowy. I nie tylko u mnie, w zasadzie wszyscy zaczęli to odczuwać. Któregoś razu nie chciałam oddać koszulki do rentgena i za to dostałam siedem dni karceru. Wszyscy wylądowaliśmy w karcercie. Podczas sądu. Ale tym razem dostaliśmy nowe więzienne drelichy, tym razem czyste.

Czy miała pani adwokata?

Tak, broniła mnie grodzieńska adwokatka Swiatłana Biryława. Jak się potem dowiedziałam, już w kolonii od innych więźniów, chyba pozbawiono ją potem licencji, czyli wyrzucono z adwokatury. Pani Biryława to bardzo rozumna adwokatka, niczego złego o niej nie mogę powiedzieć. Na salę rozpraw wpuszczano tylko media państwowe, prołukaszenkowskie. Inne nie miały prawa wstępu. Podczas rozprawy złożyłam wnioski o to, by pozbawiono mnie białoruskiego obywatelstwa, bo mam polskie. Jako polska obywatelka domagałam się wizyty polskiego konsula, polskiego adwokata... Władze na to odpowiadały, że według prawa Republiki Białorusi podwójne obywatelstwo nie istnieje. Potem ponownie na rozprawie domagałam się pozbawienia mnie białoruskiego obywatelstwa, bo, jak pisałam, nie chcę być obywatelką kraju, który na podstawie pomówień i zniesławień niszczy własnych obywateli i wsadza ich do więzienia. W sądzie nie rozpatrzyli tego mojego podania, a mnie znowu wpakowali do karceru.

Jak wyglądała sytuacja z korespondencją?

Mniej więcej od sierpnia 2021 roku przestali mi przekazywać listy. Natomiast w kolonii karnej dostawałam jeden list raz na dwa miesiące, i to wyłącznie od córki. Córka pisała do mnie co tydzień, ale większość listów do mnie nie dotarła. W sierpniu mam urodziny... I zobaczyłam w bazie listów do więźniów, którą stworzyli obrońcy praw człowieka, chyba 160 listów z powinszowaniami.

Po czterech i pół miesiącach procesu wyrok ogłoszony został dopiero po jeszcze kolejnym miesiącu, czyli 17 października 2021 roku?

Tak. Przy czym adwokaci po prostu w drobny mak roznieśli argumentację oskarżenia. Jestem przekonana, że część dokumentów, na których opierało się oskarżenie, była po prostu podrobiona. Jestem z zawodu księgową rewidentem i wystarczy, że popatrzę na dokument, a już się mniej więcej orientuję się, co do czego pasuje. Na przykład zrobili tabelę z rzekomymi telefonami od Autuchowicza do mnie i w drugą stronę. Podobno te dane pochodziły z jego telefonu, ale nie dołączono screenów – jedynie zrobiono tabelę. Domagałam się, by udostępniono mój tablet, który zabrało KGB. Można było wejść do mojego Facebooka i sprawdzić, ale oczywiście tego nikt nie pozwolił mi zrobić. O tym, że w tabeli podano nieprawdę, świadczy

choćby taki przykład: 25 października 2020 roku pojechałam z córką do Grodna na zakupy, ale ponieważ akurat trwała tam akcja protestu, to zostałyśmy zatrzymane koło Kinoteatru Grodno. Następnie od 15 do 22 byłyśmy przetrzymywane przez milicję na posterunku. Trwało to tak długo, bo zatrzymano około stu osób. Milicjanci cały czas spisywali protokoły. Nawet prokuratorka okręgowa Ludmiła Alaksandrauna Hierasimienka dołączyła spisany około godziny 17 protokół zatrzymania. Tymczasem wedle tabeli, którą posługiwała się teraz prokuratura, korespondowałam na komunikatorze z Autuchowiczem. Wychodziło na to, że siedząc w jednym pomieszczeniu z milicjantem i zeznając, jednocześnie miałam z domu prowadzić w Facebooku korespondencję z Autuchowiczem.

GDYBYM PODPISAŁA WSZYSTKO TO, DO CZEGO MNIE PRÓBOWALI ZMUSIĆ, TO AUTUCHOWICZA BY OD RAZU ROZSTRZELALI. NIE MOĞŁAM JEDNAK ZEZNAWAĆ I POTEM PODPISAĆ ZEZNANIA NA TEMATY, O KTÓRYCH NIE MIAŁAM POJĘCIA. PRZECIEŻ ON MA DZIECI, RODZINĘ. A JA MAM SUMIENIE, WIERZĘ W BOGA I NIE BĘDĘ POMAWIAĆ LUDZI. SWÓJ WYROK ODSIEDZĘ, ALE NIE BĘDĘ KŁAMAĆ. NO I DOSTAŁAM WYROK.

Takie „drobiazgi” nie zaprzętały im jednak głowy, bo chcieli na siłę zrobić proces pokazowy. Zebrali emerytów i inwalidów z całej Białorusi – Wolhę Majorawą z Mińska, dwóch oskarżonych z Brześcia, mnie z Grodna – i wytoczyli nam proces. Po prostu chcieli zastraszyć ludzi. Funkcjonariusz KGB, który mnie przesłuchiwał, mówił nawet: „Pani nam jest niepotrzebna, niech pani tylko podpisze zeznania i już. Wypuścimy”. Ale jak ja mogłam poświadczyć, że widziałam u Autuchowicza jakąś broń, skoro nie widziałam i nie miałam pojęcia, co on robił w Grodnie. Przecież ja wierzę w Boga! I Pan Bóg mi pomógł... Kagebista mówił, że może z tej sprawy zrobić drobne chuligaństwo, a może też „ohohoho jaką sprawę!”. No i wyszło „ohohoho”... W Grodnie służy pułkownik Aleh Iwanawicz Waraniecki, szef wydziału śledczego grodzieńskiego KGB. Mówili mi o nim, że on nawet do cerkwi chodzi i świece stawia, ale nic to mu nie pomoże i żadne modlitwy nie zmyją krzywd, które wyrządził... Właśnie ów Waraniecki mi powiedział: „po co ci ten adwokat? Lepiej zeznawaj, jak chcemy, to cię wypuścimy, bo nam jest potrzebny Autuchowicz, a nie ty”. Odpowiadałam, że wiara nie pozwala mi kłamać i gdybym skłamała, to rodzina Autuchowicza jeszcze przez sześć pokoleń by mnie przeklinała.

Odparł, że mnie na 20 lat posadzi. I tak się stało, bo nigdy nie przyznałam się do winy.

A sędzia Fiłatau po prostu spał na rozprawie.

Nie spodziewała się pani jednak takiego wyroku...

Nie spodziewałam się wcale. Za co 20 lat? Za to, że człowieka przenocowałam, nakarmiłam i poczęstowałam herbatą? To był szok. Ale jestem szlachcianką, musiałam się trzymać. Po mamie mam szlacheckie korzenie. Po prostu musiałam... Mama mówiła „usramsą, no nie poddamsą”⁴ (śmiej). Oni chyba myśleli, że jak usłyszymy wyrok, to będziemy sobie z rozpaczy włosy wyrywać, padniemy na kolana albo zemdlejemy. Dostałam 20 lat, Wolha Majorawa także 20, Iryna Melcher, która jest starsza ode mnie i ma ponad 70 lat, usłyszała wyrok 17 lat, Lubou Razanowicz – 15, batuszka Siarhiej Razanowicz – 16. Wałodzi Hundarowi – inwalidzie z jedną nogą – wlepili 18 lat, synowi Razanowicz – 19, a samemu Autuchowiczowi – 25. Taki był wyrok, ale wszyscy wytrzymaliśmy ogłoszenie go spokojnie i z godnością. Jak szedł Fiłatau, wszyscyśmy mu klaskali – „brawo sędzia”. To po prostu trzeba było wytrzymać... Ciężko było.

I zaraz potem przewieziono panią do kolonii karnej w Homlu?

Nie od razu. Jeszcze siedziałam w grodzieńskim więzieniu do apelacji i jeszcze trochę potem, do 23 maja 2023 roku. Cały czas się tam nade mną znęcali. Jeszcze i kolejny karcer zdążyłam zaliczyć. Bo to tak jest, że i więźniarki cię wpuszczają... Na przykład jeden raz mojkę⁵ wsunęły za etykietę mojej buteleczki z żelazem do mycia twarzy. A to jest od razu poważne naruszenie regulaminu. A jak przyszła klawiszka na kipsisz, to od razu prosto do tej buteleczki podeszła i znalazła... Trzy razy w karcerze siedziałam. Łącznie 16 dni.

Czy otrzymywała pani paczki? Czy paczek też mogą pozbawić?

Tak, dostawałam. W więzieniu paczek nie pozbawiali, ale potem w kolonii to się zdarzało. Mnie tylko ciągle widzeń pozbawiali. Przez pięć lat miałam trzy widzenia z córką. Jedno przez szybę i przez telefon, jeszcze w Grodzie,

⁴ Zesram się, a nie poddam się (tłum. red.).

⁵ Ostrze wyjęte z maszyny do golenia.

Czy kryminalne stanowiły większość wśród osadzonych?

No tak. A zawsze „najbogatsze” są polityczne, bo ich rodziny nie porzuciły i przysyłały paczki... No i może jeszcze młodociane narkomanki, którym rodzina coś przysyła. U reszty to z tym słabo. A są i takie, których rodziny się wyrzekły... A ponieważ jeść chcą wszyscy, to strasznie kradną. Jest na piętrze takie pomieszczenie, nibykuchnia, tam stoją metalowe szafki, dwie lodówki i można tam jedzenie trzymać. No i są trzy gniazdka, żeby czajnik włączyć – na 100 osób. Czasem przyjdzie taka z prośbą: daj torebkę herbaty, no to zrobi ci się żal i dasz, a ta zaraz pójdzie i doniesie na ciebie, że taka a taka dała herbatę. I już raport na ciebie piszą i idziesz do SZIZO. Bo politycznej nie wolno nikomu niczego dawać ani od nikogo niczego brać. A kryminalne biorą i dają, zamieniają się, razem jedzą... Na szczęście mnie tam tak bardzo nie prześladowały. Zaprzyjaźniłam się najbardziej z kilkoma kobietami, które siedziały z artykułu 139. To przede wszystkim starsze już wiekiem kobiety, które mężów zabiły... To najporządniejsze osoby.

PRZEZ PIĘĆ LAT MIAŁAM TRZY WIDZENIA Z CÓRKĄ. JEDNO PRZEZ SZYBĘ
I PRZEZ TELEFON, JESZCZE W GRODNIĘ, A POTEM DWA W KOLONII
KARNEJ. A POZA TYM MOGŁAM PRZEZ TELEFON PRZEZ TRZY MINUTY
ROZMAWIAĆ CO MIESIĄC.

Ale też siedziałam z takimi trzema koleżankami, które czwartej głowę ucięły, i z taką chudziutką, drobniutką, co dziecko zabiła i poćwiartowała, bo tak jej kochanek kazał... I była też taka już starsza osoba, która wnuka zabiła, to ona nawet w cerkiewnym chórze śpiewała – bo na terenie kolonii jest cerkiewka. I to wszystko są bardzo szanowane przez administrację osoby. Mnie nigdy śpiewać nie pozwolili. Ale były też i takie przypadki, i to niejednym, gdy kobieta siedziała za próbę zabójstwa męża i dostała dziewięć lat, choć mąż żył i listy nawet do niej do kolonii pisał... Tylko że rodzina miała znajomego milicjanta i przy jego pomocy pozbyto się niewygodnej baby. A kolonia to taka wysepka niewolnictwa. Kobiety tam za talerz śmierdzącego jedzenia pracują. Szyją mundury dla milicji, KGB i straży pożarnej.

Wiele razy w stosunku do mnie były próby prowokowania ze strony kryminalnych. Była taka sytuacja, że jedna z nich mnie uderzyła w pustym pomieszczeniu gospodarczym... chodziło o to, żebym zaczęła awanturę. Wtedy strażniczki spisują protokół i od razu ja idę do SZIZO.

Była też taka jedna polityczna – D., co nagminnie na mnie donosiła, zresztą nie tylko na mnie, na wszystkie kobiety, które sobie wzajemnie pomagały. Jedna z nich zawsze mi coś kupiła, jak poprosiłam, bo chociaż miałam pieniądze na rachunku, to jako uporczywie naruszająca regulamin miałam ograniczony limit do 84 rubli. W zamian zawsze coś jej z paczki dawałam... Potem nas trzy porozrzucali po innych oddziałach.

Skąd pani wie, że doniosła właśnie ta kobieta?

Wszystkie w całej sekcji widziały, jak D. pisała donos... Trzy kartki zapisała i poszła do funkcjonariusza operacyjnego. Bo sama mówiła, że na nas wszystkie raport napisze... Widać było, że jak tylko coś zauważy, zaraz cyk, na zegarek patrzy i coś tam sobie notuje.

Za co panią karano?

Różne rzeczy były. Na przykład latem, kiedy był upał 30 stopni, zmuszano mnie do dyżurowania przy furtce. A ja mam chore serce i absolutnie nie wolno mi przebywać na słońcu, szczególnie w upale. Prosiłam, żeby mnie w tych godzinach, od 12 do 17, nie wstawiali w grafik. Nie odmawiam pełnienia dyżuru, byle tylko nie w pełnym słońcu. Mnie się po prostu tam słabo robiło. Dziewczyny mi wodę przynosiły, ale zamienić się nie było wolno, bo politycznej nie wolno zamienić... W końcu poszłam do tej, która grafiki ustawiała, i poprosiłam, żeby mnie nie ustawiali w tych godzinach, ale nic, dostawałam dyżury o 13, 14, w końcu poszłam do lekarki, szefowej działu sanitarnego, powiedziałam, że mam takie wskazanie lekarskie, że mi nie wolno w upale stać. A ta tylko powiedziała, że jeśli natychmiast nie przestanę jej głowy zawracać, to zaraz napisze na mnie raport, i wyrzuciła mnie za drzwi. A potem ta, co grafiki układała, napisała na mnie donos, że się do niej w niegrzeczny sposób odzywałam. No i pozbawili mnie widzenia.

Drugi raz to wezwała mnie funkcjonariuszka od spraw wychowawczych, a mnie się guzik przy sukience rozpiął. Wcześniej nie pozwolili mi go przeszyć, „żebym nie niszczyła państwowej własności”. Pewnego razu nie przypilnowałam i guzik się rozpiął. I pozbawili mnie widzenia kolejny raz. A trzeci raz to znowu jedna kryminalna więźniarka, zresztą Polka z pochodzenia, urzędniczka bankowa (ta, która mnie już wcześniej prowokowała do awantury), na mnie doniosła. A jak już masz trzy naruszenia regulaminu, to z automatu zostajesz więźniem „złośliwie

naruszającym regulamin”. A za tym idą kolejne represje i utrudnienia. Na przykład skrócenie widzeń telefonicznych do trzech minut...

No i takie sposoby na oddzielenie człowieka od rodziny.

ALE JESTEM SZLACHCIANKA, MUSIAŁAM SIĘ TRZYMAĆ. PO MAMIE MAM SZLACHECKIE KORZENIE. PO PROSTU MUSIAŁAM... MAMA MÓWIŁA „USRAMSA, NO NIE Poddamsa” (ŚMIECH). ONI CHYBA MYŚLELI, ŻE JAK USŁYSZYMY WYROK, TO BĘDZIEMY SOBIE [ROZPACZY WŁOSY WYRYWAĆ, PADNIEMY NA KOLANA ALBO ZEMDLEJEMY.

Tych sposobów presji i robienia życia nieznośnym było wiele. W 19. oddziale trzy razy mnie wrzątkiem któraś niby przypadkiem oblewała (na szczęście tylko raz chlapnęło na nogę, a pozostałe razy na ubranie). I mogę jeszcze opowiedzieć o takiej przygodzie. Chciałam ufarbować włosy, siwa już jestem... Posmarowałam głowę farbą, a to trzeba półtorej godziny trzymać. A tu wezwali mnie do działu medycznego, żeby oddać krew do analizy. No i ja nie zdążyłam w określonym czasie, kiedy wolno nam zajmować się swoimi sprawami, zmyć tej farby. Przyszłam na oddział, proszę klawiszkę o pozwolenie na zmycie farby. A ta nie pozwoliła. I tak w połowie dnia to już mnie tak strasznie zaczęła piec głowa, że nie mogłam wytrzymać. Poprosiłam koleżankę, żeby spojrziała, a ta mi mówi: ty czym prędzej idź do lekarza. Poprosiłam i mnie tam odprowadzili. Pielęgniarka zawołała lekarzy. Okazało się, że mam całą skórę spaloną, opuchniętą... Zmyli mi głowę, potem jeszcze jakimś płynem polewali, maścią smarowali, a potem dwa tygodnie chodziłam na opatrunki i skóra schodziła mi przez pół roku i włosy wychodziły.

A do SZIZO pani trafiła?

Nie, gdy byłam w kolonii karnej ani razu. Uważam, że uratował mnie jeden człowiek, który starał się wielokrotnie, żebym nie dostała tych najgorszych rodzajów kar. Wiem o tym, ale nie mogę oczywiście podać nazwiska. No i ani w SZIZO nie siedziałam, ani paczek mnie nie pozbawiali, co było bardzo ważne, bo coś jednak trzeba jeść. A ja tego miejscowego jedzenia nie mogłam przełknąć, najwyżej ziemniaki jadłam, i to te, które były całe... Zwłaszcza po tym, jak trafił mi się w gulaszu dorodny robak. Taki solidnych rozmiarów, fioletowo-bordowy – ugotowany. „Dziewczyny” – wołam – „Która chce mięso? Już się nie rusza...”. Robaki znalazłam w jedzeniu

dwa razy. Drugi raz to było danie pod szumną nazwą „makaron z kurą”. No makaron jest, marchewka jakaś, a obok leży solidny centymetrowy biały robak z czarną główką. Te kury to w fabryce drobiu zdychają i leżą, mucha siadła, zniosła jaja i larwa się wylęła. Sama widziałam, jak kiedyś mięso wieźli półciężarówką. Środek lata, odwinęła się plandeka, a tam leży jakaś ćwiartka czy to świni, czy wołu, zaschnięta już na wierzchu, sinoczerwona, a nad tym chmura much...

Ja to bym chyba nie przeżyła bez paczek.

A jak wyglądała sprawa z językami? Czy można było używać białoruskiego? Albo na przykład polskiego się uczyć?

Jak przyjechałam, rozmawiałam po białorusku. Od razu mi powiedzieli – zapomnij albo pójdziesz do SZIZO. A polski modlitewnik mi zabrali. Zabrali też Kodeks postępowania karnego, który miałam ze sobą. Była tam biblioteka, ale jak pojawiły się polityczne, to z biblioteki wycofali wszelkie książki prawnicze. Psychologicznych i historycznych też nie dawali, tak samo jak do nauki języków. Można było sobie bulwarowe romanse wypożyczać. Jedno, co mi się udało tam przeczytać, to *Potop* Sienkiewicza. Ale potem tę książkę też usunęli z biblioteki.

O, jeszcze jedną historię pani opowiem. W kolonii jest klub, w którym czasem pokazują filmy, a czasem i koncerty bywają, ale politycznym tam nie wolno na koncerty przychodzić. I tam taka piosenka stale była śpiewana, którą w telewizji ciągle puszczają – *Maja Biełaruś*. To ciągle gdzieś brzmiało niczym hymn. Największą piosenkarką w kolonii była taka dziewczyna Turczynka, skazana za oszustwo, a jako chórek występowały skazane za narkotyki. No i Turczynka śpiewa *Maja Biełaruś*, a chórek dodaje: „zjednoczyła nas”... My polityczne wejść nie możemy, stoimy więc na zewnątrz, słuchamy i tak sobie gadamy: artykuł 209 – oszustwo – śpiewa, że to „moja Białoruś”, potem artykuł 328 – narkotyki, że „zjednoczyła nas Białoruś”. Proszę, proszę, jaka to teraz jest ta Białoruś... Potem na rozmowie z psycholożką (to też klawiszka) powiedziałam o tym skojarzeniu i niech pani sobie wyobrazi, że przestali to śpiewać.

A czy kryminalne traktowały polityczne wrogo?

Zawsze. Tam króluje donosicielstwo. Mnie jeszcze, gdy siedziałam w Grodnie, to ci *kriepcziki*, z którymi rozmawiałam przez ścianę, mówili, że żeńska homelska kolonia to jeden wielki bałagan. Rozwinięte są stosunki

lesbijskie, administracja kolonii to do czasu toleruje, a nawet świadomie przymyka oko, żeby potem te dziewczyny szantażować i mieć kolejne donosicielki i prowokatorki, które zrobią, co im administracja każe.

Porozmawiajmy jeszcze o pani uwolnieniu. Pani nie prosiła o ułaskawienie?

23 lipca 2024 roku poszłam po paczkę od córki, którą specjalnie przywiozła te prawie 600 kilometrów z Grodna, żeby się owoce i warzywa nie zepsuły. Wezwano mnie wtedy do sztabu. Najpierw pomyślałam, że znowu jakieś naruszenie regulaminu, ale okazało się, że przyjechał prokurator z Mińska. Najpierw mnie wypytywał o sprawę, ale ja chyba teraz pani więcej powiedziałam niż wtedy jemu, bo zasłoniłam się tym, że podpisywałam zobowiązanie do milczenia na temat śledztwa. Potem pytał, czy przyznałam się do winy, a ja że nie. No i mówię mu, że nie mogę się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłam. Ale skarżyłam mu się na złe traktowanie i powiedziałam też, że ja mam już status więźniarki politycznej, no i poza wszystkim jestem polską obywatelką, obywatelką Unii Europejskiej. On mi na to: „Pani chyba wie, że nie wyjdzie z tej kolonii. Musi pani napisać prośbę o ułaskawienie”. I podyktował: „Ja taka a taka, osądzona z artykułów takich i takich, przyznaję się w pełni do winy i wyrażam skruchę”. Potem jeszcze miałam napisać, co takiego zrobiłam. Tak zrobiłam, tylko nie napisałam, że w pełni wyrażam skruchę. A potem w opisie dodałam, że moja wina polegała na tym, że przenocowałam Autuchowicza, nakarmiłam go i dałam mu herbatę. Prokurator powiedział mi, żebym jeszcze, skoro jestem obywatelką polską, napisała, że nie mam pretensji do Republiki Białorusi. I tak napisałam – to było wszystko.

POLSKI MODLITEWNIK MI ZABRALI. ZABRALI TEŻ KODEKS POSTĘPOWANIA KARNEGO, BYŁA TAM BIBLIOTEKA, ALE JAK POJAWIŁY SIĘ POLITYCZNE, TO WYCOFALI WSZELKIE KSIĄŻKI PRAWNICZE. PSYCHOLOGICZNYCH I HISTORYCZNYCH TEŻ NIE DAWALI, TAK SAMO JAK DO NAUKI JEZYKÓW. MOŻNA BYŁO SOBIE BULWAROWE ROMANSE WYPOŻYCZAĆ.

A potem, 25 stycznia 2025 roku, znowu przyjechał kolejny prokurator i tym razem stanowczo się domagał, żebym sama już nic nie pisała, lecz podpisała blankiet, że przyznaję się do winy według artykułów takich i takich. No i podpisałam. Po prostu chciałam wyjść stamtąd żywa. Bo to była taka odsiadka do śmierci, bilet w jedną stronę.

A jeszcze miałam ogromne problemy z zębami, które zaczęły się jeszcze w więzieniu w Grodnie. Tam mnie wyprowadzali na spacer w straszny upał. Straciłam przytomność i upadłam, uderzyłam głową i pękł mostek. Cały bok twarzy miałam siny, potem żółty, w ustach pełno krwi... Jeden z zębów został razem z mostkiem wybity, drugi się przesunął, wywiązał się stan zapalny. Oczywiście nie otrzymałam żadnej pomocy lekarskiej, choć prosiłam i zgłaszałam problem. Przez dwa i pół roku chodziłam z wielkim ropniem i przetoką do zatok, nie mogłam oddychać. Już w Warszawie miałam usuwane cztery zęby. Mam pełną dokumentację medyczną.

Rozmowę przeprowadziła Agnieszka Romaszewska-Guzy.

FIZYCZNIE MOŻESZ WYTRZYMAĆ, ALE PSYCHICZNIE SZALEJESZ

Zmicier Kuczuk

Cele były przepełnione. Trafiłem tam w garniturze. Zabrali mi pasek. Spałem na podłodze przykryty kurtką. W Żodzinie były prycze, ale bez materaców. Nie dawali książek. Rano podczas apeli kazali rozstawiać nogi i bili po nich.

Zmicier Kuczuk (rocznik 1974)

Były przewodniczący zlikwidowanej w 2023 roku partii Zielonych, jednego z najstarszych białoruskich ugrupowań. Biznesmen, zajmował się przetwarzaniem odpadów. Pierwszy raz został skazany na 15 dni aresztu w 2021 roku, gdy próbował zorganizować tradycyjny marsz poświęcony ofiarom Czarnobyla. Później zatrzymany 16 lutego 2024 roku, a następnie oskarżony o organizację i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek publiczny bądź udział w nich, a także o wzywanie do działań obliczonych na spowodowanie szkody bezpieczeństwu Białorusi. Skazano go z artykułów 342 i 361 Kodeksu karnego na sześć lat pozbawienia wolności. Prawie cały czas przebywał w jednoosobowej celi. Deportowany na Litwę 11 września 2025 roku.

Czym poza polityką zajmował się pan w życiu cywilnym?

Miałem firmę zajmującą się przetwarzaniem odpadów. Działała w całym kraju. Biznesem zajmuję się właściwie od 1993 roku. Przeszedłem całą drogę białoruskiego przedsiębiorcy – praktycznie od zera. Były wzloty i upadki. Od 2002 roku zajęliśmy się przetwarzaniem odpadów, tzw. zielonym biznesem. Mieliśmy licencję na przetwarzanie sprzętu AGD, zajmowaliśmy się wywozem odpadów, mieliśmy śmieciarki, sprzęt techniczny. Byliśmy jedną z trzech-czterech takich firm na Białorusi.

To była duża firma?

Raczej mała, ale bardzo „głośna”. Zawsze uczestniczyliśmy w pracach nad ustawodawstwem, na przykład w zakresie rozszerzonej odpowiedzialności producentów czy systemu kaucyjnego. Często krytykowaliśmy rozwiązania, które hamowały rozwój biznesu. Na poziomie ministerstw regularnie dochodziło do konfliktów, dlatego nie zawsze pozwalano nam się rozwijać przy wsparciu państwa. Byliśmy bardziej w „opozycji”, a firmy, które mniej krytkowały władze, miały często łatwiejszą drogę do sukcesu. Na różnych etapach biznes układał się różnie – były i duże zyski, i poważne problemy.

Jak funkcjonowała partia Zielonych? Partia na Białorusi brzmi dość osobliwie, bo w zasadzie partie nie mają większego znaczenia.

Naszą partię założył w 1994 roku Aleh Hramyka. To jedno z najstarszych ugrupowań na Białorusi i jego powstanie było początkiem rozwoju zielonego ruchu politycznego w kraju.

Na początku lat 90. XX wieku wszystkie partie przechodziły etap rejestracji. W tamtym czasie na Białorusi było, o ile pamiętam, około 34 partii, w tym trzy partie zielonych. Hramyka naszą, że tak powiem, „zalegalizował”. Zajmował się programami rehabilitacji dzieci czarnobylskich, jeździł w ramach tych programów, rozmawiał w Niemczech z politykami Zielonych. Wtedy usłyszał pytanie: „Dlaczego na Białorusi nie ma takiej partii?”. Po powrocie, w Homlu, uzyskał zgodę na utworzenie partii, nazywającej się wówczas Zielony Świat. Zachowała rejestrację aż do 2023 roku. Pozostałe partie „zielonych” straciły rejestrację wcześniej.

Potem, w latach 90. XX wieku, nastąpił okres bardzo różnorodnego rozwoju partii. Trzeba jednak pamiętać, że po 1994 roku partie, które działały w Mińsku, miały jeszcze swoich przedstawicieli – Zieloni mieli wtedy 17 deputowanych w Radzie Miejskiej. Później jednak przestały się odbywać prawdziwe wybory i w praktyce nie było możliwości dostać się ani do władz lokalnych, ani tym bardziej do parlamentu. Partie mogły brać udział w kampaniach wyborczych, ale bez efektu – bez mandatów.

LICZYLIŚMY NA DŁUGOTRWAŁOŚĆ PROTESTÓW. NIE ZAKŁADALIŚMY
OCZYWIŚCIE, ŻE NA ULICE WYJDZIE 300 TYSIĘCY LUDZI.
WSZYSZY ROZUMIELI, ŻE NA PEWNO COŚ SIĘ WYDARZY.

W 2008 roku partia Zielonych wzięła udział w wyborach, a w 2010 roku kierowałem kampanią wyborczą Juryja Hłuszakoua. Wtedy uznano nas za „najuczciwszą partię”, ponieważ w ostatnim dniu złożyliśmy oświadczenie, że nie zebraliśmy wymaganej liczby podpisów. Byliśmy jeszcze młodzi i uczciwi – nie wiedzieliśmy, że istniało nieformalne porozumienie, zgodnie z którym rejestrowano wszystkich kandydatów, niezależnie od tego, czy podpisy faktycznie zebrano. Jak pokazała praktyka, mało kto zwracał na to uwagę.

Później nowe pokolenie ludzi weszło do polityki. To byli ludzie mniej więcej w moim wieku, którzy stali się trzonem Zielonych. Braliśmy udział

praktycznie we wszystkich kolejnych kampaniach wyborczych: czasem jako obserwatorzy, czasem wystawiając własnych kandydatów.

Zajmowaliśmy wtedy dość specyficzną pozycję – nie dało się nas jednoznacznie przypisać do opozycji. Z jednej strony nie wspieraliśmy władzy, lecz z drugiej – władza sama nie wiedziała, co z nami zrobić. Według badań Narodowej Akademii Nauk Białorusi byliśmy wówczas uznawani za jedną z najpopularniejszych partii. Z czasem jednak coraz bardziej stawaliśmy się partią opozycyjną. Przychodzili nowi ludzie, zmieniała się koniunktura polityczna.

Coraz mocniej skupialiśmy się na ekologii. W 2015 roku do partii dołączyło wiele ekologicznych organizacji pozarządowych i ich liderów. Zostałem w niej pierwszym wiceprzewodniczącym. Partia zaczęła się wyraźnie „zazieleniać” – dominowała tematyka ekologiczna. Wcześniej było w niej więcej anarchizmu czy różnych luźnych idei.

Jednocześnie partia odmawiała zajmowania się polityką w czystej postaci, ponieważ silne NGO, których liderzy byli członkami ugrupowania, mówiły: będziemy promować strategię zielonych idei i wartości, a kiedy w kraju pojawią się uczciwe, wolne wybory, wtedy – dzięki pozytywnemu wizerunkowi – będzie można osiągnąć realne wyniki. Skoro jednak wyborów nie ma, to po co brać udział w tych wszystkich kampaniach?

Lecz przyszedł rok 2020 i sytuacja się zmieniła.

Zrezygnowaliśmy z wystawienia kandydata na prezydenta w 2020 roku, ale uczestniczyliśmy w obserwacji wyborów i coraz bardziej włączaliśmy się w działalność opozycyjnych partii politycznych. Podczas zjazdu partyjnego zapadła decyzja, że ugrupowanie powinno jednak zajmować się polityką, a organizacje pozarządowe niech koncentrują się na projektach edukacyjnych i promowaniu „zielonych” wartości. Wtedy zostałem już przewodniczącym partii.

Potem zaczęła się fala ruchu już *stricte* partyjnego. Jako przewodniczący chodziłem na wszystkie wiece i akcje, a wszyscy członkowie partii działali raczej pod takim „obywatelskim” szyldem. To znaczy ludzie wychodzili nie pod sztandarami czy flagami partyjnymi, lecz jako osoby prywatne.

Czy uważał pan wtedy, że istniała szansa, aby coś zmienić na Białorusi?

W maju 2020 roku mieliśmy w Kijowie spotkanie z przedstawicielami USA. Rozmawialiśmy o strategii partii, społeczeństwa obywatelskiego.

Wtedy uważaliśmy, że same wybory będą nudne. Jednocześnie jednak było widać – i zwracaliśmy na to uwagę – że notowania Alaksandra Łukaszenki są bardzo niskie. Jego realne poparcie społeczne wynosiło około 17 procent. Takie były wyniki sondaży. I nie wiedzieliśmy, co z tego wyniknie. Ponieważ wcześniej, jeśli spojrzeć na 2015 rok i wcześniejsze kampanie, w zasadzie wszystko wyglądało dość rutynowo: tu coś dorzucić, tam coś dorzucić. Dzięki różnym zabiegom wyborczym, różnym „bonusom” w określonych momentach, władzom udawało się jakoś to rozegrać.

Teraz społeczeństwo było zupełnie inne – raczej pełne wątpliwości, niezdecydowane, istniały oczywiste czynniki ograniczające mobilizację. Poparcie dla reżimu malało. I kiedy rozmawialiśmy o strategii, zakładaliśmy, że jeśli zaczną się protesty i jeśli będą one długotrwałe, to wtedy możemy wygrać. Liczyliśmy właśnie na długotrwałość protestów. Nie zakładaliśmy oczywiście, że na ulice wyjdzie 300 tysięcy ludzi. Wszyscy rozumieli, że na pewno coś się wydarzy – nawet patrząc na doświadczenia z 2010 roku, kiedy wychodziło około 50 tysięcy osób, czy później, w latach 2016–2017. Coś musiało się wydarzyć.

Takimi kategoriami wtedy myśleliśmy. Natomiast skala tego, co się stało, liczba ludzi, którzy wyszli na ulice, były dla nas ogromnym zaskoczeniem. Partie polityczne były w pewnym sensie kojarzone ze „starą” opozycją, z przegranymi, z czymś nieaktualnym. Tymczasem pojawili się nowi, młodzi ludzie, którzy mówili: „My teraz wszystkich pokonamy”. Oczywiście w sensie symbolicznym. Dawali do zrozumienia: „wy wcześniej nic nie zrobiliście, więc teraz my przejmujemy inicjatywę”.

Doświadczenie „starej” opozycji nie było wówczas uważane za szczególnie cenne i przydatne. Bardzo trudno było przebić im się ze swoim stanowiskiem. Były nawet sytuacje, kiedy ktoś z bardziej doświadczonych liderów wychodził z megafonem, próbował coś mówić, ale ludzie praktycznie nie reagowali.

Który z kandydatów się panu podobał? Wiktar Babaryka?

Zawsze trzeba pamiętać o jego powiązaniach z Gazpromem. Był wszak szefem Biełhazprbanku. On nie wypowiadał się jasno na temat kluczowych kwestii. Trudno było zrozumieć, jakim jest politykiem i w jakim kierunku pójdzie, bo mówił trochę dla tych, trochę dla tych. A jeśli od dawna jesteś w polityce, rozumiesz, co się za tym kryje – że można skrócić

w jedną albo w drugą stronę. On jednak bardzo dobrze trafił w swoją grupę docelową, czyli w klasę średnią. To było wyraźnie widoczne i być może było to jego dużą zaletą. Oczywiście istniała też obawa związana z ewentualnym „rosyjskim śladem”. Ale on jako bankier miał coś, czego w opozycji często brakowało – historię sukcesu.

Gdyby Babarykę i Cichanouskiego dopuszczono do wyborów i trzeba było wybrać, na kogo głosować, to kogo by pan wybrał?

Babarykę. Siarhieja Cichanouskiego widzieliśmy jeszcze przed rozpoczęciem kampanii, chyba jesienią przed wyborami. Przyjeżdżał wtedy do nas, do środowiska partii politycznych, i już wtedy było widać te cechy, które widać także dziś: problemy z komunikacją, brak umiejętności porozumiewania się. Mam do Siarhieja szacunek – ale są cechy charakteru, które są niedopuszczalne i które lepiej zatrzymać na pewnym etapie.

Sam przechodziłem coś podobnego w 2010 roku: kiedy wysuwa się kandydata, który nie opiera się na zasadach demokratycznych, lecz bardziej na populistycznych czy wręcz autorytarnych, to prowadzi to do takich skutków, jakie widzimy w przypadku Łukaszenki. I właśnie takie nuty były u Siarhieja słyszalne. Gdy człowiek podejmuje decyzje jednoosobowo, nie opierając się na opiniach ekspertów czy ludzi z najbliższego otoczenia, oznacza to, że taki model władzy się utrwali.

*PROTESTÓW NIE DA SIĘ PROWADZIĆ TYLKO W WEEKENDY.
TERAZ WIELU LUDZI TAK MYŚLI, CHOĆ WTEDY BYŁO TO TRUDNIEJSZE
DO ZROZUMIENIA. TRZEBA BYŁO PROTESTOWAĆ CODZIENNIE –
REWOLUCJI NIE ROBI SIĘ W WEEKENDY. POTRZEBNA BYŁA INNA
STRATEGIA.*

W polityce lepiej temu przeciwdziałać. Oczywiście może to być atrakcyjne, gdy ktoś chce szybko przeprowadzać reformy czy podejmować zdecydowane działania, ale kluczowe są mechanizmy równowagi i kontroli. I one funkcjonują właśnie dzięki partiom politycznym, bo każdy człowiek ma ambicje, natomiast w partii jest na przykład trzynastoosobowa rada centralna, która nie pozwoli na samowolę. W ten sposób buduje się wartości i uczy się z nimi pracować.

Natomiast Swiatłana Cichanouska to zupełnie inna osoba – ona jest dojrzała, naprawdę się rozwinęła, słucha, co się do niej mówi, wyciąga wnioski i one dają rezultat.

W 2020 roku raczej nie była dojrzałą polityczką?

Oczywiście to wszystko są pewne rozważania teoretyczne, bo realnych kandydatów w zasadzie w ogóle nie było, a Swiatłana była po prostu kandydatką głosów protestu – to nie jest żadna tajemnica. Nie była kandydatką przedstawiającą konkretne reformy czy program.

Natomiast gdyby dziś – powiedzmy w 2025 roku – startowała w wyborach, to jest oczywiste, że mamy do czynienia z osobą, która przeszła realną drogę polityczną, sprawdziła się i jest dziś najpopularniejszą postacią o największym autorytecie.

Na wybory pan nie chodził, ale chodził pan na protesty, tak?

Tak.

Dlaczego pana zdaniem te demonstracje nie zakończyły się sukcesem?

Protestów nie da się prowadzić tylko w weekendy. Teraz wielu ludzi tak myśli, choć wtedy było to trudniejsze do zrozumienia. Trzeba było protestować codziennie – rewolucji nie robi się w weekendy. Potrzebna była inna strategia.

Uważam, że gdyby decyzje były podejmowane w bardziej uporządkowany sposób, zgodnie z procedurami – jak w partii politycznej – to właśnie do tego by doszło. Tymczasem istniały kanały na Telegramie, zarządzane przez ludzi, którzy myśleli inaczej. Być może prawidłowo, a być może nie do końca trafnie odzwierciedlali strukturę społeczeństwa. To po pierwsze.

Po drugie – zabrakło wyraźnego, symbolicznego, radykalnego momentu eskalacji. Wszyscy mówią, że gdyby doszło do zajęcia jakiegoś budynku administracji państwowej i udałoby się go utrzymać, to mogłoby to zmienić sytuację. Próbowano tego w Pińsku, ale gdyby coś takiego wydarzyło się w Mińsku, być może ludzie później broniliby tego miejsca. Stałoby się ono symbolem. Tego chyba zabrakło.

*NIE POWIEDZIAŁBYM JEDNAK, ŻE PROTESTY PRZESZŁY BEZ ŚLADU.
TO DOŚWIADCZENIE ISTNIEJE, JEST CZĘŚCIĄ NASZEJ HISTORII.
NIE MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE TO BYŁA PO PROSTU PORAŻKA.*

Nie było liderów gotowych na taki krok, a być może i społeczeństwo nie było na to gotowe. Kiedy chodziliśmy na protesty, ludzie bali się nawet

wejść na jezdnię, mimo że było ich bardzo wielu. Protestowali w inny sposób – wszyscy pamiętają symbole typu kapcie i inne formy pokojowego oporu. Tego prawdziwie rewolucyjnego momentu zabrakło, a on jest zawsze potrzebny, zwłaszcza na początku. Bez tego jest bardzo trudno. Dziś być może ktoś byłby gotów zaryzykować, ale wtedy tego zabrakło.

Nie powiedziałbym jednak, że te protesty przeszły bez śladu. To doświadczenie istnieje, jest częścią naszej historii. Nie można powiedzieć, że to była po prostu porażka. Władza natomiast po prostu pokazała swoją dyktatorską naturę. Była krew, były tragedie, Białoruś zapłaciła za to wysoką cenę.

Wtedy pana nie zatrzymano – zatrzymano pana dopiero w 2021 roku, gdy zwrócił się pan do władz Mińska z prośbą o zgodę na protest w rocznicę awarii w elektrowni w Czarnobylu.

Miasto oczywiście zakazało wydarzenia Czarnobylski Szlak, choć wcześniej władze się zgadzały. Przychodziło po 500–1000 osób, zawsze były to pokojowe akcje. Chcieliśmy tylko przejść trasą, złożyć kwiaty pod znakiem pamięci Czarnobyla.

Gdy dziennikarze pytali o demonstrację w 2021 roku, powiedziałem, że nie należy wychodzić masowo, bo nie ma pozwolenia i to niebezpieczne, ale że ja osobiście przejdę tę trasę i złożę kwiaty.

Wieczorem, około piątej, do biura partyjnego zapukali milicjanci, a potem wyważyli drzwi. Postawiono mi zarzut naruszenia prawa, a jako dowód przytoczono nawet to, że powiedziałem, iż „pójdę” – uznano to za wezwanie do nielegalnej demonstracji.

Dostałem za to 15 dni aresztu. W areszcie spotykałem ludzi, którzy trafiali tam zupełnie przypadkowo: ktoś był taksówkarzem, jechał samochodem, ktoś zatrąbił, on pomachał i pojechał dalej – i trafił do aresztu. Ktoś wracał z pracy z Akademii Nauk, przechodził przez miejsce, gdzie miał się odbyć protest, i został zatrzymany. Były takie przypadki. Ludzie zupełnie niezwiązani z polityką odbywali kary razem ze mną.

Gdzie pana osadzono?

Najpierw na Akreścina spędziłem siedem dób, a potem w Żodzinie osiem. Brak materaców, bardzo ciężkie warunki. Paradoksalnie było trochę łatwiej psychicznie, bo wiedziałem, że to tylko 15 dni, i nie myślałem o sprawie karnej.

Gdy wyszedłem na wolność, dał o sobie znać covid – przez tydzień miałem wysoką gorączkę, organizm walczył. W więzieniu, pod stresem, temperatura była niższa, a potem organizm jakby „odbił”. Na szczęście wszystko się później unormowało.

Jakie warunki tam panowały?

Cele były przepełnione. Trafiłem tam w garniturze. Zabrali mi pasek. Spałem na podłodze przykryty kurtką. W Żodzinie były prycze, ale bez materaców. Nie dawali książek. Rano podczas apeli kazali rozstawiać nogi i bili po nich. Odgrywali jakieś scenki: udawali, że kogoś biją w łazience, walili pałkami, krzyczeli – żeby zastraszyć, bo nigdy nie wiesz, czy to prawda, czy nie. Później próbowałem rozmawiać z innymi więźniami i mówili, że to normalna praktyka. Być może jest to przekazywane dalej albo po prostu ich tego uczą – szczerze mówiąc, nie wiem.

Jaka była atmosfera na Białorusi po porażce protestów?

Wielu ludzi emigrowało. Ja przez dłuższy czas nie chciałem wyjeżdżać, bo prowadziłem biznes i było to skomplikowane. Przez pewien czas dało się jeszcze jeździć między Europą a Białorusią, ale później zamknięto mi możliwość wyjazdu. Próbowałem przez Rosję i innymi drogami, ale logistycznie było to bardzo trudne.

Ogółem w latach 2022–2023 pojawiło się poczucie pustki, bo zaczęto mocno „przykręcać śrubę”: nie dało się pisać komentarzy, nie dało się normalnie działać. Publikowaliśmy oświadczenia, ale zawsze wiązało się to z ogromnym ryzykiem. Rozpoczęła się czystka całego pola: wszystkie NGO – około 400 organizacji, w tym także „zielone” – zostały zamknięte i straciły rejestrację. Potem wyjechały media, w związku z czym faktycznie nie mogliśmy przekazywać informacji, bo jedyną możliwością było opublikowanie czegoś na własnym Facebooku i liczenie na to, że ktoś to dalej rozpowszechni.

Wiedzieliśmy, że w pewnym momencie władze wezmą się także za partie polityczne. I ten moment nadszedł, gdy zmieniono ustawę o partiach politycznych: należało zwiększyć liczbę członków do trzech tysięcy, co było po prostu nierealne. Potem przyszły sądy, które decydowały o likwidacji partii politycznych.

Zrozumieliśmy, że w zasadzie na Białorusi nie można już nic zrobić – to taka wielka klatka, jedno wielkie więzienie, z którego właściwie nie ma

wyjścia. To zawsze bardzo przytłaczało, bo byłeś aktywnym człowiekiem, a nagle nie pozwalają ci nawet postawić zwykłego „lajka”.

W historii Białorusi zdarzały się różne okresy, na przykład po 2010 roku po półtora roku coś się wydarzało, potem znowu coś – zawsze wydawało się, że może to właśnie będzie ten rok.

ZROZUMIELIŚMY, ŻE W ZASADZIE NA BIAŁORUSI NIE MOŻNA JUŻ NIC ZROBIĆ – TO TAKA WIELKA KLATKA, JEDNO WIELKIE WIĘZIENIE, Z KTÓREGO WŁAŚCIWIE NIE MA WYJŚCIA.

Pojawiało się jednak poczucie beznadziei, ciągłe przygnębienie, brak perspektyw, coś w rodzaju emigracji wewnętrznej. A jednocześnie miałeś nadzieję, że może jednak po ciebie nie przyjdą – chociaż każdego ranka budziłeś się i zaraz sprawdzałeś, czy nie ma 40 nieodebranych połączeń.

To poczucie zostało we mnie do dziś nawet teraz, kiedy mieszkam w Wilnie. Gdy ktoś gdzieś idzie za mną, automatycznie się napinam. Został ten odruch. Tak działa nasz mózg. Pracuję nad tym z psychologiem.

Ostatnie pana zatrzymanie miało miejsce po zabójstwie Aleksieja Nawalnego. Dlaczego ten rosyjski polityk był dla pana tak ważny?

Śmierć Aleksieja Nawalnego w więzieniu była momentem granicznym. Zawsze mówiono na Białorusi, że zmiany w Rosji wpłyną na zmiany u nas. Ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że na Białorusi zmiany mogą nastąpić szybciej i w sposób niezależny, bo społeczeństwo jest zupełnie inne. Mimo wszystko istniała nadzieja, obecna w białoruskim społeczeństwie obywatelskim, że jakieś zmiany nadejdą. I kiedy umiera ta ostatnia nadzieja – tak znany rosyjski polityk, symbol walki o demokrację – to jest moment szoku. Uświadamiasz sobie wtedy całkowitą beznadzieję: nie możesz zajmować się działalnością społeczną, wszystko jest zamknięte.

Wtedy, w lutym 2024 roku, wyszedł pan z kwiatami przed rosyjską ambasadę w Mińsku.

Tak, chciałem po prostu oddać mu hołd, bo człowiek zmarł w więzieniu. Przeczytałem tę wiadomość rano. Są momenty, gdy trzeba wziąć na siebie odpowiedzialność – bo w pewnym sensie jesteś liderem. Liderem jest się właśnie dlatego, że bierze się odpowiedzialność. I poszedłem przed ambasadę. Widziałem, że stoją tam autobusy, że wszystko jest obstawione. Było

oczywiste, jak to się skończy, ale nogi same mnie tam niosły. Przyjaciele mówili: „wsadzą cię do więzienia”. Wydawało mi się, że może dostanę dzień za kratami, może jakoś się uda. Jeden z przyjaciół, mój wspólnik biznesowy, próbował mnie odwieść, ale nie posłuchałem go. Poszedłem pod ambasadę – 30 dni aresztu, potem sprawa karna.

Czy w porównaniu z 2021 rokiem coś się zmieniło w 2024 w systemie odbywania kary?

W 2021 roku, przy Czarnobylskim Szlaku, to było 15 dni – ciężko, ale jeszcze do przeżycia. A w 2024 roku miałem świadomość, że może się to zakończyć sprawą karną.

Cele były znacznie bardziej przepełnione. Siedzieli tam głównie ludzie zatrzymani za wydarzenia z 2020 roku, za politykę. Wszyscy bali się, że zostaną im wytoczone kolejne sprawy karne. Ludzie spali na podłodze, bo na 17 osób było osiem prycz, nie było normalnego dostępu do prysznicy. Trafiłem tam w lutym. W celi byli ludzie siedzący tylko w majtkach, bo wilgotność była skrajnie wysoka – było bardzo gorąco, po ścianach spływały krople wody. Cella nazywała się „Ibiza”. Ludzie polewali się wodą raz dziennie, czasem rzadziej, bo brakowało wszystkiego. Okna były szczelnie zamknięte, tylko wąska szczelina dawała trochę świeżego powietrza. Do tego dochodziły insekty – nie karaluchy, ale inne owady, których nie dało się pozbyć. Były w ubraniach i wkrótce swędziało całe ciało. Przez trzy doby nie zaprowadzono mnie pod prysznic. Warunki były bardzo ciężkie, choć nie było bezpośredniej przemocy fizycznej.

OKNA BYŁY SZCZELNIE ZAMKNIĘTE, TYLKO WĄSKA SZCZELINA DAWAŁA TROCHĘ ŚWIEŻEGO POWIETRZA. DO TEGO DOCHODZIŁY INSEKTY – NIE KARALUCHY, ALE INNE OWADY, KTÓRYCH NIE DAŁO SIĘ POZBYĆ. BYŁY W UBRANIACH I WKRÓTCE SWĘDZIAŁO CAŁE CIAŁO.

Po pewnym czasie przeniesiono mnie do celi, gdzie na sześciu metrach kwadratowych przebywało 13 osób. Nie było normalnych prycz – wszystko było przytwierdzone, spało się na podłodze, na kafelkach. W nocy nie dało się obrócić, nie dało się normalnie usiąść na kurtce. Liczba osób się zmieniała: czasem 13, czasem 11, czasem 9, czasem nawet 7, ale warunki pozostawały skrajnie trudne. O pościeli czy materacu nie było mowy – to był luksus.

Gdy postawiono mi zarzuty karne, przeniesiono mnie do aresztu tymczasowego (IWS). Tam było jeszcze trudniej. Trafiłem do bardzo małej celi, liczącej może około czterech metrów kwadratowych. Było w niej 10 osób. Spali ci, którzy się zmieścili – ciało przy ciele – a trzech stało. Zmieniali się co trzy–cztery godziny, żeby każdy mógł choć chwilę się zdrzemnąć. W dzień nie wolno było się kłaść – fizycznie też było to niemożliwe. Maksymalnie można było na kurtce przysiąść. Wszystko było monitorowane kamerami.

Siedem dni w takich warunkach to formalnie niewiele, ale w rzeczywistości jest to tortura. XXI wiek, a ludzi traktuje się w ten sposób – wyłącznie więźniów politycznych. Osoby zatrzymane za sprawy administracyjne lub kryminalne przebywały na innych piętrach i w innych warunkach. Te dwie konkretne cele aresztu śledczego były przeznaczone właśnie dla politycznych. I tak, moim zdaniem, jest do dziś.

Jak władze dowiedziały się, że brał pan udział w protestach w 2020 roku?

Telefon miałem wyczyszczony. Kiedy trafiłem za kraty, przyszedł funkcjonariusz, nie przedstawił się, ale przyniósł kilka stron wydrukowanych zdjęć. Byłem na nich podczas protestów w sierpniu 2020 roku – 17 albo 19 sierpnia. Zdjęcia wykonano z bardzo bliskiej odległości, z różnych kątów, m.in. na skrzyżowaniu przy domu towarowym GUM, gdzie stał sprzęt milicyjny, polewaczki i inne. Nie miałem takich zdjęć u siebie. Kiedy zapoznawałem się z aktami sprawy, okazało się, że mieli dokładne moje lokalizacje w czasie marszów, ale dowody opierały się właśnie na tych fotografiach.

Rozmawiałem z tym funkcjonariuszem przez trzy godziny – pytał o moje poglądy, wojnę, politykę. Na koniec powiedział wprost, że będzie sprawa karna. Podstawą było to, że ktoś przesłał te zdjęcia na chat MSW z komentarzem „podjąć środki”. Do tego dołączono moje nazwisko i imię. Jasne, że to zrobili sami funkcjonariusze MSW. Trochę się z tego śmiałem, ale tak to u nich działa. Śledztwo było prowadzone na podstawie artykułu 342 – organizacja i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek publiczny bądź aktywny udział w nich.

Przyznałem się do winy. Śledczy powiedział nawet, że sprawa może trafić do prokuratury i sądu, ale tego nie zrobiono. Zamiast tego dodano artykuł 361 – wzywanie do działań obliczonych na spowodowanie szkody bezpieczeństwu narodowemu Republiki Białorusi. Oni wzięli moje

publikacje na stronach oficjalnych i w mediach społecznościowych: oświadczenia partii przeciw wojnie, przeciw wyborom, dotyczące zamknięcia partii. Łącznie było ich 17, w tym z lat 2017–2018, czyli sprzed wydarzeń 2020 roku.

Ostatecznie dostałem sześć lat więzienia i grzywnę 20 tys. rubli, a za marsz (art. 342) rok i sześć miesięcy. Po połączeniu artykułów wyszło ostatecznie sześć lat i 20 tys. rubli¹.

Gdzie pan wtedy przebywał?

Najpierw, podczas śledztwa, trafiłem do starej „Waładarki” – spędziłem tam dwa tygodnie, potem przeniesiono mnie do Żodzina na dwa miesiące, później do nowego więzienia w Kaladniczach pod Mińskiem², potem do Mohylewa, a po dwóch miesiącach, już po apelacji do Sądu Najwyższego, w marcu trafiłem do kolonii karnej nr 9 w Horkach. Tam zaczęła się silna presja.

Proszę o tym opowiedzieć dokładnie.

Teraz może się wydawać, że to tylko wspomnienia, jakby to nie dotyczyło mnie, ale wtedy było to bardzo trudne psychicznie i moralnie. Cztery razy prowadziłem głodówki. Wszystko zaczęło się od izolatki (SZIZO) za odmowę sprzątnięcia łazienki. Była to prowokacja. Nie byłem dyżurnym, a kierownik oddziału wziął nas we dwójkę i powiedział: „będziecie sprzątać umywalkę albo wyrzucać śmieci”. Oczywiście odmowa traktowana była jako naruszenie przepisów. Dostałem siedem dni izolatki, potem po jednym dniu – kolejnych 10 dób. Wtedy było zimno, bez materaców, bez pościeli, jak to w izolatce. Okna zasłaniaлиśmy kocami, bo był przeciąg. Trzeba było okrywać głowę własnymi kawałkami materiału, by utrzymać ciepło. Budziliśmy się w nocy z powodu chłodu. W izolatce byliśmy początkowo we dwójkę, a potem we czwórkę.

Później trafiłem na trzy dni do części mieszkalnej. W kolonii karnej w Horkach budynki administracyjne były czyste, z telewizorem i podstawowymi warunkami bytowymi. Część mieszkalna była w trakcie remontu, wstawiano okna PCV w niektórych dwukondygnacyjnych budynkach. Było boisko, stadion. Część medyczna była wyremontowana.

¹ Około 25 tys. złotych.

² Areszt Śledczy (SIZO nr 1) w Kaladniczach dla 4 tys. więźniów uruchomiono w 2024 r. po zamknięciu mińskiej „Waładarki”.

Strefa, w której odbywała się produkcja, przypominała małe lub średnie przedsiębiorstwo: szwalnia, metaloplastyka, piekarnia, produkcja odzieży. Materiały i technologie były nowoczesne.

Z moim wykształceniem mogłem starać się o stanowisko brygadzysty lub inne funkcje odpowiadające moim umiejętnościom, ale wszystko to było niemożliwe w związku z artykułem politycznym – celem było odbyte kary.

Czy za kratami miał pan kontakt z rodziną?

Listy przychodziły, ale z opóźnieniem. Na Białorusi została moja mama, ma 76 lat. Przychodziła na widzenia w Mińsku – one się odbywały – ale listów prawie nie było. Otrzymałem tylko dwa, i to z opóźnieniem dwumiesięcznym, bo widziałem stemple pocztowe. Dali mi te listy w momencie, kiedy byłem w silnym stresie. Gdy je przeczytałem, dowiedziałem się, że w domu wszystko w porządku. Moja córka mieszka we Francji, a dwa miesiące po tym, jak trafiłem do więzienia, urodziła się wnuczka. Nie widziałem jej. Potem wykorzystywano to przeciwko mnie, bo czytano prywatną korespondencję. Dopiero pod koniec pobytu otrzymałem długopis, więc celowo wysyłałem listy regularnie co tydzień, żeby wejść w taki rytm. Z mamą korespondowałem, bo z nikim innym nie miałem kontaktu.

Jak wyglądał kontakt z adwokatem?

Jeśli chodzi o adwokata – pamiętam, że moja obrończyni przyjechała do kolonii karnej w Horkach w dniu, gdy wywożono mnie do KGB – nie wpuszczono jej, mówiąc, że nie wiedzą, gdzie jestem. Miała mnie bronić z artykułu 411. Napisałem do mamy, że potrzebuję adwokata. Odpisała mi, co trzeba zrobić: jak złożyć wniosek, jak napisać podanie do kancelarii adwokackiej, wszystko oficjalnie. Zrobiłem to, ale wszystko było blokowane, bo realnej obrony adwokackiej tam nie było. Przyszła jakaś obrończyni, ale odmówiłem jej usług, bo miałem podpisaną umowę z moją adwokatką, która prowadziła moją sprawę karną. W praktyce ta obrona po prostu nie działała. Robili wszystko, żeby nie dopuścić do spotkania z obrońcą, także dlatego, że adwokat to możliwość przekazania i uzyskania informacji. Oni to doskonale rozumieli, bo pisałem wnioski i mówiłem kierownictwu zakładu, że potrzebuję spotkań z adwokatką – nawet na poziomie DPNK (dyżurnego pomocnika naczelnika kolonii), zgodnie ze wszystkimi normami – ale nikt na to nie reagował.

Czy nie było kontaktu ze znajomymi dlatego, że nie wiedzieli, gdzie pan jest?

Wiedzieli, gdzie jestem, ale byłem pozbawiony wszystkich widzeń i paczek. Dostawałem tylko listy.

Gdybym był na oddziale mieszkalnym, być może próbowałbym zadzwonić, ale przez siedem miesięcy byłem faktycznie w SZIZO (izolatka) i PKT (cela więzienna na terytorium kolonii karnej), potem półtora tygodnia na oddziale mieszkalnym i wcześniej tam jeszcze trzy dni. Nie zdążyłem kupić sobie karty telefonicznej ani złożyć wniosku na początku odbywania kary. Po prostu cały czas byłem w PKT, a stamtąd nie wyprowadza się na rozmowy telefoniczne – tam można tylko pisać listy. Ale przez pewien czas nie miałem nawet długopisu ani zeszytu. Nie pisałem do domu, bo nie chciałem, żeby jakieś informacje zostały wykorzystane przeciwko mnie – z punktu widzenia bezpieczeństwa. To była sprawa polityczna, nie zawsze można pisać szczerze, bo rozumiesz, jakie to może mieć konsekwencje. Wydawało mi się też, że inni więźniowie mogą się czegoś dowiedzieć.

Bardzo trudno było wypracować zasady zachowania, przystosować się do tego życia i odbywać karę. Wiedziałem, że wyrok to sześć lat, a minęło dopiero półtora roku.

Czy możemy mówić o torturach?

W pewnym momencie wydawało mi się, że jestem poddawany działaniu dźwięku albo jakiegoś urządzenia, które oddziałuje na mózg i wywołuje ból. Może coś takiego pokazują w filmach albo stosują lekarze wobec osób chorych psychicznie. Odczuwałem taki ból głowy, że aż wykonywałem ruchy głową do tyłu. To zdarzyło się trzy razy – fizycznie było to do zniesienia, ale dla mózgu już nie. Trwało to dosłownie kilka sekund. Raz zdarzyło się w nocy. Być może robili to lekarze, być może były to tortury, a może coś innego. Pamiętam te swoje odczucia i mam je w pamięci, ale z czasem bardzo trudno ocenić, w jakim stopniu było to realne, a w jakim mogło mi się śnić albo być jakimś majaczeniem – tak działa mózg. Dokładnie jednak pamiętam, że to było naprawdę. To, co działo się ze mną w więzieniu, to są wspomnienia, które teraz dokumentują obrońcy praw człowieka – także wy się tym interesujecie. U różnych ludzi są różne przypadki, ale to jest taki system, który prawdopodobnie stosuje się na Białorusi wobec politycznych przeciwników albo więźniów politycznych. I „niski status” – to nie jest tylko mój przypadek, to jest zjawisko powszechne.

Porozmawiajmy zatem o „niskim statusie”. Na czym on polegał?

Po trzech dniach za kratami wszystkie nadzieje na w miarę normalne życie kończą się tym, że zostają wezwany przez więźniów nieoficjalnie „kontrolujących więzienie” (*smotriaszczije za zonoju*)³, grypsujących, ale częściowo współpracujących z administracją, kontrolujących więźniów w ich hierarchii i statusach. Oni nie powinni współpracować z administracją, ale to robią i wykonują ich polecenia. Są zintegrowani z systemem państwowym i realizują dla nich konkretne zadania.

Nagle zaczynają wypytywać o politykę i, o dziwo, o kwestie LGBT+. Każdy wiedział, że byłem przewodniczącym partii, ale skąd oni mieli informację, że w 2010 roku partia brała udział w rozmowach, podczas których poruszono temat LGBT+? Odpowiadałem, że partia organizuje konferencje, uczestniczy w wyborach politycznych, prowadzi dyskusje przy okrągłych stołach. Na jednym z takich „okrągłych stołów” ekspert przedstawił raport na temat LGBT+, byłem tam wtedy obecny. To posłużyło jako pretekst do przyznania mi niskiego statusu, ponieważ według więziennych zasad nie powinienem był siedzieć przy stole z osobą LGBT.

TRAFIŁEM DO BARDZO MAŁEJ CELI, LICZĄCEJ MOŻE OKOŁO CZTERECH METRÓW KWADRATOWYCH. BYŁO W NIEJ 10 OSÓB. SPALI CI, KTÓRZY SIĘ ZMIENIALI – CIAŁO PRZY CIELE – A TRZECH STAŁO. ZMIENIALI SIĘ CO TRZY-CZTERY GODZINY, ŻEBY KAŻDY MÓGŁ CHOĆ CHWILĘ SIĘ ZDRZEMNAĆ. W DZIEŃ NIE WOLNO BYŁO SIĘ KŁAŚĆ.

Poinformowano mnie, że mam „niski status”. Nie zgodziłem się z tym i powiedziałem, że jest to niesprawiedliwe i bezprawne, bo wydarzyło się 15 lat temu, w czasach wolności, a ekspert był zwykłym naukowcem zajmującym się prawami człowieka.

Nikt jednak nie wysłuchał moich argumentów. Udałem się do administracji, ponieważ uważałem, że decyzja była niesprawiedliwa. Istnieje też „status zawieszony”, ale w moim przypadku „niski status” został już oficjalnie przyznany. Trzy osoby podjęły decyzję o tym, bez uwzględnienia tradycji osadzonych.

3 *Smotriaszczije za zonoju* (ros. *смотрящие за зоной*) – dosł. „patrzący za zoną”; nieformalni nadzorcy hierarchii więziennej, pilnujący przestrzegania zasad grypsery wśród osadzonych w kolonii karnej.

Odmawiając przyjęcia „niskiego statusu”, narażałem się na niebezpieczeństwo – mogłem zostać pobity lub zgwałcony w celu złamania psychicznego. W systemie więziennym, jeśli masz „niski status” i sprzeciwiasz się, dochodzi do konfliktów i grypsujący wymuszają podporządkowanie. Musiałem to wewnętrznie zaakceptować.

Spotkałem wówczas wielu więźniów politycznych z „niskim statusem”. Te działania to rodzaj prowokacji wobec politycznych lub ich sumienia, mającej wymusić podporządkowanie się.

Jak wygląda procedura przyznania „niskiego statusu”?

Procedura przyznawania „niskiego statusu” odbywa się zawsze szybko – zbierają ludzi w świetlicy („lenkonnacie”) i informują, że komuś go nadano. W moim przypadku oznaczało to przeniesienie do celi dla cweli, czyli do „pietuszni”. To miejsce dla osób z „niskim statusem”, w tym skazanych za pedofilię, czasami także homoseksualistów wykonujących brudne prace. Takie osoby muszą żyć oddzielnie, chodzić zawsze ostatnie w oddziale, jeść osobno, korzystać z wyznaczonych toalet i umywalek. Nikomu z nich nie można nic dawać.

Skąd pan to wszystko miał wiedzieć?

Zasady te przekazywane są w obrębie więzienia – więźniowie uczą się reguł od innych osadzonych. Pytałem, jak mam żyć w tym systemie, i powiedziano mi, że mam po prostu się przystosować.

Rozumiem, że administracja więzienia nie pomagała, bo to ona de facto stała za przyznaniem tego „niskiego statusu”?

Zgłosiłem sprawę do DPNK, oficera odpowiedzialnego za organizację i bezpieczeństwo. W więzieniu zazwyczaj jest czterech DPNK. Znali mnie i moją działalność polityczną. W odpowiedzi dali mi 15 dni izolatki (SZIZO), w małej celi z toaletą. Słyszałoby rozmowy funkcjonariuszy, którzy znajdowali się za ścianą. Byłem w izolacji sam, co powodowało napięcie psychiczne. W ramach protestu przez pierwsze dwa dni odmówiłem przyjmowania posiłków. Autorytety kryminalne jakoby poinformowały, że decyzję o „niskim statusie” odwołano. Zacząłem jeść. Wyszedłem w końcu z izolatki, a w oddziale powiedzieli mi, że nic się nie zmieniło i mam nadal „niski status”. Byłem w szoku, znów poszedłem do DPNK, a on mi poradził, żeby pogadać z autorytetami. Ma to się odbywać „na

głośno”, to znaczy, że krzyczysz do wentylacji i czekasz, aż ktoś się odezwie. Zrobiłem to następnego dnia rano, ale nikt się nie odezwał. Zacząłem znów głodować. Głodówka trwała siedem dni, nie przyjmowałem ani jedzenia, ani wody. Znów mnie wzięli do izolatki. Zaczęły się mocne naciski. Ludzie mówili, że jestem pedałem, cwelem. Sami więźniowie tak mnie traktowali. Jak rozumiem, rozdawali im papierosy i odbywały się prowokacje. Są jeszcze tacy ludzie, których ja nazywałem „fabryką trolli”, i oni za papierosy podgrzewają atmosferę, rozpowszechniają plotki, coś mówią do ciebie. Na dodatek takie nastawienie milicji do ciebie. Są też głośniki, przez które funkcjonariusze mogą nadawać jakieś fałszywe komunikaty.

W sąsiedniej celi też był więzień, który siedział chyba za protesty w 2020 roku, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Podobno miał być mistrzem świata w jakiejś sztuce walki. Jakoby on też miał „niski status” i któregoś wieczora do niego przyszedł jakiś osadzony i niby odbywali obrzęd przyjęcia na „niski status” – miał dotknąć członkiem do czoła. Następnego poranka przyszli lekarze i było słyhać, że stawiają mu diagnozę „uduszenie”. Jakoby się powiesił. Później za zaniedbanie obowiązków wyrzucono z pracy któregoś z funkcjonariuszy.

ZOSTAŁEM PRZENIESIONY DO „PIETUSZNI”. TO MIEJSCE DLA OSÓB Z „NISKIM STATUSEM”, W TYM SKAZANYCH ZA PEDOFILIĘ, CZASAMI TAKŻE HOMOSEKSUALISTÓW WYKONUJĄCYCH BRUDNE PRACĘ. TAKIE OSOBY MUSZA ŻYĆ ODDZIELNIE, CHODZIĆ ZAWSZE OSTATNIE W ODDZIALE, JEŚĆ OSOBNO, KORZYSTAĆ Z WYZNACZONYCH TOALET I UMYWALEK.

Wszystko to odbywało się, gdy prowadziłem głodówkę i byłem w izolatce. Wtedy przez trzy dni nie jadłem, żółć z żołądka się podnosi i czujesz to w ustach, jakbyś miał katar. Potem pojawia się suchość, nie ma śliny. A potem zaczynają się bóle głowy i poprosiłem lekarzy o tabletkę na ból głowy. Dał mi ją milicjant. Zazwyczaj daje się jakiś zwykły lek, a w więzieniu jest dużo narkomanów i oni dają jakiś lek, nie pamiętam nazwy, którego działanie jest bardzo silne, ale związane z narkotykami.

Zacząłem halucynować, że ktoś mnie zabije. Chodziłem po izolatce z zielonym ręcznikiem i pokazywałem go jak flagę.

Gdy siódmego dnia głodówki przyszli wyprowadzić mnie z celi, to podobno siedziałem na ziemi na kurtce i zakrywałem się klapkami, bo

wydawało mi się, że zaczną mnie bić. W takim stanie wyprowadzili mnie do ambulatorium.

Teraz psychologowie tłumaczą mi, że to nie znaczy, że jestem psychicznie chory, ale oni doprowadzili mnie do takiego stanu. Lekarze wiedzą, że fizycznie możesz wytrzymać, lecz psychicznie szalejesz i mogą cię wysłać do szpitala psychiatrycznego.

Czyli byłem w takim stanie, że siódmego dnia przenieśli mnie do ambulatorium. Podłączali mi kroplówki. Przez około dziesięć minut nie mogli trafić w żyłę, bo po prostu żył już praktycznie nie było. Podawali glukozę. Stopniowo zacząłem jeść.

Na tym oddziale medycznym byli również ludzie – nazwijmy to wprost – z problemami psychicznymi.

Tam pan trafił znów do celi jednoosobowej.

Tak, na oddziale medycznym też są takie jednoosobowe cele, w których osadzani są ludzie psychicznie niezrównoważeni. To niekoniecznie byli więźniowie polityczni. Spędziłem tam pięć dni pod obserwacją lekarzy. Zacząłem normalnie jeść, wracałem do siebie.

Następnie odbyło się coś w rodzaju konsylium lekarzy. Była tam też osoba, która formalnie nie była pracownikiem oddziału medycznego. W rezultacie znów mnie przenieśli – już do PKT. Po tych 15 dobach dostałem dwa miesiące PKT i przez cały ten okres właśnie tam przebywałem. Dodatkowo, w ramach PKT, dołożyli mi jeszcze pięć dób w izolatce. Krótko mówiąc, znów mnie karali.

Czy chodził pan do pracy?

Do pracy? Nie, nie, tam się do pracy nie chodzi. Tam się po prostu siedzi cały dzień w celi. Można wyjść jedynie na półgodzinny spacer. Przez jakiś czas miałem książkę, ale była nieciekawa, a do tego nie miałem okularów, więc praktycznie nie mogłem czytać. Cóż można robić w takiej sytuacji? Próbujesz jakoś poćwiczyć. Było radio – słuchasz, śledzisz wiadomości, próbujesz je analizować. W głowie układasz jakieś plany, próbujesz się czymś zająć, przełączyć myśli. Myślisz o biznesie, o różnych kierunkach, o tym, jak chciałbyś żyć, próbujesz się oderwać od tej sytuacji, od tego momentu. Fizycznie, kiedy już zaczynasz jeść, organizm funkcjonuje inaczej.

Czyli pana stan psychiczny był lepszy?

Dochodziło do wybuchów. Kiedy cię prowokują, wiesz, że nie powinieneś reagować, ale czasem wyprowadzają cię z równowagi. Przez trzy, cztery, a nawet pięć dni możesz po prostu milczeć, ale w końcu nerwy puszczaają. U mnie bywało tak, że zaczynałem płakać, szlochać, bo schodziło ze mnie całe napięcie. Albo zaczynasz wchodzić w konfrontację z milicjantami, odpowiadać im. Przykładowo zacząłem składać meldunki – rano po białorusku, wieczorem po rosyjsku albo po angielsku. Bo skoro mnie doprowadzacie na skraj, to ja będę wam odpowiadał zgodnie z literą prawa. Były też momenty, kiedy mnie prowokowali podczas kontroli. Trzeba było stać i trzymać dłoń w określony sposób, a ja po prostu wystawiłem środkowy palec i tak stałem. Oni oczywiście na to reagowali.

Jak oni reagowali?

Kiedy jesteś taką „białą wroną” w tym kryminalnym świecie, to cała ta presja skupia się właśnie na tobie. Milicjanci prowokują, a przecież są różne zmiany – od piątej rano do piątej po południu, po 12 godzin, potem się zmieniają.

W SZIZO i PKT pracują nie młodzi strażnicy, tylko ludzie z piętnasto-, dwudziestoletnim stażem. Oni mniej więcej rozumieją, w jakim stanie psychicznym jesteś. Ty tego nie rozumiesz – dla nich więzienie to 15 lat życia, a dla ciebie więzienie to miesiąc czy dwa. Ty przyszedłeś z wolności, chcesz żyć swobodnie i siedzisz za politykę, a nie za zabójstwo czy inne przestępstwa kryminalne.

I w tej sytuacji zrozumiałem, że muszę zdobyć zaufanie grypsujących – tej największej i najważniejszej grupy więźniów. Mogłem się do nich odwołać, żeby oni zrozumieli, że ja nie jest cwelem, lecz „człowiekiem”. Świadomie robiłem wszystko, żeby nie przyjmować tego narzuconego statusu. Do toalety chodziłem tam, gdzie chodziłem. Jeśli się goliłem, to wstawałem o czwartej rano, ale nie goliłem się przy tej „właściwej” umywalce. Zachowywałem się dla nich w pewnym sensie prowokacyjnie, ale wiedziałem, że działam jak w polityce – na konkretną grupę docelową, żeby zdobyć u niej autorytet. I to rzeczywiście w końcu zadziałało.

Była też taka historia z masłem. W izolatce masła nie dają. Jakies 20 gramów dają w strefie mieszkalnej. Formalnie jaka jest różnica? I tu, i tu jesteś więźniem. A jednak w izolatce masła nie ma. Kiedy ogłosiłem głodówkę, wracałem akurat ze spaceru i zobaczyłem, że masło dają tylko

tym, którzy są na diecie, a „ludziom” w izolatce nie. Powiedziałem, że protestuję. Nie tyle chodziło o samo masło, ile o to, żeby zatrzymać ten bezprawny nacisk. Powiedziałem, że będę głodował, dopóki nie pokażą dokumentów, wedle których nie mamy prawa do tego masła. W pewnym momencie przyszedł naczelnik – dyżurny zastępca komendanta kolonii – przyniósł dokumenty i pokazał, że w SZIZO jest oddzielne żywienie, trochę inne niż w zwykłej części więzienia, i że masło osadzonym tam nie przysługuje. I takie działania spotykały się z reakcją „ludzi”, największej grupy. Reagowali też grypsujący. W ten sposób zdobywało się pewien autorytet, szacunek w tej więziennej hierarchii.

Kiedy skończyłem te dwa miesiące PKT, to trafiłem do zwykłej części. Ale nadal robiłem swoje, nadal walczyłem.

Już w strefie przemysłowej codziennie próbowali mi wpisywać kolejne kary, chociaż wykonywałem swoją pracę. Nie odmawiałem. Praca pozwalała mi czymś zająć głowę.

I cały czas zastanawiałem się, skąd takie zainteresowanie moją osobą w całej kolonii. Okazało się, że wszystko było bardzo proste: rozpuszczono plotkę, że byłem liderem społeczności LGBT+ na Białorusi. Dopiero później się o tym dowiedziałem. Co pół godziny ktoś przychodził popatrzeć na „głównego pedała Białorusi”. Przychodzili ludzie słabo wykształceni, Cyganie – w każdej kolonii jest taka cygańska diaspora. Jeden z nich przychodził, próbował ze mną rozmawiać, patrzył na mnie, jakby próbował mnie zahipnotyzować. Dla mnie to było śmieszne, nie reagowałem, ale dla niego byłem tym „głównym pedałem”.

Ta schiza, te uprzedzenia, które istnieją w społeczeństwie, tam są skrajnie radykalne. Dla nich to było jak przedstawienie. Strumień ludzi był niekończący się.

Czym się pan zajmował?

Czyściłem wtedy zwoje drutu, które szły do rafinerii Naftan. Trzeba było usunąć olej. Technologicznie wyglądało to tak: drut jest tłusty, myje się go wodą, suszy, a potem sprawdza jakość białą kartką. Jeśli kartka zostaje biała – dobrze. Jeśli zostaje ślad oleju albo mazutu – źle. Trzeba się było tego nauczyć. Były szmaty, woda, odpowiednia technika. Próbowałem bez wody – nie dało się.

Studiowałem kiedyś na politechnice, więc analizowałem proces technologiczny, szukałem w tym sensu.

Poszedłem nawet do majstra i zapytałem: po co czyścić drut, skoro po usunięciu oleju on rdzewieje. On odpowiadał, że to jest praca i chodzi o to, żeby zająć ludzi.

Jedną taką cewkę trzeba było wyczyścić w jeden dzień. Płacili za to 40 białoruskich kopiejek. Wyczyściłem pięć albo siedem cewek, ale kiedy potem pokazali mi raport finansowy, to wyszło na to, że niczego nie robiłem. Okazało się, że moją pracę zapisali na konto kogoś innego. Lider grupy więźniów o „niskim statusie”, która kontrolowała tę – mówiąc eufemistycznie – niszę biznesową, zobaczył we mnie konkurenta, kogoś, kto mógłby mu ten „biznes” przejąć. Mówiłem, że mnie to nie interesuje. I znowu dochodziło do zderzenia interesów; musiałem ten problem z tym człowiekiem jakoś rozwiązać.

KIEDY ZROZUMIAŁEM, ŻE PRZEKROCZYŁEM GRANICĘ, ŻE JESTEM
WOLNY, WRÓCIŁO DO MNIE TO POCZUCIE Z 2020 ROKU: MOŻNA CZYTAĆ
WIADOMOŚCI, NIE TRZEBA SIĘ BAĆ O TELEFON, O KORESPONDENCJĘ,
O NIC Z TYCH RZECZY. COŚ JEDNAK ZOSTAJE W PSYCHICE.

To już była strefa mieszkalna, było gorąco, miałem ubranie. Był taki moment, że kiedy mnie przyjęli, wydano mi nowe ubrania więzienne. Założyłem je i na słońcu bardzo się błyszcząły – wyglądałem znacznie lepiej niż ludzie, którzy mieli już prane ubrania. I kiedy cała strefa szła na posiłek, oddziałami, wszyscy na mnie patrzyli, bo wyglądałem schludnie – tylko dlatego, że ubranie było zupełnie nowe, nigdy nieprane. Do pracy w strefie przemysłowej przebierałem się osobno, w strefie mieszkalnej chodziłem osobno – byłem zadbany.

Codziennie prowadzono mnie do ambulatorium, bo sprawdzano mój stan zdrowia: jadłem tylko chleb. Nie brałem kaszy, zupy ani niczego innego, bo nie miałem odpowiedniego pojemnika. Żeby nie siadać do wspólnego stołu, tylko po prostu zabierać jedzenie. Nie miałem takiego pojemnika; można go było kupić w kantynie, więc czekałem, aż oddział pójdzie na zakupy. Tymczasem inni więźniowie, „ludzie”, podawali mi kawałek słoniny albo ogórka.

Później puchły mi nogi, było mi ciężko chodzić. Chodziłem w ciężkich butach z magazynu, bez sznurowadeł, niedopasowanych do nogi. Na głódówce, przy opuchniętych nogach, chód się zmienia. Idziesz na końcu oddziału, trochę zostajesz w tyle. Złapałem się nawet na takiej

myśli, że to wygląda, jakby pasterz prowadził barany czy owce na wypas. Nie chciałem obrażać innych, ale taka myśl przychodziła mi do głowy.

W strefie przemysłowej wszystkie negatywne zjawiska się nasiliły. Był upał, nie można było stanąć w cieniu, bo tam już stali inni; trzeba było stać osobno. Mi i tak było wszystko jedno, i tak chodziłem tam, czekając na jedzenie. Więźniowie zaczęli reagować na ciebie, bo miałeś „niski status” i – jak mówili – ich prowokowałeś.

Potrzebna była woda. To nie była całkowita głódówka – jadłem chleb – ale potrzebowałem wody. Nie mogłem jej zdobyć, nie mogłem sam odkręcić kranu. Inni więźniowie, „ludzie”, odkręcali kran, żeby woda leciała cały czas, żebym mógł napić się z dłoni.

DO NORMALNEGO FUNKCJONOWANIA POTRZEBNE SĄ ALBO POZYTYWNE EMOCJE, ALBO SEN. TO SĄ DWA OBSZARY, KTÓRE WIĘZIENIE NISZCZY.

Potem byłem w pomieszczeniu, stałem i nagle straciłem przytomność. Kiedy się obudziłem, leżałem wyprostowany jak struna; wydawało mi się, że leżę w trumnie. Przed sobą zobaczyłem Alesia Bialackiego. Zerwałem się: „Alesiu!”, zaczęliśmy rozmawiać. Milicja się wystraszyła – przyszło kierownictwo kolonii, ktoś ze śledczych. Oni dopuścili do tego, że mogliśmy się spotkać. Rozmawialiśmy: powiedział mi, że wypuszczono Siarhieja Cichanouskiego, że jeszcze około stu osób siedzi – anarchiści, dziennikarze. Mówił: „Najważniejsze jest zdrowie”. On przyjechał ze szpitala, był na kwarantannie, dali mu tylko dobę w izolatce – nie wiem dlaczego, to bardzo mało. Szukałem go, wiedziałem, że jest w Horkach, ale nie mogłem go znaleźć; okazało się, że był na leczeniu. Rozmawialiśmy około dziesięciu minut. Mnie wtedy nie zamknęli do izolatki, a jego po dobie zwolniono. Ja znowu trafiłem do PKT – dostałem cztery miesiące, znowu w celi pojedynczej, ale już w części przeznaczony dla osób o „niskim statusie”.

Gdy byłem w strefie mieszkalnej, młodzi funkcjonariusze pokazali mi, jak działa system „rozmów” w izolatkach, i wytłumaczyli, że strażnicy specjalnie mówią głośno o czymś, co może zdenerwować więźnia. Zrobili to specjalnie, w geście solidarności – chyba rozumieli, w jakiej sytuacji się znajdują. Kiedy trafiłem na cztery miesiące do PKT, przestałem już na to reagować, choć było to bardzo trudne. Oni to robili, rozpuścili plotki, że niby umarła moja matka i inne rzeczy; przychodził adwokat.

Skąd pan się domyślił, że może opuści kolonię karną szybciej?

Słuchałem radia – FM Witebsk – często około pół do pierwszej podawano informacje, usłyszałem o negocjacjach między innymi z Amerykanami. Sami milicjanci mówili, że coś się dzieje w sprawie ułaskawień, że Donald Trump rozmawiał z Łukaszenką⁴. Analizowałem to; mówili o dwóch rzeczach: że ułaskawią Kuczuka, Białackiego i wszystkich politycznych, i tych z obywatelstwem amerykańskim. Myślałem, że wyjdzie jakiś dekret czy ustawa o ułaskawieniu, ale z powodu braku informacji zakładałem, że będzie to akt prawny o charakterze legislacyjnym.

Zmieniła się też sytuacja w kolonii karnej. Nie było już takiej obsesji na punkcie tej „pederastii”. Zacząłem normalnie jeść, nie reagowałem na wszystkie te rzeczy. Oni kontynuowali prowokacje, ale robili to już bez przekonania. Sami milicjanci widzieli, że to na mnie w ogóle nie działa. Na przykład brali moje majtki i bieliznę, które były w magazynie depozytowym. Miałem obcisłą, przylegającą do ciała bieliznę w kolorze imbirowym. Oni chodzili z tą moją bielizną po karczerze, pokazując ją innym, żeby udowodnić, jaki ja jestem „na literę p”.

Czyli czuł pan, że niedługo wyjdzie?

Potem nazbierano wiele fikcyjnych naruszeń i wszczęto przeciwko mnie sprawę karną z artykułu 411, czyli za uporczywe naruszanie regulaminu. Chodziło tylko o to, żeby dołożyć mi jeszcze rok, a w konsekwencji przenieść mnie do innej kolonii. Mój proces miał się odbyć w poniedziałek, a w czwartek – w pewnym momencie – otwierają się drzwi celi i każą mi wyjść. Kazali mi się ogolić, choć zwykle golenie było w PKT i w izolatce raz w tygodniu. Wtedy kazali się ogolić od razu. Zrozumiałem, że coś się dzieje w sprawie ułaskawienia. Pięć dni przedtem przyszedł naczelnik i zapytał: „Gdzie jest twój dowód osobisty?”. Odpowiedziałem, że zabrano mi przy zatrzymaniu. To był pierwszy sygnał, że jakieś procesy są w toku. Potem to golenie, zaczęli pakować moje rzeczy, dawali do zrozumienia, że coś się wydarzy.

Otwierają celę, zabierają mnie razem z rzeczami. Rozumiem, że chodzi o ułaskawienie. Potem przewożą mnie do Mińska, do KGB. A po

⁴ W 2025 roku administracja Donalda Trumpa podjęła negocjacje z Łukaszenką w sprawie zwolnienia białoruskich więźniów politycznych. Wysłannik prezydenta USA John Coale odbył w tym celu kilka podróży do Mińska. W wyniku kolejnych porozumień w czerwcu zwolniono 14 więźniów, we wrześniu – 52 (w tym Zmiciera Kuczuka i innych bohaterów tej książki), a 13 grudnia 2025 roku – 123 osoby, wśród nich laureata Pokojowej Nagrody Nobla Alesia Białackiego, Wiktara Babarykę i Maryję Kalesnikawą.

jakimś czasie znajduję się w Wilnie. I w zasadzie na tym cała ta historia się dla mnie skończyła.

Kiedy zrozumiałem, że przekroczyłem granicę, że jestem wolny, wróciło do mnie to poczucie z 2020 roku: można czytać wiadomości, nie trzeba się bać o telefon, o korespondencję, o nic z tych rzeczy. Coś jednak zostaje w psychice – i teraz próbuję zrozumieć z pomocą psychologów, co właściwie się wtedy ze mną działo.

Czy pan sam zgłosił się do psychologa, czy była taka propozycja?

Tutaj, na Litwie, otrzymałem bardzo dużą pomoc. Na początku nie chciałem rozmawiać z psychologiem – mówiono mi, żebym spróbował, ale uważałem, że radzę sobie sam i nie chciałem, żeby powstała jakaś zależność. Potem jednak zaczęły się dziać rzeczy, które mnie niepokoiły. Odbylem trzy sesje. Psycholog wyjaśniła mi, co się ze mną działo, czym jest PKT z punktu widzenia psychologii. Mówiłem sobie: „jestem już na wolności, wszystko w porządku”.

Ale potem, gdy zaczyna się dokumentowanie, zaczynasz sobie wszystko przypominać. W nocy nie śpisz, wszystko się powtarza. Psycholog pomaga zrozumieć, co się z tobą dzieje – tłumaczy, że do normalnego funkcjonowania potrzebne są albo pozytywne emocje, albo sen. To są dwa obszary, które więzienie niszczy. Najpierw chciałem sam się z tym zmagać, myśląc, że to minie bez śladu. A tak naprawdę więzienie nie przechodzi bez śladu.

Ta psycholog pracowała wcześniej z sytuacjami kryzysowymi, np. w służbach ratowniczych. To jest podobne do skutków wojny – jak Ukraina, Afganistan albo w USA po Wietnamie. Coś bardzo podobnego dzieje się z ludźmi, którzy przechodzą przez więzienie, szczególnie z więźniami politycznymi. Myślę, że na Białorusi to poważny problem – ludzie wychodzą z więzień i nie potrafią wrócić do normalnego życia, nie dochodzi do resocjalizacji.

U mnie trwało to stosunkowo krótko – po prostu miałem szczęście. Ale to było bardzo intensywne doświadczenie. Nie wiem, co by się stało, gdybym musiał tam spędzić jeszcze cztery lata – być może bym tego nie wytrzymał. To wszystko jest bardzo indywidualne, ale w każdym przypadku nie przechodzi bez śladu. Najważniejsze, aby wyjść na wolność.

Jednocześnie jest teraz duże zainteresowanie tym tematem, bo trzeba to wszystko dokumentować – dla Białorusinów, żeby pociągnąć winnych

do odpowiedzialności. Kiedy się w to zagłębiasz, wszystko przeżywasz w głowie na nowo, a potem musisz się z tego odbudować. Trzeba, żeby myśli były już „na wolności”, żeby głowa była zajęta pracą, biznesem, czymkolwiek normalnym. Ale gdy wracasz do tych wspomnień, to ciężko. Dlatego potrzebna jest pomoc psychologa – po prostu mówisz i sam dochodzisz do rozwiązań.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.

STRASZYLI, ŻE NIE ZOBACZĘ ANI DZIECI, ANI MĘŻA

Palina Szarenda-Panasiuk

W nocy nie dają ani materaca, ani nic, aby się nakryć. Śpisz w celi pod ręcznikiem. Leżysz w chłodzie na gołych deskach i się przeziębiasz: stawy, organy płciowe u kobiet.

Palina Szarenda-Panasiuk (rocznik 1975)

Aktywistka Młodego Frontu, Europejskiej Białorusi i ruchu Zubr w Brześciu. Brała udział w wielu kampaniach wyborczych od 1999 roku, w tym Alaksandra Milinkiewicza w 2006 roku i Andreja Sannikaua w 2010 roku. W 2017 roku uczestniczyła w protestach przeciwko prezydenckiemu dekretowi „o pasożytach (darmozjadach)”. Po sfalszowanych wyborach w 2020 roku została w styczniu 2021 roku zatrzymana w Brześciu. W czerwcu skazano ją z artykułów 361 i 364 Kodeksu karnego na dwa lata pozbawienia wolności w kolonii karnej. Później karę tę przedłużano na podstawie art. 411 Kodeksu karnego, mówiącego o „celowym nieposłuszeństwie wobec żądań administracji zakładu karnego”. Wyszła na wolność w lutym 2025 roku.

Przez lata zajmowała się pani działalnością polityczną, między innymi w kampanii Europejska Białoruś, w organizacjach Młody Front czy Zubr. Dlaczego było to dla pani tak ważne, żeby działać w tych organizacjach?

To zaczęło się właściwie w latach 80. XX wieku, czyli w okresie pierestrojki, gdy byłam uczennicą ostatnich klas szkoły podstawowej. Dla Białorusinów ten okres to czas odrodzenia narodowego – poznawaliśmy naszą historię. Dotąd przeszłość retuszowano i mówiono, że ważne jest tylko to, co radzieckie: do 1917 roku niczego nie było, a potem pojawili się Białorusini. Na przełomie lat 80. i 90. XX wieku mieliśmy zalew informacji o historii, o represjach stalinowskich. Na moich oczach padał mur berliński, padały dyktatury obozu socjalistycznego.

Ale to nie było ważne dla wszystkich.

Dla mnie było. Nieważna była legendarna sowiecka kiełbasa, lecz to, że mamy wolność, historię, swoje państwo. Cieszyłam się, gdy symbolami państwowymi stały się flaga biało-czerwono-biała i herb Pogoni. Ciekawiły mnie obrady Rady Najwyższej, gdzie siedzieli ci starzy komuniści, ale była też garstka deputowanych Białoruskiego Frontu Ludowego, którzy pchali do przodu to odrodzenie.

To były już też moje czasy studenckie. Gdy w 1993 roku zdawałam na uczelnię w Brześciu, zaczynaliśmy uczyć się prawdziwej historii Białorusi. Mieliśmy nowe podręczniki, z których przygotowywałam się do egzaminu wstępnego. A gdy przyszłam zdawać, pewna, że zdam, zaczęli mi zadawać

pytania z historii Rosji oraz o bolszewikach i mienszewikach. Oczywiście dla mnie był to szok – była wolność słowa, telewizja stosunkowo wolna, a już wtedy było widać dążenie Rosji do tego, aby nie stracić Białorusi.

Oczywiście nie zdałam tego egzaminu, choć proponowali mi, żebym dała łapówkę, ale nie byłam z tak zamożnej rodziny i czułam się też oszukana, że przyjmują studentów, którzy tylko potrzebują dyplomu i tyle. Poszłam na studia zaoczne.

Na moich oczach budowano dyktaturę – widziałam, jak przyjeżdżają wykładowcy z Rosji. W ich ustach słowo „niepodległość” brzmiało jak przekleństwo.

Czy w pani rodzinie były tradycje patriotyczne?

W domu mówienie o przeszłości było tabu. Większa część rodziny została rozkułaczona w 1948 roku i zesłana do Kazachstanu. Tu została tylko babcia, w Krynkach nad Bugiem. Stąd wziął się strach w rodzinie i przekonanie, że najlepiej niczym się nie interesować. Mój dziadek był żołnierzem do 1939 roku za czasów Polski i wszystkie jego zdjęcia były schowane gdzieś w słoiku w ogrodzie. W naszym starym domu na wsi, który sprzedaliśmy na początku lat 90. XX wieku, nowy właściciel zrobił remont i rozbierał stary komin. I tam znaleźli legitymację wojskową mojego dziadka. Przeszłość była zakopana i zamurowana. Aktywność polityczna budziła tylko strach, bo może się skończyć tragicznie.

Gdy patrzy pani na te lata swojej działalności, czy widzi pani, że przyniosły jakieś efekty?

Tak, nie zważając na trudności, praca u podstaw miała sens. Dla mnie od początku było jasne, że władza Alaksandra Łukaszenki to dyktatura i nie ma sensu bawić się w jakieś gry z nią na jej zasadach. Jest takie powiedzenie, że gra w szachy z oszustem kończy się tym, że dostajesz polem szachowym po głowie. Tu jest to samo.

Pod koniec lat 90., gdy byłam w Młodym Froncie, były jeszcze jakieś seminaria w Polsce, na Litwie. Były organizacje, ale możliwości ich działania ograniczano: najpierw zabierano im pomieszczenia w centrum miasta, potem zabroniono w ogóle mieć jakiegokolwiek pomieszczenia, nawet na przedmieściach, i można było tylko wynająć mieszkania, w których jednocześnie działało kilka organizacji. A potem pod pretekstem ponownej rejestracji zniszczono wszystkie instytucje pozarządowe. Wprowadzono

odpowiedzialność karną za przynależność do niezarejestrowanej organizacji. Były ograniczenia w druku: można było drukować tysiąc ulotek, a potem tylko 299. Cała działalność przeszła do podziemia.

Mówi pani, że nie można grać według zasad reżimu, ale brała pani udział w różnych kampaniach wyborczych jako członkini sztabów, na przykład Alaksandra Milinkiewicza.

Polityczny działacz na Białorusi nie funkcjonuje tak jak członek partii w Polsce, który jest albo w PiS, albo w PO. U nas aktywista musi się zajmować i obroną praw człowieka, i roznoszeniem ulotek, być członkiem Młodego Frontu, Zubra i sztabów kandydatów. Brakowało bowiem ludzi, gdyż wielu przestraszyło się pierwszych represji. Więc w tym kotle zostali tylko ludzie zdeterminowani. Na Białorusi za taką działalność nie tylko nie dostajesz pieniędzy, ale na odwrót – jeszcze dokładasz swoje własne, a gdy nakładają grzywny, sam płacisz.

POJAWIŁO SIĘ PYTANIE, CZY MOŻNA POZBYĆ SIĘ ŁUKASZENKI TYLKO DROGĄ POKOJOWĄ. DLA MNIE BYŁO JASNE, ŻE NIE, BO TO NIE JEST CZYSTO BIAŁORUSKA DYKTATURA, LECZ ROSYJSKA OKUPACJA. MOSKWA JUŻ W 1994 ROKU POSTAWIŁA TAM ŁUKASZENKĘ.

Kampania wyborcza dawała możliwość spotkań z ludźmi, na przykład w czasie zbierania podpisów, gdy chodziliśmy po mieszkaniach i rozdawaliśmy ulotki. Ważne, by to robić w dzień, a nie wrzucać nocą do skrzynek. My tłumaczyliśmy ludziom, że i tak wybory będą sfałszowane, opowiadaliśmy się za bojkotem. Trzeba było zarazem pokazywać im, że jest alternatywa dla Łukaszenki – media były zmonopolizowane przez reżim właściwie od 1996 roku. O opozycji wspomiano najwyżej raz do roku, gdy Łukaszenka kogoś obrzucał błotem.

Z czego pani się utrzymywała?

Właściwie od razu dostałam wilczy bilet. W Brześciu mieliśmy filię białoruskiej klasy licealnej i tam przez kilka miesięcy organizowałam spotkania, wycieczki. Tam uczono całkowicie po białorusku i dla reżimu było to solą w oku: zabraniali im rekrutować nowych uczniów, więc została tylko jedna klasa. Liceum skazano na śmierć. I w Brześciu nie było właściwie klas białoruskich: nie było nauczycieli, rodzice musieli składać

petycje w sprawie nauki, a wtedy proponowano lekcje z samego rana, by zniechęcić uczniów. Czyli język białoruski formalnie nie był zabroniony, ale w praktyce nauki w tym języku nie było.

Jak to wyglądało w czasach radzieckich pod koniec lat 80.?

Nic nie świadczyło o tym, że mieszkamy na Białorusi. W szkołach były przedmioty język białoruski czy historia Białorusi, ale podchodzono do nich z lekceważeniem. Poza salą lekcyjną wszystko było po rosyjsku. Białoruski był traktowany jak język obcy, nawet nie francuski czy niemiecki, a na przykład suahili.

Ludzie przeprowadzali się ze wsi do miast i tracili język. W dodatku byli określani mianem „kołchoźników”, gdy mówili po białorusku. „Kołchoźnik” to nie chłop, bo chłop niesie ze sobą jakieś duchowe wartości, a to coś najgorszego: brak kultury i chamstwo.

To była świadoma polityka Rosji, bo Białoruś jest niczym czerwony dywan dla armii rosyjskiej idącej z Rosji na Zachód. Tu ma nie być niczego, co by przeszkadzało. A język mógł przeszkadzać.

Wracając do pani życiorysu, przez pewien czas studiowała pani także w Polsce.

Tak, po protestach w 2001 roku zaczęły się represje. Nie wiadomo było, co będzie dalej. Tak jest po każdych wyborach, że życie polityczne trafia do zamrażarki: ktoś wyjechał, ktoś trafił za kraty, a pozostali nie wiedzą, co robić i czy w ogóle coś robić. Zajmowałam się wtedy pracami dorywczymi, a Polska oferowała różne programy. Pojechałam do Studium Europy Wschodniej UW. Dla mnie jako politolożki ciekawym doświadczeniem było mieszkanie w kraju, który jest demokratyczny. Potem trafiłam na stypendium Kirklanda. To już były lata 2006–2007. To był inny świat, a jeszcze niedawno byliśmy wszyscy w jednej łódce. Przypomniałam sobie, jak studiowałam na Białorusi, gdzie siedzieliśmy w wielkiej sali, a gdzieś tam daleko był profesor. W Polsce przychodzili do nas ambasadrowie, posłowie, redaktorzy naczelni wydawnictw i oni z nami mogli się spotkać na przykład w kawiarni. To była rozmowa, a nie egzaminy. Jak równy z równym. Wiele z tego wyniosłam. Zobaczyłam, jak powinien zachowywać się polityk, człowiek elity.

Później byłam na praktykach w IPN. To też było bardzo ciekawe doświadczenie.

Wielu Białorusinów po nauce w Polsce tam zostaje. Pani jednak zdecydowała się wrócić. Dlaczego?

Podjęłam decyzję, że trzeba walczyć do końca. Dopóki była możliwość, by chodzić po białoruskich ulicach i mówić swoje, należało to robić. Polacy zapłacili krwią za swoją wolność, a ja nie chciałam przychodzić na gotowe. To byłoby niemoralne. Trzeba walczyć o swój kraj, dopóki można. Zajmowałam się różnymi pracami dorywczymi, dołączyłam do kampanii Europejska Białoruś Andreja Sannikaua¹.

Później były lata 2015 i 2017, kiedy Łukaszenka wprowadza dekret o pasożytach, nazywany też dekretem o darmozjadach, który przewidywał opodatkowanie obywateli Białorusi niezatrudnionych oficjalnie w tym kraju. Wtedy też były protesty.

Sytuacja gospodarcza nie była dobra. Łukaszenka brał kredyty z Chin i Rosji i budował sobie rezydencje i nikomu niepotrzebne obiekty sportowe. Problemy narastały, więc nic lepszego nie wymyślili, jak zabierać pieniądze od własnych obywateli. Wielu Białorusinów pracowało za granicą, czy to na Zachodzie, czy w Rosji. Przywozili pieniądze, mieszkali kilka dni w swoim kraju i jechali z powrotem. Pojawił się „dekret o pasożytach”, który miał opodatkować takie osoby, i wywołał wielkie oburzenie: ludzie nie chcieli pracować na Białorusi za grosze. Reżim nie pozwalał pracować, a jeszcze oskarżał ludzi, którzy przywożą pieniądze do własnego kraju, o to, że są darmozjadami. W całym kraju odbywały się marsze protestacyjne, a w Brześciu dodatkowo nałożyła się sprawa chińskiej fabryki akumulatorów, która była groźna dla środowiska.

Ludzie zobaczyli wtedy, jak wielu z nich jest przeciwko Łukaszence. Nie mieli tylko żadnych instytucji, które by ich jednoczyły. Zaczęły się blokady zagranicznych stron. Z kolei serwisy internetowe, które były na Białorusi, nie krytykowały reżimu, ale i go nie chwaliły.

Lata 2017–2019 to był okres represji. Wraz z mężem musieliśmy się ukrywać.

¹ Andrej Sannikau (ur. 1954) – białoruski polityk i działacz opozycyjny. Karierę zaczynał w dyplomacji ZSRR, a potem w kontynuował ją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Białorusi, gdzie doszedł do rangi wiceministra. W 1996 roku przeszedł do opozycji. Był jednym z sygnatariuszy Karty'97. W 2010 roku kandydował na prezydenta kraju. W trakcie powyborczych protestów pobity i uwięziony. W 2011 roku skazany na kilka lat pozbawienia wolności. Po zwolnieniu w 2012 roku uzyskał azyl polityczny na Zachodzie.

Ale w 2019 roku Europejska Białoruś wzięła jednak udział w „wyborach samorządowych”. To była próba przed 2020 rokiem?

Tak, to była próba. Byłam kandydatką w wyborach samorządowych, choć i tak wiadomo było, że te wybory to fikcja, ale chcieliśmy wykorzystać pewien mechanizm. Chodziło o to, żeby pokazać, iż są ludzie, którzy są gotowi zmieniać system. Zbieraliśmy podpisy w centrum Brześcia, mieliśmy biało-czerwono-białą flagę, puszczałyśmy muzykę po białorusku. Ludzie robili wielkie oczy, mówili, że takiej flagi nie widzieli od 20 lat. Chodziliśmy też po mieszkaniach, bo trzeba było zebrać pewną liczbę podpisów. Ludzie się bali, mówili, że już w pracy podpisali listy poparcia dla kogoś.

Milicjanci podchodzili, pytali, my tłumaczyliśmy, że mamy dokumenty, że wszystko jest zgodne z prawem. Patrzyli krzywo, ale odchodzili.

W końcu zebrałam tysiąc podpisów. Przyszłam do miejscowej komisji wyborczej wykonawczego, gdzie siedzą te ciotki jakby żywcem wzięte z czasów Breżniewa we wnętrzach z tej samej epoki. Było jeszcze dwóch kandydatów, blogerów, ale ich nie dopuścili do wyborów. A mnie pozwolili startować. I nawet miałam prawo wystąpić w telewizji obwodowej, pięć minut o siódmej rano, gdy wszyscy śpią albo są w pracy. Napisałam sobie tekst, w którym była mowa o tym, że Łukaszenka to dyktator, a wyborów na Białorusi nie ma, nie trzeba chodzić głosować i walczyć z systemem. Nie było polecenia, by mnie zablokować, więc puścili mój występ na antenę. Jeszcze stałam z biało-czerwono-białą flagą. Był skandal, telefony z Mińska. Może nawet kogoś zwolnili z tej lokalnej telewizji. Mnie nie dopuścili w końcu do wyborów, występ uznali za nielegalny protest i wlepili grzywnę. Miałam uiścić jakąś ogromną sumę: równowartość kilku tysięcy dolarów, przychodzili komornicy, zabierali nam telewizor, pralkę, nawet zegarek ścienny za dwa dolary. Ludzie zbierali dla nas pieniądze za pomocą crowdfundingu.

Ganiali za nami mundurowi przez pierwszą połowę 2020 roku, ciągle czekali tajniacy pod domem, pilnowali. Kupiliśmy nawet z mężem lornetkę, żeby zobaczyć, czy czatują i czy możemy wyjść, czy nie.

Czym dla pani różnił się rok 2020 od tego, co się odbywało przed poprzednimi wyborami? Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłem wtedy na wiecach wyborczych silną białoruską klasę średnią.

Tak, to prawda – mówi się, że całe rządy Łukaszenki to taka sama dyktatura, ale jakieś zmiany następowały. Pojawił się internet, a z nim niezależna

informacja. Odchodziło stare radzieckie pokolenie, na które stawiał Łukaszenka. Przeżyłam w ZSRR 15 lat i żadnych sentymentów nie miałam. A co dopiero ludzie, którzy urodzili się w latach 80. XX wieku. Baza łukaszyzmu zniknęła, było jasne, że Łukaszenka trzyma się tylko siłą. Jak Ramzan Kadyrow w Czeczenii.

Zmiana pokoleń i utrata monopolu na informację przez Łukaszenkę doprowadziła do tego, że ludzie bez pomocy partii i ruchów, które były zniszczone, zaczęli działać sami. Przyszli nowi ludzie. Oni próbowali sami podejmować decyzje.

Pojawiło się pytanie, czy można pozbyć się Łukaszenki tylko drogą pokojową. Dla mnie było jasne, że nie, bo to nie jest czysto białoruska dyktatura, lecz rosyjska okupacja. Moskwa już w 1994 roku postawiła tam Łukaszenkę i chciała postawić podobną postać na Ukrainie, ale się nie udało, więc zaczęła wojnę. Najpierw była Białoruś, później Gruzja, a dopiero potem Ukraina.

Ludzie zaczęli rozumieć, że 2020 rok będzie takim pojedynkiem z Rosją. W dodatku władza wyznaczyła wybory na lato, a nie na zimę, co znacznie ułatwiło protesty.

Czym konkretnie pani i pani mąż zajmowaliście się w 2020 roku?

Zbieraliśmy podpisy, chodziliśmy na wiece, gdy przyjeżdżała Swiatłana Cichanouska. Czulałam, że jest inna sytuacja. To były tłumy ludzi, nie jak wcześniej dziesiątki czy setki. Teraz ludzie przychodzili całymi dzielnicami – tysiącami. Było dużo młodzieży. Nie było podziału na biednych, bogatych, wykształconych i niewykształconych, miasto czy wieś. Walka z Łukaszenką zjednoczyła wszystkich.

Te protesty po sfałszowanych wyborach prezydenckich miały jednak swoje fale, raz było dużo ludzi, raz mniej. Na początku reżim nie wiedział co robić, był agresywny, później był zdezorientowany, a potem przystąpił do kontrataku.

Jako osoba, która widziała wiele, weteranka ruchu opozycyjnego, rozumiałam, że reżim prędzej czy później przystąpi do działań terrorystycznych. Tylko tak można było zastraszyć te miliony ludzi. Ludzie byli wtedy nastawieni bardzo zdecydowanie.

W Brześciu całe miasto było w białych wstążkach, znaku poparcia dla opozycji.

W 2020 roku wszyscy chcieli pozbyć się Łukaszenki, pojawiła się Cichanouska i ludzie na nią głosowali przeciwko Łukaszence. To byli zwykli ludzie, nie aktywiści. Widzieli, jak jest na Zachodzie. Łudzili się, że zagłosują, a on ustąpi. Że mieszkamy w kraju europejskim i wszystko będzie dobrze. Byli więc w szoku z powodu reakcji władzy. To, że władza strzela do ludzi, że latają kule nad głowami.

Dlaczego ludzie nie walczyli radykalnie?

Może nawet byli na to gotowi. Gdy w Brześciu o pierwszej w nocy dyżurowaliśmy przed komisją wyborczą, byliśmy w szoku, gdy ogłoszono, że 80 procent głosów zdobył Łukaszenka. Przecież wiedzieliśmy, że w innych komisjach Cichanouska miała po 60 procent i my sami głosowaliśmy na nią. Ludzie poszli na plac w centrum miasta i już wtedy mundurowi strzelali do ludzi, rzucali granatami hukowymi, nawet pojawiły się barykady. I to była pierwsza noc po wyborach. 16 sierpnia zebrało się 30 tysięcy ludzi na głównym placu. Reżim nie miał jeszcze pomysłu, jak działać. Ale ludzie też nie wiedzieli, co robić, byli jak stado lwów z baranem na czele. Pamiętam, że informację o protestach czerpaliśmy z Telegramu i raz nam mówili, żeby tam iść, potem, żeby tam. Nie było lidera, wszyscy zostali zatrzymani.

Ludzie zbierali się co tydzień w niedzielę, a od poniedziałku do soboty pracowali, płacąc podatki na reżim. Temat strajku ogólnokrajowego gdzieś się rozplynął. Cichanouska nie chciała go organizować. Zresztą nie było u nas takich fabryk jak w Polsce, gdzie w czasach PRL protestowały wielkie zakłady przemysłowe i kraj stał.

Dlaczego mówi pani o robotnikach, chyba ważniejsza jest klasa średnia.

Na Białorusi nie było silnej średniej klasy. Reżim starał się o to, aby ona nie powstała, bo stanowiłaby zagrożenie dla niego.

Panią aresztowano 3 stycznia 2021 roku.

Dla mnie było jasne, że gdy zrobi się chłodno, reżim przejdzie do brutalnych działań. Wzięli się za protesty podwórkowe, doszło do zabójstwa aktywisty Ramana Bandarenki² w Mińsku. Ludzie rozumieli, że mogą każdego zabić. I tak powoli te protesty topniały.

² Został on pobity przez białoruskie organy porządkowe w cywilu w centrum Mińska 11 listopada 2020 roku, w wyniku czego dzień później zmarł.

Było jasne, że Łukaszenka dostał wsparcie od Putina i zgodę na represje. Rosja przysłała też mundurowych.

REŻIM PRÓBUJE NIE TYLKO POKONAĆ SWOICH PRZECIWNIKÓW
POLITYCZNIE, LECZ TAKŻE ZNISZCZYĆ ICH PSYCHICZNIE.
KARNA PSYCHIATRIA TO FORMA DYSKREDYTACJI – WYSTĘPUJESZ
PRZECIWKO ŁUKASZENCE, TO JESTEŚ CHOROBY PSYCHICZNIE.

Mojego męża zatrzymali prewencyjnie pod koniec lipca. Później we wrześniu go zwolnili. A przed sylwestrem zatrzymali go po raz kolejny. Zostałam sama z dziećmi, ale już było jasne, że prędzej czy później mnie zatrzymają: wyносиłam z domu ulotki, czyściłam komputery, telefony. Robiłam to przez cały 3 stycznia. Czułam, że coś będzie. No i wieczorem załomotali do moich drzwi. Ponieważ byłam sama z młodszym synem (starszy był wtedy u babci), powiedziałam, że bandytom drzwi nie otwieram. Zadzwoiłam do dziennikarzy – to było bardzo ważne, żeby o tym wiedzieli, bo służby umiały tak zatrzymać, że ludzie po prostu znikali. To były de facto porwania. Szukano ich tygodniami, a nawet miesiącami.

Funkcjonariusze wyłamali w końcu drzwi do domu. Zaczęły się przeszukania, choć ja wszystko pochowałam i tylko mówiłam, co o nich i Łukaszence myślę.

Dokąd panią wywieźli?

Trafiłam do aresztu tymczasowego. Tam można być trzy dni. Potem trafia się do aresztu śledczego. W Brześciu mieści się on w centrum miasta. Cele były nabite ludźmi, więźniami politycznymi. Wtedy zrozumiałam skalę represji. Nie miałam dostępu do żadnych informacji, kontaktów z bliskimi. Oni mają dyżurnych adwokatów, którzy też są pracownikami służb mundurowych. Po prostu mają wywieszkę: adwokat. Oświadczyłam, że mam swojego adwokata. Ale tak naprawdę na Białorusi zniszczono też instytucję adwokatury: ci ludzie działają jak listonosze, przychodzą, rozmawiają, orientują się, czy jesteśmy żywi, cali i zdrowi. Papiery, które oni potem piszą, są nic nie warte. Mój adwokat przekazał mi, że moja rodzina wie o zatrzymaniu, że z dziećmi jest dobrze, że męża wypuścili, ale ma sprawę karną.

Pani miała też przejść ekspertyzę psychiatryczną. To zupełnie jak za czasów radzieckich...

Tak, to jak karna radziecka psychiatria. Reżim próbuje nie tylko pokonać swoich przeciwników politycznie, lecz także zniszczyć ich psychicznie. Kiedyś działacze zatrzymywali zapobiegawczo pod pretekstem, że niby przeklinali, nie tylko na ulicy, ale też w domu i w samochodzie. Karna psychiatria to forma dyskredytacji – występujesz przeciwko Łukaszence, to jesteś chory psychicznie. Jak można coś takiego robić?

Jak to wyglądało?

Gdy mnie zatrzymano, jeden z funkcjonariuszy był szczególnie chamowaty i obrażał mnie. Był w masce i powiedziałam do niego: „zdejmuj maskę, co chowasz twarz?”. Próbowałam mu zdjąć tę maskę i go zadrapałam w nos. Uznano to nie za drobne chuligaństwo, lecz za przestępstwo, za napad na milicjanta. To jest ciężki artykuł i potrzebuje ekspertyzy psychiatrycznej. Wtedy im powiedziałam, że jestem więźniem politycznym i nie mam zamiaru przechodzić żadnej ekspertyzy. Mówili mi o tym jeszcze w areszcie śledczym, gdzie trafiłam po areszcie tymczasowym. Przyszedł do mnie dyżurny psychiatra i powiedział, że jeśli odmawiam, to wyślą mnie do Nawinek pod Mińskiem – tam jest cały kompleks dla psychicznie chorych. To jest karna psychiatria i tak to oceniam.

Trafiłam do tych Nawinek półtora miesiąca po zatrzymaniu. To był cały etap, zawieźli mnie z Brześcia do Baranowicz, tam jest duże SIZO, potem do Waładarki w Mińsku, czyli zakładu karnego przy Waładarskiego, a stamtąd do Nawinek. To była ciężka próba fizyczna i psychiczna, bo każdy wyjazd i przyjazd to pełne przeszukanie wszystkich rzeczy, każą się rozbierać. To jest bardzo poniżające. Coś zgubią, coś zniszczą. Oni wożą zatrzymanych i więźniów w wagonach stołypińskich, trzeba wszystko ciągnąć ze sobą. Więźniom politycznym inni pasażerowie nie mogą pomagać.

Jak wygląda taki wagon?

To jest oddzielny wagon, którym jadą zatrzymani i więźniowie. Okna są zamalowane farbą i zakratowane. Wcześniej wagony tego typu były podpisane jako poczta. Teraz nie wiem, jak jest, może w ogóle nie jest podpisywany, ale jakoś jest oznaczany literami. On stoi na oddzielnych torach i potem jest dołączany do zwykłego składu. W samym wagonie jest korytarz, są kamery, są konwojenci. Są wąskie przedziały podzielone

siatkami. Są trzy poziomy ław. Do środka wpychają tylu ludzi, ilu wejdzie. Niemal w całym wagonie są mężczyźni. Kobiety to jeden–dwa przedziały, w każdym z nich może być do 15 kobiet. Jeszcze każda z rzeczami. Jest duszno. Zanim wagon ruszy, okna są zamknięte, w czasie jazdy mogą być lekko uchylone. Wszyscy palą. Do toalety wyprowadzają – po odjeździe i przed przyjazdem. Wychodzisz, ręce masz mieć z tyłu, mężczyznom więźniom politycznym zakładają kajdanki i są dwaj konwojenci w kamizelkach kuloodpornych. Więźniowie zwykli mają i zapałki, i papier, piszą do siebie listy, a więźniom politycznym zabierają wszystko.

Jak zwykli więźniowie odnosili się do politycznych?

Różny. Większość miała negatywny stosunek do władz i przychylny do nas. Wielu było zaangażowanych w protesty albo przynajmniej o nich wiedzieli. Mówili, że nas rozumieją, bo władza na Białorusi to terror. Dziękowali za to, co robiliśmy. Ci z marginesu traktowali nas inaczej, byli przesiąknięci propagandą. Ale mieli zarazem stosunek pragmatyczny, mogli poprosić o herbatę, papierosy, ale też donosili czy brali udział w prowokacjach. Większość milcząco nas popierała.

Wróćmy jednak do wyjazdu do szpitala.

Z Mińska wieźli mnie więźniarką (autazak) na 20 osób. Tam są metalowe boksy, jak szafy, są kamery, jesteś w kajdankach, wszystkie torby trzeba mieć ze sobą. Dowieźli mnie do Nawinek, gdzie jest oddzielny korpus ekspertyz sądowych. Panują tam warunki prawie jak w SIZO. Jest ogrodzony teren, płot, psy. Są cele-sale. Są drzwi jak w więzieniu, są zamki otwierające się tylko z zewnątrz, są okienka, przez które podają jedzenie. Są wizjery. Ciekawe jest to, że na drzwiach były jakieś hasła: *Жывіе Беларусь*, *Малы Front*, symbole anarchistyczne i daty wyskrobane – 2001 czy 2005 rok. Czyli to już trwało od 20 lat.

TAM JEST DZIKI CHŁÓD. CAŁY TWÓJ RUCH TO TRZY KROKI
WZDŁUŻ śCIANY. NAJCIEŚCIEJ DOBA W DOBĘ SIEDZISZ SKULONA
NA KALORYFERZE. NIE MA WIĘC, JAK SIĘ RUSZAĆ, I PUCHNIEŚ.

W celach nie ma ani kranu, ani toalety. Stoi wiadro, cztery razy w dzień wyprowadzali do toalety. Tam dawali tylko kawałek papieru, nie było żadnej szczotki ani mydła. Można było wypożyczyć książkę,

ale żadnej nie było całej, bo wrywano z nich kartki, żeby się podetrzeć albo sobie zapalić. Stoją tylko łóżka metalowe, na których nie da się spać. Są pręty, przez które przelatuje materac. Dają pościel: poduszkę, prześcieradło. I tam nawet można w dzień leżeć. To odróżnia je od innych miejsc za kratami, jak SIZO, gdzie za leżenie w dzień można trafić do karnej izolatki (SZIZO). Są też wąskie ławki, gdzie ledwo da się usiąść, czasem zrobione z metalowych prętów.

ROZUMIAŁAM, ŻE JEŚLI BĘDĘ NADAL STAWIAŁA OPÓR,
TO MNIE PO PROSTU ZABIJĄ, A MOIM ZADANIEM BYŁO WYRWAĆ SIĘ
I DZIAŁAĆ POLITYCZNIE: NIE ZWARIOWAĆ, NIE ZABIĆ SIĘ,
NIE ZOSTAĆ INWALIDKA. MIAŁAM WALCZYĆ.

W Nawinkach byłam trzy tygodnie. Nie zgadzałam się na żadne ekspertyzy. Mówiłam, że jestem więźniem politycznym i nie można wobec mnie stosować karnej psychiatrii. Ostrzegałam, że prędzej czy później funkcjonariusze reżimu poniosą za to karę. Mimo to napisali pod koniec mojego pobytu, że jestem zdrowa psychicznie i że zdawałam sobie sprawę z niebezpiecznych konsekwencji moich działań.

Kto z panią siedział w celi, na sali?

W tej celi były dziewczyna narkomanka i jakaś kobieta, po której widać było, że coś z nią nie tak. Ona była obywatelką Ukrainy, chcieli ją deportować z Białorusi. Ogółem w Nawinkach byli więźniowie polityczni, nie tylko kobiety. Na pewno mężczyźni byli też, bo mówili o tym funkcjonariusze.

Potem wróciła pani do Brześcia.

Tak, tą samą drogą, przez Mińsk i Baranowicze.

W kwietniu, 7 albo 17, wpadli na pomysł, aby oznaczać więźniów politycznych kolorowymi kartkami: żółtymi albo czerwonymi. To było niczym gwiazdy Dawida, które naziści kazali nosić Żydom. Kolor czerwony na kartce oznaczał osobę skłoną do agresji i brania zakładników, a żółty – ekstremistów skłonnych do działalności destrukcyjnej. Ja miałam obydwie! One były na ubraniu i na drzwiach celi. Gdy nas wyprowadzali z cel w SIZO, widziałam, że tam na wszystkich drzwiach są te kartki. Żartowaliśmy, że tam są wszyscy sami swoi, najlepsi ludzie na Białorusi.

W pani celi byli tylko więźniowie polityczni?

Właściwie we wszystkich celach, czy to w Mińsku, czy w Brześciu, wszędzie byli więźniowie polityczni. Byli też zwykli: alkoholicy, drobni złodzieje, no i polityczni. Większość podchodziła do nas ze zrozumieniem, choć byli też tacy, którzy nie wiedzieli, gdzie jest Polska, a gdzie Ukraina.

Początkowo była pani skazana na dwa lata więzienia, a potem tę karę przedłużano?

Potem był artykuł 411 Kodeksu karnego, czyli celowe niepodporządkowanie się administracji więzienia, na podstawie którego można kogoś więzić do końca życia. Można to sfabrykować bez większego wysiłku. Moja znajoma Wiktoryja Kulsza, którą pierwotnie skazano za „organizowanie i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek społeczny”, miała już cztery takie wyroki, a ja trzy.

To chyba był trudny moment dla pani i dla pani rodziny. Już miała pani wyjść na wolność, a tutaj kolejny wyrok?

W 2022 roku oni sfabrykowali tę sprawę kilka miesięcy przed tym, jak miałam wyjść we wrześniu. Dwa następne razy robili to w tych obozach koncentracyjnych – na przykład kara kończyła się 5 sierpnia 2023 roku, a oni wywieźli mnie do SIZO w Homlu 2 sierpnia. W 2024 roku kara kończyła się 21 maja, a oni wywieźli mnie w nocy z 19 na 20 maja. Moja rodzina nie wiedziała, że sfabrykowali tę sprawę, bo byłam w reżimie *incomunicado*, nie miałam z nikim kontaktu, nawet z adwokatem. Nie było listów do i od rodziny. Tak było przez większość 2023 roku.

Czy to jest pełna izolacja, czy miała pani kontakt z innymi więźniami?

W kolonii karnej w Zareczczy nie dało się uniemożliwić mi kontaktu z innymi więźniami. Nawet jeśli to są kryminalni, to i tak miałam z nimi kontakt. O ile na Antoszkina w Homlu było od 100 do 150 kobiet więźniów politycznych, to w Zareczczy było ich pięć. Trzymali nas w różnych oddziałach i mogłyśmy się zobaczyć, gdy szłyśmy do pracy czy do stołówki. To były takie działki, na których był budynek i ogrodzone terytorium, mogłyśmy się widzieć z odległości 200 metrów. Gdy byłam w SZIZO i PKT (specjalne pomieszczenie przypominające celę w kolonii karnej), a w tych miejscach byłam 10 miesięcy w całym 2023 roku, nie miałam żadnych

kontaktów. To samo robili z Wiktoryją Kulszą – dokładali starań, żebyśmy nie siedziały w jednej celi.

Za co panią tak karano?

To była kara za „niegrzeczne zwracanie się do administracji”. Przykładowo powiedziałam, że jestem więźniem politycznym.

Czym różniły się kolonie karne w Zareczczy i na Antoszkina w Homlu?

W Homlu kolonia znajduje się w centrum miasta, a w Zareczczy w lesie, bo to jest była baza wojskowa. Tam jest więcej przestrzeni, są drzewa, ale ponieważ to miejsce izolowane, to oni bardziej znęcają się nad ludźmi. W Homlu funkcjonariusze bardziej trzymają się w ryzach, choć oczywiście tam też panuje terror. W Zareczczy 95 procent skazanych odsiaduje wyroki z artykułu 174, czyli są to kobiety, którym zabrano dzieci z powodu jakoby trudnych warunków społecznych – alkohol, brak pracy. Ale – na podstawie dekretu nr 18 Łukaszenki – bardzo często wykorzystuje się to przeciwko więźniom politycznym: zabiera się im dzieci, a bliscy są zmuszani do opieki nad nimi. Otrzymują za to 300 rubli (ok. 366 złotych) miesięcznie. To jest nic, ale te pieniądze stają się długiem więźnia.

Jak więzień ma go spłacać?

W tych obozach koncentracyjnych obowiązuje praca przymusowa. Nie możesz z niej zrezygnować, bo trafiasz do SZIZO. Pracujesz cały miesiąc, eksploatują strasznie, każą pracować ponad normę. Po 14–16 godzin dziennie. Tam jest szwalnia, gdzie szyte są mundury dla funkcjonariuszy reżimu Łukaszenki, a od 2022 roku zaczęli szyć mundury dla Rosjan. I tutaj chodzi o setki tysięcy mundurów. Zresztą tak jest wszędzie, w każdej kolonii. W męskich robią skrzynie dla pocisków, a w kobiecych mundury dla Rosjan. Można zarobić dwa–pięć euro na miesiąc, ale tym kobietom odliczają jeszcze 75 procent na utrzymanie dzieci. Mnie raz naliczono 28 kopiejek. Jak można za to przeżyć, szczególnie gdy nie ma się bliskich, którzy mogą przysłać pieniądze?

Wcześniej każdy mógł przysłać środki więźniowi. Ale gdy w 2020 roku pieniądze zaczęły otrzymywać więźniowie polityczni, władza to zmieniła. Teraz wsparcie finansowe może przekazywać tylko najbliższa rodzina: mąż, żona, ojciec, matka. Mi pomagała matka i dzięki temu przeżyłam. Na terenie kolonii jest sklep, w którym można kupić głównie rosyjskie

towary: kawę, herbatę, z rzadka jakieś produkty mleczne. To ważne, bo w jedzeniu w kolonii nie ma właściwie świeżych produktów, żadnych owoców, nic mlecznego. Są kartofle, makarony, jakieś nibymięso i chleb. Niby nie jesteś głodny, ale nie masz żadnych witamin.

Czy pani stan zdrowia się pogorszył?

W SZIZO trzymali mnie w różnych okresach łącznie przez dziewięć miesięcy od 2021 do 2024 roku. Tam nawet nie dają ci tego jedzenia, które dostałaś w paczkach albo kupiłaś. Otrzymujesz mizerne porcje.

Tam jest dziki chłód. Cały twój ruch to trzy kroki wzdłuż ściany. Najczęściej doba w dobie siedzisz skulona na kaloryferze. Nie ma więc, jak się ruszać, i puchniesz. Nie tyjesz, lecz puchniesz. W nocy nie dają ani materaca, ani nic, żeby się nakryć. Śpisz pod ręcznikiem. Leżysz w chłodzie na gołych deskach i się przeziębiasz: stawy, organy płciowe u kobiet.

Władze więzienia zmuszały panią do współpracy, na którą w końcu się pani zgodziła.

Nie powiedziałabym, że to była współpraca. Rozumiałam, że władza to wróg, z którym w pewnym momencie można się bawić w kotka i myszkę. Ich cel był taki, żebym udzieliła wywiadu w propagandowej telewizji. Moim celem było przechytrzenie ich. Rozumiałam, że jeśli będę nadal stawiała opór, to mnie po prostu zabiją, a moim zadaniem było wyrwać się i działać politycznie: nie zwariować, nie zabić się, nie zostać inwalidką. Miałam walczyć. Ten wywiad w telewizji to była rozmowa z nożem przy gardle i pistoletem u skroni.

Oni mówili, że jeśli się nie zgodzę, to będą mnie karać na podstawie artykułu 411 jeszcze przez 10–15 lat. W tej rozmowie z propagandystami mówiłam same banały, to, co powtarza reżim: że ludzie wychodzili za pieniądze na wiece, jak dobrze rozwija się gospodarka, a sankcje to nic. Później myślałam, że wywiad może im się nie spodobał, bo wcześniej obiecywali, że mnie wypuszczą po tym wideo w maju 2024 roku, i nie wypuścili.

Nie szantażowali dziećmi i pozbawieniem praw obywatelskich?

Oczywiście. Straszili, że nie zobaczę ani dzieci, ani męża.

Wiedziałam, w jaki sposób będą mnie straszyć, bo miałam doświadczenie. Wiedziałam, że jak tylko się wyrwę, to wszystko odwołam. Bałam

się, że będą chcieli ode mnie jeszcze czegoś. Czegoś więcej niż podpisane papierki, które teraz można wyrzucić do kosza.

Jak pani się dowiedziała, że wychodzi na wolność?

Nie wierzyłam w to do ostatniej sekundy. Moje wyjście zależało od tego, jak mocne są naciski w mojej sprawie. Mój mąż też się temu przysłużył, bo nie milczał, a ja mówiłam mu, żeby nawoływał do nałożenia sankcji na Białoruś i działał niezależnie od mojej sytuacji. Moje nazwisko było głośne, także w Parlamencie Europejskim. Deputowana Isabel Santos z Portugalii była moją „matką chrzestną”. Zrozumiałam, że w pewnym momencie dla reżimu będzie wygodniejsze wypuszczenie mnie niż trzymanie u siebie.

Rozumiem, że do ostatniej chwili pani nie wiedziała, dokąd pani jedzie, ani nawet, czy wypuszczają, czy nie?

W kolonii po prostu studiujesz całą kuchnię tych represji, według pewnych znaków obliczasz ich dalsze kroki. Ale jest dużo różnych czynników. Tak naprawdę to zrozumiałam, że mnie wypuszczą dzień przed tym. Zmusili mnie, żebym zadzwoniła do męża. W koloniach karnych każdy ma prawo, żeby dzwonić, a ja odmawiałam, bo to wszystko jest kontrolowane, nagrywane i można tym szantażować: jeśli chcemy, zadzwonisz, a jeśli nie, to nie. I człowiek cierpi z powodu niespełnionej nadziei na choćby chwilę rozmowy z rodziną. Ale ja w ogóle nie telefonowałam. Mówiłam, że jestem więźniem politycznym, jeńcem, a jeńcy do domów nie dzwonią. Tym razem oni mi kazali dzwonić, sami kupili mi kartę telefoniczną do automatu. Pewnie musieli nagrać moje wyjście na kamerę.

Jak wyglądał sam proces wyjścia?

Moi bliscy odebrali mnie z kolonii. Jeszcze pobawiłam się z łukaszystami w tę ich zabawę, poszłam na milicję, zgłosiłam się na dozór. Poszłam nawet do Głównego Zarządu Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji (GUBOPiK), tam podpisałam jeszcze jeden papierek o współpracy. Oni mówili, że mam przychodzić co tydzień, na wszystko się zgadzałam. Obiecałam, że zgłoszę się do urzędu pracy.

Wiedziałam jednak, że będę musiała jak najszybciej opuścić Białoruś. Oni nie wypuszczają więźniów politycznych tak po prostu. Nie mówię o tych, których siłą wyrzucono na Litwę, ale o tych, którym po prostu

kończy się fikcyjny wyrok. Celem reżimu jest ich unieszkodliwienie. Polega ono na tym, że dają tak zwany dozór prewencyjny, który może trwać rok, a może dwa. Więźniom politycznym oczywiście daje się dwa. Tam są takie warunki, że jeśli ktoś zrobi krok w lewo, krok w prawo, to znowu trafi do tego obozu koncentracyjnego. Jest wiele takich ograniczeń, które wskazują, czego człowiekowi nie wolno robić. Trzeba być w domu od dziesiątej wieczorem do szóstej rano. I lubią przychodzić sprawdzić w nocy. Znam ludzi, do których przychodzili po pięć razy. Nie wolno ci wyjeżdżać nie tylko z Białorusi, lecz także z własnego miasta. Kiedy zapytałam, czy mogę pojechać na wieś na cmentarz, a to jest 40 kilometrów od miasta, to nie pozwolili. To zabronione.

MOŻNA SPRZĄTAĆ, PODEJMOWAĆ JEDYNIENIE NAJBRUDNIEJSZE,
NAJTRUDNIEJSZE ZAJĘCIA. W TELEFONIE CZYTAĆ NICZEGO
NIE MOŻNA. ZMIENIASZ SIĘ W WARZYWO. NIE WOLNO NIC SŁYSZEĆ,
NIC MÓWIĆ. I W KAŻDEJ CHWILI, JEŚLI POJAWI SIĘ ROZKAZ,
MOGĄ CI SFABRYKOWAĆ SPRAWĘ.

Zmuszają cię do podjęcia pracy. W przypadku więźniów politycznych to duży problem, bo oficjalnie nie mogą wykonywać wielu prac. Można sprzątać, podejmować jedynie najbrudniejsze, najtrudniejsze zajęcia. To jest kontrola. W telefonie czytać niczego nie można. Zmieniasz się w warzywo. Nie wolno nic słyszeć, nic mówić. I w każdej chwili, jeśli pojawi się rozkaz, mogą ci sfabrykować sprawę. Jeśli trzy razy naruszysz ten nadzór prewencyjny, zostanie wszczęte przeciwko tobie nowe postępowanie karne, trafisz z powrotem do kolonii karnej, z której następnym razem możesz po prostu nie wyjść żywy.

Mój mąż uciekł w 2021 roku z Białorusi, a rok później dzieci. Nie mogli wywierać na mnie presji ani przez mojego męża, ani przez dzieci.

Dlatego zrozumiałam, że nie będę żyć na Białorusi w takich warunkach, więc moim zadaniem było jak najszybsze opuszczenie kraju. Kilkanaście godzin po wizycie w GUBOPiK-u opuściłam w nocy Białoruś.

Już wówczas wyjechała pani do Polski?

Nie było takiej możliwości. Dzięki pomocy organizacji BYSOL pojechałam przez Rosję. Bo to jedyna możliwość, ponieważ nie ma kontroli paszportowej, choć oba państwa mają wspólną bazę osób niewygodnych dla

reżimu, ale są jakieś ścieżki partyzanckie. Są ludzie, którzy za pieniądze przewożą przez granicę.

W nocy jeszcze pojechałam do Mińska, rano Litwini wydali mi wizę w ciągu pół godziny i wyjechałam do Rosji. Dobrze, że to była zima, kupiłam wielki kapelusz, zakutałam się i tak przez cały dzień siedziałam w kawiarni w Mińsku. Nigdzie nie wychodziłam, bo wszędzie są kamery.

Czy myśli pani, że ten reżim upadnie?

Nikt nie jest wieczny. Widzimy, jak Łukaszenka zmienia się w starego Leonida Breżniewa. Pytanie, jak będzie wyglądało przekazanie władzy. Jeśli go zamienią na jakiegoś reprezentanta Rosji, to to żadna zmiana nie będzie. Ale może pojawi się jakieś okno możliwości. Reżimy w Rosji i Białorusi to właściwie jeden system, więc to okno możliwości pojawi się, gdy w Moskwie zachwieje się czekistowski reżim.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.

PRAWO NA BIAŁORUSI NIE MA ŻADNEGO ZNACZENIA

Wiktar Parchimczyk

Po około 15 minutach bicia zrozumiałem, że to może się bardzo źle skończyć. Bardzo źle. Może nawet śmiertelnie. Udawałem, że straciłem przytomność. Wyszło mi to dobrze. Mimo to nie przerywali.

Wiktar Parchimczyk (rocznik 1982)

Białoruski informatyk, uczestnik protestów po wyborach w 2020 roku. W listopadzie 2020 roku został aresztowany i oskarżony o wykręcanie śrub z samochodów należących do funkcjonariuszy białoruskich służb. Skazany z artykułu 339 część 1 Kodeksu karnego na dwa lata pozbawienia wolności, część kary odbył w otwartym obozie pracy. Z więzienia wypuszczony we wrześniu 2022 roku.

Zatrzymali cię w czasie protestów 2020 roku? Jak to się stało, że wziąłeś w nich udział?

Ta historia zaczęła się jeszcze w mojej młodości. Dorastałem w rodzinie, którą można by chyba nazwać inteligentką. Rodzice nie byli obojętni wobec wielu rzeczy, które działy się w naszym kraju. Mój ojciec był doktorem nauk prawnych, a mama adwokatką. Kiedy miałem 16 albo 17 lat, zacząłem już wykazywać aktywność w różnych ruchach politycznych. Uczestniczyłem w marszach czarnobylskich, w protestach jeszcze pod koniec lat 90. To był okres młodości, a potem po prostu się uspokoilem, bo pojawiła się już rodzina, własny biznes. Poza tym zrozumiałem, że większość Białorusinów nie chce zmian. I dlatego można to nazwać swego rodzaju kontraktem między mną a władzą. Ja siedzę cicho, ale nie jestem gotów ryzykować za tych ludzi, których wszystko urządza, są obojętni. Mnie oczywiście to nie urządzało, ale nie było sensu poświęcać się dla pasywnej większości.

Aż przyszedł rok 2020...

Tak, potem nadszedł rok 2020, który zmienił moje postrzeganie. Czekałem na to okno możliwości. W 2020 roku też nie od razu się zaangażowałem, bo początkowo nie wierzyłem w Białorusinów. Potem zobaczyłem, że setki tysięcy ludzi wychodzą na ulice i że przestali być obojętni. I wtedy pomyślałem, że trzeba coś robić. I że można już zaryzykować sobą. Bo Białoruś to taki naród, który jest wart tego ryzyka. Historia pokazuje, że było wiele

przypadków, kiedy ludzie wychodzili na protesty. Potem ich rozstrzelano, zabijano i tak dalej. Co więcej, podczas powstania Kalinowskiego¹ sami chłopcy wydawali powstańców carskim władzom. Tego się oczywiście bałem. Nie chciałem stać się bezsensowną ofiarą, bo jednak priorytetem jest rodzina, dzieci, które muszę wychować. Były jednak takie wydarzenia, które mną wstrząsnęły i zmusiły do zaangażowania się w protesty.

Co się wydarzyło?

Miałem przyjaciela, z którym chodziłem na siłownię niedaleko domu, i pewnego dnia, w 2020 roku, dowiedziałem się, że jego syna, siedemnastolatka, złapała milicja. Zgwałcili go gumową pałką. Wiesz, gdy czytasz w mediach czy w internecie takie rzeczy, to one są wstrząsające, ale gdzieś tam anonimowe, odległe. Jak to się zdarza w kręgu bliskich ludzi, to zupełnie co innego. To porusza. To było jedno takie zdarzenie, które mnie zmotywowało.

A drugie?

Stałem sobie na ulicy koło swojego bloku w Mińsku. Obok mnie przeszło kilku moich kolegów jeszcze z czasów szkolnych. Pytam się ich: „Dokąd idziecie?”. Oni mówią: „Na Plac². Nie będziemy siedzieć w domu, bo biją kobiety, dzieci i studentów”. Pomyślałem, że jeśli biją młodych ludzi, to ja muszę stanąć w ich obronie. Na dzielnicy mieliśmy taki swój kodeks honorowy. Kodeks zasad i zachowania wyniesiony jeszcze z lat 90. Jeśli kogoś z naszego rejonu ruszają, to się go broni. A teraz to byli już dorośli mężczyźni i ja też byłem już dorosłym mężczyzną.

POMYŚLAŁEM, ŻE JEŚLI BIJA MŁODYCH LUDZI, TO JA MUSZĘ STANĄĆ W ICH OBRONIE. ABY MOJE DZIECI NIE MÓWIŁY, ŻE TATA SIEDZIAŁ NA KANAPIE W CZASIE, GDY BYŁO OKNO MOŻLIWOŚCI.

Wróciłem do domu. Zastanowiłem się po raz drugi i trzeci. I wtedy pomyślałem: czy mam prawo przekazać swoim dzieciom takie dziedzictwo? Czy nie będą mi potem mówić, że tata siedział na kanapie w czasie, gdy było okno możliwości. I że tata przekazał im dyktaturę, w której będą

- ¹ Powstanie Kalinowskiego – antyrosyjskie walki na Litwie i Białorusi, będące – wedle polskiej historiografii – częścią niepodległościowego powstania styczniowego w latach 1863–1864.
- ² Plac Październikowy w centrum Mińska.

musieli żyć. Wszystko to uzmysłowiło mi, że nie mogę już siedzieć w domu i tylko obserwować, co się dzieje. To policyjne bezprawie. Ten cały syf.

Jak się zaangażowałaś?

Zacząłem wychodzić na Plac. Na manifestacje. Byłem bardzo ostrożny. Nosiłem wtedy maskę. Ciemne okulary, czapkę. Żeby mnie nie zidentyfikował milicyjny system. Mieli wszędzie kamery i system identyfikacji twarzy. Szybko biegałem i byłem w dobrej kondycji fizycznej. Być może to mnie nieraz uratowało, bo nie złapano mnie wtedy za protesty.

Za co więc zostałeś aresztowany?

Obok tej siłowni i mojego magazynu miałem mały biznes. Wynajmowałem miejsce pod składowanie materiałów budowlanych. Tam znajdowała się moja tzw. baza. Na pobliskim podwórzu stały samochody. Wszyscy w okolicy znali te auta. To były pick-upy z kratami. Z tych pick-upów prowadzono ostrzał ludzi podczas masowych zgromadzeń. Zostawiali je tam na noc. Zawsze, kiedy jechałem na to swoje składowisko, w tym wąskim miejscu, gdzie te samochody wyjeżdżały, wykręcałem im śruby z kół, żeby utrudnić im poruszanie się po mieście. Przez długi czas nie mogli mnie zidentyfikować. Byłem ostrożny. Potem zmienili kamerę. Wcześniej była zwykła, ale zamontowali taką z noktowizją i wysoką rozdzielczością.

I tak cię nakryli?

Tak. Z pomocą tej kamery mnie zidentyfikowali. Pewnego dnia na ulicy podbiegło pięciu. Powalili mnie na ziemię. Wciągnęli do busa. Położyli mnie twarzą do siedzenia. Jeden z nich usiadł mi na ramionach, przygniatał mnie. I zaczęli metodycznie zadawać ciosy. W tył głowy i w nerki. Gumową pałką i pięściami. Jeździliśmy tak około 15 minut. I w tym czasie mnie cały czas lali. To była standardowa praktyka. Do najstraszniejszych pobić dochodziło właśnie w tych busach, w czasie transportu. Bali się kamer, a tam nikt by ich nie nagrał. Po około 15 minutach bicia zrozumiałem, że to może się bardzo źle skończyć. Bardzo źle, nawet śmiertelnie. Udawałem, że straciłem przytomność. Wyszło mi to dobrze. Mimo to nie przerywali. Zawieźli mnie do jakiegoś felczera. Do swojego lekarza. Tam „ożyłem”. Tam już się ocknąłem. Oni nie bez powodu bili w tył głowy i w nerki. Byli nauczeni, jak to robić. Bo to zostawia mniej śladów. Mimo



wszystko rozciąli mi głowę i było bardzo dużo krwi. Wszystko to zmywali ze mnie i z siebie przed wejściem do komisariatu policji. Wszystko zmywali. Ustaliłem potem, że na tym komisariacie byli ludzie z tej samej jednostki, która mnie zatrzymywała. Oni też tam stacjonowali.

Kto to był?

To był OSAM³. To jest taki łukaszenkowski specnaz. Ponoć elitarny. Co ciekawe, jest w strukturach Komitetu Pogranicznego, czyli białoruskiej straży granicznej. To ci sami ludzie, którzy zajmują się teraz prowokacjami na granicy z Polską oraz Litwą i wypychają migrantów przez granicę. To właśnie oni zabierali migrantów z portu lotniczego Mińsk-2 swoimi mikrobusami i wywozili ich na granicę. I to oni brali w 2020 roku udział w rozpędzaniu protestów. Choć formalnie podlegają strukturze straży granicznej i z racji swoich obowiązków nie powinni ani rozpędzać protestów, ani przewozić migrantów.

3 Oddzielna Służba Aktywnych Działań – jedna ze specjalnych jednostek białoruskich służb specjalnych.

Co stało się później?

Po tym wszystkim trafiłem na trzy miesiące w tryby systemu represji. Najpierw przesłuchiwali mnie w komisariacie milicji ludzie, którzy, jak sądzę, byli z KGB. Przede wszystkim chcieli się dowiedzieć, z kim współpracowałem. Ich głównym celem było rozplątanie całej pajęczyny tych protestów. Oni wtedy myśleli, i rzeczywiście mogli myśleć, jeśli nie kłamali, że ktoś z zewnątrz mnie finansuje. Jacys „mocodawcy”: Polacy, Amerykanie albo ktoś jeszcze.

Chodziło im o nakreślenie wizji spisku i znalezienie jakichkolwiek dowodów na większy układ inspirowany zza granicy?

Dokładnie tak. Tymczasem dla mnie to, że sam chodziłem na protesty i sam podejmowałem działania, było moją świadomą decyzją. W takim przypadku nie mogę nikogo zdradzić. Niestety słyszałem już o ich metodach. Od przyciskania palców drzwiami, aż po specjalny zastrzyk farmaceutyczny, po którym ludzie opowiadają wszystko. Przykładowo tak „rozpracowywali” aktywistów z dzielnicy Sucharawa w Mińsku. Była bardzo aktywna i protestująca. Aktywistów stamtąd po prostu łamali, zmuszali do opowiadania o wielkim spisku. Funkcjonariusze KGB torturowali w bardziej „inteligencki” sposób. Potrafilo zrobić zastrzyk z chemicznym preparatem. Jednak częściej namawiali na przykład kolegów do wzajemnej dekonspiracji szantażem i kłamstwami.

W moim wypadku nie mieli innej osoby, by mnie szantażować. Nie dało się mnie rozdzielić po różnych pokojach i zacząć tej procedury. Choć oczywiście w czasie protestów nocowałem u swojego przyjaciela, z którym współpracowaliśmy. Razem z nim i paroma innymi znajomymi pomagaliśmy w organizacji protestów. On dostarczał krótkofalówki, wskaźniki laserowe i tak dalej. To była sieć, oczywiście. Ale ja o tym nie powiedziałem. Brałem wszystko na siebie. Wobec mnie funkcjonariusze mieli łatwiej. Przez dwa tygodnie prowadzili monitoring wideo i mieli mnie na nagraniach. Potem na rozprawie sądowej to wszystko pokazywali. Jeździli za moim samochodem, obserwowali mnie. Widzieli też momenty, gdy przekazywano mi jakieś paczki. W tych paczkach były krótkofalówki i wskaźniki laserowe. Zapytali mnie, co to jest. Powiedziałem, że to była słonina. I na tym się skończyło. Do tego czasu mój przyjaciel już wyjechał z kraju. Zrozumiał, że coś jest nie tak, że nie ma ze mną kontaktu. Wsiadł do samochodu i pojechał na Ukrainę.

Gdzie cię przetrzymywali w tym czasie?

Zanim trafiłem na Akreścina, przez trzy doby przetrzymywano mnie w komisariacie. Przez ten czas nie dawali mi jeść ani nie wyprowadzali do toalety. To są dokładnie te trzy dni, kiedy oni decydują, co z tobą zrobić. Właśnie tam wymuszają pierwsze zeznania, które potem mogą zostać użyte. Byłem w złym stanie. Pobity, miałem krwiaki, ledwo się poruszałem. Nerki jednak ucierpiały. W takim stanie spędziłem trzy doby w małym, kamiennym pomieszczeniu z wąską ławką, takiej wielkości, że nie dało się na niej położyć.

PO OKOŁO 15 MINUTACH BICIA ZROZUMIAŁEM, ŻE TO MOŻE SIĘ BARDZO
ŹLE SKOŃCZYĆ. BARDZO ŹLE, NAWET ŚMIERTELNIE. UDAWAŁEM,
ŻE STRACIŁEM PRZYTOIMNOŚĆ. WYSZŁO MI TO DOBRZE.
MIMO TO NIE PRZERYWALI.

Po raz pierwszy nakarmili mnie dopiero w areszcie śledczym na Akreścina. Tam też obejrzał mnie felczer. Głośno się śmiał. Był wesoły. Pytał, czy mam jakieś dolegliwości zdrowotne. Powiedziałem mu, że z trudem się poruszam, że mam krwiaki. Na co on, śmiejąc się, odpowiedział coś w rodzaju: „To za to, że nie kochasz milicji”. I tyle. Bawiła go ta sytuacja. Potem zaprowadzili mnie do celi. W celi był tak zwany „utka”. Na Białorusi nazywa się tak ludzi z półświatka, których osadza się specjalnie po to, żeby donosili, żeby wyciągali informacje. Zobaczyłem to później w aktach sprawy. Okazało się, że faktycznie tak zrobili. Po dwóch tygodniach w areszcie przewieziono mnie już więźniarką do aresztu śledczego w Żodzinie. Tam też był felczer. Ślady pobicia jeszcze nie zeszły, ale medyk również nic z tym nie zrobił. Choć wiem, że czasem zdarzały się sytuacje, że personel oburzał się na stan przywożonych więźniów. Jechał ze mną chłopak, któremu uszkodzili szyję. Nie mógł ruszać głową. Bardzo się wtedy kłócili: „Czemu wy nam takich przywozicie? Kompletnie połamanych”. W Żodzinie warunki były spartańskie. Była tylko zimna woda. Nie było w ogóle światła dziennego. Zawsze było zimno, bo wszyscy palili, więc trzeba było siedzieć z otwartym okienkiem.

Ile osób było w celi?

Zazwyczaj osiem. Czasem więcej, bo dwanaście. Cella bywała przepelniona. Brakowało miejsc do spania. Robiliśmy więc coś w rodzaju hamaka

z prześcieradeł. Przywiązywaliśmy je do prycz, żeby ktoś mógł się położyć. Były tam karaluchy. Były szczury. Największe przerażenie wzbudzała jednak tzw. press chata.

Co to takiego?

Milicjanci osadzali w specjalnej celi kogoś ze świata przestępczego, takiego „podkarmionego” byczka. Otrzymywał drobne przywileje, na przykład mógł mieć nawet telefon, telewizor. W zamian jego zadaniem było kato-
wanie konkretnego człowieka, którego specjalnie przeniesiono do tej celi. To były tortury wobec politycznych, tylko że nie rękoma milicjantów, lecz kryminalistów. Czasami z tej „press chaty” wnoszono ludzi na kocach, bo mieli przetrącone kręgosłupy. Pewnego razu dotarła do mnie informacja, że przyjadą kręcić ze mną film.

Film?

Nie chciałem brać udziału w żadnym „filmie”. Bo już słyszałem, o co chodzi. Rozebrałem wtedy maszynki do golenia. Ostrze z żyłki schowałem pod podeszwę buta. Byłem gotów coś sobie zrobić, bo za odmowę udziału w nagraniu mogli mnie wrzucić do „press chaty”. A tam mogli zrobić jeszcze gorsze rzeczy, zgodnie z więziennymi, kryminalnymi rytuałami. Powszechnie wiadomo było, że tam nie tylko biją, lecz także gwałcą. W ten sposób „poniżają” człowieka do najniższej więziennej kasty „pietuchów”⁴. Z „pietuchami” można zrobić wszystko. Nie chciałem tego. Łatwiej było mi pożegnać się z życiem. Zaprowadzili mnie do gabinetu naczelnika. Przede mną stała kamera. Był tam funkcjonariusz OSAM-u i jeszcze jeden człowiek. Po jego manierach zorientowałem się, kim on jest.

Po manierach?

Tak. Po manierach. Był grzeczny, nawet miły. Jakiś taki „inteligentki” na swój sposób. Był z KGB.

KGB jest bardziej inteligentkie?

O tak. OMON, OSAM biją od razu. To zwykłe, bezmyślne osiłki. Potrafią tylko bić i w zasadzie nic więcej. KGB stosuje bardziej wyrafinowane metody: presję psychologiczną. I oni są z tego nawet trochę dumni. Uważają,

⁴ W polskich więzieniach grupa ta określana jest mianem „cweli”.

że pracują subtelniej. Zacząłem po prostu „grać głupiego”. Rozmawiałem na zupełnie różne tematy, odpowiadałem nie na temat. Po prostu zamęczyłem ich. Byli wściekli. Naprawdę byli wściekli.

A oni chcieli, żebyś co powiedział?

Żebym opowiedział, jak to wszystko było. Że ktoś mnie wciągnął w działania przeciw władzy, że zbłądziłem. Żebym się „pokajał” i tak dalej. Mówili: „Porozmawiamy z prokuratorem. Wyjdziecie wcześniej”. Ale ja im nie wierzyłem. Bo jakie były powody, żeby im wierzyć? Dlaczego on miałby dotrzymać słowa? Teoretycznie mógłbym się na to zgodzić. Miałem dzieci. W gruncie rzeczy dla nich mógłbym to zrobić. Potem wyjechać do bezpiecznego kraju i powiedzieć, że to nie miało żadnego znaczenia. Tylko że miałem swoje zasady. Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Odprowadzili mnie z powrotem do celi. Filmu nie nagrali.

Mówisz, że skończyło się dobrze. No nie wiem... Jednak wyrok dostałeś.

Mogło być gorzej. Moja mama pracowała w tym samym sądzie, w którym mnie sądzono. Znała osobiście prokuratora, który sporządzał akt oskarżenia. Znała sędziego. Znała wszystkich. Co więcej, była moim adwokatem. Prawo tego nie zabrania. Dzięki temu mogła przyjeżdżać do aresztu śledczego i widzieć, w jakim jestem stanie. Być może właśnie dlatego już mnie tam nie bili. Bo mimo wszystko obecność adwokata wywierała nacisk. W tamtym czasie nie mogli jeszcze tak po prostu „wysłać adwokata na trzy litery”⁵. Później już mogli, ale wtedy jeszcze nie.

*ZANIM TRAFIŁEM NA AKRĘŚCINA, PRZEZ TRZY DOBY
PRZETRZYMYWANO MNIE W KOMISARIACIE. BYŁEM W ZŁYM STANIE.
POBITY, MIAŁEM KRWIAKI, LEDWO SIĘ PORUSZAŁEM.
NERKI JEDNAK UCIERPIAŁY.*

Odbył się proces. Przewieziono mnie na Waładarskiego – to areszt numer jeden w Mińsku. Były trzy rozprawy sądowe. Ich finał to była jedna wielka parodia sądownictwa: togi, ceremoniał i cała ta otoczka, która miała tworzyć pozory legalności ich decyzji. „My jesteśmy władzą” i tak dalej. Sędzia wydał wyrok: dwa lata ograniczenia wolności ze skierowaniem

5 Na trzy litery, ros. „na tri bukwy” – czyli „na chuj”, od ros. хуй.

do zakładu poprawczego typu otwartego. Mówiąc prostym, naszym językiem: „chemia”.

Czyli?

To jest coś w rodzaju obozu pracy. Ludzie mieszkają w baraku. I pracują tam, gdzie państwo akurat ich potrzebuje. W moim przypadku był to kołchoz, mleczarnia i farma, hodowla krów.

Gdzie to było?

Bardzo blisko granicy z Polską. Rejon kamieniecki. Widziałem granicę z Polską. Barak, w którym mieszkaliśmy, to była dawna, przedwojenna polska szkoła. Taka kara to w ogóle bardzo opłacalny model dla Łukaszenkowskiego reżimu, bo w ten sposób realizują dwa cele jednocześnie. Pierwszy: izolują człowieka i go karzą. Drugi: sądy pełnią funkcję czegoś w rodzaju niewolniczego działu HR. Kierują „niewolników” do regionów, gdzie sytuacja demograficzna jest tak fatalna, że nie da się znaleźć żadnych pracowników. Nawet alkoholików. Po prostu nikogo. Tak właśnie było w rejonie kamienieckim. Tam nie ma kto pracować. Młodzież i ludzie

© Wiktar Parchimczyk



w sile wieku wyjechali, choćby do Polski. W ten sposób człowiek jest ukarany, a jednocześnie można z niego wycisnąć ostatnie siły życiowe, wysyłając go do pracy. Zwykle w tych zakładach panują szkodliwe warunki, dlatego to się nazywa „chemia”. W moim przypadku szkodliwość pracy w oborze polegała na stałych oparach amoniaku. I dlatego była ona klasyfikowana jako praca w warunkach szkodliwych.

Jak wyglądała twoja praca?

Udało mi się stamtąd wynieść grafiki pracy, tabelki robocze. Opublikowałem je. W tych tabelach było widać, że dzień pracy zaczynał się o 4.30 rano, a kończył o 22.00, czasem nawet o 23.00. Sześć dni w tygodniu zazwyczaj. Czasem siedem. Czyli praktycznie bez żadnych dni wolnych. Miałem pracować przy krowach w kołchozie mleczarskim. Celem było produkowanie maksymalnie tanich produktów, które można było wystawiać na półkach sklepowych albo nawet wysyłać na eksport. W moim przypadku głównym beneficjentem była firma Sawuszkina Pradukt.

Czyli prywatna firma zarabiała na pracy skazańców?

Dokładnie tak było. Ta firma należy do jednego z oligarchów bliskich władzy – Alaksandra Maszenskigo⁶. Korzystał na pracy niewolniczej i na wolnej strefie ekonomicznej w Brześciu, przez którą wysyłał swoje produkty do Polski i Europy. Takich obozów pracy i firm powiązanych z Maszenskim było sporo: w Gródku, w Berezie i innych miejscach.

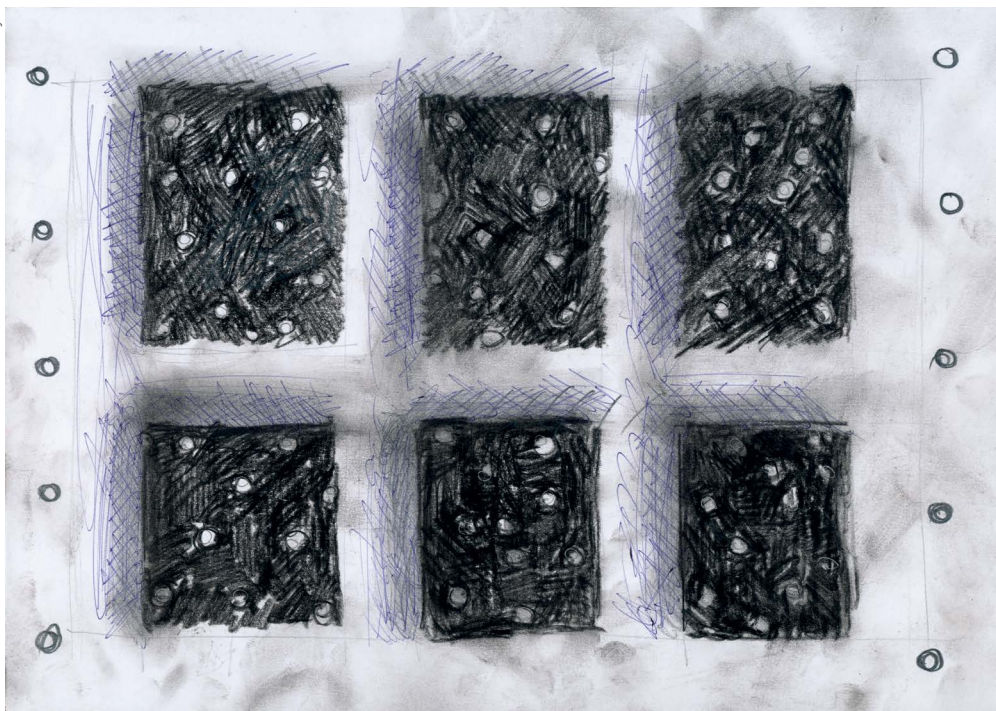
Dostawałeś jakieś pieniądze za pracę?

Pracowałem za minimalne wynagrodzenie. Formalnie wypłacali mi je przelewem na konto. Z tych pieniędzy trzeba było jednak opłacić zakwaterowanie. Bo mieszkanie w tym baraku było płatne. Opłaty komunalne i tak dalej. W praktyce nie zostawało nic. W zasadzie to nie była praca, tylko niewolnictwo.

Jednak to miejsce różniło się od więzienia czy kolonii karnej?

Oczywiście. Choć nadzór był. Na terenie tego obiektu stale dyżurowała zmiana funkcjonariuszy. Kontrolowali wszystko. Przeszukanie rano,

⁶ Alaksandr Maszenski – przedsiębiorca zwany „portfelem Łukaszenki”. Jego główne biznesy to przetwórstwo ryb oraz mleczarstwo. Jego majątek ocenia się na około miliard dolarów.



przeszukanie wieczorem. Przyjeżdżali też na fermę, żeby sprawdzać i kontrolować. Było ich tam zresztą bardzo wielu. Jeden milicjant na dwóch pracujących. Ten system jest drogi i niewydajny, ale działa. Normalnie za tak niegodziwe pieniądze nikt nie chciałby takiej pracy. A tu opresyjny system ciągle dostarcza darmowych pracowników. Około jednej trzeciej skazanych na te roboty to byli polityczni. Chodziliśmy z żółtymi naszywkami. W odróżnieniu od kolonii karnej nosiliśmy jednak zwykłe ubrania, nie więzienne. Żółta naszywka wisiała na szafce albo na łóżku. I co godzinę trzeba było podchodzić do funkcjonariusza i meldować: „Ja, taki a taki”, podać nazwisko, i dodać: „skłonny do działalności destrukcyjnej i ekstremistycznej”. To są jeszcze praktyki z czasów stalinowskich. Już wtedy ludzi tym dręczono. Chodziło o to, żeby co godzinę upokorzyć człowieka. Był cały system kar za różne „przewinienia”.

Proszę opowiedzieć o tych karach.

Po pierwsze: kiedy trafiałeś tam z żółtą naszywką, miałeś zakaz samodzielnego wyjścia do sklepu. W ogóle miałeś zakaz przemieszczania się gdziekolwiek w swoich sprawach. Mogłeś przebywać tylko w baraku i w miejscu

pracy. Kryminaliści, skazani za narkotyki czy inne przestępstwa, mogli wychodzić do miasta, do sklepów. My nie mogliśmy. Ograniczono też wizyty bliskich. Nie dawali żadnych nagród, żadnych pochwał. A pochwała to była jedyna droga do wcześniejszego zwolnienia. Nie było nawet cienia szansy, żeby to zmienić. Wystawiali wyłącznie naruszenia regulaminu. Jeśli ktoś dostał trzy naruszenia, uznawano go za „złośliwego naruszydca”. Czwarte naruszenie oznaczało zamianę „chemii”, obozu pracy na kolonię karną.

Jak to wyglądało w twoim przypadku?

W czasie pobytu w obozie pracy trzy razy trafiałem na 15 dni aresztu. Ponieważ to była dawna polska szkoła, nie było tam typowej celi, w której można by przetrzymywać ludzi. Trafialiśmy więc do rejonowego wydziału milicji. Tu muszę się zastanowić, czy w ogóle warto to mówić publicznie...

Dlaczego?

No cóż, bo tam było... normalnie w porównaniu z całym znanym mi systemem opresji. Tam i tylko tam milicjanci nie byli bestiami. Przynosili nam paczki, słodycze. Czuliśmy się lepiej w tym areszcie niż w samym, nibyotwartym obozie pracy. Nie byliśmy tam pod presją.

Czemu tak tam było?

Nie potrafię dziś na to pytanie odpowiedzieć. Nie wiem, dlaczego akurat w tym rejonowym wydziale. Może bliskość granicy z Polską, ale przecież Grodno, równie bliskie granicy, jest okropnym miejscem. Może wszystko zależy od naczelnika.

Od człowieka?

Tak. Od naczelnika. Czynniki ludzkie, nic więcej. We wszystkich represyjnych systemach czasem zdarzały się takie wyjątki. W moim przypadku kilka razy trafiłem na normalnych ludzi, ale to były wyjątki.

*ODBYŁ SIĘ PROCES. JEDNA WIELKA PARODIA SĄDOWNICTWA:
TOGI, CEREMONIAŁ I CAŁA TA OTOCZKA, KTÓRA MIAŁA TWORZYĆ
POZORY LEGALNOŚCI I CH DECYZJI.*

Pierwszego dnia pracy... właściwie słowo „zatrudnili” jest złe. Bo człowieka zatrudnia się dobrowolnie. W moim przypadku mnie po prostu

skierowano. Przydzielono mnie na stanowisko zootechnika piątej kategorii. Nie przeczytałem na początku zakresu obowiązków służbowych. Uznałem, że to bez sensu. Przecież nie możesz powiedzieć: „to mi nie pasuje, przepraszam, nie biorę tej pracy”. Jednak już pierwszego dnia wystawili mi naruszenie – za „naruszenie technologii karmienia krów mlecznych”.

Miałeś jakiegokolwiek pojęcie o krowach?

Dla jasności: jestem informatykiem. Całe życie zajmowałem się tworzeniem stron internetowych. Krowy widziałem czasem gdzieś na wsi, z daleka. I nagle słyszę, że źle karmię krowy. Mówię im: „Jakie naruszenie technologii? Ja tej technologii nie znam. Pokażcie mi moje obowiązki służbowe”. Nie chcieli, ale jakoś udało mi się je zdobyć przez inną osobę. Czytam, co tam jest napisane: przyjmowanie porodów u krów, rozpoznawanie, kiedy krowa ma ruję, prowadzenie specjalnych dzienników krowich, obcinanie racic i tak dalej, i tak dalej.

Przecież to zadania dla weterynarza, zootechnologa...

Tak, dokładnie. I nawet zgodnie z białoruskim prawem pracy nie mogli mnie bez kwalifikacji zatrudnić na takim stanowisku. Poza tym nie wolno pracować ponad 40 godzin tygodniowo. To już bez znaczenia, tam prawo przestało działać. W końcu powiedziałem im: jeśli zdecydowaliście się zmusić mnie do pracy niewolniczej jako zootechnika, to będę pracował tak, jak potrafię, i albo mnie nauczycie, albo zróbcie coś innego. Z czasem stało się to wręcz komiczne. Szef tej firmy naprawdę chciał, żebym był zootechnikiem i pracował, jak należy. Tylko że ze mnie kiepski niewolnik. Naprawdę kiepski. Był taki przewodniczący tego kołchozu, Ukrainiec. Uciekł z kraju ścigany za długi i dostał białoruskie obywatelstwo. Ten Ukrainiec był najgorszy. Zmuszał ludzi do pracy ponad siły i łatwo mu przychodziło wypisywanie kar. To przez niego dostałem pierwszą karę. Potem przyszły kolejne, w tym za rzekomą nieobecność na miejscu pracy. Co było nieprawdą. Dlatego odwołałem się, przy pomocy matki, która jak mówiłem jest adwokatką, do związków zawodowych.

Na Białorusi są związki zawodowe?

Oczywiście. Formalnie istnieją. Byli w szoku, kiedy milicja mnie przywołała na posiedzenie komisji związkowej. Oficjalnie podlegałem przecież pod

kodeks pracy. Zaskarżyłem do związków, że zmuszają mnie do pracy, do której nie mam kwalifikacji. Ku mojemu zdziwieniu związki anulowały kary i przyznały mi rację. Małe zwycięstwo nad systemem! Już wtedy zrozumieli, że nie jestem łatwym skazańcem. Wiedziałem też, że nie będę miał łatwo z nimi. To, że się zemszczą, było kwestią czasu. W ten sposób nie miałem pracy przy krowach. Na jakiś czas skierowali mnie do pracy przy świniami. Miałem przerzucać gnój. Jednak to była tylko praca na zastępstwo, tymczasowa. Skończyła się i dalej nie wiedzieli, co ze mną zrobić.

W obozie pracy nie można być chyba bezrobotnym?

Niby nie można. Siedziałem w baraku. Tam, co istotne, dozwolony był telefon. W tym czasie zacząłem handlować kryptowalutami. Poza tym mój biznes „na wolności” cały czas działał. Ten chlew, ta praca przy świniami, tak naprawdę w ogóle nie były mi potrzebne. Za te pieniądze, które tam „zarabiałem”, i przy tych warunkach znacznie więcej mogłem zarobić na handlu kryptowalutą. Co więcej, nawet uczyłem sierżantów, milicjantów, tych młodszych rangą, jak to robić. Oficerom to się bardzo nie podobało. I tak sobie siedziałem, odbywałem swój „termin”. Aż pewnego dnia pod barak podjechał samochód. Nowa Toyota Camry.

Raczej niespotykane auto w tym miejscu?

W tamtym regionie nie ma nowych Toyot Camry. To od razu było dziwne. Ponieważ już wcześniej byłem pod zwiększoną obserwacją, natychmiast zrozumiałem, że to coś niedobrego. Że najpewniej ktoś przyjechał „po mnie”. Z samochodu wysiadł mężczyzna, wszedł do środka, na górę. Po chwili przychodzi do mnie milicjant i mówi: „Wzywają cię”. Przychodzę. Siedzi jakiś facet. Obok niego mój milicjant. I mówią: „Podpisuj”. Pytam: „Co podpisywać?”. „Podpisuj”. Podchodzę. Okazuje się, że mam podpisać dokument, iż zostałem zapoznany z zasadami bezpieczeństwa. No dobrze. Myślę: okej. Chodziło o nową pracę, którą mi znaleźli. Nawet przyszło mi do głowy, że może tam będzie lepiej niż w baraku. Może będę mniej pod nadzorem milicji. To było miasto Wysokie w rejonie kamienieckim, także bardzo blisko granicy z Polską. Tam znajdowała się fabryka produkująca włókno bazaltowe, izolację termiczną, którą wykorzystuje się do ocieplania domów. To również było szkodliwe środowisko pracy. Specyfika tej produkcji polegała na tym, że podczas pracy z włóknem bazaltowym

w powietrzu unoszą się mikroskopijne cząstki mineralne. One dostają się do płuc i nie da się ich stamtąd usunąć. Ludzie, którzy tam pracują, nie żyją długo. Teoretycznie dałoby się to rozwiązać, gdyby były środki ochrony. Tam jedynym „środkiem ochrony” była zwykła maseczka medyczna, którą trzeba było kupić za własne pieniądze. Tak więc zacząłem tam pracować.

To było lepsze od krów i świń?

Na początku nawet udało mi się nawiązać w miarę normalne relacje z kierownictwem. Właścicielem tej fabryki był były milicjant. To była jego prywatna firma. A do prywatnej firmy nie wolno kierować do pracy przymusowej według prawa białoruskiego, ale na Białorusi to nie ma żadnego znaczenia. W tej firmie wiecznie brakowało pracowników. Ci, którzy przychodzili, siadali w szatni, stawiali butelkę wódki, pili, a potem szli do pracy. A mówimy o pracy przy piecu, gdzie temperatura przy włóknie bazaltowym przekracza tysiąc stopni. I oni w takim stanie zaczęli pracować. Nikt nic nie mógł z tym zrobić, bo w tym mieście po prostu nie było innych ludzi. Więc przywieźli niewolnika.

Przywozili cię codziennie do tej manufaktury?

Tak, mnie i jeszcze jednego osadzonego. W pewnym momencie zorientowali się, że jestem programistą, że tworzę strony internetowe. I wtedy właściciel firmy wsadził mnie do biura, żebym zajął się jego stroną. Dla niego to było bardzo opłacalne. Mieliśmy zatem taki nieformalny układ. Ja siedzę w biurze, nie oddycham amoniakiem, nie wdycham toksycznych oparów, tylko wykonuję swoją pracę. Nie dostaję za to pieniędzy, ale przynajmniej mam normalne warunki. Mogę czasem zrobić sobie kawę i pracuję w swoim zawodzie.

WE WSZYSTKICH REPRESYJNYCH SYSTEMACH CZASEM ZDARZAŁY SIĘ WYJĄTKI. W MOIM PRZYPADKU KILKA RAZY TRAFIŁEM NA NORMALNYCH LUDZI, ALE TO BYŁY WYJĄTKI.

Wtedy niestety zaczął przychodzić milicjant. Ten sam sierżant, którego wcześniej uczyłem handlu kryptowalutami. Wkłada głowę do biura, rozgląda się i mówi: „A czemu on siedzi w biurze?”. Donosi to oficerowi. A oficer odpowiada: „Nie może tak być! Polityczni mają tylko wybierać gówno. Oni mają się męczyć i cierpieć”. Właściciel firmy wymyślił wtedy

tak: „Założę ci teraz roboczy kombinezon, trochę cię ubrudzimy, żebyś wyglądał na brudnego, a jak przyjadą, to po prostu wyjdiesz na fabrykę i będziesz coś robił”. Bo im tak naprawdę bardziej potrzebna była strona internetowa niż kolejny robotnik. Posmarował nawet ogrodzenie smarem, żeby nie mogli się przez nie wspinać i patrzeć przez okno. I kiedy przyjeżdżał milicjant, ja, cały brudny, wychodziłem i robiłem coś na pokaz. To był naprawdę „złoty czas” na tej fabryce.

Nie wytrwałś tam jednak do końca wyroku?

Niestety. Trwało to mniej więcej miesiąc. Potem przestał kursować kołchozowy autobus, który jeździł do Kamieńca i mnie woził. Jedyny pracownik, który tam dojeżdżał oprócz mnie, wpadł w ciąg alkoholowy i zniknął. W związku z tym uznano, że nie ma sensu uruchamiać transportu. Ponieważ ja już nie pracowałem formalnie w kołchozie, to specjalnie dla mnie nikt nie zamierzał wysyłać autobusu. Pytam milicjanta: co mam zrobić? To było 25 kilometrów w jedną stronę, od miejsca pracy do baraku. On odpowiada: „Nie wiem. Rób, co chcesz”. Tam nie było żadnej komunikacji, żadnych autobusów, niczego. To była wymarła wioska. Dawna polska wieś, a wokół tylko pola i lasy. Zero transportu. Pomyślałem: dobra, spróbujmy. Byli tam lokalni mieszkańcy, którzy nas wspierali. Jeden z nich podwiózł mnie samochodem z pracy do baraku, ale tylko raz. Powiedziałem mu: słuchaj, nie będziesz mnie przecież woził codziennie. Masz swoje życie, swoje sprawy. Spróbuję raz dojść pieszo, zobaczymy, jak to wygląda.

Poszedłeś 25 kilometrów pieszo?

Wyszedłem o 4.15 rano i szedłem ponad sześć godzin, potem pracowałem przez osiem godzin i wracałem po zakończeniu zmiany – znowu ponad sześć godzin. Do baraku dotarłem dopiero o 22.00, tuż przed ciszą nocną. Cały ten czas szedłem przez Puszcę Białowieską. To była po prostu puszcza. Bez dróg, bez transportu, bez ludzi. Już robiło się ciemno, ale doszedłem. Widziałem dzięki zwierzęta. Widziałem łosia. Były odcinki drogi bez oświetlenia, bez pobocza. Jeździły tam ciężarówki, transporty z tartaków. I teraz proszę sobie policzyć: ponad sześć i pół godziny w jedną stronę, tyle samo z powrotem, osiem godzin pracy, a kiedy miałem spać? Nie miało to sensu. Prosiłem o transport, ale oni tylko wzruszali ramionami, że to nie ich sprawa. W końcu przestałem przychodzić do pracy.



Nie mogło to pozostać niezauważone?

Od razu zaznaczałem: ja nie odmawiam pracy. Po prostu nie mam fizycznej możliwości dotarcia do miejsca pracy. Oni wszystko nagrywali na kamerę. Zrobili to trzy razy. Za pierwszym razem sporządzili protokół „naruszenia”. Za co? Za odmowę pracy. Ja mówię: „Nie odmawiam, tylko pytam, jak mam się tam dostać”. Oni formalnie uznali to za odmowę pracy. I wysłali mnie do izolatki. Siedziałem tam 15 dni. Już wszystko zrozumiałem. Wiedziałem, że czeka mnie kolonia karna. Zacząłem się do niej psychicznie przygotowywać. Potem dostałem kolejne 15 dni. A potem znaleźli coś jeszcze. Każdy miał swoją szafkę, na której wisiała żółta plakietka. Jeśli ją otworzyć, od wewnętrznej strony był rysunek mojego syna. On go narysował i mi przysłał. Oni są świetnymi psychologami. Naprawdę. Oficerowie doskonale wiedzą, gdzie uderzyć. Pamiętam twarz tego milicjanta, gdy to zobaczył. Otwiera szafkę. Widzi dziecięcy rysunek. I na jego twarzy pojawia się ten sadystyczny uśmiech. Powoli, z satysfakcją, zaczyna się uśmiechać i kręcić długopisem koncentryczne kręgi na tym rysunku, jakby celownik. Zrozumiał, że znalazł mój słaby punkt. Moje dzieci. I wypisał mi naruszenie... za dziecięcy rysunek. Wytrzymałem to wtedy, ale jeśli kiedyś spotkam go jeszcze, kiedy to wszystko się skończy, uderzę go w twarz.

Czyli celowo zrobili całą serię naruszeń, by skończyło się to odesłaniem z obozu pracy do więzienia?

Z izolatki przewieźli mnie prosto do sądu. Sędzia, kobieta, około pięćdziesięciu lat. Przeczytała materiały sprawy i doszła do wniosku, że należy poprzeć administrację obozu pracy, ponieważ, jak uznała, odmawiałem pracy. Zapadło postanowienie o zamianie kary: zamiast „chemii” – kolonia karna. Po tym przewieziono mnie do aresztu śledczego w Brześciu. Potem do Homla. A następnie etapem do kolonii w Szklowie, tej samej, w której zabito Witolda Aszuraka. Byłem później nawet w tym samym karcerze, w którym go zakatowali.

Jak było w kolonii karnej w Szklowie?

Początkowo trafia się tam na tak zwaną kwarantannę. Jeszcze nie jesteś przydzielony do oddziału. I tam, od razu, dostałem trzy naruszenia. Za jakies kompletne bzdury. Decyzja zapadła od razu: idziesz do karceru (SZIZO). Mi do końca wyroku, liczonego łącznie z obozem pracy, pozostały trzy miesiące. No to prawie połowę spędziłem w izolatce, karcerze. Drugą połowę na oddziale. Była też praca – szycie butów dla wojska i milicji. Tam

© Wiktar Parchimczyk



był taki brygadzysta. Chłopak skazany za narkotyki, typowy przedstawiciel tzw. złotej młodzieży. Na Białorusi za narkotyki są bardzo surowe wyroki i potem w koloniach karnych takich ludzi władze zmuszają do współpracy jakimiś obietnicami. Często są funkcyjnymi. Ten na szczęście był normalny i inteligentny. Powiedziałem mu, że nie chcę szyc butów dla milicji, że jestem polityczny i to wbrew mojemu sumieniu. Zgodził się. Od tego momentu siedziałem gdzieś na boku i czytałem sobie książki. Kiedy kończył mi się wyrok, jeszcze raz zamknęli mnie w izolatce. Robią to specjalnie, żeby wychodzący na wolność nie mógł przekazać informacji od innych więźniów na zewnątrz. Żeby zapomniał, nie miał kontaktu. Miałem dwie żółte plakietki, symbol więźnia politycznego. Obie wyniosłem na zewnątrz. Jedną wszyłem w kołnierz. Drugą schowałem w tubce po paście do zębów.

Tego nie wolno było zabrać ze sobą?

No nie, ale już z więziennym drelichem było inaczej. Wyszedłem na wolność w więziennym, „zekowskim” uniformie. Chcieli, żebym przebrał się w cywilne ubrania, ale odmówiłem. Wyglądałem strasznie. Naprawdę strasznie wyglądałem w momencie wyjścia. I właśnie dlatego chciałem wyjść w tym uniformie. Oni przecież chcą to wszystko robić po cichu. Chcą zabijać ludzi cicho, bez śladów, bez świadków. A tu nagle wychodzę na wolność i zaczynają mnie fotografować. Mówią: „Przebieraj się”. A ja odpowiadam: „Nie będę. To wy mnie do tego doprowadziliście. To wy mnie tak ubraliście. To na co teraz narzekacie?”. Nalegali. Postraszyłem ich, że wyjdę nago w takim wypadku. Zaczęli się drapać po głowie, co z nim zrobić. Pobić? No dobrze, ale wtedy wyjdzie pobity. Też będą pytania. W końcu machnęli ręką: „Dobra, wynoś się!”. I tak wyszedłem w więziennym ubraniu. Dziś ten uniform znajduje się w Londynie, w muzeum. Leży obok ubrań innych dysydentów, jeszcze z czasów stalinowskich.

Zaraz po wyjściu zdecydowałeś się wyjechać?

Tak. Moja żona zajęła się wtedy wizą, napisała do polskiego konsulatu. To jeszcze działało, było to przed skandalami wizowymi. Wyjechałem do Polski razem z żoną. Później, już w Polsce, rozwiedliśmy się. Pewne traumy i wspomnienia, obciążenia związane z moim więzieniem okazały się nie do przeskoczenia. Wywołały zbyt wielkie rozdźwięki i wzajemne

oskarżenia między nami. Dzieci są w Polsce. Uczą się tu i raczej już nie wrócą na Białoruś.

Chciałbyś wrócić, gdyby pojawiła się taka możliwość?

Tak. Muszę też powiedzieć szczerze: nie podoba mi się teraz Polska. Nie podoba mi się polski szowinizm. Nie czuję się tu komfortowo. Byłem w wielu krajach, ale w tym akurat nie potrafię żyć. Ciągłe ktoś mnie „odsyła” na Ukrainę. Nas, Białorusinów, biorą za Ukraińców, wobec których narasta straszny szowinizm. Proszę mi wybaczyć, ale jestem szczery, mówię, co mi się nie podoba. Za wiele przeżyłem, by bać się mówić.

Rozmowę przeprowadził Michał Kacewicz.

DEPTALI MNIE, KOPALI, STAWALI NA MOICH PLECACH...

Pawieł Mażejka

Zmuszano mnie do klęczenia twarzą do ściany. Czasami rzucali mnie twarzą na betonową podłogę. Potem deptali, kopali, stawali na moich plecach i innych częściach ciała, obrażali, grozili rodzinie, dzieciom, rodzicom, komu tylko mogli.

Pawieł Mażejka (rocznik 1978)

Długoletni dziennikarz Bielsatu, prowadzący programów „Dwa na Dwa” i poświęconego historycznym dyskusjom „Intermarium”. Z wykształcenia historyk. Jeszcze w latach 90. związał się z grodzieńską gazetą „Panonia”. W czerwcu 2002 roku za publikację krytycznego tekstu o Alaksandrze Łukaszence po raz pierwszy skazany na dwa lata ograniczenia wolności. Zwolniony przedterminowo w marcu 2003 roku. Później angażował się m.in. w kampanię prezydencką Alaksandra Milinkiewicza w 2006 roku oraz wiele innych dziennikarskich, kulturalnych i opozycyjnych przedsięwzięć. Założyciel, animator i szef prywatnego grodzieńskiego centrum kultury Centr Garadskoha Życcia. W sierpniu 2022 roku zatrzymany, a następnie skazany z artykułu 361-4 Kodeksu karnego na sześć lat kolonii karnej o zaostrozonym rygorze. We wrześniu 2025 roku uwolniony i deportowany na Litwę. Obecnie mieszka w Polsce. W chwili aresztowania był ojcem trzyletniego Jurki i jedenastoletniej Niny.

Jak zaczęła się twoja sprawa?

W marcu 2021 roku zostałem zatrzymany w związku ze sprawą wystawienia w Centrum obrazu Alesia Puszkin¹ przedstawiającego jednego z bojowników antykomunistycznego podziemia powojennego. W kwietniu 2021 roku Centrum zostało zamknięte przez władze i w ciągu następnego roku zajmowałem się finalizowaniem jego spraw. Trwała sprawa sądowa, bo odwołałem się od decyzji o zamknięciu. Jednocześnie w listopadzie 2021 roku Biełsat ostatecznie został uznany za organizację ekstremistyczną.

Musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy mogę z nim dalej jawnie współpracować, wyjeżdżając z kraju i wracając, czy też zdecydować się na pozostanie na Białorusi i pracę bardziej konspiracyjną. W Polsce przebywała już wtedy moja żona i dzieci, więc ostatecznie zdecydowałem, że spróbuję żyć „na dwa kraje”, trochę tu, trochę tam, rezygnując z jawnej działalności. Wiedziałem, że o ile ja mam możliwość wyjechać, o tyle wielu ludzi takiej możliwości nie ma. Gdy pojawiałem się na ulicy w Grodnie i spotykałem rozmaitych ludzi, pomimo całej tej już coraz bardziej dusznej i totalitarnej atmosfery, widziałem, jak wielu z nich z takiego spotkania szczerze się cieszy, dla jak wielu z nich jest pociechą, że ktoś z ludzi, których utożsamiają z wolnością, z normalnością, jeszcze wciąż

¹ Aleś Puszkin (1965–2023) – białoruski artysta i działacz społeczny. W marcu 2021 roku zatrzymany za rzekome „propagowanie faszyzmu” i skazany na pięć lat pozbawienia wolności. Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach 11 lipca 2021 roku w więzieniu w Grodnie.

jest na miejscu, że nie zostali całkiem sami... No więc pomimo oczywistego ryzyka postanowiłem spróbować. To była taka próba działania w coraz bardziej zawężającym się polu.

Myślę, że moje ostateczne uwięzienie było związane z kolejnym nasileniem się fali aresztowań po wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie. Według mnie oni się po prostu zabezpieczali na wszelki wypadek, unieszkodliwiając kolejną grupę o potencjalnie proukraińskich poglądach. Wiele razy w różnych rozmowach i na przesłuchaniach funkcjonariusze zaprzeczali gorąco, gdy nazywałem sytuację na Ukrainie wojną, mówili, że to „specjalna operacja wojskowa”.

A samo aresztowanie jak przebiegło?

30 sierpnia 2022 roku wyszedłem po dziewiątej rano z domu w Grodnie i podchodziłem do samochodu na parkingu. Nagle zaatakowała mnie kilkusobowa grupa młodych mężczyzn. Na twarzach mieli maski lub kominiarki i bejsbolówki naciągnięte na głowę. Zaczęli krzyczeć, żebym się nie ruszał. Żaden z nich się nie przedstawił, nie okazał żadnych dokumentów ani nie wyjaśnił powodu tego ataku i mojego zatrzymania. Brutalnie wykręcili mi ręce za plecami, założyli kajdanki i nałożyli na głowę ciemny płócienny worek, niemal całkowicie ograniczając mi widoczność. W tej pozycji – skuty kajdankami, z wykręconymi do tyłu rękoma i workiem na głowie – zostałem zaciągnięty do minibusa, który zatrzymał się kilka metrów dalej. Całemu procesowi towarzyszyły krzyki. Mogłem tylko domyślać się, kim są ci ludzie i co będzie dalej. Nie posadzili mnie na siedzeniu, ale rzucili twarzą w dół na podłogę minibusa. Natychmiast zaczęli mnie bić po plecach twardym przedmiotem, prawdopodobnie pałką. Bicie trwało przez całą drogę, która, według moich szacunków, trwała około dziesięciu minut. Jednocześnie zadawali mi pytania i wygłaszali uwagi o wyraźnie politycznym charakterze. Na przykład: „Dlaczego mówisz po białorusku? Mów normalnym językiem”, „Czy wiesz, kto cię zatrzymał?”. Padały również inne pytania i obelgi o charakterze politycznym, których nie pamiętam dokładnie, ale ich treść dotyczyła mojej postawy i pracy dziennikarskiej.

Próbowałem zorientować się, w jakim kierunku jedziemy. Po około dziesięciu minutach domyśliłem się, że jesteśmy gdzieś w centrum Grodna. Po krótkim oczekiwaniu podnieśli mnie z podłogi i zabrali do budynku, który, już później, rozpoznałem jako jeden z budynków KGB przy ulicy

Telmana. Przez cały czas byłem skuty kajdankami, a worka z głowy praktycznie mi nie zdejmowali.

I wtedy cię przesłuchiwali?

Trudno to nazwać przesłuchaniem. Najpierw zaprowadzili mnie do jednego z gabinetów. Przez ten czas nikt nie podejmował żadnych formalnych kroków proceduralnych: nie sporządzał protokołu przesłuchania, nie wyjaśnił mi moich praw, nie poinformował o moim statusie prawnym. Funkcjonariusze raczej obrażali mnie, zastraszały i krzyczeli, że trafiłem do nich na długie lata, że podsłuchiwali mnie i już teraz nie wymknę się z ich rąk. Bo oni to nie milicja, która nie prowadzi żadnych poważnych spraw, tylko „ogony”, a jak już oni mną się zajęli, to na pewno jestem czemuś winny. Otaczała mnie grupa mężczyzn, którzy na zmianę zadawali pytania i próbowali nawiązać rozmowę. Według moich obliczeń tego dnia było to co najmniej osiem osób, wszystkie po cywilnemu, ktoś wchodził, ktoś wychodził.

W pewnym momencie jeden z nich poinformował mnie, że jestem w budynku KGB i że wszyscy oni są funkcjonariuszami tej służby. Mniej więcej dwie godziny po przyjeździe po raz pierwszy pokazano mi dokument stwierdzający wszczęcie postępowania karnego w sprawie o przestępstwo z części 2 artykułu 361-4 Kodeksu karnego, czyli byłem oskarżony o pomoc w działalności ekstremistycznej. W dokumencie było napisane, że jestem podejrzany, ale nie było żadnych konkretów. Funkcjonariusze natomiast wyraźnie wiązali to z moją pracą dziennikarską – pytali na przykład o jakieś tematy w programie „Intermarium” w telewizji Biełsat – oraz z moją działalnością w obszarze kultury i na rzecz rozwoju Grodna. Poświęcali też wiele uwagi temu, że zdecydowanie potępiam brutalny napad Rosji na Ukrainę.

W pewnym momencie znów zaczęli mnie bić. Nawet nie bardzo potrafię powiedzieć, jaka była tego przyczyna, bo przebieg tej ni to dość jednostronnej rozmowy, ni to przesłuchania, nijak agresji nie uzasadniał. Wszystko to trwało przez cały dzień – do około godziny 18.

Jeden z funkcjonariuszy, który zachowywał się najbardziej agresywnie i sadystycznie, odgrywał szczególnie znaczącą rolę w tej akcji. Będę o nim mówił dalej „Sadysta”. Na zawsze zapamiętam jego wieśniackie, brązowe buty, którymi od czasu do czasu mnie kopał. Wyczułem bijący od niego i od jeszcze jednej osoby odór alkoholu. Funkcjonariusze zażądali

ode mnie podania hasła do telefonu komórkowego. Odmówiłem. Nalegali, abym je podałem, grożąc „surowym wyrokiem”, mówiąc, że „skażą mnie na długie lata więzienia, a tak będę miał szansę na lżejszy wyrok”. Ciągłe powtarzali, że są „Komitetem Bezpieczeństwa Państwowego, a nie milicją”, i że skoro już mnie zatrzymali, to znaczy, że wszystko wiedzą i koniecznie chcą wsadzić mnie do więzienia. Stanowczo odmówiłem podania hasła, uznając telefon za moją prywatną własność i mówiąc, że zawiera on wyłącznie informacje rodzinne i osobiste. Nie miałem tam wprawdzie żadnych poufnych informacji, które mogłyby komukolwiek zaszkodzić, ale nie chciałem, by jakieś zupełnie przypadkowe osoby, z którymi miałem czysto prywatne relacje, miały potem kłopoty, by zainteresowała się nimi KGB, były straszone i przesłuchiwane. Oświadczyłem wprost, że w telefonie nie ma żadnych danych naruszających prawo Republiki Białorusi. Zrozumiałem, że funkcjonariusze KGB za główne swoje zadanie uznali zdobycie hasła do mojego telefonu.

Za odmowę podania hasła zaczęli teraz już systematycznie poddawać mnie przemocy fizycznej i psychicznej. Co jakiś czas powtarzałem, że w telefonie są wyłącznie informacje o charakterze rodzinnym i osobistym. Przez cały dzień byłem wielokrotnie wyprowadzany z biura na korytarz i „do toalety”. Za każdym razem odbywało się to pod formalnym pretekstem. Sadysta mówił: „Musisz iść do toalety”, nawet jeśli wprost odpowiadałem, że nie chcę. Później zdałem sobie sprawę, że wzmianka na temat toalety była jedynie sygnałem do dalszego bicia. Być może w gabinecie była kamera i funkcjonariusze nie chcieli, żeby coś się nagrało. Na korytarzu nie zdejmowali mi kajdanek i często miałem też nadal worek na głowie. Tam bili mnie dużą, ciężką książką. Przez materiał worka. Po jego zdjęciu widziałem, że to rzeczywiście książka – duży, gruby tom, być może zbiór praw lub komentarzy do kodeksu. Ciosy zadawali w tył głowy i w plecy. Czasem bili rękami, pięściami. To powodowało ból i upokorzenie, ale wyraźnie starali się zminimalizować ryzyko pozostawienia śladów na odsłoniętych częściach ciała i jednocześnie chronili własne pięści. Trudno jest utrzymać się na nogach, gdy jesteś z tyłu skuty kajdankami, stoisz oparty ramieniem o ścianę, z workiem na głowie, a ktoś bije cię po niej. Bałem się upaść, bo w tej sytuacji groziło to poważnymi obrażeniami. W pewnym momencie powiedziałem, że mogę upaść i stracić przytomność. Odpowiedzieli, że „nie obchodzi ich to”, że „są tysiące takich jak ja” i że tak bardzo ich „nękamy”, że nie przejmują się konsekwencjami.

Wtedy poczułem się dumny z Białorusinów, bo jakkolwiek by nie było, dotarła do mnie oficjalna informacja, jak duży jest protest ludzi przeciwko sfałszowanym wyborom i łamaniu praw człowieka. Zmuszano mnie do klęczenia twarzą do ściany. Czasami rzucali mnie twarzą na betonową podłogę. Potem deptali, kopali, stawali na moich plecach i innych częściach ciała, obrażali, grozili rodzinie, dzieciom, rodzicom, komu tylko mogli.

Podczas tego wszystkiego, o czym już mówiłem, a co powtarzało się kilkakrotnie, inni współpracownicy KGB również przechodzili korytarzem, słysząc ten hałas i widząc, co się dzieje. Żaden z nich nie próbował powstrzymać przemocy ani nie zaprotestował. Wydaje mi się, że traktowali to jak rutynową praktykę.

ZAATAKOWAŁA MNIE KILKUSOBOWA GRUPA MŁODYCH MĘŻCZYŹN
W MASKACH LUB KOMINIARKACH. WYKRĘCILI MI RĘCE, ZAŁOŻYLI
KAJDANKI I NAŁOŻYLI NA GŁOWĘ CIEMNY PŁÓCIENNY WOREK.

Inny incydent dotyczył toalety. W pewnym momencie, pod koniec dnia, znów zaprowadzono mnie do niej, tym razem naprawdę. Worek z głowy zdjęli, ale kajdanki pozostały. Sadysta ostentacyjnie wskazał na kaburę pistoletu czy nawet go wyjął, kolbą do przodu, dokładnie nie pamiętam, i powiedział coś w tym rodzaju, że może mi dać broń i zdjąć kajdanki, żebyśmy mogli „zrobić to, co na pewno chcę zrobić” – czyli, jak rozumiem, uderzyć go lub strzelić. Zdałem sobie sprawę, że to oczywista prowokacja, że może chodzić o to, że niewiele na mnie mają, ale będą mogli przedstawić tę sytuację jako napaść na funkcjonariusza i zapewnić sobie formalny pretekst do postawienia mi jeszcze poważniejszych zarzutów. Zacząłem więc krzyczeć, że to prowokacja. Miałem niewielką nadzieję, że to pomoże, ale, choć takie hałasowanie nie leży w mojej naturze, krzyczałem, ile się dało, wiedząc, że w budynku są inni ludzie i mimo wszystko ktoś może to usłyszeć. Po tym, jak krzyknąłem kilkakrotnie, dwóch kolejnych funkcjonariuszy wbiegło do toalety i zaczęło niby uspokajać agresywnego kolegę. Sądząc po ich zachowaniu, byli podwładnymi Sadysty. W pewnym momencie on, zirytowany chyba tym, że jego pomysł nie wypalił, zaczął wykręcać mi ręce i próbował wepchnąć głowę do sedesu. Stawiałem opór, ile mogłem, mimo że ręce miałem skute kajdankami za plecami. Sadysta krzyknął do pozostałych dwóch, żeby mu pomogli. Oni również zaczęli mnie zmuszać, jednocześnie spuszczaali wodę. Wydawało mi się, że robią

to bez większego entuzjazmu, ale nie odważyli się odmówić. W pewnym momencie wreszcie przestali. Najwyraźniej chcieli mi dać do zrozumienia coś w stylu: „możemy z tobą zrobić, co chcemy” i że „wszyscy w więzieniu się dowiedzą”, co sugerowało dalsze upokorzenie.

W ciągu dnia stosowano wobec mnie także rozmaite inne formy przemocy. Dokładniej mówiąc, wykręcali mi nozdrza, wciskali palce w oczy i przyciskali głowę do ściany, ale bez żądania jakichś konkretnych zeznań. Moim zdaniem wszystko to miało na celu totalne zastraszenie, upokorzenie i zademonstrowanie całkowitej ich bezkarności.

GDY POWIEDZIELI, ŻE „SA TYSIĄCE TAKICH JAK JA”, PO CZUŁEM SIĘ
DUMNY Z BIAŁORUSINÓW, BO JAKKOLWIEK BY NIE BYŁO, DOTARŁA
DO MNIE OFICJALNA INFORMACJA, JAK DUŻY JEST PROTEST LUDZI
PRZECIWKO SFAŁSZOWANYM WYBOROM I ŁAMANIU PRAW CZŁOWIEKA.

Funkcjonariusze KGB twierdzili, że mogą wszcząć przeciwko mnie każdą sprawę karną, nawet pod poważniejszymi zarzutami, w tym zdrady stanu. Jako przykład podawali sprawę dziennikarki Bielsatu Kaci Andrejewej², której „dołożyli” po pierwotnym skazaniu długoletni wyrok więzienia. Otwarcie grozili, że mogą zrobić to samo ze mną. Warte zauważenia jest, że 30 sierpnia 2022 roku jeden z funkcjonariuszy KGB powiedział mniej więcej tak: „Zobaczysz, będzie cię sędził Fiłatau³ i dostaniesz sześć lat”. Po prawie roku, w lipcu 2023 roku, właśnie ten sędzia skazał mnie na tę właśnie karę, którą „ogłosili” w 2022 roku funkcjonariusze KGB. Trudno o jaśniejszy dowód, że finał mojej sprawy karnej i wyrok były z góry ustalone i nie miały nic wspólnego ze sprawiedliwym procesem.

Niektórzy funkcjonariusze zwracali się do siebie po imieniu i otaczestwie, na przykład „Jurij Giennadiewicz”, a nawet wspominali imię „Walentin”. Jeden z przybyłych później ludzi przedstawił się nazwiskiem, które zapamiętałem jako Waraniecki, i mówił jak starszy oficer. Powiedział, że kieruje wydziałem śledczym zarządu KGB w obwodzie grodzieńskim i zajmuje się głośnymi sprawami politycznymi. Te adresy i nazwiska

2 Kaciaryna Andrejeuna (Andrejewa) Bachwaława (ur. 1993) – białoruska dziennikarka i aktywistka społeczna. Związana z Bielsatem od 2017 roku. Aresztowana w listopadzie 2020 roku i skazana w lutym 2021 roku na dwa lata kolonii karnej. 13 lipca 2022 roku dodatkowo ukarana ośmioma latami więzienia pod zarzutem zdrady stanu. Uwolniona w marcu 2026 roku wyjechała na Litwę, a potem do Polski.

3 Maksim Fiłatau – sędzia Sądu Okręgowego w Grodnie znany z drakońskich wyroków m.in. w tzw. sprawie Autuchowicza – oskarżonego o terroryzm weterana z Afganistanu, przedsiębiorcy. Zob. rozmowa z Haliną Dzierbysz.

mogły być prawdziwe lub fikcyjne, ale dla mnie liczy się to, że wszyscy ci ludzie działali z całkowitym przekonaniem o absolutnej bezkarności.

Przez cały ten dzień 30 sierpnia 2022 roku byłem skuty za plecami metalowymi, zaciskowymi kajdankami. Przy każdym ruchu, biciu, upadkach i próbach utrzymania równowagi kajdanki zaciskały się coraz mocniej i wbijały głęboko w skórę nadgarstków. Pod wieczór jeden z funkcjonariuszy, widząc moje dłonie, najwyraźniej się przestraszył. Kajdanki były tak ciasne, że nadgarstki zrobiły się fioletowo-czarne, dłonie spuchnięte jak bochenki chleba, a metal wbił się głęboko, powodując krwawienie. Krew sączyła się z moich rąk. Funkcjonariusze gorączkowo szukali kluczyka do kajdanek. Dopiero po pewnym czasie gdzieś go znaleźli i udało się im je otworzyć, lekko poluzować i zapiąć z przodu. Na nadgarstkach pozostały głębokie rany, po których blizny są nadal widoczne i według biegłego sądowego pozostaną mi do końca życia. Przez około dwa miesiące po pobiciu miałem upośledzone czucie w dłoniach: ciągłe uczucie mrowienia, drętwienia i osłabienia, które uniemożliwiało mi posługiwanie się rękoma.

Zaprowadzili cię do lekarza?

Tamtego dnia nie otrzymałem żadnej pomocy medycznej. Funkcjonariusze KGB nie wezwali lekarza, nie opatrzyli ran i nie zdjęli mi natychmiast kajdanek pomimo oczywistego zagrożenia dla mojego zdrowia. Dopiero pewien kryminalista wytłumaczył mi, że trzeba co dzień regularnie te ręce masować i po jakimś czasie czucie wróciło.

Wieczorem 30 sierpnia 2022 roku zostałem wyprowadzony z budynku KGB w kajdankach i bez żadnego wyjaśnienia. Umieszczono mnie w nieoznakowanym samochodzie z kierowcą, funkcjonariuszem na przednim siedzeniu i dwiema osobami po obu stronach. Zostałem przewieziony do aresztu Kastrycznickiego⁴ rejonowego oddziału milicji w Grodnie. Po przyjęciu oficer dyżurny zauważył liczne ślady pobicia i obrażenia na moich rękach. O ile rozumiem, odnotował mój stan po przybyciu do aresztu.

Nie zaproponowano mi żadnych środków przeciwbólowych ani opatrunków. Moja prośba o pomoc medyczną pierwszego dnia została zignorowana. Dopiero trzy dni później, gdy przenoszono mnie do aresztu śledczego, udało mi się krótko porozmawiać z lekarzem, który ograniczył się do zalecenia pozostawienia ran otwartych bez zakładania opatrunków.

⁴ Kastrycznicki rejonowy oddział milicji w Grodnie (ros. *Oktiabrski*) – areszt przy komisariacie dzielnicy Oktiabrskiej.

Przebywałem w areszcie milicyjnym przez trzy dni. Pierwszy dzień spędziłem całkowicie bez jedzenia: w KGB nie karmiono mnie przez cały dzień, a w areszcie posiłki otrzymują tylko więźniowie wpisani na wcześniej przygotowane listy. W ten sposób, przy całym tym biciu i stresie, dodatkowo nic nie jadłem półtorej doby.

Cela na dołku, czyli w areszcie milicyjnym, była przeznaczona dla czterech osób. Przez część czasu byłem w niej sam, a następnie zostałem przeniesiony do celi z innym więźniem. Miała umywalkę z zimną wodą i toaletę z częściową przegrodą. W nocy pozwolono mi spać na materacu, ale w ciągu dnia materac i koc były mi zabierane – mogłem siedzieć tylko przy stole. Przez całą noc, mniej więcej co dwie godziny, otwierano dziurę w drzwiach – „karmuszkę”, budzono, zmuszano do wstania i podania swojego imienia, nazwiska oraz artykułu, na podstawie którego jestem przetrzymywany. To forma nacisku na więźniów politycznych pozbawiająca ich odpowiedniej ilości snu.

Poza celą mogłem poruszać się wyłącznie w kajdankach. Przez trzy dni w areszcie milicyjnym odmawiano mi prysznicu i spaceru. Paczki, co prawda, teoretycznie były dozwolone, ale pierwszą otrzymałem faktycznie dopiero w momencie przenoszenia mnie do aresztu śledczego.

Trzy dni później, po przygotowaniu postanowienia o postawieniu mi zarzutów na podstawie części drugiej art. 361-4 Kodeksu karnego, poinformowano mnie, że zostanę umieszczony w Areszcie Śledczym (SIZO-1), który jest częścią Zakładu Karnego nr 1 Departamentu Więziennictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Obwodu Grodzieńskiego.

Kiedy trafiłem do SIZO-1, funkcjonariusz, który mnie przyjmował, również udokumentował ślady pobicia i stan moich rąk. Po krótkim pobycie w celi przejściowej wezwano mnie i poproszono o podpisanie oświadczenia o braku roszczeń prawnych wobec personelu Aresztu Śledczego nr 1 z tytułu obrażeń, z którymi zostałem przyjęty. Podpisałem to oświadczenie, rozumiejąc, że obrażenia zostały zadane przez funkcjonariuszy KGB.

Najprawdopodobniej w związku z odnotowaniem obrażeń przez milicjantów w areszcie milicyjnym i potem, przy przyjmowaniu w areszcie śledczym, rozpoczęto formalne dochodzenie i w związku z tym odwiedził mnie biegły sądowy. Stało się to około 14 dni po moim aresztowaniu – według tego, co powiedział, ostatniego dnia, kiedy dokumentowanie obrażeń było jeszcze prawnie możliwe. Ekspert zbadał moje dłonie i inne części

ciała, dokumentując blizny i ślady pobicia. Później stwierdził, że pozwolono mu zobaczyć się ze mną dopiero ostatniego dnia, co sugerowało, że dochodzenie było celowo opóźniane, by rany się choć trochę zagoiły i ślady stały się mniej widoczne.

STOSOWANO WOBEC MNIE TAKŻE RÓŻNORÓDNE INNE FORMY PRZEMOCY. WYKRĘCALI MI NOZDRZA, WCISKALI PALCE W OCZY I PRZYCIŚKALI GŁOWĘ DO ŚCIANY, ALE BEZ ŻADANIA JAKICHŚ KONKRETNÝCH ZEZNANÍ. WSZYSTKO TO MIAŁO NA CELU TOTALNE ZAŚTRASZENIE, UPOKORZENIE I ZAEMONSTROWANIE CAŁKOWITEJ ICH BEZKARNOSCI.

Dochodzenie w sprawie samego pobicia prowadziła przedstawicielka Komitetu Śledczego Obwodu Grodzieńskiego. Zadała mi pytania dotyczące okoliczności. Musiałem odpowiadać z najwyższą ostrożnością, aby uniknąć pogorszenia mojej sytuacji. Zdawałem sobie sprawę, że system nie jest zainteresowany identyfikacją sprawców wśród oficerów KGB i że nadmierna szczerość z mojej strony może doprowadzić do dalszych działań przeciwko mnie, a byłem przecież całkowicie pod kontrolą systemu. Kluczowe było dla mnie to, aby pobicie oraz to, że mieli z nim coś wspólnego oficerowie KGB, zostało oficjalnie odnotowane i udokumentowane. Ostatecznie otrzymałem pisemną odpowiedź Komitetu Śledczego, w której stwierdzono, że moje zatrzymanie i późniejsze działania zostały oficjalnie uznane za zgodne z prawem i że nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa karnego w sprawie pobicia. Uważam tę odmowę za dowód całkowitej bezkarności oficerów KGB.

W Areszcie Śledczym nr 1 (SIZO-1) przebywałem przez prawie 15 miesięcy, do 7 listopada 2023 roku. To bardzo stary budynek, dawny klasztor jezuitów, potem więzienie. Osadzeni żyli więc w dawnych celach mnichów o wymiarach mniej więcej 2,5 na 3,5 metra. Były one przeznaczone dla czterech osób. Cele są wilgotne, z pleśnią na sufitach i ścianach oraz słabą wentylacją. Większość ma plastikowe okna, ale często nie zamykają się one prawidłowo i czasami są popękane. Wilgoć i pleśń zwiększają stale ryzyko chorób układu oddechowego, w tym gruźlicy.

Był to okrągły blok z celami czteroosobowymi – podczas mojego pobytu w SIZO-1 przebywałem w pięciu lub sześciu takich, ale warunki wszędzie były podobne. Kącik sanitarny z ubikacją znajdował się wewnątrz, oddzielony niewysoką ścianką. Okna małe, w grubych ścianach,

z drobną kratą – słabo przepuszczały powietrze, więc zimą otwierano je, żeby przewietrzyć, i było zimno. Szczególnie poza sezonem grzewczym, gdy na zewnątrz panowały już chłód i wilgoć, a ogrzewanie jeszcze nie działało. Latem w nasłonecznionych celach panował zaduch i – mówiąc wprost – smród.

Budynki remontowali sami więźniowie, z materiałów, jakie akurat administracja miała pod ręką, co widać było w każdym szczególe: w jednej celi umywalka zachodziła ponad sedes, w innej była malutka, kanalizacja się zatykała. Pranie stanowiło osobny problem – ciepłej wody w celi nie było, trzeba ją zagrzzać grzałką, a metalowe wiadra są zabronione. Po pewnym czasie można kupić na wypiskę plastikowe wiadro albo miskę. Suszenie też niełatwe, bo sznurki również są zakazane – więźniowie robią je z rozciągniętych torebek polietylenowych, produkując z nich w ten sposób kilkadziesiąt metrów.

Osadzeni nie dostają kubków i do picia muszą się posługiwać plastikowymi opakowaniami po żywności typu zupka chińska, którą dostaną w paczce albo kupią na wypiskę. Nie wolno też mieć na stałe łyżki ani oczywiście noża. O nóż trzeba dzień wcześniej napisać podanie, jeśli chce się pokroić na przykład otrzymaną w paczce kiełbasę, tylko niestety nigdy nie wiadomo, czy się ten nóż dostanie, czy nie, i o jakiej porze. Więźniowie ostrzą denka od puszek, ale posiadanie takiego narzędzia to już jest wielkie naruszenie regulaminu, za które grozi dotkliwa kara. Wszystko to jest o tyle istotne, że więźniowie żywią się w ogromnym stopniu tym, co dostają w paczkach od rodzin, choć nie bardzo jest, gdzie tę żywność przechowywać.

Nie miałem dostępu do opieki okulistycznej, a słabe oświetlenie i konieczność częstego pisania i czytania doprowadziły do zauważalnego pogorszenia wzroku. Siedząc przy stole, nie mogłem już poprawnie pisać; musiałem pisać na stojąco, opierając się na górnej pryczy i pochylając się w stronę światła.

Czy wyprowadzano was na spacer?

Spacery w zasadzie odbywały się codziennie w niewielkich, betonowych spacerniakach przykrytych siatką, położonych na dachu aresztu. Zasada była taka, że musiała albo pójść cała cela, albo nikt. Czasem mogli nas wyprowadzić na godzinę, a czasem nawet na trzy, choć był chłód i deszcz. Najczęściej był to rodzaj zemsty: gdy klawisze na przykład

chcieli zakończyć spacer wcześniej niż po godzinie, a któryś z więźniów protestował, to nas zostawiali na znacznie dłużej. Na zasadzie: dobra, no to niech sobie teraz posiedzą i pomarzną...

Siedziałem z bardzo różnymi ludźmi, wśród których było wielu politycznych. Dosadzano też „stragaczi” – to więźniowie odbywający karę w tzw. surowym reżimie, których na przykład w ramach kary przenoszono z kolonii karnej do więzienia. Dość często bywały to osoby, które współpracowały z administracją więzienną.

Około tydzień po umieszczeniu mnie w Areszcie Śledczym nr 1 wezwano mnie na posiedzenie administracyjne, na którym dyrektor ośrodka i jego zastępcy ogłosili, że zostałem umieszczony na liście osób objętych obserwacją prewencyjną jako „osoba podatna na działalność ekstremistyczną i inną działalność destrukcyjną”⁵. Niektórzy z zatrzymanych z powodów politycznych trafiają na listę objętych obserwacją prewencyjną. Ten status pogorszył moje położenie. Mogłem spać tylko na górnej pryczy, co stwarzało dodatkowy dyskomfort. Podczas każdej kontroli musiałem złożyć raport w stylu: „Ja, Paweł Iwanawicz Mażejka, jestem oskarżony na podstawie takiego a takiego artykułu i znajduję się na liście osób objętych obserwacją prewencyjną jako osoba podatna na działalność ekstremistyczną i inną działalność destrukcyjną”. Była to oczywista forma presji psychologicznej i wymuszonej samostygmatyizacji. Zarazem jednak, z punktu widzenia więźnia, miało to tę dobrą stronę, że co jakiś czas naszą celę wożono na jakieś umoralniające wykłady (na przykład o szkodliwości narkotyków) i można było choć na chwilę zobaczyć świat poza murami więzienia.

W grudniu 2022 roku na pięć dni zostałem umieszczony w celi karnej SZIZO. Formalnym powodem było rzekome leżenie na „narach” w ciągu dnia, kiedy było to zabronione. W rzeczywistości w tym czasie wcale nie naruszyłem regulaminu, co wyjaśniłem na piśmie. Mimo to kierownik SZIZO-1 nakazał umieszczenie mnie w SZIZO. Cella SZIZO była maleńką izolatką, całkowicie wyłożoną kafelkami z podnoszoną na dzień pryczą. Nie wolno tam mieć ze sobą niczego – ani przyborów do pisania, ani książki, ani żadnych innych rzeczy poza papierem toaletowym, ręcznikiem i mydłem. W dzień wolno siedzieć tylko na maleńkim zydelku

5 Profulik 10 – żargonowe określenie dziesiątej kategorii profilaktycznej ewidencji więziennej (biał. *проф улік*, ros. *проф учёт*), obejmującej osoby uznane za skłonne do działalności ekstremistycznej.

przymocowanym do podłogi. Ale i tak inaczej niż w kolonii karnej dostaje się przynajmniej na noc materac i jakąś, niekoniecznie czystą, pościel. Cela była na poziomie piwnicy i małe okienko było tam tylko *pro forma*. Warunki były trudne. No i sam powód umieszczenia kogoś w celi karnej za formalne naruszenie, które nie zostało popełnione, stanowi, moim zdaniem, okrutne traktowanie.

Jak wyglądały kontakty ze światem zewnętrznym – widzenia, korespondencja?

Korespondencja w SIZO-1 była dozwolona wyłącznie z bliskimi krewnymi. Wiem, że wiele listów od innych ludzi nigdy do mnie nie dotarło. Podobnie listy, które pisałem do osób niebędących bliskimi krewnymi, również nigdy nie zostały dostarczone. Możliwe były jedynie krótkie widzenia z rodziną. Wymagana była do tego zgoda śledczego prowadzącego sprawę lub sędziego prowadzącego rozprawę. No i z reguły, po wydaniu wyroku, takie widzenia przysługują wszystkim osadzonym. W ciągu 15 miesięcy odbyłem chyba cztery krótkie widzenia z matką i innymi bliskimi krewnymi, każde trwało około dwóch godzin, przez szybę, przez telefon, z trzaskami i chwilami z kiepską słyszalnością. Z jednej strony to dobrze, gdy możesz kogoś z bliskich zobaczyć na żywo, ale z drugiej nie jest to bardzo miłe doświadczenie, bo widzisz bliskich – a oni ciebie – tylko przez brudną szybę i rozmawiasz przez chrypiący telefon, przez który nawet nie wszystko słyhać.

Czy mogłeś używać w więzieniu i w obozie języka białoruskiego?

Uważam, że od samego początku pozbawienia wolności byłem dyskryminowany właśnie za mówienie po białorusku. Mówiłem po białorusku przez całe świadome życie, na co dzień. W Areszcie Śledczym nr 1 personel dość niegrzecznie powiedział mi, że chociaż rozumieją, iż łatwiej mi mówić po białorusku, powinienem z nimi rozmawiać po rosyjsku, kiedy tylko to możliwe, ponieważ „im jest łatwiej”. Podjąłem praktyczną decyzję: jeżeli jest taka potrzeba, to będę rozmawiać po rosyjsku z administracją i w sytuacjach oficjalnych, aby zminimalizować dalsze konflikty, ale nadal będę mówił i pisał po białorusku w kontaktach z innymi więźniami, a także w listach do rodziny i przyjaciół. Najwyraźniej używanie języka białoruskiego jest postrzegane przez władze jako element „niewłaściwej” postawy obywatelskiej.

Czy KGB się tobą interesowało w areszcie? Proponowali ci współpracę? Jak wyglądały przesłuchania?

Mniej więcej po tygodniu od przywiezienia mnie do Aresztu Śledczego nr 1 wywołano mnie z celi. Zobaczyłem jakiegoś mężczyznę w cywilu, który, o ile pamiętam, przedstawił się, ale jego nazwisko mi umknęło. Powiedział, że jest funkcjonariuszem KGB. Zaczął od tego, że nie jest pewien, czy ja ich dobrze zrozumiałem, że może wyobrażam sobie, że szybko wyjdę, ale to nie taka sytuacja, sprawa tym razem jest poważna. No i że może chciałbym jakoś poprawić swoją sytuację... na przykład tak jak Raman Pratasiewicz⁶. Zapytałem, czy dużo jest takich jak Pratasiewicz i jakoś z rozmowy wynikało, że nie za bardzo, że jednak normalnych ludzi jest więcej. Ponieważ nie reagowałem pozytywnie na propozycję, oświadczył, że nie mamy w takim razie o czym rozmawiać, i siedzieliśmy tak w milczeniu jeszcze jakieś 40 minut. Bo system jest taki, że gościa wpuszczają i zamykają razem z więźniem w pokoju, aż wreszcie przyjdzie strażnik go wypuścić.

Ponadto mniej więcej raz w miesiącu przychodził śledczy, któremu towarzyszył obrońca, ale jako że od początku odmówiłem zeznań, adwokat jedynie siedział. Ewentualnie dawał mi do podpisania jakieś papierki o przedłużeniu mi aresztu albo w sprawie rewizji w domu czy jakiejś ekspertyzy. Śledczy cały czas domagali się też dostępu do telefonu.

W lipcu 2023 roku odbyła się rozprawa w Sądzie Obwodowym w Grodnie. Zarzut z części 2 artykułu 361-4 Kodeksu karnego dotyczył tego, że adwokatka reprezentująca artystę Alesia Puszkina rzekomo przekazała mi informacje o wyroku oraz pozbawieniu jej prawa wykonywania zawodu adwokata. Następnie przekazałem jakoby te informacje telewizji Bielsat, z którą wcześniej byłem związany zawodowo. Jak wspomniałem powyżej, kanał został uznany przez reżim Łukaszenki za „organizację ekstremistyczną”, a władze interpretują wszelkie przekazywanie jej informacji jako wspieranie „działalności ekstremistycznej”. Zarzut najwyraźniej miał charakter czysto polityczny i w rzeczywistości stanowił karę za działalność dziennikarską i rozpowszechnianie informacji o znaczeniu społecznym.

⁶ Białoruski dziennikarz opozycyjny porwany przez władze białoruskie w maju 2021 roku (samolot, którym leciał z Aten do Wilna, zmuszono do lądowania w Mińsku, a Pratasiewicza wyprowadzono z pokładu) i osadzony w więzieniu, w którym jakoby dobrowolnie zmienił poglądy, co publicznie ogłosił.

Rozprawa rozpoczęła się 10 lipca 2023 roku i zakończyła 26 lipca 2023 roku ogłoszeniem wyroku. Znaczna część posiedzeń była początkowo formalnie jawna, a moi krewni mogli w nich uczestniczyć. Następnie prokuratura ogłosiła konieczność przesłuchania „tajnego” świadka – eksperta komputerowego – i rozprawę utajniono. Wszystkie kolejne odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Proces, według moich obserwacji, był

OTRZYMAŁEM PISEMNA ODPOWIEDŹ KOMITETU ŚLEDZIEGO, W KTÓREJ
STWIERDZONO, ŻE MOJE ZATRZYMANIE I PÓŹNIEJSZE DZIAŁANIA
ZOSTAŁY OFICJALNIE UZNANE ZA ZGODNE Z PRAWEM. UWAŻAM
TĘ ODMOWĘ ZA DOWÓD CAŁKOWITEJ BEZKARNOŚCI OFICERÓW KGB.

formalnością. Sędzia Maksim Fiłatau kompletnie ignorował argumenty i zarzuty obrony dotyczące braku dowodów. Biorąc pod uwagę, że funkcjonariusze KGB w dniu mojego aresztowania podali mi nazwisko sędziego i przewidywany okres mojej kary, jestem przekonany, że wyrok nie był wynikiem postępowania, lecz został z góry ustalony. Ponieważ ani ja, ani moja współoskarżona nie składaliśmy zeznań i było bardzo niewiele świadków, rozprawa polegała głównie na odczytywaniu materiału z podsłuchu i kolejnych dokumentów w rodzaju: pytanie do wszystkich banków Białorusi, czy Mażejka ma w nich konto. Odpowiedzi: nie ma. Nasi adwokaci podnosili fakt, że podsłuchana rozmowa pomiędzy mną a adwokatką miała miejsce później niż publikacja na stronie internetowej telewizji Biełsat informacji o sprawie, ale sędzia nie wziął tego pod uwagę. Ostatecznie zostałem skazany na sześć lat pozbawienia wolności. Apelacja od wyroku niczego nie zmieniła: wyrok utrzymano w mocy.

Czy spodziewałeś się tak wysokiego wyroku? Mnie relacjonowano, że choć przyjąłeś go ze spokojem, to zrobił na tobie wrażenie?

To nie tak. W więzieniu nie masz już takiej świadomości czasu. Odsiedziałem 14 miesięcy, no to wiadomo, że zostały może cztery lata, bo pobyt w areszcie liczy się do okresu zasądzonej kary, przy czym każdy dzień jako półtora dnia. Więc, czy to dużo, czy mało... Chciałem przede wszystkim, by ten cyrk w sądzie się skończył. Bo po wyroku to, jak mówią więźniowie, już tylko prosta droga – do domu. I nawet już wiesz, kiedy to nastąpi. Choć w wypadku wielu okazało się, że nie, ta droga do domu nie jest całkiem prosta, a w przypadku tych, którzy podostawali dodatkowe

wyroki w trakcie odsiadki, okazało się, że nawet termin wyjścia na wolność może się zmienić. W praktyce tylko kryminalni wiedzą, kiedy wrócą do domu, a polityczni – nie.

Co było dalej? Etap, czyli przewiezienie do kolonii karnej?

7 listopada 2023 roku przeniesiono mnie z Aresztu Śledczego nr 1 do Kolonii Poprawczej nr 2 Departamentu Więziennictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Obwodu Mohylewskiego (IK-2) w Bobrujsku. Przedtem zabroniono mi zabierania ze sobą niektórych przedmiotów osobistych – zegarka, zapalek i wszelkich przedmiotów zawierających folię – pod pretekstem, że jestem objęty procedurą prewencyjną jako „osoba skłonna do ekstremizmu”.

Folię?

Trudno powiedzieć, o co chodziło, ale te przepisy dla politycznych ciągle się zmieniają. Głównie chodziło chyba o utrudnienie życia. Przedmioty te zinwentaryzowano i musiały zostać wysłane pocztą. Gdy podpisywałem ich oddanie, zauważyłem list przewozowy i zorientowałem się, że wiozą nas do Bobrujska, bo oczywiście nikt mi nic nie mówił i o niczym nie informował.

Przeniesienie z Aresztu Śledczego nr 1 do wagonu więziennego odbywało się znów w kajdankach. Tak samo cała droga przez Baranowicze do Bobrujska. W podróży byłem skuty, pomimo że znajdowaliśmy się w specjalnym wagonie wyposażonym w kraty. Zarówno przedziały, jak i drzwi pociągu były zamknięte na klucz i przez cały czas towarzyszyła nam uzbrojona eskorta. Kajdanki w tych warunkach, przez tyle godzin, nie były konieczne ze względów bezpieczeństwa, ale stanowiły dodatkowy środek upokorzenia i dyskomfortu fizycznego. Po przybyciu do Baranowicz zabrano nas do Aresztu Śledczego nr 6 Departamentu Więziennictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Obwodu Brzeskiego. Tam zmuszono nas byśmy kucali na dziedzińcu, niosąc jednocześnie ciężkie torby – tzw. kieszary, przez dziesiątki metrów, podczas gdy strażnicy podążali za nami, a psy czekały. Było to demonstracyjne poniżenie.

Cela, w której spędziliśmy noc, nie miała materaców ani pościeli, tylko gołe nary. Tej nocy musieliśmy spać w ubraniach na deskach. Następnego dnia ponownie rozebrano nas do naga i zmuszono do kucania, rzekomo po to, by sprawdzić, czy któryś z więźniów nie ma w jamach

ciała przedmiotów zabronionych. Podobne rewizje osobiste i kucanie, w obecności kilku strażników, przeprowadzano następnie już w kolonii karnej wielokrotnie – przed każdym umieszczeniem w celi karnej i podczas transportu.

Przejazd z Baranowicz do Bobrujska odbywał się w nocy. W specjalnym przedziale pociągu znajdowało się już około 10–12 osób. Znów byłem skuty kajdankami. Z powodu ciasnoty niektórzy byli zmuszeni wspinać się na półki bagażowe nad głowami innych pasażerów. W nocy ludzie dosłownie wisieli jeden na drugim, na wprost śpiąc. Zapewniono dostęp do toalety, ale drzwi pozostawiono otwarte, pozbawiając przewożonych wszelkiej intymności. W Bobrujsku ponownie powitali nas strażnicy z psami i ponownie zastosowano upokarzające formy formowania kolumny, krzyki i komendy.

Czy w samej kolonii karnej zostałeś jakoś specjalnie potraktowany jako więzień polityczny?

W Kolonii Karnej nr 2 w Bobrujsku, do której przyjechałem w nocy z 8 na 9 listopada 2023 roku, od samego początku inaczej traktowano więźniów politycznych. Podczas przyjęcia w oddziale kwarantanny ustawiono nas w dwóch rzędach. Pracownik administracji IK-2, major Sarokin, trzymał w rękach moje akta osobowe i dokumenty. Widoczna czerwona linia biegła ukośnie przez okładkę akt. Pracownik pokazał ją innemu funkcjonariuszowi przeszukującemu moje rzeczy i wyjaśnił, że znak ten oznacza mój specjalny status – więźnia politycznego i osoby, w sprawie której prowadzi się specjalną dokumentację prewencyjną.

OD SAMEGO POCZĄTKU POZBAWIENIA WOLNOŚCI BYŁEM
DYSKRYMINOWANY ZA MÓWIENIE PO BIAŁORUSKU. W ARESZCIE
ŚLEDCZYM NR 1 PERSONEL OŚWIADCZYŁ MI, ŻE POWINIENEM
Z NIMI ROZMAWIAĆ PO ROSYJSKU, KIEDY TYLKO TO MOŻLIWE,
PONIEWAŻ „IM JEST ŁATWIEJ”.

Porównywałem, co inni więźniowie mogli wnieść do obozu z tym, co mnie pozostawiono. Zabrano mi znacznie więcej – część ubrań, trochę jedzenia i inne pozornie dozwolone przedmioty trafiły do magazynu, skąd nie mogłem ich już odebrać. To pogorszyło moje warunki bytowe od samego początku i było pierwszą formą dyskryminacji. Procedura

przyjęcia obejmowała znów rozebranie się do naga, stanie przed funkcjonariuszami i kilkukrotne kucanie przed nimi – w celu sprawdzenia, czy czegoś nie schowałem. W pomieszczeniu było przy tym wielu funkcjonariuszy, którzy jednocześnie przeszukiwali innych więźniów. Po tej procedurze dostałem standardowe więzienne ubranie i pościel. Rozmiary były losowe: ubrania wisiały luźno lub były za ciasne. Nikt nie wybierał ich na podstawie rozmiaru. Miałem oczywiście całkowicie ogoloną głowę.

Już w ciągu pierwszych godzin w kwarantannie nałożono na mnie dwie sankcje dyscyplinarne. Jedna dotyczyła rzekomego nieprzywitania członka administracji Kolonii Karnej nr 2, a druga niedokładnego sprzątnięcia terenu. Oba zarzuty były fałszywe. W rzeczywistości przywitałem ich, a teren posprzątałem zgodnie z wymogami. Szef kwarantanny, wtedy kapitan Krauczanka, prywatnie całkiem miły człowiek, powiedział mi wprost, że jako więzień polityczny będę podlegał specjalnym wymogom, że prędzej czy później zostanę uznany za łamiącego przepisy i że lepiej dla mnie będzie zgadzać się na wszystkie zarzuty, nawet jeśli nic nie zrobiłem. Wyjaśnił, że w przeciwnym razie moja sytuacja tylko się pogorszy, ponieważ administracja Kolonii Karnej nr 2 ma wiele sposobów, by sobie ze mną poradzić. Ta rozmowa oznaczała właściwie, że wszystkie kolejne sankcje dyscyplinarne były z góry zaplanowane i nie miały żadnego związku z faktycznym przestrzeganiem lub nieprzestrzeganiem regulaminu. Jeszcze przed przydzieleniem do oddziałów więźniom politycznym dano do zrozumienia, że niezależnie od naszego zachowania będziemy zmuszeni stać się więźniami z kategorii „permanentnie niezdyscyplinowanych”, że będziemy regularnie upominani i poddawani karom dyscyplinarnym, aby pozbawić nas szansy na amnestię, widzenia lub zwiększenie limitów zakupów, a kary te będą wykorzystywane jako narzędzie dalszej presji.

Po kwarantannie przydzielono mnie do oddziału. Podczas rozmowy z funkcjonariuszem operacyjnym, jak już uprzedzali mnie koledzy, ważne jest zawsze pytanie o to, czy uważasz się za więźnia politycznego. Od odpowiedzi zależy, czy będziesz poddawany nieustannym karom, czy choć trochę pozwolą ci żyć.

I co odpowiedziałeś?

Zdając sobie sprawę, po 14 miesiącach przebywania w areszcie śledczym, że raczej nie warto wdawać się w dyskusje polityczne z funkcjonariuszami obozowymi, a trzeba przede wszystkim przez te nadchodzące lata

zachować swoje zdrowie i życie, próbowałem się wymigać, odpowiadając, że byłem sądzony z tego i tego politycznego artykułu. Chyba funkcjonariusz zauważył te moje wysiłki, bo powiedział coś w rodzaju: „Lepiej tutaj nie mów nikomu, że jesteś polityczny”.

No ale przecież w końcu dostałeś żółtą plaketkę oznaczającą więźnia politycznego albo innego stwarzającego problemy. Więc skoro wszyscy polityczni taką plaketkę dostawali, to po co oni zadawali jeszcze takie pytania?

No tak, pozostałem na liście obserwacyjnej jako zaliczony do grupy dziesiątej w „ewidencji profilaktycznej” (profulik 10), czyli „skłonny do ekstremizmu i innej destrukcyjnej działalności”. Chodziło jednak o dodatkowe sprawdzenie, czy będę jakoś szczególnie „rozrabiał”, bo z każdym jest przy przyjęciu taka rozmowa. Oczywiście otrzymałem specjalną, żółtą plaketkę, a podczas „prawierki”, jako osoba z profuliku 10, zawsze umieszczano mnie na początku kolejki, aby ułatwić monitorowanie. W sali nie wolno mi było zajmować dolnej pryczy, tylko górną. Administracja i wyznaczeni przez nią spośród więźniów brygadziści dbali o to, aby inni osadzeni ograniczyli kontakt z politycznymi, w tym ze mną, do minimum. Oczywiście w ponad dwudziestoosobowej sali trudno uniknąć kontaktów, ale jeśli zobaczą cię na dziedzińcu kolonii spacerującego z kimś z tych, którzy mają plaketkę białą, to kłopoty będziesz miał i ty, i on.

W prywatnych rozmowach funkcjonariusz do spraw kwarantanny i psychologowie mówili, że będą obowiązywać „specjalne wymagania” dla więźniów politycznych, że zabrania się nam spotkań towarzyskich, dyskusji na tematy polityczne i społeczne oraz że w przypadku interakcji z innymi więźniami będziemy mieli kłopoty. Kolonia karna formalnie oferowała różne kluby i formy „zajęć edukacyjnych lub kulturalnych” – lekcje języka, spotkania z psychologami i zajęcia sportowe. Psycholog poinformował mnie jednak bezpośrednio, że politycznym zabrania się uczestnictwa w nich. Odmówiono mi więc wstępu na siłownię, zajęcia bokserskie czy możliwości udziału w imprezach sportowych. Innym więźniom także zabroniono gry z nami w piłkę nożną, koszykówkę, siatkówkę i tenisa stołowego. W ten sposób pozbawiano nas normalnej aktywności fizycznej i kontaktów społecznych, co stanowiło dodatkową formę kary.

Każdemu więźniowi politycznemu przydzielono tzw. kuratora spośród personelu Kolonii Poprawczej nr 2, który miał obowiązek regularnie

wzywać nas na rozmowy. On także interesował się tym, jak mam zamiar się zachowywać w kolonii. Powiedziałem na początek, że nie mam zamiaru sprawiać żadnych kłopotów, o ile nie będzie prób obniżenia mojego statusu jako więźnia... Poza tym funkcjonariusze – raczej uprzejmie, lecz stanowczo – stale przypominali, że nie wolno nam się gromadzić ani rozmawiać o czymkolwiek związanym z polityką lub życiem publicznym, a każde naruszenie tego zakazu pociągnie za sobą konsekwencje.

O co właściwie chodzi z tym „obniżeniem statusu więźnia”? To jakos przedziwnie wygląda w białoruskich więzieniach...

W dawnych więzieniach sowieckich skazani za przestępstwa, które nie były akceptowane przez samych kryminalistów, jak gwałty na dzieciach, pedofilia, szczególnie okrutne i wynaturzone formy zabójstwa, mieli wśród współosadzonych szczególnie niski status. Wiązało się to z różnymi formami szykan i upokorzeń. Teraz taki status nadaje administracja obozu.

To niepojęte... Jako cwel zostaje się naznaczonym przez administrację więzienia?

Tak. Nie ma już żadnych reguł kryminalnych, przynajmniej w zwyczajnych koloniach, czyli w takiej, w jakiej ja siedziałem. Być może nieco inaczej jest w tych koloniach, w których siedzą recydywiści. W zwyczajnych koloniach nie ma co prawda przemocy, ale nie ma też nieformalnych więziennych liderów, którzy o wszystkim decydowali w ramach „drugiego życia”. O wszystkim – także o twoim więziennym statusie – decyduje administracja i ma to swoje dobre, ale i złe strony.

W czasach sowieckich wszystko polegało na tym, że więźniowie o niskim statusie, czyli właśnie „cwele”, mogli być wykorzystywani seksualnie, wykonywali najbrudniejsze prace, myli ubikacje, musieli jeść osobno, czasem nawet na podłodze itd.

I teraz tak jest. Może z wyjątkiem gwałtów. Trzeba uczciwie powiedzieć, że wszelkie formy fizycznej przemocy są w bobrujskiej kolonii surowo karane. Ale tak... więźniowie o niskim statusie muszą jeść osobno, nie wolno od nich niczego wziąć ani niczego im dać, myją kible. A o tym, którzy więźniowie uzyskają ten status, decyduje administracja. Oczywiście otrzymanie takiego statusu to nic przyjemnego. Wśród więźniów z niskim

statusem jest wielu ludzi zaburzonych albo bardzo nieciekawych... Sam spotkałem chłopaka z rodziny zastępczej, który wraz z kolegami gwałcił siostrę. Zwykły człowiek, który do takiej grupy trafi, nic nie może na to poradzić – administracja taki mu status wyznaczyła i już. Więźniowie kryminalni tych reguł przestrzegają, bo też zależą od administracji. Bo jeśli nawet nie dostaną wcześniejszego zwolnienia, to może przynajmniej zgodę na dodatkową paczkę czy coś w tym rodzaju. Szczególnie podatnymi narzędziami w rękach administracji byli często więźniowie skazani za narkotyki.

Ilu jest zazwyczaj politycznych w celi?

Tam, gdzie ja byłem, było 25 więźniów. Tych „żółtych” nie może być więcej niż kilku, bo muszą spać tuż przy drzwiach. Tylko że te żółte kartki mają nie tylko polityczni, mają je też osoby z innych kategorii „profilaktycznej ewidencji” niż grupa 10. Na przykład ci, którzy zaliczyli próbę samobójczą albo mieli na koncie próbę pobicia.

Jakie jeszcze były sposoby represjonowania więźniów politycznych?

Poddawano nas również takim naciskom jak ciągłe sprawdzanie wypożyczonych z biblioteki książek. Wypożyczyłem książkę, ale już następnego dnia mogłem zostać wezwany do biblioteki i żądano ode mnie jej zwrotu bez wyjaśnienia, po czym ta książka mogła więcej nie pojawić się w bibliotece, bo najwyraźniej uznawano ją za niewłaściwą. Poza tym nie mieliśmy dostępu do pewnych kategorii zbiorów, na przykład podręczników i poradników psychologicznych. Nie było też możliwości nauki polskiego czy litewskiego ani czytania książek po polsku.

Więźniowie polityczni byli regularnie i częściej niż inni wzywani do wykonywania nieodpłatnej pracy na rzecz kolonii. Formalnie każdy osadzony miał obowiązek świadczenia nieodpłatnej pracy przez co najmniej dwie godziny miesięcznie. W praktyce wielu „wykupywało” się papierosami z tych zajęć, natomiast polityczni byli prawie zawsze umieszczani na liście więźniów zgłoszonych „przymusowo – na ochotnika”. Zazwyczaj chodziło o sprzątanie terenu, ogromnej stołówki na tysiąc osób, mycie umywalni, rozległych korytarzy i trzech pięt schodów. Wszelkie środki potrzebne do tego były kupowane także przez więźniów. Jeśli nadzorujący ten proces więzień kryminalny miał zły humor albo zasugerowała mu to administracja, to mógł ci tyle piany i wody wylać

wszędzie, że ją dwie godziny zbierałeś. Praca obejmowała też przenoszenie ciężkich drewnianych skrzyń, które według więźniów regularnie zatrudnionych w warsztacie były przeznaczone do celów wojskowych, a konkretnie na pociski do wyrzutni rakietowych Grad, i były wysyłane do Rosji; a także przenoszenie ciężkich kłód i desek w tartaku oraz prace pomocnicze w szwalni, gdzie produkowano wojskowe szewrony i mundury dla organów ścigania.

TO JEST SKOMPLIKOWANY I SKORUMPOWANY SYSTEM. WIĘŹNIOM PŁACI SIĘ IM PAPIEROSAMI, A PIENIĄDZE, KTÓRE WYPRACOWALI, IDĄ NA POTRZEBY OBOZU ALBO DO CZYJEJŚ KIESZENI, A ONI DOSTAJĄ PAPIEROSY.

Osobiście nie zajmowałem się szyciem, ale często nosiłem ciężkie skrzynie i drewno. Pojedyncza skrzynia mogła ważyć, według moich szacunków, około 50 kilogramów, a musieliśmy przenosić dziesiątki, a nawet setki takich skrzyń w ciągu kilku godzin. Dla fizycznie zdrowych mężczyzn w średnim wieku było to trudne, ale wykonalne. Jednak wśród osadzonych byli również ludzie starsi ode mnie o 15–20 lat, z chorobami przewlekłymi, dla których takie obciążenie skutkowało poważnymi problemami zdrowotnymi.

Powiedziałeś, że wszelkie środki czystości kupowali więźniowie. Ale gdzie i za co? Przecież nie szli do sklepu?

Nie, kupowała administracja za papierosy.

Ale w supermarkecie nie płaci się papierosami...

To jest cały skomplikowany i zapewne skorumpowany system. Więźniowie dostają paczki, a w nich papierosy. Poza tym, niejednokrotnie, jeśli pracują, to nie dostają wypłaty w gotówce, ale właśnie płaci się im papierosami. Niewątpliwie te pieniądze, które zarobili, idą na potrzeby obozu albo do czyjejś kieszeni, a oni dostają papierosy. Potem, gdy więźniowie składają się, by kupić środki czystości czy, dajmy na to, czajnik elektryczny do swojej sekcji, to po napisaniu specjalnego podania i otrzymaniu zgody administracja bierze od nich opłatę w papierosach za ten zakup... Zdarza się też, że jakiś więzień daje „na potrzeby kolonii poprawczej” na przykład tysiąc rubli. Oczywiście robi to nie z własnej woli, tylko w wyniku takiej

złożonej mu propozycji „nie do odrzucenia”. W zamian za to dostanie dodatkowe widzenia albo coś jeszcze. Tak działa ten system.

A gdzie w takiej gromadzie ludzi przechowuje się rzeczy, jakieś ubrania, kosmetyki?

Każdy więzień ma prawo do posiadania dwóch toreb z rzeczami. Na oddziale jest małe pomieszczenie – przechowalnia, zwana kieszarką – w niej metalowe półki do sufitu i dwie lodówki. Jeśli było sto osób, to w kieszarce było sto kilkadziesiąt – dwieście toreb. Schowek otwierany jest kilka razy dziennie. Czasem na dziesięć minut, czasem na piętnaście, czasem na pół godziny. Przez ten czas wszystkie te osoby, albo przynajmniej kilkadziesiąt spośród nich, muszą zdążyć wyjąć swoje torby, wydostać z nich to, co potrzebne, albo wyjąć jedzenie z lodówki, a potem je z powrotem zapakować i włożyć, bo posiadanie czegoś na zewnątrz jest sprzeczne z regulaminem i karane. Oczywiście więźniowie polityczni muszą trzymać swoje rzeczy na samej górze.

Opowiedz jeszcze o szczególnej formie represji w kolonii karnej, czyli o SZIZO.

Odrębną formą nacisku i nie do uniknięcia przez więźnia politycznego, niezależnie od jego zachowania, było umieszczanie w celi karnej. Podczas mojego pobytu w IK-2 dwukrotnie skazano mnie na 15 dni w SZIZO, za każdym razem na podstawie całkiem wymyślonych zarzutów.

W jednym przypadku obwiniono mnie o rzekomą odmowę sprzątnięcia jednego z budynków kolonii, a w drugim o formalne naruszenie przepisu, czyli o czytanie książki na narach. Naczelnik oddziału, kapitan Migałkin, który osobiście sporządził protokół, wyjaśnił mi, że otrzymano rozkaz umieszczenia mnie w celi karnej na czas „wyborów” prezydenckich 26 stycznia 2025 roku. Z moich obserwacji wynika, że w tych okresach do cel karnych trafiała jednocześnie znaczna liczba więźniów politycznych, co sugeruje odgórną decyzję o izolowaniu tej grupy więźniów podczas wydarzeń istotnych politycznie. Warunki w celi karnej w IK-2 były fatalne. Miała ona wymiary około trzech na cztery metry, z czterema narami, które w ciągu dnia były podnoszone i zawieszane pionowo na ścianie, oraz niskim stołem z ławkami pośrodku, przymocowanymi na stałe do podłogi. Jedna z cel, w której siedziałem, znajdowała się w piwnicy, gdzie było bardzo zimno. Nie było tam okna i dopływu świeżego powietrza.

Innym razem umieszczono mnie w celi, która znajdowała się na piętrze. Tam było nieco cieplej, także dlatego, że była tam drewniana podłoga, a nie kafelki jak w tej piwnicznej. Leżenie w ciągu dnia jest surowo zabronione; więźniowie byli zmuszani do siedzenia na ławach lub chodzenia po niewielkiej przestrzeni. Nie wolno było opierać się o ścianę. Tylko w nocy nary opuszczano, przy czym nie było na nich ani materaca, ani koca. W sezonie grzewczym więźniom wolno było mieć na sobie bieliznę i skarpetki, ale nie wolno było nosić zbyt ciepłych skarpet i ubrań. Oczywiście nie wolno mieć także papieru, ołówka ani książek. Jedzenie było gorsze niż w kolonii: mniej masła, rzadziej wydawano jajka i jakiegokolwiek produkty białkowe. Spacerów nie było. Raz w tygodniu była łaźnia i możliwość golenia się. Jeśli jednak więzień nie miał własnej maszynki do golenia, mógł otrzymać maszynkę, której używał już ktoś inny, co stwarzało ryzyko zakażenia, w tym wirusem HIV i wirusowym zapaleniem wątroby. Odmowa golenia w takiej sytuacji była uznawana za naruszenie regulaminu, co z kolei oznaczało dodatkowy pobyt w celi karnej.

Zasada jest taka, że z więźnia politycznego trzeba po pierwsze koniecznie zrobić „notorycznie nieposłusznego”, bo w ten sposób pozbawia się go możliwości przedterminowego zwolnienia, widzeń, dodatkowych paczek itd. W najlepszym wypadku udaje się zawrzeć niepisany kontrakt z administracją, że kary, które ci będą dawać, nie będą przesadnie dotkliwe, a ty nie będziesz się awanturował ani kłócił i grzecznie co jakiś czas powędrujesz do celi karnej pod zmyślonymi zarzutami.

Gorzej będzie, jeśli spróbujesz udowodniać, że jesteś niewinny. To absolutnie nic nie da, a tylko rozwścieczy funkcjonariuszy, którzy na słowo „sprawiedliwość” reagują ze szczególną furią. Dobrze to ilustruje następująca historia: gdy niesłusznie obwiniono mnie o używanie grypsery, naczelnik kolonii zapytał funkcjonariusza, który mnie przyprowadził: „I co? Ty za to jedno słówko go tu do mnie przyprowadziłeś?”. Na to funkcjonariusz: „Ale on domagał się sprawiedliwości”.

Jak było w twoim przypadku z widzeniami?

Szczególnie bolesną formą traktowania było dla mnie systematyczne ograniczanie kontaktów z moimi małymi dziećmi. W chwili aresztowania jedno z dzieci miało raptem trzy lata. Podczas całego pobytu w IK-2 udało mi się porozmawiać z nimi przez telefon dwa razy, przez 15 minut.

Administracja więzienia odmówiła mi prawa dzwonienia do dzieci, powołując się na ich małoletniość oraz fakt, że numer, na który miałbym dzwonić, jest zarejestrowany na mnie. Ponieważ nie byłem oficjalnie mężem matki moich dzieci, odmówiono mi również prawa dzwonienia do niej. Widziałem jednak, że w innych, formalnie podobnych sytuacjach z udziałem więźniów osadzonych z przyczyn kryminalnych administracja IK-2 znajdowała sposoby na zorganizowanie dodatkowych połączeń i kontaktów z dziećmi i członkami rodziny.

JESLI SPROBUJESZ UDOWADNIAC, ZE JESTES NIEWINNY, NICZEGO TO ABSOLUTNIE NIE DA, A TYLKO ROZWSCIECZY FUNKCJONARIUSZY, KTÓRZY NA SŁOWO „SPRAWIEDLIWOŚĆ” REAGUJĄ ZE SZCZEGÓLNA FURIA

W więzieniu odmawiano mi pod różnymi pretekstami dłuższych widzeń z rodziną. Powiedziano mi, że ubieganie się o długoterminowe, to jest 24-godzinne, widzenie jest „bezcelowe”, ponieważ i tak nie zostanie przyznane, a próby jego uzyskania doprowadzą jedynie do kolejnych kontroli i dalszych kar. Uważam, że systematyczne ograniczanie mi kontaktów z dziećmi i rodziną, zwłaszcza w porównaniu z łagodniejszym traktowaniem więźniów kryminalnych, stanowiło formę tortury psychicznej i miało na celu wywarcie dodatkowej presji.

Mówiłeś o dotkliwym pobiciu cię podczas aresztowania, a potem o kłopotach ze wzrokiem. Czy mogłeś liczyć na opiekę lekarzy?

Przez cały okres mojego pobytu w aresztach i kolonii – ponad trzy lata – praktycznie nie otrzymałem kompleksowej opieki medycznej. W Areszcie Śledczym nr 1 i kolonii nr 2 przeprowadzano jedynie procedury formalne: okresowe badania krwi i prześwietlenia klatki piersiowej co pół roku. Umówienie się na wizytę lekarską było niezwykle trudne. Lekarze często mówili wprost: „Jesteście przede wszystkim więźniami, a dopiero potem pacjentami”. Umówienie się na wizytę u specjalisty było praktycznie niemożliwe, zwłaszcza dla więźniów politycznych. W Kolonii Karnej nr 2 można było otrzymywać leki i witaminy od krewnych, ale wymagało to oddzielnej zgody administracji i lekarza. Decyzja ta była arbitralna i nie wszystkie niezbędne leki przepuszczano. W rezultacie większość problemów zdrowotnych była w zasadzie nieleczona. Teraz, po wyjściu na wolność, przechodzę badania, aby ocenić szkody na moim zdrowiu

spowodowane ciągłą wilgocią, złym odżywianiem, stresem i brakiem opieki medycznej.

A jak wyglądała procedura zwalniania ciebie?

Około godziny szóstej rano 11 września 2025 roku funkcjonariusz z kolonii przyszedł do mnie i nakazał natychmiastowe spakowanie rzeczy. Niczego nie wyjaśnił. Wraz z trzema innymi więźniami politycznymi zostaliśmy zabrani na punkt kontrolny, gdzie sprawdzono nasze rzeczy, a następnie zamknięto nas w oddzielnej celi.

Około godziny ósmej rano zostaliśmy przekazani grupie pięciu osób z zasłoniętymi twarzami, które przedstawiły się jako funkcjonariusze KGB. Owi funkcjonariusze nie przedstawili jednak żadnych dokumentów, nie odczytali żadnych rozkazów ani nie ogłosili zwolnienia warunkowego, ułaskawienia ani niczego podobnego. Powiedzieli jedynie, że jesteśmy przewożeni do miejsca, gdzie być może zostanie podjęta decyzja o naszym zwolnieniu, ale na razie nadal jesteśmy więźniami. Dano nam wybór: albo jechać z workami na głowach i kajdankami, albo bez worków i kajdanek, ale pod warunkiem, że będziemy siedzieć cicho, nie rozmawiać ze sobą i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Zgodziliśmy się na tę drugą opcję. Załadowano nas do minibusa. Po dwóch, dwóch i pół godzinie znaleźliśmy się w lesie, gdzie zaparkowane były dwa autobusy. Przeniesiono nas do jednego z nich. Tam zobaczyliśmy więźniów politycznych z innych kolonii karnych. W autobusie, którym jechałem, była jedna lub dwie osoby z zakrytymi twarzami, najwyraźniej funkcjonariusze sił bezpieczeństwa reżimu. Do toalety odprowadzano każdego z nas osobno, z konwojem.

Po długim oczekiwaniu autobusy ruszyły. W pewnym momencie zauważyliśmy, że zbliżamy się do przejścia granicznego Kamienny Łoh na granicy między Republiką Białorusi a Republiką Litewską. Autobus nie zatrzymał się po stronie białoruskiej – przejazd zajął nie więcej niż 10–15 sekund. Nie było kontroli dokumentów, jak to zwykle bywa przy przekraczaniu granicy. Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się na litewskim przejściu, ludzie w kominiarkach wyskoczyli z autobusu i autobus przejechał na stronę litewską. Po raz pierwszy od 30 sierpnia 2022 roku zobaczyłem swój paszport dopiero w rękach litewskich strażników granicznych. Został mi zabrany w dniu mojego aresztowania i pozostawał w rękach białoruskich władz przez ponad trzy lata.

Zostałem wywieziony z Republiki Białorusi bez mojej zgody, eskortowany przez uzbrojonych funkcjonariuszy KGB, bez formalnego nakazu sądowego ani innego nakazu zwolnienia i bez możliwości pozostania na Białorusi lub wyjazdu. Uważam więc to za przymusowe wydalenie i kontynuację bezprawnego traktowania.

Rozmowę przeprowadziła Agnieszka Romaszewska-Guzy.

GDY CZŁOWIEK NIE MA JUŻ
ABSOLUTNIE NIC DO STRACENIA,
WSZYSTKO STAJE SIĘ
ZNACZNIE PROSTSZE

Pawieł Winahradau

We wrześniu 2022 roku nagle zrobiło się zimno. Dziękowałem wtedy losowi, że mam gruźlicę, bo chorym dawali materac, koc i poduszkę. Innym nie. Bez tego, myślałem, pewnie bym zmarł. Ale jak się później okazało, raczej nie, bo bywałem w jeszcze gorszych miejscach...

Pawieł Winahradau (rocznik 1988)

Fryzjer, bloger i dziennikarz telewizji Bielsat, w której prowadził program satyryczny. Pierwszy raz skazany na karę ograniczenia wolności bez skierowania do zakładu karnego w 2008 roku, gdy brał udział w demonstracjach przedsiębiorców. W grudniu 2010 roku protestował przeciwko sfałszowanym wyborom prezydenckim. W styczniu został zatrzymany, a następnie skazany na cztery lata pozbawienia wolności w kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. Wyszedł na mocy amnestii. Po kolejnych sfałszowanych wyborach w 2020 roku uczestniczył w manifestacjach. Zatrzymano go 22 grudnia 2021 roku we własnym domu w Berezynie pod Mińskiem. Oskarżony o organizowanie i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek społeczny, podżeganie do wrogości i znieważenie prezydenta Białorusi. Skazany z artykułów 342 i 130 Kodeksu karnego na pięć lat pozbawienia wolności w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Administracja kolonii karnej uznała go za „skłonny do ekstremizmu i innej działalności destrukcyjnej”. Wyszedł na wolność 11 września 2025 roku. Spędził łącznie 467 dni w SZIZO (karna izolotka) i PKT (cela więzienna na terytorium kolonii karnej).

W swoim życiu zajmowałeś się wieloma rzeczami. Działalność polityczna chyba nie była dla ciebie najważniejsza?

Przed tym, gdy mnie posadzili po raz ostatni, pracowałem jako scenarzysta i prowadzący w telewizji Biełsat. Prowadziłem przegląd wiadomości, w którym wyśmiewałem bieżące wydarzenia.

Oprócz tego pracowałem na własny rachunek jako fryzjer. Mieszkałem i pracowałem w Mińsku.

Co ci nie pasowało w białoruskim reżimie?

Krótko? To są po prostu dupki. Ale jeśli chcesz, mogę odpowiedzieć dłużej. Właściwie mógłbym o tym, co mi się nie podoba, mówić cały dzień. To są ludzie z bronią, którzy uzurpują sobie władzę, fałszują kolejne z rzędu wybory i na wszelkie sposoby dręczą własny dobry kraj dobrych ludzi. Hamują rozwój ekonomiczny, społeczny i moralny.

Jest też duża grupa Białorusinów, którzy po prostu żyją i którym władza odpowiada.

Oczywiście, niech żyją, jak im pasuje. Częściowo ich nawet rozumiem. Jeśli im wystarczy to, co mają, wystarczy im ta mała pensja, którą mają, i wystarczy im ten poziom życia, który mają – czemu nie? Nie interesują ich nienamagalne rzeczy, jak prawa człowieka, wolne wybory, praworządność. Nie są to sprawy wymierne, więc ich nie interesują. Ale ja do takich ludzi nie należę.

Jesteś więc dziennikarzem i fryzjerem, aż nadchodzi rok 2020 i represje dotyczą wszystkich, tak?

No nie wszystkich. Represje dotknęły tych, którzy brali udział w protestach, i to nie wszystkich. Jasne, że byli też ludzie, którzy w ogóle w nich nie uczestniczyli, a wylądowali za kratkami.

Jak to?

Po prostu przypadkiem znaleźli się w niewłaściwym miejscu. Przykładowo palili papierosa na ulicy i ich zgarnęli. Znam wiele takich przypadków. Mój znajomy, na przykład, stał koło klatki schodowej, palił papierosa, a obok były protesty. Zaczęły się zatrzymania i też go złapali. Skończyło się na 15 dniach aresztu.

Generalnie jednak, jeśli zostałeś w domu, albo jeśli w ogóle nie interesowało cię to, co się działo w kraju, represje cię nie dotknęły.

Cofnijmy się trochę w przeszłość. W 2008 roku zostałeś po raz pierwszy skazany - za co?

To była „sprawa czternastu”. Protestowaliśmy przeciw zaostreniu przepisów dotyczących indywidualnych przedsiębiorców. Ludzie pracujący na własny rachunek byli właściwie niezależni od państwa i zawsze stanowili zagrożenie dla istniejącego reżimu. Człowieka, który jest ekonomicznie niezależny od państwa, nie bardzo jest jak „nacisnąć”. Inaczej jest w przypadku ludzi, którzy pracują w państwowych zakładach. Jeśli oni zaczynają okazywać niezadowolenie, przychodzą do nich z KGB i mówią: „Nieładnie, zwolnimy was i już nigdzie nie dostaniecie pracy w sektorze państwowym”. Tak szantażowano nie tylko ludzi w fabrykach, lecz także we wszystkich sektorach, bo u nas państwo kontroluje większość gospodarki.

*WŁADZA TO LUDZIE Z BRONIĄ, KTÓRZY FAŁSZUJĄ KOLEJNE Z RZĘDU
WYBORY I NA WSZELKIE SPOSOBY DRĘCZA WŁASNY KRAJ DOBRYCH.
HAMUJĄ ROZWÓJ EKONOMICZNY, SPOŁECZNY I MORAŁNY.*

Tymczasem przedsiębiorcy prywatni to ludzie, ogólnie rzecz biorąc, od państwa niezależni. Żeby być precyzyjnym, powiem: są w mniejszym stopniu zależni niż ci, którzy pracują w państwowych instytucjach. Wszyscy w jakimś stopniu od państwa zależyśmy. Z punktu widzenia reżimu prywatni przedsiębiorcy są niebezpieczni, bo formy nacisku na

nich są mniejsze. W 2008 roku zaostrzono przepisy podatkowe. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już dokładnie jakie – minęło 20 lat¹. I wtedy w jakiś sposób reżim wybrał czternastu szczególnie wyrazistych młodych aktywistów, którzy brali udział w tych protestach. Znalazłem się w tej grupie. I to była moja pierwsza sprawa karna.

Wtedy nie poszedłeś jednak do więzienia. Wyrok zakładał ograniczenie wolności, ale bez skierowania do zakładu penitencjarnego.

Zgadza się. To była kara – według dzisiejszych standardów – bardzo łagodna. Dostałem tylko dwa lata ograniczenia wolności. Rzeczywiście nie trafiłem do więzienia na dłużej, ale spędziłem 15 dni za kratami za wykroczenie administracyjne. Na tym się skończyło. Miałem jednak obowiązki albo się uczyć, albo pracować. Nie miałem prawa bez zgody milicji wyjeżdżać z miasta, nie miałem prawa uczestniczyć w zgromadzeniach masowych, musiałem wracać do domu o określonej godzinie i wychodzić z niego również o określonej porze. Takie ograniczenia – według dzisiejszych standardów – są w zasadzie bardzo lekkie.

Byłeś wtedy przedsiębiorcą?

Nie, wtedy nie byłem przedsiębiorcą. Po prostu działałem w opozycji. Od 2006 roku stale zajmowałem się jakąś działalnością publiczną. W styczniu 2026 roku minęło dokładnie 20 lat, odkąd działałem w opozycji.

Brałeś też udział w kampanii „Mów prawdę!”.

Tak, to było później – w 2010 roku. Przed wyborami prezydenckimi powstała nowa inicjatywa. To był taki świeży powiew, bo jej inicjatorzy działali inaczej niż wszyscy pozostali, mieli nowocześniejsze podejście. Liderem kampanii i kandydatem opozycji na prezydenta był wybitny poeta Uładzimir Niakłajeu – bardzo fajny gość, znany na Białorusi. Postanowiłem do nich dołączyć.

¹ Wprowadzone 1 stycznia 2008 roku dekretem Alaksandra Łukaszenki nowe przepisy nakazały drobnym przedsiębiorcom od 1 kwietnia tegoż roku zatrudniać tylko bliskich krewnych, i to w ograniczonej liczbie trzech pracowników. Zatrudnianie innych osób wiązało się z koniecznością rejestracji jako osoby prawne, ze znacznie wyższymi podatkami (przyp. red.).

Wtedy już cię zatrzymali po akcji protestacyjnej?

Brałem aktywny udział w kampanii wyborczej. W dniu wyborów – 19 grudnia 2010 roku – doszło do protestów. Wtedy mnie nie zatrzymali, udało mi się wrócić do domu. Na początku nowego roku myślałem: święta noworoczne za mną, no to chyba już nikomu nie jestem potrzebny. Spokojnie siedziałem w domu, piłem piwo, oglądałem kreskówki... Ale 5 stycznia 2011 roku zapukali do drzwi. Od razu zrozumiałem, że to milicja. I tyle – zatrzymali mnie i wsadzili za kraty. Dali mi wtedy cztery lata, z czego odsiedziałem osiem miesięcy i dziesięć dni. Wyszedłem na mocy amnestii.

Te ponad osiem miesięcy spędziłeś w kolonii nr 22, czyli w „Wilczych Norach”.

Żadna z białoruskich kolonii nie ma dobrej reputacji, ale jeśli porównać tę z innymi, to w niej było w porządku. Gdyby mnie podczas ostatniej odsiadki jakimś cudem przenieśli w czasie i z tych kolonii, w których byłem, do roku 2011 i do 22. kolonii „Wilcze Nory”, to pomyślałbym, że wyszedłem na wolność. Jedyne, co by mnie dziwiło, to brak kobiet. A tak – ogólnie było tam bardzo lekko w porównaniu z tym, co dzieje się teraz. To było wręcz przedszkole. I nawet teraz, z tego co wiem, w porównaniu ze wszystkimi innymi koloniami, w 22. nadal można się czuć mniej więcej swobodnie.

Swoją drogą, kolonia „Wilcze Nory” znajduje się w niesamowitym miejscu – pośrodku lasu. Jedyne problem latem to komary, bo jest ich dość dużo. A tak: las, śpiew ptaków... Przysięgam, nie mam skłonności do chwalenia białoruskiego reżimu, ale „Wilcze Nory” były niczym bardzo kiepskie sanatorium.

Jak wyglądało życie w takiej kolonii?

Byłem osadzony w ceglany budynku więziennym, który podzielono na cztery części. W każdej z tych czterech części, nazywamy to barakiem, mieszkało w tamtym czasie od 170 do 200 osób. Przestrzeń jest podzielona na sektory. Jest też tzw. przestrzeń lokalna, gdzie skazani mogą spacerować tam i z powrotem, posiedzieć przy stole, pograć w domino. Ta lokalna strefa jest ogrodzona siatką z drutem kolczastym na górze; wszystkie furtki są zamykane. Dalej jest już większy teren – tam znajduje się stadion, na którym można pograć w piłkę nożną. Za nim jest stołówka, do której wszyscy idą w kolumnach, są jakieś budynki administracyjne więzienia oraz przejście do strefy przemysłowej, gdzie skazani pracują. I wszystko

to razem jest dodatkowo ogrodzone podwójnym płotem z drutem kolczastym, wieżami i uzbrojonymi strażnikami na górze.

Z „Wilczych Nor” wypuścili cię po ośmiu miesiącach. Czym zajmowałeś się potem aż do 2020 roku?

Uczestniczyłem w różnych działaniach opozycyjnych, byłem w rozmaitych organizacjach, no i zajmowałem się zawodowo fryzjerstwem. Później poszedłem pracować do Bielsatu.

Jak doszło do tej współpracy?

Ktoś z redakcji do mnie napisał, bo w internecie zobaczył jakiś mój filmik – czasem nagrywałem coś dla zabawy i wrzucałem do mediów społecznościowych. Zapytano mnie: „Pasza, a nie chciałbyś u nas popracować? Może masz jakieś pomysły?”. A ja akurat w tamtym momencie chciałem dla nich pracować i właśnie miałem pomysły. Sam ich nie realizowałem, bo jestem leniwy, i wcześniej nigdzie się nie zgłaszałem. Czekałem, aż ktoś do mnie napisze. No i napisali.

Czy w tamtym okresie, po wyjściu na wolność, miałeś jakieś nadzieje, że coś się zmieni na Białorusi? Na przykład około 2015 roku przed kolejnymi wyborami prezydenckimi?

Nigdy nie straciłem nadziei. Także teraz wierzę, że zmiany są możliwe. Pytanie bowiem nie brzmi, czy ustrój na Białorusi się zmieni, czy nie. On się zmieni na pewno. Pytanie brzmi: kiedy?

Żyjemy w Europie i wierzę, że będziemy kiedyś żyć jak pozostali Europejczycy.

Jesteś pewien, że ustrój zmieni się w dobrym kierunku? Może po prostu przyjdzie drugi Łukaszenka.

Może. Może przyjdzie ktoś jeszcze gorszy – jakiś Pol Pot albo Kim Dzong Un. To jest możliwe. Ale prędzej czy później u nas wszystko będzie dobrze, bo ludzkość się rozwija – wolno, ale w dobrym kierunku.

W 2015 roku na Białorusi nastąpiła pewna „odwilż”: Łukaszenka przestraszył się Rosji po aneksji Krymu, zaczął flirt z Zachodem.

Tak, nastąpiła liberalizacja, odwilż. Zgadza się. Wtedy kandydowała na prezydenta Tacciana Karatkiewicz, którą dobrze znam. Ale zainteresowanie

wyborami społeczeństwa w 2015 roku było żadne w porównaniu z 2020, a nawet z 2010 rokiem.

Dlaczego tak było?

Myślę, że z kilku powodów. Po pierwsze, większość ludzi potrzebuje iść za kimś – chce mieć silnego lidera. W 2015 roku opozycja takiego silnego lidera nie miała.

Po drugie, w 2015 roku sytuacja gospodarcza Białorusi i poziom życia ludzi były całkiem przyzwoite. Było cicho, spokojnie, dało się zarabiać. To jeszcze nie było tak bogate społeczeństwo jak pięć lat później. W 2020 roku bardzo duża część protestujących to byli ludzie zamożni jak na warunki białoruskie. Ludzie zapewnili sobie pewne podstawowe minimum: mieli mieszkania, samochody, dzieci były „urządzone”. Pod względem materialnym mieli wszystko, czego potrzebowali. I wtedy zaczęli myśleć o sprawach wyższych – o godności, o prawach człowieka, o wyborach, o wartościach demokratycznych. Zabezpieczyli bazę i zaczęli domagać się swoich praw, co oczywiście nie spodobało się władzy. W 2015 roku tego zjawiska jeszcze prawdopodobnie nie było – baza materialna była niewystarczająca.

Czy wtedy, w 2015 roku, ludzie myśleli, że Łukaszenka jest jakimś gwarantem bezpieczeństwa Białorusi?

Część ludzi myśli tak nawet teraz. Nie mam skłonności do przesadnego chwalenia władzy, ale częściowo sam też tak uważam. Nie sądzę, że Łukaszenka jest dobrym człowiekiem, ale nie mogę zaprzeczyć temu, że w dużej mierze dzięki niemu nie jesteśmy dziś podmiotem federalnym Federacji Rosyjskiej.

Z drugiej strony Rosja robi wszystko, żeby Łukaszenka czuł się jak gubernator, a nie przywódca państwa.

Zgadza się. Rosja chce nas sobie podporządkować, ale Łukaszenka bardzo tego nie chce. I tu się z nim zgadzamy: nie powinniśmy być częścią Rosji. On uważa, że Białoruś to jego ojcowizna. Ot, to mój kołchoz, ja tu jestem przewodniczącym, wszystko tutaj jest moje. Odpowiadam tu tylko przed samym sobą – po co mi jeszcze jakiś naczelnik? A oddanie niepodległości Białorusi byłoby dla niego tym samym, co pójście do wujka Wołodii i powiedzenie mu: „Proszę, wujku Wołodiu, oto klucze do mojego mieszkania,

a tu masz mój portfel, rób ze mną, co chcesz”. Tego oczywiście nie chce. Taka to właśnie pokrętna sytuacja.

Ale on nie buduje żadnych instytucji niezależnego państwa.

Tu się z tobą nie zgadzam. Uważam, że on to robi – oczywiście robi to źle, ale jednak robi. Stale w swoich wystąpieniach, niezależnie od tego, z jakimi dziennikarzami rozmawia, powtarza: nie, nie zamierzamy wchodzić w skład Rosji, nie jest nam to potrzebne, nie będziemy tego robić. Nikt nie chce odbierać nam niepodległości, a jak zechce, to ja na to nie pozwolę. On bez przerwy mówi: niepodległość, niepodległość, niepodległość. Nie jesteśmy częścią Rosji.

NIGDY NIE STRACIŁEM NADZIEI. TAKŻE TERAZ WIERZĘ, ŻE ZMIANY SĄ MOŻLIWE. PYTANIE NIE BRZMI, CZY USTRÓJ NA BIAŁORUSI SIĘ ZMIENI, CZY NIE? ON SIĘ ZMIENI NA PEWNO. PYTANIE BRZMI: KIEDY?

Na pewnym oddolnym poziomie on też, no może nie on osobiście, ale jego system w jakimś stopniu wspiera język białoruski, tradycje narodowe, święta narodowe. To wszystko schodzi odgórnie – także do małych miasteczek: śpiewamy kolędy, obchodzimy święto Kupały. Są więc elementy, przy pomocy których władza próbuje pielęgnować odrębność od Rosji.

Oczywiście jednocześnie większość ludzi ogląda rosyjską telewizję, a wpływ ekonomiczny, polityczny i społeczny Rosji jest ogromny. Coś mi jednak podpowiada, że Łukaszenka chętnie by się od tego wszystkiego odciął, tylko nie ma wyjścia. Bo odcięcie oznaczałoby utratę tronu. W Europie go nie lubią, a jeśli jeszcze zacznie „pokazywać figę” Rosji, będzie miał poważne problemy. Dlatego jest to rozwiązanie wymuszone.

W Moskwie też go za bardzo nie lubią.

No, nie powiedziałbym. On ma tam jednak całkiem solidne poparcie. Teraz uchodzi za „dobrego sojusznika” i tak dalej. Ale zgoda: Putin go nie szanuje. Łukaszenka dawno już go zmęczył. Putin doskonale rozumie, jak przez wszystkie te lata Białoruś budowała relacje z Rosją.

Osobiście przyklaskuję tej strategii Mińska – i to na stojąco. To naprawdę bardzo sprytny „start-up” autorstwa Łukaszenki. Nazywa się to: „ropa w zamian za pocałunki”. Czyli: wy nam dajecie ropę, a my was kochamy. Dzięki taniej ropie i tanim surowcom energetycznym reżim

tworzy w kraju w miarę stabilne warunki gospodarcze. W istocie utrzymuje się, wysyłając całusy za wschodnią granicę.

Ale jednocześnie pozwala rosyjskiej armii prowadzić operacje ze swojego terytorium.

Oczywiście, że pozwala. Nie sądzę, żeby Łukaszenka był tym zachwycony. Znowu – myślę, że robi to z konieczności, bo nie ma innego wyjścia.

W 2020 roku pojawiły się wielkie nadzieje. Kto był twoim kandydatem w tych wyborach? Kogo chciałeś wtedy widzieć jako prezydenta Białorusi?

Wiktara Babarykę. Zbierałem podpisy pod jego kandydaturą. Nie mogę powiedzieć, żeby Babaryka w pełni mi pasował, ale ponieważ od dawna byłem w opozycji, a jestem – że tak powiem – zawodowym rewolucjonistą, więc jestem bardzo wybredny. Spośród wszystkich wybrałem właśnie jego. Pomyślałem: niech będzie Babaryka, będę mu pomagał. W każdym razie kandydat na prezydenta był dla mnie postacią raczej symboliczną, bo nawet gdyby w ogóle nie było żadnego kandydata na prezydenta, to i tak wychodziłbym na ulicę protestować. Ja nie potrzebuję lidera – sam jestem dla siebie liderem. Sam wiem, co mam robić. Nie potrzebuję żadnych wskazówek. Nie trzeba mi wyznaczać czasu ani miejsca wiecu. Sam wiem, kiedy i gdzie przyjść. Skoro jednak sytuacja jest taka, że ludziom w większości potrzebna jest jakaś konkretna postać, to wybrałem Babarykę.

Co ci się w nim podobało?

To nowoczesny bankier. Człowiek inteligentny, dość sympatyczny w kontaktach i z wyglądu. Historia sukcesu. Ekonomicznie radził sobie bardzo dobrze, wspierał też jakieś projekty społeczne na Białorusi. Taki „dobry człowiek”, powiedzmy. Bogaty, dobry człowiek. Taki miał wizerunek.

Kiedy go nie dopuszczono do wyborów, kogo popierałeś? Swiatłanę Cichanouską?

Nikogo. Popierałem Białoruś. Naród białoruski. Powtarzam: nie ma dla mnie znaczenia, kto jest liderem opozycji. Na wybory nie poszedłem, bo się ukrywałem. Pracowałem w Mińsku, ale mieszkałem w małym mieście – Berezynie w obwodzie mińskim – liczącym 11 800 mieszkańców. Doskonale wiedziałem, że przed wyborami po mnie przyjdą – żeby wsadzić mnie do więzienia jeszcze przed samym głosowaniem. W dniu

wyborów, o ósmej wieczorem, przyszedłem na główny plac Berezyny i utrzymałem się tam 40 sekund. Po 40 sekundach mnie zatrzymali. Doskonale wiedziałem, co się stanie. A gdyby tak nie było, zatrzymaliby mnie jeszcze przed wyborami – przed tymi wszystkimi wydarzeniami. Potem mnie wypuścili. Potem znowu mnie wsadzili. Potem znowu mnie wypuścili.

Opowiedz o tym dokładnie.

Zatrzymali mnie w Berezynie. Najpierw trzymali nas w komisariacie milicji oraz w areszcie tymczasowym. Nawiasem mówiąc, wszystko odbywało się bez przemocy. Berezyna to, jak wspomniałem, małe miasto. Specyfika tej miejsciny polega na tym, że milicja nie „szaleje”. I są ku temu powody. Po pierwsze, wszyscy się tam znają. Zaczynasz mnie bić, a ja mogę okazać się twoim krewnym... A nawet jeśli nie, to i tak wiem, gdzie ty, milicjancie, mieszkasz – i mogę spalić ci dom. Tak to tam wygląda. Dlatego nikt specjalnie nie stosuje przemocy. Niektórzy z zatrzymanych mieli nawet swoje rzeczy. Jakieś papierosy, czekoladę. Siedzieliśmy tam dwa albo trzy dni.

*ŻYJEMY W EUROPIE I WIERZĘ, ŻE BĘDIEMY KIEDYS ŻYĆ JAK
POZOSTALI EUROPEJCZYCY.*

Potem zawieźli nas już do dużego aresztu śledczego w Żodzinie, gdzie zwożono m.in. wszystkich zatrzymanych podczas protestów powyborczych w obwodzie mińskim. Tam spędziłem jeszcze dobę, może półtorej.

W pewnym momencie przyszedł jakiś człowiek i zapytał, czy są wśród nas przedstawiciele mediów. Powiedziałem, że nie, choć pracowałem w Bielsacie, bo całkiem dobrze siedziało mi się tam z chłopakami. Głupio mi było ich zostawiać. Dobrze spędzaliśmy czas.

Mógłbym tam jeszcze posiedzieć – wszystkim dali po 15 dni. Następnego dnia zaczęli nas jednak wszystkich wypuszczać. Nie tylko dziennikarzy. Wtedy ówczesny minister spraw wewnętrznych Jurij Karajew publicznie oświadczył, że bierze odpowiedzialność na siebie. Przyznał, że służby mundurowe „trochę przesadziły”. Wielu ludzi zostało zatrzymanych przypadkowo, dlatego teraz wszystkich wypuszczają. I dodał: jeśli więcej nie będziecie uczestniczyć w protestach, o wszystkim zapomnimy.

Odsiedziałem więc wtedy w sumie pięć dni.

Jakie warunki panowały w Żodzinie?

Właściwie było tak samo jak dziesięć lat wcześniej. Stosunek milicji do zatrzymanych był oczywiście gorszy, ale – na szczęście – brakowało im funkcjonariuszy i pracowników placówki praktycznie w ogóle nie widzieliśmy. Z drugiej strony, gdyby – na szczęście tak się nie stało – komuś zrobiło się źle w celi, to po prostu nie byłibyśmy w stanie nikogo zawołać. Nie dało się do nich dobić... Chyba jednak w Berezynie było lepiej, bo przyzwoiciej tam karmiono.

Co było dalej?

Dalej były protesty, protesty, protesty. Brałem w nich udział, bo przecież już tyle lat „jestem w temacie” i jestem rewolucjonistą. Jednocześnie przez cały ten czas nadal pracowałem dla Biełsatu. Latem znowu mnie zamknęli – tym razem w sprawie administracyjnej. I kiedy siedziałem za to wykroczenie administracyjne, wszczęto wobec mnie sprawę karną. Wypuścili mnie po 45 dniach. Z nich przez 30 siedziałem za tabliczkę na moim domu jednorodzinnym, na której czerwonymi literami na białym tle był napisany adres: Internacjonalnaja 28. Uznano to za nielegalną „agitację” – 30 dób. Oczywiście chodziło tutaj konkretnie o mnie, im potrzebny był pretekst, trzeba było mnie za coś wsadzić.

Gdy siedziałem, wszczęli sprawę karną, stąd w areszcie spędziłem jeszcze 15 dodatkowych dni. I wtedy myślałem: jeśli jakimś cudem teraz wyjdę, to od razu wyjadę – dokumenty, pieniądze, zabieram wszystko i wyjeżdżam! Ale czterdziestego czwartego dnia pomyślałem: nie, nigdzie nie pojadę. Nie chcę. Jestem w końcu praworządnym obywatelem – dlaczego miałbym wyjeżdżać? Niech oni wszyscy wyjeżdżają.

Twoja sprawa karna jest wyjątkowo ciekawa, bo reżim skazał cię za post, który właściwie wyrażał dla niego poparcie...

Tak, to był wpis na Facebooku. Skrytykowałem moich przyjaciół z opozycji. Bałem się wręcz, że dadzą mi za to odznakę honorowego działacza BRSM (Białoruski Republikański Sojusz Młodzieży) w komitecie wykonawczym rady miejskiej, ale nie – „nagrodzili” mnie sprawą karną.

O co dokładnie chodziło?

Główne zarzuty dotyczyły słów: „Łuka wpierdolił tutaj wszystkim, którzy krzywo na niego spojrzeli, i tym, którzy wyszli w skarpetkach nie tego

koloru”. Te „skarpetki nie tego koloru” to był prawdziwy przypadek – dziewczyna wyszła do sklepu w białych skarpetkach z czerwonym paskiem i dostała 15 dni aresztu. Słowa „Łuka wpierdolił tutaj wszystkim...” uznano za zniesławienie. Według prokuratury oskarżyłem Łukaszenkę o popełnienie ciężkiego przestępstwa, bo sugerowałem, że on osobiście wychodził na ulice i zadawał ludziom ciężkie obrażenia ciała.

Co zabawne, dwa kolejne zarzuty dotyczyły tego, że mówiłem po fazie represji, iż nie należy wzywać ludzi do dalszych protestów, bo przy tak niskiej frekwencji w praktyce tylko wysyła się ludzi do więzienia. Był taki moment, kiedy fala protestów już opadała i nie było sensu dalej się narażać.

To była ta krytyka opozycji?

Tak, ale moje słowa – że nie należy wychodzić na protesty – państwowy „ekspert” zinterpretował jako... wezwanie do protestów. Napisał, że ponieważ rzekomo posługuję się technikami neurolingwistycznego programowania NLP, to choć pisałem „nie wychodźcie”, w rzeczywistości miałem na myśli: „wychodźcie”. Gdy pisałem, że nie należy wzywać do bicia milicji, ten sam ekspert stwierdził, że skoro – według niego – znam NLP, to mówiąc „nie bijcie milicji”, tak naprawdę wzywam do bicia milicji. To wszystko mam zapisane w akcie oskarżenia. Tak właśnie wyglądała ta sprawa karna.

Wyszedłeś na wolność i nie wyjechałeś z kraju.

Skończył się areszt administracyjny i czekałem na proces. Wtedy na Białorusi władze przyjęły taką taktykę, że ludzie – zwłaszcza osoby publiczne, wobec których zarzuty były zbyt słabe, by nawet według białoruskiego prawa ich skazać – mogli po wypuszczeniu z aresztu, a przed procesem, wyjechać z kraju. Ja jednak pomyślałem, że nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Koniec. Siedziałem i czekałem na ekspertyzy i proces.

Pierwsze opinie biegłych stwierdzały, że nie ma podstaw do postępowania karnego. Byłem zaskoczony – pomyślałem: w Białorusi to jednak możliwe, że państwowi eksperci, i to dwaj, uznali, że w moim wpisie nie ma znamion przestępstwa. Potem jednak „podciągnięto” generała majora Andreja Lisa jako eksperta – wówczas szefa Komitetu Śledczego obwodu mińskiego – i utajniono jego dane jako biegłego. On figuruje w sprawie jako „Iwanow Iwan Iwanowicz”. Poprosił o utajnienie swojego nazwiska, ponieważ – jak twierdził – obawia się o swoje życie i zdrowie. Rozumiem go.

Gdybym ja robił takie ekspertyzy, to też bym się bał o swoje życie i zdrowie. I to właśnie on przygotował tę ekspertyzę, która mówiła o NLP.

Po 45 dniach wyszedłeś na wolność. Pracowałeś?

Nie, już nie. Bielsat – w czasie, gdy siedziałem te 45 dób – został uznany za formację ekstremistyczną. Zajmowałem się tylko fryzjerstwem. Czekałem na ekspertyzy. Przyszedłem do śledczego, zapoznał mnie z materiałami i powiedział, że nie jestem winny. Pytam więc: to co, zamykamy sprawę? A on mówi: nie, sprawy nie zamykamy. Potem do mnie zadzwonił i powiedział, że przyszła nowa ekspertyza – mam przyjechać. Powiedziałem, że tym razem przyjdę tylko z adwokatem. Mówię więc: zadzwonię do adwokata i dam znać, kiedy przyjdziemy. Zadzwoniłem – adwokat mówi: dobrze, jutro. Oddzwaniem do śledczego: jutro. On mówi: dobrze, tylko nie wyjeżdżaj z miasta. Zapewniłem, że nie wyjadę. Minęło jakieś 40 minut i – jak w amerykańskich filmach – do domu wpadają ludzie w kominiarkach, z tarczami i pistoletami. I zabierają mnie z domu do aresztu.

Ale miałeś potem kontakt z adwokatami?

Tak, oczywiście. Na etapie śledztwa nie miałem żadnych problemów w kontaktach z adwokatami. Jeśli trzeba było, przyjeżdżali.

Dokąd cię zabrali?

Najpierw do aresztu śledczego w Żodzinie. Siedziałem tam od 21 grudnia 2020 roku do początku marca. Potem przewieźli mnie do aresztu śledczego w Mińsku. Tam mnie już skazano – jeśli dobrze pamiętam, 16 marca – dostałem pięć lat.

*SŁOWA „ŁUKA WPIERDOLIŁ TUTAJ WSZYSTKIM...” UZNANO ZA
ZNIESTAWIENIE. WEDŁUG PROKURATURY OSKARŻYŁEM ŁUKASZENKĘ
O POPEŁNIENIE PRZESTĘPSTWA, BO SUGEROWAŁEM, ŻE ON OSOBIŚCIE
WYCHODZIŁ NA ULICE I ZADAWAŁ LUDZIOM OBRAŻENIA CIAŁA.*

Następnie przewieziono mnie do aresztu śledczego (SIZO) w Baranowiczach, gdzie przez trzy miesiące czekałem na apelację. W Baranowiczach, jak się później okazało, zaraziłem się gruźlicą. Wyszło to na jaw już wtedy, gdy przewieziono mnie do kolonii karnej w Wołkowysku. Tam pierwszego dnia od razu trafiłem do izolatki. Jest taka praktyka, że

więźniów politycznych kieruje się do izolatki już pierwszego dnia, prosto z kwarantanny. Po pięciu dobach izolatki wyszedłem. Miałem już jedno naruszenie, ale nie było komu mnie za nie osądzić, więc wysłali mnie z powrotem na kwarantannę i zaprowadzili do izby chorych. Tam przeprowadzono badania i na zdjęciu rentgenowskim wyszła plama na płucu. Umieszczono mnie w izolatce w oddziale medycznym, a stamtąd przewieziono do kolonii dla chorych na gruźlicę w okolicy Orszy. Tam rozpocząłem leczenie gruźlicy.

Jakie były warunki w tych miejscach?

W Żodzinie, ogólnie rzecz biorąc, było w porządku. Znośne jedzenie, a na etapie aresztu śledczego – kiedy nie jesteś jeszcze skazany – paczki są bez ograniczeń. Było własne jedzenie, można było normalnie się ubrać i w miarę ogarnąć. Oczywiście siedziałem w oddziale o zaostrożonym rygorze. Była tam specyficzna klientela – ludzie, którzy nie pierwszy raz trafiali do więzienia. Ich życie polegało na ciągłym popełnianiu przestępstw.

Jak cię traktowali?

W większości normalnie, a nawet dobrze. Więźniowie to w dużej mierze ludzie obrażeni na władzę. Rozumieli, że jestem po tej samej stronie co oni. Ale byli też tacy, którzy traktowali mnie negatywnie i wcale tego nie ukrywali. Byli to zarówno zwolennicy obecnego reżimu (tacy też są!), jak i tacy, którzy uważali, że to „polityczni” są winni temu, że po 2020 roku pogorszyły się warunki odbywania kary. Po protestach rzeczywiście zaczęto je zaostżać – i oni twierdzili, że to przez nas. Ich zdaniem winna była nie administracja i system, lecz my – bo władze chciały nam zrobić gorzej, a wyszło na gorsze dla wszystkich. Część była przez to obrażona.

Na czym polegało to zaostżenie?

Zakazano przekazów pieniężnych od wszystkich poza najbliższą rodziną, czyli żoną, mężem, dziećmi, rodzicami, siostrami i braćmi. Zaczęto też uważniej kontrolować więźniów i obserwować, czym zajmują się skazani. Z kolonii zniknęły telefony, narkotyki i alkohol. Trudniej było „załatwiać sprawy” za pieniądze czy papierosy. Wprowadzono obowiązek pracy. To wszystko. I oni to właśnie mieli im za złe.

Mówiłeś o Żodzinie. Czy w innych koloniach były inne warunki?

W mińskim areszcie śledczym było więcej swobody. W Mińsku ludzie są bogatsi, więc także w więzieniu żyło im się łatwiej, jeśli mieli wsparcie rodziny. Tymczasem w celi w żodzińskim SIZO po raz pierwszy w życiu widziałem, jak ludzie żyletką rozłupują zapalną na cztery części, żeby móc jej użyć cztery razy do zapalania papierosów. Taka tam panowała bieda. W Waładarce – czyli w Mińsku – byli już „stołeczni”, zamożniejsi. To oczywiście nie zmienia faktu, że po tygodniu i tak trafiłem do celi z ludźmi, którzy próbowali wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. Ale mimo wszystko w mińskim areszcie siedziało się dość łatwo. Dziś Waładarka już nie istnieje – jest zamknięta, powstało nowe więzienie pod Mińskiem. Jak tam jest, nie wiem.

W CELI W ŻODZIŃSKIM SIZO PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU WIDZIAŁEM,
JAK LUDZIE ŻYLETKĄ ROZŁUPUJĄ ZAPALNĄ NA CZTERY CZĘŚCI,
ŻEBY MÓC JEJ UŻYĆ CZTERY RAZY DO ZAPALANIA PAPIEROSÓW.
TAKA TAM PANOWAŁA BIEDA.

Natomiast w Baranowiczach warunki były najgorsze ze wszystkich aresztów, w jakich byłem. W nowym budynku było jeszcze jako tako, ale w starym – a to była dawna stajnia – nie powinno się w ogóle przetrzymywać ludzi. Jedna drobna, ale wymowna rzecz: w Baranowiczach skazani nigdy nie myli podłogi w celach. Nie dlatego, że by nie chcieli, tylko dlatego, że podłoga jest stale mokra. Zawsze – o każdej porze roku i dnia. Ona tam po prostu nigdy nie wysycha. Jest ciasno, duszno, wilgotno. Myślę, że to właśnie tam zaraziłem się gruźlicą.

Za kratami miałeś przypisany niski status, najbardziej porównywalny do polskiego „cwela”. Dlaczego, jak do tego doszło?

Kiedy przyjechałem, pierwszego dnia, na wzgórzu niedaleko kolonii zawisły dwie flagi: ukraińska i biało-czerwono-biała. Była też kartka z napisem w stylu: „Winahrad, trzymaj się, jesteśmy z tobą” – taki gest wsparcia. To bardzo nie spodobało się administracji kolonii ani – jak sądzę – GUBOPiK-owi (Główny Zarząd Walki z Przystępczością Zorganizowaną i Korupcją, który pełni de facto rolę policji politycznej poza kolonią), który musiał szukać osób odpowiedzialnych za tę akcję. Nikogo nie znaleźli, przynajmniej z tego, co wiem. Władze kolonii bardzo nie lubią

osadzonych, którzy mają realne wsparcie z zewnątrz. Bo to są osoby, które mogą wokół siebie gromadzić innych. Zostałem więc zidentyfikowany jako ktoś właśnie taki i uznano, że trzeba coś z tym zrobić.

W białoruskich więzieniach i koloniach istnieje taka praktyka, co zresztą przypomina w pewnym stopniu mechanizmy znane choćby z obozów nazistowskich, że są grupy kryminalistów, którzy udają „autorytety”, choć w rzeczywistości współpracują z administracją, i którzy wywierają presję na więźniów politycznych. Żeby mnie odizolować od innych osadzonych – od kontaktów, rozmów, wpływu – zorganizowano prowokację, po której nadano mi tzw. niski status społeczny.

Nie lubię eufemizmów, nazywam rzeczy po imieniu. To jest „pietusznia”, cwelownia. „Pietuchy”, czyli cwele, to najniższa kasta w więziennej hierarchii: geje, pedofile, ludzie uznani za „nieczystych” – coś w rodzaju „nietykalnych” w Indiach – a także wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób z nimi się kontaktują. Do tego dochodzi masa więziennych przesądów, przez które też można do tej grupy trafić.

Jak to wyglądało w praktyce?

Po przyjeździe do kolonii od razu trafiłem do izolatki, potem do izolatki w szpitalnej części. Byłem tam sam, w pełnej izolacji. Podczas chodzenia na zabiegi zwracałem się do miejscowych osadzonych-aktywistów – „aktywu”, czyli „kozłów”, ludzi współpracujących z administracją, pełniących różne funkcje w kolonii. Pytam ich: chłopaki, macie papierosy, chciałbym zjeść słoninę, kiełbasę? Chce się coś zjeść, a ja nic nie mam. Wieczorem tego samego dnia przychodzi do mnie jeden facet i pyta: chcesz jeszcze kaszę? Mówię: nie, kaszy nie trzeba, ale jeśli masz słoninę i kiełbasę, to przynieś. On mówi: „dobra” i wychodzi. Zgodnie z więziennymi „zasadami”, jeśli ktoś należy do tej najniższej kasty, to przed jakąkolwiek interakcją musi uprzedzić, kim jest. Zwłaszcza jeśli chodzi o jedzenie – od takich ludzi nie wolno nic brać. On mnie nie uprzedził, choć miał taki obowiązek. Następnego dnia przyszedł i zapytał, czy wezmę paczkę wafli. Zgodziłem się. Wszedł z wafkami, a chwilę później przyszedł główny magazynier-aktywista, przyniósł mi moją torbę. Wyjąłem papierosy, wymieniliśmy się. On dał mi wafle, wziął papierosy i wyszedł. Po dwóch sekundach wchodzi magazynier i mówi: wiesz, od kogo to wzięłeś? Mówię: nie. Od „pietucha”. I koniec – drzwi zamknięte na klucz. Pomyślałem wtedy: no ładnie, ciekawie. Ale uznałem, że to jakaś głupota, przypadek. Gdyby taka sytuacja

wydarzyła się w 2011 roku, według ówczesnych zasad więziennych nic by się nie stało. Sprawa byłaby banalna: on mnie nie uprzedził, ja nie wiedziałem, moje słowo przeciwko jego i w takiej sytuacji zawsze wierzy się temu, kto nie jest „pietuchem”. Byłem przekonany, że wszystko da się łatwo wyjaśnić. Nie wiedziałem jednak, jak bardzo zmieniły się porządki. W 2011 roku za coś takiego wszyscy uczestnicy tego spisku – i „autorytety”, i „pietuchy”, i „kozy” z sanitarnej części – trafiliby do szpitala z ciężkimi obrażeniami. Byłoby to uznane przez więźniów za absolutne bezprawie, za które grozi ostra kara fizyczna.

*W BIAŁORUSKICH WIĘZIENIACH I KOLONIACH SĄ GRUPY
KRYMINALISTÓW, KTÓRZY WSPÓŁPRACUJĄ Z ADMINISTRACJĄ
I WYWIERAJĄ PRESJĘ NA WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH.*

Ale okazało się, że teraz jest inaczej. Przyszło trzech ludzi, którzy udawali kryminalne autorytety. Jeden przedstawił się nawet jako „nadzorca ścisłego reżimu więziennego w Republice Białorusi”. Odkryło się „rozpatrzenie sprawy”. Trzymałem się swojej wersji, ale ów „sąd” wydał werdykt: od teraz jesteś „pietuchem”.

Co się zmieniło w twoim życiu?

Zmieniło się bardzo dużo. Od razu przenieśli mnie do innej celi, czyli „pietuszni”. „Pietuchom” żyje się zasadniczo bardzo ciężko. Ponieważ to najniższa kasta, to zawsze są ostatni w każdej kolejce. Muszą wszystkich przepuszczać: w drzwiach, na korytarzu – cały czas usuwać się z drogi. Nie mają prawa jeść w stołówce, bo to natychmiast oznacza konflikt, a na pewno bójkę. Oni mają osobne stoły. Nie mogą też prowadzić żadnej „działalności gospodarczej” z innymi osadzonymi: żadnych wymian, np. papierosów na jedzenie. To są po prostu „istoty najniższej kategorii” – trudno to inaczej wytłumaczyć.

Trzeba też zrozumieć, że wszyscy osadzeni boją się trafić do „pietuszni”. W 99 procentach przypadków, jeśli administracja stawia wybór: albo idziesz do „pietuszni”, albo dokładamy ci rok czy dwa wyroku, ludzie wybierają dodatkowy wyrok. Byle nie trafić tam. Bo tam są też „specjalne” prace: sprzątanie toalet, wynoszenie śmieci po wszystkich – rzeczy najbardziej pogardzane.

Na początku było mi bardzo ciężko, ale potem zrozumiałem coś ważnego. W praktyce inni osadzeni zaczęli odnosić się do mnie lepiej niż do przeciętnego więźnia kolonii. Wielu podchodziło i mówiło: „Pasza, my wszystko wiemy. Wiemy, jak to było, wiemy, kto to zrobił i dlaczego. Spokojnie, wszystko jasne. Tak, mamy tu swoje zasady i ograniczenia”. Oni byli świadomi sytuacji. A potem, gdy widzieli, jak mocno administracja na mnie naciska i że nie udaje się jej mnie złamać – że ja dalej się trzymam – pojawił się szacunek. Wielu ludzi w tej kolonii dawno by się złamało, a ja nie. Zaczęli mnie przepuszczać w drzwiach, pomagać. Gdy wyszedłem z izolatki, ktoś zaoferował pomoc. Mimo że administracja próbowała z tym walczyć i groziła izolatką każdemu, kto się ze mną kontaktował. Ostatecznie moja odsiadka przebiegła względnie w porządku. Z innymi bywało bardzo różnie.

Mówiłeś, że bardzo często trafiałeś do izolatki. Pod jakim pretekstem?

Niezapięty guzik, zarost, brak powitania, źle sporządzony spis rzeczy, zeszyt pod materacem, cukier w szafce, sen w ciągu dnia – cokolwiek.

Siedziałem w wielu izolatkach. W ciągu prawie czterech lat odsiedziałem w nich w sumie 467 dni – to ponad rok. Więcej niż ktokolwiek, kogo znam.

Jakie tam były warunki?

Czasem było normalnie: ciepło, jasno, czysto, sucho, działała kanalizacja. Oczywiście, pomijając sam fakt, że siedzisz w izolatce. A w innych miejscach było gorzej. Pamiętam Orszę, gdy byłem chory na gruźlicę. Latem było znośnie. Ale gdy tylko się skończyło, we wrześniu 2022 roku, nagle zrobiło się zimno. I pamiętam, że dziękowałem losowi, że mam gruźlicę – bo chorym dawali materac, koc i poduszkę. Innym nie. Bez tego, myślałem, pewnie bym zmarł. Ale jak się później okazało, raczej bym nie umarł, bo bywałem w jeszcze gorszych miejscach.

Był okres, gdy z 210 dni aż 189 spędziłem w izolatce – w Wołkowysku. Ciemno, wilgoć, podłoga po umyciu schła cztery–pięć dni. Dwa razy zbierałem grzyby pod umywalką – tak było mokro.

Gdy żona zobaczyła mnie po tych miesiącach spędzonych w izolatce, to po widzeniu rozplakała się. Byłem ponoć zielony na twarzy – tak mi potem mówiła.

Bywało tak zimno, że nie dało się spać. Leżenie oznaczało drżenie z zimna. Całą noc chodziłem tam i z powrotem, robiłem pompki, przysiady. Rano dawali śniadanie, ciepłą herbatę – wtedy można było się na chwilę położyć.

Miałeś wtedy widzenia z żoną?

Tak. Administracja w Wołkowysku stosowała metodę „kija i marchewki”. Chcieli, żebym z nimi współpracował, i wykorzystywali do tego izolatki. Po konflikcie z trzecią osobą w systemie penitencjarnym Republiki Białorusi i jednym z głównych operacyjnych funkcjonariuszy w kraju zaczęły się moje „przygody”. To nie tyle, że ja się z nim pokłóciłem, tylko pożartowałem, a oni bardzo nie lubią, jak się z nimi żartuje, więc zapisał mnie do swojej czarnej ksiąteczki. To wtedy siedziałem te 189 dni. Przystali do mnie osadzonego z propozycją. Chcieli mnie przenieść do innej kolonii, ale do tego potrzebny jest wyrok z artykułu 411. Mieli mi zaproponować jakieś sprzątanie łopatą, ja miałem odmówić, na tej podstawie mieli mnie skazać. Miałem poprosić też o przeniesienie do innej kolonii i wtedy obiecywali jedynie pół roku kary, widzenie i paczki. Jeśli odmówię, i tak będzie artykuł 411, ale dadzą rok i żadnych widzeń. Odpowiedziałem, że nie zamierzam im pomagać w popełnianiu przestępstwa. To im się nie spodobało, dlatego trafiłem do izolatki.

BYWAŁO TAK ZIMNO, ŻE NIE DAŁO SIĘ SPAĆ. LEŻENIE OZNACZAŁO DRŻENIE Z ZIMNA. CAŁĄ NOC CHODZIŁEM TAM I Z POWROTEM, ROBIŁEM POMPKI, PRZYSIADY. RANO DAWALI ŚNIADANIE, CIEPŁĄ HERBATĘ – WTEDY MOŻNA BYŁO SIĘ NA CHWILĘ POŁOŻYĆ.

Później zrozumieli, że nie mogą mi wlepić artykułu 411, bo nie odmawiałem pracy. Zaproponowali sprzątanie śmieci – więc poprosiłem o największą łopatę, bo u mnie kompost na podwórku śmierdzi gorzej, i poszedłem robić. Ale następnego dnia znów byłem w izolatce.

Zrozumieli, że nie mam zamiaru się poddawać i śmieją się z nich ludzie w kolonii, bo nie mogą złamać tego cwela. Chodzi różowy, uśmiechnięty, bez ranki na twarzy... A oni ponoć takich ludzi łamią w 40 sekund, pokonali „autorytety kryminalne”, a mnie nie.

W końcu, gdy nic nie działało, dali mi widzenie z żoną. Przekazano jej, żeby mnie przekonała, bym „przestał się stawiać” i przyznał do

winy. Ona mi to przekazała i powiedziała: „Jestem z ciebie dumna. Rób, jak uważasz”.

I co zrobiłeś? Przestałeś się stawiać?

Ni chuja. Po widzeniu znów trafiłem do izolatki (śmiej).

Czy w koloniach pracowałeś w strefie przemysłowej?

Tak. Przez te cztery lata w dwóch koloniach albo 60, albo 61 dni spędziłem w oddziale, to znaczy nie w izolatce, nie w więzieniu, tylko normalnie w kolonii. I przez część tego czasu pracowałem. Przez trzy dni sprzątałem toalety w strefie przemysłowej. Pracowałem też przy czyszczeniu miedzianego drutu z izolacji. A trzeci, „najciekawszy” rodzaj pracy polegał na robieniu plastikowych kwiatów do wieńców cmentarnych, które trafiały do Federacji Rosyjskiej. Jak się domyślaliśmy, były to kwiaty na groby rosyjskich żołnierzy. Oczywiście nie wiemy na sto procent, dokąd dokładnie te kwiaty trafiały, ale zamówienia były ogromne, ciężarówki regularnie wyjeżdżały z tymi kwiatami. Obok nich stały inne ciężarówki z drewnianymi skrzyniami na amunicję, które robili inni osadzeni – również na potrzeby Federacji Rosyjskiej. Oczywiście to były tylko skrzynie na amunicję. Gdyby dali więźniom robić same pociski, wszystko by tam wybuchło. Skrzynie nie były robione w jednej kolonii – było kilka kolonii, w których produkowano skrzynie na naboje i na pociski.

Skąd dowiadywaliście się, co dzieje się na świecie? W czasie twojego pobytu za kratami wybuchła na przykład wojna na pełną skalę.

Z widzeń z żoną, jeśli zaś udawało się spotkać z adwokatem, to od niego człowiek mógł się czegoś dowiedzieć. Czasem jakieś informacje przełykały w listach. Czasem ktoś wracał z długiego widzenia i przynosił nowiny – potem wszyscy sobie to przekazywali. Coś można było zobaczyć w telewizji: jasne, że to była propaganda, ale jeśli umie się patrzeć, można było niejedno wywnioskować. Można było też prenumerować gazety – oczywiście państwowe, ale jeśli potrafi się czytać między wierszami, dało się coś zrozumieć.

W Wołkowysku, w ściślejszej tajemnicy, łapano polskie stacje radiowe – dzieliło nas około 40 kilometrów od polskiej granicy. Nie wiem dokładnie, jakie to były stacje, ale radio było. Mnie na te „imprezy” nie zapraszano, bo byłem pod stałą obserwacją, cały czas ktoś pilnował, gdzie jestem. A to

wszystko było nielegalne – słuchanie tego radia. Dlatego mnie tam nie zapraszali. Potem ludzie mówili: słyszeliśmy w radiu, że wydarzyło się to, to i to. Takie właśnie były nasze źródła informacji. Potem, po tym jak byłem już w kolonii w Wołkowysku, dali mi widzenie.

„NAJCIEKAWSZY” RODZAJ PRACY POLEGAŁ NA ROBIENIU PLASTIKOWYCH
KWIATÓW DO WIENCÓW CMENTARNYCH, KTÓRE TRAFIAŁY
DO FEDERACJI ROSYJSKIEJ. JAK SIĘ DOMYŚLAŁISMY,
BYŁY TO KWIATY NA GROBY ROSYJSKICH ŻOŁNIERZY.

Później zrozumieli, że nie działa ani kij, ani marchewka, więc postanowili całkowicie mnie odizolować i wysłali na reżim więzienny. Jeśli ktoś „nie przyjmuje się” w kolonii, jeśli – zdaniem administracji – nie potrafi tam funkcjonować, to zostaje uznany za „złego” i wysłany do więzienia. Po to, żeby odgrodzić go od innych grubą warstwą betonu i żelaza.

To było PKT, pomieszczenie typu więziennego?

Nie, to już nie PKT. PKT jest wewnątrz kolonii. To też izolacja na jakiś czas. Natomiast jeśli na ciebie żadna z kar w kolonii nie działa, wysyłają cię już do więzienia. I niektórych politycznych tam wysyłano – takich, od których nie mogli wymusić szczególnego posłuszeństwa i uległości, albo takich, na których było „zamówienie” z wolności, od jakiegoś GUBOPiK-u albo KGB. Mnie też wysłali do więzienia do Grodna na rok. Tam administracja i służby próbowały różnymi sposobami nakłonić mnie do przyznania się do winy, czyli do napisania prośby o ułaskawienie, i w ogóle do „prostszego” zachowania. Jak mówił mi naczelnik wydziału operacyjnego: „Pasza, my musimy wysyłać raporty do Departamentu Wykonywania Kar. Musimy pokazać, jaką pracę z tobą wykonaliśmy. Trzeba coś z tym zrobić”. Ja odmawiałem, więc siedziałem w izolatkach, a w celach tworzone mi niekomfortowe warunki, wykorzystując do tego współosadzonych. Były ograniczenia: nie wpuszczano do mnie adwokata, moje listy ciągle gdzieś ginęły.

Ten niski status, on przeszedł z tobą dalej?

Tak, oczywiście. W więzieniu siedziałem w tzw. celach dla cweli – uważa się je za najbardziej dzikie, najgorsze, bo siedzą tam ludzie, którzy nie mają już nic do stracenia. Zrozumiałem, że gdy człowiek nie ma już absolutnie

nic do stracenia, wszystko staje się znacznie prostsze. To pomogło mi przyjąć postawę: ani kroku wstecz. Jeśli wcześniej miałem jeszcze lęki przed trafieniem do „pietuszni”, to ostatecznie one zniknęły. Ja już tam jestem – koniec. Nic mi już nie zrobią.

Mówiłeś, że „niekomfortowe warunki” tworzono przy współudziale innych więźniów. Na czym to polegało?

Na nieustannej grze nerwów. Siedziałem w celi z człowiekiem, który był chory psychicznie, agresywny i jednocześnie pracował dla milicji. Były momenty, gdy bałem się zasypiać obok niego w celi. Byliśmy tylko we dwóch. Cokolwiek by nie robił, jakkolwiek by się nie zachowywał – jego nigdy nie wsadzali do izolatki, bo wszyscy wiedzieli, że ma zadanie: obserwować mnie i stale wywierać na mnie presję psychiczną. Z tym człowiekiem spędziłem chyba około dwóch miesięcy. I jak już mówiłem, były chwile, kiedy po prostu bałem się spać z zamkniętymi oczami – spałem dosłownie „na jedno oko”, żeby nie rzucił mi się na szyję.

To był jeden taki przypadek?

Nie. Przez ten rok w każdej celi byli ludzie, którzy mieli polecenie od administracji, aby nieustannie mnie dręczyć i działać mi na nerwy. Zresztą wszyscy oni się do tego przyznawali. Ten, z którym bałem się spać, powiedział mi to już trzeciego dnia, gdy nasze relacje były jeszcze w miarę normalne. Potem po prostu „odjechał”.

Grodno to było twoje ostatnie uwięzienie?

Nie. Po roku skończył się mój reżim więzienny i wysłali mnie z powrotem do Wołkowyska. Tam trafiam na kwarantannę. Przychodzi do mnie osadzony i mówi wprost: „Przysłali mnie do ciebie, żebym cię sprawdził, dowiedział się, jak się masz. Czy coś się w tobie zmieniło, w twoich poglądach?”. Odpowiedziałem, że nic się nie zmieniło – jest tylko gorzej. On na to: „Nie wątpiłem w ciebie”. Powiedział jeszcze: „Pasza, jeśli czegoś potrzebujesz – mów”. Trzy dni później byłem już w izolatce. Siedziałem tam miesiąc, potem mnie wypuścili.

Chcieli urządzić mi prowokację. Zresztą wcześniej też to robili. Ja już tych wszystkich ludzi rozpoznawałem: widziałem, kto mnie obserwuje, kto składa mi dziwne propozycje. Ostatnia taka sytuacja wyglądała następująco: znowu nie pozwolili mi zadzwonić, bo „zaginał” mój wniosek

o telefon. Jak zwykle „zaginął”. Wiedziałem, że zaginie, ale i tak zawsze pisałem. I wtedy podchodzi do mnie jakiś człowiek i mówi: „no i co, zadzwoniłeś? Nie? Mogę rozwiązać twój problem. Mam telefon komórkowy”. A ja rozumiem, że podchodzi do mnie mało znany facet i proponuje telefon mało znanemu „pietuchowi”, a w kolonii nie ma telefonów. On rzekomo ma telefon, ale nie ma papierosów i bardzo chce zapalić. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Nie wiem, co by było, gdybym się zgodził. Co byłoby w tym telefonie? Pornografia dziecięca? Coś jeszcze? A może materiały wybuchowe? Albo jakaś „korespondencja”, która pojawiłaby się w momencie, gdybym wziął ten telefon do ręki. Oni bardzo chcieli wszcząć przeciwko mnie niepolityczną sprawę karną. Bo zanim wysłali mnie na reżim więzienny, był jeszcze inny człowiek, który uporczywie proponował mi wniesienie do kolonii sprzętu szpiegowskiego, żeby nagrać coś na terenie obiektu o zaostrowym rygorze. Nie wiem, ile za to grozi – 10 lat, może więcej. Z tym człowiekiem zacząłem się bawić i on to zrozumiał. Zrozumiał, że ja zrozumiałem, a potem podszedł i powiedział: „No dobra, Pasza. Jak mnie rozgryzłeś? Gdzie się pomyliłem? Pieprzyć to, powiedz” (śmiej). Potem administracja kolonii zobaczyła, że znowu nic na mnie nie działa. Stałem się dla nich jeszcze większym problemem. I wysłali mnie ponownie do więzienia w Grodnie – znowu na reżim więzienny.

Gdy byłeś w Grodnie, zostałeś deportowany. Miałeś jakieś przeczucie, że to nastąpi?

Podejrzewałem to od momentu, w którym, w czerwcu 2025 roku, wypuścili Siarhieja Cichanouskiego. Kiedy go deportowano, zrozumiałem, że we wrześniu trzeba pakować walizki. Miałem wewnętrzne przekonanie, że wtedy wyjdę. Prawda, sądziłem wówczas, że nie ja jeden wyjdę, tylko wszyscy. Oczywiście brałem pod uwagę także inne warianty, w tym deportację.

GDY CZŁOWIEK NIE MA JUŻ NIC DO STRACENIA, WSZYSTKO STAJE SIĘ PROSTE. TO POMOGŁO MI PRZYJAĆ POSTAWĘ: ANI KROKU WSTECZ. HAMUJĄ ROZWÓJ EKONOMICZNY, SPOŁECZNY I MORAŁNY.

I tak 4 września dali mi kolejny wyrok z artykułu 411. Wsadzili mnie do celi dla osób objętych nowymi postępowaniami. Siedziałem tam, dostałem kilka paczek. I nagle wyciągają mnie razem z rzeczami.

Prowadzą mnie gdzieś – myślałem, że to zwykły transport. Nie. Prowadzą do działu przeszukań osadzonych. Zaczynają dokładnie sprawdzać wszystkie moje rzeczy. Mówię do funkcjonariuszy: „Dokąd mnie wiozą?”. Oni odpowiadają: „Pasza, my nie wiemy. To ty nam powiedz, dokąd ciebie wiozą”. Dzieje się coś zupełnie niezrozumiałego. Myślę: „No nieźle”. Przeszukali wszystkie moje rzeczy, założyli mi worek na głowę, wsadzili do samochodu i wywieźli. Rozumiałem, że są tylko dwa warianty: albo wiozą mnie na granicę, albo do aresztu śledczego KGB w Mińsku. Jedziemy długo, więc rozumiem, że jadę do Mińska. Tak też było – trafiłem do aresztu śledczego KGB. Tam znalazłem się w celi z jeszcze dwunastoma więźniami politycznymi, spośród których większość znałem. Między sobą zaczęliśmy to omawiać i stało się w miarę oczywiste, że nas deportują, bo zebrali w jednym miejscu takich „topowych obywateli” – swoiste „gwiazdy” wśród opozycjonistów. Zebrali nas w jednej celi. Zrozumieliśmy, że nas deportują, tylko nie wiedzieliśmy, kiedy to nastąpi. Ja wszystkim mówię: „Jutro nas deportują. Nie martwcie się”. I tak się stało. Wsadzili nas do autobusów i zawieźli na granicę.

Opozycjonista Mikołaj Statkiewicz z waszej grupy został na Białorusi. Odmówił wyjazdu. Co o tym myślisz?

Świetnie. Świetnie. Sam chciałem zrobić to samo.

Ale tego nie zrobiłeś.

Tak. Obiecałem żonie, że wyjdę we wrześniu. I wyszedłem we wrześniu.

Ale czy to w ogóle ma sens: zostać, żeby znowu trafić za kraty?

Oczywiście. Statkiewicz w więzieniu może demonstrować swoją postawę obywatelską. I swoją niezłomność. Może pokazywać, że wciąż są ludzie gotowi trzymać flagę. Że są ludzie, którzy się nie boją, którzy idą na czele i na których można się wzorować. To bohater.

Czym chcesz się zajmować na Litwie?

Po pierwsze, chcę opisać wszystko to, co mi się przydarzyło, w jakiejś formie. Czy to będzie wideoblog, książka, komiks czy coś jeszcze innego – nie wiem. Ale chcę to jakoś zrobić, bo nigdy w życiu nie miałem tyle „materiału” co teraz. Mam naprawdę ciekawą, dobrą historię. Mogę pisać, mam pomysły na projekty wideo.

Poza tym chcę zostać w zawodzie i znowu strzyc. W zasadzie bardzo mi się to podoba. Nawet nie samo strzyżenie, ale ten krąg klientów, którzy do mnie przychodzili. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nikt nigdy nie przychodził do mnie po „dobrą fryzurę”. Przychodzili, bo ja to Pasza Winahradau. Bo jestem kimś tam, jakimś „rewolucjonistą”, bo ze mną miło było porozmawiać. Dlatego przychodzili. Wszyscy moi klienci to byli „najlepsi ekstremiści i terroryści” Białorusi. Wszyscy moi byli klienci.

Myślisz, że za granicą masz jakiś wpływ na sytuację na Białorusi?

W tej chwili nie. Nie mam wpływu nawet na to pomieszczenie, w którym się znajduję. Nie mam dokumentów. Mam jednak przekonanie, że jeśli uruchomię jakiś medialny projekt, to będę miał wpływ. Już teraz, gdy daję tu wywiady, dostaję sporo informacji zwrotnej bezpośrednio z Białorusi: „oglądaliśmy”, „świetnie!”, „co tam u ciebie?”. Jasne, że tego wszystkiego jest teraz znacznie mniej – dziesiątki razy mniej niż w 2020 roku. Ale nic nowego. Już to przechodziłem. Przed wybuchem w 2020 roku – w 2017, 2018, 2019 – było dokładnie tak samo. Wszystko i tak idzie falami.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.

OD PIERWSZEGO DNIA WIĘZIENIA ZACZAŁEM MIEĆ PROBLEMY

Ihar Karniej

W białoruskich więzieniach status cwela jest oficjalnie kultywowany pod kontrolą administracji. Reguła jest taka, że śmieci wynoszą i myją toalety tylko osadzeni z niskim statusem. Jeśli się zgodzisz, to już przypało, bo z tego się nie sposób wygrzebać. Stajesz się pariasem. Nie można się do ciebie odezwać ani od ciebie niczego wziąć, ani nic ci dać... Mi kazano wyrzucić śmieci.

Ihar Karniej (rocznik 1968)

Przez 20 lat, od 2002 do 2022 roku, oficjalnie akredytowany korespondent białoruskiej sekcji Radia Swaboda w Mińsku. Po uznaniu Radia Swaboda za formację ekstremistyczną w listopadzie 2022 roku i zakończeniu jego oficjalnej działalności – zawieszony współpracował z Białoruskim Stowarzyszeniem Dziennikarzy, które także – w lutym 2023 roku – zostało uznane za formację ekstremistyczną. W grudniu 2024 roku skazano go z artykułów 361-1 i 411 Kodeksu karnego na trzy lata i 10 miesięcy pozbawienia wolności w kolonii karnej. Zajmował się sprawami aresztowanych i prześladowanych dziennikarzy. Ojciec czterech córek, trzech już dorosłych i najmłodszej, 14-letniej.

Latem 2023 roku był pan już chyba jednym z ostatnich niezależnych dziennikarzy na Białorusi, którzy jeszcze nie zostali aresztowani ani nie wyjechali.

Możliwe. Moja działalność dziennikarska zakończyła się 17 lipca 2023 roku, kiedy w moim mieszkaniu zjawili się funkcjonariusze KGB, by przeprowadzić przeszukanie i następnie mnie zatrzymać.

A jaką podali przyczynę zatrzymania?

Przyczyna była niejasna, bo przeszukanie prowadzono w ramach jakiegoś ogólnego śledztwa w sprawie „masowych zamieszek”. Do wielu osób przychodzili na takiej zasadzie, że w papierach było wymienionych kilkadziesiąt artykułów Kodeksu karnego. Żadnego konkretnego zarzutu pod moim adresem nie było. Bezpośrednio po rewizji, podczas której zabrali komputery, wiele notatek i sporo innych papierów, kagebiści zawieźli mnie najpierw do Komitetu Śledczego miasta Mińska. Przy czym od początku było widać, że Komitet Śledczy to tylko zasłona dymna. Zanim wprowadzono mnie do gabinetu śledczej, którą była dosyć młoda, około 30-letnia kobieta, funkcjonariusze KGB wchodzili do niej i słychać było, jak dają jej instrukcje. Byli też obecni przy całym wstępnym przesłuchaniu. Potem przewieźli mnie na 10 dni do Aresztu Czasowego Zatrzymania na Akreścina.

W czasie tych 10 dób przychodził do mnie znów funkcjonariusz KGB – ten sam, który przeprowadzał przeszukanie – i niemalże namawiał,

żeby sam wymyślił powód, za który można mnie posadzić. Mówił coś w rodzaju „i tak będziesz siedzieć, ale możesz sobie sam wybrać za co i wydać współników. Będziesz miał mniejszą karę, a jak nie, to już my coś na ciebie znajdziemy”. Przez 10 dni nie wpuszczono do mnie adwokata. Przez ten czas siedziałem na Akreścina w pomieszczeniu karceru – to maleńka cela karna 1,75 na 3 metry, przewidziana dla jednego człowieka. Zostałem tam wprowadzony jako dziesiąty. W celi nie było absolutnie nic, tylko na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy stopnie, nieprzykryta niczym dziura jako ubikacja. Staliśmy tam jak w przepelnionym autobusie i tak samo próbowaliśmy spać, co było zupełnie w tych warunkach niemożliwe.

Nikomu też nie pozwalano wziąć tam ze sobą żadnej rzeczy. Miałem paczuszkę, w której były kurtka, papier toaletowy, mydło, ręcznik, szczotka do zębów, ale nie pozwolili mi jej wziąć do celi. Dziesięć dni spędziłem w ubraniach, w których przyjechałem. W celi byli sami polityczni, ludzie zatrzymani albo pod zarzutami uczestnictwa w marszach, albo za lajki w sieciach społecznościowych, albo za jeszcze coś w tym rodzaju. Niektórzy dostawali karę administracyjną aresztu na dwa tygodnie, ewentualnie miesiąc, innych, jeśli sążeni byli z artykułu 342 (nielegalne manifestacje), najczęściej skazywano na rodzaj domowego aresztu, czyli tzw. chemię domową¹. Mnie dopiero jedenastego dnia, po 10 dniach tortur chłodem i pozbawieniem snu (bo nie dość, że nie było, jak spać, w nieopisanym tłoku, na cemencie, i było chłodno, to tam jeszcze budzą dwa razy w nocy – o drugiej i o czwartej – i odliczanie robią), przedstawiono zarzut z artykułu 361-1: „Tworzenie formacji ekstremistycznej i uczestnictwo w niej”. Co to miała być za organizacja ekstremistyczna, nie sprecyzowano. Nie wymieniono tam ani Swabody, ani BAŻ-u².

Jeszcze jedną ciekawostką aresztu na Akreścina w tamtym czasie był fakt, że po sąsiedzku mieliśmy migrantów, bo to było w czasie kryzysu migracyjnego na litewskiej i polskiej granicy.

To służby białoruskie w ogóle ich zatrzymywały?

Zatrzymywano wybiórczo, dla zachowania pozorów... Przy czym to była czysta korupcja. Cały czas tam obok trwał ruch – a to ich strażnicy prowadzili na boisko, a to na spacer, otwierały się drzwi, klawisze przynosili

¹ Areszt domowy czasem połączony z pracą przymusową.

² Białoruskaja Asacyjacyja Żurnalistau (biał.) – Białoruski Związek Dziennikarzy.

kolejne paczki, zakupy, nawet słychać było, jak odkurzacz pracował, bo celę im odkurzano. Urządzono dla nich też mecz futbolowy. My siedzi-
my prawie jeden na drugim, stłoczeni jak śledzie w beczce, któryś dzień
umieramy z gorąca (bo w dzień pewno ze 30 stopni, a w nocy chłód)
i słyszymy, jak tam za oknem migranci grają w piłkę, inni koledzy im
kibicują, krzyczą, na trąbkach trąbią... A my w 10 osób na pięciu metrach
kwadratowych. Najwyraźniej oni im pieniądze za to płacili, bo tam nie-
malże tańce w celach się odbywały, a w tym samym czasie nad nami się
znęcano. Strażnicy przeprowadzali niekończące się kontrole, po nogach
bili, żebyśmy wszyscy równo stali. W sumie była to jakaś absurdałna,
ponura groteska.

Po 10 dniach dopuścili do pana adwokata, przedstawili panu wreszcie te niesprecyzowane zarzuty i powieźli do Aresztu Śledczego na Waładarkę...

No tak. Zrobiło się mimo wszystko trochę lepiej, choć i tam przepełnienie cel ogromne. Byłem zresztą jednym z ostatnich więźniów politycznych, którzy tam siedzieli, bo teraz już stary areszt śledczy na ulicy Waładarskiego, prawie 200-letni, jest zamknięty i wybudowano nowy, na obrzeżach Mińska³. Zaczęli go budować jeszcze w latach 90. XX wieku z udziałem jakichś pieniędzy z Unii Europejskiej. Tam warunki są nieco bardziej ludzkie, większe cele, po pięć metrów na człowieka... Bo na Waładarce to zawsze na trzecim poziomie prycz spałem... Na 15 metrach kwadratowych gnieździło się tam 15 osób. Z tego powodu na Waładarce przynajmniej pozwalano w dzień leżeć na pryczy pod samym sufitem. Co prawda nie wszyscy pozwalali, każda zmiana miała swoje reguły, ale zasadniczo tak. Nie wolno było spać, ale wolno przynajmniej leżeć, bo i tak nie było, gdzie się ruszyć.

Z kim pan tam siedział?

Wielu było politycznych. Między innymi siedziałem z księdzem Uładzi-
sławem Bieładziedem – prawą ręką arcybiskupa Tadeusza Kondrusie-
wicza⁴. Z tego, co wiem, on siedzi nadal⁵. Nawet się dziwiłem, że go nie

³ Areszt Śledczy w Kaladżiczach pod Mińskiem otwarto w 2024 roku.

⁴ Ks. Tadeusz Kondrusiewicz (ur. 1946) – jeden z najbardziej zasłużonych białoruskich duchownych, administrator apostołski (2007–2021). Od sierpnia do grudnia 2020 roku reżim białoruski, jako karę za krytykowanie przez arcybiskupa Kondrusiewicza stosowania przemocy wobec protestujących, blokował jego powrót na Białoruś, wymuszając jego przejście na emeryturę.

⁵ Rozmowę nagrano w grudniu 2025 roku. Bieładzied odzyskał wolność w styczniu 2026 roku.

wypuścili, gdy były kolejne rozmowy w sprawie więźniów. To był młody ksiądz, najpierw skończył wydział teologiczny w Mińsku, a później sześć lat seminarium duchownego w Polsce i pracował z arcybiskupem Kondrusiewiczem. A potem już miał wstępnie wyznaczoną swoją parafię w Szklowie. Zdążył tam wyremontować kościół, bardzo zaniedbany, bo to przecież wschodnia Białoruś, niewielu tam katolików, wrócił do Mińska na uroczystości kościelne, no i go zatrzymali. I ostatecznie pojechał do Szklowa. Tylko nie na parafię, lecz do obozu. Taka okrutna ironia losu⁶.

Czy wtedy, gdy był pan w areszcie śledczym, odbywały się jakieś przesłuchania? Wywierano na pana naciski?

Tak. Poza tym, że co jakiś czas pojawiała się śledcza, na przesłuchania, to kilka razy przychodził też ten sam kagebista, który prowadził moją sprawę od początku i namawiał mnie znowu, bym wymieniał jakichś „współsprawców”. W formie „marchewki” sugerował cały czas, że jeśli kogoś wymienię, to dostanę lżejszy wyrok, albo że może w ogóle wyjdę. Choć to akurat było całkiem nierealne, bo większość tych, którzy dostawali się w ich łapy, już nie wychodziła na wolność. No ale można było myśleć o jakichś lżejszych karach, półwolnościowych, takich jak wspomniana chemia. Przy czym w ostatnim czasie warunki tego półwolnościowego odbywania kary tak zaostrzono, że na koniec i tak trafiałeś do więzienia za ich złamanie.

*ZANIM WPROWADZONO MNIE DO GABINETU ŚLEDZIEJ,
FUNKCJONARIUSZE KGB WCHODZILI DO NIEJ I SŁYCHAĆ BYŁO,
JAK DAJĄ JEJ INSTRUKCJE. BYLI TEŻ OBECNI PRZY CAŁYM
WSTĘPNYM PRZESŁUCHANIU.*

Wtedy już w papierach zabranych z BAŻ-u znaleźli moją deklarację o przystąpieniu do organizacji z 1997 roku, no i to był dowód, że współpracowałem z organizacją ekstremistyczną. Tymczasem jeszcze przez następne 25 lat po moim wstąpieniu była to organizacja całkiem legalna, zarejestrowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Taka ich logika. Zdecydowali się najwyraźniej, że nie będą mnie sądzić za pracę

⁶ Ks. Uładziszław Bieładzied został zatrzymany w maju 2023 roku za rozpowszechnianie „materiałów ekstremistycznych” oraz obrazę Łukaszenki i urzędników państwowych, a następnie skazany na trzy lata kolonii karnej. Na wolność wypuszczono go w styczniu 2026 roku.

dla Swabody – bo najwyraźniej dziennikarzy Swabody już mieli pod dostatkiem w więzieniu i teraz był im potrzebny ktoś do procesu BAŻ. W końcu 2023 roku sprawa była zamknięta i na marzec 2024 roku wyznaczono rozprawę.

I przez cały czas trwania śledztwa siedział pan na Waładarce?

Najpierw siedziałem w celi, w której było 12 osób, potem w takiej, w której było nas 15. Przy czym trzeba powiedzieć, że naczelnikiem Waładarki był wtedy taki pułkownik Andrej Cedryk, któremu przypisywano nawet pewne elementy humanitaryzmu... Mówiono, że nie pozwolił KGB z Waładarki zrobić takiej katowni, jak była na Akreścina. Oczywiście, tak jak wszędzie, trzeba było przejść komisję, podczas której wprowadzano politycznych do ewidencji jako tych przynależących do 10. grupy ewidencji profilaktycznej. Kiedy wezwali mnie, Cedryk zapytał, za co siedzę, co takiego zrobiłem, czy może biłem milicjantów. „Nie – mówię – w żadnym razie. Jestem dziennikarzem”. „Aha, odpowiada – to znaczy słowem biłeś, a słowem można nawet zabić”. Ale w porównaniu z innymi więzieniami tych ograniczeń, które tam były, nie przestrzegano jako szczególnie surowo. To, że spałem na najwyższej pryczy, wynikało nie z przymusu, lecz z tego, że sam sobie ją wybrałem, bo z góry można było patrzeć na ruch w celi, niemalże korki, które się tworzyły na dole. Z drugiej strony, ponieważ niemal wszyscy palili, było bardzo duszno. Z tej trzeciej pryczy można było dostać do sufitu, jak rękę wyciągnąć. Tylko że gdyby dotknąć go palcem, to by chyba ten sufit do połowy wszedł...

Tam tyle było tego nagaru?

Nagaru, kurzu i w ogóle brudu. Wszystko sklezione wilgocią, bo w tych celach 15 osób oddycha, pierze bieliznę, próbuje ją suszyć, a wentylacji nie ma żadnej. Tam chyba ze 200 lat remontu nie robiono. Ściany odrapane. Pod wpływem wilgoci odpadały kolejne warstwy farby, a pod nimi ujawniało się pięć poprzednich.

Biblioteka natomiast była tam dobra. Bibliotekarzem był były naczelnik więzienia, który sam był zamiłowanym czytelnikiem i książki były generalnie wartościowe i trzymane w porządku. Czytałem tam Swiatłanę Aleksijewicz w przekładzie na białoruski Siarhieja Dubawca, książkę wydaną za pieniądze Biełhazprambanku – Babaryki... Wiele książek po białorusku i różnych innych na poziomie.

A spacery?

Były oczywiście, po takim spacerniaku mniej niż 100 metrów kwadratowych, z pięciometrowym murem, którego ściany też były obłupane, a gdy spadł deszcz, to na ziemi wewnątrz tego spacerniaka robiło się błoto po kolana... No ale nie remontowali – bo pewno wiedzieli, że już będą się gdzie indziej przeprowadzać. Niemniej jednak mogę powiedzieć, że wszystko inne, co było potem, było gorsze.

Zaczął się proces. Czy byli jacyś świadkowie?

W sporej części sprawa była oparta na podsłuchach. Były nagrania z moich rozmów z rodzinami zatrzymanych dziennikarzy. Coś tam pytam, oni opowiadają mi, co się z nimi dzieje. No i niektórych z tych ludzi wezwano w charakterze świadków. Między innymi ojca Łuckinej⁷, dziennikarki z BT⁸, z której tam niemalże przywódczynię strajku zrobili. Ale w zasadzie ci świadkowie niczego złego o mnie nie powiedzieli, wszyscy zeznawali, że byłem w porządku. Potem jeszcze sędzia zaczął sam grzebać w moim telefonie, znalazł jakąś korespondencję i komentował, że widać, iż uczestniczyłem aktywnie w życiu organizacji ekstremistycznej. A argumenty, że w tym czasie BAŻ nie był jeszcze uznany za organizację ekstremistyczną, jakoś do niego nie trafiły. Generalnie to bardzo smutne, ale trzeba powiedzieć, że prokurator o nazwisku Dziacieł⁹, sędzia, śledczy, a w niektórych sytuacjach nawet i zastraszeni adwokaci, to była jedna wielka rodzina zajmująca się falsyfikacją spraw. Nawet i adwokat stara ci się wyjaśnić, że najlepiej będzie, jeśli się przyznasz, bo posadzić i tak posadzą, ale może wtedy wyrok będzie mniejszy. Jak dostałem trzy lata, to wszyscy uznali, że to nienajgorzej, bo mogłem dostać pięć albo sześć... A wyrok dwóch lat nie wchodził w rachubę, bo to by już chyba było zbyt poniżające dla sądu

7 Ksenia Łuckina – białoruska dziennikarka, do sierpnia 2020 roku pracowała w państwowej Bielteleradyjokampanii (biał. BT, ang. BTRC), gdzie wzięła udział w strajku po sfałszowanych wyborach prezydenckich. Dołączyła do Rady Koordynacyjnej opozycji. W grudniu 2020 roku została zatrzymana i następnie skazana na osiem lat więzienia za „próbę przejęcia władzy”. W sierpniu 2024 roku uwolniona w ramach „amnestii”. W marcu 2025 roku wyjechała na Litwę.

8 Bielteleradyjokampanija (biał. Белтэлерадыёкампанія; właśc. Narodowa Państwowa Spółka Telewizyjno-Radiowa Republiki Białorusi) – białoruski państwowy nadawca radiowo-telewizyjny, założony 1 stycznia 1956 roku. Wspiera prezydenturę Alaksandra Łukaszenki i prowadzi działalność propagandową. W latach 1993–2021 członek Europejskiej Unii Nadawców (EBU) jako Belarusian Television and Radio Company (BTRC).

9 Mikołaj Dziacieł – białoruski prokurator, uczestniczył w szeregu politycznie motywowanych procesów sądowych. W marcu 2022 roku reprezentował oskarżenie w sprawie dziennikarzy „Naszej Niwy” – Jahora Marcinowicza i Andreja Skurki – wnioskując dla każdego z nich o dwa i pół roku kolonii karnej w zastrzyżonym rygorze; sąd wymierzył kary zgodne z wnioskiem. Figuruje w dokumentacji organizacji praw człowieka prowadzących rejestry dotyczące represji na Białorusi.

(śmiech). Przy czym miński sąd miejski uchodzi za nienajgorszy. Za to samo na prowincji spokojnie można dostać pięć–sześć lat.

I potem co dalej? Etap?

Złożyłem apelację i właściwie do ostatecznego wyroku powinienem był siedzieć na Waładarce. No ale 200-letnie więzienie w tym czasie zaczęło się już całkiem rozwalać, cegły spadały z tych zamkowych baszt, no więc na szybko od początku kwietnia 2024 roku zaczęli przenosić więźniów do innych ośrodków. Ktoś pojechał do Witebska, ktoś do Brześcia, a ja pojechałem do Mohylewa.

Czy więzienie w Mohylewie czymś się różniło od aresztu?

O tak. Było znacznie gorzej. W więzieniu śledczym nr 4 miasta Mohylewa to już te nasze żółte plakietki faktycznie powodowały gorsze traktowanie. Co godzinę musiałem zaglądać w okienko w drzwiach – „karmuszkę”. Przysiadalem więc, żeby zobaczyć klawisza, i podawałem imię, nazwisko, rok urodzenia oraz artykuł, z jakiego mnie skazano. „Ja taki a taki, urodzony wtedy a wtedy, osądzony z artykułu takiego a takiego, jestem osobą związaną z działalnością ekstremistyczną i destrukcyjną”.

Co godzinę?!

Najpierw, gdy przyjechałem do Mohylewa, to było co trzy godziny, a potem co godzinę, a nawet częściej. Oczywiście tutaj spać można było już tylko na górnej pryczy, możliwie blisko kibla i umywalki, tak by być stale na widoku. W więzieniu nie tak wielu było politycznych, znacznie mniej niż na Waładarce, gdzie w każdej celi siedziało czterech–pięciu. W Mohylewie siedziałem z jednym brygadzystą z budowy. Dostał dwa lata za lajka w Odnokłassnikach¹⁰. Zalajkował jeszcze w styczniu 2020 roku, długo przed wyborami, wypowiedź Borysa Niemcowa¹¹ na temat Łukaszenki. Co prawda Niemcow już od pięciu lat wtedy nie żył, ale uznano, że z postawienia lajka wynika, iż podsądny zgadza się z jego krytyczną wypowiedzią, no i go posadzili. Drugi z więźniów politycznych, z którymi

¹⁰ Odnokłassniki (ros. *Одноклассники*) – rosyjska sieć społecznościowa należąca do grupy VK, uruchomiona 4 marca 2006 roku. Popularna na obszarze byłego ZSRR; nazwa i idea zbliżone do polskiej Naszej Klasy.

¹¹ Borys Niemcow (1959–2015) – jeden z najbardziej znanych rosyjskich polityków opozycyjnych, w latach 1997–1998 wicepremier Rosji. Zastrzelony nieopodal Kremla.

siedziałem, dostał sześć lat za wpłacenie 15 euro na pomoc rodzinie aresztowanego człowieka.

A w czerwcu 2024 roku pojechałem już do kolonii karnej do Szklowa...

Był pan zadowolony z tego, że jedzie pan do obozu i przynajmniej to zamknięcie i ciasnota się skończą?

Nie za bardzo, bo już wtedy było wiadomo, że Szklów to miejsce, w którym nikt nie chce się znaleźć. To w końcu region rodzinny Łukaszenki i kolonia karna też powinna być pokazowa. On sam tam pracował w latach 80. w zakładzie obsługiwanym przez więźniów. Przywożą tam wszystkie delegacje z krajów byłego ZSRR... No i tam trzymają tych wszystkich biznesmenów, których doją jak, nie przymierzając, dojne krowy. Oni z własnej kieszeni opłacają wszelkie remonty, rozbudowy i tak dalej. Siedziałem z jednym przedsiębiorcą ze znanej w Mińsku firmy zajmującej się montażem zabezpieczeń: drzwi metalowych, okien, żaluzji antywłamaniowych itd. Z tej firmy zatrzymano kilka osób. Najpierw chcieli im przyszyć politykę, ale nic nie znaleźli. Ostatecznie poszli siedzieć za jakieś niedopłaty podatków czy coś w tym rodzaju. I ten człowiek, z którym siedziałem, na fundusz dobroczynny na rzecz kolonii, a ściślej rzecz biorąc Departamentu Wykonania Kar MSW, wpłacił 600 tys. rubli, czyli ok. 200 tys. dolarów. I to tylko on jeden. Jak sobie wyobrazić, ile wydojono z innych, to widać, jakie to muszą być ogromne sumy.

Naiwnie spytam: czemu oni wpłacają te pieniądze?

Oczywiście zawsze mają nadzieję na polepszenie sytuacji, warunków odsiadki czy nawet skrócenie kary. Ale pamiętam, że przez cały ten czas, gdy byłem w Mohylewie, ten biznesmen nadal siedział. No bo wpłacasz, a czy oni zrealizują to, co obiecali, i kiedy, to się okaże...

Jeśli chodzi o szklowską kolonię, to jest przy niej całe przemysłowe miasteczko: i mundury, i odzież roboczą tam się szyje i jest zakład zajmujący się obróbką drewna, produkcją mebli. Przez pewien czas pracowałem tam w tartaku, który też pracuje na wojskowe potrzeby Rosji. W Szklowie robi się między innymi kontenery na pociski.

A jak wygląda dzień w szklowskiej kolonii?

Na początku, gdy cię przywożą, to na dwa tygodnie sadzają do kwarantanny, w tzw. położniak na „odtłuszczenie”. No bo może przywiozłeś ze sobą

jakieś zapasy jeszcze z więzienia, jakieś jedzenie z paczek, czekoladę, a tam nie dostajesz żadnych paczek, tylko to, co w obozie się należy. Całymi dniami myjesz podłogi, umywalnie... Przychodzą funkcjonariusze i straszą posadzeniem do SZIZO, pozbawieniem paczek, widzeń itd. No i po tych dwóch tygodniach, jeśli jesteś więźniem politycznym, to z pewnością nzebierają ci całą kupę naruszeń regulaminu.

Od pierwszego dnia zacząłem mieć problemy. A to jakoby nie przywitałem się z funkcjonariuszem, a funkcjonariusza trzeba przywitać, nawet jak go spotykasz 10 razy w ciągu dnia, a to jakoby używałem żargonowych słów... Wreszcie zarzucono mi, że w spisie rzeczy z torby, który trzeba sporządzać, nie odnotowałem rzekomo ołówka...

No ale najpoważniejsze było na końcu i wiązało się z pojęciem „niskiego statusu”, czyli statusu cwela, który w białoruskich więzieniach jest oficjalnie kultywowany za zgodą i pod kontrolą administracji. Kazali mi śmieci wynieść, a jest taka reguła, że śmieci wynoszą i toalety myją tylko osadzeni z niskim statusem. Jeśli się zgodzisz, to już przepadło, bo z tego się nie sposób wygrzebać. Stajesz się pariasem. Nie można się do ciebie odezwać ani od ciebie niczego wziąć, ani nic ci dać... Bo każdy, kto to zrobi, sam też stanie się „pietuchem”. Nawiasem mówiąc, właśnie ksiądz Bieładzied, ten asystent arcybiskupa Kondrusiewicza, o którym mówiłem, znalazł się w grupie o niskim statusie. Wiedząc, co kryje się za poleceniem wyrzucenia śmieci, odmówiłem. Od razu dostałem pięć dni SZIZO. Potem, jak wyszedłem, to przez cztery i pół dnia pochodziłem do tartaku i znowu mnie wezwali do sztabu, żebym posprzątał, a potem wyniósł śmieci. Posprzątać to jeszcze nic – normalne, ale już wynoszenie śmieci to sprawa „pietuchów”. Masz iść środkiem przez główny dziedziniec kolonii „bratwiej”, obejmować obiema rękami ten śmietnik, a prowadzi cię czterech funkcjonariuszy, żeby każdy mógł zobaczyć i jasno się zorientować, co jest grane. No i znowu odmówiłem. I ponownie wsadzili do SZIZO, tym razem na sześć dni. Jak to się skończyło, znów było to samo i wtedy stwierdzili, że od razu dadzą mi miesiąc PKT – Pomieszczenie Kamiernego Tipa. Oznaczało to, że jako naruszający porządek zostaną umieszczony w pojedynczej, zamkniętej celi.

Jakie są warunki w SZIZO i PKT?

W SZIZO było zimno jak w psiarni. Niby w regulaminie jest napisane, że można dostać ciepłą bieliznę, ale gdzie tam, niczego nie dają. Śpisz na

gołych deskach. Materaca ani koca nie ma, za to jest okienko, przez które wpada mało światła, ale jest ciągle uchylone. Pomiedzy szparą w drzwiach a tym okienkiem panuje nieustanny przeciąg. W PKT jest nieco lepiej. Tam prycze są podnoszone na dzień, ale na noc dają materac i koc. No i trzy książki na tydzień. Tylko nigdy nie wiesz, co przyniosą. Bo to może być *Jak hartowała się stal* albo na przykład poradnik dla nauczycieli, jak omawiać powieść Nikołaja Czernyszewskiego *Co robić?*. Nie mam pojęcia, skąd oni te książki biorą. No ale co masz robić, żeby w pojedynce nie zwariować – czytasz to, co dali.

I potem, po odbyciu tej kary, znów wrócił pan do kolonii i do pracy?

A gdzie tam. Już pod koniec tego miesiąca, gdy wyprowadzali mnie na spacer (bo w SZIZO spacerów nie ma, a w PKT przysługują), patrzę, że na spacerniku masa jakichś śmieci się wala, niedopałków, papierków. Czyli powinienem to wszystko pozbierać, a potem wynieść. Oho, widzę, że to prowokacja. Mówię, że to nie moje, ja nie palę. Oni na to, że każdy powinien po sobie zostawić czyste pomieszczenie. Odmówiłem i od razu znów dostałem tydzień SZIZO. A potem jeszcze kolejny tydzień w PKT. I jak już miałem wychodzić, sytuacja się powtórzyła. Tym razem od razu dali mi pięć miesięcy PKT. Gdy na koniec policzyłem, to w pojedynczej celi albo w SZIZO, albo w PKT spędziłem 200 dni. I jednocześnie w sytuacji, gdy już po raz drugi otrzymuję karę PKT, to oznacza, że jestem „notorycznie nieposłusznym” więźniem. Więc robią mi dodatkową sprawę karną za „złośliwe niepodporządkowanie się pracownikom administracji instytucji poprawczej”. To był bardzo ciężki okres w moim życiu, bo żona napisała w liście, że wykryto u niej raka. Oczywiście funkcjonariusze, którzy czytają listy, też to wiedzieli.

Właściwie dlaczego oni się nad panem tak znęcali? Mają przecież tam jeszcze trochę ludzi, a uwzięli się konkretnie na pana...

Nie mam pojęcia. Może uznali, że dostałem za niski wyrok – tylko trzy lata – i trzeba coś do tego dodać? O tyle tu nie mieli szczęścia, że artykuł, z którego zostałem skazany, zalicza się do mniej ciężkich i wtedy dodać można tylko rok, a do tych cięższych można dodać nawet i dwa – tak jak Cichanouskiemu.

Rozprawa miała być wyjazdowa. Ostatecznie przyjechał do kolonii sędzia i prokurator i było 22 świadków, którzy mieli zeznawać na temat

moich licznych naruszeń. Jak tylko dowiedziałem się o tej kolejnej sprawie, zapytałem o adwokata. Usłyszałem, że adwokat nie będzie potrzebny, bo mi nic nie pomoże. Jasne, że nie pomoże, ale przynajmniej będzie jakaś łączność ze światem, bo generalnie nikt nie wie, czy ja jeszcze żyję. Listy od żony do mnie dochodzą, a z nich widzę, że do niej moje – nie. Inna rzecz, że po wiadomości o chorobie żony, to już się prawie bałem te listy od niej otwierać. Bo gdy człowiek siedzi sam, w pojedynkę, to same najgorsze myśli krążą mu po głowie.

USŁYSZAŁEM, ŻE ADWOKAT NIE BĘDZIE POTRZEBNY,
BO MI NIC NIE POMÓŻE.

Ostatecznie zgodzili się na adwokata: chcesz płacić pieniądze, to płać! Prowadzili mnie wtedy bezpośrednio z SZIZO w spodniach cztery numery za dużych i ogromnej koszulce, z dekoltem do pól piersi, choć była zima, i z napisami SZIZO z przodu i z tyłu. Byłem brudny, zarośnięty jak Karol Marks, a tych wszystkich 19 klawiszy (wstępnie było przewidzianych 22 świadków, ale trzech zachorowało) czekało w korytarzu. Mnie prowadzą, a oni wszyscy muszą się rozstąpić przede mną. To była taka moja mała satysfakcja. Zeznawałem po białorusku.

I ile panu dołożyli? Rok?

Nie wiem czemu, ale tylko 10 miesięcy. Może jakimś wytłumaczeniem była osoba lekarza potwierdzającego, że za każdym razem przed licznymi pobytami w karczerze (SZIZO i PKT) byłem badany (a oczywiście nie byłem). Warto tu zaznaczyć, że niedługo przedtem w celi szklowskiej kolonii karnej zmarł Witold Aszurak¹². Po tym zaostrzono tam przepisy i każdy, kto miał odbyć taką karę, a ja tych kar miałem masę, powinien być badany za każdym razem przez komisję lekarską, czy jest w stanie znieść te straszne warunki. Oczywiście opowiedziałem o tym przed sądem. No a lekarka składająca każdorazowo podpis na moich papierach, fałszywie potwierdzający, że przechodziłem badania lekarskie, była żoną sędziego Alaksandra Tarakanaua, który mnie sądził. Nie wiem, czy to miało jakiś wpływ na wyrok. Ustępstwo zresztą było niezbyt imponujące – dwa

¹² Witold Aszurak (1970–2021) – białoruski działacz społeczny z Lidy, członek partii BNF. Zatrzymany za udział w protestach w sierpniu 2020 roku i skazany na pięć lat pozbawienia wolności. 21 maja 2021 roku zmarł w kolonii karnej w Szklowie.

miesiące..., tak czy owak tak właśnie było. Potem błyskawicznie przewieźli mnie znów do więzienia w Mohylewie.

Tego, które pan już znał.

Tylko tym razem nie byłem już więźniem odbywającym karę w warunkach tzw. ogólnego reżimu, lecz jako recydywista notorycznie łamiący regulamin musiałem zostać osadzony w celi o zaostrzonym rygorze.

Jaka to różnica?

Po pierwsze inne towarzystwo. Tam trafiają ludzie, których państwo uważa za niepoprawnych i spisuje na straty. Panowały więc tam takie porządki, jakie przynosili ze sobą kryminaliści. Była określona hierarchia... Tzw. bratwa – czyli po polsku grypserska – nieformalnie kontrolowała życie wewnętrzne. Od początku dobrze traktowali politycznych i można nawet powiedzieć, że objęli ich swego rodzaju opieką, która zresztą była korzystna i dla nich. Zazwyczaj byli to ludzie latami siedzący w więzieniu, oderwani zupełnie albo prawie zupełnie od świata na wolności. Doskonale wiedzieli, że u nas z rodzinami jest wszystko w porządku, że prawie każdy z nas dostaje jakąś pomoc... Wszystko, co przychodziło w paczkach, szło do „wspólnej puli” i w ten sposób oni też mogli się pożywić czy dostać jakieś potrzebne rzeczy typu pasta do zębów albo szczoteczki.

W SZITO BYŁO ZIMNO JAK W PSIARNI. NIBY MOŻNA DOSTAĆ CIEPŁA BIELIZNĘ, ALE GDZIE TAM, NICZEGO NIE DAJĄ ŚPIŚZ NA GOŁYCH DESKACH. MATERACA ANI KOCA NIE MA, ZA TO JEST OKIENKO, KTÓRE JEST CIĄGLE UCHYŁONE.

Zresztą bywali wśród kryminalnych interesujący ludzie. Na przykład jeden więzień, mniej więcej 40-letni, siedział już 20 lat. Oczywiście był członkiem tej rządzącej kasty więźniów. Był nawet specjalnie przez kławiszki zabierany do innych cel w szczególnie trudnych sytuacjach, by gasić tam jakieś konflikty między więźniami. Ten Aleksiej z Grodna był niesamowicie odczytanym facetem. Czytał bardzo poważne i naprawdę trudne książki filozoficzne i wszelkiego rodzaju literaturę... Byli też oczywiście bardziej prości kryminaliści. Niektórzy wywodzili się jeszcze z lat 90., gdy powszechny był reket, czyli wymuszanie okupów, zabójstwa i tak dalej.

W marcu 2025 roku zabrali mnie znów na etap, jak zwykle „stołypinką”, czyli wagonem z kratami i oknami zabitymi deskami, i powieźli najpierw, poprzez więzienie w Homlu, do kolonii karnej o zastrzonym rygorze w Mozyrzcu, która zresztą cieszyła się nienajlepszą sławą.

Warto jeszcze wspomnieć, że przez wiele godzin etapu zabójcy, gwałciciele czy pedofile jadą zawsze jak normalni ludzie, a polityczni całą drogę są skuci kajdankami. Nawet nie wszyscy więźniowie z innych grup z żółtą plaketką tak jadą, może skazani za napad na milicjanta, a polityczni ze sławnej grupy 10 – zawsze.

Poza tą żółtą plaketką jest jeszcze podobno i czerwona...

Tak: skłonny do ucieczki i brania zakładników. Mnie zresztą, gdy siedziałem w PKT, grozili nadaniem czerwonej plaketki. Miałem tam długopis i papier i pisałem. Przyszedł klawisz i zainteresował się, czy piszę pamiętniki. Zagroził, że skoro tak dużo piszę, to zawsze mogą dojść do wniosku, że układam plan ucieczki. I nikt nie będzie się szczególnie przejmował, tylko „na dodatek do żółtej dostaniesz czerwoną plaketkę. Będziesz jak choinka – różnokolorowy...”

Czy więzienie w Homlu, przez które pana wieźli, odróżniało się czymś od tych więzień, które pan już poznał?

Muszę powiedzieć, że przez chwilę mogłem dojść do siebie, bo było tam najlepsze, prawie normalne jedzenie, typowe ziemniaki z gulaszem, zupy przypominały zupy... No i książki też można było czytać, cała sterta leżała na stoliku.

Potem była kolejna część etapu i kolonia karna o zastrzonym rygorze w Mozyrzcu. Z początku znów kwarantanna. Po pierwszych trzech dniach zebrali nas i kazali każdemu wziąć miotłę i iść zamiatać. Rączki mioteł pomalowane były w białe i czerwone pasy i miały napis: „naruszyciel”. To już była kolonia o zastrzonym reżimie, gdzie siedziało wielu starych kryminalistów. W myśl kryminalnych zasad nie mogli wziąć miotły do ręki i zamiatać, więc od razu szli do SZIZO, a my mogliśmy. Takim „frajerom” jak my wolno było zamiatać i to nie oznaczało jeszcze, że wylądować się w grupie o niskim statusie. Muszę powiedzieć, że w tej kolonii podobało mi się jedno: nie zawracali głowy tym niekończącym się wymyślaniami i udowadnianiami „naruszeń” regulaminu, tylko wprost mówili: zasada jest taka, że swoje w SZIZO musisz odsiedzieć. No i tak czy inaczej wkrótce

wylądowałem na miesiąc w SZIZO. Najpierw na 15 dni, a później dodali jeszcze 15... Potem już więcej w SZIZO nie siedziałem. Być może nie zdążyli mnie tam znowu posadzić.

Znaczy się: nie zdążyli, bo już pana zwolniono?

Najpierw rano wezwali mnie na punkt kontrolny, czyli tam, gdzie zazwyczaj odbywa się komisja i dają kary. Pomyślałem sobie, że widocznie już minęły dwa miesiące od mojego pobytu w karczerze, więc znowu mnie posadzą, bo przecież tak nie może być, by więzień polityczny zbyt długo mógł oglądać niebo nad głową. Najpierw mnie przeszukali raz, wsadzili do „stakanu”. Ta „szklanka” to gwarowa nazwa na maleńkie pomieszczenie o rozmiarach metr na metr dwadzieścia, taka szafa bez okien, gdzie często nawet usiąść nie można. W owym „stakanie” przestałem doobiadać. Następnie znowu wszystkie moje rzeczy przeszukali, no i zobaczyłem, że czeka już naczelnik kolonii, jego zastępca trzyma moją teczkę i przekazuje ją jakiemuś brodatemu mężczyźnie w cywilu, któremu towarzyszy dwóch innych w kominiarkach. Zrozumiałem, że to KGB. Wsadzili mi worek na głowę i powieźli do więzienia KGB w Mińsku.

To był pierwszy raz, kiedy pan tam trafił?

Nie. Pierwszy raz podobna sytuacja zdarzyła się w zimie, zaraz po tym, gdy dostałem te dodatkowe 10 miesięcy i byłem w więzieniu w Mohylewie. Wtedy z początku myślałem, że może chodzi o przeprowadzkę do innej celi, ale wyprowadzili mnie na zewnątrz, worek na głowę i zawieźli do tego więzienia w Mińsku zwanego Amerykanką. Tam w bardzo nieprzyjemnej atmosferze – wrzaski, przekleństwa – wsadzili mnie najpierw do przejściówki, a potem do „miękkiego pokoju”.

Co to takiego?

To cela w całości obita skórą jak kanapa. Żeby ktoś w stresie od tego, że znalazł się w łapach KGB, nie zrobił sobie krzywdy. Obite są i podłoga, i ściany. Otwierają się drzwi i tam jest taka jama, spadek od razu 45 stopni. Wpychają więźnia do tej jamy. I dopiero potem zabierają do celi.

Po co pana tam przywieźli?

Aby mnie nagrać na potrzeby filmu propagandowego. Zastosowali szantaż, mówiąc, że co prawda mam dodatkowy wyrok, ale przecież jeszcze nie

ze wszystkich możliwych do zastosowania artykułów byłem sądzony... No i tu przytoczyli paragrafy, które można by mi jeszcze przyszyć. Oczywiście zapewnili, że o wszystkim tym mogą zapomnieć, jeśli wypowiem się dla filmu o Radiu Swaboda. Bo muszę przecież wziąć pod uwagę, że do tej pory potraktowali mnie łagodnie... Do tego czasu Ihar Łosik i Andrej Kuzneczyk¹³ już wszystko zrozumieli i zostali nagrani, a teraz jeszcze ja bym się przydał. Zdecydowałem, że będę gadał, jakoś tak... byle co. Tak żeby coś mówić, tylko że, broń Boże, żadnych nazwisk nie będę wymieniać, żeby nikogo nie wkopać. Zimno było strasznie, na ulicy to nagrywali. Inscenizowali film, prowadzali mnie po ulicy, kajdanki zakładali i zdejmowali pod kamerę. Potem wsadzili mnie do celi w Amerykance¹⁴, gdzie było już trzech więźniów siedzących za przestępstwa ekonomiczne. Następnego dnia przyszedł strażnik i zabrał mnie do łaźni, przyniósł elektryczną maszynkę do golenia, kazał się umyć i ogolić, choć tam wszyscy zarosnięci, i znów worek na głowę i zaprowadzili mnie ponownie do samochodu. Kążebiści się do siebie w ogóle nie odzywają, porozumiewają się znakami, więc nie miałem pojęcia, co się dzieje. W końcu weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia wyglądającego jak pokój w niedrogim hotelu. Przyszedł jakiś facet z białoruską oficjalną flagą w klapie i mówi: „Żadnych haseł typu «Żywie Białaruś» i «Sława Ukrainie». Generalnie milczeć, gębę otwierać jak najrzadziej, teraz będzie spotkanie z przedstawicielami Departamentu Stanu USA”. „No – mówię – żart się udał, ale to jeszcze nie pierwszy kwiecień... Stany Zjednoczone to największy wróg Białorusi, jaki Departament Stanu?”. Odpowiedź brzmiała: „Zamknij się i czekaj na polecenia”.

*PRZEZ WIELE GODZIN ETAPU ZABÓJCY, GWAŁCICIELE CZY PEDOFILE
JADĄ ZAWSZE JAK NORMALNI LUDZIE, A POLITYCZNI CAŁĄ DROGĘ
SĄ SKUCI KAJDANKAMI.*

W końcu prowadzą mnie, upominając po raz pierwszy od czasu, gdy mnie zamknęli, żebym się wyprostował, bo w kolonii zawsze prowadzi się więźnia z głową prawie między kolanami, i wchodzimy do sali, w której

¹³ Dziennikarze Radia Swaboda.

¹⁴ Amerykanka – potoczna nazwa aresztu śledczego KGB Białorusi, znajdującego się na dziedzińcu siedziby KGB przy Prospekcie Niepodległości 17 w Mińsku. Budynek wzniesiony w latach 20. XX wieku według projektu panoptikonu, odbudowany w 1946 roku. Nazwa pochodzi od wzorowanego na amerykańskich rozwiązaniach układu architektonicznego z centralną wieżą strażniczą i celami na planie koła.

po jednej stronie widzę trzech Amerykanów, a po drugiej pięciu mężczyzn z białoruskiej strony, takich mordziastych. Amerykanie od razu wstają, ręce ściskają, mówią, żebym nie myślał, że o nas już zapomnieli, że oni cały czas nad tą sprawą pracują i że są przedstawicielami nowej administracji. Byłem kompletnie oszołomiony. Nie wyobrażałem sobie, że w więzieniu spotkam się z reprezentantami Departamentu Stanu. Dyplomaci powiedzieli, że przywieźli worek listów od dziennikarzy z całego świata i gwiazdkowe prezenty, słodycze. Tylko szanowni panowie z KGB je obejrzą i wszystko przekażą. Naturalnie niczego nie przekazali (śmiech). Amerykanie pytali o wiele różnych spraw, wśród nich i o to, czy po drodze, w różnych więzieniach, nie spotkałem jakichś Amerykanów. Od razu przyznałem się, że zgodziłem się, by mnie nagrywano do filmu, na co oni oświadczyli, że doskonale to rozumieją, że jestem jeńcem, zakładnikiem, że nie ma problemu. Jak wyjeżdżaliśmy, z rozmów kagebistów przez radio wynikało, że przywożono na to spotkanie cztery osoby. Potem już okazało się, że byli to Kuznieczyk, Łosik, Juraś Ziankowicz i ja. Wkrótce wypuścili Kuznieczyka, Ziankowicza, który ma obywatelstwo amerykańskie, w kwietniu, mnie w czerwcu, a Łosika dopiero w grudniu 2025 roku.

Czyli w styczniu 2025 roku, jak widać, toczyły się już rozmowy o zwolnieniu więźniów. A jak to się odbyło za drugim razem, o którym zaczął pan wcześniej opowiadać?

Tak samo. Przeszukanie, worek na głowę i cywilny samochód. Wtedy już oczywiście domyślałem się, że wiozą mnie do Mińska, ale nie miałem pojęcia po co. W końcu mogło chodzić o wszystko: może o nową sprawę karną, może znów jakiś film robią? Znowu ten miękki pokój, znów zaprowadzili pod prysznic, a potem znalazłem się w celi, w której było 10 osób, w tym trzech Polaków i dwóch Łotyszy. Wtedy jeszcze większych grup nie wypuszczano, więc nie całkiem wiedzieliśmy, co jest grane. Potem kazali się ubrać jakoś przyzwoiciej. A ja miałem w swoich rzeczach w przechowalni czystą koszulkę, którą jeszcze matka mi przysłała. Szukając dla mnie ubrań, ona nie za bardzo wiedziała, co i gdzie jest u mnie w mieszkaniu. Wzięła więc T-shirt, który miałem jeszcze z młodości, z Batmanem... Kagebiści mi go teraz podsunęli, mówiąc: „No wkładaj. Przynajmniej tam trochę swoich zadziwisz”.

Wsadzili mnie do autobusu, znów worek na głowę i słyszę, że kogoś dosadzają, a potem słyszę straszny krzyk: „Wy swołoczcie, a gdzie mój

paszport, gdzie paszport Cichanouskiego? Bez dokumentów chcecie wyrzucić?”. No i tak zorientowaliśmy się, że jedzie z nami Cichanouski, ale wciąż nie wiedzieliśmy, co ma się wydarzyć. Może znowu jakiś „okrągły stół” albo jakieś spotkanie? Dalej wyjechaliśmy wyraźnie z Mińska i stało się jasne, że wiozą nas w kierunku granicy. Najpierw myśleliśmy, że może jedziemy w kierunku polskiej granicy, bo było z nami trzech Polaków, potem przesadzono nas do innego, mniejszego busa. W końcu zjechaliśmy z trasy i zatrzymaliśmy się gdzieś w lesie. Tam strażnicy wyskoczyli, a kierowca sięgnął pod siedzenie, wyjął tablice z dyplomatycznymi numerami i przekręcił. Podjechał do nas samochód, z którego wysiedli ludzie w krawatach, a jeden z nich powiedział, że jesteście teraz pod opieką amerykańskiego przedstawicielstwa. Dalej już za tymi cywilnymi samochodami przejechaliśmy granicę Litwy na przejściu Kamienny Łoh. No i tak zakończyła się moja więzienna i obozowa epopėja. Tylko jak otworzyłem torby, to okazało się, że nie ma w nich ani jednego świstka papieru, ani listów, ani tego, co sam pisałem, ani nawet żadnej kopii wyroku, odwołania, skargi – absolutnie niczego.

Nie ma więc żadnych dowodów na piśmie, co się zdarzyło. Dowody są tylko w głowach świadków wydarzeń.

No właśnie.

Rozmowę przeprowadziła Agnieszka Romaszewska-Guzy.

NIE ZAPOMNĘ I NIE WYBACZĘ

Uładzimir Bułauski

To były dwa lata tortur: upokorzeń, ograniczeń, napięć w rodzinie i po prostu utraty zdrowia. Można było zrobić w tym czasie bardzo wiele innych rzeczy.

Uładzimir Bułauski (rocznik 1989)

Aktywista społeczny i menedżer kultury w Witebsku, koordynator regionalny projektu „Budźma Biełarusami”. Pierwszy raz zatrzymany w lutym 2022 roku, a następnie 14 grudnia 2022 roku i skazany na dwa lata pozbawienia wolności. Podczas procesu nie przyznawał się do winy i zeznawał po białorusku. Wyszedł z więzienia po odbyciu pełnej kary.

Twoja historia zaczęła się w czasie protestów 2020 roku w Witebsku...

Moja historia jest w gruncie rzeczy prosta i dość typowa dla ogromu białoruskich represji. Pochodzę z Witebska, od 2012 roku byłem koordynatorem kampanii „Budźma Biełarusami” w regionie witebskim, a oprócz tego członkiem organizacji młodzieżowej „Witebsk for me”. Organizację tę oficjalnie zarejestrowano jeszcze w 2015 roku.

To nie była działalność opozycyjna?

Absolutnie nie. W Witebsku przez sześć lat udało nam się wypracować dobre relacje z władzami. Szczególnie w latach 2018–2019 wszystko układało się wręcz idealnie. Od 2014 roku wspólnie z miastem organizowaliśmy wiele wydarzeń, a władze miejskie postrzegały mnie jako przedstawiciela inicjatyw młodzieżowych. Praktycznie każde wydarzenie publiczne, niezależnie od charakteru, mogliśmy organizować, wpisywać do planów miejskich, szukać na nie sponsorów, a nawet częściowo finansować z budżetu państwowego. Sam byłem nawet zatrudniony w witebskim Muzeum Sztuki Współczesnej.

O, to lokalne władze cię znały?

Pewnie. Miałem z nimi liczne kontakty. Także z milicją. Przecież musiałem z nimi rozmawiać, choćby na temat zabezpieczenia imprez masowych. Nie kryłem jednocześnie probiałoruskich poglądów. W 2010 roku byłem na Placu Październikowym w Mińsku, brałem udział w protestach

powyborczych. Tylko cudem mnie wtedy nie zatrzymali. Trzeba było uciekać po podwórkach. Nie byłem wówczas jeszcze aktywistą żadnej organizacji. Pracowałem jako ochroniarz w sklepach.

W 2020 roku czułem, że mam pewną pozycję społeczną. Ludzie liczyli się z moim zdaniem, a część kreatywnego, artystycznego środowiska miasta postrzegała mnie jako nieformalnego lidera.

Miałeś już wtedy obawy, poczucie, że jesteś obserwowany przez władze?

Tak, przed 2020 rokiem było takie poczucie, że władze się nam przyglądają, że być może podsłuchują telefony, interesują się nami. Ale ponieważ nie mieliśmy bezpośrednich powiązań z opozycją, to nie baliśmy się specjalnie. Choć oczywiście zdarzały się sygnały: nasze biuro było obserwowane, a w 2013 roku OMON do niego przyszedł, choć wtedy było to formalnie tylko biuro prywatnej firmy. Znaliśmy nawet swoich „kuratorów”, wiedzieliśmy, jak wyglądają.

Kilku naszym aktywistom zaproponowano „rozmowy”. Kiedy taka propozycja dotarła do mnie, wspólnie jako zespół zdecydowaliśmy, że pójdę na kontakt, aby w ogóle dowiedzieć się, czego oni od nas chcą. KGB próbowało mnie zwerbować. Gdy później siedziałem już w kolonii karnej, bałem się, że władze mogą upublicznić tę informację i nie będę w stanie obronić się przed podejrzeniami. Bałem się, że w ten sposób mnie zdyskredytują.

Czego chcieli?

W tamtym czasie organizowałem koncerty na Ukrainie. Jeździłem z białoruskimi zespołami po całej Ukrainie. KGB chciało, żebym nawiązywał kontakty z białoruskimi ochotnikami walczącymi po stronie Ukrainy i przekazywał informacje na ich temat. Stanowczo odmówiłem, ponieważ było to sprzeczne z moimi zasadami. Po tej odmowie nikt już ze mną więcej nie rozmawiał.

Reżim was akceptował, choć patrzył podejrzliwie, wy nie akceptowaliście reżimu, ale nie mogliście nic zrobić. Aż nastał 2020 rok...

To, co się wydarzyło w 2020 roku, było czymś, czego większość ludzi się nie spodziewała. Sam zakładałem, że wszystko pójdzie według scenariusza z 2010 roku: będą protesty, zostaną spacyfikowane, pojawią się represje, a po roku zacznie się kolejna „odwilż”. Nikt nie spodziewał się masowych protestów.

One jednak nagle wybuchły.

Wszystko odwróciło się 9 sierpnia. Pracowałem wtedy jako menedżer w jednym z barów. Zamknęliśmy lokal około 19.30. Widzieliśmy, że większe grupy ludzi ruszyły na protest do centrum Witebska. Miasto było całkowicie zablokowane. Razem z przyjaciółmi doszliśmy do Prospektu Moskiewskiego. Zebrało się tam kilka tysięcy osób. Na ręce miałem związaną biało-czerwono-białą flagę. Szliśmy w grupie i chcieliśmy wejść do kawiarni. Zza budynku wybiegł prosto na mnie major milicji. Potem uświadomiłem sobie, że za mną szło sporo ludzi i mogło to wyglądać, jakbym im przewodził. Zatrzymywano wtedy wybrane osoby, które mogły pociągnąć za sobą innych.

Jak wyglądało to zatrzymanie?

Bez żadnego ostrzeżenia major zaczął mnie bić pałką. Przyjaciele próbowali mnie bronić, ale natychmiast podbiegło jeszcze czterech funkcjonariuszy milicji. W rezultacie wszyscy trafiliśmy do więźniarki. Długo jeździliśmy po mieście. W końcu przywieziono nas do sali gimnastycznej, tam pobili nas pałkami, próbowali sporządzić jakieś protokoły, ale ostatecznie około pierwszej-drugiej w nocy zaczęto wszystkich wypuszczać, ponieważ w witebskim areszcie zabrakło już miejsc.

Tak po prostu?

Myśleli, że protesty uda się szybko spacyfikować. Rano 10 sierpnia poszedłem udokumentować swoje obrażenia i złożyłem zawiadomienie do prokuratury. Zostało ono przyjęte i nawet wszczęto postępowanie sprawdzające. Dopiero w 2022 roku dowiedziałem się, że moją sprawę po prostu wysłano do archiwum.

Tymczasem protesty trwały dalej.

10 sierpnia ponownie wyszliśmy do centrum miasta. W różnych częściach Witebska dochodziło do brutalnych rozpędzeń. Gdy zbieraliśmy się już do powrotu i staliśmy na przystanku autobusowym, podjechała więźniarka i ponownie wszystkich nas zatrzymano. Tym razem nie robiliśmy absolutnie nic. Po prostu staliśmy na przystanku. Zawieźli nas na komisariat milicji. Miałem tam kilka rozmów z kierownictwem milicyjnym, bo mnie znali. Ostatecznie, z protokołem, ale bez wyznaczonej daty rozprawy, wypuścili mnie około drugiej w nocy.

Co postanowiliście?

11 sierpnia pojechaliśmy z kolegą do Mińska. Uczestniczyłem między innymi w wielkim wiecu „za Łukaszenkę” – poszedłem tam, bo chciałem to zobaczyć. Byłem też na wielkim marszu opozycji 16 sierpnia. Szacuje się, że wyszło wtedy około 300 tys. ludzi. Do Witebska wróciłem 17 sierpnia i zrozumiałem, co możemy zrobić na miejscu. Pierwszą decyzją było ogłoszenie zbiórki na szycie flag. W ciągu czterech dni, dzięki naszym wspianiałym dziewczynom, uszyliśmy około 50–60 flag, w tym jedną ogromną – 22 metry na 5 metrów. Do dziś jest przechowywana w sekretnym miejscu i czeka na lepsze czasy. Zebraliśmy też sporo pieniędzy, bo około 3 tys. dolarów, przeznaczonych na flagi i organizację działań. Razem z muzykami z Witebska i lokalnymi artystami postanowiliśmy zorganizować dwie akcje. 21 sierpnia odbył się marsz perkusistów przez miasto. Wzięło w nim udział około 400 osób. To była akcja w tamtym czasie uznawana za najbardziej kreatywną w Witebsku. Zatrzymań wtedy nie było, choć milicja nas nagrywała i ostrzegała, że prowadzimy nielegalny mityng.

Władze były chyba zaskoczone i nie reagowały.

23 sierpnia 2020 roku planowaliśmy zorganizować koncert przeciwko przemocy. Mieliśmy nagłośnienie, scenę, wszystko było dogadane. Koncert miał się zacząć około godziny szesnastej. Około południa zadzwonił do nas dyrektor muzeum, obok którego chcieliśmy to zorganizować. Powiedział, że został ostrzeżony, iż planowana jest pacyfikacja koncertu.

KGB CHCIAŁO, ŻEBYM NAWIAZYWAŁ KONTAKTY Z BIAŁORUSKIMI OCHOTNIKAMI WALCZĄCYMI PO STRONIE UKRAINY I PRZEKAZYWAŁ INFORMACJE NA ICH TEMAT.

Ponieważ dodatkowo zaczął padać deszcz, zdecydowaliśmy się odwołać imprezę. W mediach społecznościowych ogłosiliśmy, że żadnej akcji nie będzie. Przyszedłem na miejsce, żeby uprzedzić ludzi, którzy mimo wszystko się pojawiali, że wydarzenie zostało odwołane. W tym samym momencie podjechał autobus z funkcjonariuszami OMON-u. Natychmiast się rozeszliśmy i schowaliśmy. OMON chwilę postał, potem odjechał i ostatecznie nic się nie wydarzyło.

Nasz bar, obwieszony flagami, stał się nieformalnym centrum protestu w Witebsku. Ludzie zbierali się u nas przed marszami albo przychodzili

po marszach. Wszystko to działo się 200 metrów od komisariatu milicji. Nikt do nas nie przychodził, nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. I tak to trwało aż do 11 września.

Co się wtedy stało?

Wracałem po nocnej zmianie z baru do domu. Chciałem kupić dziewczynie burgera, czekałem na zamówienie i w tym czasie pojawiła się grupa młodych ludzi, którzy zaczęli zachowywać się agresywnie. W efekcie doszło do bójki. Pracownicy burgerowni byli świadkami zdarzenia. Była siódma rano, pięciu chłopaków zaczepiających osobę mówiącą po białorusku. To była ewidentna prowokacja. Później okazało się, że ci sami ludzie prowokowali także innych w różnych częściach miasta. Kiedy wezwano milicję, tamci uciekli. Przyjechali funkcjonariusze i zaproponowali mi, żebym pojechał z nimi ich poszukać. Pojechaliśmy, a potem trafiłem już na komisariat, żeby zeznawać. Zgodziłem się. I właśnie tam zostałem zatrzymany.

Dlaczego?

Zatrzymano mnie pod zarzutem chuligaństwa, mimo że to nie ja byłem napastnikiem. Następnie przewieziono mnie na badanie alkomatem i wpisano, że miałem 1,3 promila, mimo że alkoholu nie piłem. Około godziny szesnastej, kiedy w komisariacie zażądałem wezwania karetki z powodu silnego bólu głowy po bójce, w asyście funkcjonariusza przewieziono mnie na badanie do izby przyjęć. Tam alkomat wykazał zero promili. W ciągu niepełnych czterech godzin nie da się „wyzerować” poziomu 1,3 promila, zwłaszcza jeśli się nie je i nie śpi. Mimo to trafiłem do aresztu śledczego.

Myślałeś wtedy, że pętla się zaciska, że milicja szuka haków na ciebie?

Przeciwnie, miałem wrażenie, że zarówno w 2020 roku, jak i później, w 2022 roku, gdy zaczęto mnie już często zatrzymywać, część kierownictwa władz i milicji w Witebsku próbowała może nie tyle mnie chronić, co łagodzić konsekwencje. Zamiast 15 dni dawali osiem, zamiast sprawy karnej – administracyjną. Tak było aż do pewnego momentu. Ostatecznie tę bójkę pod budką z burgerami zakwalifikowano jako chuligaństwo i dostałem grzywnę. Paradoksalnie, uznałem taki obrót spraw za moje zwycięstwo.

Bo wiedziałeś już, że konsekwencje udziału w protestach 2020 roku mogą być gorsze?

Wieści z Mińska przecież docierały. Razem z barem i całym towarzystwem przeszliśmy w tryb zwykłego lokalu. Nadal organizowaliśmy wydarzenia o charakterze probiałoruskim: koncerty, występy, także akcje wsparcia dla represjonowanych, tylko że o tym już głośno nie mówiliśmy. Pod koniec 2020 roku fala ulicznych wydarzeń opadła, a jednocześnie zaczęły się represje.

Ciebie i twoje środowisko również dotknęły?

Nasz bar został zamknięty pod koniec maja 2021 roku. W tamtym momencie nie było jeszcze sensu nigdzie wyjeżdżać. Kilka razy milicja przychodziła do mnie do domu, ale nie czułem realnego, bezpośredniego zagrożenia. Pod koniec sierpnia 2021 roku dostaliśmy już wyraźne ostrzeżenie. Zadzwonili funkcjonariusze KGB i powiedzieli mi oraz jeszcze jednej osobie, z którą współpracowałem, że mamy trzy dni na opuszczenie Białorusi. W przeciwnym razie zostanie wobec nas wszczęta sprawa karna. Gdy już „skończyli” z dziennikarzami i obrońcami praw człowieka, zaczęli zatrzymywać menedżerów kultury. W Mińsku zatrzymano wtedy wszystkich, a my, w Witebsku, byliśmy następni. Byliśmy jednym z najaktywniejszych środowisk kultury białoruskiej poza stolicą.

Myślałeś, że trzeba wyjechać?

Kolega wyjechał natychmiast, nawet mnie o tym nie uprzedził. Ja zostałem. Zatrzymano mnie pod koniec listopada 2021 roku. I to była w gruncie rzeczy moja wina. Byłem pijany w centrum miasta, zatrzymano mnie i dostałem siedem dni aresztu za przebywanie w stanie nietrzeźwym w miejscu publicznym. Choć w mediach pojawiły się informacje, jakoby chodziło o „rozpowszechnianie materiałów ekstremistycznych”.

Kiedy zaczęło się robić poważnie?

Już 23 lutego wieczorem funkcjonariusze milicji przyszedli mnie szukać pod adresem zameldowania i pod adresem, gdzie mieszkałem z ojcem. Zbliżał się także 25 marca, Dzień Wolności¹, a poza tym było to cztery dni

¹ Nieoficjalne święto obchodzone przez opozycję. 25 marca 1918 roku ogłoszono powstanie niepodległej Białoruskiej Republiki Ludowej. Państwo to nie przetrwało długo i zostało zajęte przez bolszewicką Rosję.

przed końcem referendum konstytucyjnego², które zmieniało konstytucję Białorusi i m.in. likwidowało status państwa neutralnego, umożliwiło np. dyslokację rosyjskiej broni atomowej na Białorusi.

W tej sytuacji zdecydowałem się „zejść do podziemia”: wyłączyłem kartę SIM, ukryłem się w mieszkaniu, o którym nikt nie wiedział, i właściwie się nie pokazywałem. Ostatniego dnia referendum wyszedłem jednak na miasto. W mediach społecznościowych w żartobliwej formie zaproponowałem mieszkańcom Witebska: ładna pogoda, chodźmy pospacerować po mieście albo spotkajmy się tam, gdzie zawsze spotykamy zachód słońca. U nas w Witebsku wszyscy znali to miejsce, to była platforma widokowa na Placu Zwycięstwa, centralny plac miasta, gdzie wszyscy się zbierają. Około godziny osiemnastej zostałem tam zatrzymany.

Połączyli kropki, po swojemu...

Powiedzieli mi, że „uczestniczę w mityngu”. Odpowiadałem, że po prostu patrzę na zachód słońca. Miałem jednak przy sobie niebiesko-żółtą ukraińską chustę, więc uznano, że prowadzę pikietę. Zostałem skazany na 15 dni aresztu. Jeszcze miesiąc wcześniej byłem w prokuraturze, gdzie zaproponowano mi podpisanie tzw. ostrzeżenia. To standardowe pismo, które wręczano niemal każdemu przy zatrzymaniu. Było to ostrzeżenie o „niedopuszczalności działalności ekstremistycznej” oraz o odpowiedzialności administracyjnej i karnej. Od 2022 roku zaczął obowiązywać nowy artykuł Kodeksu karnego – 342-2. Stworzono go specjalnie dla tych, którzy odmawiali wyjazdu z kraju, oraz dla osób, wobec których wielokrotnie sporządzano protokoły administracyjne z artykułu 24.23 Kodeksu wykroczeń, czyli standardowego paragrafu o naruszeniu zasad organizacji i przeprowadzania zgromadzeń masowych. Zgodnie z tym prawem trzecie wykroczenie administracyjne w ciągu roku automatycznie zamienia się w sprawę karną i zagrożenie karą do trzech lat pozbawienia wolności. Najpierw dostajesz 15 dni, potem 30 dni, a za trzecim razem już do trzech lat. I mnie udało się „skompletować” całą tę piękną kombinację.

Za co?

Za referendum dostałem 15 dni. Wyszedłem i, szczerze mówiąc, na początku nawet nie myślałem o wyjeździe z kraju. Latem, tuż przed Festiwalem

² Głosowanie w tym referendum trwało od 22 do 27 lutego 2022 roku.

„Słowiański Bazar” w Witebsku, zatrzymano mnie na 30 dni. Co istotne, zatrzymywali mnie GUBOPiK. Zatrzymano mnie za to, że na moich kontaktach w mediach społecznościowych były biało-czerwono-białe flagi. Publikację w internecie potraktowano formalnie jako pikietę. Problem polegał na tym, że przy zatrzymaniu w 2021 roku zabrali mi kartę SIM. Nie miałem możliwości jej odzyskania, bo obowiązywał mnie zakaz, a w konsekwencji nie miałem też dostępu do swoich kont. „Słowiański Bazar” to duże wydarzenie kulturalne w Witebsku. Wykorzystywane propagandowo przez władze, ale i realna atrakcja rozrywkowa dla mieszkańców.

GDY JUŻ „SKOŃCZYLI” [DZIENNIKARZAMI I OBRONCAMI PRAW
CZŁOWIEKA, ZACZĘLI ZATRZYMYWAĆ MENEDŻERÓW KULTURY.
W MIŃSKU ZATRZYMANO WTEDY WSZYSTKICH, A MY, W WITEBSKU,
BYLIŚMY NAŚTĘPNI.

Mieliśmy ogromne plany związane z festiwalem. Organizowaliśmy półlegalne koncerty z dużą publicznością, z udziałem białoruskich wykonawców. Także tych, którzy byli formalnie zakazani i nie dostawali zgód na występy. W 2022 roku z okazji Dnia Miasta zorganizowaliśmy festiwal na około 700 osób. Całe białoruskie środowisko patrzyło na to z niedowierzaniem, kiedy zrozumieli, że to się rzeczywiście wydarzy. Robiliśmy to na granicy ryzyka, dosłownie „na czerwonym świetle”, w zaprzyjaźnionym barze, już innym, nowo otwartym. Festiwal odbywał się na wewnętrznym dziedzińcu. Mieliśmy wielkie plany na lato. I właśnie wtedy mnie zatrzymano na 30 dni.

Jak zniosłeś tę odsiadkę?

Najpierw otwarcie proponowali mi wyjazd z kraju. Kiedy się nie zgodziłem, powiedzieli: „Dostaniesz 30 dni. Posiedzisz, pomyślisz”. W zasadzie, w porównaniu z tym, co działo się później, jesienią 2022 roku, były to jeszcze względnie akceptowalne warunki. Cella standardowa: około 16 metrów kwadratowych, osiem osób. Nie wolno było spać w ciągu dnia. Materace co prawda były, ale zabrano nam je i jedną noc spędziliśmy, śpiąc bezpośrednio na metalowych pryczach. Od razu napisałem skargę do prokuratury. Trzech ludzi w naszej celi ogłosiło głodówkę i po jednym dniu zaczęli nam wydawać materace na noc. W dzień po prostu siedzieliśmy, jak się dało, a na noc materace wracały.

Oczywiście, jeśli porównywać areszt w Witebsku z Akreścina w Mińsku, to warunki były nieco lepsze, ale ogólnie rzecz biorąc, nic dobrego. Zamknięta przestrzeń, marne jedzenie, całkowity brak spacerów na świeżym powietrzu. W 2020 roku wyprowadzano nas na „spacer” do dużego pomieszczenia wewnątrz budynku. Później to pomieszczenie zamknięto na remont i witebski IWS aż do końca 2023 roku funkcjonował w jednym skrzydle tamtejszego aresztu śledczego. W związku z tym osoby, które odbywały kary administracyjne, w ogóle nie były wyprowadzane na spacer. Pysznic – raz w tygodniu. No i oczywiście co jakiś czas dosadzano tak zwanych „zesłanych kozaków”, czyli prowokatorów. Mimo wszystko, przy karach 15 i 30 dni, warunki były jeszcze względnie znośne. Wtedy już rozumiałem, że nie dadzą mi żyć w Witebsku. I zacząłem realnie rozważać wyjazd z Białorusi.

Wyjazd był wtedy jeszcze możliwy?

Wiedziałem, że formalnie mogę mieć zakaz wyjazdu, ponieważ miałem otwarte postępowanie egzekucyjne. Nie zapłaciłem bowiem żadnych grzywien. Istnieje u nas specjalna instytucja zajmująca się ściąganiem należności i kar nałożonych przez państwo. Z tego powodu ograniczono mi możliwość korzystania z kart bankowych, kart SIM na Białorusi i uznano mnie za osobę „niewyjezdną”. Później okazało się jednak, że formalnego zakazu wyjazdu wcale nie było. Po prostu panował chaos w dokumentach. Planowałem wyjazd do Gruzji przez Rosję, ale w ostatniej chwili zmieniłem decyzję. Zostałem w Witebsku i dalej aktywnie działałem, organizując koncerty.

Kiedy był twój ostatni koncert w Witebsku?

10 grudnia 2022 roku. Cztery dni później zatrzymano siedem osób, które były zaangażowane w działalność Rocky Pubu – miejsca, w którym odbywały się koncerty. Dostali po 15 dni aresztu. W moim przypadku sytuacja była inna, bo miałem już trzecie wykroczenie. A jeszcze dołożyli mi kolejny areszt, tym razem za subskrybowanie jakiegoś kanału. W sumie spędziłem wtedy 36 dni w areszcie. Te dni były dla mnie 36 dniami tortur. W tym czasie w całości przeprowadzono sprawdzenie „znamion przestępstwa”, wszczęto sprawę karną i przeniesiono mnie z aresztu tymczasowego do SIZO, czyli aresztu śledczego.

Jakich tortur?

Nie stosowano tam już wobec mnie przemocy fizycznej ani presji psychicznej. Było jednak wszystko to, co podpada pod pojęcie tortur pośrednich. Po pierwsze w celach było potwornie zimno. Materaców nie było. Przez cały czas paliło się światło. Ograniczyli możliwość przekazywania paczek. Jeśli wcześniej mój brat mógł przynosić mi je bez problemu, nawet codziennie, to potem, ponieważ mamy różne nazwiska, zaczęły się kłopoty. Nie chciano przekazać paczki nawet od mojej matki, bo miała inne nazwisko. Musiałem więc cały czas prosić ojca, żeby on je przekazywał. Trzeciego dnia do naszej celi dosadzono bezdomnego, który miał wszy. Piątego dnia cała cela była już zawszona. Oni reagowali śmiechem i mówili, że pomieszczenie, w którym można wygrzać odzież, żeby „wszystko zdechło”, nie działa. Dopiero w nocy z 19 na 20 stycznia 2023 roku przewieziono mnie do aresztu śledczego, do SIZO. Wtedy wreszcie zabrali mi ubrania, żeby je wygotować i pozbyć się wszy.

O co cię wtedy oskarżali?

Postawiono mi zarzut wielokrotnego naruszenia przepisów o zgromadzeniach masowych. Chodziło o te trzy wcześniejsze sprawy administracyjne. W sumie spędziłem w SIZO pięć miesięcy. Dopiero pod koniec maja odbył się proces. Oskarżono mnie o dziesięć „epizodów” naruszenia przepisów o zgromadzeniach masowych, polegających na publikowaniu zdjęć z lat od 2014 roku, na których widoczne były biało-czerwono-białe flagi. W ten sposób miałem naruszyć przepisy o zgromadzeniach masowych. Miałem przy tym całkowicie normalnego, kompetentnego adwokata. Pomogli obrońcy praw człowieka, wszystko opłacili. Ogólnie wsparcie było duże, solidarność była ogromna.

W areszcie śledczym były lepsze czy gorsze warunki niż w areszcie tymczasowym?

Lepsze niż w IWS. Spaliśmy na pryczach, a na noc gaszono światło. Jednak w SIZO miałem na przykład zakaz korespondencji. Listy ode mnie wychodziły, ale do mnie przepuszczano tylko listy od brata. Gdy byłem już w SIZO, mojego ojca pobito pod domem. To była zwyczajna napaść i tragiczne skutki, bez związku z moją sprawą. Zapadł w śpiączkę. Po 10 dniach mojego pobytu w SIZO zmarł.

Ilu ludzi było w celi?

Ośmiu. Zazwyczaj w celi był jeden polityczny albo dwóch. W większości byli tam ludzie skazani za drobne kradzieże. Byli też oskarżeni w sprawach o ciężkie uszkodzenie ciała, oszustwa, korupcję oraz z artykułów narkotykowych, którym groziło po 15–17 lat więzienia. W pewnym momencie, przez około dwa miesiące, w naszej celi był obywatel Łotwy. Przez miesiąc przebywał też obywatel Niemiec. Potem go wypuszczono i deportowano. Udzielił „Bildowi” wywiadu, w którym powiedział, że przez miesiąc był przetrzymywany w toalecie. Po prostu nie rozumiał, że tak wygląda cela na Białorusi.

W SIZO byłeś jakoś szczególnie traktowany?

Już po tygodniu przyznano mi tzw. dziesiąty profil ewidencyjny. Oznacza to, że chociaż nie byłem jeszcze skazany, to już zakwalifikowano mnie jako osobę „skłoną do działań ekstremistycznych i destrukcyjnych”. Ten profil ewidencyjny ciągnie się za tobą dalej i w kolonii oznacza pełen zestaw ograniczeń. Na przykład przy każdym meldunku musisz na końcu wypowiadać określoną formułę. Jest jednak pewien niuans: ja przez całe życie mówię po białorusku. I z tym były problemy. Miałem sprawę polityczną i jeszcze mówiłem po białorusku. Funkcjonariusze uważali to za prowokację z mojej strony. Reagowali agresywnie i próbowali mnie upokarzać z powodu języka.

Jak długo trwał sam proces?

Tylko dwa dni. Pierwszego dnia przed południem i następnego po południu. W sumie trzy–cztery godziny. Sprawa miała dwa tomy akt. Prokurator praktycznie nic nie mówił. To sędzia zadawał wszystkie pytania i próbował „łapać” mnie na jakichś nieścisłościach. Poprosiłem adwokata, żeby przyniósł mi wszystkie obowiązujące przepisy o zgromadzeniach masowych. I punkt po punkcie wykazałem na sali sądowej, że to, co mi zarzucano, w ogóle nie podpada pod działanie tej ustawy. W ustawie o zgromadzeniach masowych w żaden sposób nie są opisane „zgromadzenia w internecie”. Prawo dotyczy wyłącznie przestrzeni fizycznej i mówi, że wydarzenia można organizować od ósmej rano do dziesiątej wieczorem. A jak w internecie ustalić godzinę wydarzenia, skoro tam w ogóle nie istnieje tradycyjne pojęcie czasu? Oskarżenie stwierdzało, że naruszyłem prawo, bo nie miałem zgody na przeprowadzenie pikiet,

czyli... publikację zdjęcia. I że nie było zgody z administracji rejonu oktiabrskiego. Pytałem: dlaczego akurat z administracji rejonu oktiabrskiego?

Odpowiedź: bo tam jestem zameldowany. A ja w momencie publikacji zdjęcia mogłem być na przykład we Lwowie. I tu pojawia się pytanie: od kogo ja właściwie miałem uzyskać zgodę na publikację? W jaki sposób? Pod jurysdykcję jakiej administracji to w ogóle podpada? Może należałoby sprawdzić, gdzie stoją serwery danej sieci społecznościowej? W ten sposób, punkt po punkcie, wszystko w sądzie rozłożyłem. Ale sędzia i tak wydał wyrok skazujący. Skazano mnie na dwa lata kolonii karnej.

Co było po wyroku?

Bałem się, że trafię do kolonii w Nowopołocku. W tym miejscu panują fatalne warunki ekologiczne. Kolonia znajduje się między zakładem chemicznym a rafinerią ropy. Powietrze jest dramatycznie złe. Poza tym uważa się, że w kolonii w Nowopołocku najgorzej traktuje się więźniów politycznych. Przebywali tam przez jakiś czas Wiktar Babaryka i Ihar Łosik³. O ile wiem, przebywa tam Andrzej Poczobut⁴. Miejmy nadzieję, że już niedługo. Mnie jednak wysłano do Bobrujska. I jeszcze jedna rzecz: kiedy siedziałem w SIZO, miałem w sumie trzy widzenia, ale nie mogłem poinformować bliskich, dokąd mnie wyślą. Więźniom politycznym nie wolno tego robić.

Najpierw był transport z Witebska do kolonii?

Do Bobrujska jechaliśmy pociągiem, specjalnym wagonem więziennym – „stołypinką”.

Co myślałeś, kiedy jechałeś do kolonii, bałeś się?

Kiedy jedziesz do kolonii, nie ma czasu na rozmyślania. Czas do uprawomocnienia wyroku w SIZO poświęciłem na kupowanie zapasów i przygotowanie się do kolonii. Robisz zapasy żywności. W SIZO masz możliwość otrzymywania paczek do 30 kilogramów miesięcznie. I to bez limitu

³ Ihar Łosik (ur. 1992) – dziennikarz i bloger, współpracownik Radia Swaboda i administrator kanału „Białoruś mózgu”. W latach 2015–2016 otrzymywał stypendium im. Václava Havla dla dziennikarzy. Więzień polityczny w latach 2020–2025.

⁴ Andrzej Poczobut (ur. 1973) – białoruski dziennikarz i działacz zwalczanego przez reżim Związku Polaków na Białorusi. Wieloletni korespondent „Gazety Wyborczej”. Począwszy od 2011 roku, kilkakrotnie aresztowany i skazywany. W 2023 roku skazany na osiem lat kolonii karnej, uwolniony 28 kwietnia 2026 roku. Będąc więźniem, otrzymał m.in. Nagrodę im. Sérgio Vieira de Mello, wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka, oraz Nagrodę im. Andrieja Sacharowa.

ilościowego. Możesz też kupować produkty w sklepie SIZO. Kiedy już wiedziałem, że wyrok się uprawomocni, zrezygnowałem z apelacji. Miałem już wtedy poważne problemy z kręgosłupem. Od długiego siedzenia w SIZO pojawiły się u mnie cztery przepukliny międzykręgowe. Rozumiałem, że mogę po prostu przestać chodzić. Dlatego uznałem, że lepiej pojechać do kolonii, gdzie przynajmniej będę mógł się poruszać. W celi cztery na cztery metry nie da się chodzić. Bywały momenty, kiedy dostawałem podwójne dawki leków przeciwbólowych nawet trzy razy dziennie, tylko po to, żebym mógł normalnie oddychać.

Jakie były pierwsze dni w kolonii?

Po przyjeździe nowego więźnia czeka „kwarantanna”. To taki okres adaptacji. Na początku wypełnia się wszystkie dokumenty potrzebne do „życia” w kolonii. Tłumaczą ci, jak to wszystko będzie wyglądało, jakie są zasady. I tam zaczęły się wszystkie „przygody”. Byłem już skazany z artykułu ekstremistycznego, więc każde moje przemieszczanie odbywało się wyłącznie w kajdankach. Jeszcze w SIZO, gdy prowadzono mnie na spotkania z adwokatem albo na przesłuchania do śledczego, zawsze byłem w kajdankach. Uznano mnie za osobę niebezpieczną. I niemal zawsze osoby z artykułów politycznych już na etapie kwarantanny dostają swoje pierwsze „naruszenie”, czyli jakby punkty karne.

Za co?

Za nic. Na przykład dowódca oddziału udaje, że się z nim nie przywitałeś. Zaczynasz mu tłumaczyć, że się przywitałeś, czyli wchodzisz z nim w spór – uważasz, że dowódca oddziału kłamie. I już masz wpisane naruszenie.

Co dzieje się po kwarantannie?

W obecności naczelnika kolonii odbywa się formalny podział więźniów na oddziały. Trafiłem do Bobrujska pod koniec czerwca 2023 roku. W lipcu przeniesiono mnie do oddziału. W Bobrujsku było 25 oddziałów. To największa kolonia na Białorusi, około 2600 osadzonych. Spośród nich średnio od 150 do 220 to byli więźniowie polityczni. Te 25 oddziałów oznaczało, że w każdym oddziale było mniej więcej od siedmiu do dziesięciu więźniów politycznych. I to w ogóle nie pokrywa się z danymi, które publikują dziś organizacje praw człowieka. Kiedy wyszedłem z kolonii,

jedną z pierwszych rzeczy, którymi się zająłem, była pomoc w weryfikacji tych list. Wiele osób, z którymi rzeczywiście siedziałem, w ogóle nie figurowało w zestawieniach. Moim zdaniem więźniów politycznych jest więcej, niż podają media.

Czym różni się życie w areszcie śledczym od tego w kolonii karnej?

Jeśli w SIZO nie ma aż tak wielu kontaktów z administracją, to w kolonii jesteś z nią w stałej interakcji: z dowódcą oddziału, z kierownictwem kolonii.

Natychmiast zaczęły się poważne zarzuty z powodu mówienia po białorusku, co było uważane za demonstrację polityczną.

Naczelnik kolonii od razu mi powiedział, że będzie mi ciężko, bo mówię po białorusku. Zawsze tłumaczyłem to prosto: mówię po białorusku od dzieciństwa. Mam wykształcenie historyczne, uczyłem się w białoruskojęzycznej szkole, studiowałem na białoruskojęzycznym uniwersytecie. Dlatego naturalnie najłatwiej jest mi mówić po białorusku. Oczywiście potrafię mówić też po polsku, po ukraińsku, po angielsku i po rosyjsku, ale po rosyjsku nie chciałbym. I właśnie z tego powodu jeden z zastępców dowódcy oddziału, zastępca do spraw operacyjnych, czyli ten, który bezpośrednio zajmuje się więźniami politycznymi, po prostu mnie znienawidził. Za każdym razem, gdy mnie spotykał, publicznie mnie upokarzał przy innych osadzonych. Krzyczał, groził, obrażał mnie i język białoruski. Dwukrotnie właśnie z tego powodu wysyłał mnie do SZIZO.

*NACZELNIK ARRESZTU MÓWIŁ WPROST: JEŚLI NAPISZĘCIE SKARGĘ,
ONA I TAK DO MNIE WRÓCI DO SPRAWDZENIA.*

Co więcej, agresja z tego powodu pojawiała się także ze strony części osadzonych, którzy współpracują z administracją. Ci, którzy „pracują” dla administracji, potocznie nazywani są „kozłami”. Chodzi o to, że w kolonii funkcjonuje coś w rodzaju samorządu, bo jeden dowódca oddziału przypada na około stu więźniów i nie jest w stanie kontrolować wszystkiego. Ma do tego pomocników wśród więźniów. Dlatego istnieją funkcje wewnętrzne: gospodarz oddziału, starsi sekcji, osoby odpowiedzialne za różne zadania. I to dowódca oddziału albo nawet naczelnik kolonii wybiera tych ludzi spośród więźniów. To zwykli kryminaliści. Dla nich współpraca z administracją jest sposobem na ułatwienie sobie życia. Jeśli ktoś ma siedzieć 10 lat, to dzięki współpracy może liczyć na wcześniejsze

wyjście albo na lepsze warunki. Robią wszystko, żeby poprawić swoją sytuację kosztem innych osadzonych.

W jaki szczególny sposób traktowani są polityczni w kolonii karnej?

Często więźniów politycznych z „kwarantanny” wysyła się do oddziału, ale przez SZIZO, czyli karcer. Wymyśla się fikcyjne naruszenie, trafiają do karceru na 10 dni, a dopiero potem są przydzielani do oddziałów. Chodzi o to, by już na „dzień dobry” ich złamać i upokorzyć. Mnie akurat wysłano bezpośrednio do oddziału, ale i tak dostałem naruszenie. Odebrano mi, o ile pamiętam, widzenie. Choć trzeba powiedzieć, że więźniowie polityczni i tak prawie nigdy nie dostają widzeń. Krótkoterminowe zdarzają się rzadko i głównie wtedy, gdy ktoś ma dzieci.

Polityczni mają też żółte plakietki, prawda?

Wszyscy tam chodzą z przszytymi do drelichu plakietkami. Jeśli masz „profil”, a u mnie był dziesiąty, to masz plakietkę koloru żółtego. Jednak żółte plakietki to nie tylko oznaczenie politycznych, jak często się błędnie uważa. Żółta plakietka oznacza po prostu, że masz „profil”, a polityczny jest tylko dziesiąty. W sumie jest ich dziesięć: skłonność do samobójstwa, do agresji, do napaści na administrację, do ucieczki to są już czerwone oznaczenia i różne inne. W praktyce sprowadzało się to do tego, że podczas meldunku zawsze trzeba wygłosić długi raport, taki „rap” na minutę, i na końcu dodać, że jesteś objęty danym profilem. U mnie to była „skłonność do działań ekstremistycznych i innych...”. Nawet nie wiem, jak to dokładnie brzmi po rosyjsku, bo nauczyłem się tego po białorusku. Każdego dnia były trzy zbiórki – jedna rano i dwie wieczorem – a dla osób z profilem jeszcze dodatkowa obowiązkowa zbiórka o 11. To był kolejny pretekst, żeby znaleźć naruszenie. Coś nie tak w ubraniu, w wyglądzie. Trzeba było golić się codziennie, raz w tygodniu obowiązkowe strzyżenie. Jeśli komuś nie spodobało się, ile masz włosów na głowie, można było dostać naruszenie. U mnie w sumie uzbierało się dziesięć naruszeń.

Ile razy byłeś w karcerze?

Cztery razy. W kolonii w Bobrujsku spędziłem łącznie 16 miesięcy. Wytatuowałem sobie liczbę dni, które spędziłem w areszcie i w kolonii. Po to, żeby nie zapomnieć i nie wybaczyć. Nowy Rok 2023/2024 spędziłem w karcerze w piwnicy, w celi jednoosobowej. W sąsiedniej siedział Wiktar Babaryka.

Pierwszy raz trafiłem do karceru za to, że zebrała się u nas grupa czterech więźniów politycznych. Po prostu piliśmy herbatę i graliśmy w szachy. Dali mi 10 dni, potem dołożyli jeszcze osiem.

Jak wygląda pobyt w karnym izolatorze?

To czysta tortura. Wilgotne pomieszczenie z lodowatymi ścianami. O ile na pierwszym piętrze podłoga jest drewniana, o tyle w piwnicy jest już wyłożona płytkami ceramicznymi. Zimą da się to jakoś wytrzymać, ale w okresach przejściowych, na przykład pod koniec listopada czy w grudniu, kiedy ogrzewanie jeszcze nie działa, albo w marcu i kwietniu, kiedy już je wyłączają, to jest koszmar. Pobudka o piątej rano, cisza nocna o dziewiątej wieczorem. Nie ma radia, książek, niczego. Nie wolno mieć przy sobie niczego poza szczoteczką do zębów, mydłem i papierem toaletowym. Prysznic – raz w tygodniu. Spać w zasadzie nie można. Nawet nie wolno siedzieć na podłodze. Nie ma tam łóżek. Są metalowe konstrukcje przymocowane do ściany. Przed ciszą nocną dostajesz klucz, opuszczasz tę konstrukcję i to jest po prostu drewniana półka mniej więcej dwóch metrów długości. Bez poduszki, bez materaca, bez czegokolwiek. O piątej rano, gdy jest pobudka, znowu dostajesz klucz i musisz tę półkę złożyć. I cały dzień znajdujesz się w celi o wymiarach mniej więcej dwa na dwa i pół metra. W środku jest toaleta, nad nią umywalka, metalowy stół i dwie małe metalowe ławki. Są potwornie zimne, można sobie coś odmrozić. Nie wolno się na takiej ławce położyć. W nocy nie da się normalnie spać. Wielokrotnie budzisz się z zimna. Żeby się choć trochę ogrzać, zaczynasz robić jakieś ćwiczenia fizyczne, rozgrzewkę, wtedy na chwilę robi się cieplej, zasypiasz... I tak może być 10, a nawet 20 razy w ciągu jednej nocy.

W takiej celi byłeś sam?

Niby jest to cela na cztery osoby, ale nawet dla dwóch jest bardzo mało miejsca. Najczęściej siedziały tam dwie albo trzy. Przez te cztery pobyty w karcerze byłem w trzech różnych celach. Dwa razy były to cele „czterooosobowe”, gdzie było nas dwóch albo trzech. Teraz zresztą czekam na wyjście na wolność jednego z moich towarzyszy – współosadzonego Andreja Lubieckiego, białoruskiego chirurga szczękowego, wspaniałego człowieka. Miał wyjść tydzień temu, ale nie ma żadnych informacji, by wyszedł. Najprawdopodobniej dołożyli mu jeszcze pół roku albo rok. W Nowy Rok cela była formalnie dwuosobowa, ale siedziałem w niej sam, bo tak

naprawdę nie było tam miejsca nawet dla jednego człowieka. To była cela o wymiarach dwa na jeden metr, czyli dosłownie dwa metry kwadratowe.

Więzień jest cały czas nadzorowany w karcerze?

W celach są kamery, które nagrywają nie tylko obraz, ale też dźwięk. Kamera bywa skierowana bezpośrednio na toaletę. To skrajne upokorzenie. Poza kamerami jest jeszcze wizjer w drzwiach. Strażnicy chodzą po korytarzu. Jeśli tylko zaśniesz, od razu mogą wpisać ci kolejne naruszenie.

Gdy kończył się mój pierwszy karcer, wszedł funkcjonariusz i pyta: „Jak tam?”. Złożyłem meldunek po białorusku i dorzucono mi jeszcze 10 dni za mówienie po białorusku. Ostatecznie zamiast mnie przypisali ten areszt Andrejowi Lubieckiemu. Byliśmy w absolutnym szoku. Powiedziałem: „Przecież to było moje naruszenie”. A oficer na to: „Nic nie wiem, w dokumentach jest napisane, że to jego”. I tyle. To był koszmar. Sytuacja była kompletnie absurda.

Celowe wywieranie pewnej presji psychologicznej.

Nieraz tak robili. Ten sam oficer kazał mi położyć się na ławce. Powiedział, że jeśli się sprzeciwię, zostanie to uznane za opór. Położyłem się, a on natychmiast podał mi kartkę i kazał pisać wyjaśnienie, dlaczego leżałem na ławce. W rezultacie dorzucili mi osiem dni za naruszenie regulaminu. Ludzie często tam wariują. Zdarzało się, że dawano komuś 50 dni. Ale nie jednorazowo. Dają 10 dni, czekasz na wyjście, a w ostatniej godzinie dorzucają kolejne 10. Znowu czekasz i dostajesz następne. Dziesięć, dziesięć, dziesięć, dziesięć... Byli ludzie, którzy wychodzili po 120 dniach, a ich psychika była już złamana. Ludzki mózg nie wytrzymuje takiego traktowania. Pamiętam własne odczucia, gdy po raz pierwszy przedłużono mi karcer. To był mój pierwszy raz, jeszcze nie rozumiałem, jak to działa. Miałem 10 dni, a potem dorzucono mi jeszcze osiem. Ogromny szok. Ale wiedziałem, że to tylko osiem i że potem mnie wypuszczą, bo gdyby chcieli dalej ciągnąć, dawaliby po 10 dni za każdym razem. No i karcer stosują często na koniec wyroku. Dla wywołania amnezji.

Jak to?

Okolo 90 procent więźniów politycznych wychodzi na wolność nie z oddziału, ale właśnie z karceru. Średnio na dwa tygodnie przed końcem wyroku zamykają ich właśnie w karcerze. Po co to robią? Żartowaliśmy,

że po to, abys schudł przed wyjściem. Robią to jednak po to, żebyś nie wyniósł żadnych informacji na wolność. Ludzie, którzy wiedzą, że wychodzisz, proszą: zadzwoń do żony, przekaż to, przekaż tamto. A kiedy siedzisz w SZIZO, wszystko ci się zaciera, nie jesteś w stanie wszystkiego zapamiętać ani przekazać.

Brzmi absurdalnie, ale chyba chodzi cały czas o złamanie człowieka?

Cały system funkcjonowania kolonii działa w ten sposób, niezależnie od tego, czy jest to obóz z obowiązkiem pracy, klasyczna kolonia karna, czy więzienie o zaostrzonym rygorze. Wszędzie próbuje się więźniów politycznych upokorzyć, maksymalnie ograniczyć ich swobodę, znaleźć pretekst do wpisania naruszenia i odebrania za karę paczki. Stale szuka się pretekstu, by nadać osadzonemu status „złośliwego naruszającego reżim”.

Co spotyka „złośliwego naruszającego”?

Gdy trafiasz do kolonii, masz prawo dwa albo trzy razy w miesiącu wraz z oddziałem pójść do więziennego sklepu i coś kupić. Oczywiście jeśli masz pieniądze na koncie. Na początku masz limit sześciu „bazowych jednostek”. W moim czasie było to około 240 rubli, czyli mniej więcej 75–80 dolarów miesięcznie. Oprócz tego raz na trzy miesiące możesz dostać paczkę do 50 kilogramów. Ale wystarczy, że masz dwa naruszenia albo trafisz do SZIZO i automatycznie stajesz się „złośliwym naruszcicielem reżimu”. Wtedy limit spada z sześciu do dwóch jednostek bazowych, czyli do około 25 dolarów miesięcznie. A sklep był dla nas naprawdę ważny, bo tylko tam można było kupić świeże produkty mleczne. Jedzenie w kolonii było bardzo niskiej jakości i odbijało się to na zdrowiu. W czasie pobytu w kolonii z powodu fatalnej diety straciłem cztery zęby. Albo same wypadły, albo trzeba było je wyrwać już po wyjściu. Brakowało wapnia, nie było dostępu do świeżej żywności, warzyw, owoców. Paczki dostawałem zawsze maksymalne i dokładnie takie, o jakie prosiłem, bo listy ode mnie wychodziły, choć te pisane do mnie często odsyłano. W pewnym momencie powiedziałem już wszystkim bliskim, że nie ma sensu pisać. Cztery razy w miesiącu mogliśmy zadzwonić przez połączenie audio albo wideo do najbliższych krewnych wpisanych w dokumenty sprawy. Miałem kontakt z bratem i z mamą, dzwoniłem do nich regularnie i przekazywałem, co jest mi potrzebne w paczkach.

Wszystko po to, żeby przetrwać...

Jedną z najtrudniejszych rzeczy w kolonii jest choroba, bo dostęp do opieki medycznej jest tam ograniczony. Jeśli to nowotwór, zapalenie wątroby, cukrzyca czy inne ciężkie schorzenia, zapewniają leczenie. Ale jeśli boli cię ząb, to jest tragedia. U mnie odsłonił się nerw w zębie i przez tydzień nie mogłem dostać się do stomatologa. Chodziłem z potwornym bólem i wymieniałem papierosy na tabletki przeciwbólowe. Potem doszły problemy z kręgosłupem. Przez tydzień chodziłem skrzywiony. Dali mi zwolnienie z pracy na dwa dni, bo praca w kolonii jest obowiązkowa, ale jednocześnie nie pozwolili mi normalnie odpoczywać. Nie mogłem siedzieć, stać cały czas też się nie da, a w ciągu dnia nie wolno leżeć na pryczy. Prosiłem o tryb łóżkowy, ale mi go nie przyznali, tylko dlatego, że byłem politycznym. Generalnie każdy, kto tam trafia, szuka sposobu, żeby przetrwać ten czas. Jedni próbują ćwiczyć. Ja poszedłem w książki – przez niecałe dwa lata przeczytałem około trzystu.

Skąd brałeś książki?

Raz w tygodniu można było iść do biblioteki i wziąć trzy książki. Była też możliwość zapoznania się z prasą. Na to przysługiwała godzina tygodniowo. Oczywiście była to wyłącznie prasa państwowa – „Sowiecka Biełorussija” itp. W zasadzie jedyne, co dało się z niej wyczytać, to kogo jeszcze skazano. Czasem między wierszami dało się coś zrozumieć. No i „Pressball”, gazeta sportowa.

Sama biblioteka była całkiem niezła, ale od momentu, kiedy przyjechałem, warunki w kolonii z miesiąca na miesiąc się pogarszały. Było coraz więcej ograniczeń. Dla politycznych praktycznie wszystko było zakazane. Zwykli kryminalni mogli grać w piłkę, chodzić na siłownię, uczestniczyć w różnych zajęciach: bilard, szachy, koła zainteresowań. Naiwnie myślałem, że skoro jestem muzykiem, to może będę mógł chodzić do klubu i grać na perkusji. Oczywiście było to absolutnie wykluczone.

Co złego byłoby w grze na perkusji?

Nie wiem. Dowiedziałem się, że w klubie jest zepsuty akordeon, a ponieważ uczyłem się grać na akordeonie i nawet potrafię naprawiać te instrumenty, zaproponowałem muzykom, że go sprawdzę. Mówię: „Dajcie, zobaczę, może uda się naprawić, będziecie mieli instrument”. Ale kiedy

dowiedzieli się, że jestem politycznym, powiedzieli: „Nie, lepiej niech leży zepsuty”. Bo z politycznym nie wolno się komunikować.

Jak zorganizowane było życie w kolonii? Czy była jakaś swoboda kontaktów między więźniami?

Mniej więcej raz na dwa-trzy tygodnie pojawiał się główny operacyjny korpusu. Korpus to zwykle trzy piętra i kilka oddziałów, a w każdym oddziale około stu osób. Główny operacyjny to najbardziej przerażająca postać. Cała kolonia jest podzielona na strefy lokalne: w jednej może być jeden oddział, w innej cztery czy pięć. Różnie. Mój przyjaciel Paweł Mażejka był w innej strefie. Mogliśmy się spotykać tylko poza nimi, na przykład podczas pracy. Praca była obowiązkowa cztery dni w tygodniu. Trzy dni nam się pokrywały i wtedy mogliśmy przez 10-15 minut porozmawiać po pracy, wymienić się jakimiś wiadomościami. To było jednak niebezpieczne. Chodziliśmy tą samą trasą, żeby móc chwilę porozmawiać, albo próbowaliśmy iść do palarni, gdzie nie było kamer, ale nawet tam nie było pełnego bezpieczeństwa. Wszędzie kamery, wszędzie ryzyko. Każdego dnia funkcjonujesz jak w jakiejś grze komputerowej, próbując unikać wszystkich możliwych pułapek i prowokacji.

Mówisz o pracy. Co robiliście?

Naszym zadaniem było rozbieranie starych opon. Wyrwanie z nich gumy i drutów. Tę gumę, która zostawała, trzeba było zbierać na kilogramy. Ona strasznie śmierdzi. W takich warunkach powinniśmy mieć dwa komplety ubrań. Skąd wziąć drugi? To już twoja sprawa. Zwykle pomagają ziomkowie z tego samego regionu albo inni polityczni. Do pracy przebierałem się w najgorsze, robocze ubrania. Wracałem cały przesiąknięty smrodem potu i gumy. Prysznic jest raz w tygodniu. Więzień ma tylko wiadro i grzałkę do wody. Grzałka to jest w ogóle najważniejsza rzecz w kolonii. Wracasz i od razu zagotowujesz wodę, aby się umyć. Przy umywalkach formalnie nie wolno przebywać bez ubrania, bo grozi za to wpis o naruszeniu regulaminu. Najczęściej jednak nikt na to nie zwracał uwagi.

W zwykłych celach są kamery, inwigilacja?

Nie. Kamery stoją na terenie stref lokalnych. I jeśli na przykład zapalisz papierosa w niedozwolonym miejscu, mogą wpisać ci naruszenie. Dowiesz się o tym dopiero później z dokumentów. Oni po prostu robią

zrzut ekranu z kamery i to wystarcza. Kamery są w korytarzach i przy wejściach do sekcji.

Ponadto tam nie mieszka się w celach. Żyliśmy raczej w czymś w rodzaju robotniczego internatu. Mi to się kojarzyło z pionierskim obozem, tyle że dla dorosłych. To są duże pomieszczenia. Byłem w 11. i 12. oddziale. Taki oddział ma wejście, system korytarzowy i wzdłuż tego korytarza znajduje się siedem, osiem albo dziewięć sekcji. W jednej sekcji może mieszkać od czterech do nawet trzydziestu osób. Jeśli współpracujesz z administracją, masz szansę na pokój mniej obsadzony. Na przykład główny gospodarz oddziału, czyli najważniejszy więzień funkcyjny, mieszka w pokoju czteroosobowym. Ja – jako polityczny – mieszkałem w pokoju trzydziestoosobowym. Polityczni zawsze spali na górnych pryczach, bo łóżka są piętrowe. Jest też osobne pomieszczenie, tzw. PWR, pomieszczenie pracy wychowawczej. Tam są ekran, głośniki, czasem można obejrzeć film.

Mam wrażenie, że zacząłeś tu dostrzegać jakieś pozytywne strony kolonii...

Pod względem bytowym warunki w kolonii były w miarę przyzwoite. Publikacje w mediach, zarówno białoruskich, jak i zagranicznych, przedstawiają białoruskie więzienia wyłącznie w czarnych barwach. Absolutnie nie chcę usprawiedliwiać czegokolwiek. Szukanie pozytywów może rodzić naturalne podejrzenia, ale trzeba pamiętać, że to wszystko czytają nie tylko „zwykli” odbiorcy, lecz także rodziny więźniów: matki, żony, siostry, ojcowie. Oni często wyobrażają sobie, że ich bliscy są poddawani nieprzerwanym torturom, że siedzą tam 24 godziny na dobę w lodowatej celi. Oczywiście, ten system jest okropny, ale jeśli spojrzeć realnie, to 70–80 procent twojego czasu to zwykła walka o przetrwanie. I trawienie czasu. Oczywiście nie licząc karceru. Chodzisz gdzieś, coś robisz, pracujesz. Praca jest obowiązkowa. U nas była osobna strefa przemysłowa, ale politycznych tam nie wpuszczano. Mogli tam pracować tylko kryminalni. Tam były tartak i szwalnia odzieży roboczej. Były też obowiązkowe dyżury robocze. Raz na miesiąc albo raz na dwa miesiące wysyłano na taką strefę. To był moment upokorzenia, bo zwykle wysyłano właśnie politycznych. Polityczni musieli chodzić na te obowiązkowe roboty. Przygotowywaliśmy do załadunku i przenosiliśmy z jednego pomieszczenia do drugiego duże skrzynie na amunicję. W kolonii produkowano skrzynie na pociski, które potem trafiały do Rosji. De facto uczestniczyliśmy we wspieraniu rosyjskiej agresji i nie mieliśmy możliwości odmowy.

To ciężka sytuacja, bo albo robisz coś wbrew sobie, albo narażasz się na dodatkowe cierpienia.

Teoretycznie możesz odmówić, ale wtedy trafiasz do karceru, siedzisz miesiącami w izolacji, potem mogą cię przenieść do więzienia i jeszcze dołożyć rok albo dwa do wyroku. Byli ludzie, którzy próbowali walczyć z tym systemem „głową”, iść na konfrontację, ale moim zdaniem to droga donikąd. Najłagodniejsze, co może cię spotkać, to dodatkowy rok czy dwa, ale w praktyce możesz tam po prostu zostać na zawsze. Możesz tam umrzeć. Moim zdaniem każde ludzkie życie jest ważniejsze niż jakiegokolwiek symbole czy gesty. Niestety jesteś zmuszony przejść przez to upokorzenie, żeby po prostu przeżyć.

Jak wyglądały relacje z innymi więźniami?

Wszystko zależy od człowieka. Jeśli jesteś w miarę normalnym, rozsądnym człowiekiem, to nie odczuwasz jakiegoś ostrego podziału. Śmialiśmy się, że są trzy rzeczy, które robią z ciebie dobrego towarzysza niedoli: jeśli potrafisz załatwić wrzątek, jeśli dobrze grasz w szachy i jeśli potrafisz normalnie rozmawiać. To bardzo upraszcza życie. I paradoksalnie najlepiej wykształconymi, najbardziej adekwatnymi ludźmi w kolonii byli polityczni i narkomani. To byli, można powiedzieć, najnormalniejsi ludzie.

W CELACH SĄ KAMERY, KTÓRE NAGRYWAJĄ NIE TYLKO OBRAZ, ALE TEŻ DŹWIĘK. KAMERA BYWA SKIEROWANA BEZPOŚREDNIO NA TOALETĘ. TO SKRAJNE UPOKORZENIE.

Byli też więźniowie, o których nic nie wiedziałem. Czy można im coś powiedzieć, czy lepiej nie? To też jest kwestia relacji z innymi osadzonymi. Zawsze trzeba było mieć się na baczności, być czujnym, bo wielu ludzi dorabiało na współpracy z administracją i mogło donieść. Mieliśmy takie sytuacje albo wręcz celowo podstawiano takiego, aby donosił.

Z powodu ogromnego obciążenia psychicznego i systemowej dyskryminacji także politycznym puszczały nerwy i chcieli się wyżyć na innych. Miałem na przykład dobre relacje z jednym chłopakiem z oddziału, ale ponieważ wielokrotnie zamykano go na długie okresy w karcerze, zaczął mieć poważne problemy psychiczne. To wyglądało źle, ale jednocześnie istniała tam ogromna solidarność między osadzonymi.

Tak, bez tej solidarności między osadzonymi ciężko byłoby przetrwać.

Czy zdarzały się może nie tyle gesty solidarności, bo to za duże słowo, ile jakiegokolwiek ludzkie odruchy ze strony strażników? Czy byli wśród nich porządni ludzie?

Takich ludzi system już dawno wypłuł. W wojskach wewnętrznych, które obsługują kolonie i areszty śledcze, dawno już pozbyto się wszelkich moralnych hamulców. To nie są zwykli milicjanci, to osobne formacje pracujące w SIZO i koloniach. Oni nawet nie zastanawiają się nad moralnością swoich działań.

Ci, którzy teraz tam pracują, poza służbą mogą być wspaniałymi osobami: kochającymi ojcami, dobrymi ludźmi. Często w jakichś nieformalnych, prywatnych momentach potrafili to pokazać. Na przykład jeden z głównych kontrolerów kolonii za każdym razem, gdy formalizował mój pobyt w karcerze, opowiadał mi, że jest Rosjaninem, ale wieczorami czyta swojej córce książki po białorusku. Było dla niego ważne, żeby to powiedzieć. Jednocześnie pozostawał człowiekiem, który mnie wysyłał do karceru i przy pierwszej okazji użyłby wobec mnie siły fizycznej.

Najwyżej zasłoniłby się rozkazem. „Kazali mi to zrobić, więc to robię”. Za każdym razem, gdy wysyłali mnie do SZIZO, wzywał mnie wychowawca oddziału i mówił, że przyszedł rozkaz, żeby mnie tam zamknąć. „No to wymyślmy, jakie naruszenie popełniłeś”. On stale powtarzał: „Zrozum, ja nic nie mogę zrobić. Nic. Jest rozkaz. Przecież sam wszystko doskonale rozumiesz”. I to u nich działa jak instrukcja. Bo na każdym poziomie, również tym najniższym, wychowawca oddziału jest przedstawicielem administracji, podlega naczelnikowi kolonii. Wszyscy będą mówić: „To nie moja decyzja, to był rozkaz”. I w ten sposób zrzucają odpowiedzialność za bezprawne działania na kogoś wyżej.

Nie zawahają się, nawet jeśli wiedzą, że rozkaz jest bezprawny, niemoralny, nieludzki?

Nie. Mają możliwość niewykonania bezprawnego rozkazu, ale niestety część funkcjonariuszy wykonuje takie rozkazy z premedytacją. Łamią przepisy, celowo upokarzają więźniów – zwłaszcza politycznych. Część funkcjonariuszy robi różne bestialstwa umyślnie. Ich motywacje są niejasne, poza jakąś chorą potrzebą sadyzmu albo władzy. Spotykałem się z tym zarówno w SIZO, jak i w areszcie tymczasowym. Jedni mówią po prostu: „To moja praca. Mam chronić praworządnych obywateli przed przestępcami. Wy jesteście przestępcami. Skoro sąd skazał, to znaczy, że

wszystko jest w porządku”. A inni robią to z premedytacją i czerpią z tego satysfakcję.

Widziałeś taką satysfakcję? Takie nadmiarowe wykorzystywanie pozycji strażników?

Zarówno w SIZO, jak i w kolonii istnieje coś takiego jak „szmon”, czyli nagła rewizja, podczas której sprawdzają wszystkie rzeczy. Ten, kto przychodzi na taką kontrolę, może to zrobić normalnie: spojrzeć, podnieść książki, coś przejrzeć, ale może też po prostu wszystko wyrzucić, rozrzucić, przewrócić do góry nogami. Spotykałem się właśnie z takim wariantem. Co więcej, jeśli w celi siedzą kryminalni i polityczni, to politycznym wszystko zostanie brutalnie przewrócone, a kryminalnym sprawdzają rzeczy spokojnie. A czasem bywa odwrotnie. Próbowaliśmy znaleźć w tym jakąś logikę i doszliśmy do wniosku, że nie ma tam żadnej logiki ani żadnej centralnej instrukcji, jak dokładnie mają działać, poza ogólnymi służbowymi zaleceniami. W tym sensie funkcjonariusze mają pełną swobodę represyjnych działań w ramach systemu, bo wiedzą, że każde ich zachowanie będzie chronione.

Oczywiście, jeśli dochodzi do krytycznych sytuacji, jak śmierć czy kalectwo, mogą się pojawić jakieś kontrole wewnętrzne. W naszej kolonii co miesiąc pojawiali się kontrolerzy z Departamentu Wykonania Kar. Coś sprawdzali, coś oglądali. Gdyby jednak więzień na coś im się poskarżył, to kontrola odjedzie, a on zostanie... Dlatego nawet jeśli coś ci się nie podoba, nie masz realnej możliwości sprzeciwu. Gdy byłem w areszcie tymczasowym, skarżyłem się na wszystko. Miałem już wysoki „profil”, więc się tego nie bałem. Ale i tak nie miało to żadnego sensu. Naczelnik aresztu mówił wprost: jeśli napiszecie skargę, ona i tak do mnie wróci do sprawdzenia.

Doświadczyłeś przemocy fizycznej ze strony strażników?

Nie, ale znam ludzi, wobec których stosowano przemoc fizyczną. W ostatnich 15 dniach, które spędziłem w SZIZO przed wyjściem na wolność, w podziemiach przez dwa dni kontrolerzy przychodzili do jednego z politycznych i przez kilka godzin dziennie z nim „rozmawiali”. Nie wiem, z czym to było związane, ale był to jeden z tych faktów, które się zapamiętuje. Tego dnia z bobrujskiej kolonii wychodziło trzech politycznych. Byłem w karcerze na pierwszym piętrze. W zasadzie tortury odbywają się

głównie w karcerze. Jeden z kolegów, który był w tzw. średnim oddziale, siedział w podziemiach. To człowiek godny zaufania, bez żadnych wątpliwości, i opowiadał mi, że w tej środkowej celi nie mógł spać. Bili kogoś tak strasznie, że nie dało się tego wytrzymać.

A sam moment wyjścia na wolność – jak to wyglądało? Pamiętasz to uczucie? Po prostu się obudziłeś i wyszedłeś?

Obudziłem się, wiedziałem, że to już ten dzień. To była sobota. Kiedy we wtorek powiedzieli mi, że w środę idę już do karceru, przed ostatecznym wyjściem na wolność, to we wtorek rozdałem wszystkie swoje rzeczy, które przez półtora roku tam nazbierałem: czajnik, jakieś miski.

Nie obyło się jednak bez nerwów. Dziesiąte naruszenie regulaminu dostałem dzień przed wyjściem. Wychodziłem w sobotę, a w piątek rano przyszedł naczelnik oddziału ze zrzutem z kamery – widać, że śpię oparty o stół. Mówi: „Naruszenie”. Pytam: „Po co mi naruszenie? Jutro wychodzę”. A on: „No trzeba”. Podpisałem, bo faktycznie spałem, widać to było, nie było sensu się spierać. Zaraz potem zaczęły się myśli. Jest przecież artykuł 411, czyli uporczywe, złośliwe naruszanie regulaminu. Można wtedy wszcząć nowe postępowanie, przyjeżdża sąd i mogą dorzucić pół roku, rok, dwa, przenieść na ostrzejszy reżim. A ja miałem już dziesiąte naruszenie. Zaczęło mi to krążyć po głowie. Z jednej strony myślałem: nie zdążą, to tylko jeden dzień. Z drugiej zaś znałem historie, jak ta ze Zmicierem Daszkiewiczem⁵ – wypuścili go, a zaraz przy bramie kolonii ponownie zatrzymali i znów osadzili.

Straszna udręka ostatniego dnia.

Wiedziałem, że rodzina już po mnie jedzie, że wszystko jest przygotowane. Rano się obudziłem i nie pozwolili mi wejść na oddział, wszystkie moje rzeczy były już na punkcie przepustek. Około ósmej czy dziewiątej przyszedł po mnie kontroler. Przebrałem się w karcerze w inny uniform: z tarczą na plecach. Nie żartuję, był tam narysowany celownik. Dlaczego? Żeby strzelać, jakbyś uciekał, by łatwiej trafić i zabić – taka logika. Chociaż wszystko jest zamknięte, kraty podwójne, nie ma dokąd

⁵ Dymitryj Daszkiewicz (ur. 1981) – od 2001 roku działacz narodowo-chrześcijańskiej organizacji Młody Front, której przewodniczącym został w 2004 roku. Po raz pierwszy skazany w 2006 roku na półtora roku. Od tej pory wielokrotnie zatrzymywany. W 2011 roku skazany na dwa lata. W 2022 roku skazany na ponad rok, po czym wszczęto przeciw niemu kolejną sprawę i znowu skazano. We wrześniu 2025 roku deportowany z Białorusi.

uciekać. No, niewesołe to było. Tego dnia formalnie byłem już wolnym człowiekiem. Na terenie kolonii mogłem chodzić bez czapki, palić, gdzie chcę. Nic już nie mogli mi zrobić poza tym, że mogli mnie przetrzymać do piątej. I nawet stosunek funkcjonariusza, który mnie wyprowadzał, był zupełnie inny. Już nie patrzył na mnie jak na politycznego. Szliśmy i normalnie rozmawialiśmy. Prowadził mnie dyżurny kolonii, taki „Borysycz”, tak go wszyscy nazywali. I w pewnym momencie on mówi: „A co, Bulowski, jesteś historykiem?”. Mówię: „No tak, studiowałem”. A on: „Historia społeczno-polityczna, Maksim Tank? Ja też jestem historykiem”. Pytam: „Gdzie pan studiował?”. I nagle masz wrażenie, jakbyście byli po prostu znajomymi. To było nieprzyjemne, bo niełatwo jest w tym strażniku dojrzeć po prostu człowieka. A jednocześnie on zachowywał się tak, jakbyśmy szli na luźną, niezobowiązującą rozmowę.

Doskonały przykład maski, jaką zakładają funkcjonariusze, słudzy reżimu, a potem pewnie już sami się w tym gubią. Co jeszcze zapamiętałeś z ostatnich chwil w kolonii?

Przez kilka godzin czekałem na punkcie przepustek, aż sformalizują wszystkie dokumenty. Tam mogłem się przebrać w moje rzeczy. Z kolonii zabrałem jedynie zestaw ubrań: watowana kurtka, taki „gliwft”, oni to tak nazywają. Mam to teraz w domu. Kiedyś to pójdzie do muzeum. Bieliznę termiczną, którą tam wydawali, nosiłem już na wolności. Była po prostu wygodna, funkcjonalna.

Władze kolonii pożegnały cię w jakiś szczególny sposób?

Przy wypuszczeniu wydali mi zaświadczenie o zwolnieniu i 80 rubli białoruskich, czyli jakieś 25–27 dolarów. Mniej więcej miesiąc przed wyjściem można złożyć wniosek o zapomogę materialną. Wielu politycznych uważa to za jałmużnę i mówi: „Nie będziemy tego brać”. A ja mówiłem: „Zapłacą mi! Państwo i tak będzie mi musiało kiedyś wypłacić odszkodowanie za bezprawny wyrok. Niech więc zaczynają już teraz, choćby od tych 80 rubli. Odliczę to od odszkodowania”. Opłacili mi też najtańszy bilet do Witebska. Oddałem go innemu więźniowi, który jechał na dworzec, bo po mnie krewni przyjechali samochodem. No i właściwie tyle. Prowadzą cię do wyjścia, formalności, podpisy, oddają wszystkie rzeczy wartościowe: paszport, telefon i tak dalej. I po prostu wychodzisz.

I jakie to uczucie, pierwsze chwile na wolności?

Wszystko jak we mgle. Przez pierwsze kilka godzin w ogóle nie rozumiałem, co się dzieje. Odjechaliśmy jakieś 50 kilometrów od Bobrujska i poprosiłem, żebyśmy się zatrzymali w lesie. Wszedłem jakieś sto metrów w głąb lasu i przez dziesięć minut po prostu krzyczałem. To jakoś spuściło całe to napięcie. Z boku mogło to wyglądać jak szaleństwo, ale kompletnie mnie to nie obchodziło. Potem wróciłem do Witebska. W ciągu trzech dni od wyjścia musiałem zgłosić się do najbliższego posterunku milicji i wpisać do ewidencji. I od tego momentu były więzień na Białorusi żyje z absolutnie koszmarnym statusem.

Jest wykluczony ze społeczeństwa?

Wyszedłem 2 listopada 2024 roku i przez siedem miesięcy nadal mieszkałem na Białorusi. Dopiero 30 maja 2025 roku przeprowadziłem się do Warszawy. Jeszcze po rozprawie pozwoliłem sobie na gorzki żart w ostatnim słowie. Powiedziałem wtedy: bardzo chcieliście, żebym wyjechał z kraju. Dlatego ciągle mnie zatrzymywaliście na doby i cały czas mówiliście, żebym wyjechał. Ale w efekcie skazaliście mnie teraz na dwa lata. I tak naprawdę to ja wygrałem, bo zostaję w kraju.

Po więzieniu nadal nie chciałem wyjeżdżać z Białorusi. Gdybym mógł chociaż minimalnie zarabiać zgodnie z moją profesją, to najpewniej zostałbym nawet ze statusem, który miałem.

Jaki to był status?

„Ekstremista”. Oznacza on, że po wyjściu na wolność przez dwa lata trwa „wygaszanie wyroku” i przez ten czas wciąż jesteś osobą karaną. Dopiero po dwóch latach wyrok uznaje się za wygaszony. Ale to nie koniec. Jeszcze przez pięć lat po wygaszeniu wyroku pozostajesz w państwowym rejestrze ekstremistów. Czyli w sumie siedem lat po wyjściu z więzienia figurujesz na tej liście.

Co to oznacza w praktyce?

Cały pakiet ograniczeń. Przez dwa lata musisz co tydzień stawiać się na komisariacie u swojego inspektora. I za każdym razem, gdy tam idziesz, nie wiesz, czy z tego komisariatu wyjdiesz, czy nie. W każdej chwili mogą sporządzić protokół i skierować sprawę do sądu. Jeśli uznają, że „regularnie naruszasz zasady”, to mogą zaostriżyć reżim, ograniczyć twoje

prawa i wyznaczyć bardziej restrykcyjną formę kontroli. Jest jeszcze coś takiego jak nadzór prewencyjny. Ludzie, którzy byli skazani na ponad trzy lata za ciężkie albo szczególnie ciężkie przestępstwa polityczne, po wyjściu często dostają rok, półtora albo dwa lata takiego nadzoru. W praktyce to jest areszt domowy. Oznacza ograniczenie poruszania się po mieście i godzinowe restrykcje: od 22.00 musisz być w domu, a wyjść możesz dopiero rano. Nie możesz wyjeżdżać poza miasto. Nie wolno ci także w ogóle spożywać alkoholu.

Jak to jest egzekwowane?

Mogą przyjść w każdej chwili na kontrolę. Z drugiej strony dozór ten oznaczał, że musiałem raz w tygodniu stawiać się u inspektora i informować, jeśli zmieniałem miejsce zamieszkania. I w zasadzie tyle. Raz w miesiącu trzeba było jeszcze chodzić na tzw. wykłady profilaktyczne. Po prostu przychodziłeś, podpisywałeś listę i wychodziłeś. Cały ten system jest zbudowany na formalnościach. Co ciekawe, nie miałem wyznaczonego konkretnego dnia tygodnia, w którym musiałem się meldować. Przykładowo mogłem pójść do inspektora w poniedziałek, bo sam tak zdecydowałem, a w następnym tygodniu pójść dopiero w piątek.

Co z pracą? Musiałeś przecież z czegoś żyć.

Prokurator obwodu witebskiego postanowił, że wszyscy zwolnieni muszą w stu procentach podjąć pracę. Pierwsze jednak, czym się zająłem po wyjściu, było moje zdrowie. Od razu powiedziałem inspektorowi: nie próbujcie mnie nigdzie zatrudniać. Przez cztery, pięć miesięcy będę zajmował się wyłącznie leczeniem. Musiałem wyleczyć kręgosłup, zrobić operację, zająć się zębami.

Mniej więcej od lutego 2025 roku zaczęli mnie jednak wzywać na komisję do spraw zatrudnienia i naciskać, żebym znalazł pracę. Problem w tym, że jeśli jesteś na liście ekstremistów, to masz ograniczone możliwości zawodowe. Nie mogę zajmować się działalnością pedagogiczną, choć mam dyplom nauczyciela historii. Nie mogę prowadzić działalności wydawniczej, nie mogę też organizować imprez masowych. A do tego pod koniec 2021 roku zlikwidowano moją działalność gospodarczą, bo przestałem płacić podatki i składki. Zastosowano procedurę bankructwa. Przez pięć lat od tej daty nie mogę założyć firmy.

Chodzi o to, żeby władza wiedziała, gdzie jesteś, i miała cię pod ręką, gdyby coś się wydarzyło.

Owszem, pytali, z czego żyję. To ich strasznie interesowało. Odpowiadałem, że mam spadek. Miałem też na Białorusi jakąś nieruchomości. To była taka „formalna wymówka”, dzięki której nie zadawali dalszych pytań. W rzeczywistości jedynym źródłem pieniędzy były datki od przyjaciół. Kilka razy mówili: „Powiedz, kiedy będzie potrzeba, jakoś się złożymy”. Tylko że tak się nie da żyć. Raz, drugi, trzeci można, ale na dłuższą metę to po prostu niemożliwe.

W MOJEJ CELI PRZEZ MIESIĄC PRZEBYWAŁ OBYWATEL NIEMIEC.
PO WYPUSZCZENIU UDZIELIŁ WYWIADU „BILDOWI”, W KTÓRYM
POWIEDZIAŁ, ŻE PRZEZ MIESIĄC BYŁ PRZETRZYMYWANY W TOALECIE.
NIE ROZUMIAŁ, ŻE TAK WYGLĄDA CELA NA BIAŁORUSI.

Inspektorzy co tydzień przychodzili do mnie do domu. To strasznie psychicznie przytłacza. Człowiek cały czas żyje w napięciu. Mieszkałem u babci, pomagałem jej na co dzień. Babcia jest dla mnie najważniejszą osobą w życiu, w zasadzie mnie wychowała. I każde najście kontrolerów, każdy dzwonek bardzo ją niepokoił. W naszej rodzinie nigdy nie było zwyczaju dzwonienia do drzwi ani domofonem. Jeśli ktoś dzwonił, to znaczyło, że to obcy – jakaś administracja, służby komunalne, ktoś z zewnątrz. Od razu ustaliłem z moim inspektorem, że nie wchodzi do mieszkania. Powiedziałem wprost: moja babcia ma 87 lat, proszę jej nie niepokoić. Ona przeżyła okupację Witebska. Jeśli trzeba, wyjdę na klatkę, porozmawiamy tam, ale do domu nie wchodzić. Powiedzieli, że rozumieją, że nie ma problemu, zwracali się do mnie normalnie po imieniu.

Doszedłeś jednak do wniosku, że tak się nie da żyć, że trzeba wyjechać?

Zrozumiałem, że na Białorusi nie mam żadnej przyszłości. Pomyślałem o studiach w Polsce, złożyłem dokumenty na program stypendialny Kalinowskiego. Dostałem wizę i wyjechałem. Teraz złożyłem wniosek o ochronę międzynarodową. Czekam już pół roku.

Białoruś zmieniła się przez ten czas, kiedy byłeś w więzieniu?

Bez wątpienia kraj stał się jeszcze bardziej zrusyfikowany. Białoruś i tak była mocno zrusyfikowana, ale po 2020 roku nastąpiło wyraźne

ograniczenie wszystkiego, co białoruskie, narodowe, kulturowe. Ponadto niemal wszyscy moi znajomi wyjechali. W pewnym momencie nie miałem już do kogo zadzwonić.

Służby próbowały się z tobą kontaktować po odsiadce?

Gdy wyszedłem na wolność, praktycznie wszystkie struktury siłowe poza KGB chciały ze mną „porozmawiać”. Pytali: „Władimir Igoriewicz, co dalej?”.

Przez te siedem miesięcy po wyjściu byłem osobą właściwie publiczną. Nie chcę tutaj dodawać sobie znaczenia, ale byłem chyba najbardziej rozpoznawalną postacią z kręgu społeczno-kulturalnych działaczy, którzy w tamtym czasie pozostawali jeszcze na Białorusi. Wielu ludzi dziwiło się, że wciąż tam jestem. Radzili, żebym wyjechał, bo łatwo było mnie ponownie wsadzić do więzienia. I faktycznie byłoby to proste.

Kiedys rozmawiałem z pewnym podpułkownikiem milicji i on zapytał: „Władimir Igoriewicz, pan mnie nie pamięta?”. Odpowiedziałem: „A powinienem pamiętać wszystkich?”. A on: „A pamięta pan marsz bębniarzy? Spisywałem potem protokół”. Wtedy zrozumiałem, że on, uczestnicząc w moich sprawach, prowadząc je przez lata, zrobił na mnie karierę. Tak działa system. Mówiąc obrazowo: gdzieś tam leży tyśiąc, może dwa tysiące teczek, w zależności od wydziału. I jakiś major chce zostać podpułkownikiem. Zaczyna więc kombinować: „Z kim by tu pracować?”. Wyciąga jakąś teczkę, przypomina sobie jakiegoś działacza, po prostu wymyśla mu sprawę, zamyka go. I gotowe. W wieku 45 lat idzie na emeryturę.

Co te dwa lata w tobie zmieniły?

To były dwa lata tortur: upokorzeń, ograniczeń, napięć w rodzinie i po prostu utraty zdrowia. Można było zrobić w tym czasie bardzo wiele innych rzeczy. Dały mi one jednak i coś dobrego: przewartościowanie życia, wiedzę, ludzi, których poznałem, książki, które przeczytałem. Na nowo przemyślałem wiele spraw. Zacząłem dużo bardziej cenić czas jako taki. I, co bardzo ważne, cenię możliwość nicnierobienia. Bardziej doceniam możliwość bycia samemu. Przez te dwa lata nie miałem żadnej prywatności.

I w końcu nauczyłem się mówić autentycznie niezależnie. Wcześniej było mi trudno odmawiać ludziom, szukałem sposobu, żeby jakoś

wytłumaczyć odmowę. W kolonii stykałem się z ludźmi, którzy próbowali mnie wykorzystać na różne sposoby. Musiałem nauczyć się być asertywny, żeby przetrwać. Umiejętność odmowy staje się kluczowa. Przewartoścowałem też relacje rodzinne i przyjacielskie.

W ciężkich momentach zaczynam rozumieć, jak bardzo cenisz ludzi, którzy się od ciebie nie odwrócili, nawet jeśli w praktyce nic specjalnego nie zrobili. Po prostu byli. Trudno jest pozostać czyimś przyjacielem, kiedy ktoś jest w więzieniu, ma kłopoty. Jedni przyjaciele jednak cały ten czas wspierali moją rodzinę i mnie. Ale inni tej próby czasu nie przeszli. Na przykład po moim powrocie z kolonii część z nich nie tyle się ode mnie odwróciła, co wręcz zabroniła mi kontaktów z nimi. Bo jestem „polityczny” i „problemowy”. Bali się kłopotów z władzami. I to był dla mnie szok. Często myślisz teraz o tym czasie w kolonii?

To nie jest tak, że myślę, ale to jest ze mną cały czas. I chyba zawsze będzie. Gdy przyjechałem do Polski, miałem straszne problemy ze snem. Przez jakieś dwa miesiące nie mogłem normalnie spać. Potem zaczęło powoli puszczać. W kolonii żyliśmy od pobudki o 6 rano do 22 wieczorem. Do tej pory budzę się o 5-6, a czasem o 22 nie mogę zasnąć.

Rozmowę przeprowadził Michał Kacewicz.

PRAWA CI SIĘ ZACHCIEWA

Iryna Słaunikawa

W areszcie zaczynałyśmy dzień jak małpki w stadzie - od przeglądania włosów jedna drugiej na wypadek wszy. Musiałyśmy stale błagać o podpaski higieniczne. Odmówiono nam papieru toaletowego. Klawisze dworowali sobie, że przecież mało jemy, to i do toalety nie musimy chodzić.

Iryna Słaunikawa (rocznik 1970)

Dziennikarka z trzydziestoletnim stażem, w Bielsacie pracowała od początku istnienia stacji; od 2006 roku, przez osiem lat, jako wydawca programów informacyjnych w Warszawie. Od 2019 roku była oficjalną przedstawicielką TV Bielsat i koordynatorką pracy dziennikarzy Bielsatu w Mińsku. Po aresztowaniu ekipy Bielsatu (z Kaciaryną Andrejeuną i Darją Czulcową) relacjonującej protest w Mińsku w listopadzie 2020 roku KGB wiosną 2021 roku zlikwidowało nieoficjalne studio Bielsatu w Mińsku, a latem, po obławie na dziennikarzy mediów niezależnych, większość zatrudnionych w nich redaktorów wyjechała na Ukrainę i na Litwę. Iryna Słaunikawa pozostała jednak na Białorusi. Aresztowana na lotnisku w Mińsku 30 października 2021 roku, gdy wracała wraz z mężem z urlopu w Egipcie. 3 sierpnia 2022 roku skazana przez sędziego Mikajaja Dolę z artykułów 342 i 361-1 na pięć lat kolonii karnej.

Dlaczego - wiedząc już doskonale, jak niebezpieczna jest sytuacja na Białorusi dla niezależnych dziennikarzy - zdecydowałaś się pod koniec 2021 roku wracać tam po urlopie?!

Trzeba zacząć od tego, że w tym czasie byłam oficjalną przedstawicielką Bielsatu w Mińsku, a ponieważ naszych dziennikarzy coraz częściej prześladowano, to chodziłam na wszystkie posiedzenia sądów, udzielałam komentarzy mediom... Pamiętam, że w momencie, w którym weszły w życie artykuły Kodeksu karnego dotyczące ekstremizmu, omawiałam je z Jelizawietą Eljanawą, naszą prawniczką, i mówiłam, że teraz to właściwie mogą każdego posadzić. Sama się przy tym pocieszałam, że może mi jednak nic nie zrobią, bo przecież nie popełniłam żadnego przestępstwa, nawet podatki porządnie na Białorusi płacę. Tak to człowiek sam się uspokaja... A gdy zatrzymali Kacię Andrejeuną i Daszę Czulcową podczas relacjonowania dla Bielsatu spontanicznych protestów po zakatowaniu na śmierć plastyka Ramana Bandarenki był to dla mnie straszny cios. Byłam cały czas w kontakcie z ich rodzicami i z mężem Kaci. Mieliśmy nadzieję, że może jednak to wszystko skończy się na jakiejś wielkiej grzywnie, może na wyrokach w zawieszeniu. To był pierwszy przypadek w historii Białorusi, by dziennikarza aresztowano po prostu za wykonywanie obowiązków służbowych. Robiliśmy wszystko, co mogliśmy, by dziewczyny uniknęły wyroku, ale niestety...

Władze były bardzo cięte na Bielsat. Głównie za to, że Bielsat relacjonował na żywo wszystkie pokojowe protesty i zawsze miał obszerną

widownię... Tak że to był proces pokazowy. Już wtedy moi rodzice i wiele innych osób mówiło mi, że chyba czas wyjechać i nie wracać, ale ja miałam poczucie, że nie mogę zostawić rodziców Kaci i Daszy... A poza tym wtedy wciąż jeszcze, całkiem już w ukryciu, pracowało na Białorusi kilku naszych kolegów. Wydawało mi się, że gdybym wyjechała i ich zostawiła, to byłaby zdrada. A tak to wciąż widzieli, że coś jeszcze z Biełsatu pozostało na Białorusi, że jest się na kim oprzeć... Chciałam, żeby czuli jakieś wsparcie.

Swoją drogą pamiętam, że gdy już mieliśmy wsiadać do samolotu po wakacjach w Egipcie, tęsknie przyglądałam się tablicy, na której było wiele lotów do Turcji... Gdybym wtedy choć zająknęła się mężowi, że nie chcę wracać, to byśmy nie wrócili. No ale nie posłuchałam swojej intuicji i musiałam przejść tę drogę, którą ostatecznie przeszłam.

Jak wyglądało twoje aresztowanie?

Najpierw, w sierpniu 2020 roku, podczas jednej z akcji zatrzymano mojego męża. Ukarano go tylko grzywną, ale było jasne, że trafił do odpowiedniego spisu, który oczywiście za każdym razem przeglądają przy przekraczaniu granicy. Po prostu zwracają szczególną uwagę na takich ludzi. W związku z tym umawialiśmy się zawsze tak, że granicę przekraczamy osobno, to znaczy stajemy w różnych kolejkach do kontroli paszportowej, zwłaszcza że nazwiska mamy inne, i na czas przekraczania granicy on mi oddaje swój telefon. Wracając z Egiptu, postępowaliśmy tak samo.

Wylogowaliśmy się już ze wszystkich swoich kont, on oddał mi ten telefon i po wyjściu z samolotu szłam korytarzem w kierunku kontroli paszportowej. Przechodząc, zauważyłam oficera wojsk pogranicznych z jakimiś papierami, na sekundę nasz wzrok się spotkał i usłyszałam, jak mówi do krótkofalówki: „ona idzie” (śmiech). Mam dość charakterystyczne uczesanie... zrozumiałam, że raczej się nie pomylił, czyli że jednym słowem – to już. Nic nie powiedziałam mężowi, stanęliśmy w różnych kolejkach, a gdy tylko doszłam do okienka, pojawił się funkcjonariusz GUBOPiK-u. Odprowadzono mnie do pokoju, w którym już byli inni zamaskowani funkcjonariusze. Byli dość agresywni, schwycili mój plecak, telefony. „No i co, doigrałaś się” – skomentował jeden z nich. „A czemu tak długo?” – zażartowałam, bo przecież był już koniec października 2021 roku. Potem trwały jeszcze jakieś formalności, wciąż miałam nadzieję, że mężowi udało się przejść bez przygód. Potem wyjściem służbowym

wyprowadzili mnie z lotniska do samochodu i zawieźli do Rejonowego Oddziału Spraw Wewnętrznych.

A jak traktowali cię milicjanci?

Z ich sposobu zachowania można się było od razu zorientować, iż są w pełni podporządkowani funkcjonariuszom GUBOPiK-u. Postawili mnie twarzą do ściany, posypały się rozmaite żarty na temat mojego wyglądu. Dowcipy w stylu: „Patrzcie na tę podstarzałą Pocahontas”. W końcu jakiś funkcjonariusz GUBOPiK-u, najwyraźniej dowódca, polecił, by mnie filmować. Pytali o imię, nazwisko, miejsce pracy, ale chyba im się nie nagrało, bo kazali mi powtórzyć. Zapytałam: „Na jakiej podstawie prawnej nagrywacie?”.

„Ach tak?” – odparł jeden z funkcjonariuszy – „no to idziemy...”. Wyprowadzono mnie do pokoju, w którym ludzi rozbiera się do naga i przeprowadza rewizje osobiste. Tam nie ma kamer. Wpuszczono mnie przodem i gdy wchodziłam, poczułam uderzenie w okolice szyi, najwyraźniej kantem dłoni. Nie upadłam, tylko tak przysiadłam. Funkcjonariusz powiedział wtedy: „A ty co? Najmądrzejsza taka? Prawa ci się zachciewa, tak?! Już ja ci pokażę twoje prawo... Jak będziesz się stawiać, to cię zgnoję w piwnicy KGB”. Mówił też inne rzeczy w tym rodzaju. Ale potem, już jak mnie filmowali, to nie zadawali pytań, tylko filmowali twarz. Myślę, że to było potrzebne do programu rozpoznawania twarzy.

I co dalej? Padły jakieś zarzuty?

Potem milicjanci zaczęli wypełniać papiery dotyczące zatrzymania. Jako formalny powód wpisano „publikowanie na Facebooku treści ekstremistycznych”. Tymi treściami był program „Mam prawo”, który kiedyś redagowałam. Kiedyś – bo oczywiście, zdając sobie sprawę z sytuacji, już od dawna niczego w sieciach społecznościowych nie umieszczałam, ale tamte programy to już były tak stare, że nawet mi nie przyszło na myśl je wykasować... Po wypełnieniu papierów wpakowano mnie do tak zwanego *stakanu*¹. To maleńka cela, metr na metr dwadzieścia, taka zamknięta szafa, gdzie jest tylko betonowy stopień do siedzenia i z trudem mieszczą się kolana. Przylecieliśmy prosto z Egiptu, więc lekko ubrani, bo na lotnisku miał na nas czekać mój ojciec... To był już 30 października – chłodno

¹ Stakan (ros. стакан) – dosł. szklanka.

było na tym betonie... W pewnym momencie usłyszałam głos mojego męża. Najpierw myślałam, że pewno mnie znalazł i przyjechał, a potem zorientowałam się, że też został zatrzymany. Muszę oddać sprawiedliwość funkcjonariuszowi, który miał wtedy dyżur, że jak poskarżyłam się, iż mi zimno, przyniósł jakiś ręcznik, żebym na nim usiadła, i powiedział, że to jedyne, co ma. Przyniósł też wodę i przekazał mi od męża czekoladkę.

A dalej czekał już kolejny rozdział, czyli Akreścina?

Tak. 31 października wywieźli nas do cieszącego się złą sławą aresztu na Akreścina. Postawili nas na dziedzińcu: ręce na ścianę, dłonie odwrócone na zewnątrz. Wtedy zrozumiałam, że wszystko, co mówiono na temat aresztu na Akreścina, było prawdą. Krzyki milicjantów, przekleństwa, groźby... Zabrali nam wszystkie rzeczy, wtedy też po raz pierwszy zetknęłam się z tym, co nazywają w języku więziennym *gołj szmon*, czyli rewizją osobistą, przy której jest się rozbieranym do naga, trzeba robić nago przysiady i tak dalej. Potem znów zapakowano mnie w *stakan* razem z jakąś alkoholiczką, którą mdliło i która w końcu zwymiotowała. W końcu mnie wyprowadzili, kazali podpisać odebranie pościeli, choć oczywiście żadnej nie dali, i wsadzili mnie do celi – dość dużej, ale spało się tam tylko na gołych deskach.

Ale dali już jakieś ubranie?

Nie. Wszystkie rzeczy zabrali do przechowalni. Chyba jednak sezon grzewczy już się zaczął i nie było tak strasznie zimno w celi. Następnego dnia odbył się sąd administracyjny za ten wpis na Facebooku. Zobaczyłam się wtedy na chwilę z mężem. Miałam już adwokatkę, ale, jak wiadomo, jej głos w trakcie procedury nic nie znaczył. Oboje z mężem dostaliśmy po 15 dni aresztu i zaczął się kolejny ciekawy rozdział, czyli mój pobyt w drugiej części aresztu na Akreścina zwanej Centrum Izolacji Zatrzymanych – dwa budynki dalej.

I co? Znowu kazali podpisać, że wydano pościel?

Oczywiście. Znowu się upominałam, ale tylko mnie wyganiali. Znów cyrk z tym rozbieraniem do naga, wyciąganiem sznurowadeł, pasków itp. Wchodzimy na drugie piętro, otwierają drzwi i pierwsze wrażenie jest takie jak przy wejściu do łaźni, takie uderzenie gorącego, wilgotnego powietrza. Cella była bardzo mała – na dwie osoby – i widzę, że dosłownie

na każdej powierzchni płaskiej, jaka tam jest, siedzą kobiety. Mnie tam wepchnęli jako 12. albo 13. I słyszę: „Witamy”. To była cela, gdzie siedziały kobiety z artykułów politycznych. „A gdzie ja będę spać?” – zapytałam, bo tam nie było absolutnie niczego, ani materaca, ani koca, żadnej pościeli, nawet ręcznika... W areszcie milicyjnym były przynajmniej nary całościowo zbite z desek, gładkie, a tu była żelazna rama, pomiędzy którą były pięciocentymetrowe metalowe pręty i na tym jakieś takie coś typu papier. W ogóle nie dało się na tym spać. Któraś z kobiet popatrzyła i powiedziała: „Pani jest taka filigranowa, to zmieści się pani pod stołem. W nocy calusieńka podłoga była zajęta leżącymi kobietami, jedna ściśnięta obok drugiej. Trzeba wziąć pod uwagę, że tam była jeszcze ubikacja i ta dziura też zajmowała miejsce. Przy tym w celach dla więźniarek politycznych nie wyłączano światła całą noc. O 22 ogłaszano ciszę nocną, ale o drugiej i o czwartej były pobudki. Wszystkie musiały wstać i zameldować się, podając swoje imię, nazwisko i patronimikum. No i podczas tych 15 dni więźniom politycznym nie wolno dostarczać paczek. Jesteś tam więc bez szczoteczki do zębów, pasty, szamponu, ręcznika. No i kobiety muszą po prostu błagać o podpaski higieniczne. Nie wyprowadzają cię też pod prysznic ani na spacer.

To po prostu męczarnia. Trudno to sobie wręcz wyobrazić.

A przy tym tam siedziały księgowe, uczone, na przykład chemiczka i historyczka z doktoratem, wyżej postawione menedżerki jakichś firm, studentki... Naprawdę świetne kobiety. W celi utrzymywałyśmy absolutną czystość, w końcu spałyśmy na gołej podłodze. Kilka razy dziennie myłyśmy roztworem chlorku wszystkie powierzchnie, podłogę, ściany... Ale co jakiś czas podsyłano nam do celi bezdomne...

Które miały wszy?

Tak. A że wiele z nas miało długie włosy, to zaczynałyśmy dzień jak małpki w stadzie – od przeglądania włosów jedna drugiej na wypadek wszy. Mnie się udało, bo miałam krótkie włosy. Trzeba sobie uzmysłwić, że przyjeżdżasz tam tak, jak stoisz, absolutnie bez niczego, bez zmiany bielizny na przykład. W związku z tym w celi był taki plastikowy woreczek z zostawionymi rzeczami. Te, które zwalniano, zdejmowały z siebie to, co mogły, i zostawiały dla innych. W pewnym momencie dziewczyny zaproponowały mi, że mogę dostać z tej torby majtki. Oczywiście czyjeś

używane, ale wyprane... No i masz taki mały dylemat: brać czy nie... Potem dostałam jeszcze koszulkę i skarpetki na zmianę. Z początku miałam też w charakterze ręcznika kawałek szmatki wielkości chusteczki do nosa, ale potem ktoś wychodził i zostawił większą. W końcu siedziałam na Akreścina 35 dni, byłam już starą więźniarką... Dwa razy po 15 dni i jeszcze pięć, kiedy czekałam, już po postawieniu zarzutów karnych, na przewiezienie do aresztu śledczego. Tak że byłam już prawie jak *wor w zakonie*. Dojrzałam nawet do normalnego ręcznika.

A jak można było uprać i wysuszyć cokolwiek w takim ścisku?

Tam były mocno grzejące kaloryfery. Tak że przez noc wszystko wysychało. Inna rzecz, że na gołej podłodze i tak było chłodno..., ale że było ciasno, to przytulając się, grzałyśmy się wzajemnie. Któregoś razu kobiety zaproponowały mi szczoteczkę do zębów, wiadomo, że też używaną, ale ja ją mydłem wyszorowałam i gorącą wodą spłukałam i już miałam. Tyle że obecnie dość rozpowszechnione jest noszenie aparatów korygujących zgryz, no i tam dwie dziewczyny miały te aparaty, więc zaproponowano mi, żebym albo tę szczoteczkę którejś z nich oddała, albo wspólnie z nią czyściła zęby... No to ostatecznie zdecydowałam się oddać i zęby próbowałam czyścić palcem. I była jeszcze taka historia, że jednego razu zmiana odmówiła nam wydania papieru toaletowego. Klawisze dworowali sobie, że przecież mało jemy, to i do toalety nie musimy chodzić... „Po co wam ten papier?” – pytali drwiąco. Wtedy ogłosiliśmy głódówkę. W rezultacie wszystkie bez wierzchniego ubrania wyprowadzono na dwór i tam nas zostawili na jednym ze spaceriaków. To była prawie połowa listopada. Mniej więcej po półtorej godziny dziewczyny zaczęły się łamać i ostatecznie wróciłyśmy do celi.

Na szczęście pozwalano przekazywać paczki z lekarstwami i mnie w ten sposób, przez adwokata, rodzice przekazali Hematogen (baton odżywczy stosowany przy niedożywieniu i niedokrwistości) i środek na wszy...

Po 15 dniach, z tego co mówisz, cię nie wypuścili...

Gdzieś tak 13. czy 14. dnia zawieźli mnie na kolejną rozprawę, znów do Pierwomajskiego Oddziału Spraw Wewnętrznych. Tam ponownie zobaczyłam męża, który zdążył powiedzieć, że najprawdopodobniej będzie kolejny „protokół”, czyli kolejna kara administracyjna. Tym razem za

niepodporządkowanie się milicjantom. Mnie prowadzili z rękami skutykami za plecami, ale normalnie, lecz gdy patrzyłam, jak męża prowadzą czy raczej ciągną w pozycji „jaskółki” (w pozycji wpeł pochyłonej, ciągnąc do góry za skute z tyłu ręce), to serce mi się krajało. No i dostaliśmy znów 15 dni. Wtedy jeszcze miała miejsce jakaś pomyłka, bo na jeden dzień umieszczono mnie w celi z alkoholiczkami i w związku z tym jedną noc spałam na materacu... Potem już mnie skierowali do celi, w której uprzednio siedziałam.

A czy na Akreścina byli jacyś normalni strażnicy, nie sadyści?

Byli, choć ze zrozumiałych powodów wolę nie podawać nazwisk. Byli na przykład tacy, którzy gdy podchodzili w nocy do celi na sprawdzenie, mówili cicho: „nie wstawajcie, leżcie...”. Była też jedna kobieta kalifaktorka – roznosząca jedzenie – która dawała dodatkowy chleb czy więcej kisielu. „Bo mi was tak żal” – mówiła... Ale większość traktowała więźniów bezwzględnie i brutalnie. Trzeba sobie powiedzieć jasno: Akreścina to naprawdę piekło.

W pewnym momencie zaczęło mnie bardzo swędzieć całe ciało. Wezwałam felczerkę, a ta mi powiedziała tylko, żebym mniej zażywała witaminy, i chyba dała mi jakiś preparat antyhistaminowy. Niestety świąd się nie zmniejszył...

Kiedy kolejne 15 dni dobiegało końca, zawieziono mnie do Komitetu Śledczego i postawiono mi zarzut uczestnictwa w masowych protestach. Wtedy była już ze mną adwokatka, która zresztą przedarła się też wcześniej na sąd administracyjny, i przyniosła mi od rodziców między innymi coś do jedzenia.

Czy wiesz, dlaczego trzymano cię tak długo na Akreścina, skoro przecież chcieli ci zrobić sprawę karną?

Zastanawiałam się nad tym potem i myślę, że to z tego powodu, iż miałam wszystko bardzo dokładnie zakodowane, wszystkie telefony, komputery... Zresztą komputera ostatecznie nie udało się im otworzyć. Próbowali po prostu cokolwiek znaleźć. W Komitecie Śledczym wszystko przebiegało bardzo formalnie i według prawa. Na przykład śledczy nie rozpoczynał niczego bez adwokata, pozwolił nam na rozmowę, pozwolił mi się przebrać i zjeść to, co przyniosła adwokatka. A potem znów powrót na Akreścina, tylko już do innej części, nie tej, gdzie siedzą osoby z wyrokami

administracyjnymi, lecz do innej, w której siedzą aresztanci z zarzutami karnymi. W celi były osoby oskarżone z różnych artykułów: narkotyki, oszustwa... No ale gdy w celi pojawia się polityczna, to wszystkim zabierają materace.

To chyba osadzone tam miały nienajlepszy do ciebie stosunek?

Nawet nie. W końcu wszyscy wiedzą, jak jest i że to nie politycznej wina. W tej części aresztu już wszystkie wiedzą, że szybko stamtąd nie wyjdą i czeka je tylko Waładarka. No i właśnie tam poskarżyłam się znowu, że wciąż swędzi mnie całe ciało. Na to dziewczyny pytają: „A ty wszy nie masz?”. „A jak to poznać?”. Dziewczyny obejrzały moją głowę. „Nie – mówią – we włosach nic nie masz, ale przejrzyj ubranie. Wywróć ubranie na lewą stronę i tak pstrykaj, jak coś zobaczysz między paznokciami”. No więc próbuję każde zmechacenie, kuleczkę na ubraniu, ale nic nie pstryka... „Jak ściśniesz wesz, to od razu zrozumiesz, że to wesz” – mówią. I faktycznie, nagle pstryk i tryumfalnie krzyczę: „jest weeesz!” (śmiech). Okazało się, że miałam alergię na ukąszenia wszy. Zawołałam felczerkę, na szczęście to była jedna z tych bardziej współczujących. Zgodziła się wydać mi lekarstwo na wszy z mojej paczki i przyniosła plastikowy worek. Kazała włożyć tam ubranie razem z tym środkiem, a rano zażądać odprowadzenia na dalszą dezynsekcję i tak zwane „prażenie”. Wkłada się ubrania do takiej szafy, gdzie jest bardzo wysoka temperatura. Następnego dnia rano wołam strażnika i mówię o wszach. No a ten: „A jakie tam wszy. Siedzieć i nie zawracać głowy”. Ostatecznie trafiła do niego argumentacja, że przecież będę wywieziona do aresztu śledczego na Waładarkę. „I co – mówię do niego – chce pan, żebym tam z wszami do nich przyjechała?”. W końcu zaprowadził mnie pod prysznic. Na Akreścina są naprawdę duże prysznice i dopóki obrabiano moje rzeczy, mogłam sobie stać 40 minut pod ciepłą wodą. Wróciłam i chwalebę się dziewczynom: „Stałam 45 minut pod ciepłą wodą. Powinnyście wszystkie powiedzieć, że macie wszy”.

Jak przebiegała sama sprawa?

Ostatecznie sąd odbywał się w Homlu. Przewieziono mnie z Waładarki do SIZO w Homlu.

Na świadka wezwano między innymi Kacię Andrejeuną, której drugi proces odbywał się zresztą w tamtym czasie piętro wyżej, i Daszę Czulkową, którą przywieziono z kolonii. Obie jednak nie zeznały niczego

istotnego. Głównym świadkiem oskarżenia okazał się natomiast Andrej Lipow, od którego Bielsat podnajmował studio i który fałszywie zeznał, że byłam odpowiedzialna za wszelkie decyzje: zarządzanie studiem, obrót finansowy, że podobno coś uzgadniałam ze strażakami, przekazywałam klucze i tak dalej. Zadałam mu w czasie rozprawy pytanie, ile razy mnie widział, bo tak naprawdę widzieliśmy się tylko raz.

WYPROWADZONO MNIE DO POKOJU BEZ KAMER. GDY WCHODZIŁAM,
POCZUŁAM UDERZENIE W OKOLICE SZYI, NAJWYRAŹNIEJ KANTEM DŁONI.
NIE UPADŁAM, TYLKO TAK PRZYSIADŁAM.

Było chyba pięć posiedzeń. Prokurator zażądał czterech lat. Potem występował mój adwokat, który przemawiał prawie cztery godziny i bardzo szczegółowo rozniósł całe oskarżenie w pył. Był tak przekonujący, że właściwie powinnam była zostać uwolniona bezpośrednio z sali sądowej. A tu po wystąpieniu adwokata, na kolejnym posiedzeniu, nagle prokurator prosi o głos, by złożyć wniosek, i oświadcza, że wysłuchawszy przemówienia obrońcy, utwierdził się w przekonaniu, że Iryna Słaunikawa jest osobą szczególnie niebezpieczną dla społeczeństwa, oraz doszedł do wniosku, że trzeba ją izolować nie przez cztery, ale przez sześć lat... Mój adwokat odwraca się do mnie i mówi, że pierwszy raz w życiu styka się z czymś takim. Na ogłoszenie wyroku przyjechali moi rodzice, moi krewni, którzy mieszkają w Homlu, ciocia, siostra cioteczna z mężem, bielsatowska prawniczka Jelizawieta i jeszcze kilka osób. Ojciec i moi przyjaciele przychodzili już wcześniej na każde posiedzenie sądu. Sędzia Sądu Okręgowego w Homlu Miłkołaj Dola ogłosił wyrok – pięć lat kolonii karnej.

Miałaś jakąkolwiek nadzieję, że apelacja coś da?

Oczywiście, że nie, ale zdecydowaliśmy z adwokatem, że warto to zrobić, żebym jak najdłużej przebywała w areszcie śledczym, a nie w kolonii – i ze względu na lepsze warunki, i ze względu na to, że zgodnie z przepisami dzień pobytu w areszcie liczy się przy odbywaniu wyroku jako półtora dnia.

Ale ostatecznie tak czy inaczej musiałaś się znaleźć w kolonii karnej.

Do kolonii karnej przywieziono nas w grudniu 2022 roku. W sumie chyba z 10 kobiet, więźniarką, bo to niedaleko. Od razu na wstępie dyżurny

do spraw wychowawczych, przeglądając sprawy, gdy doszedł do mojej, oznajmił: „O! Z tobą to my się bliżej poznamy”. Ten funkcjonariusz bardzo lubił przepytawać polityczne ze słów oficjalnego białoruskiego hymnu. Musiałam się w związku z tym go nauczyć, żeby uniknąć dodatkowych kłopotów. Nawet chyba zaplusowała u niego, bo kiedyś przechodził koło mojego stanowiska pracy, siedziałam przy maszynie do szycia, i zapytał: „No jak, Sławnikowa, słowa hymnu?”. Ja mu na to, że „w trakcie”, i pokazuję, że na maszynie do szycia wisi przyczepiona kartka z tymi słowami. „Zuch dziewczyna” – pochwalił (śmiech).

MIĄŁAM JUŻ ADWOKATKĘ, ALE, JAK WIADOMO, JEJ GŁOS W TRAKCIE PROCESU NIC NIE ZNACZYŁ.

Najpierw oczywiście były dwa tygodnie kwarantanny, podczas której trzeba się nauczyć wszystkich regulaminów, zakazów i nakazów. Wykonywano podstawowe badania lekarskie. Tam też zaczynają ci się przyglądać. A potem odbywa się duże posiedzenie komisji, na którym są i naczelnik obozu, i jego zastępca, i szefowie różnych działów obozu, i przedstawiciele fabryki. Wiadomo, że w zasadzie sprawa jest przesądzona, ale to niby na tej komisji decydują, do którego oddziału cię przypisać. Na tej komisji naczelnik zapytał mnie, czemu nie poszłam pracować do państwowej telewizji BT. „No cóż – mówię – chyba wakatów nie było”. Potem było rytualne „kazanie”, że trzeba tu przestrzegać regulaminów i zachowywać się przyzwoicie. Ja na to, że przez rok w Areszcie Śledczym nie miałam żadnego naruszenia. „Ale u nas tu nie areszt i nie Waładarka” – pouczył mnie naczelnik. I dodał: „Jeżeli będziesz tu prowadzić jakąś robotę polityczną i komuś coś opowiadać, to zauważymy. Będziemy ci się przyglądać”.

Jakie były warunki w kolonii?

Mój oddział czwarty mieścił się w starej części kolonii i barak był bez fundamentów, więc na parterze, zwłaszcza zimą, było strasznie zimno. Kiedy przyjechałam, to zanim rodzice zdążyli przekazać mi jakąś paczkę, po prostu nie dawało się spać, pomimo że na noc zakładałam na siebie wszystko, co można, i przykrywałam się kołdrą. Jak mi opowiadano w areszcie, że w kolonii jest zimno, to nie rozumiałam, o czym mówią, do czasu, gdy sama tam nie przyjechałam. W sypialniach, w których spało mniej więcej po 30 kobiet, było może 15 stopni. Polityczne zawsze

musiały spać na górze, bezpośrednio przed drzwiami. Cały oddział liczył 95 kobiet. Były dwa prysznicze, sześć umywalk oraz cztery ubikacje. Ale tu mi się poszczęściło, bo były normalne sedesy i kabiny. Więźniarki swoje rzeczy muszą trzymać w magazynku zwanym *kapciorka* albo *kieszarka*. Tam polityczne, czyli dziesiątą grupą w klasyfikacji penitencjarnej, mogą kłaść swoje rzeczy tylko pod sufitem, na piątym poziomie. Tak że ciężkie torby można zdjąć tylko z pomocą drabiny. Takie różne drobne przykrości robi się politycznym nieustannie. Na początku naczelniczką oddziału była Maryja Siarhiejeuna Szumihaj, która bardzo źle się do mnie odnosiła. To się przejawiało na rozmaite sposoby. Była na przykład taka sytuacja, że musiałam podpisać coś u notariusza. Udało się po długich korowodach, podaniach i prośbach załatwić zezwolenie na przyjazd, a z drugiej strony umówić tę notariuszkę. Notariuszka przyjechała. Przychodzi naczelniczka i mówi: „Słaunikawa, do ciebie chyba notariusz przyjechał...”. „Tak – mówię – czekam na notariusza”. „No tak – odpowiada Szumihaj – ale ja teraz nie mam czasu, aby cię do niej prowadzić”. I tyle. Notariuszka pojechała.

Jak wygląda zwykły dzień w żeńskiej kolonii?

Wszystkie więźniarki, jeśli nie są na emeryturze, pracują. Pracowałyśmy w wielkiej szwalni, szyłyśmy głównie elementy odzieży mundurowej dla milicjantów i wojskowych. Szyłyśmy jakąś nieskończoną liczbę zimowych kurtek wojskowych. Podejrzewam, że były to kurtki dla rosyjskiej armii, bo szyłyśmy je tysiącami. Takiej liczby wciąż nowych kurtek białoruska armia nie potrzebuje. Pracuje się na dwie zmiany – jeden tydzień na jedną, a kolejny na drugą.

Pobudka o szóstej rano. Ma się 20 minut, by się ubrać i zaścielić łóżka według ustalonego wzorca – potem chodzą i mierzą, czy od brzegu pryczy do złożonej w odpowiedni sposób kołdry jest 20 cm. Jeśli nie, to rozwalają to wszystko i ścielisz od nowa. Formę ubrania ogłaszają przez radio. Są cztery obozowe formy ubrania z przypisanymi im numerami. Pierwszy – sukienka, drugi – spódnica i kurtka, czyli rodzaj pokracznej marynarki, trzeci – sukienka i marynarka, a czwarty – waciak, spódnica, a także marynarka. Z głośników słyszysz na przykład: „Pobudka. Więźniarki – przystąpić do codziennych zadań. Forma ubrania nr 3”. Po 20 minutach wymarsz na śniadanie. Na posiłek 15 minut i powrót. Wracasz do działu. Jeśli dasz radę, próbujesz umyć zęby albo zrobić sobie kawę.

Jak mówiłaś, w oddziale są cztery toalety i sześć umywalk. Jak 95 osób jest się w stanie umyć i oporządzić w takim czasie?

No, daje się... Wierz mi, jak ktoś chce, to się umyje. Na przykład stoisz w kolejce do toalety i w tym czasie myjesz zęby, na chwilę podchodzisz do którejś umywalki, prosisz, by ci ktoś pozwolił wypłukać... Do dwóch natrysków były zapisy i odpowiednia kolejka. Pryszeń wypadła raz na tydzień. Tam robisz wszystko z taką szybkością, że sama byś w to nie uwierzyła. Jak automat. Starasz się wszystko zaplanować: i zabranie rzeczy z kieszarki, i włożenie ich z powrotem, i włączenie czajnika, i napisanie choć kawałka listu. Jak coś ci ten plan zakłóci, to wszystko leci na twarz...

O 7.00 apel. Cała kolonia stoi na zewnątrz i jest sprawdzana po nazwisku. Funkcjonariusze przechodzą z listami wzdłuż szeregów, wyczytują nazwiska, a ty musisz podać imię i *otczestwo*. To zajmuje jakieś 20 minut i te kobiety, które pracują, wymaszerowują do fabryki. Czasem uda się zapalić papierosa i siadasz za maszynę do szycia.

A jak ktoś nie umie szyc?

Tam jest takie powiedzonko: „nie umiesz – nauczymy, nie chcesz – zmusimy”. Odmowa szycia albo niska wydajność owocuje tym, że dostajesz dodatkowe dyżury w kolonii przy sprzątanii i innych pracach typu rozładowywanie samochodów z kartoflami, noszenie ciężkich skrzyń itp. A poza tym obowiązuje odpowiedzialność kolektywna. Jeśli brygada ma niski procent wykonania normy, to są kłopoty. Tam jest wiele kobiet z wysokimi grzywnami, z alimentami na dzieci, więc potrzebują zarobić pieniądze. Praca jest jak na taśmie, to znaczy: nie szyjesz sama jednej kurtki, tylko szyjesz pewien element, a potem przekazujesz kurtkę dalej. Jeśli powoli pracujesz, zatrzymujesz całą brygadę.

Jak więc tobie szło to szycie?

Podjęłam decyzję, że skoro mam relatywnie wysoki wyrok, to moim zadaniem jest wyjść z więzienia z minimalnymi stratami. Zatem jeśli będę dobrze szyła, wszyscy w brygadzie będą mnie dobrze traktować. Kontrolerka jakości wiedziała, że nie robię braków, dostawałam nawet premię, a to jak na polityczną było naprawdę dobrze.

Co dzień o 10.00 i o 20.00 w kolonii odbywa się sprawdzenie tych, którzy są wpisani do tych specjalnych grup nadzoru penitencjarnego, czyli głównie politycznych. Jeśli jesteś w tym czasie w fabryce, funkcjonariusz

przechodzi między maszynami i sprawdza. W południe jest przerwa na obiad. A potem praca do 14.30 i znów apel na placu, jaka by nie była pogoda. I jeszcze może się wtedy odbywać rewizja osobista w przypadku niektórych. To jest szczególnie dotkliwie zimą, kiedy na mrozie każą ci zdjąć czapkę, rękawiczki, waciak i – bywały takie przypadki – nawet buty. Na szczęście miałam swoje ciepłe buty, czapkę i rękawiczki, ale w kolonii wydają takie buty ze sztucznej skóry, które praktycznie w ogóle nie są ocieplone. Stanie w nich na mrozie to niezbyt miłe doświadczenie.

REWIZJA OSOBISTA JEST SZCZEGÓLNIIE DOTKLIWA ZIMA,
KIEDY NA MROZIE KAŻA CI ZDJĄĆ CZAPKĘ, RĘKAWICZKI, WACIAK I –
BYWAŁY TAKIE PRZYPADKI – NAWET BUTY.

O 15.00 wracasz do kolonii i do 16.00 masz tzw. czas wolny, czyli możesz robić, co chcesz: wypić kawę, próbować zrobić pranie itp. A o 16.00 znowu apel i sprawdzenie całego obozu. Od 16.30 zaczynają się zajęcia regulaminowe pod nazwą „Wektor”. Wszystkie kobiety są zganiane do pokoju telewizyjnego i mają tam oglądać program. Nie wolno pisać, nie wolno czytać ani rozmawiać, a ponieważ od 2023 roku wszędzie są kamery, to nic ci nie ujdzie na sucho. O 17.30 – kolacja. A o 18.00 znów zajęcia regulaminowe – oglądanie telewizji.

To jakieś tortury za pomocą telewizora... A co oni tam pokazują?

Bardzo różne rzeczy. Czasem nawet jakieś zupełnie normalne seriale, niekiedy całkiem interesujące programy z YouTube'a o zdrowiu i higienie albo jakiś edukacyjny kawałek z National Geographic... A często propagandę. Azaronka² i inne takie kawałki.

Od 18.50 do 21.30, kiedy ogłasza się przygotowanie do ciszy nocnej, ma się tak zwany czas wolny. Oczywiście polityczne mają w tym czasie o 20.00 dodatkowo apel i sprawdzenie ich grupy. No i na ten czas przypadają też dyżury przy myciu łazienek, ubikacji, korytarzy... Od 20.00 do 21.30 jest dopiero tzw. czas osobisty. Wtedy możesz się na półtorej godziny przebrać z więziennych łachów w swój dres czy jakieś ubranie, oczywiście musi być czarne, bo kolory są zakazane, i robić, co chcesz: rozmawiać, pić herbatę,

² Ryhor Azaronak to jeden z bardziej zaangażowanych białoruskich dziennikarzy propagandzistów występujących w państwowej telewizji.

pisać listy, czytać, ale też jest to czas na zrobienie prania, jakichś zabiegów higienicznych itd. Tego czasu jest tak mało, że ja listy do rodziców pisałam po kilka dni...

Opowiadano mi, że w obozie działa jakiś klub rozrywkowy, ale politycznych tam nie wpuszczano.

Tak, na rozrywkowe imprezy typu koncerty nas nie wpuszczali. Kryminalne nie miały takich problemów. Przez pewien czas bywały też różne konkursy wiedzy, ale to zarzucono, bo polityczne ciągle wygrywały. Głównie, aż do mdłości, musiałyśmy oglądać filmy o wojnie. Historię operacji Bagration z czasów II wojny światowej, czyli wyparcia Niemców z terenów między innymi Białorusi przez Armię Czerwoną latem 1944 roku, znam na pamięć. Oglądałam program o niej ze cztery razy. Natomiast bardzo lubiliśmy w niedzielę tzw. klub filmowy. Pokazywany był wtedy jakiś normalny film. Ekstremistkom, czyli politycznym, pozwalano prowadzić dyskusje o nim. To były prawdziwe kulturalne i intelektualne uczy. Prowadziły te dyskusje Maryna Zołatawa, Ludmiła Czeka, Ira Złobina i Tacciana Kuzina – to był naprawdę wyjątkowy poziom kultury i refleksji. Nawet kryminalne słuchały tego z zainteresowaniem. To był taki promień słońca w tej paskudnej rzeczywistości. To, co teraz opowiadam, może sugeruje, że właściwie w obozie nie jest tak źle, ale to nieprawda...

Jak odnalazałaś się w tym systemie kar i zakazów?

Z jednej strony jestem osobą przytomną i doskonale wiedziałam, że będą mnie obserwować, wiedziałam też czym to grozi: pozbawieniem paczek, widzeń, ograniczeniem sumy na zakupy w więziennym sklepie. No a poza tym lubię porządek i dla mnie przestrzeganie ustalonego regulaminu nie jest trudne. Z drugiej strony trzeba zdawać sobie sprawę, że jeśli będą chcieli przykleić ci naruszenie regulaminu, to to zrobią, żebyś nie wiem, jak się starała i chodziła cały czas zapięta na wszystkie guziki.

Jakie były stosunki z więźniarkami kryminalnymi, bo z relacji, które słyszałam i czytałam, bywało różnie.

Do mnie wszystkie odnosiły się dobrze. Wiem, że bywało inaczej, ale ze mną po prostu tak nie było... Nawet mnie nie nazywano Iżą. Byłam zawsze Irocza. Nasza Irocza Słaunikawa. Nigdy nikomu nie starałam się zrobić jakiegoś świństwa albo czegoś, co mogłoby tak zostać odczytane.

Fakt, że nie bardzo mogłam pomagać, ale jakimś słowem czy gestem zawsze próbowałam. Wiele chyba zależy od cech osobistych. Oczywiście o „pogodzie” w oddziale decyduje głównie funkcjonariusz operacyjny do niego przypisany. Pierwszy z tych, z którymi się zetknęłam, praktycznie mnie nie zauważał, może dwa razy z nim rozmawiałam. Z drugim mieliśmy takie specyficzne stosunki, które ja nazywałam „w rytmie tanga” – czyli dwa kroki do przodu, krok w bok i dwa do tyłu... On był młodszy od mojego syna, ale starałam się zawsze odnosić do niego z szacunkiem, bez sarkazmu. Z trzecim nasze relacje całkiem się nie ułożyły. Od razu, gdy wkroczył na oddział, zakazał więźniarkom kontaktowania się ze mną. „Wiecie, kim ona jest?” – zapytał. „Na jak to kim, to Irocčka Sławnikawa” – odpowiedziały dziewczyny. Ale on im wyjaśnił, że jestem zdrajczynią ojczyzny. Kryminalne nawet próbowały mnie bronić i pytały się go, czemu on się mnie tak przyczepił. „A czemu wy jej bronicie?” – pytał wtedy. Odpowiadały: „Nie bronimy jej, szczerze mówimy, że ona jest w porządku, dyżury pełni, jak trzeba, pracuje powyżej normy”.

W KOLONII WYDAJĄ BUTY ZE SZTUCZNEJ SKÓRY, KTÓRE PRAKTYCZNIE W OGÓLE NIE SĄ OCIEPLONE. STANIE W NICH NA MROZIE TO NIEZBYT MIŁE DOŚWIADCZENIE.

To nic nie pomagało. W ciągu dwóch tygodni wpisał mi dwa naruszenia regulaminu. To było w lipcu 2025 roku. Już myślałam, że wpakują mnie do karceru, bo wyszło, że naruszenia są bardzo często, skoro dwa na dwa tygodnie. Nawet na komisji, która się w takich sytuacjach odbywa, funkcjonariusze się dziwili, kiedy pojawiałam się znowu po dwóch tygodniach: „Sławnikowa, a co to się takiego dzieje?”. Pierwszy raz zabrano mi widzenie, drugi raz dali dodatkową pracę – sprzątanie terenu. Uznałam, że spróbuję się zwrócić do zastępcy naczelnika obozu, który obiecał, że obejrzy obraz z kamer, żeby zweryfikować zarzuty. Wtedy byłam w naprawdę złym stanie. No bo oprócz kamer wszędzie tam jest jeszcze system donosicieli i wiedziałam, że oglądają każdy mój krok. Ja i tak funkcjonowałam ściśle według regulaminu, a teraz to już do ekstremum. Prosiłam, żeby nie podchodzić do mnie, nie rozmawiać... Czułam się jak żaba pod mikroskopem. Wiedziałam, że zaraz dostanę trzecią karę, a wtedy to już zostanie zaliczona do „złośliwie naruszających regulamin”, co oznacza prawo do jednego krótkiego telefonu na miesiąc, ograniczenie w zakupie

żywności i inne atrakcje. Przygotowana byłam już i na karcer. Miałam przez cały ten czas zasadę, żeby się o nic do nich nie zwracać, o nic nie prosić, ale wtedy poszłam do tego zastępcy naczelnika. W efekcie chyba to on mnie uratował, bo funkcjonariusz operacyjny się odczepił.

Czy śledczy do Ciebie przyjeżdżał? Albo KGB?

Jeszcze w areszcie na Waładarce przychodził do mnie oficer KGB, a przynajmniej tak mówił, że jest z KGB, bo oczywiście żadnego dokumentu nie przedstawił. Inaczej by go jednak nie wpuścili do mnie. Nazywał się Artur czy Timur... jakoś tak nietypowo. Powiedział mi, że wyrok oczywiście dostanę, ale mogę go znacząco zmniejszyć, jeśli odpowiem na kilka pytań. Po pierwsze chciał hasła do mojego komputera, poza tym chciał się dowiedzieć, kto finansuje Białoruskie Stowarzyszenie Dziennikarzy, którego jestem wiceprzewodniczącą, a także kto finansuje Bielsat i która ambasada przewoziła sprzęt do studia Bielsatu. Spytałam go, czy mogę się zastanowić. Powiedział, że oczywiście i że przyjdzie za trzy dni. Trzy dni później pojawił się i ja mu oznajmiłam, że niestety nie mam mu nic do powiedzenia.

ZIMA TO NAJGORSZY CZAS W KOLONII. NIE DOŚĆ, ŻE ZIMNO, TO JEŚLI PADA ŚNIEG, PŁAC CZYŚCI NIE TRAKTOR, LECZ WIĘZNIARKI ŁOPATAMI. ŚNIEG PAKUJĄ DO WIELKICH WORKÓW I NOSZA JE NA PLECACH KILKASZT METRÓW DO MIEJSCA SKŁADOWANIA ŚNIEGU.

Do kolonii przyjeżdżał do mnie zastępca szefa GUBOPiK-u i pytał, czy przyznałam się do winy i napisałam prośbę o ułaskawienie, ale w tamtym czasie, a był to 2024 rok, jeszcze nie pisałam takiej prośby. No a przed samym moim uwolnieniem wezwał mnie funkcjonariusz operacyjny i zaproponował podpisanie zgody na współpracę z administracją kolonii. Odparłam: „przecież sam pan rozumie, ja jestem *oktiabryonok*³, pionier, komsomolec... Mnie nie tak wychowano. Już lepiej sobie odsiedzę te osiem miesięcy, które mi zostały”. On mi na to zaczął grozić, że stosunek administracji do mnie może się zmienić, ale powiedziałam mu, że trudno, zaryzykuję. Myślę, że sam nie wierzył, iż uda mu się mnie zwerbować,

3 W czasach ZSRR tak nazywały się dzieci należące do organizacji Oktiabryata (октябрыта), będącej komunistycznym odpowiednikiem zuchów w harcerstwie. Dzieci powyżej dziewiątego roku życia były pionierami.

ale oni pewno mają jakiś plan do wykonania. To było dosłownie na kilka dni przed moim uwolnieniem.

I jeszcze jedno pytanie na koniec: powiedziałaś wcześniej, że więzienie z twojego punktu widzenia jest łatwiej przetrzymać niż obóz kolonię karną. Dlaczego?

Gdy przyjeżdżasz na początku do obozu, to przez pierwsze pół roku raz na dwa tygodnie albo raz na tydzień wzywają cię na rozmowy z psychologiem. Kiedyś psycholożka na takiej rozmowie spytała się mnie, czemu jestem rozdrażniona i niezadowolona za każdym razem, gdy przychodzę na rozmowę z nią.

Odparłam, że jestem niezadowolona, bo mam swoje sprawy, a rozmowa z psycholożką ciągle mnie od nich odrywa.

„No ale przecież tu w kolonii jest lepiej niż w więzieniu” – ona na to.

„Tak? A w czym?” – pytam. „Na oddziale jest sto osób, muszę chodzić do fabryki, szyć, myć ubikacje i obierać dziesiątki kilogramów ziemniaków dla całej kolonii...”

Psycholożka odparła, że w areszcie śledczym też jest po 20 osób w celi.

„Co też pani mówi” – odpowiedziałam jej. „W areszcie śledczym mogłam leżeć cały dzień, niczego nie robić, czytać książki, pisać listy, robić gimnastykę. Byłam przynajmniej zostawiona sama sobie”.

Zresztą każdy pewnie inaczej to odbiera. Ja i w areszcie, i w kolonii zakładałam, jak to sama nazywałam, czapkę niewidkę. Staralam się być maksymalnie niewidoczna, nie kłóciłam się, nie domagałam niczego, nie robiłam awantur, byle tylko nie zwracać na siebie uwagi. Jasne, że nawet takie zachowanie przed niczym ostatecznie nie chroni, bo jeśli z jakiejś przyczyny będzie rozkaz, żeby ci dokopać, to i tak sposób znajdą...

Niemniej znajdować się w otoczeniu sześciu osób, jak w areszcie, albo stu, jak w kolonii, to zasadnicza różnica. Ten ciągły tłum staje się nie do zniesienia. W dodatku musisz wykonywać totalnie absurdalne rozporządzenia, na przykład nosić śnieg w workach... Nie opowiadałam o śniegu?

Nie...

Zima to najgorszy czas w kolonii karnej. Nie dość, że zimno, to jeśli pada śnieg, plac czyści nie traktor, lecz więźniarki łopatami. Śnieg pakują do wielkich worków, takich jak po cemencie, i noszą je na plecach kilkaset metrów do miejsca składowania śniegu, tam go wysypują i jak mrówki

idą z workami z powrotem. Jeśli zima jest śnieżna, to z ulicy prawie nie wracasz do budynku. Nosisz ten śnieg i nosisz. Kiedyś mówię do dziewczyn: „Może zrzucimy się wszystkie i kupimy traktor?”. Jedna ze współosadzonych mi odpowiada: „Iroczka, porzuć nadzieję, traktor tu jest, ale to my mamy cierpieć”. Kiedy do kolonii przyjeżdżała pani Wolha Czuprys, zastępczyni szefa administracji Alaksandra Łukaszenki, to dwa dni z calusieńkiego terenu obozu odbijałyśmy lód z piaskiem, który się utworzył. Przyszliśmy z fabryki, odbył się apel, dostałyśmy łomy, łopaty, worki i cała kolonia dwa dni czyściła każdy metr, żeby pani Czuprys była zadowolona.

JĘŚLI BĘDĄ CHcieli PRZYKLEIĆ CI NARUSZENIE REGULAMINU,
TO TO ZROBIA, ŻEBYS NIE WIEM, JAK SIĘ STARAŁA I CHODZIŁA
CAŁY CZAS ZAPIĘTA NA WSZYSTKIE GUZIKI.

Ponadto w kolonii obowiązuje system odpowiedzialności zbiorowej. Ktoś coś przeskrobał i cały oddział musi wyjść na dwór i przez godzinę czytać regulamin. Znasz to wszystko na pamięć i na wrywyki, jesteś zapięta regulaminowo na wszystkie guziki, ale to na nic, bo i tak tam stoisz i czytasz w kółko te punkty. Albo: któremuś z funkcjonariuszy coś się nie spodobało i każe wynieść absolutnie wszystkie torby i pudła z kapciorki.

Dokąd?

Na dwór.

I co dalej?

A nic. Wynosisz te pudła. Stoisz, czekasz... a godzina, o której musisz iść do fabryki, nieuchronnie się zbliża. I na pół godziny do rozpoczęcia zmiany strażnik mówi: „No dobra, możecie zabierać swoje pudła”. I znów sto kobiet dźwiga cały swój dobytek w szalonym pośpiechu do małego magazynku, a ty – jako polityczna – musisz dodatkowo w tym zamieszaniu wpakować swoje rzeczy w ostatnią wnękę pod sufitem. No i musisz zdążyć na wymarsz do pracy, żeby nie zostać ukaraną.

Nie ma najmniejszego sensu udowadnianie, że miałaś rację albo byłaś niewinna. Bo jak zaczniesz udowadniać, to już koniec. Masz kolejny raport, kolejną karę. Musisz ugryźć się w język i wszystko znieść. Jesteś istotą absolutnie, do szczytu pozbawioną jakichkolwiek praw.

Mogę przytoczyć przykład: jedną z kar dostałam, gdy miałam dyżur przy sprzątanii terenu. Przychodzi funkcjonariusz i mówi: „Dyżurna od sprzątanii terenu – bierzemy sprzęt i wychodzimy”. Tak jak zawsze. No to wyszłam. To było w czasie regulaminowego oglądania telewizji, ale ja miałam dyżur, wypełniałam swoje obowiązki. I za to, że nie brałam udziału w zajęciach regulaminowych, dostałam karę. Przy czym dwie inne więźniarki, które były razem ze mną, kary nie dostały... Kolonia karna i sprawiedliwość to pojęcia całkowicie przeciwstawne.

Rozmowę przeprowadziła Agnieszka Romaszewska-Guzy.

ŚLED CZEMU BYŁO OBOJĘTNE, CZY BĘDĘ ŻYWY, CZY MARTWY

Alaksandr Fiaduta

Śledczy zabrał moje rękopisy, powiedział, że przekaże je żonie, i nie przekazał. Zażądałem, żeby mi je zwrócił – nie zwracał. Wtedy byłem w SIZO nr 1. Ogłosiłem, że nie będę przyjmował leków, dopóki nie zwrócą mi rękopisów. I przez miesiąc ich nie przyjmowałem. Śledczemu było wszystko jedno, miał już gotową sprawę. Było mu obojętne, czy będę żywy, czy martwy, bo zeznania już są. Ale administracji aresztu nie było wszystko jedno. Oni rozumieli, że jeśli umrę, zapytają ich: dlaczego umarł?

Alaksandr Fiaduta (rocznik 1964)

Literaturoznawca, dziennikarz, konsultant polityczny. W 1994 roku pracował w sztabie wyborczym Alaksandra Łukaszenki. Po jego wygranej kierował biurem prasowym, ale po kilku miesiącach zrezygnował ze względu na próby wprowadzenia cenzury. W 2010 roku po raz pierwszy trafił za kraty – do aresztu KGB w Mińsku, za udział w protestach. Był wówczas członkiem sztabu wyborczego Uładzimira Niaklajeua. Później przez lata pracował jako doradca polityczny w Rosji i na Ukrainie.

Został zatrzymany 11 kwietnia 2021 roku w Moskwie przez funkcjonariuszy FSB na zlecenie Mińska. Na Białorusi oskarżony o „spisek w celu przejęcia władzy niezgodnie z konstytucją”. Skazano go na 10 lat w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Został zwolniony wraz ze 122 innymi więźniami politycznymi 13 grudnia 2025 roku.

Zacznijmy od pana zatrzymania, ponieważ odbyło się ono w zupełnie inny sposób niż w przypadku innych więźniów politycznych. Doszło do niego w Moskwie.

To była wspólna operacja FSB i KGB. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (KGB) Białorusi nie może działać samodzielnie na terytorium Rosji, dlatego kierownictwo KGB, otrzymawszy nakaz aresztowania mnie od białoruskiej prokuratury, zwróciło się do kierownictwa Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) z prośbą o moje zatrzymanie.

Zatrzymano mnie w momencie, gdy wysiadłem z taksówki i szedłem do sklepu kupić wodę. Obok zatrzymał się bus, z którego wybiegła grupa mężczyzn. Chwycili mnie za ręce i wykręcili je do tyłu.

Zrozumiałem, że jestem aresztowany. Domyśliłem się, dlaczego. I bałem się, że użyją wobec mnie siły. Dlatego zacząłem bardzo głośno mówić, że nie stawiam oporu. Miało to przyciągnąć uwagę ludzi idących ulicą. Jednocześnie wiedziałem, że jest to nagrywane, a zatem wykluczało to możliwość późniejszego stwierdzenia, że stawiałem opór. Ci, którzy mnie zatrzymywali, również zaczęli głośno mówić, aby przechodnie słyszeli, że trwa zatrzymanie niebezpiecznego przestępcy i że zatrzymuje mnie Moskiewski Wydział Śledczy.

To była nieprawda. Zatrzymywali pana funkcjonariusze FSB, a nie struktur podległych MSW.

Tak, to było FSB. Wsadzili mnie do samochodu. Założyli mi worek na głowę i kajdanki. Po drodze zapytali, jak się czuję, bo było widać, że nie jestem zbyt zdrowy. Powiedziałem, że lepiej kupić mi leki i wodę. Samochód zatrzymał się przy aptece. Kupili mi leki i wodę i pojechaliśmy dalej.

Cały czas miałem worek na głowie i założone na ręce kajdanki. Funkcjonariusze FSB zapytali mnie, czy wiem, za co mnie zatrzymano. Powiedziałem, że powinni byli im to powiedzieć ci, którzy zlecili zatrzymanie mnie. „Nam nie powiedzieli” – odparli. Stwierdziłem, że kiedy oddadzą mnie swoim białoruskim kolegom, być może ich szefostwo im powie. „A skąd pan wie, że oddamy pana Białorusinom?” – usłyszałem na to. Powiedziałem, że wiem, bo nie popełniłem żadnego przestępstwa na terytorium Federacji Rosyjskiej ani przeciwko Federacji Rosyjskiej.

Ktoś – nie widziałem twarzy, ale ponieważ jako jedyny ze mną rozmawiał, zrozumiałem, że to starszy stopniem – powiedział: „Pan jest mądry”. Odpowiedziałem: „Gdybym był mądry, nie spotkalibyśmy się”. Cicho się zaśmiał, pojechaliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się przy McDonaldzie. Zapytali, co mi kupić. Powiedziałem, że frytki. To było jedyne, co mogłem zjeść. Mogłem wsunąć frytkę pod worek, a hamburgera nie byłbym w stanie zjeść.

Przynieśli mi frytki i pojechaliśmy dalej, w pewnym momencie samochód się zatrzymał. Wyszli mnie i przesiadłem się do innego busa, cały czas w worku na głowie. Dlatego nie widziałem, czy w tym busie jest ktoś poza mną. Ale później okazało się, że razem ze mną jechał inny uczestnik „spisku”, Juraś Ziankowicz¹, z którym spotkaliśmy się rano – jego też zatrzymali.

Pojechaliśmy dalej. Bardzo mnie niepokoiło, dokąd nas wiozą. Na Białorusi kilku politycznych oponentów władzy zniknęło bez śladu i do dziś nikt nie zna ich losu. Rozmawiałem przez długi czas z żoną jednego z nich, Wiktora Hanczara², i rozumiałem straszny los tej kobiety, która do dziś nie wie, co się stało z jej mężem. I martwiłem się, że tak samo moja żona

1 Juraś Ziankowicz – białoruski opozycjonista, prawnik. Od 2007 roku mieszka w USA, gdzie pracuje jako adwokat. Latem 2020 roku przyjechał do Mińska. Aresztowany w Moskwie i przekazany służbom białoruskim. 5 września 2022 roku Ziankowicza skazano na 11 lat pozbawienia wolności. Wypuszczono go na wolność wiosną 2025 roku. Opuścił Białoruś.

2 Wiktor Hanczar – opozycyjny polityk i były przewodniczący Centralnej Komisji Wyborczej. Zaginął 16 września 1999 roku. Najprawdopodobniej padł ofiarą tzw. szwadronów śmierci, które dokonywały morderstw politycznych na rozkaz Alaksandra Łukaszenki.

nie będzie wiedzieć, co się ze mną stało, jeśli zniknę. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, że przywieźli nas do Mińska, czyli do wewnętrznego więzienia KGB, tak zwanej „Amerykanki”.

W jaki sposób zorientował się pan, że to „Amerykanka”?

Poznałem, bo byłem tam w 2010 roku po wyborach. I pamiętam, jak samochód, który tam mnie wiozł, zwalniał, bo tam są progi zwalniające – tak zwani leżący policjanci.

Z Moskwy do Mińska jedzie się prawie dziewięć godzin. Jak wyglądała ta podróż?

Tak, to długa droga. Tym bardziej, że wieźli nas nie główną trasą, lecz, jak rozumiem, przez jakiś las, przez boczne drogi, żeby jak najmniej ludzi widziało jadący samochód.

Gdy wszedłem do gabinetu śledczych w Mińsku, to uspokoilem się, bo stało się jasne, że żeby zabić, nie musieli mnie wieźć do głównej siedziby KGB.

Rosyjscy funkcjonariusze, którzy pana zatrzymali, traktowali pana całkiem przyzwoicie. Jak pan sądzi, dlaczego?

Nie byłem „ich” przestępcą. Nie dostali żadnych instrukcji, jak mnie traktować. Nie wiedzieli, kim jestem.

Ale nie wszystkich wiozą do McDonalda.

Nie wszystkich wiozą do McDonalda, ale sami tam pojechali, bo musieli coś zjeść. A skoro już kupili mi leki i wodę, naturalnie więc zapytali: „Dziadku, będziesz coś jadł?”. W ich oczach nie byłem przestępcą. Nie wiedzieli, kim jestem. Zatrzymali mnie w Moskwie, gdzie według nich mogłem przebywać tylko legalnie. A to znaczy, że mogłem być ważnym urzędnikiem, którego kazano aresztować, mogłem być bankierem itd. Dlatego ich sposób traktowania mnie był taki sam, jaki zastosowaliby wobec własnego urzędnika czy bankiera, gdyby zdecydowano go aresztować. To znaczy obchodziliby się z nim zdecydowanie – założyliby kajdanki, założyliby worek, ale raczej nie biliby go pałkami.

W drugim busie byli funkcjonariusze białoruskich służb. Też byli tacy mili?

Tak, to już byli Białorusini. Odnosili się do mnie gorzej. Chciałem zrobić siku, bo minęło z osiem godzin od zatrzymania, a organizm jednak

pracował. Początkowo reakcja była bardzo negatywna. Po tym, jak im powiedziałem: „No tak, będę miał mokre spodnie, ale wachać będziecie wy”. Zatrzymali się i powiedzieli: „No dawaj”. Powiedziałem: „Może rozepniecie mi kajdanki? Raczej wam nie ucieknę, zwłaszcza z workiem na głowie”. Naradzili się, rozpięli kajdanki, a potem znów zapięli.

*SZEFOSTWO ARRESZTU WIEDZIAŁO O MOIM STANIE ZDROWIA.
WIEDZIELI, ŻE JESTEM WAŻNYM PRZESTĘPCĄ I WAŻNE JEST,
ŻEBYM BYŁ ŻYWY.*

Po drodze urządzono, jak to nazwałem, spektakl. Samochód się zatrzymał. To było na terenie obwodu mohylewskiego. Pole. Stał tam samochód osobowy, Żyguli albo jakiś inny. Wysadzili nas. Zdjęli nam kajdanki, zdjęli worki. Wtedy zobaczyłem, że Ziankowicz jechał ze mną. Postawili nas przy samochodzie i włączono lampy czy reflektory innych aut. Nie wiem, mogło być to i to. Kręcono nas kamerą wideo. Prawdopodobnie zamierzali pokazać, że aresztowano nas na terytorium Białorusi. Myślę, że tak by to pokazali, bo w protokole zatrzymania, który dali do przeczytania, było napisane, że zostaliśmy zatrzymani na terytorium Republiki Białorusi w obwodzie mohylewskim w momencie popełnienia przestępstwa. Odmówiłem podpisania tego dokumentu. Powiedziałem, że zatrzymano mnie w Moskwie. Poza tym w dokumencie było napisane, że zatrzymano mnie 12 kwietnia, a zostałem zatrzymany 11 kwietnia. Powiedziano mi, że mogę niczego nie podpisywać. Dokument będzie w aktach. Dokument był w aktach, ale w sądzie o nim nie mówiono.

Potem do gabinetu, w którym mnie posadzili, przyszedł człowiek, który przedstawił się jako podpułkownik Kanstancin Byczak, który teraz stoi na czele Komitetu Śledczego Republiki Białorusi. Wtedy był zastępcą naczelnika Zarządu Śledczego KGB. Zrozumiałem, że całą tą akcją zatrzymania kierował on bezpośrednio.

Ale to moje domysły. Bo inaczej niejasne jest, dlaczego przyszedł, przedstawił się i wyszedł. Zapytał oficera, który prowadził protokół, czy składam zeznania. Ten powiedział, że odmawiam podpisu. Tamten odparł, że to nieważne. To był poniedziałek 12 kwietnia.

We wtorek 13 kwietnia całą tę prawdziwą scenę aresztowania w Moskwie pokazali w rosyjskiej telewizji. I stamtąd informacja poszła już do białoruskich mediów.

Gdzie była wtedy pana żona?

W Moskwie. W biurze, w którym pracowałem, zostawiłem numery telefonów do żony. Zadzwonili do niej, powiedzieli, że zniknąłem, i ona w poniedziałek przyleciała do Moskwy. I do momentu emisji tego materiału w telewizji zdążyła odwiedzić siedem czy osiem tamtejszych kostnic w poszukiwaniu mojego ciała.

W szpitalach istnieje baza danych niezidentyfikowanych chorych, których zabrano z ulicy. I można dowiedzieć się przez telefon pogotowia, gdzie znajduje się pacjent. Nigdzie nie figurowałem, więc zaczęła szukać w kostnicach.

W Mińsku trafił pan do aresztu śledczego KGB, czyli „Amerykanki”.

Kto tam siedział?

Areszt śledczy KGB to miejsce, gdzie przetrzymują przestępców, których sprawy prowadzi KGB. To szczególnie niebezpieczni kryminaliści, szefowie grup przestępczych, handlarze narkotyków na dużą skalę, wielcy łapówkarze, wysocy urzędnicy, oficerowie w stopniu powyżej majora. Czyli ci, którzy z tej czy innej przyczyny posiadają jakieś informacje i których lepiej nie sadzać w jednej celi ze zwykłymi przestępcami. Oraz przestępcy polityczni, tacy jak ja.

Wspomniał pan, że to nie pierwszy pana pobyt w tym areszcie.

Tak, byłem w areszcie śledczym KGB już po raz drugi. Pierwszy raz byłem po wyborach w 2010 roku. Spędziłem tam 109 dni. Z tego 55 dni w izolatce. Wtedy wydawało mi się to straszne. Teraz myślę, że to był areszt w wersji „light”.

Skąd taki wniosek?

Teraz, po pierwsze, miałem dłuższą karę. Po drugie, zmieniło się podejście personelu do osadzonych. Prawie wszyscy, którzy pracowali w latach 2010–2011, odeszli, zostało dosłownie kilku oficerów. Zmieniło się kierownictwo KGB i aresztu śledczego. W związku z tym zmienił się stosunek do nas. O ile śledczy w 2010 roku odnosili się nawet z pewnym szacunkiem i próbowali, powiedziałbym, znaleźć wspólny język, żeby coś zrozumieć, o tyle teraz przyszli młodzi karierowicze, którym zależało na udowodnieniu nie tego, że są profesjonalistami, ale że są oddani władzy.

I dlatego zachowywali się znacznie brutalniej. Z szacunkiem odnosili się tylko ci, którzy pamiętali mnie z 2010 roku.

Kiedy przedstawiono panu zarzuty?

Zgodnie z prawem organy ścigania mają obowiązek przedstawić zarzuty w ciągu trzech dni. I to w obecności adwokata. obrońcy jeszcze nie miałem, dlatego trzeciego dnia przyszła adwokat dyżurna z izby adwokackiej. Była obecna przy pierwszym przesłuchaniu. A potem była już adwokat, z którą umowę zawarła moja żona. Wpuszczali ją, ale nie mogła zadawać żadnych pytań i robić uwag podczas przesłuchania. Kilka razy wpuścili ją, żeby ze mną porozmawiała. Nie w czasie przesłuchania – zapisywała się i na ogólnych zasadach ją wpuszczali.

Czekał pan na proces w „Amerykance”?

Do zakończenia śledztwa tam przebywałem. Potem, kiedy śledczy uznał, że wszystkie pytania zostały zadane, a odpowiedzi uzyskane, przeniesiono mnie do aresztu śledczego numer jeden (SIZO nr 1) w Mińsku, czyli do „Waładarki” przy ulicy Waładarskiego. I tam przebywałem do momentu, gdy trzeba było zapoznać się z aktami sprawy. Było nas pięciu oskarżonych w tej sprawie, a akta liczyły 24 tomy. I było jasne, że wszystko bardzo rozciągnie się w czasie. Podjęto decyzję, byśmy na miesiąc wrócili do aresztu śledczego KGB i tam zapoznaliśmy się z aktami, a potem miano nas odesłać z powrotem do SIZO nr 1. Co też uczyniono. I tam pozostałem już do czasu procesu, w jego trakcie i po wyroku, aż do jego uprawomocnienia się.

Proszę powiedzieć, ilu ludzi było w celach w „Amerykance” i w „Waładarce”?

W „Amerykance” były cztery osoby. Na przykład kiedy przyjechałem zapoznawać się z aktami, siedziałem ja i jeszcze jeden człowiek za inną sprawę. On był biznesmenem oskarżonym o to, że finansował jakieś działania opozycyjne.

Wtedy było bardzo wielu więźniów politycznych. W celach, w których siedziałem, każdy z nas odpowiadał z innych artykułów, ale wszystkie były związane z polityką. KGB w tamtym momencie innymi sprawami się nie zajmowało.

Na „Waładarce” byli różni ludzie. W celi było 15 osób, byli i polityczni, i niepolityczni.

Niepolityczni jak się do pana odnosili?

Do mnie dobrze. I do innych politycznych też. Może mieliśmy celę „light”. Ale z drugiej strony potem w kolonii karnej było tak samo. Wszyscy ludzie, którzy siedzieli z innych artykułów – mordercy, handlarze narkotyków, złodzieje, chuligani, gwałciciele – odnosili się do ciebie tak, jak ty odnosiłeś się do nich. My nie okazywaliśmy żadnej pogardy. Nie traktowaliśmy ich jak ludzi drugiej kategorii. Byliśmy w tej samej sytuacji. I traktowaliśmy ich tak samo, jak traktowaliśmy siebie nawzajem.

Oni widzieli, że mamy gorzej niż oni. Bo ich nie pozbawiali widzeń, a nas pozbawiali. Ich nie pozbawiali paczek, a nas pozbawiali. Nawet jeśli nie podzielali naszych poglądów, to i tak rozumieli, że jesteśmy tacy sami jak oni.

Pan ma chore serce. Jak pan sobie radził z warunkami w „Waładarce”?

Bo 15 osób w celi i wilgoć, duchota – to musiało być ciężkie.

Tam były bardzo złe warunki. Ale był punkt medyczny i felczer pełnił całodobowy dyżur. Szefostwo aresztu wiedziało o moim stanie zdrowia. Wiedzieli, że jestem ważnym przestępcą i ważne jest, żebym był żywy. Dlatego traktowali mnie normalnie, udzielano mi wszelkiej niezbędnej pomocy.

Sposób traktowania to jedno, ale chodzi mi o to, jak pan się czuł.

Źle. Czułem się źle. Ale z drugiej strony zdrowie to był mój jedyny atut, którym dysponowałem, żeby bronić samego siebie.

Taki przykład: trwała wojna z moim śledczym. Śledczy zabrał moje rękopisy, powiedział, że przekaże je żonie, i nie przekazał. Zażądałem, żeby mi je zwrócił – nie zwracał. Wtedy byłem w SIZO nr 1. Ogłosiłem, że nie będę przyjmował leków, dopóki nie zwrócą mi rękopisów. I przez miesiąc ich nie przyjmowałem. Śledczemu było wszystko jedno, miał już gotową sprawę. Było mu obojętne, czy będę żywy, czy martwy, bo zeznania już są. Ale administracji aresztu nie było wszystko jedno. Oni rozumieli, że jeśli umrę, zapytają ich: dlaczego umarł?

Dlatego administracja robiła wszystko, żebym przerwał ten protest. Nie mogli mnie zmusić do przyjmowania leków, więc wywarli presję psychiczną na tych, którzy byli ze mną w jednej celi. Powiedziano im, że jeśli nie będę przyjmował leków, wobec osadzonych w celi zostaną podjęte surowe środki. Dwa razy dziennie będzie odbywało się przeszukanie – a dla

więźniów to jest uciążliwe, bo trzeba wynosić rzeczy, funkcjonariusze wszystko wyciągają z toreb, rozrzucają po podłodze, potem trzeba to zbierać, wrócić, posprzątać. Po dwóch godzinach przychodzą i robią to samo. To jest ciężkie. I dwóch ludzi, którzy byli ze mną w celi, podeszło do mnie i poprosiło, żebym przerwał akcję protestacyjną. Powiedzieli, że przecież dobrze mnie traktują. Oni rzeczywiście dobrze mnie traktowali i pomagali. Na przykład nie mogłem spać na leżąco, bo zaczynałem się dusić. Oni wzięli duże torby, puste, włożyli do nich butelki z wodą i zrobili mi z nich oparcie. Siedziałem na łóżku, spałem na siedząco, tak jak człowiek śpi w fotelu. Powiedziałem zatem tym więźniom, którzy prosili mnie o przerwanie protestu: „Dobrze, dziś piątek, w poniedziałek przerwę. W poniedziałek przyjmę leki”.

ADMINISTRACJA ZAWSZE ZNAJDZIE POWÓD, ŻEBY UKARAĆ WIĘŹNIA.

Poinformowali o tym funkcjonariusza administracji, który nadzorował naszą celę. Ten wezwał mnie i zapytał: „Dlaczego w poniedziałek?”. Powiedziałem: „Chcę pomyśleć”. Odparł: „Nie trzeba myśleć, trzeba się zgadzać. W przeciwnym wypadku wszystkim będzie źle. I źle będzie już dzisiaj”. Zapytał mnie, czego chcę w zamian. Powiedziałem: „Walczę nie z panem, ale ze śledczymi”. I dodałem, że chcę, abym przez cały czas, kiedy tu jestem, przebywał właśnie w tej celi, w której byłem dotychczas. Jedną z form nacisku było bowiem przenoszenie z celi do celi. A dla mnie to było ciężkie. Trzeba było brać wszystkie torby, pościel, materac, poduszkę, koc. I to wszystko trzeba było nieść do innej celi. Nie mogłem zażądać zwrotu rękopisów, bo on tego nie mógłby zrobić. Ale zgodził się na to, aby mnie nie przenosili do innej celi. I kiedy na miesiąc przewieźli mnie z powrotem do KGB, a potem wróciłem, to trafiłem z powrotem do tej samej celi. Ja dotrzymałem słowa, oni dotrzymali słowa.

Ale co z rękopisami?

Oddali mi je później. Stało się tak, gdyż zacząłem nową wojnę z prokuraturą. Zacząłem wysyłać do prokuratury listy. I dopóki pisałem do nich poważne listy, odpowiadali, że ta sprawa rękopisów to bzdura, że to ich nie dotyczy. Potem zacząłem z nich drwić. Potrafię to robić. Jestem zawodowym dziennikarzem i pisarzem i wiem, jak napisać tak, żeby człowiek poczuł się obrażony już po drugim zdaniu. Najpierw były zatem

trzy poważne listy, a potem dwa listy drwiące. I na ostatni list dostałem odpowiedź, że prokuratura przekazała moje żądanie do Zarządu Śledczego KGB w celu udzielenia odpowiedzi merytorycznej, czyli „co do istoty sprawy”. Zatem KGB musiało zameldować prokuraturze o wykonaniu. Przyjechał do mnie śledczy, który powiedział: „Oddam panu rękopisy, ale po tym, jak podpisze pan dokument, że zapoznał się pan z aktami sprawy”. Powiedziałem: „Dobrze”. I kiedy przeczytałem akta, powiedział: „Proszę podpisać”. Zażądałem rękopisów. Otworzył szufladę biurka, wyciągnął rękopisy, położył na stole, a ja podpisałem.

Dlaczego one były tak ważne dla pana?

Musiałem pisać, żeby nie zwariować. To, co pisałem, było zabawnym komentarzem do powieści Uładzimira Karatkiewicza *Kłósy pod sierpem twoim*³. To białoruski klasyk. Gdybym był Polakiem, pisałbym komentarz do *Ogniem i mieczem*, a że jestem Białorusinem, pisałem komentarz do powieści historycznej białoruskiego klasyka.

Dlaczego to tak ważna powieść?

To najważniejszy białoruski tekst literacki, jaki powstał w XX wieku. To nie jest najlepsza książka Uładzimira Karatkiewicza i to nie jest najlepsza książka napisana po białorusku. Myślę, że tak samo jak *Trylogia* Henryka Sienkiewicza to nie są najlepsze książki napisane po polsku w XIX wieku. Ale w powstaniu warszawskim brali udział ci, którzy czytali Sienkiewicza. To zdanie powiedział mi – i zapamiętałem je – reżyser Jerzy Hoffman. A on wiedział, co mówi, bo nakręcił *Trylogię*.

Tak samo jestem przekonany, że powieść Karatkiewicza *Kłósy pod sierpem twoim* to książka zajmująca na Białorusi analogiczne miejsce do powieści Sienkiewicza.

Myśli pan, że ci, którzy wychodzili w 2020 roku w Mińsku, też czytali Karatkiewicza?

Nie wszyscy czytali, ale ci, którzy trafiali do więzienia, starali się przeczytać Karatkiewicza.

³ Uładzimir Siamionawicz Karatkiewicz (1930–1984) – białoruski literat, członek Związku Pisarzy ZSRR. Jego powieść *Kłósy pod sierpem twoim* (białor. *Каласы над сярпом тваім*), będąca pierwszą białoruską powieścią historyczną, została wydana w 1965 roku. W 2023 roku przestała być lekturą w szkołach białoruskich. Nie została dotąd przetłumaczona na język polski.

**Dlaczego w Związku Radzieckim wydano książkę Karatkiewicza?
Ona opowiada o tym, co działo się przed powstaniem styczniowym.**

Z prostego powodu. Oficjalnie Związek Radziecki nie był więzieniem narodów, jakim było Imperium Rosyjskie. Wszystkie narody były równe i miały takie same możliwości. Istniała mitologia o walce przeciwko carowi, przeciwko imperium, ale istniała przyjaźń narodów. I powieść Karatkiewicza była powieścią radziecką. To znaczy główny bohater spotyka się tam z rosyjskimi rewolucjonistami, ale przygotowuje się do walki z caratem. I jednocześnie był tam inny ważny motyw. On kocha Ukraińców, spotyka się z Tarasem Szewczenką, ale przeciwstawiają mu się, gdy przyjeżdża do Wilna, Polacy. To też ważny moment radziecki. Nie wszyscy Polacy, bo młody Zygmunt Sierakowski, którego pokazuje, to pozytywny bohater. Ale Ignacy Chodźko, klasyk literatury, to bohater negatywny.

Dlatego to taka dość radziecka książka. Trzeba ją było przeanalizować z mojego punktu widzenia. Bardzo chciałem to zrobić. Kiedy mnie wsadzili za kraty, miałem dużo czasu. Mogłem zamawiać książki. Wiedziałem, że ta książka jest w księgarni. Zamówiłem, kupiono mi ją i przyniesiono.

Karatkiewicz nie mógł napisać i opublikować w Związku Radzieckim książki, w której można byłoby przeczytać, że Białorusinom jest źle w ZSRR. Ale mógł napisać książkę o tym, że Białorusini walczyli z carskim imperium. Napisał zatem książkę o tym, jak Białorusini przygotowywali się do walki z caratem. Nie doprowadził tematu powstania do końca, ponieważ wtedy musiałyby pokazać, że powstanie było krwawe, że zabijano ludzi. A on nie chciał, żeby jego bohaterowie ginęli. I nie chciał, żeby kogoś zabijali. Przecież ofiary były po obu stronach. I tak jak z rozkazu Michaiła Murawjowa, który był generałem-gubernatorem wileńskim w czasie tłumienia powstania styczniowego, wieszano księży, tak wieszano i prawosławnych duchownych, powstańców. Bo to była wojna. I nie da się od tego uciec.

Powiedział pan, że część tych ludzi, którzy wychodzili w 2020 roku, czytała Karatkiewicza. A czego jeszcze pana zdaniem słuchali, co czytali, że skierowało to ich wtedy na ulice? Pytanie brzmi, co takiego było na Białorusi, że po dekadach rusyfikacji uczyniło Białorusinów Białorusinami?

W 2020 roku te protesty zrazu nie miały charakteru narodowego. Nie wszyscy wtedy czuli się Białorusinami. Dopiero Łukaszenka i wydarzenia 2020 roku zrobiły z nich Białorusinów.

To, co się teraz dzieje na Ukrainie, kiedy trwa wojna, zmusiło ludzi do innego identyfikowania się. Ludzie nie mówią teraz „jesteśmy Ukraińcami” w sensie etnicznym. Na froncie walczą i etniczni Rosjanie, i etniczni Żydzi, i etniczni Białorusini itd. Ale mówią sobie: „walczymy za Ukrainę”. Czyli trwa formowanie się narodu politycznego. To zaczęło się już w 2014 roku.

W 2020 roku na Białorusi takiej świadomości nie było. Było kilka przyczyn wybuchu protestów.

Po pierwsze, bardzo silny był czynnik covidu. I nie chodziło tylko o to, że ludzie będący na Białorusi poczuli się obrażeni i porzuceni, gdy władza powiedziała, że pandemii nie ma. Pojawił się za to ruch wolontariacki związany z covidem.

Był jeszcze inny czynnik. Nazywał się Rosja. Bardzo wielu Białorusinów – przede wszystkim ze wschodnich regionów oraz z małych i średnich miast, gdzie nie było pracy, mężczyźni w wieku od 22–25 lat do 50, czyli ci, którzy mogą pracować, którzy mają rodziny lub chcą założyć rodzinę i potrzebują pieniędzy – jechało do Rosji i tam pracowało. Zaczyna się pandemia. Putin zamyka Rosję. Mówi, że wszyscy cudzoziemcy muszą wyjechać, w tym także Białorusini. Ci ludzie wrócili i zobaczyli, że pieniądze, które przywozili albo przesyłali do domu, skończyły się, bo poziom cen na Białorusi był wyższy niż w Rosji. Po drugie, zobaczyli, że nie ma pracy. Wyjeżdżali – pracy nie było. Wrócili – pracy nie ma. Jednocześnie włączali telewizor i słyszeli, że wszystko jest w porządku. I to wywołało bardzo negatywną reakcję u tych, którym dotąd wszystko było obojętne. Oni zrozumieli, że władza ich oszukuje. Poszli głosować nie na „białoruskość”, nie na Swiatłanę Cichanouską, lecz przeciwko Łukaszence. Gdyby dopuszczono do wyborów Wiktara Babarykę, wynik byłby dokładnie taki sam. Cichanouska zebrała cały elektorat, który był „przeciw”. I okazało się, że to większość. Cichanouska nie grała w „teatrze Łukaszenki”, jak Hanna Kanapacka czy Andrej Dzmityrjew.

Ale protesty potrzebowały jakiegoś symbolu narodowego.

Tak, dlatego pojawiła się flaga biało-czerwono-biała. Na początku to był protest przeciwko Łukaszence. Potem był protest przeciwko temu, że państwo bije ludzi. Ludzi bito, a ludzie nadal wychodzili. Potem był protest przeciwko temu, że państwo znów oszukało. Tym razem ukradło wyniki wyborów. Potem reżim przestał ich już bić pałkami. Zaczął wsadzać do więzienia. Zaczął zwalniać z pracy. A ludzie nadal wychodzili, dopóki

nie przyszła zima. I dalej to już nie władza ich pokonała, ale mróz. Wychodzili już na własne podwórka, nie na ulicę w centrum miasta. Marzli na podwórkach. Przyjeżdżała do nich inteligencja, robiła wykłady. Było podwórko, na które dwa razy mnie przywożono z wykładem. Mówiłem o filomatach i filaretach, o Murawjowie.

Gdyby Cichanouska w tamtym momencie powiedziała: „Dziś wychodzimy, jutro wychodzimy ostatni raz. Macie ferie zimowe, a potem wychodzimy 1 marca”. Wtedy ona zarządzała tym protestem. I był człowiek, przez którego przekazałem tę radę. Nie wiem, czy ta rada dotarła do Cichanouskiej, czy nie. Ale ona nie wydała takiego rozkazu. Ludzie poczuli się porzuceni i przestali wychodzić sami. A potem nikt im nie powiedział, żeby wyszli. Moment został utracony.

Czy Białorusini nie odczuwali żalu, że Rosja tak popiera Łukaszenkę? W zasadzie gdyby nie Moskwa, mógłby stracić władzę.

Rosja wysyłała różne sygnały. Jeśli poszukać w internecie, to w 2020 roku, przed wyborami, Dmitrij Pieskow dwukrotnie oświadczył, że Rosja zaakceptuje każdy wynik i będzie współpracować z tym kandydatem, którego wybierze naród białoruski. Można to było odebrać tylko tak, że Cichanouską – jako głównego kandydata – zapraszają do publicznego wypowiedzenia się na temat jej wizji relacji z Rosją. Wysłałem radę jedynym kanałem, jaki miałem, że Cichanouska powinna wydać publiczne oświadczenie, iż będą przestrzegane prawa wszystkich inwestorów i wszystkich właścicieli mienia na terytorium Białorusi, w tym z Rosji, Ukrainy, Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych, Wielkich Chin – w takim sformułowaniu – i wszystkich innych krajów, kogo by inwestor nie reprezentował. Rosję trzeba było postawić na pierwszym miejscu, choćby po to, żeby zaznaczyć, że Rosja była największym inwestorem na Białorusi. To miał być przekaz o gotowości do rozmowy. Wyróżnienie Chin i Ukrainy było konieczne, ponieważ Ukraina to rzeczywiście bardzo ważny partner gospodarczy, a Chiny w tamtym momencie były już graczem na terytorium Białorusi. Znam struktury, przede wszystkim gospodarcze, przez które Chińczycy próbowali rozmawiać, w tym z partiami politycznymi na Białorusi. Dlatego to było bardzo ważne. Nie posłuchano mnie. To ich prawo.

W momencie, gdy zwycięstwo Łukaszenki przestało być pewne, Kreml odczuł pewien niepokój i ostatecznie postawił na niego.

W 2020 roku pracował pan w Kijowie. Czy czuł pan wtedy, że będą jakieś protesty, że dojdzie do prób zmiany władzy na Białorusi?

W dniu głosowania byłem w Kijowie. Poprosiłem w biurze, gdzie pracowałem, o samochód. Pojechałem pod ambasadę. Na czterech ulicach stali ludzie w kolejce, żeby zagłosować. Przyjechali z całej Ukrainy, żeby zagłosować. I rozumiałem, że nie jechali tam dla Łukaszenki. Dla mnie stawanie w kolejce było bez sensu. Było mi wstyd, że nie przewidziałem tej sytuacji. Po prostu nie wierzyłem, że znajdzie się taka ilość młodzieży, która gotowa będzie pracować przy wyborach za darmo: zbierać podpisy, kontrolować przebieg głosowania. Z mojego punktu widzenia ci, którzy mogli to zrobić, już dawno byli zintegrowani z systemem poprzez Park Wysokich Technologii, czyli specjalną strefę ekonomiczną dla sektora IT. Przez biznes. Wszystko im się układało. I nagle oni to wszystko organizują, i rozumiem, dlaczego. Bo po prostu zmęczeni się życiem w taki sposób.

Przecież jeździli za granicę na wakacje. Jako pracownicy dużych firm IT mieli możliwość kontaktu ze swoimi kolegami za granicą. Ale nie chcieli tak żyć. Nie z motywów emocjonalno-politycznych, lecz ekonomicznych. Politycznym ten protest uczynił sam Łukaszenka. I on tego nie zrozumiał. Do tej pory tego nie rozumie.

Dobrze, ale jeśli widział pan rewolucję 2013–2014 na Ukrainie, to można było jakoś uświadomić sobie, że to samo może być u was? Przecież na Białorusi też narodziła się klasa średnia.

Nie. Co ma do tego klasa średnia? Na Ukrainie była inna sytuacja. Po pierwsze: klanowi donieckiemu, który rządził, przeciwstawiły się wcale nie mniej silne inne struktury gospodarcze. Nie z Doniecka. Czyli były środki finansowe, żeby podtrzymywać żywotność rewolucji godności. Bo były alternatywne źródła, były alternatywne siły polityczne reprezentowane w parlamencie. I te alternatywne siły gospodarcze i polityczne miały do dyspozycji potężne środki masowego przekazu. Monopolizacji mediów na Ukrainie nigdy nie było. I to zasadniczo odróżniało sytuację w Kijowie od sytuacji w Mińsku.

Czyli sama obecność klasy średniej to tylko jeden z czynników?

Prowadziłem zajęcia na białorusko-litewskim Europejskim Uniwersytecie Humanistycznym w Wilnie. Moje zajęcia poświęcone były stosowanym w praktyce technologiom politycznym. Jedne z nich były poświęcone

protestom: w Rosji – na Placu Błotnym w 2011 roku, na Ukrainie – pomarańczowej rewolucji 2004 roku, na Białorusi – protestom w 2010 roku. Dlaczego na Białorusi nie mogło się udać? Nie było alternatywnych przepływów finansowych. Nie było sił opozycyjnych reprezentowanych w parlamencie, które stworzyłyby sytuację dwuwładzy. I nie było alternatywnych mediów.

Coś zaczęło się pojawiać do 2020 roku. Były kanały internetowe, które jednak nie obejmowały większości społeczeństwa. Jeśli kanał NEXTA, który był największy, miał milion odbiorców, to jest to tylko 10 procent ludności Białorusi. A reszta albo w ogóle nie otrzymywała informacji, albo otrzymywała je z mediów państwowych. To bardzo poważny czynnik. Głównymi odbiorcami informacji są duże miasta, a w nich określone grupy wiekowe oraz społeczne. To dobrze, ale to za mało.

W rezultacie protestów powstała sytuacja, w której wszystkie oddziały OMON-u i specnazu przyjechały do stolicy, lecz protest nie koncentrował się wyłącznie w stolicy. Zamiast wzmacniać protesty w miastach obwodowych i tzw. miastach drugiej linii, sztab opozycji podjął decyzję, by wszystkich ściągnąć do Mińska. Tak, 400 tysięcy ludzi na ulicach stolicy wygląda imponująco i to było bardzo ważne. Ale największe starcia były w Pińsku, w Grodnie, w Brześciu. A tam nie było mediów zdolnych do rozpowszechniania informacji. Wszystko opierało się na mediach społecznościowych – to słuszne podejście, ale niewystarczające.

Do tego trzeba było się przygotować. Na miejscu powinno być dwóch-trzech prawników, którzy mogliby pełnić funkcję konsultantów. Tego zabrakło.

W 2010 roku nikt nie ściągał OMON-u z Brześcia i Mohylewa do Mińska – sądzono, że wystarczy to, co jest na miejscu. W 2020 roku władze już rozumiały, że to za mało. W efekcie centrum zostało nasycone mundurowymi, a prowincję pozostawiono samą sobie.

Ale ludzie z prowincji też przyjechali do Mińska.

Nie wszyscy. I tu należało dopilnować, by zostali na miejscu. Jeśli już ich ściągnięto, należało ich jakoś zorganizować, przydzielić im konkretne zadania. Zamiast tego mówiono: przejdziemy się tam, a potem tam.

16 sierpnia, tydzień po wyborach, gdy odbywał się ogromny marsz setek tysięcy Białorusinów w Mińsku, był dniem kluczowym. Tego dnia

okazało się, że władza nie ma środków. Gdyby w tym momencie sztab Swiatłany Cichanouskiej powiedział: idziemy pod rezydencję – bramy by im otworzono. To było tydzień po wyborach.

Był pan wtedy w Kijowie i zdecydował się wrócić do Mińska?

Nie. Doradca polityczny nie porzuca klienta w trakcie przygotowań do wyborów. Mógłbym wyjechać tylko w razie śmierci kogoś bliskiego. Wróciłem do Mińska 24 września, kiedy zakończył się kontrakt.

Nie bał się pan wtedy zatrzymania?

Największe aresztowania osób, które nie brały bezpośredniego udziału w protestach, zaczęły się w 2021 roku. Do tego czasu władze zajmowały się tymi, którzy uczestniczyli w manifestacjach. W lutym 2021 roku wyjechałem do Moskwy – była praca. Rosja przygotowywała się do wyborów lokalnych i do Dumy.

Czy nie myślał pan o wyjeździe na Zachód?

Wyjechałem do pracy. Mam dwuosobową rodzinę, mnie i moją żonę. Musiałem zarabiać pieniądze, żebyśmy mogli z czegoś żyć. Pojechałem tam, gdzie zaoferowano mi pracę. Gdyby zaproponowano mi pracę w Polsce – znam trochę język polski – pojechałbym do Polski.

Porozmawiajmy zatem o tej sprawie, przez którą został pan później zatrzymany. Jak to wszystko przebiegało?

Przedstawiciele białoruskich służb skontaktowali się z adwokatem Jurasiem Ziankowiczem. On posiadał paszport obywatela Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie nie oddał paszportu obywatela Republiki Białorusi, choć miał obowiązek zdać paszport i powiadomić władzę o tym, że przestał być obywatelem. Prowadził aktywną działalność w internecie. To tak zwane wojska kanapowe: „będziemy walczyć z władzą, siedząc na kanapie”. Stale krytykował władzę. Przy czym robił to w bardzo ostrej formie. Rozumiem, że w końcu zwrócono na to uwagę, choć jego wystąpienia w internecie miały nie więcej niż tysiąc wyświetleń na YouTube. Maksimum było ich półtora tysiąca.

We wrześniu 2020 roku przyjechał do Mińska. I wtedy jeden z widzów jego kanału napisał do niego, że chce się spotkać, bo jest wojskowym. Spotkali się. To był podpułkownik, który służył w Sztabie Generalnym.

Prawdziwy podpułkownik, który rzeczywiście służył w Sztapie Generalnym do 1 stycznia 2021 roku. I o ile rozumiem, gdy odchodził ze sztabu, to formalnie służył już w KGB. Ten podpułkownik Iwan Żurauski powiedział, a wszystko to zostało nagrane i figurowało potem w aktach sądowych, że reprezentuje grupę wojskowych, którzy są niezadowoleni z panującego reżimu i zamierzają zawiązać spisek. Ziankowicz w to uwierzył. Powiedziano mu, że potrzebne są pieniądze i jakiś plan polityczny, co będzie dalej. Ziankowicz powiedział, że spróbuje zdobyć fundusze, a co do planu, to go opracuje. Pieniądzy nie znalazł, w sumie wydał – jak wynikało ze śledztwa – około 16 tysięcy własnych dolarów. Wyobraża pan sobie, jaką rewolucję można zrobić za 16 tysięcy dolarów?

I ile krwi można przez nie przelać? Obok niego był pan Dzmitryj Szczyhelski. To był ten psychiatra, który swego czasu postawił Łukaszenkę diagnozę „psychopatia”, a potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pochodzi z Grodna. Skontaktował się ze mną i zaproponował mi udział w projekcie, który opracuje przyszłość Białorusi. Zgodziłem się. Potem powiedział mi, że to wszystko będzie planem, który stanie się podstawą dla rządu stworzonego w wyniku zamachu stanu.

PRZEGLADAŁEM KIEDYS PROGRAM FILMOWY NA TYDZIEŃ
I ZOBACZYŁEM, ŻE BĘDĄ WYŚWIETLAĆ FILM MIŁOŠA FORMANA
LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM. POMYŚLAŁEM, ŻE WARIUJĘ,
BO ZAMIERZALI POKAZAĆ TEN FILM LUDZIOM, O KTÓRYCH ON OPWIADA.
ŻYLIŠMY W STANIE OBŁĘDU.

Usłyszałem to, w co byłem gotów uwierzyć. Rzecz w tym, że w 2020 roku armia była jedyną strukturą polityczną, która nie brała udziału w tłumieniu protestów. Co więcej, w internecie pojawiło się nagranie narady z generałami, którą prowadził minister obrony Wiktar Chrenin. Z tego nagrania wynikało, że generałowie nie chcą, aby armia była angażowana w tłumienie protestów. I Chrenin rzeczywiście, kiedy występował, powiedział, że armia nie będzie tego robić, armia weźmie pod ochronę to, co mamy najdroższe: Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Stworzono obraz, z którego wynikało, że główne jednostki armii zostały wysłane do obwodu grodzieńskiego, na granicę. Z jednej strony można to było interpretować jako strach przed interwencją ze strony Polski. A z drugiej mógł to być strach przed własną armią.

I uwierzyłem. Zadałem jedno pytanie: „Czy można im ufać?”. Na co Ziankowicz odpowiedział mi: „Sprawdziłem ich”. I miałem rację, kiedy mówiłem oficerowi FSB: „Gdybym był mądry, to by mnie pan teraz nie wiózł”. Bo gdybym był mądry, to domyśliłbym się, żeby zadać kolejne pytanie: „Jak? Jak ich sprawdzałeś?”. Obawiam się, że nie znalazłby odpowiedzi. Ale w tamtym momencie uwierzyłem w to, w co chciałem uwierzyć. Dlatego kiedy potem odbył się sąd i wygłaszałem ostatnie słowo, powiedziałem, że brałem udział w spisku. Wierzyłem, że to realny spisek, a nie inscenizacja KGB. Bo jeśli powiem, że wierzyłem, iż może to być inscenizacja KGB, to dajcie mi pistolet, zastrzelę się. To wstyd. A skoro uwierzyłem, że to spisek, to muszę przyznać, że to był spisek.

Kiedy brał pan udział w tym „spisku”, był pan w Moskwie – czy czuł się pan bezpieczny?

Najpierw byłem w Mińsku, potem w Moskwie. Nie popełniłem żadnego przestępstwa na terytorium Federacji Rosyjskiej. Za co mieliby mnie aresztować?

Zrozumiałe, ale istnieje współpraca Białorusi i Rosji.

Istnieje procedura. Zgodnie z nią, abym mógł zostać aresztowany w Federacji Rosyjskiej, musiałbym popełnić przestępstwo na jej terytorium. W sądzie mój adwokat powiedział, że złamano prawo Federacji Rosyjskiej, prawo Republiki Białorusi oraz umowy dwustronne. Rosja nie miała prawa mnie wydawać, jeśli nie popełniłem przestępstwa na jej terytorium. Oczywiście sędzia udawał, że tego nie słyszy. Ale wymieniano tam konkretne artykuły kodeksów karnych Rosji i Białorusi oraz punkty umowy o współpracy między służbami specjalnymi.

Myśli pan, że te procedury mają jakieś znaczenie dla władz w Moskwie czy w Mińsku?

Nie. Ale dla przyszłego sądu będą ważne. Wierzę, że sąd prędzej czy później się odbędzie. I nawet jeśli mnie już nie będzie na tym świecie, to i tak jest ważne.

Został pan skazany na 10 lat pobytu w kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. W grudniu 2022 roku trafił pan do IZO-15, kolonii karnej numer 15 w Mohylewie. Jakie warunki tam panowały?

Nie żyłem w celi, lecz w dużym pokoju, gdzie były otwarte drzwi i można było wyjść na korytarz. Przypominało to dobrze wyremontowany szpital. Nasza sypialnia różniła się od sali chorych tym, że było tam znacznie więcej ludzi – dziewięć piętrowych prycz, czyli 18 osób.

Były taborety, szafki nocne. Każdy miał swoją, jak w szpitalu. Było biurko, przy którym można było siedzieć. Była szafa, w której można było powiesić rzeczy.

Toaleta była wspólna na korytarzu. Można było wyjść, pójść do łazienki i do toalety.

Więźniowie byli podzieleni na grupy (*otriady*). Razem chodzili do pracy, stołówki, organizowali sprzątanie pomieszczenia, w którym mieszkają. W oddziale było od 80 do 120 osób. Zazwyczaj w jednym budynku mieszkały trzy grupy. W bloku wielopiętrowym oddział zajmował jedno piętro. My mieliśmy budynek, który przypominał nie blok, lecz radzieckie przedszkole. Oddzielny, dwukondygnacyjny budynek otoczony płotem. Wewnątrz tego ogrodzenia można spacerować, można ćwiczyć. Jest wyznaczone miejsce do palenia. Jest miejsce, gdzie można powiesić pranie, żeby wyschło.

Wewnątrz tego ogrodzenia toczy się twoje życie. Rano zaczyna się od sprawdzenia obecności, wieczorem kończy się tak samo. W naszym budynku, oprócz sypialni, była świetlica (pokój pracy wychowawczej zwany również *lenkomnatą*), gdzie nas zbierano, gdy trzeba było z nami porozmawiać lub wygłosić wykład. Mieliśmy tam też czas na oglądanie telewizji.

Była także „stołówka”. Ale to nie ta, w której jedliśmy więzienny prowiant, lecz miejsce, gdzie przechowywaliśmy jedzenie kupione w sklepach lub przywiezione przez bliskich. Stały tam trzy lodówki. Były pudełka na naczynia i produkty, które się nie psują. Można było trzymać ciastka. Cukier był zabroniony, bo można było z niego robić samogon. Ale można było mieć sól, sosy, coś jeszcze.

Oprócz tego stały dwie pralki, w których można było prać ubrania, ale nie bieliznę – majtki i skarpetki prałeś ręcznie sam. Natomiast całą resztę, bo musiałeś zachować czystość, prało się w pralce. Jeśli miałeś proszek do prania. Bo byli tacy, którzy nie dostawali paczek z domu i nie mieli proszku. Oni prali sami w wiadrach. Grzali wodę, gotowali, namaczali i tam prali.

Wspomniął pan o świetlicy. Jakie kanały telewizyjne można było oglądać?

Były normalne kanały telewizyjne. O ile białoruskie kanały można nazwać „normalnymi”. Dorastałem w Grodnie i pamiętam rok 1981 w Polsce. Muszę powiedzieć, że polska telewizja za czasów generała Wojciecha Jaruzelskiego była uczciwsza niż białoruska za Łukaszenki czy rosyjska za Putina.

Były też kanały rosyjskie, ale ocenzurowane. Na Białorusi nie ma tych samych programów, które oglądają Rosjanie, tylko to, co u nas pozwolono oglądać. Wstawiano tam białoruskie audycje. Główne programy informacyjne starali się ograniczać. Niezależnie od tego, co mówią o byciu wiernymi sojusznikami Rosji, bardzo boją się powtórki wariantu ukraińskiego. Był też własny kanał telewizyjny kolonii, który dwa razy w tygodniu pokazywał wiadomości z obozu: kogo zamknięto w izolatorze, kogo skazano na dodatkowy wyrok, kogo zwolniono przedterminowo, jaką naradę przeprowadził naczelnik kolonii. Pokazywano tam też filmy – były to głównie bardzo tanie i słabe filmy. Jakies japońskie anime i drugorzędne rosyjskie oraz amerykańskie. Ale kilka razy pokazali klasykę. Przykładowo przeglądałem kiedyś program filmowy na tydzień i zobaczyłem, że w czwartek będą wyświetlać film Miloša Formana *Lot nad kukułczym gniazdem*. Pomyślałem, że wariuję, bo zamierzali pokazać ten film ludziom, o których on opowiada. Bo żyliśmy w stanie obłądu. Zdążyłem przekazać więźniom politycznym, że w czwartek oglądamy telewizję. I wszyscy więźniowie polityczni w kolonii siedzieli i oglądali film, żeby zrozumieć, co miałem na myśli. Oni należeli do pokolenia, które już nie znało Formana.

Czy w tej kolonii było wielu więźniów politycznych?

Dziesięć procent siedziało z artykułów politycznych. Przy czym jedni wychodzili na wolność, a pojawiali się nowi.

Pracował pan w kolonii karnej?

Codziennie. Z wyjątkiem sytuacji, gdy czułem się źle i miałem zwolnienie lekarskie.

Czym się pan tam zajmował?

Przydzielano nas do pracy. Naczelnik, który doskonale wiedział, kim jestem i jaką mam specjalizację, zapytał: „Jakie ma pan wykształcenie?”. Odpowiedziałem, że jestem filologiem, doktorem nauk filologicznych. Zapytał siedzącego obok oficera, potem dowiedziałem się, że to dyrektor

strefy przemysłowej: „Potrzebujecie filologa?”. Tamten odrzekł: „Nie potrzebujemy korektora, nie trzeba tu nic czytać”. Powiedziano mi, że pójdę sprzątać halę produkcyjną. Zgodziłem się. Sprzątać halę – czemu nie? Sprzątałem wtedy, gdy czułem się dobrze.

Co to była za hala?

To był tak zwany odcinek pracy nisko wykwalifikowanej. Na początku czyściliśmy tam druty. Kabel metalowy, aluminiowy lub miedziany to metal kolorowy. Trzeba po prostu usunąć izolację. Ktoś stał i czyścił, a ktoś inny potem zamiatał, bo inaczej nie dało się tam wytrzymać. Było tego mnóstwo, a normy odzyskiwania metalu bardzo wysokie. Potem wszystkim zmieniała się praca. Zaczęli kleić torby na mleko w proszku. To było zamówienie na eksport do Chin. Później zgłosiła się jakaś prywatna firma z zamówieniem na montaż łóżek polowych. Myślę, że to było zamówienie Ministerstwa Obrony Rosji. A jeszcze później było duże zamówienie na składanie sztucznych kwiatów do wieńców nagrobnych.

Dla Rosji?

Nie wiem, raczej nie. To bardzo dochodowy biznes na miejscu. Wieńce na Białorusi są potrzebne cały czas, a sztuczne są tańsze od żywych.

W każdym razie te rodzaje prac nie generowały już tyłu śmieci. A ponieważ sprzątaczy było kilku, to mówili mi: „Niech pan siedzi, nie przeszkadza”. Ale zrozumiałem, że gdy zostanę bez zajęcia, zacznę zasypiać w hali. A to było zabronione. Nie wysłaliby mnie za to do karceru, ale pozbawiliby mnie dodatkowych paczek, widzeń i całej reszty. Więc żeby nie zasnąć, zacząłem czyścić druty razem z małą grupą ludzi, która wciąż to robiła. Miedziany drut można było czyścić gołymi rękami – był owinięty w specjalny papier albo folię. Robiłem to bez użycia noża.

Zarabiał pan tam jakieś pieniądze?

Jakieś tak. Raz otrzymałem „bardzo dużą” sumę: rubel i dziewięćdziesiąt kopiejek, czyli mniej więcej 2 złote 35 groszy.

Powiedział pan, że pracował, gdy nie był na zwolnieniu lekarskim. Często pan na nim bywał?

Często. Lekarze tutaj, po zwolnieniu, kiedy przechodziłem badania i zrobiono mi echo serca, powiedzieli, że mam bliznę na ścianie serca.

To oznacza, że przeszedłem zawał. Mikrozawał „na nogach”. Tam mi nikt o tym nie mówił. W kolonii karnej często traciłem przytomność. Kiedy mdlałem, wzywano nosze i zanoszono mnie do ambulatorium. Personel medyczny robił wszystko, żeby utrzymać mnie przy życiu, bo rozumie-
li, że będą za mnie odpowiadać. Administracja też to rozumiała. Robili wszystko, by doprowadzić mnie może nie do wyleczenia, ale przynajmniej, żeby uniknąć mojego zgonu. Myślę, że w momencie mojej deportacji najszcześniejszymi ludźmi nie byłem ja czy moja żona, ale właśnie administracja kolonii.

Jak wyglądało jedzenie w kolonii karnej?

Mieliśmy szczęście. Nasz podpułkownik odpowiedzialny za zaopatrzenie był bardzo rzetelny. Przez trzy lata widziałem, jak jedzenie staje się coraz lepsze. To nie było jedzenie domowe – nie da się usmażyć ziemniaków, zrobić schabowych czy sałatki dla dwóch tysięcy więźniów. Ale można ugotować kaszę. Podawano purée ziemniaczane, gotowane jajka (dwa lub trzy razy w tygodniu). Nawet kasze stały się z czasem lepsze – zamiast pęczaku pojawiała się gryczana czy jagłana. Starali się różnicować ja-
dłospis. Jedyne, z czym sobie nie radzili, to makaron, bo makaron trzeba odcedzić! A tam jest ogromny kocioł, w którym gotuje się dla 500 osób naraz. Jak to odcedzić? Nie da się. Lepiej mieli ci na diecie „wzmocnionej”, dla chorych. Dostawaliśmy rano szklankę soku jabłkowego i pięć razy w tygodniu szklankę mleka. Wszyscy nam zazdrościli.

Ryby były w formie okropnych kotletów z tanich gatunków. Mięso też tylko jako kotlety. Ale w dni „kotletowe” wszyscy starali się przyjść na posiłek. Więźniowie funkcyjni (brygadziści itp.), którzy zwykle jedli własne jedzenie z domu lub ze sklepu, na kotlety przychodzili zawsze. To było święto. Podobnie jak niedzielne obiady z pielmieniami lub pieroga-
mi z mięsem. Choć akurat pielmienie z czasem stały się gorsze – kupowali tańsze mięso i dawali ich mniej. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że „na wolności” musi być bardzo krucho z gospodarką.

Dostawał pan paczki od żony?

Tak, dopóki nie zostałem ich pozbawiony za karę. Administracja zawsze znajdzie powód, żeby ukarać więźnia. Na przykład jeden z więźniów wyszedł na wolność i udzielił wywiadu o tym, jak siedział, i wspomniał o mnie. Wywiad dotarł do Mińska, stamtąd zadzwonili do Mohylewa. Wezwał

mnie naczelnik i zapytał, czy prosiłem tego człowieka o takie wypowiedzi. Powiedziałem prawdę: nie. Odparł: „To jak pan wyjdzie, podziękuję”. W ciągu dwóch dni nałożono na mnie cztery nagany. Muszą to robić narastająco, żeby móc pozbawić widzeń i paczek. Akurat miałem okrągłe urodziny, na które z żoną „oszczędzaliśmy” limit widzeń i paczek. I wszystko mi zabrali.

PRZYJECHAŁEM TAM W TAK ZŁYM STANIE, ŻE PRZYGOTOWYWAŁEM SIĘ NA ŚMIERĆ. A KIEDY CZEKASZ NA ŚMIERĆ, KIEDY NIC OD CIEBIE NIE ZALEŻY, TO MYŚLISZ ZUPEŁNIE O CZYM INNYM: O TYM, JAK ZOSTANIESZ ZAPAMIĘTANY.

Powód zresztą może być dowolny: nie przywitałeś się z oficerem. Mogłem siedzieć tyłem do drzwi i go nie zauważyć, ale raport idzie – „nie przywitał się”. To prawda, nie przywitałem się, nie mam oczu z tyłu głowy. Ale jeśli będę się tłumaczył, dopiszą kolejny raport za pyskowanie.

Gdy mówił pan o warunkach w kolonii karnej, na przykład o kuchni, trochę to brzmiało, jakby to było sanatorium...

Łukaszenka mówi, że to sanatorium, a ja przez pierwsze pół roku myślałem, że umrę. Przyjechałem tam w tak złym stanie, że przygotowywałem się na śmierć. A kiedy czekasz na śmierć, kiedy nic od ciebie nie zależy, to myślisz zupełnie o czym innym: o tym, jak zostaniesz zapamiętany.

Wielu ludzi, którzy ze mną siedzieli, po wyjściu pyta mnie: „Jak pan to przeżył?”. Odpowiadam: „Przeżyłem, bo było mi wstyd”. W pewnym momencie byłem najstarszy wiekiem i miałem największe doświadczenie polityczne. Obok mnie byli chłopcy, którzy mogliby być moimi synami lub wnukami – urodzeni w XXI wieku. Nie mogłem pozwolić, by zobaczyli, że się boją. Widzieli, że czuję się źle, ale widzieli już niemłodego faceta, który się trzyma. Myślałem o tym, jak wyglądam w ich oczach.

Chciał pan być dla nich wzorem?

Tak. I dla wielu, jak się okazało, się nim stałem. Oni mi o tym powiedzieli, a ja mówiłem im wprost: „Trzymam się, bo wstyd mi przed wami. Nie wychodziłem na ulice, nie bito mnie pałką. Mam tu lepsze warunki niż wy, bo z powodu zdrowia nie zamykają mnie w karczerze (SZIZO), a was tak. Dlatego muszę być silny”. To kwestia szacunku do samego siebie i do ludzi obok. Choć kiedy widzieli, że upadam, to mnie podtrzymywali.

Czy spotkał się pan z torturami w kolonii?

Mnie nie torturowano. Pół roku przed zwolnieniem jeden z oficerów powiedział mi zdanie, które zapamiętałem: „Pan jest u nas na pozycji «politycznego wora w zakonie»”. To oznaczało wysokiego rangą członka świata przestępczego. Byłem kimś takim.

Nie tylko przez biografię, ale głównie przez zdrowie. Bali się mnie dotknąć. Bali się, że rozsypię się na ich oczach. Rozumieli, ile siły kosztuje mnie samo stanie na nogach. Traktowali mnie z dystansem: „Dziadku, nie łączą nas z tobą żadne umowy. Jak każą rozstrzelać, to rozstrzelamy, ale póki co – żyj”. To było ich stanowisko, a ja starałem się zachowywać adekwatnie do tego, jak oni się zachowywali. Administracja nie chciała, by informacje o mnie wyciekały, dlatego moja żona nie udzielała wywiadów. Ale nie mogłem zabronić mówić tym, którzy wychodzili na wolność. I oni opowiadali.

Jak wyglądał moment, w którym dowiedział się pan o tym, że wyjdzie na wolność?

Nie dowiedziałem się. Leżałem na oddziale szpitalnym przez półtora miesiąca. Administracja pewnie wiedziała, że nastąpi zwolnienie, i odizolowali mnie tam. Oni nie wiedzieli dokładnie, kiedy będą zwalniać. Oprócz tego mieli powód, bo zemdlałem w strefie przemysłowej trzy razy w październiku. Na początku listopada wezwało mnie kierownictwo i powiedzieli, że tak być nie może, więc czy chcę, czy nie chcę, to muszę iść na oddział szpitalny. Dali mi dwie godziny, żebym zebrał rzeczy, wziął prysznic i się ogolił. Zgodziłem się. Minęło półtora miesiąca. 24 lutego miała być operacja.

O piątej rano budzi mnie godzinę przed pobudką zastępca komendanta: „Ubierać się, idziemy”. Idziemy obok budynku karceru. Pyta: „Wie pan, dokąd was prowadzę?”. Odparłem: „Wiem, że nie tutaj, bo nikt nie pisał na mnie raportu o naruszeniu regulaminu. I wiem, że nie na rozstrzelanie, bo nie słychać strzałów”. Potwierdził, że nie, więc powiedziałem, że się domyślam dokąd.

Zaprowadzili mnie do tzw. *etapki*, pokoju rewizji, gdzie więzień jest kontrolowany, gdy przyjeżdża albo przed wywiezieniem z kolonii, etapem. Mówiłem, że nie wiem, gdzie mnie wiozą, jeśli jadę sam, a jeśli jest wiele osób, to się domyślam. Przyszło jeszcze 20 innych osób z naszej kolonii. Zapytałem o moje rzeczy, w tym rękopisy. Powiedzieli, że je zbrali i są

już w autobusie. Mówiłem, że naczelnik kolonii obiecał mi, że oddadzą mi rękopisy. Strażnik powiedział, że nie ma żadnych problemów. I ich nie było, bo po prostu je gdzieś sobie zabrali. Bardzo bali się mojej hysterii.

Wszystkich posadzili do autobusu. Mnie ostatniego. Skuli mi ręce z przodu (innym z tyłu), nałożyli mi czapkę, jak wszystkim, i pojechaliliśmy do granicy, by przekazać nas Ukraińcom.

W późniejszych wywiadach mówił pan, że tego rodzaju uwolnienia więźniów politycznych to „handel ludźmi”. Od początku pan tak o tym myślał?

O niczym na początku nie myślałem. Nie ma sensu myśleć o tym, czego nie możesz zmienić. Musiałem myśleć o jutrze. Przez cztery dni w Czernihowie mówiono nam sprzeczne rzeczy: „jedźcie do Wilna”, „możecie albo zostać na Ukrainie, albo pojechać do Polski, albo na Litwę”, „musicie jechać na Litwę i podpisać teraz dokumenty”. W końcu, po konsultacjach między MSZ-ami, pozwolono nam wybrać między Warszawą a Wilnem.

Większość nie wiedziała, co robić. Ja miałem łatwiej. Mam dyplom doktora habilitowanego wydany przez Uniwersytet Jagielloński. Znam trochę język, mam kontakty w świecie akademickim i wśród dziennikarzy. Mam znajomych w polskim MSZ. Jak trzeba, to dobiję się i do Radosława Sikorskiego.

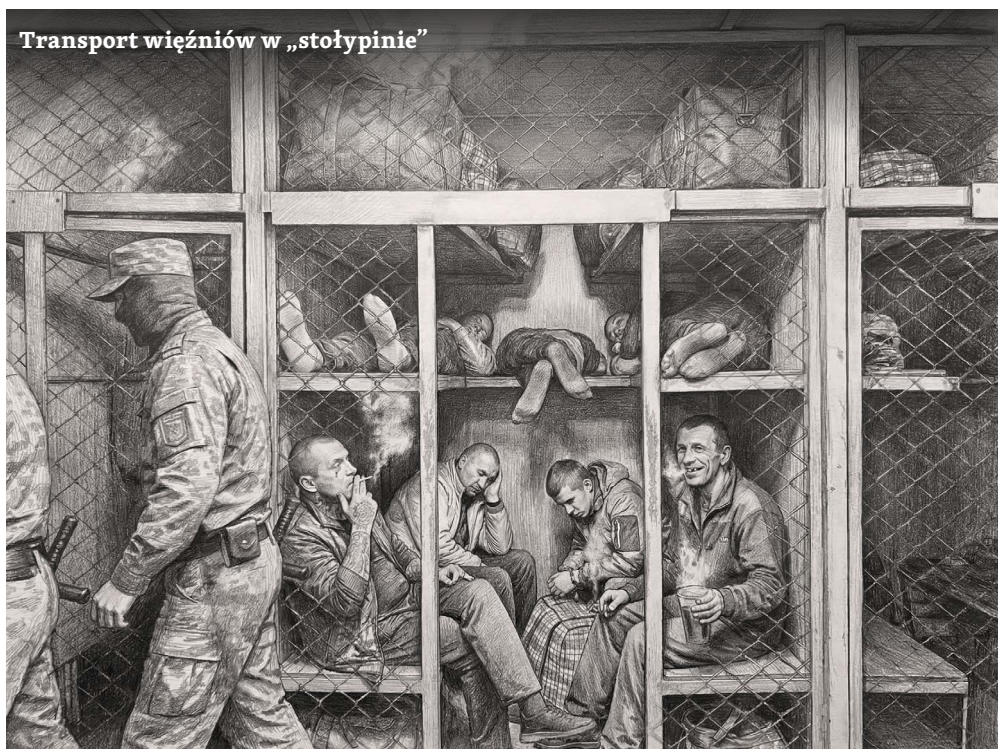
Wybrałem Polskę, bo tu mam szansę na pracę. Ale pojawiły się pytania: gdzie będę mieszkał? Z czego żył, skoro nie mogę pracować bez legalizacji? Wyrzucono mnie bez paszportu! Musiałem myśleć o tym, co jutro, a nie o tym, co było wczoraj. Inaczej po co w ogóle było wyjeżdżać?

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.

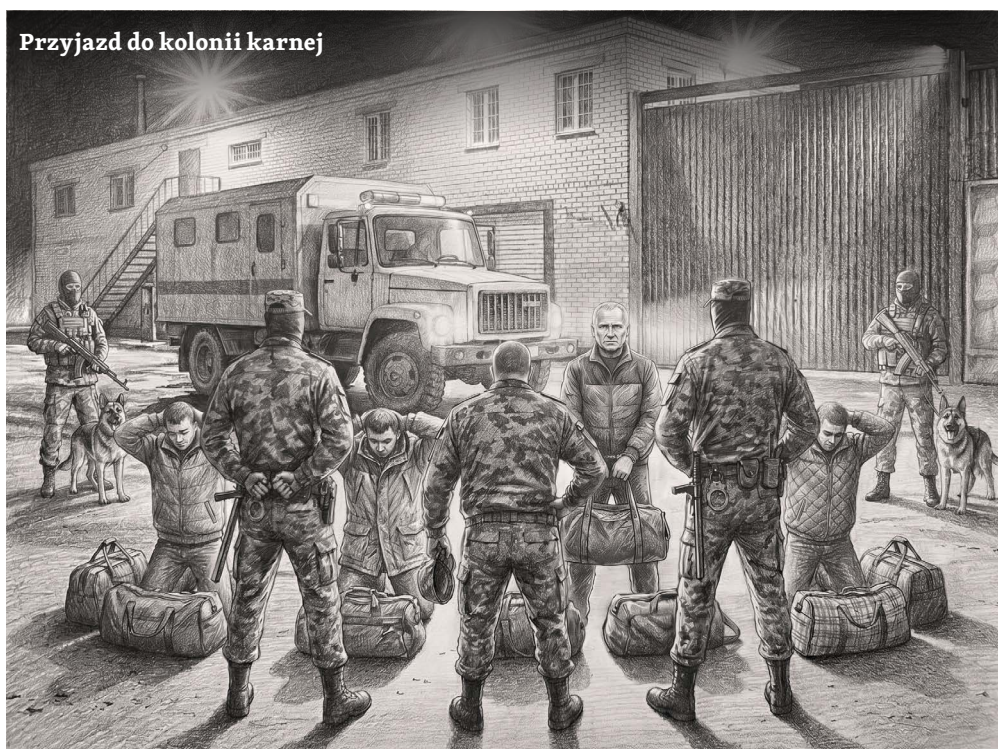
Zamiast fotografii

Nie dysponując - z oczywistych powodów - dokumentacją fotograficzną rzeczywistości Archipelagu Białoruś, publikujemy grafiki artysty skazanego na kilka lat pobytu w jednej z kolonii karnych. Przekazując nam swoje prace, poprosił o zachowanie anonimowości. Ukazują one różne etapy życia więźnia politycznego z dokumentalną precyzją, której nie powstydziliby się fotograf. Wraz z bardziej symbolicznymi rysunkami Wiktara Parchimczyka, które także publikujemy w tym tomie, stanowią nie tyle uzupełnienie wywiadów, co świadectwo równe owym relacjom byłych więźniów - tylko w innej formie. Dzięki tym grafikom łatwiej wyobrazić sobie, o czym nam mówią byli więźniowie, a co w Europie wydawałoby się już nie do pomyślenia...

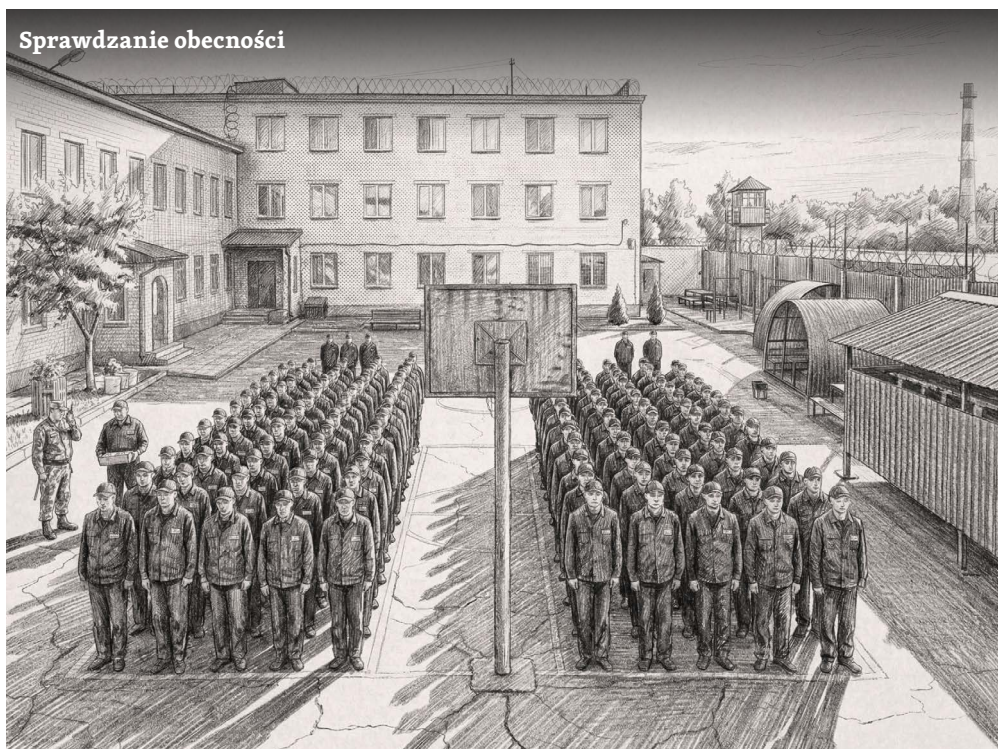
Transport więźniów w „stołypnie”



Przyjazd do kolonii karnej



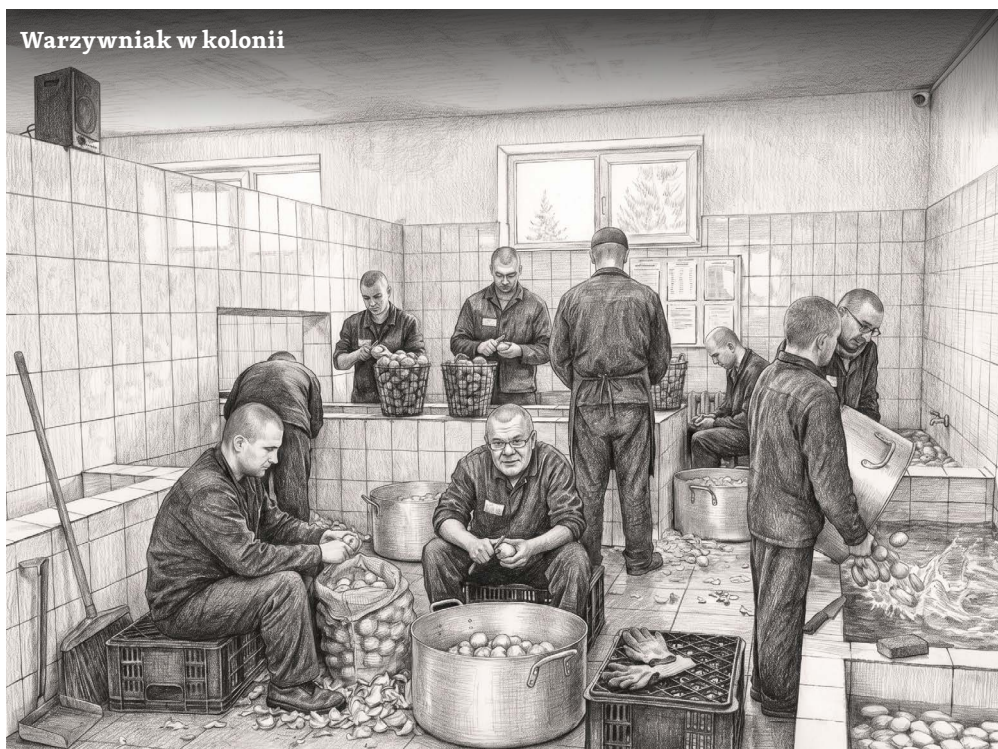
Sprawdzanie obecności



Godzienna niypraca w kolonii



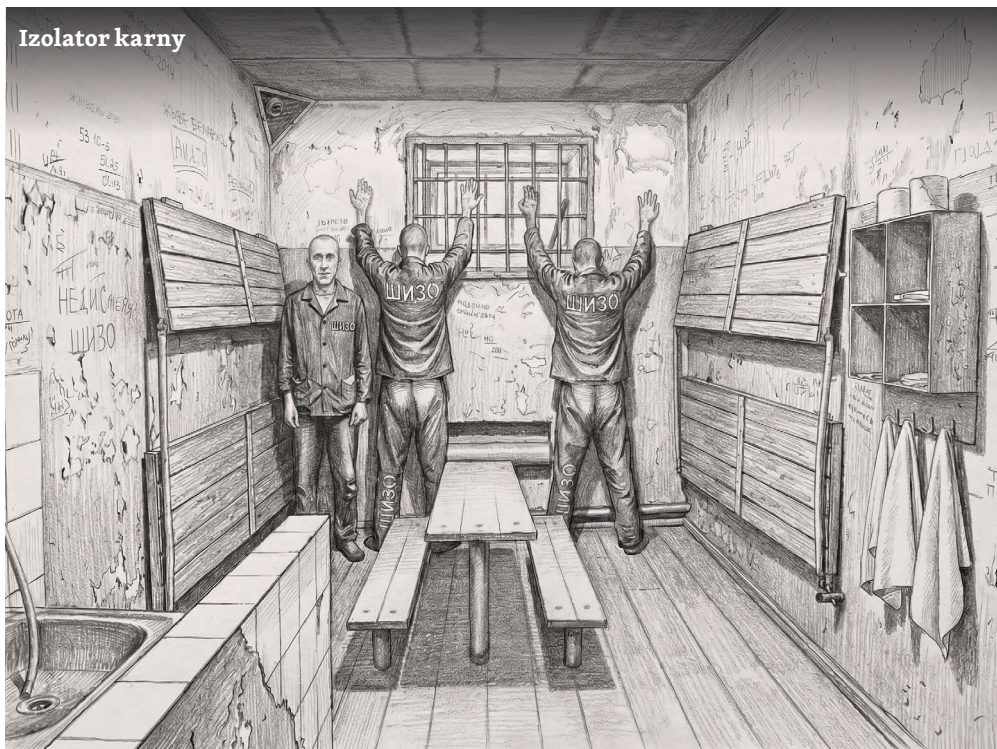
Warzywniak w kolonii



Spacer



Izolator karny



Zwykły dzień w SIZO



Posłowie: sowieckie wzorce, białoruska precyzja

Kamil Kłysiński, Agnieszka Romaszewska-Guzy

Przez ponad 30 lat swoich rządów Alaksandr Łukaszenka znacząco rozwinął system represji, głównie w oparciu o wzorce sowieckie, które twórczo zaadaptował i uzupełnił. Z pełną odpowiedzialnością można powiedzieć, że efektem było przekształcenie Białorusi po 2020 roku w wielką maszynę terroru.

Ewolucja systemu represji na Białorusi

Sięgając po najwyższy urząd w państwie w 1994 roku, Łukaszenka stał się dla wielu niewiadomą. Co prawda znane były jego prorosyjskie poglądy, sentymentalne podejście do epoki ZSRR oraz skłonność do populizmu, lecz nie było wówczas oczywiste, że zbuduje system represji bezwzględnie łamiący prawa człowieka i podstawowe zasady demokracji. Jego dyktatorskie zapędy obnażyły już dwa referenda zorganizowane w 1995 i 1996 roku. Pierwsze przeprowadzono w sprawie rezygnacji z narodowej symboliki państwowej i przywrócenia rosyjskiemu statusu języka urzędowego. Drugie natomiast było de facto siłowo przeforsowaną nowelizacją konstytucji w kierunku autorytaryzmu.

Demontaż kolejnych elementów demokracji spotykał się ze sprzeciwem zarówno opozycyjnych elit politycznych, jak i świadomych swoich praw obywateli. Reakcja reżimu od samego początku była brutalna – demonstrantów pacyfikowano, bestialsko bito, wsadzano do aresztów.

Wiosną 1997 roku pojawili się pierwsi więźniowie polityczni. Za kraty trafili wówczas Juryj Chadyka i Wiaczasław Siuczyk – liderzy głównego ugrupowania opozycji, czyli Białoruskiego Frontu Ludowego. W proteście przeciwko bezprawnemu zatrzymaniu obaj działacze podjęli głodówkę, po kilku tygodniach zostali jednak zwolnieni na osobistą prośbę prezydenta Borysa Jelcyna, a postępowanie karne w ich sprawie umorzono.

W tym samym roku zapadły pierwsze wyroki na tle politycznym. Poeta Sławamir Adamowicz za wiersz *Zabij prezydenta* został skazany

na dziewięć miesięcy pozbawienia wolności, a krytyczny wobec reżimu deputowany Rady Najwyższej (rozwiązanej w 1996 roku) oraz biznesmen Uładzimir Kudzinau na siedem lat (odsiedział cztery i po wcześniejszym zwolnieniu natychmiast wyjechał za granicę). Dwaj młodzi ludzie – Alaksiej Szydłouski i Wadzim Łabkowicz – dostali wyroki po półtora roku kolonii karnej za malowanie politycznego graffiti.

We wczesnym okresie rządów Łukaszenki reżim stawiał dopiero pierwsze kroki w dziedzinie represji, badając własne możliwości i reakcje zarówno społeczeństwa, jak i międzynarodowej opinii publicznej. W tym czasie głównym celem byli nie tyle działacze opozycji, co przede wszystkim ludzie z otoczenia Łukaszenki, którzy mogli stanowić realne lub potencjalne zagrożenie dla jego pozycji w państwie. Na karę więzienia skazywano wybranych przedstawicieli nomenklatury (taki los podzielili m.in. minister rolnictwa Wasil Lawonau, szef resortu handlu zagranicznego i były ambasador na Łotwie Michaił Marynicz oraz były premier Michaił Czyhir).

Doszło również do serii do dziś niewyjaśnionych porwań i prawdopodobnie zabójstw osób uważanych za szczególnie groźne dla dyktatora. W 1999 roku zniknęli m.in. były szef MSW Juryj Zacharanka i szef Centralnej Komisji Wyborczej Wiktar Hanczar. Ostatnim aktem tej pacyfikacji niepokornych lub nielojalnych „swoich” było skazanie w 2006 roku na pięć i pół roku więzienia byłego rektora stołecznego uniwersytetu Alaksandra Kazulina – za to, że odważył się rzucić Łukaszence wyzwanie i stanął do walki w wyborach prezydenckich.

Jednocześnie już od początku lat 2000. reżim szykował się do rozprawy z niepokornymi obywatelami, wolnymi mediami oraz działaczami opozycyjnymi. W 2001 roku w znowelizowanym Kodeksie karnym znalazły się zapisy o karach za „znieważenie i zniesławienie Prezydenta Republiki oraz innych przedstawicieli władz”. Pierwszą ofiarą tych opresyjnych przepisów była popularna gazeta grodzieńska „Pahonia”, którą zamknięto. Jej redaktor naczelny Mikołaj Markiewicz oraz dziennikarz będący autorem artykułu, który uznano za zniesławiający Łukaszenkę, Paweł Mażejka zostali skazani na odpowiednio dwa oraz dwa i pół roku tzw. chemii, czyli kary polegającej na pracy przymusowej i ograniczeniu wolności. Choć ostatecznie skrócono im okres odbywania kar, to zastosowane wówczas nowe narzędzia represji zapoczątkowały praktykę szerokiego stosowania prawa do zwalczania oponentów reżimu, co miało ułatwić kontrolę

nad społeczeństwem. Z czasem reżim zwiększał bazę prawną o kolejne kontrowersyjne rozwiązania, takie jak np. odpowiedzialność karna za działanie w imieniu niezarejestrowanej organizacji. W zestawieniu z permanentnym brakiem szans na legalizację większości niezależnych podmiotów przybrało to kształt absurdałnej kwadratury koła.

Rytm i skalę represji wyznaczały kolejne wybory prezydenckie, które były sprawdzianem odporności reżimu na presję społeczną i zewnętrzną – ze strony krytycznego wobec łamania praw człowieka i standardów demokracji Zachodu. W trakcie kampanii wyborczych dochodziło do największej mobilizacji trzeciego sektora oraz opozycji politycznej, do której w mniejszym lub większym stopniu dołączali obywatele. Stąd też zarówno w 2006, jak i w 2010 roku protesty społeczne, skupione głównie w Mińsku, zostały brutalnie stłumione, a ich uczestnicy, w tym liderzy sprzeciwu oraz kontrkandydaci Łukaszenki, trafili do aresztów. W następstwie tych wyborów po raz pierwszy w historii suwerennej Białorusi pojawiły się większe grupy więźniów politycznych, których liczba, miejsce osadzenia oraz los stały się przedmiotem stałego monitoringu organizacji obrony praw człowieka, z najbardziej uznanym centrum Wiasna na czele.

Działania reżimu sprowokowały krytyczną reakcję Zachodu, a unijne i amerykańskie sankcje na stałe weszły do agendy trudnej współpracy Zachodu z Białorusią, gdy po każdej próbie dialogu dochodziło do załamania w stosunkach. Wyroki były jak na tamte czasy surowe, sięgały zwykle pięciu lat, a w przypadku radykalnego i pryncypialnego krytyka Łukaszenki, byłego wojskowego Mihałaja Statkiewicza, zasądzono nawet sześć lat więzienia. W sumie w różnych placówkach penitencjarnych z przyczyn politycznych znalazło się kilkadziesiąt osób. Od zwalnianych stopniowo (terminowo lub przedterminowo) więźniów można było usłyszeć opowieści o torturach fizycznych i psychicznych związanych z trudnymi warunkami panującymi w więzieniach, o biciu, pozbawianiu snu, szykanach ze strony personelu więziennego oraz o braku regularnego kontaktu z bliskimi.

W niezależnych białoruskich mediach, a także w cyklicznych raportach obrońców praw człowieka coraz więcej miejsca poświęcano trudnej, a niekiedy dramatycznej sytuacji w więzieniach, koloniach karnych, aresztach śledczych i innych placówkach penitencjarnych, które pod względem infrastrukturalnym, organizacyjnym i mentalnym w zasadzie nie wyszły z epoki ZSRR. Po części taki stan rzeczy wynikał

z braku środków na remonty, budowę nowych obiektów i nowoczesne kształcenie kadr. Był to również istotny komponent świadomej polityki reżimu, upatrującego w sowieckim więziennictwie wzorzec do naśladowania. W ówczesnej świadomości ekspertów, dziennikarzy i działaczy pozarządowych reżim po 2010 roku miał osiągnąć szczyt swoich możliwości zastraszania milczącej większości i karania najbardziej aktywnych i niepokornych jednostek.

Wybory w 2015 roku przebiegły bardzo spokojnie, do czego przyczyniły się zarówno świeża jeszcze pamięć o represjach sprzed pięciu lat, jak i strach przed agresywną polityką Rosji, która dopiero co anektowała Krym i wsparła separatyzmy w Donbasie. Białorusini niemal podświadomie konsolidowali się wokół Łukaszenki, postrzeganego – na tle ogarniętej wojennym chaosem Ukrainy – jako gwaranta pokoju i bezpieczeństwa. Na Białorusi w tamtym czasie wyraźnie odczuwalna była odwilż.

Represje zaczęły się nasilać od 2017 roku i protestów bezrobotnych. Dramatycznym przełomem w historii białoruskiej dyktatury okazał się rok 2020. Nadzwyczajna, nienotowana od pierwszej połowy lat 90. masowa aktywność obywateli w kampanii prezydenckiej wiosną i latem, wysoka mobilizacja społeczna podczas głosowania 9 sierpnia, a następnie szeroki bunt społeczny przeciwko sfałszowaniu wyników wywołały bezprecedensową agresję ze strony reżimu.

Podczas starć z siłami porządkowymi w pierwszych dniach po wyborach wielu demonstrantów zostało rannych, były również ofiary śmiertelne – pierwszy wyraźny sygnał, że Białoruś wkracza w nową, dużo mroczniejszą rzeczywistość. Zatrzymywani setkami latem i jesienią protestujący byli dosłownie upychani w zbyt małych, nieprzystosowanych do takiej skali represji aresztach śledczych, oraz w obiektach tymczasowo zaadaptowanych do celów penitencjarnych. Wśród funkcjonariuszy milicji, KGB, wojsk wewnętrznych i innych formacji panowało przyzwolenie na nieograniczone okrucieństwo, do jakiego nie dochodziło na żadnym z poprzednich etapów wieloletnich rządów Łukaszenki. O bezwzględności służb świadczyły nie tylko opowieści ofiar, lecz także zdjęcia ich okaleczonych ciał.

Brutalna i niemal natychmiastowa reakcja reżimu na masowe protesty powyborcze nie była jedynie spontaniczną reakcją satrapii zagrożonej ze strony zbuntowanych obywateli. Łukaszenka oraz jego otoczenie, w którym coraz większą przewagę zdobywali przedstawiciele struktur

bezpieczeństwa, doszli do wniosku, że tego rodzaju wydarzenia mogą się powtórzyć. Dlatego też po spacyfikowaniu do końca 2020 roku protestów w następnym roku przystąpiono do działań systemowych wymierzonych w szerokie kręgi społeczeństwa.

Całkowicie podległe władzy wykonawczej sądy, opierając się na sfabrykowanych oskarżeniach, zaczęły wydawać wobec zatrzymanych uczestników lub zwolenników protestów wyroki, które swoją surowością znacząco wykraczały poza dotychczasowe „standardy”. Stosowane wcześniej kary administracyjne kilku lub kilkunastu dni aresztu (najczęściej 15) stały się tylko przygrywką. Zazwyczaj stanowiły wstęp do spraw karnych i znacznie surowszych wyroków, zaczynających się od roku lub dwóch lat pozbawienia wolności. Najsurowsze wydano w październiku 2022 roku w robionej wyraźnie „na postrach” sprawie znanego opozycjonisty, przedsiębiorcy z Wołkowyska, weterana z Afganistanu Miłkołaja Autuchowicza, któremu wraz z ośmioma innymi osobami urządzono pokazowy proces o terroryzm. Autuchowicza skazano na 25 lat więzienia, a pozostałych, z jednym wyjątkiem, na kary od 16 do 20 lat.

Wyjątkowo surowo potraktowano też liderów protestów i kandydatów w wyborach prezydenckich – Siarhiej Cichanouski otrzymał 18 lat, Wiktar Babaryka i Miłkołaj Statkiewicz po 14 lat. Zbliżony wymiar kary w trybie zaocznym otrzymali również przebywająca na emigracji główna rywalka Łukaszenki Swiatłana Cichanouska i były minister kultury Pawieł Łatuszka. Jak słusznie zauważyli obrońcy praw człowieka, po raz pierwszy na szerszą skalę zastosowano artykuł o zdradzie państwa, który był podstawą wyroków także dla niezależnych dziennikarzy. Znacząco pogorszyły się warunki odbywania kar, a szykany wobec osadzonych zaczęły mieć systemowy, z góry zaplanowany charakter, co potwierdzają zarówno szczegółowe raporty obrońców praw człowieka, jak i osobiste świadectwa byłych więźniów, w tym bohaterów tej książki.

W pierwszej połowie 2021 roku zbudowano całkiem skuteczną – i, jak pokazały kolejne lata, pieczołowicie aktualizowaną w razie potrzeb – bazę prawną do wydawania surowych wyroków oraz prześladowania kolejnych ofiar. Dotyczyło to też tych, którzy swoją postawę okazywali jedynie w sieciach społecznościowych, nie tylko poprzez komentarze, lecz także zwykle lajki pod „niewłaściwymi” postami. Na skutek przyjętych wówczas nowych aktów prawnych bądź nowelizacji obowiązujących do kanonu represji weszły takie pojęcia jak „ekstremizm” czy „rehabilitacja nazizmu”.

Nowego, politycznego znaczenia nabrał również termin „terroryzm”. Za pomocą tych słów-kluczy, obudowanych specyficzną interpretacją prawną, można było zatrzymać, a następnie skazać dowolną osobę podejrzewaną o poglądy lub działalność niezgodną z oficjalną linią władz. Stałą praktyką było też karkołomne stosowanie artykułów Kodeksu karnego.

Łukaszenka i jego otoczenie zdecydowali się na ewolucję w kierunku totalitaryzmu, rozwijając stosowane od lat 90. praktyki terroru na niespotykaną wcześniej skalę. Liczba więźniów politycznych rosła niemal z każdym dniem. Według wyliczeń obrońców praw człowieka od 2020 roku status więźnia politycznego otrzymało ponad 4400 osób, co, jak można szacować, oznacza, że przez więzienia i kolonie karne Białorusi przeszło co najmniej kilkanaście tysięcy osób. Liczba ta nie obejmuje przy tym dziesiątków tysięcy wyroków administracyjnych.

Obrońcy praw człowieka informują o udokumentowanych przypadkach 1100 więźniów politycznych, którzy obecnie odbywają karę. Zarazem byli więźniowie jednogłośnie podkreślają, porównując spisy z własnym doświadczeniem, że udokumentowane przypadki więźniów politycznych to jedna czwarta, a w niektórych koloniach karnych nawet jedna trzecia spotkanych przez nich osób skazanych z artykułów politycznych. Należy również podkreślić, że opuszczający więzienia po odbyciu zasądzonej kary są zastępowani przez nowych.

Anatomia terroru

Dwoma fundamentalnymi cechami stworzonego na Białorusi systemu represji są jego powszechność i nieprzewidywalność. Mówiąc wprost, chodzi o to, by KAŻDY w razie potrzeby mógł być ZAWSZE ukarany za COKOLWIEK. Dotyczy to sytuacji zarówno na zewnątrz systemu penitencjarnego, czyli na wolności, jak i wewnątrz więzień oraz kolonii karnych. Kryterium jest jedynie wola funkcjonariuszy systemu w określonym miejscu i na danym etapie. Co więcej, za to samo „przewinienie” można być ukaranym surowiej lub łagodniej. W analogicznych sprawach można było dostać wyrok dwóch albo sześciu lat więzienia.

W miarę upływu czasu od 2020 roku system staje się coraz surowszy. Wszystkie wyobrażenia, że tego typu system dyktatorski automatycznie łagodnieje w momencie spacyfikowania niewygodnych dla władzy wystąpień, w przypadku Białorusi są fałszywe. System łukaszenkowski petryfikuje się i staje coraz bardziej bezwzględny w ferowaniu kar.

Przyczyna jest prosta do wyjaśnienia. Mechanizm represji został najpierw bezprecedensowo rozbudowany, a następnie zadziałała znana z innych krajów dyktatorskich logika obrony swojego stanu posiadania i wydatków budżetowych przez rozrośnięte struktury siłowe. Niezależnie do sytuacji starają się one cały czas udowodnić decydom, że są niezbędne, ponieważ kraj pełen jest spisków, terrorystów i dywersantów.

Pojęciem, które budzi w białoruskich funkcjonariuszach największą furję, jest „sprawiedliwość”. W kolejnych relacjach więźniów pojawiają się świadectwa, że karano ich za cokolwiek albo nawet zupełnie bez powodu i nikt tego nie krył. Jeśli jednak powiedzieli, że coś jest niesprawiedliwe, i zaczęli to uzasadniać, była to prosta droga do karczeru. Cały system represji wobec więźniów politycznych zbudowany jest tak, by zrozumieli, że nie ma w nim żadnych reguł. Nie istnieje nawet najsurowszy regulamin, którego ścisłe przestrzeganie chroniłoby przed represjami, jeśli władza uzna je za potrzebne. Likwiduje to jakąkolwiek podmiotowość ludzi. U Białorusinów stoi to w dodatku w sprzeczności z ważną cechą, którą się szczycą – zdyscyplinowaniem i przestrzeganiem ustalonych reguł. W zasadzie nie ma żadnego innego porządku niż wymóg wyzbycia się na każde żądanie władzy własnej godności i podmiotowości.

Pierwszym etapem, który już na początku ma pokazać każdemu więźniowi, że znalazł się w świecie trudnych do wytrzymania represji, jest areszt milicyjny, do którego trafia się po zatrzymaniu. Warunki tam od lat są fatalne – brud, chłód albo upał i wilgoć. Już w 2006 roku w grodzieńskim izolatorze czasowego zatrzymania (biał. *Izalatara czasowaha utrymannia*), czyli areszcie milicyjnym, nie dawano zatrzymanym ani materaców, ani koców. Przebywało się tam w takim ubraniu, w jakim się przyszło, a spało się bez przykrycia na twardych deskach. Wówczas jeszcze pozwalano na dostarczenie aresztowanemu paczki higienicznej i ubraniowej oraz wody. Dziś w większości przypadków jest to niemożliwe. Zatrzymanych wrzuca się do celi praktycznie bez niczego.

W białoruskich warunkach taki areszt może trwać do 72 godzin. Potem w przypadku więźniów politycznych sprawa najczęściej kończy się wyrokiem administracyjnym – 10, 15 bądź 30 dni. Niekiedy jednak zasądza się nawet kilka kilkunasto- czy kilkudziesięciodniowych wyroków z rządu. Po wypuszczeniu bowiem człowiek może natychmiast zostać ponownie aresztowany i skazany na kolejną karę administracyjną. Albo stawia mu się zarzuty karne i wszczyna śledztwo, w czasie którego część

czasu, zwłaszcza podczas przesłuchań, więźniowie polityczni spędzają w tym samym areszcie. Karę administracyjną także odbywa się zazwyczaj w tego rodzaju areszcie, choć samo miejsce może być inne – wszystko zależy od lokalizacji. Łatwo sobie wyobrazić, że spędzenie w takich warunkach dwóch czy czterech tygodni, a czasem i trzech miesięcy, w jednym ubraniu, często ekstremalnie marznąc w nocy, bez możliwości umycia się, dla wielu obywateli, którzy wcześniej nie mieli żadnych konfliktów z prawem, jest traumatycznym przeżyciem i wystarcza im, by już nigdy nie chcieli tego powtórzyć.

Po wydarzeniach 2020 roku areszty milicyjne, a zwłaszcza areszt na ulicy Akreścina w Mińsku, zamieniono dodatkowo w izby tortur. Areszt na Akreścina podzielony jest na część przeznaczoną dla zatrzymanych i część dla tych, którzy odbywają kary administracyjne. Właściwie z wszystkich relacji wynika, że warunki drastycznie pogorszyły się podczas protestów 2020 roku. Nagminnie bito tam i znęcano się nad setkami zatrzymanych. Stosowane wówczas metody wymagają poświęcenia im osobnego opracowania. W celach panował niewyobrażalny tłok i upał (lato), ludzie mdleli z braku wody, stali wiele dni jak w zatłoczonym autobusie, nie mogli się położyć, bo nawet na podłodze nie było miejsca. Z różnymi fluktuacjami i, jak wynika z relacji, niewielką poprawą w 2021 roku, taka sytuacja trwała co najmniej do 2024 roku, a niewykluczone, że trwa do dziś.

W kilku relacjach, zwłaszcza więźniów aresztowanych w latach 2023–2024, powtarzają się informacje o nieludzkim tłoku w celach. Ihar Karniej relacjonuje, że przebywał przez 10 dni z dziewięcioma innymi osobami w pomieszczeniu karczeru o wymiarach 1,75 na 3 metry. Zmicier Kuczuk opowiada, że siedział w celi, gdzie było osiem miejsc do spania i 17 ludzi oraz panowała tak wysoka wilgotność, że para skraplała się na ścianach. Kolejna cela, w której przebywał z 13 osobami, miała około sześciu metrów kwadratowych.

Trzeba tu dodać, że cele białoruskich więzień i aresztów najczęściej mają wewnątrz niczym nieosłoniętą ubikację. W wielu przypadkach to nawet nie sedes, lecz otwarta dziura, z tzw. pedałami – miejscami do postawienia stóp. Ona też mieści się na tym metrażu. Bardzo często w nocy w celach pali się światło, a więźniowie, o ile w ogóle udaje im się spać, są kilkakrotnie w nocy budzeni, aby składać meldunki. Nierzadko panuje wszawica. Warunki przebywania w zamknięciu stają się pierwszym

i zasadniczym sposobem maltretowania i torturowania więźniów politycznych, poczynając już od wstępnego aresztu milicyjnego.

Bicie zdarza się również po 2020 roku (m.in. w przypadku Pawła Mażejki), ale zazwyczaj są to incydenty sporadyczne. Natomiast cały system skupia się na stworzeniu dla więźnia politycznego warunków, które będą maksymalnie trudne do wytrzymania. Według relacji byłych osadzonych stosunkowo znośne warunki panują w licznych aresztach śledczych, niemniej różnią się one w zależności od lokalizacji. Za jedno z najgorszych więzień uchodzi to w Grodnie. Wiele zależy też od stanu technicznego (stary czy nowy budynek itd.) oraz od kierownictwa. Typowe są wielkie zatłoczenie celi (na Waładarce w Mińsku nawet trzypiętrowe prycze - nary) oraz fatalne warunki sanitarne (cuchnąca kanalizacja itd.). Wobec więźniów politycznych stosuje się także presję. Mowa przede wszystkim o naciskach podczas śledztwa: o nieustannym przetrzymywaniu z celi do celi, gdzie często starsi ludzie muszą przenosić się co parę dni z pomieszczenia do pomieszczenia z materacem, pościelą i wszystkimi rzeczami, o specyficznym doborze współosadzonych kryminalnych, którzy zajmują się „rozmiękczeniem delikwenta”, przedstawiając mu najgorsze scenariusze rozwoju jego sytuacji. Nagminnie stosowana jest praktyka meldowania się, czasem co trzy godziny, czasem nawet co godzinę, przez okienko w drzwiach wraz z formułką „taki a taki skłonny do ekstremizmu”. Technika rozmiękczenia bywają też represje stosowane wobec wszystkich osadzonych w celi (na przykład kipisze z przewracaniem wszystkich rzeczy), co powoduje nacisk na „politycznego” ze strony współwięźniów, jeśli nie zachowa się w odpowiedni sposób.

Osobną torturą dla więźniów politycznych są długie przewozy wagonami zwanymi „stołypinkami”, z zakratowanymi przedziałami, z więzienia do więzienia lub kolonii karnej. Przejazdy trwają niekiedy i kilkanaście godzin, a cały transport kilka lub kilkanaście dni, poprzez kolejne więzienia – punkty etapowe. Bardzo często zakratowane przedziały są tak zatłoczone, że nie można usiąść. Wraz z ludźmi do przedziału musi się zmieścić cały ich bagaż. Przy tym mężczyźni więźniowie polityczni – jako należący do tzw. 10. kategorii więźniów „skłonnych do ekstremizmu”, oznaczanych plakietkami w kolorze żółtym – całą tę podróż odbywają skuci kajdankami z tyłu. Trudno sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji można nieść torby czy inne bagaże albo poradzić sobie w ubikacji. Jednocześnie

więźniowie pod konwojem niemal zawsze muszą się poruszać schyleni wpool, często poganiani, by biegl, a czasem wręcz skakali.

Cały system penitencjarny Białorusi zbudowany jest tak, by każdą pozornie prostą, codzienną czynność więźniowi politycznemu utrudnić i by ją przekształcić w kolejną szykanę bądź torturę.

Praktycznie uniemożliwia się korespondencję albo przynajmniej drastycznie ją utrudnia. Nagminnie odbiera się politycznym prawo do widzeń z rodziną. Więźniowie przez kilka lat mają dwa lub trzy widzenia, a niektórzy nie mają ich wcale. Więzień zmuszony jest witać się z każdym strażnikiem, którego napotka, choćby go widział wiele razy w ciągu dnia (nieprzywitanie jest częstym powodem sporządzania raportów karnych). Poza tym w każdej najdrobniejszej dziedzinie funkcjonowania więźnia może go spotkać przykra niespodzianka. Jak relacjonuje Halina Dzierbysz, ze względu na złośliwe stosowanie regulaminu przez strażniczkę (klawiszkę) nie pozwolono jej przez wiele godzin zmyć z włosów farby, którą nałożyła w czasie przeznaczonym na zajęcia własne, co doprowadziło do poważnego poparzenia skóry głowy.

Kolejne utrudnienia zmieniają pobyt w kolonii karnej w nieustające pasmo drobnych walk o przetrwanie. Nawet system przechowywania rzeczy służy utrudnianiu życia. Tylko bardzo niewielką i ściśle określoną liczbę oraz rodzaje przedmiotów wolno trzymać w małej szafce koło pryczy. Pozostałe trzeba za każdym razem wyjmować z toreb umieszczonych na półkach w niewielkim magazynku, który otwierany jest jedynie w pewnych godzinach i przez krótki czas. Wówczas robi to naraz kilkudziesięciu osadzonych w danym oddziale kolonii karnej, przy czym polityczni zazwyczaj dostają w tym pomieszczeniu półki pod sufitem. W około 100-osobowych oddziałach znajdują się trzy gniazdka elektryczne umożliwiające zagotowanie wody itp. Według regulaminu trzeba być ogolonym i wolno mieć w szafce golarkę elektryczną, ale ładowarkę do niej trzeba za każdym razem wyjmować z bagażu w magazynku, a następnie wkładać tam z powrotem.

Za każde spóźnienie, niezauważenie strażnika, nawet nieumyślne niedostosowanie się do wymogów grożą kary, począwszy od odebrania i tak nielicznych widzeń i paczek aż po karcer. Polityczni muszą z zasady zajmować górne prycze tuż przy wejściu do sali, co w przypadku osób starszych, mających niekiedy kłopoty z poruszaniem, stanowi poważny problem. To oni, w większym zakresie niż kryminalni, wykonują wszelkie prace porządkowe w kolonii.

Więźniowie polityczni w znacznym stopniu skazani są też na własny wikt. Wyżywienie w kolonii karnej opisywane jest różnie – przez niektórych jako obrzydliwe, przez innych jako znośne (w zależności od kolonii), ale z pewnością nie jako wystarczające. Większość więźniów drastycznie schudła, co było widać gołym okiem po uwolnieniu niektórych z nich. A już w szczególności jedzenia nie wystarcza, gdy więzień znajduje się notorycznie w karcerze, gdzie wydaje się specjalne, gorsze racje żywnościowe, a chłód wysysa z każdego siły żywotne. Więźniowi można dostarczyć 50-kilogramową paczkę raz na trzy miesiące, a jeśli odbywa karę w surowszym reżimie – wzmocnionym, to raz na cztery miesiące. Tymi wiktuałami, a także produktami zakupionymi w więziennym sklepiku, w dużym stopniu żywią się osadzeni. To największy kłopot dla tych, którzy nie mają na wolności nikogo, kto mógłby przesłać paczkę. Reguły więzienne są jednak bardzo surowe – musi to być członek bliskiej rodziny. Ponadto konfiskata paczki to chętnie stosowana represja. Więźnia można bowiem ukarać karcerem, a wówczas paczka, która przysłała w tym czasie, przepada. Osobnym problemem jest to, że dostarczoną w ogromnej ilości naraz żywność często trudno jest przechowywać (bo np. w 100-osobowym oddziale są dwie lodówki).

Kolejnym sposobem represjonowania więźniów politycznych jest obniżona względem więźniów kryminalnych suma, którą polityczny może mieć na koncie, aby zakupić żywność w sklepiku (na wypiszę). W ostatnim czasie docierają doniesienia, że niektórzy osadzeni są całkowicie pozbawiani możliwości zaopatrywania się w sklepiku więziennym, co przy niewystarczających racjach żywnościowych jest niezbędne do utrzymania się przy życiu.

Kolonia karna to miejsce, gdzie reżim Łukaszenki, z pozoru humanitarnie przetwarzając dawny sowiecki system łagrowy, zastosował jego twórczą modernizację. Choć w porównaniu z czasami sowieckimi polepszone ogólne warunki bytowe, to zarazem stworzono tam system nieustannych represji wewnętrznych. SZIZO (biał. *Sztrafny izalatar*) – czyli karcer jako narzędzie znęcania się nad ludźmi, a w szczególności nad więźniami politycznymi – to osobny rozdział w białoruskim systemie penitencjarnym. Więźniowie żyją w nieustannym zagrożeniu, bo w każdej chwili mogą trafić do karceru. Umieszczanie w nim więźniów politycznych pod dowolnym pretekstem (jak zwracaliśmy już uwagę wyżej, w białoruskich obozach i koloniach karnych nie funkcjonują żadne

jasne reguły) jest normą. Represje te spotkały niemal wszystkich byłych więźniów, z którymi rozmawialiśmy. Tylko jednego z naszych rozmówców nie zamykano w karcerze (60-letniego, chorego na serce Alaksandra Fiaduty), zapewne dlatego, że administracja kolonii bała się, iż przy jego stanie zdrowia może tego nie przeżyć. Po przypadkach Witolda Aszuraka, zmarłego w 2021 roku w karcerze kolonii w Szklowie, oraz Alesia Puszkina, zmarłego w 2023 roku po przewiezieniu do szpitala z grodzieńskiego więzienia, obawiano się kolejnych zgonów.

Wobec kobiet karcer stosowany jest nieco rzadziej, głównie w celu łamania szczególnie niepokornych więźniarek. O takich doświadczeniach opowiedziała Palina Szarenda-Panasiuk. W karcerze umieszcza się zazwyczaj „twarde łoże” – metalowe prycze na dzień podnoszone i przyczepiane do ścian, a otwierane jedynie na noc. Śpi się na nich bez materaców, bez pościeli, w większości przypadków nawet bez koca. Nie wolno mieć absolutnie niczego poza szczoteczką do zębów i ręcznikiem. Żadnych książek czy przyborów do pisania. Więzień przebierany jest w specjalny „karny” drelich, czasem można pod nim zachować ciepłą bieliznę, czasem nie. Niekiedy w karcerze przebywa kilku więźniów, często tylko jeden. Bardzo często jest tam nie do wytrzymania zimno, zwłaszcza nocą. Charakterystyczne są relacje więźniów kolonii w Bobrujsku, którzy opisują karcer znajdujący się na piętrze, gdzie jest drewniana podłoga, jako niemal znośny w porównaniu z pomieszczeniem znajdującym się w piwnicy i wyłożonym kafelkami. Tortury chłodem i brakiem snu stosowane są nagminnie. Ludzie dzień po dniu nie mogą spać z powodu zimna, robią przysiady, ćwiczą, by się rozgrzać, a gdy zasypiają w dzień, przysuwając się do kaloryfera, dostają przedłużenie kary.

Kolejnym powszechnie stosowanym sposobem dręczenia więźniów politycznych jest długotrwała izolacja. Siarhiej Cichanouski czy Maryja Kalesnikawa przebywali w celach pojedynczych nawet kilka lat. Rekordziści, jak Palina Szarenda-Panasiuk, Mihałaj Dziadok, Paweł Winahradau czy Ihar Karniej, spędzili w celach karnych (tj. łącznie w karcerach i w celach izolacyjnych) w ciągu paru lat uwięzienia po kilkaset dni (Winahradau – 467). Trzeba to jasno powiedzieć – to kilkaset dni tortur. Co więcej, charakterystyczną cechą tej kary jest jej pełen woluntaryzm – kary nie dostaje się bowiem za coś. Karę dostaje się, bo według niepisanej zasady białoruskiego systemu penitencjarnego nad więźniem politycznym należy się co jakiś czas znęcać. A jeśli więzień na swoją zgubę próbuje o coś

walczyć, rozmawia w języku ojczystym, czyli po białorusku, deklaruje stanowczo (jak Szarenda-Panasiuk), że uważa się za więźnia politycznego, albo zaprzecza oskarżeniom i domaga się sprawiedliwości, to najprawdopodobniej następne kilka tygodni albo i miesiące spędzi w karcerze – do czasu, aż będzie cierpiał na halucynacje od niedospania i przebywania w samotności.

Szczególnym, własnym wynalazkiem białoruskiego systemu terro-ru jest pełne zaadaptowanie zasad grypsery (czyli systemu specjalnych hierarchii i tzw. drugiego życia kryminalistów) do potrzeb władz więzienia lub kolonii karnej. W czasach sowieckich, a zwłaszcza w czasach stalinowskich, więźniowie skazywani z artykułów politycznych byli gorzej traktowani przez administrację łagrową i często pozwalano na ich terroryzowanie przez więźniów kryminalnych, których władza uznawała za „element socjalnie bliski”. O ile jednak w czasach sowieckich administracja łagrowa wykorzystywała realne wewnętrzne animozje więzienne i pozwalała brutalniejszym i silniejszym kryminalistom na nadużywanie swojej władzy nad politycznymi, o tyle w białoruskim systemie penitencjarnym administracja steruje tym procesem bezpośrednio. Wyznacza konkretne osoby, które mają otrzymać tzw. niski status więziennego pariasa, w rosyjskiej gwarze więziennej zwany statusem „pietucha”, a w polskiej „cwela”, oraz karze długimi odsiadkami w karcerze i innymi represjami tych, którzy nie chcą się na ów status zgodzić.

Z wielu relacji jednoznacznie wynika, że odmiennie, niż to miało miejsce w czasach sowieckich, wśród więźniów kryminalnych, zwłaszcza tych z realnego świata przestępczego, nie ma zasadniczo niechęci do więźniów politycznych. Długoletni kryminaliści traktują ich po prostu jako wrogów systemu, którego także i oni nienawidzą. Trochę inaczej ma się sprawa z bardzo licznymi osadzonymi za narkotyki czy drobne przestępstwa gospodarcze. Paradoksalnie w związku z tym niektórzy z byłych więźniów politycznych twierdzą, że pod pewnymi względami pobyt w koloniach o surowym reżimie, z długoletnimi kryminalistami osadzonymi za najcięższe przestępstwa, gdzie realnie duże wpływy mają więźniowie grypsujący, był dla nich znośniejszy niż pobyt w „zwykłej” kolonii, bo władza administracji nie była tam tak wszechmocna.

To wszystko nie zmienia jednak faktu, że jako najdotkliwszą formę represji białoruskie władze wybrały nadawanie „niskiego statusu” więźniom politycznym, którzy z jakichś przyczyn mieli być szczególnie

dręczeni. Przy czym status ten tylko formalnie nadawali im więźniowie kryminalni. Było bowiem w pełni jasne, że za każdym razem de facto „zamawiają” go władze kolonii karnej. Więzień o tym statusie musiał mieszkać w oddzielnej grupie, często z bardzo nieprzyjemnym elementem kryminalnym („pietuchami” wśród kryminalistów najczęściej zostają osoby skazane za seksualne wykorzystywanie dzieci, przestępstwa kazirodcze, najbardziej wynaturzone formy zabójstw itd.). Ponadto wykonywał najbrudniejsze (i – co istotne – uznane za hańbiące) prace, takie jak mycie toalet czy wynoszenie śmieci, musiał jadać osobno z podobnymi sobie, przy wszelkich okazjach do wszystkiego miał dostęp jako ostatni. Co równie ważne, nie wolno mu nic dać ani niczego od niego wziąć, bo oznaczało to „zarażenie się” statusem. Ten zakaz ma spore znaczenie, bo w kolonii kwitnie handel wymienny, który pomaga przeżyć, a główną walutą są papierosy. Tak naprawdę to administracja zatem decyduje, kto ma dostać niski status, i za wszelką cenę usiłuje swojego „wybrańca” do tego niskiego statusu sprowadzić, każąc mu wynosić śmieci po innych więźniach, jak w przypadku Ihara Karnieja, czy urządzając prowokacje, czego doświadczył Paweł Winahradau. Sprzeciw wobec otrzymania „niskiego statusu” albo niepodporządkowanie się jego regułom były przyczynami najgorszych przypadków obozowej gehenny. Więźnia poddawano nieustannej presji poprzez niekończące się kary odbierania paczek i widzeń, a wreszcie osadzanie w karcerze, z którego na ogół niemal nie wychodził. Ostatecznie, na koniec, stawiano mu dodatkowe zarzuty i przedłużano karę za złe sprawowanie, już jako recydywiście.

Osobną sprawą są relacje w żeńskich koloniach, gdzie choć pojęcie „niskiego statusu” nie istnieje, to i tak, jak wynika z większości relacji, zazwyczaj więźniarki kryminalne nie przejawiają ani szacunku, ani sympatii do swoich koleżanek osadzonych z artykułów politycznych. Wręcz przeciwnie – są wykorzystywane do uprzykrzania im życia. Przykładami są opisywane przez Halinę Dzierbysz polewanie materaca wodą, tak by nie można było położyć się po pracy na pryczy, czy obcinanie guzików, by więźniarka polityczna dostała raport karny (odebranie widzeń, paczek albo karcer) za nieprawidłowe ubranie. Niekiedy kryminalne nakłanianie są też do urządzania prowokacji – wywoływania awantur, których wynikiem, znów, ma być ukaranie więźniarki politycznej.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na perfidną metodę represji, jaką jest wykorzystywanie złego stanu zdrowia osadzonego jako formy nacisku.

Z nielicznymi wyjątkami jest absolutnie jasne, że niezależnie od zgłaszania dolegliwości nie będzie można się doczekać pomocy lekarskiej. Dobrym przykładem jest historia ponad 60-letniej Haliny Dzierbysz, która w więzieniu zemdląła na nasłonecznionym betonowym spacerniku i rozbiła sobie głowę. Wynikiem upadku było wybicie dwóch zębów i uszkodzenie mostka zębowego. Jeden z zębów wbił się w dziąsło. Efektem – po zewnętrznym zagojeniu rany – była przetoka ropna do zatoki szczękowej, z którą więźniarka żyła następnie dwa i pół roku w strasznym bólu. Z kolei Uładzimir Bułauski, w związku z poważną chorobą kręgosłupa, nie złożył nawet apelacji od swojego wyroku (inna rzecz, że praktycznie nigdy nie przynosiły one rezultatów). Na jej rozpoznanie musiałyby bowiem oczekiwać w areszcie śledczym, a wołał, by go jak najszybciej przewieziono do kolonii karnej, ponieważ nie mógł dłużej znieść bólu związanego z bezruchem w małej celi.

Przeważająca część więźniów, zwłaszcza tych przebywających w celach karnych, opuszcza kolonie karne w stanie bardziej lub mniej ekstremalnego niedożywienia i wychudzenia. U ogromnej większości zaostrzają się nieleczone przez lata choroby, niektórzy dopiero na wolności mogą pozbyć się dolegliwości powodujących trudny do wytrzymania ból, jak w przypadku Haliny Dzierbysz i jej kłopotów z zębami. Trzeba jednak zauważyć, że mimo tak dramatycznych doświadczeń niemal wszyscy nasi rozmówcy wykazywali się imponującą wytrzymałością psychiczną i trzeźwością sądów. Być może wynikało to ze specyficznego doboru grupy – ludzi najbardziej zaangażowanych i świadomych.

* * *

Relacje byłych białoruskich więźniów politycznych, które publikujemy w tej książce, dobitnie pokazują, że problemem systemu białoruskiego są nie tylko dyktatorskie rządy, lecz także funkcjonowanie specjalnie obmyślonej i bezwzględnie stosowanej maszyny powszechnego terroru, która ma wywołać i wywołuje powszechny, paraliżujący strach w społeczeństwie. To ów strach – w połączeniu z możliwie jak najszczelniejszą izolacją informacyjną obywateli Białorusi – jest jedynym mechanizmem, na którym opiera się obecnie władza Alaksandra Łukaszenki.

Biogramy autorów wywiadów, wstępu i posłowania

Michał Kacewicz

Redaktor naczelny Centrum Europy (centrumeuropy.pl), portalu o sprawach wschodnich Telewizji Polskiej. Prowadzi program „Oko na Wschód” w TVP Info. Były wieloletni dziennikarz „Newsweek Polska” i Bielsatu (belsat.pl). Autor książek poświęconych Ukrainie i Białorusi.

Kamil Kłysiński

W OSW od 2007 roku, z przerwą w latach 2013–2016, kiedy pracował w Ambasadzie RP w Wilnie. Uczestniczył w projekcie badawczym EU-STRAT Horizon 2020 dotyczącym państw objętych Partnerstwem Wschodnim. Brał udział w programie Think Visegrad – V4 Think Tank Platform. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej”. Absolwent politologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Wojciech Konończuk

Dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. Wcześniej wicedyrektor, kierownik Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii oraz analityk ds. polityki zagranicznej i energetycznej Rosji w Zespole Rosyjskim OSW. Specjalizuje się głównie w tematyce państw Europy Wschodniej.

Piotr Pogorzelski

Dziennikarz od lat zajmujący się tematyką krajów Europy Środkowej i Europy Wschodniej. Obecnie zastępca dyrektora Polskiego Radia dla Zagranicy i twórca podcastu „Po prostu Wschód”. W swojej pracy zawodowej relacjonował wydarzenia na Ukrainie, Białorusi i w Rosji, a także w Mołdawii, Gruzji oraz Kazachstanie.

Agnieszka Romaszewska-Guzy

Z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarka prasowa i telewizyjna. Na początku lat 80. współzałożycielka i działaczka Niezależnego Zrzeszenia Studentów, internowana w stanie wojennym. W latach 2006–2024 twórczyni oraz dyrektorka telewizji Bielsat.

Indeks osób

A

- Adamowicz Sławamir 339
Afnahel Jauhen 66, 82
Aleksijewicz Swiatłana 235
Aszurak Witold 172, 241, 350
Autuchowicz Mikołaj 86, 87-89, 91-96, 102, 182, 343
Azaronak Ryhor 297

B

- Babaryka Wiktar 19, 67, 110-111, 129, 212, 235, 262,
265, 317, 343
Bachwaława Kaciaryna 182
Bandarenka Raman 142, 285
Białacki Aleś 128-129
Bieładzied Uładziszław 233-234, 239
Biryława Swiatłana 94
Breżniew Leonid 140, 152
Bułauski Uładzimir 353

C

- Cedryk Andrej 235
Chadyka Juryj 339
Chodźko Ignacy 316
Chrenin Wiktar 322
Cichanouska Swiatłana 31, 35, 37, 51, 56, 67, 111,
141-142, 212, 317-318, 321, 343
Cichanouski Siarhiej 32, 35, 64, 66-70, 72-73, 81, 111,
128, 226, 240, 247, 343, 350
Cyhanowicz Uładzimir 40, 66, 72
Czarny 47
Czekina Ludmiła 298
Czernyszewski Nikołaj 240
Czulcowa Darja 284-285, 292
Czuprys Wolha 302
Czyhir Michaił 340

D

- Daszkiewicz Zmicier 275
Dola Mikołaj 284, 293
Dubawiec Siarhiej 235
Dziacieł Mikołaj 236
Dziadok Mikołaj 82, 350
Dzierbysz Halina 11, 182, 348, 352-353
Dzmitryjeu Andrej 317

E

- Eljanawa Jelizawieta 285

F

- Fiadynicz Hienadz 82
Fiłatau Maksim 92
Forman Miloš 325

G

- Gasumow 47
Giennadiewicz Jurij 182
Gorki Maksim 26

H

- Hanczar Wiktar 308, 340
Hierasimienka Ludmiła 95
Hłuszkou Juryj 108
Hoffman Jerzy 315
Hramyka Aleh 108
Hruzdziłowicz Aleh 82
Hubarewicz Jury 67
Hundar Wałodzia 92, 96

I

- Igoriewicz Władimir 280
Iwanow Iwan zob. Andrej Lis

Iwanowna Helena 93

J

Janukiewicz Alaksiej 67

Jaruzelski Wojciech 325

Jaśkiewicz Mieczysław 86

Jelcyn Borys 339

Jurijewicz Maksim 92

K

Kabanau Alaksandr 66, 72

Kadyrow Ramzan 141

Kalesnikawa Maryja 44-46, 82, 129, 344-345

Kalinowski Wincenty Konstanty 156, 279

Kanapacka Hanna 317

Kanawaława Antanina 9

Karajeu Juryj 213

Karatkiewicz Tacciana 209

Karatkiewicz Uładzimir 315-317

Karniej Ihar 340, 345-346

Kawalkowa Wolha 67

Kazłou Zmicier 75

Kazłou Mikałaj 67

Kazulina Alaksandra 340

Kim Dzong Un 209

Kolejnik Masza 50

Kołas Jakub 90

Kondrusiewicz Tadeusz 233-234, 239

Krauczanka 193

Kuczuk Zmicier 11, 129, 346

Kudzinau Uładzimir 340

Kulsza Wiktoryja 147-148

Kupała Janka 90

Kuzina Tacciana 298

Kuzniecowa 47

Kuznieczyk Andrej 245-246

L

Lawonau Wasil 340

Leonidowna Iryna 88

Lipow Andrej 293

Lis Andrej 215

Lubiecki Andrej 266-267

Ł

Łabkowicz Wadzim 340

Łaroczka 50

Łatuszka Pawieł 343

Łosik Ihar 245-247, 262

Łuckina Ksenia 236

Łukaszenka Alaksandr 7, 62-63, 66, 97, 129, 137,
139-143, 152, 209-212, 215, 317, 319, 328, 338-344,
349, 353

Łukomska Alena 97

M

Majorawa Wolha 92-93, 95-96

Makarenko Anton 16

Manuilski Dmitrij 7

Marcinowicz Jahor 236

Markiewicz Mikałaj 340

Marks Karol 241

Marynicz Michaił 340

Masłouski Mikałaj 64, 66

Maszadzieu Rusłan 24

Maszenski Alaksandr 164

Mażejka Pawieł 82, 270, 340, 347

Melcher Iryna 96

Migałkin 198

Milinkiewicz Alaksandr 134, 137, 176

Murawjow Michaił 316, 318

N

Nawalny Aleksiej 115

Niaklajeu Uładzimir 207, 306

Niemcow Borys 237

P

Parchimczyk Wiktar 11

Pazniak Zianon 65

Piatruchin Siarhiej 66, 72

Pieskow Dmitrij 318

Poczobut Andrzej 9, 262

Pol Pot zob. Sâr Saloth

Pratasiewicz Raman 189

Priszwin Michaił 26

Puszkin Aleś 177, 189, 350

Putin Władimir 63, 143, 210–211, 317, 325

R

Rabkowa Marfa 37, 44

Razanowicz Siarhiej 96

Razanowicz Luba 96–97

S

Sacharow Andriej 14, 262

Saloth Sâr 209

Sannikau Andrej 134, 139

Santos Isabel 150

Sarokin 192

Sawa Pawieł 91–93

Sienkiewicz Henryk 101, 315

Sierakowski Zygmunt 316

Siewiaryniec Pawieł 65, 67

Sikorski Radosław 330

Siuczyk Wiaczasław 339

Skurko Andrej 236

Skurko Jauhien 276

Słaunikawa Iryna 284

Sołoniewicz Iwan 8–10

Sołżenicyn Aleksandr 11

Statkiewicz Mikałaj 66, 69, 82, 93, 227, 341, 343

Szczyhelski Dzmityj 322

Szewczenko Taras 316

Szumihaj Maryja 295

Šzutau Hienadź 41

Szydłouski Alaksiej 340

T

Tank Maksim zob. Jauhien Skurko

Tarakanau Alaksandr 241

Trump Donald 129

V

Venclova Tomas 82

W

Waraniecki Aleh 95, 182

Winahradau Pawieł 11, 350, 352

Winiarski Maksym 82

Wojnicz Andriej 82

Z

Zacharanka Juryj 340

Ziankowicz Juraś 246, 308, 310, 321–323

Złobina Ira 298

Zołatawa Maryna 298

Zoszczenko Michaił 26

Ż

Żeromski Wadzim 37

Żurauski Iwan 322